Adam Kazimierz Musiał

Lata w ukryciu

Gliwice 2002 r.

Wstęp

Przedstawiony w tej książce zbiór opisów, relacji i innych materiałów dokumentacyjnych wymaga przystępnego poprzedzenia go podstawowymi informacjami, bez których byłby nadmiernie wyizolowany, pozbawiony tła historycznego i koniecznych wyjaśnień, idących – zgodnie z zasadami metodologii – od uwag ogólnych do stwierdzeń szczegółowych.

W Polsce po wojnie, a i w trudnych latach 80., ukazywały się wszechstronne opracowania zbiorowe, z życzliwością traktujące problematykę żydowską, jak na przykład jej poświęcony, głośny zeszyt 339–340 miesięcznika „Znak" z lutego–marca 1983 r. Odbywały się też konferencje naukowe na temat historii i martyrologii Żydów. W latach 90. zaś szczególnie obficie ukazują się każdego roku najrozmaitsze publikacje, książki i albumy na tematy żydowskie.

Niestety, aspekty polskie były w tym nurcie traktowane przeważnie krytycznie, niechętnie, ujemnie. Z trudem można dostrzec dobrą wolę niektórych autorów, na ogół stronniczych i opornych wobec wymagań obiektywizmu, jak też świadomie przemilczających to, co w przeszłości i we współczesności korzystnie świadczy o stosunku Polaków do Żydów. O ujęciach wręcz oszczerczych w stosunku do Polaków wstyd jest wspominać, a nie brak ich ani za granicą, ani w Polsce. Na tym tle konsekwentnie się wydaje ubożenie z biegiem czasu w narastających publikacjach tak ważnej sprawy, jak rzeczywista postawa Polaków wobec Żydów i pomoc świadczona prześladowanym. Chętnie się natomiast wyolbrzymia przestępstwa i zbrodnie kreatur, których nie brak w żadnym narodzie, a więc i w narodzie żydowskim. Najchętniej zaciemniane są, lekceważone, uchylane kwestie postępowania i rozpasania bogatej oligarchii w gettach, odemanów (policjantów żydowskich), cywilnych żydowskich współpracowników gestapo (konfidentów), kolaboracyjności judenratów (w opozycji do tak szlachetnych demon-

stracji, jak samobójstwo inż. Adama Czerniakowa w getcie warszawskim). Nie wszędzie można dostrzec tak pomnikowe postacie, jak dr Janusz Korczak.

Nic więc dziwnego, że obowiązkiem jest dążenie do pełniejszego obrazu rozległej problematyki pomocy Żydom, świadczonej w tym naszym okupowanym i szczególnie bezwzględnie doświadczonym kraju, w którym za taką pomoc groziła od okupanta śmierć świadczącym ją bezpośrednio, jak i ich rodzinom, współpracownikom i znajomym, mieliśmy bowiem do czynienia z drakońskimi i zbrodniczymi hitlerowskimi metodami i z implikującą je okrutną zasadą odpowiedzialności zbiorowej.

Ważnym źródłem, charakteryzującym treść kilkuset publikacji autorów żydowskich, jest cykl kilkudziesięciu artykułów pt. Przemilczane świadectwa (publikowany w odcinkach w r. 1995 w piątkowych numerach „Słowa–Dziennika Katolickiego"). Autor cyklu, Jerzy Robert Nowak, referując ten dorobek na przykładzie kilkuset pozycji, dowodzi, że jest on przeważnie tendencyjnie antypolski, natomiast najmniej się wspomina o takich autorach Żydach, którzy wypowiadali się o Polsce i Polakach przychylnie, i życzliwie, a w każdym razie obiektywnie. Sympatia większości autorów żydowskich skłaniała się ku Niemcom i Rosji mimo cierpień i strat doznanych w tych obu państwach, tak w ciągu wieku XX, jak i w stuleciu bieżącym.

Tematyka żydowska jest jednym z ważnych wątków piśmiennictwa polskiego w ciągu całego okresu powojennego. Są to opracowania, relacje, wspomnienia, dokumenty – zarówno artykuły, jak i książki. Publikacje dotyczące tematyki polsko–żydowskiej sięgają dosłownie dziesiątków tysięcy. Dotyczą one głównie historii Żydów, ich miejsca w dziejach Polski, ich religii, obyczajowości, kultury, twórczości artystycznej itd. Na ziemiach polskich Żydzi znaleźli swój wielki, niemal tysiącletni azyl (osiedlali się tu, przeganiani skądinąd, już w wieku XI). Mieli przez całe wieki swe oparcie w Polsce, wysoki stopień autonomii, możliwość bogacenia się, rozwoju i nawet wpływu na sprawy państwa polskiego. Trzeba jasno

stwierdzić, że los Żydów w Polsce załamywał się właśnie w okresach naruszania samodzielności Rzeczypospolitej przez kraje ościenne, przez zaborców, w okresach wojen i wreszcie najbardziej dramatycznie i totalnie w latach II wojny światowej. Ani w Niemczech, ani w Rosji Żydzi w swej masie nie zyskiwali na dłużej i w szerszej skali zadowalającego azylu.

Zapomina się łatwo, że już w latach okupacji szczególna sytuacja i eksterminacja Żydów była istotnym tematem polskich publikacji konspiracyjnych. Podziemie polskie biło na alarm, zarówno w okresie gett, jak i później, na etapie – od roku 1942 – masowej zagłady Żydów (Entlösung der Judenfrage – ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej, eufemistyczne określenie używane przez nazistowsko–rasistowskich organizatorów ludobójstwa, wynikłego nie tylko z założeń ideologicznych, lecz także ze względu na zysk, na olbrzymi rabunek mienia żydowskiego). Pisali alarmujące artykuły – w wydawnictwach konspiracyjnych – tak renomowani autorzy polscy, jak Zofia Kossak, by poprzestać na tym przykładzie. Szkoda, że wątku konspiracyjnego żydowskiego w broszurach czy książkach nie odnotowały niektóre specjalistyczne opracowania (jak np. praca Władysława Chojnackiego pt. Bibliografia zwartych druków konspiracyjnych, wydanych pod okupacją hitlerowską w latach 1939–1945; Warszawa 1970, PWN).

Warto przypomnieć, że pierwszą większą antologią materiałów z zakresu pomocy Żydom była głośna książka Władysława Bartoszewskiego i Zofii Lewinówny (wydanie pierwsze: Kraków 1966, Wydawn. „Znak"). Kolejnym tego rodzaju ważnym ogniwem stała się antologia Stanisława Wrońskiego i Marii Zwolakowej pt. Polacy–Żydzi 1939–1945, (Warszawa 1971, Książka i Wiedza). Tego rodzaju publikacje były poprzedzone wnikliwymi kwerendami. Drogą odpowiedniej, aktywnej kwerendy poszedł też autor oddawanej teraz w ręce czytelników książki „Lata w ukryciu".

Władze Polski podziemnej – przez rząd RP na emigracji, w Londynie – alarmowały, bezskutecznie, aliantów o skuteczną pomoc i wyhamowanie pospiesznej zagłady Żydów europejskich

i przeciwstawienie się jej, nazywanej dziś holocaustem, realizowanym przez hitlerowców celowo na odległych terenach, w okupowanej Polsce. Polacy pod jarzmem hitlerowskim nie mieli nic do powiedzenia, o zagładzie w całości decydowali Niemcy, Polacy mogli się tylko przeciwstawiać, jak słabszy przeciwnik, ubezwłasnowolniony, pozbawiony władzy, ale nie całkiem pokonany. Kurierzy, jak Jan Karski czy Jan Nowak–Jeziorański, dostarczali sprzymierzonym bogatą dokumentację zagłady. Bezskutecznie. Szmul Zygelbojm popełnił z tego powodu manifestacyjne samobójstwo protestu. W Radzie Narodowej, będącej parlamentem polskim na uchodźstwie, i w rządzie polskim na emigracji, zasiadali też Żydzi, Żydzi prawdziwie polscy. Żadne inne państwo nie umożliwiło Żydom tak wysokiej pozycji. O tym się jednak dziwnie mało i niechętnie pisze, podobnie jak o innych kwestiach, poruszonych dalej w tym słowie wstępnym.

Rozeznawanie sytuacji Żydów w okupowanym kraju i organizowanie im pomocy było jednym z głównych pól działania podziemnego państwa polskiego. O losie Żydów alarmowano aliantów. W kraju powstała konspiracyjna Rada Pomocy Żydom, nosząca kryptonim „Żegota", do tego stopnia bowiem zorganizowane było, nawet poza rozsądne granice możliwości, ratowanie Żydów. „Żegota" zapisała piękną kartę, lecz znaną tylko częściowo, gdyż z natury rzeczy charakter funkcji „Żegoty" determinował konieczność jej ścisłej konspiracji. O wielu działaniach, o ratowaniu Żydów, o pomocy im wiedziało celowo niewielu wtajemniczonych. Wiele akcji poszło bezpowrotnie w zapomnienie. Odważni i zdeterminowani Żydzi – a było takich, niestety, niewielu – też się organizowali (Żydowska Organizacja Bojowa) i utrzymywali pożyteczne kontakty z polskim podziemiem. Jak działała „Żegota", można się dowiedzieć – na przykładzie wybranego, jednolitego rejonu – z książki Teresy Prekerowej pt. „Konspiracyjna Rada Pomocy Żydom w Warszawie 1942–1945" (Warszawa 1982, PIW).

Umniejszane są oceny liczbowe, ile tysięcy Polaków bezpośrednio uczestniczyło w pomocy Żydom. Przeważnie, zwłaszcza w miastach, ukrycie jednego Żyda i przemieszczanie go z jednej

kryjówki do drugiej i do dalszych wymagało nieraz współudziału nie tylko kilku czy kilkunastu, ale nawet kilkudziesięciu Polaków. We wsiach, mocno inwigilowanych, gdzie „wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi", trudno było precyzyjnie i wystarczająco dochować tajemnicy o ukrywanych Żydach, widać to w relacjach w tej książce.

Niedostatecznie też jest opisana wielka pomoc, jaką – w dużej mierze dzieci żydowskie – otrzymywali Żydzi od duchowieństwa, zwłaszcza w zakresie ukrywania ich w klasztorach.

Nie miejsce w krótkim wstępie na rozwijanie zasygnalizowanych tu, ważnych aspektów, których jednak nie można zupełnie pominąć. Czytelnikom zainteresowanym tą tematyką można polecić m.in. syntetycznie ujętą broszurę ks. Andrzeja Zwolińskiego pt. „Starsi bracia" (Kraków 1994). Ks. Zwoliński treściwie przedstawia historię i sytuację Żydów od starożytności do chwili bieżącej, nie pomija blasków, nie ukrywa cieni; doprowadza swe na faktach oparte wywody do współczesności (np. łącznie z niejako reprezentatywną aferą Bagsika).

W okupowanej Polsce antysemicka furia nazistów natrafiła na 85% całej żydowskiej populacji Europy. Odsetek Żydów był pod koniec istnienia II Rzeczypospolitej bardzo wysoki m.in. w miasteczkach małopolskich, czyli galicyjskich. A do Małopolski należy teren będący przedmiotem problematyki tej książki, tj. byłe województwo tarnowskie.

Ostrze eksterminacji kierowało się najpierw przeciw inteligentom polskim (akcja A–B) i tym Polakom, którzy rokowali przewodzenie w walce konspiracyjnej przeciw okupantom (zresztą i hitlerowskiemu, i sowieckiemu), gdy Żydów trzymano jeszcze w gettach, zmniejszając ich liczebność głównie głodem, chorobami, terrorem i antysanitarnymi warunkami; wkrótce Niemcy zaczęli masowo mordować Żydów i nadal dziesiątkowali Polaków, by – czego już nie wykonali z powodu upadku „tysiącletniej" III Rzeszy – po uporaniu się z Żydami wykończyć Polaków i innych Słowian.

Zwykle jest tak w życiu, że w cieniu chwalebnych czynów i bohaterskich postaw, nawet gdy one dominują, dostrzec można

ciemną stronę natury ludzkiej, słabość charakteru, brak odwagi, tchórzliwość, chciwość, kolaborację, przestępczość, od których żaden bezstronny autor nie kwapi się uwalniać i oczyszczać takiego marginesu społecznego wśród rodaków. Tego ujemnego aspektu nie można uogólniać, jak to chętnie czynią pseudobadacze czy niektórzy autorzy i publicyści w świecie, oszczerczo oskarżający Polaków wręcz o pomaganie Niemcom w niszczeniu Żydów. Prawda jednak zawsze wychodzi na wierzch, choć raczej później niż wcześniej. Faktem jest, że Polacy uratowali co najmniej około 150 tysięcy Żydów przed zagładą nazistowską, płacąc za to życiem 30–40 tysięcy najdzielniejszych, szlachetnych rodaków. Szafowanie zarzutami antysemityzmu przy ignorowaniu antypolskich ataków i pomówień jest wykroczeniem przeciw podstawowym zasadom metody i przeciw elementarnemu poczuciu sprawiedliwości i sprzeniewierzeniem się oczywistym, udokumentowanym – w niniejszym opracowaniu dodatkowo i niespornie – faktom.

Nie przystoi w książce tego typu dać się wciągnąć w poniżające spory i zepchnąć na poziom taniej publicystyki, ale nie można całkiem przemilczeć spraw uważanych za niewygodne, tylko więc przynajmniej odnotować należy takie przykre spory, jak na przykład w sprawie karmelitanek w Oświęcimiu lub dyskusje o wyższej czy niższej liczbie wymordowanych w KL Auschwitz–Birkenau i o proporcji zgładzonych tam Żydów a uśmierconych Polaków i więźniów wielu innych narodowości i stopniu ich męczeństwa, tzn. komu było „lepiej", a komu „gorzej" w lagrze. Watki sporne tendencyjnie wypreparowano z kontekstu. Rabin Avram Weiss z Nowego Jorku fizycznie atakował wspomniane karmelitanki. Żydzi – ci agresywni, szowiniści, a nie Żydzi uczciwi – nie mogą znieść widoku krzyża na miejscu Kiessgrube (dawna żwirownia w KL Auschwitz I), a przecież to właśnie miejsce jest uświęcone krwią rozstrzeliwanych więźniów Polaków. Nacjonalistycznie usposobieni Żydzi pragną w całości zawłaszczyć tereny Muzeum w Oświęcimiu.

Wiele bolesnych faktów – jak niefortunny nieraz udział Żydów w rządzeniu Polską powojenną, ich rola w aferach III RP i ujemny wpływ na sytuację finansową państwa i społeczeństwa i na kulturę, podległą coraz bardziej amerykanizacji, stopień wpływów, gdy np. nawet przy tzw. okrągłym stole zasiadało tylko 10 Polaków – można tu zaznaczyć jedynie z przykrością i poczuciem niesprawiedliwości i krzywdy. Perspektywicznie dla żadnej ze stron nie wywodzi się z tych ujemnych aspektów de facto żadna korzyść. Powinna zaistnieć jedna, wspólna strona, pogodzona. Trzeba się wzajemnie szanować.

Rzetelne pogłębianie historii II wojny i miejsca, i męczeństwa Żydów w tamtych latach natomiast sprzyja wzajemnemu, tak potrzebnemu zrozumieniu. Żydowskie poczucie przynależności do narodu wybranego nie może być podstawą jednostronnej krytyki innych przy nieprzyjmowaniu najmniejszej krytyki wobec siebie i przy utożsamianiu jej od razu, na domiar z przesadnym rozgłosem, z antysemityzmem. Przez antysemityzm zresztą Żydzi rozumieją antyżydowskość, ściśle bowiem rzecz biorąc, antysemitami są np. Arabowie w stosunku do Żydów i Żydzi wobec Arabów. Gdy autorzy nieżydowscy poruszają tematykę żydowską, Żydzi są zwykle niezadowoleni, trudno sprostać ich wygórowanym wymaganiom, nieraz niezbyt zresztą przejrzystym.

Punktem docelowym powinna być zgoda i sumienne badanie przeszłości. A postawa ludzka krystalizowała się i demonstrowała przejrzyście właśnie podczas wojny i okupacji, gdy wrzał śmiertelny bój między życiem i śmiercią, barbarzyństwem i humanitaryzmem, bohaterstwem a nikczemnością. Te antynomie są ważnym motywem widocznym w tej książce.

Tragiczny był los Żydów wszędzie pod jarzmem hitlerowskim, też na kresach wschodnich. Może go ilustrować np. książka Edwarda Prusa pt. „Holocaust po banderowsku" (1995, Nortom). Nie tu zresztą miejsce na bibliografię, która nie jest przedmiotem tej książki, tylko na przykłady. Najważniejsze są w naszym wypadku książki związane z regionem tarnowskim. W aspekcie zarówno hi-

storycznym, jak i martyrologicznym poruszył tę problematykę Jerzy Rzeszuto w książce pt. „Żydzi dąbrowscy" (Dąbrowa Tarnowska 1993, wyd. Kurier Dąbrowski); Aleksandra Pietrzykowa i Stanisław Potępa opracowali i zredagowali książkę pt. „Zagłada tarnowskich Żydów" (Tarnów 1990, jest to fragment szerszego wydania pt. „Tarnów – egzystencja i zagłada skupiska żydowskiego", Tel Awiw 1954, red. Abraham Chomet); dużo barwnych szczegółów i ilustracji wnosi też album Adama Bartosza pt. „Tarnowskie judaica" (Warszawa 1992, Wydawn. PTTK „Kraj"). Z kart takich wydań odżywają realia i atmosfera bezpowrotnie zniszczonej przez Niemców rozległej kultury żydowskiej w Polsce.

Szczególnym dokumentem są opisy zawarte w niniejszym opracowaniu. Ze zrozumiałych względów tragiczną rzeczywistość okupacyjną przypominają tutaj przeważnie Polacy, świadkowie i uczestnicy wstrząsających wydarzeń, prawie niepojętych dla obecnych młodych pokoleń, a jednak prawdziwych. Splata się tragizm Żydów i Polaków w tej książce. Materiał, oparty na bezpośrednich relacjach i wywiadach, jest tutaj ułożony w alfabetycznym porządku gmin w Tarnowskiem. Z braku żyjących świadków nie wszystkie gminy zostały objęte dostateczną kwerendą. Całość wieńczy dokumentacja fotograficzna oraz zestaw wybranych dokumentów i innych materiałów. Praca ta, kwalifikująca się niewątpliwie jako popularnonaukowa, wywodzi się poniekąd z iście reporterskich dociekań i moich wojaży po Tarnowskiem. Dzięki temu udało się uchwycić mnóstwo wydarzeń nie znajdujących wyrazu w żadnej publikacji ani dokumentacji. Ta eksploracja wciągała emocjonalnie w treść problematyki, ale oczywiście zdominowało wymaganie metodologiczne, podejścia obiektywnego i krytycznego do zebranego materiału.

Dzięki temu materiałowi źródłowemu jak gdyby namacalnie poznajemy realia i wydarzenia z tamtych lat. Nie ma chyba tak twardego sumienia, żeby go nie mogły poruszyć obrazy i nawet drobne, ale wymowne epizody z okresu przesyconego terrorem i klimatem presji sumiennych i dokładnych łowców i morderców narodu żydo-

wskiego. Niemców zaczadzonych amokiem obłędnej ideologii. Trzeba dopiero wniknąć i wmyśleć się w szczegóły, żeby pojąć, jak trudno było pomagać Żydom w ówczesnej sytuacji, z jaką przemyślnością trzeba było wystrzegać się i Niemców, i złych ludzi, a nawet jakichś niefortunnych przypadków, mogących spowodować zdemaskowanie ukrywanych. O postawie Polaków wobec Żydów w wielkiej mierze przesądzało nastawienie chrześcijańskie, od którego judaizm jest odległy.

Wiele relacji dotyczy wsi, polskiej wsi nękanej i eksploatowanej przez okupanta, w której dzielono się z Żydami nieraz ostatnią kromką i kubkiem mleka, ciepłą zupą i odzieżą. A do bohaterstwa zaliczamy nie tylko poszczególne przejawy, lecz także powszechność takiej pomocy. Nie można było oczywiście zapewnić tropionym przez Niemców i uciekającym Żydom luksusowych warunków, kryjówki musiały być niewygodne i prymitywne. Ważniejsze było ich zamaskowanie, żeby skazańcy mogli jakoś przetrwać i ocalić życie. Dawało to Polakom – przy nieopisanie wysokim ryzyku – satysfakcję moralną, ludzką, jak i poczucie, że ratując Żydów, walczy się przeciw Niemcom i ich antyludzkiej ideologii i postępowaniu. Typowa była pomoc, marginesem – np. tzw. szmalcownictwo, dostrzegane zwłaszcza w miastach. Obiektywnie podchodząc do zagadnienia, nikt nie zamierza ukrywać aspektów ujemnych, są one zresztą nietypowe. Na kartach tej książki znajdziemy opisy losu Żydów zbiegłych z getl lub ich unikających.

Nikt chyba nigdy nie zdoła opisać w pełni przeżyć tych Żydów, którzy zginęli mimo krótszego czy dłuższego ukrywania się w specjalnie przysposobionych zakamarkach zagród wiejskich, kryjówkach, schowkach, piwnicach, strychach, stodołach itp., a także w dołach wśród ostępów leśnych. Ale wiadomo, że życie tych Żydów zależało od pomocy udzielanej przez Polaków i od dostarczanej przez nich żywności, często donoszonej na umówione miejsca. Tępili tę pomoc Niemcy, palili zagrody, strzelali i zabijali, chłopów i ich dzieci wrzucali do ognia. Liczy się ta pomoc w skali międzynarodowej, najwięcej drzewek bowiem, sześć tysięcy,

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

ukazuje nazwiska Polaków na jerozolimskim Wzgórzu Pamięci, w Alei Sprawiedliwych.

Wyszliśmy w tych wstępnych rozważaniach od szerokiego zakresu piśmiennictwa, żeby pod koniec skupić uwagę, jak w soczewce, na jednym rejonie – Tarnowszczyźnie. Taki wybór terenu umożliwia metodę jednolitego ujęcia tematu. Wielkie liczby są papierowe, nie absorbują wyobraźni, mniejsze zaś liczby, które możemy zamienić na poszczególnych ludzi, zbliżają zagadnienie plastycznie. Wyobraźmy sobie tylko, jaki by wielki obraz powstał, gdyby się w tej materii przybliżyć do każdego powiatu.

Dla wszystkich osób, które udzieliły opisów i wyjaśnień, autor tej książki żywi wielką wdzięczność i składa im podziękowania. Są to ludzie o bardzo już zaawansowanym wieku, chowający w zakamarkach pamięci wydarzenia przesłonięte przeszło półwieczną odległością czasu. Rzadko ci świadkowie otwierali się od razu i szczerze, przeważnie zamykali się zwłaszcza pod wpływem niespokojnego związku z przeszłością, pod ciężarem przeżyć i grozy; tłumili rozgoryczenie, nie kryli nieufności wobec wypytującego o makabryczne przeżycia, trzeba było odpowiednio podchodzić do tych steranych ludzi, przełamując opory natury psychologicznej, nawiązywać do tamtych spraw i doznań prostym, elementarnym, cierpliwym indagowaniem i perswazją, uzasadniać potrzebę utrwalenia tego wycinka ważnej historii, ocalenia choćby takiego zasobu treści, dającej się jeszcze odtworzyć, z poszanowaniem faktów, choćby czasem niewygodnych, ale niezbędnych dla obiektywności obrazu. Podziękowanie otrzymują urzędy gmin, miast i sołtysi, którzy na prośbę autora przesłali życzliwie adresy świadków z terenu swych gmin:

Mgr Jerzy Michajlak (Urząd Wojewódzki), mgr Roman Rogowski, Krystyna Obal, mgr inż. Maria Gdowska, Czesława Sieczka, Józef Nabiał, Maria Gucwa, Alicja Mikosz, Maria Okrzesa, Lucyna Płaczek, Zofia Stężowska, Teresa Bugajska, Lucyna Cierpichał, Janina Gut, Zofia Pikul, mgr Maria Baran, Maria Lesiak, Józef Młynarczyk, ks. A. Mleczko, ks. Tadeusz Wolak, Zofia Kiełbasa, Zofia Sękowska, Maria Gondek, Maria Olsza, s. Zofia Wnęk i ci, którzy podpisali się nieczytelnie.

Szczególne podziękowanie należy się dyrektorowi Krzysztofowi Witkowi oraz mec. dr. Marcelemu Wajsbardowi.

Przyjrzyjmy się więc teraz temu, co się w tamtych koszmarnych latach wojny i okupacji wydarzyło w opisywanym regionie.

Adam K. Musiał

Bochnia

O pomocy Żydom podczas ostatniej wojny. Na marginesie pracy Michała Grynberga „Księga sprawiedliwych"

Iwona Zawidzka
„Rocznik Bocheński" R. IV, 1996

Państwowe Wydawnictwo Naukowe wydało przed czterema laty książkę bardzo ważną, bo przedstawiającą ludzi, którzy z narażeniem życia – własnego i swoich bliskich – udzielali pomocy Żydom w czasie II wojny światowej, za co uhonorowani zostali nagrodą „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata". Pozycją tą jest *Księga sprawiedliwych*, zredagowana przez pracownika Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie, dra Michała Grynberga.

Książkę rozpoczyna przedmowa, napisana przez dra Icchaka Arada, przewodniczącego Zarządu Yad Vashem w Jerozolimie. Yad Vashem, czyli Instytut Pamięci Narodowej, powołany został jako realizacja uchwalonej przez Kneset 19 sierpnia 1953 roku ustawy o pamięci zagłady i bohaterstwa. Nazwa Instytutu znaczy po hebrajsku „Miejsce i Imię". Zwrot ten zaczerpnięty został z księgi Izajasza: „Daj im w domu moim i w murach moich miejsce i imię (yad vashem) lepsze nad synów i córki, imię wieczne dam im, które nie zaginie" (Iz 56,5).

We wstępie autorstwa Michała Grynberga zawarte zostały informacje dotyczące nagrody, sposobów jej przyznawania, sytuacji, w jakiej przyszło działać ratującym życie Żydów Polakom. Instytut Pamięci Narodowej przyznaje medale i dyplomy honorowe oraz nadaje tytuł „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata" ludziom, którzy udzielali pomocy Żydom z pobudek humanitarnych, z narażeniem własnego życia, a sami nie byli Żydami. Przyznanie tego wyróżnienia poprzedzone jest przygotowaniem wiarygodnej dokumentacji, czym od początku zajmowała się ambasada Izraela w Polsce. Materiały tego typu zbierała Centralna Żydowska Komisja Historyczna, przekształcona w 1947 roku w Żydowski Instytut Historyczny w Warszawie. Po zerwaniu stosunków dyplomatycznych między Polską a Izraelem, zbieranie informacji o Polakach ratujących Żydów przejęła od 1979 roku Sekcja Odznaczeń Yad Vashem w Żydowskim Instytucie Historycznym. Podobną działalność prowadziła Główna Komisja Badań Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, a obecnie Instytut Pamięci Narodowej. Po wstępnej analizie materiały przekazywane są do Yad Vashem. Niekiedy trafiają tam bezpośrednie relacje Żydów o ludziach ich ratujących.

Wśród około dziewięciotysięcznej grupy osób z całej okupowanej przez Niemców Europy, uhonorowanych tytułem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata", Polacy stanowią przeszło 30 procent. W latach 1963–1989 przekazano 1936 medali dla 3012 osób (odznaczenia te są zarówno indywidualne, jak i zbiorowe, np. dla członków rodzin). W roku 1967, gdy Polska zerwała stosunki dyplomatyczne z Izraelem, nastąpiła przerwa w przyznawaniu tego zaszczytu Polakom. Także sami Polacy, ze względu na niechętną Żydom atmosferę w kraju, nie ujawniali zbyt chętnie faktu pomocy. Zmianę sytuacji przyniósł przyjazd w 1978 roku, z okazji obchodów 35. rocznicy powstania w getcie warszawskim, delegacji Yad Vashem z odznaczeniami dla licznej grupy Polaków.

Polacy ratujący Żydów mieli szczególnie trudne zadanie. Od 15 października 1941 roku obowiązywało na terenie Generalnej Guberni rozporządzenie generalnego gubernatora Hansa Franka o karze śmierci dla każdego Żyda opuszczającego getto oraz dla Polaków, którzy udzieliliby mu schronienia. Ginęli nie tylko właściciele lokali, lecz także wszyscy obecni w chwili rewizji. W ten sposób straciło życie co najmniej 900 Polaków, w tym również kobiety i dzieci.

Książka prezentuje ponad 550 not, obejmujących około 1200 osób uhonorowanych tytułem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata". Stanowi to więcej niż 1/3 wszystkich odznaczonych tym tytułem Polaków. Wykaz obejmuje ludzi, którzy zostali odznaczeni

do 1989 roku włącznie. Jest wśród nich kilka osób z Bochni i okolicznych wsi.

Bronisław i Stanisław Klubowie z Kamyka oraz ich córka Helena żywili, a potem ukrywali u siebie trzy osoby pochodzenia żydowskiego. Pomoc trwająca dwa lata przerwana została donosem na Klubów, po którym aresztowano i rozstrzelano zarówno Stanisława, jak i jego żydowskich podopiecznych: rolnika Mojżesza Landnera, córkę właściciela sklepu masarskiego w Łapanowie Reginę Rajs oraz Franciszkę – córkę właściciela młyna w Nieznanowicach.

Jakub Romański zamieszkały w Bochni na ulicy Karosek 25, wspomagany przez matkę Marię i brata Józefa, posiadając adresy przewodników i szoferów, współorganizował przewóz uciekinierów z getta bocheńskiego za granicę węgierską. Pomógł w ten sposób ponad dwudziestu Żydom.

Rodzina Wilkoszów (Barbara, jej szwagier Tomasz, synowie Adam i Jan oraz córka Stefania) z Grobli, od sierpnia 1943 roku do stycznia roku 1945 ukrywała 6–osobową rodzinę żydowską, która w ich gospodarstwie szczęśliwie doczekała wyzwolenia.

Księga sprawiedliwych przypomina jeszcze jedną rodzinę z okolic Bochni, która pomagała Żydom – Annę Kowalik z Rajbrotu oraz jej dorosłe dzieci Władysława Kowalika, Walerię Kowalik–Przybyłko i Władysławę Kowalik–Paprotę.

Jak podaje relacja zamieszczona w książce, mieszkający w Borównej mąż Walerii, Bronisław, ukrył u siebie wyprowadzoną z getta bocheńskiego Sabinę Holländer. Oprócz niej ukrywało się tam kilka innych osób, m.in. Uszer Weinfeld oraz Janina Wulf z synem Dawidem. Aby ich schronić Bronisław i Waleria Przybyłkowie mieli przebudować piwnicę i dobrze ją zamaskować. Gdy miejsce to przestało być bezpieczne, siostra Walerii – Władysława Kowalik – przeprowadzić miała Żydów do rodzinnego domu w Rajbrocie, gdzie opiekę nad nimi przejęła matka Władysławy i Walerii, Anna Kowalik z synem Władysławem.

Te informacje podane przez Michała Grynberga wymagają sprostowania. Sabina Holländer została wyprowadzona przez Bronisława Przybyłkę nie z getta, lecz od państwa Miterów, mieszkających w Bochni przy placu Gazaris. Schroniła się u nich po wydobyciu się spod stosu ciał Żydów, rozstrzelanych przez Niemców 16 września 1943 roku. Skazana również na rozstrzelanie, została tylko ranna. Została więc zbiec z miejsca egzekucji. Stanisław Mitera kierując się jej wskazówkami porozumiał się z Uszerem Weinfeldem, którego była ciotką, a który ukrywał się w bunkrze w Borównej u Michała Przybyłki – sąsiada i kuzyna Bronisława. Tam też ukryła się Sabina Holländer po przewiezieniu jej furmanką z Bochni przez wspomnianego już Bronka Przybyłkę. Człowiek ten miał wielkie zasługi w ratowaniu ludności żydowskiej, nie posiadał jednak w tym okresie jeszcze bunkra u siebie; udzielał więc schronienia tylko przejściowo. W schronie u Michała Przybyłki, zbudowanym przy współudziale jego kuzyna Bronka specjalnie dla ratowania Żydów, oprócz Uszera Weinfelda i jego ciotki oraz Janiny Wulf z synem przebywało także kilku innych Żydów. Gdy bunkier przestał być bezpieczny, grupa ukrywających się tam osób przeniosła się do nowo powstałego bunkra leśnego, o którym wiedział tylko Bronek. Bunkier ten stał się schronieniem również kilku innych Żydów, ukrywających się w okolicy. Pod koniec października Uszer Weinfeld wraz z ciotką oraz Wulfową i jej dzieckiem przeniósł się – korzystając z pomocy Bronka i jego szwagierki Władysławy Kowalik – do bunkra przygotowanego u Kowalików w Rajbrocie. Opuścili go dopiero po wkroczeniu armii radzieckiej w styczniu 1945 roku.

Wątek bocheński w *Księdze sprawiedliwych* kończy się na tych kilku nazwiskach, co nie znaczy, że jest to lista zamknięta. W 1983 roku tytuł „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata" otrzymał Władysław Łacny, który wraz z całą rodziną ukrywał w Połomiu Dużym kilkunastoletnią dziewczynę żydowską.

Po ucieczce z getta bocheńskiego przeszła ona nocą do Połomia, szukając domu znajomych Polaków. Przez dwa i pół roku – aż do wyzwolenia – mieszkała u państwa Łacnych w schowku, który zrobiono dla niej przez odgrodzenie niewielkiej części pokoju

dodatkową ścianą. Do schowka wchodziło się z sieni przejściem pod podłogą. Tamtędy dostarczano jej żywność i wynoszono nieczystości. W rozmowach między sobą państwo Łacni nazywali ją imieniem swej córki Ireny, aby nie zdemaskować jej pobytu w razie gdyby ktoś niepowołany podsłuchiwał rozmowy. Dziewczynka przeżyła okupację, a po wojnie wyemigrowała do USA. W latach osiemdziesiątych odwiedziła miejsca, gdzie udzielono jej schronienia; jest w stałym kontakcie z córką Władysława Łacnego – Ireną Dźwigaj z Nowego Wiśnicza.

Już po roku 1989 nagrodę Yad Vashem otrzymały kolejne osoby, które należałoby przypomnieć. Ludwika Płachcińska na swoje – niestety już pośmiertne – wyróżnienie zasłużyła udzielając pomocy młodemu Żydowi z Wiśnicza Starego, Józefowi Wienerowi. Ludwika zatrudniła Józefa, rówieśnika jej najmłodszego syna, jako parobka w swoim gospodarstwie rolnym, które znajdowało się na terenie getta. Dała chłopakowi nie tylko pracę, lecz również kąt do spania, jedzenie, a także rzecz najważniejszą – przyjęła go do swojej rodziny i czuł się u niej jak syn. Nie dane mu było doczekać końca wojny u Płachcińskich. Dekonspiracja, która nastąpiła podczas jednego z etapów likwidacji getta, zmusiła Józka do ucieczki i tułaczki. Ale nawet wtedy, gdy nie mogąc już uchodzić za polskiego parobka musiał się ukrywać, został przyjęty, nakarmiony i ukryty u Płachcińskich.

Tytuł „Sprawiedliwego" za swą bezinteresowną pomoc otrzymał Piotr Świątek z Nowego Wiśnicza oraz – pośmiertnie – jego żona Janina. Przez dwa tygodnie, jesienią 1942 roku, ukrywali w stodole na Miejskich Polach kilkunastolatka Abuscha Hirscha, który uciekł z bocheńskiego getta i wrócił w rodzinne strony. Przez te 14 dni, podczas których wysłali dzieci do krewnych w Olchawie, aby nie zdradziły rodzinnej tajemnicy, ukrywali, żywili i ubierali Abuscha.

Oprócz ludzi wyróżnionych, w pamięci ludzkiej pozostało wielu innych, którzy też pomagali Żydom, udzielając schronienia, dzieląc się żywnością, fałszując dokumenty, umożliwiając wyjazd itp.

Żona i syn prof. Juliana Aleksandrowicza zostali przyjęci i ukryci przez mającą dom nieopodal zakładu karnego mieszkankę Wiśnicza panią Kubicką. Natomiast córka wiśnickiego adwokata, Irena Faber, przeżyła dzięki otrzymanym od Mariana Romańskiego fałszywym dokumentom oraz pomocy sołtysa Kasińskiego, który wpisał ją na listę osób przeznaczonych do pracy w Niemczech. Irena pracowała w fabryce na przedmieściach Berlina. Jeszcze przed końcem wojny dane jej było spotkać się z bratem Arturem, jeńcem wojennym. Obawiając się dekonspiracji, Artur zorganizował ucieczkę z siostrą do któregoś z krajów Beneluksu (Belgia lub Holandia). Po wojnie powróciła do Polski, skąd w 1956 roku Irena wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych.

W czasie wojny przeniósł się z Krakowa do Wiśnicza lekarz Henryk Czapnicki z żoną i córką. Nosząc identyfikującą go jako Żyda opaskę z gwiazdą Dawida leczył zarówno Żydów jak i Polaków, ciesząc się uznaniem pacjentów. Wraz z całą społecznością wiśnickich Żydów oraz swą rodziną trafił do getta bocheńskiego. Stamtąd pomógł mu się wydostać były komendant policji z Nowego Wiśnicza, Andrzej Ludwikowski, który dra Czapnickiego i jego rodzinę zabrał z getta, zawiózł na dworzec kolejowy, ofiarował fałszywe dokumenty i kupił bilety, dzięki czemu mogli wyjechać do Warszawy. Udało im się przeżyć wojnę, a po jej zakończeniu wrócił do swojego mieszkania na ulicy Floriańskiej. Henryk Czapnicki został kierownikiem Wojewódzkiego Wydziału Zdrowia w Krakowie.

Stanisława Nabielec z Chronowa ukrywała u siebie dziewczynkę żydowską, którą po wyzwoleniu oddała do domu dziecka w Krakowie, Anna Bereta z Bórowny ukrywała i żywiła do końca okupacji 6–osobową rodzinę Akermana vel Roleckiego. Michał Plewa z Lipnicy Dolnej dostarczał żywność dla Żydów ukrywających się w Tymowej. Natomiast Szymon Fasuga z Lipnicy Górnej od 1942 roku ukrywał lwowskiego Żyda o przybranym nazwisku Hesła, który po wojnie wyemigrował do Izraela. Jakub i Jadwiga Kemplerowie przeżyli wojnę dzięki pomocy Józefa Krawczyka z Łąkty Gór-

nej; po 1945 r. wyjechali do Ameryki. Inny mieszkaniec Łąkty Górnej, Marcin Mróz, udzielił schronienia Zygmuntowi Ebnerowi, jego żonie i córce. Rodzina ta po wyzwoleniu opuściła Polskę i przeniosła się do USA. Do Stanów Zjednoczonych wyjechali również Lolek i Anna Szlenderowie, których ukrywał Marcin Gołąb z Rozdziela. Bronisława Sowa i Józef Troty, mieszkający w Lubomierzu, od 1942 do 1945 ukrywali siostry Perlę i Idę Traubman z Łapanowa, które po wojnie wyjechały wpierw do Krakowa, a potem jedna z nich do USA, a druga do Kanady. Mieszkańcy Sobolowa, Janina i Władysław Kortowie ukrywali w komórce pod budynkiem mieszkalnym rodzinę żydowską składającą się z 4 osób dorosłych i 5 dzieci. Po wojnie rodzina ta wyemigrowała do Izraela. Małżeństwo z Trzciany, Agata i Andrzej Adamczykowie, udzielili schronienia Józefowi Hehelowi, który po zakończeniu wojny przeniósł się do Krakowa. Mieszkanka Niepołomic, Kowalewska, przechowywała chłopca urodzonego w 1934 roku; opiekę nad nimi sprawowała również po wojnie. W Podgrabiu pod Niepołomicami, u Kępów, ukrywała się 4–osobowa rodzina żydowska, która po zakończonej wojnie wyemigrowała za granicę. Jan Szczęśniak z Zabierzowa zaopiekował się Adolfem Mehlerem, który zbiegł z getta w Bielsku i przedostał się do wsi, gdzie mieszkał do 1937 roku. Po wojnie wrócił do Bielska, a potem przeniósł się do Izraela. Również podopieczny Ambrożego Borowca z Buczkowa, nieznany z nazwiska Żyd, po wojnie osiedlił się w Izraelu.

Niestety, nie każdy akt pomocy Żydom, pomimo wielkiej ofiary i zagrożenia, miał szczęśliwe zakończenie. Rodzina Moryca Wodzisławskiego, właściciela restauracji w Wiśniczu, sporządziła sobie kryjówkę w piwnicy swego domu, znajdującego się przy ulicy biegnącej od Rynku ku Miejskim Polom. W kryjówce tej spędzili kilka miesiecy od dnia poprzedzającego wysiedlenie Żydów wisnickich do getta w Bochni (sierpień 1942). Kontakt ze światem, czyli życzliwymi ludźmi, mieli poprzez nieoszklone okienko wychodzące na ulicę. Żywność dla nich dostarczał przez zaprzyjaźnionego z Wodzisławskim Andrzeja Ludwikowskiego rolnik z Wi-

śnicza Starego nazwiskiem Dźwigaj. Wodzisławskim przekazywali ją w nocy członkowie rodziny Ludwikowskiego, a on sam w mundurze policyjnym ubezpieczał ów transport. Jesienne przymrozki zmusiły ukrywających się do opuszczenia schronienia i wejścia pojedynczo, przy pomocy swoich opiekunów, do getta bocheńskiego. Córki Moryca– Matylda i Sziwka – kierowane chęcią ratowania rodziców, zgłosiły się do transportu zamiast nich. Zginęły, zginęli również rodzice, którzy trafili do miejsca zagłady w kolejnym transporcie.

W końcu sierpnia 1942 roku stracił życie z rąk policji niemieckiej Wojciech Gicala oraz ukrywany przez niego 3–letni chłopiec Moniek Piskasfeld. Gicalę Niemcy po przesłuchaniu rozstrzelali przed ratuszem w Nowym Wiśniczu, chłopca natomiast zastrzelił w rowie przy cmentarzu żydowskim cieszący się jak najgorszą sławą funkcjonariusz niemieckiej policji kryminalnej i żandarmerii Bogusch.

Podczas rewizji w domu Bronisławy Dyląg z Leksandrowej policja niemiecka dowiedziała się o ukrytych u niej dwóch osobach pochodzenia żydowskiego. Ludzie ci zostali rozstrzelani, a Bronisławie i jej trójce dzieci udało się zbiec z domu; ukrywali się do końca wojny.

Maria Fortuna z Leksandrowej przechowywała rodzinę żydowską z Poznania – rodziców z dwójką dzieci. W 1944 roku wszyscy zostali aresztowani.

W 1943 roku policja niemiecka wykryła schron leśny Markusa Neuguta i Dawida Kollendera oraz ich rodzin, po czym wszystkich aresztowała. Zanim to nastąpiło, odzież i żywność dostarczało ukrywającym się trzech mieszkańców Lipnicy Murowanej: Jan Klimek, Jan Polek i Józef Polek. Niepowodzeniem zakończyło się także udzielenie schronienia 5–osobowej grupie Żydów przez Franciszka Wawszczyka z Woli Wieruszyckiej.

Troje mieszkańców Zbydniowa (Julia Bugajska, Stanisław Stelmach oraz Kazimierz Chmiel) pomagało przez całą okupację przetrwać nieletniemu rodzeństwu – Hermanowi, Reginie i Majerowi

Lejblom. Majer w 1943 wyszedł z ukrycia i zauważony przez policję niemiecką został zastrzelony podczas ucieczki. Pozostali przeżyli wojnę, a po jej zakończeniu wyjechali do Ameryki.

Sytuację ratujących i ratowanych utrudniała nie tylko wzmożona czujność Niemców, lecz także donosy Polaków. Po wywiezieniu Żydów wiśnickich do bocheńskiego getta córeczką państwa Krügerów zaopiekowali się Genowefa i Władysław Golonkowie z Nowego Wiśnicza. Zajęli się dzieckiem nie tylko do końca wojny, ale także i potem, traktując dziewczynkę jak własną córkę. Pomimo iż dziecku i jego przybranym rodzicom udało się przetrwać, to jednak przeżyli chwile bardzo dramatyczne. Po otrzymaniu donosu Niemcy zamierzali aresztować i opiekunów, i dziecko. Nie udało się to dzięki komendantowi policji polskiej Ludwikowskiemu, który z urzędu musiał towarzyszyć Niemcom. Widząc w polu kopiącą ziemniaki Genowefę i bawiące się obok niej żydowskie dziecko, zapytał kobietę o dom, w którym mieszkali Golonkowie. Ta wiedząc, że Ludwikowski zna ją bardzo dobrze, zrozumiała ostrzeżenie – wskazała swój dom, a gdy żandarmi weszli do niego, zabrała dziecko i pospiesznie ukryła się w bezpiecznym miejscu. Noc spędziła u znajomych sąsiadów, a kolejne miesiące u rodziny w Krakowie, gdzie doczekała wyzwolenia.

Podobną „przysługę" oddano nauczycielce wiśnickiej szkoły podstawowej Zofii Trojan, która ukrywała 4–letnia dziewczynkę. Idąc do szkoły zamykała dziecko w schowku na strychu, który posiadał maleńkie okienko. Dziewczynka wyglądała przez nie, szukając zapewne wzrokowego kontaktu ze światem. Na skutek donosu Niemcy zastrzelili dziewczynkę, a opiekunkę zabrali do Krakowa, konfiskując jednocześnie cały jej majątek; wyrzucili też na bruk z tego samego domu jej sąsiadów, których przyjął na plebanię ksiądz dziekan Józef Kozieja. Zofia Trojan została wykupiona z rąk niemieckich przez swą rodzinę z Bochni, jednak do Wiśnicza już nie powróciła.

Z powodu zdrady jednego z mieszkańców Lipnicy stracił życie wiśnicki prawnik Izajasz Fragner oraz jego żona i szwagierka. Trójka ta szukała najpierw schronienia na wsi, jednak gdy tam odmówiono im pomocy, skryli się w lesie, gdzie zostali znalezieni i odprowadzeni na posterunek policji w Lipnicy przez parobków z Rajbrotu. Tam żona komendanta posterunku, Kowala, nakarmiła uciekinierów i umożliwiła im napisanie listu do znajomej Polki, Marii Grenikówny. Być może udałoby się uratować tych ludzi, gdyby jakiś donosiciel nie poinformował o tym wypadku żandarmów niemieckich z posterunku bocheńskiego, którzy przybyli do Lipnicy i rozstrzelali całą trójkę pod miejscowym cmentarzem.

Pomoc Żydom nieśli państwo Florkowie i pani Dyląg z Leksandrowej. Dostarczali oni żywność, świece, naftę, zapałki i inne, niezbędne przedmioty Żydom, którzy schronili się w ziemiance na terenie lasu Bukowiec. Jeden z ukrywających się, zamiast zbierać suche gałęzie, podbierał łupki zgromadzone na zimę przez dwóch gospodarzy – właścicieli pobliskiego lasu. Przyłapali go i związanego odprowadzili na posterunek policji w Nowym Wiśniczu, gdzie komendantem był wówczas Ignacy Szmanda. Powiadomił on o zdarzeniu bocheńską żandarmerię. Do Wiśnicza przybył wspomniany już Bogusch, który kazał Żydowi uciekać, by zaraz zastrzelić biegnącego.

Niechlubnie zapisali się też policjanci z posterunku w Trzcianie. W pobliżu Łąkty Dolnej ujęli oni i odprowadzili na posterunek 4–osobową grupę Żydów (mężczyznę, dwie kobiety i dziecko), których wiózł z Krakowa na Węgry wynajety szofer. Niestety, awaria auta w okolicy Rozdziela – uniemożliwiła dalszą podróż. Komendant trzciańskiego posterunku, st. sierżant Malinowski powiadomił o zdarzeniu żandarmerię niemiecką z Bochni, która po przyjeździe do Trzciany rozstrzelała Żydów na cmentarzu z czasów I wojny światowej. Komendant posterunku, wyrokiem sądu Polski Podziemnej, został skazany na śmierć za współprace z Niemcami – wyrok wykonano.

Do śmierci Józefa i Rozalii Knoblochów, ukrywających się od 1942 roku u Marii i Józefa Czekajów w Grobli, pośrednio przyczynili się ludzie plotkujący o ich kryjówce. Knoblowie postanowili

więc ją opuścić. Wpierw, w kwietniu 1943 roku wyszła córka Knoblochów z mężem, a po jakimś czasie odeszli też Knoblochowie. Wkrótce jednak zostali ujęci przez policję niemiecką i rozstrzelani. Pochowano ich na cmentarzu żydowskim w Bochni.

Tragiczny los spotkał Hilela Wodzisławskiego, członka Żydowskiej Organizacji Bojowej. Chcąc pomścić Żyda zdradzonego przez mieszkańca jednej z podwiśnickich wsi, poszedł do niego w październiku 1943 roku. Zaskoczył go i uderzył siekierą ukryty za węgłem domu syn gospodarza. Nieprzytomny Hilel został przeniesiony przez swego brata Jochanana oraz kolegów do bunkra u Michała Przybyłki w Borównej, gdzie ukrywał się m.in. Uszer Weinfeld. Pomimo otwartej czaszki żył jeszcze przez jakiś czas. Został pochowany w lesie 10 października 1943 roku; w jego pogrzebie uczestniczyli członkowie ŻOB–u.

Bardzo wartościowa pozycja, jaką jest *Księga sprawiedliwych*, stała się inspiracją do szerszego omówienia przykładów pomocy niesionej Żydom przez ludzi dobrej woli. Nie są to na pewno wszystkie fakty pomocy udzielanej Żydom przez mieszkańców okolic Bochni. Być może dalsze poszukiwania przyniosą poznanie kolejnych epizodów i osób narażających swe życie dla ratowania innych.

Z przykładów przytoczonych wyżej wynika zarazem i to, że obok ofiarności, a nawet heroizmu, w ratowaniu Żydów, zdarzały się też niestety postawy wyrażające się w niechlubnych aktach donosicielstwa na ukrywających i ukrywanych.

Bolesław

27 miesięcy zbawczego więzienia

Na początku wojny było nas, Żydów w Dąbrowie Tarnowskiej chyba ze trzy tysiące. Najpierw hitlerowcy zaczęli mordować tych religijnych, chasydów. Już w jesieni 1939 roku zginął obok swego sklepu Gostmind. Wtedy też wyprowadzili ze sklepu na Swarzowskiej i zamordowali na ulicy Macnera.

Łapali Żydów na ulicy i zapędzali do różnych ciężkich robót, jak kopanie rowów i noszenie kamieni. Bili za byle co, na przykład ktoś źle trzymał łopatę. Każdy się bał spotkania z Niemcami, w każdej chwili można było zginąć, albo zostać pobitym. W mieszkaniu też nie było się bezpiecznym, bo pamiętam dobrze, jak wpadali do domów pod różnym pretekstem, a zawsze z wielkim krzykiem i hałasem.

Moje osobiste wspomnienia i przeżycia są przykładem tego, co musieli przeżyć i przecierpieć wszyscy. Ja Ethla Süss, urodzona w 1914 roku, byłam córką szewca, moja rodzina należała do biedoty. W 1940 wyszłam za mąż za Ignacego Szermana z Krakowa. Zamieszkałam przy ulicy Jagiellońskiej.

Z kuchni było tam wejście na strych, gdzie chowali się moi trzej bracia. Pewnego razu przyszli Niemcy i pytali o mężczyzn. Odpowiedzieliśmy, że jako cholewkarze i krawcy są w pracy. W rzeczywistości była sobota i mężczyźni nie pracowali. Jeszcze mieliśmy na święta rybę, zupę od kobiety ze wsi, wino od szynkarza. Niemcy śmiali się z tych potraw.

Któregoś dnia bracia wrócili z pracy brudni, zakurzeni i natknęli się prosto na Niemców. Ci potraktowali ich łaskawie. Pozwolili sobie nawet na uwagę, że praca nie brudzi. Bywało, że z Niemcami chodzili żydowscy policjanci. Byli oni ze wsi i trudno mi było nieraz zrozumieć ich język.

Na każdym kroku czuliśmy wrogą obecność Niemców. Któregoś dnia zburzyli bóżnicę, strzelając przy tym dla postrachu. Ludzie zasłaniali okna, żeby tego nie widzieć. Trwały wywózki na roboty przymusowe. Wysyłaniem Żydów zajmował się Kahał tj. gmina. Kierowała ona wysłanych do komanda znajdującego się w miejscowym gimnazjum. Moja siostra pracowała tam jako sprzątaczka.

Bracia brali odzież do domu i szyli. Na początku jeszcze nie wywozili fachowców. Co bogatsi Żydzi – właściciele sklepów, adwokaci – np. dr Jakub Wajsbard, uciekli z rodzinami do ZSRR. Kupowali lub wynajmowali furmanki i ruszali w drogę. Losy uciekinierów bywały różne. Derszewicz wrócił i zginął. Rosental uciekł i przeżył. Jest teraz w Izraelu. Przeżył też Goldman.

Hitlerowcy szukali po domach ukrytych towarów, które ludzie trzymali pod podwójnymi ściankami w różnych schowkach. Niemcy szukali wszystkiego, co miało jakąś wartość. Chcieli zabrać nam nawet poszwę, ale powiedziałam im, że jestem jeszcze panną i że to moja wyprawa.

Rabunek mienia żydowskiego odbywał się jednak w formach bardziej zorganizowanych. Gmina żydowska ogłosiła, żeby się zebrać na dziedzińcu małej bóżnicy i przynieść posiadane kosztowności. Oddałam wtedy ślubny pierścionek, a tylko perły zaszyłam w kaszkiecie męża. Na rozkaz hitlerowców wszystkie klejnoty zbierali członkowie Kahału.

Byliśmy traktowani przez Niemców gorzej niż psy. Trzeba było nosić gwiazdę Dawida. Musieliśmy kłaniać się okupantom. Strzelano do nas za byle co, choćby za brak opaski. Tuż obok nas na ulicy Jagiellońskiej postrzelili Lazara Randa za to, że nie zdjął czapki przed Niemcami. Długo się męczył, żona prosiła, żeby go dobić.

Pierwszego maja 1941 roku hitlerowcy przeprowadzili akcję przeciw komunistom. Wpadali do domów i strzelali do ludzi, trupy wieźli potem na nasz cmentarz – kirkut. Łapali też gdzie popadło, zawozili do księżego lasu i zabijali ich po drodze.

W mieszkaniu szewca Eisena zamordowali matkę i dwóch synów. Córkę Eisenów tak zranili, że się długo męczyła. W drugim

domu przy przecznicy ulicy Jagiellońskiej hitlerowcy zamordowali moją ciotkę. Zginęła też Rachela Goldkut, jej mąż Samuel, córka Pesa, druga córka, Sabina, oraz ich krewna Jetka. Zabijali też przechodniów na ulicy.

Mój kuzyn Berek Süss pracował w Kahale jako urzędnik i miał narzeczoną Bronisławę Straus przy tej samej ulicy. Niemcy go znali i liczył na własne bezpieczeństwo. Tyłami domów dostał się do mieszkania rodziców narzeczonej. Miał nadzieję, że przy nim nie będą mordować tej rodziny. Siedział tam, kiedy hitlerowcy wpadli i zastrzelili go. Narzeczona wybiegła na podwórze i krzyczała: Berka zamordowali! Wtedy zabili i ją, aż mózg obryzgał drzwi. Zginęło wtedy 37 osób.

Na szczęście rzeź nie objęła wówczas wszystkich domów. Uciekłam, a inni ukrywali się na strychach i w piwnicach. Akcja stawała się coraz bardziej mordercza. Nie tylko zresztą u nas, ale na całym okupowanym terenie. Z Krakowa uciekły dwie dziewczyny i dotarły aż do nas. Hitlerowcy zabili je na naszym cmentarzu.

W lutym na ulicy Jagiellońskiej utworzyli Niemcy getto. Znajdowało się tu skupisko domów, stojących obok siebie. Do tego getta zwozili Żydów z Dąbrowy Tarnowskiej i całego powiatu. Pod eskortą wieźli na furmankach zbitych, zapłakanych ludzi. Niektórzy próbowali się kryć, gdzie kto mógł, broniąc się przed pójściem do getta. Jeśli Niemcy kogoś znaleźli, rozstrzeliwali na miejscu. Tak ginęli niewinnie skazani.

W getcie pracowaliśmy, ale to nie zapewniało nam bezpieczeństwa. Tutaj też wpadali i zabijali. Potem zaczęli wywozić ludzi – rzekomo do Tarnowa. Pełno wozów konnych jechało w stronę stacji w Dąbrowie. Towarzyszyły temu jak zwykle akty okrucieństwa.

– Raus! Raus! – wrzeszczeli i bili.

Zamordowali moich dwóch braci, trzeciemu udało się uciec. Zabijali niedołężnych, a zapowiadali wysiedlenie wszystkich Niemców z getta. Chciałam ratować siebie i najbliższych. Niosąc uszytą niemiecką bluzę, poszłam do hauptmana w budynku gimnazjum. Po drodze spotkałam Niemców, wyruszających na kolejną akcję.

Doszłam do hauptmana i prosiłam naiwnie, by ratował Żydów przed wysiedleniem. Kazał mi iść na plac przed bóżnicą, pocieszając, że tam mnie nie zaczepią.

Gdy doszłam na plac, zobaczyłam trupy podawane na wozy. Zwisały bezwładnie nogi i ręce, wszędzie było pełno krwi. Przyszedł na plac mój kuzyn Herman Süss ze swoim znajomym Lasotą. Ukrywali się oni z grupą Wojciecha Idzika w lasach koło Jam i Dulczy Wielkiej. Chwilowo nie było koło nas Niemców. Zbierających się pilnowali granatowi policjanci.

Nadszedł wieczór, trzeba było wykorzystać zapadające ciemności. Ruszyliśmy całą grupą do Dulczy Wielkiej. Ja, Ethla Süss Szermanowa szła razem z mężem Ignacym, z matką Chają i ojcem Abrahamem. Była też z nami moja siostra Sale. Pieszo, ostrożnie przebyliśmy około 20 kilometrów, czyli odległość dzielącą nas od lasu. Październikowa pogoda sprzyjała naszej ucieczce.

W środku lasu kuzyn nasz zbudował bunkier. Była to właściwie nora, gorsza niż komórka dla psa, ale mogła uratować nam życie. Nasz kuzyn należał do policji żydowskiej, ale od początku nie chciał się godzić z rolą i uciekał do lasu.

Nie on jeden szukał tu schronienia. W lesie było pełno Żydów, którzy koczowali pod drzewami, klecili komórki z drewna, kryte darnią, trawą, gałęziami. Spaliśmy na ziemi. Mieliśmy trochę żywności, trochę przynieśli chłopi – tak spędziliśmy około tygodnia.

Obok nas kryli się w lesie Polacy. Spali z bronią pod głową. Niektórzy z nich uciekli z więzienia w Tarnowie. Byli wśród nich przedwojenni złodzieje. Znali już w lesie każdą gałązkę. Nam krzywdy nie robili, wręcz przeciwnie – współczuli i pomagali. Mówili, że jesteśmy biedni i oświadczali dość naiwnie, że gdyby Roosevelt wiedział, co tu się dzieje, to by wyzwolił wszystkich. Żydzi z okolicznych wiosek próbowali jakoś organizować swoją egzystencję. Mieli dymarki na trzech nogach, opalane gałęziami. W ten sposób gotowali sobie strawę.

Byliśmy tam kilka dni, gdy nagle nadleciały samoloty. Niemcy musieli mieć dokładne wiadomości o naszych kryjówkach, bo

z miejsca zaczęli ostrzeliwanie. Zburzyli szopy uciekinierów, zabili wielu ludzi, całe szczęście, że nasza kryjówka była odległa o jakieś 50 metrów. Widać było ziemię zrytą pociskami i potrzaskane drzewa. Po nalocie dotarł do nas chłop z żywnością. Mówił o ludziach zabitych, leżących w kałużach krwi.

Uciekliśmy wtedy do rolnika w Radgoszczy, który nas ukrył na strychu w domu. Spędziliśmy tam ze dwa dni. Potem zdecydowaliśmy się iść znowu do getta. Od gospodarza wzięliśmy zapas kartofli i mąki. Znajomy Żyd z Niemiec, służący w policji żydowskiej, radził nam, by uciec za Wisłę, bo tam jeszcze nie było wysiedleń. Myśleliśmy jednak, że mamy jeszcze przed sobą przynajmniej godziny bezpiecznego życia. Skorzystaliśmy tylko z pomocy tego znajomego żydowskiego policjanta, który nam kupił kilka bochenków chleba.

Przed pójściem do getta wstąpiliśmy do naszego domu. Pożegnaliśmy się z rodzicami, którzy potem uciekli do chłopa pod Tarnowem i nie przeżyli wojny. Właśnie kiedy byliśmy w domu, kazano wszystkim wychodzić i przenosić się do getta.

Później, kiedy już byliśmy w getcie, Polacy mimo hitlerowskich zakazów podchodzili pod mury i dożywiali nas. Była wprawdzie i taka kobieta, która mnie powitała niemal wymówką, „To ty jeszcze żyjesz?". Jednocześnie dowiedzieliśmy się, że kobieta z Gruszowa, która pomagała Żydom, została przez Niemców zabita.

Trzeba było myśleć o ratunku. Znaliśmy Franciszka Prandotę i Filipiaka – imienia nie pamiętam – obu z pobliskiej wsi – Olesna. Poprosiliśmy, by nas furmanką przewieźli nad Wisłę. Musieliśmy przedostać się na drugi brzeg. W nocy zabrali nas na Zarzecze, do stodoły, a nad ranem powieźli ku Wiśle koło Korczyna.

Baliśmy się wszyscy – i my, i przewoźnicy. Unikaliśmy uczęszczanych dróg. Wisła była już blisko, gdy usłyszeliśmy strzały. Prandota i Filipiak pojechali na rowerach sprawdzić, czy to może Niemcy polują na kaczki w Kępie Wiślanej. Ale rzeczywistość okazała się groźniejsza. Nasi przewoźnicy przynieśli wieści o wysiedleniu Żydów z Korczyna. Strzelano do ludzi. O Korczynie mówiło się, że to żydowskie miasto. Młody chłopak, idący z motyką w pole,

wziął nas za uciekinierów z Korczyna; przyprowadził mężczyzn, którzy przestrzegali nas, że możemy być zastrzeleni.

Wybuchnęłam płaczem, nie chciałam za nic wracać. Przewoźnik nazwiskiem Lupa przetransportował mnie na lewy brzeg Wisły i tam chciał zostawić. Odpowiedziałam mu, że przewiezie, albo wszystkich, albo nikogo i wróciłam na prawy brzeg. Tam ukryłam się w chruście i przesiedziałam tam cały dzień. Wieczorem nadszedł Lupa, którego prosiłam o przewiezienie furmanką z powrotem do getta w Dąbrowie Tarnowskiej. Mieliśmy już dość bolesnych doświadczeń z przewoźnikami przez Wisłę, którzy kazali nam zapłacić 300 złotych, obrabowali z drobiazgów, a mojego męża z ubrania.

Przewoźnik Lupa przyprowadził nam miejscowego gospodarza Stanisława Kaczówkę. To on miał nas zawieźć do Dąbrowy. Wyczerpana do cna ostatnimi przeżyciami siedziałam na kamieniu, modląc się o ratunek. Pomyślałam, że mógł go przynieść Stanisław Kaczówka. Zaczęłam go prosić o ukrycie w jakiejś komórce czy stajence.

I oto trafiłam na człowieka szlachetnego i odważnego. Kaczówka odpowiedział, że zamiast jechać do getta, weźmie mnie do swojego domu. Nie chciałam kryć się sama bez męża i siostry. Wtedy zdecydował się przyjąć całą trójkę. W ciemności polami zaprowadził nas do swojego domostwa.

Dotarliśmy do stajni. Żona Stanisława Kaczówki, Maria, na nasz widok nie mogła powstrzymać płaczu. Przyniosła nam mleka. Przyjęci życzliwie, zostaliśmy tam i spędziliśmy 28 miesięcy. Dziś, po latach, trudno wprost w to uwierzyć. Dom składał się z dwóch pomieszczeń izdebki i stajni. Pod izdebką była piwnica, strop znajdował się tuż nad moją głową. Gospodarze przechowywali tu ziemniaki, warzywa i tytoń. Światło dochodziło przez maleńkie okienko tuż nad ziemią od strony podwórza. Gospodarz przedłużył piwnicę, kopiąc wnękę pod stajnią. Gnieliśmy się pod ścianą, którą stanowiły od zewnątrz pustaki, a z drugiej strony deski. Nad nami trzymano króliki, a nieco dalej bydło.

Z piwnicy prowadziły drzwiczki do stajni. Po naszym wejściu gospodarze zasuwali deski i na nie sypali ziemniaki. Do naszego lochu prowadził mniejszy loszek, gdzie trzymano węgiel. Dwie duże bryły oplecione drutem w razie potrzeby przyciągaliśmy, żeby zakryć wejście. W czasie przygotowania tej kryjówki nie obeszło się bez chwil niepokoju. Wścibska sąsiadka pytała naszego gospodarza, dlaczego nocą świeci światło. Wyjaśnił, że mu krowa chorowała. Kiedy indziej dwuipółletnia córka gospodarzy pytała, po co się nosi do piwnicy pożywienie na talerzach z łyżkami. Matka znalazła pierwszą lepszą odpowiedź: karmię szczury. Ale dziecko było dociekliwe: przecież zwierzęta i to jeszcze takie nie jedzą łyżkami. Trzeba było brnąć dalej: to jedzenie dostają lale. Teraz córeczka nie miała zastrzeżeń i modliła się, żeby Bozia zawsze dała „mlimli dla lalów".

Bywały i groźniejsze niebezpieczeństwa. Pewnego razu przyszli Niemcy w poszukiwaniu świń, które rabowali gdzie się dało. Siedzieliśmy wtedy w naszym ciasnym lochu 36 godzin bez pożywienia. Kiedy indziej przyjechali Niemcy po kontyngent, zaszli do stajni, pytali co jest w piwnicy. Gospodarz odparł, że ma tam tabakę. Zerknęli pobieżnie i poszli. Trzeba tu dodać, że nabijaliśmy tytoń na druty, a ziemiopłody pielęgnowaliśmy, żeby nie gniły.

W niedzielę po nabożeństwie przychodziła do nas gospodyni z różnymi informacjami, pocieszała nas jak umiała. Doszły do nas jednak wieści przerażające, np. o zbrodniach żandarma Engelberta Guzdka, który strzelał do ludzi dla zabawy, a w Radgoszczy kazał zbudować szubienicę z sześcioma powrozami.

Baliśmy się przypadkowego odkrycia naszej obecności. Starszy syn gospodarzy chodził już do szkoły. Rodzice skutecznie upominali go, aby nikomu nie zdradzał naszej kryjówki. Dziewczynka ciągle pamiętała o rzekomych szczurach w piwnicy. Zdarzało się, że gdy rodzice szli w pole do pracy, rzucała kamykami w okienko piwniczne i kiedyś nawet zbiła szybę. Kiedyś mała Krysia zobaczyła moją siostrę i powtarzała potem, że już ją gdzieś widziała. Nie umiała jednak przypomnieć sobie, gdzie to było i w końcu zapomniała o całym epizodzie.

Czasem nawet życzliwość mogła okazać się niebezpieczna. Ojciec Kaczówkowej narwał dla nas wiśni. Potem nas szukał, a miał już bardzo słaby wzrok. Pomagał sobie wołaniem. „Kaj wyście som?" Lękaliśmy się, by ktoś niepowołany tego nie usłyszał. Bardziej jednak obawialiśmy się Niemców, przed którymi chowaliśmy się, raz po raz, gdy zjawiali się we wsi. Docierały do nas wieści o różnych akcjach partyzantów, o walkach i zlikwidowaniu konfidentów hitlerowskich w sąsiedniej wsi Bolesławiu. Ale nie tylko partyzanci działali w okolicy. Grasowała też banda „Czarne sępy" Stanisława Kosieniaka, mordercy własnej żony i brata. Kosieniak unikał Niemców. Jego bandy baliśmy się tak samo, jak okupantów. Wiedzieliśmy, że bandyci tak, jak hitlerowcy mordowali czasem ukrywających się Żydów, mordowali i Polaków. Od strony Kępy Wiślanej często słychać było strzały. Podobno szukano stale Żydów i innych uciekinierów.

W nieustannym napięciu płynęły nam dni i tygodnie. Nasza kryjówka była tak ciasna, że gdy w nocy chcieliśmy się obrócić, musieliśmy to robić całą trójka. Na Boże Narodzenie wydostawaliśmy się z piwnicy, piekliśmy ciasto, a w tym czasie gospodarz prowadzał konia w kieracie i pilnował, żeby nas ktoś nie zaskoczył. Mieliśmy umówione hasła ostrzegawcze. Dodam, że starałam się nie być bezczynna. Jako krawcowa szyłam w piwnicy koszule, spodnie, sukienki. Przez okienko widziałam czasem kota i zazdrościłam mu.

Po wielu miesiącach udręki nadchodziło wyzwolenie. Zbliżał się front, a wraz z tym obawa, że wieś zostanie przez Niemców wysiedlona. Gdyby do tego doszło, gospodarze mieli nas zostawić z dziadkiem. Na szczęście Niemcy nie zdążyli spełnić swej groźby. We wsi Grądy, z której wysiedlono mieszkańców, pozostał ukrywający się Żyd. Nie przetrzymał jednak zimy i zmarł, nim nadeszło wyzwolenie.

Na przełomie 1944 i 45 roku kilku żołnierzy radzieckich przeprawiło się na prawy brzeg Wisły i nie zdołało wrócić do swoich oddziałów. Ukryli się i wmieszali między miejscowa ludność. Pomagali przy omłotach, a Niemcy widzieli ich przy pracy, ale nie umieli odróżnić od miejscowych rolników.

Przeżyliśmy wstrząsający przedsmak wolności, gdy Niemcy zaczęli w popłochu uciekać i nastała dziwna cisza. Stanisław Kaczówka oświadczył nam, że możemy wieczorem wyjść, bo Niemców już nie ma. Odpowiedziałam na to, że my jesteśmy Żydami religijnymi i nie wolno nam w sobotę zapalić świecy, póki nie zobaczymy gwiazd, czyli wolności jeszcze nie widzimy i jeszcze musimy tu tkwić. Tym razem stare żydowskie przysłowie przydało nam się w całej rozciągłości. Niemcy wrócili i byli jeszcze przez sześć miesięcy.

Te ostatnie miesiące były wyjątkowo ciężkie. Byliśmy przesiąknięci wilgocią, poruszaliśmy się z trudem, ledwie mogliśmy się ciągnąć do lochu. W przeddzień wyzwolenia obeszli niemal wszystkie domy, zaglądali w każdy kat. Coraz wyraźniej słyszeliśmy odgłosy bitwy. Niemieckie samoloty leciały w stronę Sandomierza. Stamtąd narastała kanonada, przechodząca w jeden ogromny huk. W naszej kryjówce czuliśmy coraz silniejsze drżenie ziemi. Zapach tej ziemi i ziemniaków zapierał nam oddech. Mąż mój otworzył piwniczne okienko. Teraz echa bitwy wtargnęły ze zdwojoną siłą.

Myśleliśmy o sobie, jednocześnie o tych, którzy znaleźli się w samym środku tego piekła. Baliśmy się, że nasza kryjówka znajdzie się w polu ostrzału i dom zawali się na nas. Potem dowiedzieliśmy się, że to była ofensywa styczniowa i że Niemcy nie wytrzymali natarcia żołnierzy radzieckich. Uciekali w popłochu.

Wkrótce już radowaliśmy się wolnością. Wyszliśmy z piwnicy ale tak wyczerpani, że nie zdolni do normalnego życia. Poruszałam się o lasce, a ważyłam 30 kg. Ciągle się bałam, choć niebezpieczeństwo minęło. Przebyte cierpienia pozostawiły trwałe ślady w organizmie. Mój mąż wkrótce zmarł w pobliskim Bolesławiu na galopujące suchoty.

Nie wracałam na razie do Dąbrowy Tarnowskiej. Pozostałam w Kannie i szyłam dla miejscowej ludności. Powoli jednak dochodziły do głosu dawne układy ekonomiczne. Justysia krawcowa nie

mogła znieść konkurencji, musiałam wrócić tam, gdzie nie było już mojego domu, ani mojej rodziny. Żyję w Dąbrowie do dziś razem z moim drugim mężem, który też przeszedł swoje okupacyjne piekło.

Każda chwila groziła śmiercią

Wstrząsająca relacja Ethli Süss nabiera nowych barw, gdy zestawimy ją ze wspomnieniami Marii Kaczówki, gospodyni domu w którym ukrywała się trójka żydowskich uchodźców.

Podczas okupacji niemieckiej – mówi po prostu Maria Kaczówka – ukrywaliśmy z mężem Żydów. Trwało to 27 miesięcy. Przyszli do nas w 1942, a odeszli w 1945 roku. Przyjechali do naszej wsi Kanny z Dąbrowy Tarnowskiej. Chcieli się przeprawić na lewy, kielecki brzeg Wisły do Korczyna. Musieli zrezygnować z przeprawy, bo w Korczynie trwała już masakra Żydów, słychać było gęstą strzelaninę. Gromadka uciekinierów skryła się w chruście i tam natknął się na nią nasz krewny. Prosili, by ukrył ich w swoim domu.

Po dłuższym namyśle zabrał ich do siebie i zapewnił, że znajdzie kogoś, kto odwiezie ich do Dąbrowy Tarnowskiej. W nocy przyszedł do nas i zwierzył się memu mężowi, że ma u siebie Żydów. Mąż poszedł z nim i wrócił do domu prowadząc sześciu uchodźców, wśród których było dwoje dzieci. Ojca zawieziono do Dąbrowy Tarnowskiej, troje uciekinierów zostało u nas. Prosili nas o to, mając nadzieję – jak mówili – że wojna skończy się dla nich szczęśliwie. Ale ta wojna miała trwać jeszcze 27 miesięcy.

Decyzja nie była łatwa, sami mieliśmy dwoje dzieci, 7-letniego syna i 3-letnią córeczkę. Trzech prześladowanych umieściliśmy w piwnicy, pod podłogą. Wieczorem przychodzili do izby, żeby się ogrzać. Wówczas zasłanialiśmy okna i zamykali drzwi, zdawaliśmy sobie sprawę, że jeśl i Niemcy odkryją u nas Żydów, to wszyscy będziemy wymordowani, a gospodarstwo spalone.

Pewnego wieczoru, gdy siedzieliśmy wszyscy razem w izbie, zaczęto łomotać do drzwi. Pytałam długo „Kto tam?", chcąc przeciągnąć rozmowę, bo w tym czasie uciekinierzy przedostali się do stajni, a stamtąd do piwnicy. W końcu Niemcy weszli, pytając dlaczego tak długo świecimy. Dodajmy, że była już godzina 22.

Tłumaczyliśmy, że kąpię dziecko, a mąż naprawia buty. Obeszło się na szczęście bez rewizji. Innym razem syn zobaczył idącego w naszym kierunku niemieckiego żołnierza. Żydzi zdążyli się schronić w lochu, a wejście zasypaliśmy burakami i ziemniakami. Niemiec węszył nam po różnych kątach, szukał nawet w piwnicy, ale niczego nie znalazł. Innym razem Niemcy szukali żywności, chcieli zwłaszcza zrabować świnie – znowu na szczęście nie zauważyli ukrytych Żydów.

Najgorzej było, gdy Niemcy zjawiali się nagle i buszowali, szukając nie wiadomo czego. Niebezpieczne też były poszukiwania bandy Stanisława Kosieniaka, grasującej w okolicy, a groźnej dla wszystkich mieszkańców. Ostatecznie żydowscy uciekinierzy ocaleli, a po wyzwoleniu mąż odwiózł ich do pobliskiego Bolesławia, gdzie mieszkali w pustym domu po rodzinie Zylberów. Jedna Żydówka wyjechała do Dąbrowy Tarnowskiej i zamieszkała z bratem. Mąż jej zmarł. To, że oni ocaleli, było głównie zasługą mojego nieżyjącego już męża, który zawsze dbał o to, by nas wyżywić z małego płachetka ziemi. Żydzi odmówili mi notarialnego potwierdzenia tego faktu.

Tylko praca

W materiałach dokumentalnych w Oświęcimiu czytamy: Samuel Roth, więzień byłego obozu koncentracyjnego w Oświęcim–Brzezinka nr 18246, urodzony 1920 r., przywieziony do obozu w dniu 28.01.1941 r., transportem RSHA Żydów z obozu pracy Dębica Pustków.

Innych danych o wymienionym, muzeum nie posiada.

Mieliśmy znajomych Żydów w Gręboszowie, właścicieli gospodarstwa i sklepiku spożywczego. Byli to Meniek Wurcel i jego brat. Jeden zginął, drugi ocalał dzięki pomocy mieszkańców wsi. Po wojnie opowiadał, że ukrywał się u biednego gospodarza, ale zabrakło zboża i żywności w ogóle, więc odszedł. Przygarnął go pod swój dach Władysław Wierzbówka, długo ukrywał, a potem posłał do innych i tak przetrwał do końca. Po wyjeździe do Jerozolimy nie dał znaku życia.

1944 rok. Jeszcze rok koszmaru. Samuel Roth drugi mąż Ethli Süss, sięgając po wspomnienia, zaczyna od końca. Oświęcim, potem roboty budowlane w Gliwicach, potem marsz po śniegu do obozu w Blachowni. To tam niemal cudem został wyzwolony razem z bratem. A przecież, gdy wkraczali resztkami sił do tego obozu w lesie, ze wszystkich wież strażniczych strzelały karabiny maszynowe. Wolność była o krok, ale chciano zlikwidować jak najwięcej więźniów – wszystkich. Samuel Roth sam nie wie już, jak to się stało, że razem z bratem pozostał w owej grupce żyjących. Wrócili do wsi Radgoszcz, koło Dąbrowy Tarnowskiej i tam dowiedzieli się, że cała pozostała rodzina została wymordowana, że są już tylko oni dwaj. Przetrwali głód i wszy, stanie nago na śniegu, bicie i choroby, i znów głód coraz straszniejszy i wycieńczenie. Samuel miał 20 lat, kiedy po raz pierwszy zabrali go do obozu w czasie wojny. Wówczas w 1940 – do Nowego Sącza. Zachorował i zwolnili go. Niedługo cieszył się wolnością, chwilami kiedy uzbrojeni ludzie nadzorujący pracujących nie bili go. Wiosną w 1941, tym razem już z bratem Mojżeszem został zabrany do obozu w Dębicy Pustkowie. Ta nazwa brzmi całkiem niegroźnie – obóz pracy.

Całe trzy lata robót ponad siły przez cały dzień. Głód, zmęczenie. Zmęczenie. Głód. Był już rok 1944. Nadzieja, że dotrwają tu do końca wojny. Wtedy załadowano ich do wagonów towarowych po 90 osób w wagonie, zadrutowano je drutem kolczastym. Przez całą drogę bez jedzenia i picia. Konzentrationslager Auschwitz–Birkenau. Tu każdy dostał numer.

Obaj bracia Roth znowu wpadli w morderczą pracę.

Tylko praca. Zbliżał się front i wtedy przewieziono ich do Gliwic, do robót ziemnych. Odgłosy frontu coraz bardziej podniecały okrucieństwo strażników wobec więźniów. Tych, którzy pozostali z tej grupy, pognano w styczniu 1945 r. do Blachowni. I ta masakra zaraz po przekroczeniu bramy obozu. A potem już tylko wędrówka po kraju do rodzinnych stron, gdzie nikt z bliskich nie pozostał żywy. Pozostał numer na przedramieniu. Wspomnienia, do których Samuel Roth nie chce wracać. Parę linijek w aktach, niegdyś obozu, dziś muzeum.

Siły zostały stracone w ciągu czterech lat pracy w obozach.

Brzesko

Prześladowania Żydów i próby ich ratowania

Władysław Myśliński

„A jednak tak było", Warszawa 1978, s. 39, 52

„Opisując najważniejsze wydarzenia w powiecie brzeskim w czasie całej okupacji i związane z nimi moje własne przeżycia, nie mogę pominąć wstrząsającej, dramatycznej historii cierpień i męczeństwa obywateli polskich narodowości żydowskiej oraz prześladowań, na jakie się narażali starający się im pomóc Polacy. Oczywiście przedstawiony poniżej przeze mnie, choć najbardziej wierny i udokumentowany, obraz cierpień i poświęceń oraz ofiar poniesionych z tej racji w powiecie brzeskim, nie jest obrazem pełnym. Ukazałem tylko drobną część przeogromnej akcji pomocy dyktowanej potrzebą serca, w której oprócz tysięcy rodzin chłopskich uczestniczących w różnoraki sposób w ratowaniu Żydów nie brakowało księży odważnie narażających się Niemcom przez wystawianie metryk katolickich, a nawet przez przechowywanie Żydów. Wielką rolę w tej akcji odegrali również lekarze, mieszkańcy Brzeska i całe społeczeństwo ziemi brzeskiej.

Ktoś mógłby powiedzieć, że przysługi te czynione były Żydom dla zysku; jeśli nawet takie przypadki istniały, to przeważnie były czyny spontaniczne, tym piękniejsze, że narażano własne życie; gdy podczas zagłady siedmioosobowej rodziny żydowskiej Glasnerów w Porąbce Uszewskiej udało się zbiec młodemu Żydowi na skutek nieodpalenia żandarmowi Lapszowi naboju, Niemcy wszczęli gwałtowny pościg, zaalarmowali do pomocy ludność okolicznych wiosek, straże pożarne, zabierali chłopom konie i okrążali na nich pola, przeszukując każdy zagon ziemniaków, a gdy nie znaleźli zbiega, sami nie wiedzieli, na kim się mają mścić i kogo obwiniać.

Wiosną 1941 roku żandarmi w Brzesku zaczęli spędzać ludność żydowską do gett – w ramach tzw. akcji żydowskich. W czasie trwania tych akcji Polakom pod karą śmierci zabroniono przechowywać Żydów w swoich domach. Spędzanie Żydów do getta w Brzesku trwało od kwietnia do połowy sierpnia 1941.

Któregoś dnia na urzędowej furmance wyznaczonej przez sołtysa jechała z Okocimia do getta w Brzesku rodzina Schieferów, składająca się z pięciu osób, odprowadzana przez biegnącego za wozem dwunastoletniego chłopca Tadeusza Zydronia. Wysoko na tobołkach kuliło się przy swoich rodzicach troje dzieci.

Tadek wciąż gonił za wozem, a gdy wjechali do małego lasku, ściśnięty żalem, krzyknął z całej siły:

– Heniek! Gusta! Henia! Uciekajcie!

I sam zaczął uciekać do lasu, jak gdyby i jemu to straszne niebezpieczeństwo groziło, a ich tak mocno tym poderwał, że bez pożegnania z rodzicami zeskoczyli z wozu i pognali za Tadeuszem w las. Odtąd byli już tylko wyklętymi, ściganymi przez śmierć zbiegami. A starzy na wozie pokiwali im tylko, a właściwie tylko ich plecom, na pożegnanie rękami, rozpłakali się i pojechali dalej.

Matka Tadzia zaraz poznała, że brakuje jej w komorze bochenka chleba, to samo następnie zauważyła i matka Adama Kurala, kolegi Tadzia, więc trzeba się było przyznać. Po jakimś czasie wójt Stanisław Strączek wystawił im „lewe" dowody osobiste, dzięki czemu osiemnastoletnia Gusta mogła jechać na roboty do Niemiec, szesnastoletnia Henia dostała pracę przy dzieciach w Krakowie, a Heniek przez sołtysa, Wiktora Adamusa, u gospodarza w Ojcowie. W ten sposób wszyscy troje przeżyli szczęśliwie okupację.

Wystawianie Żydom „lewych" dowodów osobistych było czynem bardzo śmiałym i niebezpiecznym, ze względu na zdradzający ich wygląd i mowę, a jednak sam wójt Stanisław Strączek wystawił ich przeszło dziesięć. Nie mniej od niego „wypisał" sekretarz gminy w Borzęcinie, Edward Adamczyk, ratując m. in. córki Szymona – Blinkę i Różę Schrankówny. Wydawali te zbawcze dokumenty

urzędnicy gminy w Dębnie, Iwkowej, Zakliczynie, Szczepanowie, Brzesku — razem na pewno nie mniej niż ze sześćdziesiąt.

Osobliwą historię przeżył w związku z tym Staszek Siemieniec, sekretarz gminy Szczurowa. Wydał ich już dziesięć, a jedenasty wręczył Jackowi Finderowi z Woli Przemykowskiej w dniu 9 marca 1942 roku. Odważny Jacek, uzbrojony w taki dokument, jeszcze w tym samym dniu udał się do Brzeska i podszedł do bramy getta.

Chciał pokazać swoim, jaki to on teraz bezpieczny, a mali chłopcy z getta pokazali go swojemu policjantowi, ten zaś, chcąc się przypodobać, zameldował o tym Niemcom. No i Jacek zachodu słońca nie doczekał, w dodatku przedtem wszystko im wyśpiewał.

Na drugi dzień rano trzy samochody zajechały z Niemcami do urzędu gminnego. Okrążyły budynek umiejętnie, ale na szczęście sekretarz Staszek, dochodzący do pracy z Kwikowa, spóźnił się tym razem ze względu na wylew Uszwicy i ocalał.

Właściwie likwidacja getta w Brzesku trwała systematycznie od samego początku, gdy się tylko zamknęły bramy za jego mieszkańcami. Głód, choroby, egzekucje dziesiątkowały co dnia tych nieszczęśliwców, tak że z przypuszczalnej liczby siedmiu tysięcy Żydów w roku 1940 w powiecie, do lata 1942 roku pozostało ich w jednym scalonym getcie w rejonie ul. Trzcianeckiej tylko około trzech i pół tysiąca.

W nocy z 23 na 24 sierpnia 1942 roku na stacji w Słotwinie podstawiony został nie przewidziany pociąg z wagonami towarowymi. Nikomu nie przyszło do głowy, jakim celom ma ten pociąg służyć. Wszystkie zmiany służby kolejowej zostały zaalarmowane, aby na godzinę piętnastą zgłosiły się do pracy. Każdy, podniecony tym zagadkowym wezwaniem, zgłosił się punktualnie co do minuty. W tym czasie już od kilku godzin trwał w getcie alarm. Wokół getta i Rynku Siennego, a nawet miasta poustawiano karabiny maszynowe, wszędzie widoczne były patrole. Około stu żandarmów z nahajami i prawie tyleż policjantów żydowskich z kijami stało w pogotowiu. W pogotowiu też czekały wszystkie furmanki magistrackie i wszyscy robotnicy zatrudnieni przy czyszczeniu miasta.

Nie opuszczali Żydzi swojego getta bez oporu, chociaż zajmowali tam ciasne nory, barłogi, zatłoczone izby, korytarze, piwnice, a nawet strychy. Byli to ludzie słabi, chorzy i niedołężni, na których ani krzyki, ani nahaje nie robiły już wrażenia. Niemcy postępowali z tymi biedakami niezwykle brutalnie. Gnali ich gromadami na rynek, przynaglali krzykami, kopaniem, klęli siarczyście na ich ślamazarność i niedołęstwo.

Na rynku rozkazano wszystkim uszeregować się kolejno w pozycji klęczącej na twardych „kocich łbach", z rękami wzniesionymi do góry, przy czym zakazano im się poruszać i zajęte miejsca opuszczać. Żadnego dobytku zabierać im nie pozwolono. Do południa i getto zostało opróżnione, a rynek zapełnił się około trzema tysiącami skazańców słaniających się ze strachu, bólu i omdlenia.

A tu skwar niesamowity. Słońce tak piekło, jak gdyby w tych paru jeszcze godzinach cały należny im do końca życia przydział swoich promieni usiłowało przekazać. Polakom w tym czasie nie wolno było się pokazywać ani podglądać, jednak ci bardziej opanowani nerwowo, ukradkiem, przez małe szparki przyglądali się tej straszliwej scenie, na której rozgrywała się okropna tragedia ludzka.

Widzieli więc, jak Żydzi, zabrawszy z sobą posiadane jeszcze, a niepotrzebne im już pieniądze targali na oczach Niemców na strzępy (m. in. dolary), by nie dostały się w żandarmskie ręce, jako „należny im" po ich śmierci łup spadkowy.

Wreszcie po odebraniu raportów, odezwały się energiczne komendy: „Auf! Auf!", na które odpowiedział równoczesny, wypełniający całe miasto krzyk i płacz, a zaraz potem nahaje, kolby, kopniaki i kije zaczęły się rozprawiać z niedołężnymi i opieszałymi. Na te i wstrząsające sceny nie można było wprost patrzeć. Na całe miasto i w tym dniu padła wielka żałoba.

Najtragiczniejsze jednak było ładowanie tej kolumny do posypanych wapnem wagonów, do których, chociaż było tak ciasno, że ręki nie dało się podnieść do góry, jeszcze kogoś dopychali i – jak na katów przystało – ubijali niemiłosiernie kolbami. Następnie leżących obok pociągu chorych i osłabionych wepchnęli do wago-

nów, drzwi zaryglowali i transport był do odjazdu gotowy. Kiedy po godzinie odjeżdżał, z każdego wagonu wydobywały się jęki, płacz i przekleństwa.

W getcie pozostało jeszcze trochę Żydów wyznaczonych wraz ze swoimi policjantami do robienia porządków. Do listopada i ta reszta wywieziona została do Tarnowa i Bochni, gdzie getta dotrwały do marca 1943 roku, a na terenie powiatu brzeskiego jeszcze do sierpnia zatrudnionych było w obozach pracy, przy budowie zapory w Czchowie i obwałowaniu Wisły w Górce, około stu pięćdziesięciu Żydów.

Pewnej części Żydów udało się wydostać z gett przed ich likwidacją bądź uniknąć zapędzenia do nich. Szukali więc ci ścigani bez winy ludzie schronienia.

Wioski w gminie Szczurowa przechowały co najmniej dwudziestu pięciu Żydów – niezależnie od wystawionych im kennkart, z poczucia ludzkiego obowiązku roztaczała nad nimi opiekę gminna trójka „Rocha", a następnie komenda gminna BCh. Najwięcej serca doznali Żydzi od takich opiekunów, jak: Stanisław Rasak „Lipa", Józef Antosz „Biały", Anna Karaś i Aleksander Nicpoń. A Staszek Czaja nie tylko przechowywał Żydówkę Annę Uszer, ale się z nią ożenił. Takich par doliczyłem się w powiecie aż dziesięć.

W styczniu 1943 roku przebywający u Rasaka Żydzi zachorowali na tyfus i trzeba było wezwać do nich lekarza. Zwrócono się do Kazimierza Kosińskiego, należącego do AK. Jak stwierdził kol. Klimaj „Młot", okazał się on człowiekiem niezwykle szlachetnym.

Przy pierwszej wizycie zdjął z ręki złoty zegarek i wszystkie pieniądze, jakie miał w portfelu, oddał chorym Żydom, by mieli na utrzymanie.

W ten i podobny sposób, nie licząc tych z „lewymi" dowodami, udało się przechować szczęśliwie w powiecie – według udokumentowanych imiennych zestawień – około stu pięćdziesięciu osób narodowości żydowskiej. A nieudane próby ratowania Żydów kilkunastu Polaków przypłaciło własnym życiem. Mrożąca krew w żyłach historia rozegrała się w Kątach. Michał Wójcik przechowywał na strychu swojego drewnianego, krytego strzechą domku

Mojżesza Goldfindera z Iwkowej. Gdy się Niemcy o tym dowiedzieli, natychmiast do niego przyjechali. Wójcik próbował się wypierać, ale Mojżesz, widząc niebezpieczeństwo, wyrwał kitki w strzesze, wyskoczył dziurą i ratował się ucieczką, zdradzając tym samym swoją obecność.

Niestety, został zauważony i zabity, a Wójcikowi zarzucili Niemcy od razu dwie zbrodnie – przechowywanie Żyda i próbę wprowadzenia ich w błąd kłamliwą odpowiedzią na ich pytania. Za każdą z nich groziła kara śmierci. Zatem związali mu ręce i nogi, podpalili dom i stojącą obok kopę słomy, a gdy to wszystko rozpaliło się na dobre, chwycili go za ręce i nogi, rozhuśtali i wrzucili w ogień.

Nie był to wypadek odosobniony. Niestety, ponad czterdziestu Żydów w powiecie, ukrywających się dzięki pomocy polskich rodzin, zostało wytropionych i wymordowanych. Do nich należała także przechowywana przez Andrzeja Kotfisa w Zawadzie Uszewskiej pięcioosobowa rodzina Kartagenów. Przypadek zrządził, że Niemcy, kontrolując wycinanie drzewa w lesie, trafili na ślady, które zaprowadziły ich wprost do ich bunkra, w którym zastali akurat wszystkich ukrywających się.

Niemcy orientowali się, że bez niczyjej opieki tu nie przebywają, ślady zaprowadziły ich do domu Andrzeja Kotfisa i to wystarczyło, aby podzielił ich los. Kazano im wykopać wspólny grób i stawać nad nim po kolei. Tak wystrzelali całą rodzinę żydowską, a na ostatku Kotfisa. Szczęścia w tym było tylko tyle, że jego rodziny w domu nie zastali, ale i tak dokonali na niej zemsty, bo spędzili miejscową ludność i zmusili do spalenia zabudowań Kotfisa wraz z całym dobytkiem.

W maju 1943 roku komisja gminna z wójtem, agronomem, policjantami i żandarmem niemieckim na czele, przeprowadzając rewizję u rolników w Gwoździcu w poszukiwaniu resztek ziemniaków, złożyła Marii Pierzyńskiej fatalną wizytę. Wścibski hitlerowiec zajrzał do stajenki, w której zauważył podwójną ścianę z desek, a za nią pięcioro dzieci żydowskich, w wieku od pięciu do czternastu lat. Była to rodzina Sukmanów.

Wystrzelał je wszystkie przez szpary w ścianie, a członkowie komisji, zdając sobie sprawę z zagrożenia Pierzyńskiej, błagali go o darowanie jej życia, tłumacząc, że jest oprócz tego matką trojga swoich dzieci. Hitlerowski ludobójca niby przytakiwał, a gdy stwierdził, że za ścianą są już same trupki, kazał jej odejść, aby od tyłu wypalić do niej z karabinu. Kobieta z krzykiem przewróciła się na ziemię, a mordercę dopiero wtedy ogarnęła „litość", wiec, aby się nie męczyła, strzelił do niej drugi raz.

Ojciec tych dzieci, Izaak Sukman, owdowiał na początku wojny. Mieszkał w starej, słomą krytej chacie w Gwoździcu i miał tylko jeden mórg ziemi. Trudnił się handlem domokrążnym. Któregoś dnia w roku 1940 powracał on z jarmarku w Zakliczynie i po drodze przysiadł się na wóz Wawrzyńca Gawronia, a Żydom już wtedy nie wolno było jeździć koleją ani żadnymi innymi pojazdami. Zobaczył go żandarm pełniący chwilowo służbę na posterunku w Zakliczynie.

Kazał mu zejść z wozu, wyprowadził go na pobliskie ściernisko, przewrócił twarzą do ziemi i dla oszczędności poczęstował tylko jednym nabojem. Po wykonaniu swego zadania żandarm odszedł zadowolony, a Sukman leżał nieruchomo. Gdy żandarm uszedł kilkadziesiąt kroków i obejrzał się, zauważył, że jego ofiara ucieka w przeciwnym kierunku. Ale cóż to była za ucieczka wychudzonego, w dodatku obutego w drewniaki, roztrzęsionego Żyda. Żandarm krzyknął i Żyd stanął, a na skinienie powrócił. Teraz odebrał mu worek, wysypał z niego bułki, okręcił mu nim głowę, jeszcze raz położył na ziemi i po raz drugi strzelił. Tym razem celnie.

No i tak dzieci jego wówczas nie doczekały się kukiełek, z jarmarku, a później, mimo opieki naszej konspiracyjnej organizacji Ludowego Związku Kobiet – wolności. Maria Pierzyńska opiekowała się nimi w porozumieniu z członkiniami tej tajnej organizacji.

Akcji zagłady Żydów w powiecie brzeskim przewodził żandarm Johan Lapsz, który z zamiłowaniem strzelał nie tylko do Żydów, ale – bez sprawdzania – i do Polaków podobnych do Żydów. Jego, nazwisko budziło w całym powiecie grozę. Znał dobrze język, chodził zawsze w mundurze, z olbrzymim tresowanym

psem wilczurem. Upatrywał sobie najładniejsze dziewczęta żydowskie, którym kazał przychodzić po kilka naraz w umówione miejsca, wyprawiał z nimi orgie i gwałcił po kolei.

Nie pomogły żadne znajomości ani przekupstwa, na wszystko patrzył obojętnie, bo wszystkiego miał pod dostatkiem. Tylko naiwni łudzili się, że im to coś pomoże, więc znosili mu różne kosztowne rzeczy, ale to nie pohamowało jego okrucieństwa. Ze szczególną zajadłością prześladował handlujących ludzi. Toteż pośrednicy i wszyscy inni, zapuszczający się w tereny objęte zasięgiem jego działalności za żywnością, aby nie wpaść w jego ręce, przeprowadzali zorganizowany wywiad.

Po likwidacji getta podjął wysiłki, aby wytropić i wymordować wszystkich ukrywanych Żydów w powiecie. Upomniał, że nie tylko ci, co ich przechowują, ale i ich sąsiedzi, którzy o tym nie donieśli, będą za to pociągani do odpowiedzialności. Oprócz tego, gdy posłyszał o Żydach w którejś wiosce, wyznaczał w niej zakładników, którzy mieli odpowiadać swoim życiem i mieniem za wykrycie Żydów i żadnych tłumaczeń nie uznawał.

W ten sposób wpadł w Przyborowiu na ślad ukrywających się dwóch dorosłych Żydów. Ze szczególną zaciekłością zaczął tropić Hermana Haslera (Heślę), który umknął mu podczas egzekucji w Porąbce Uszewskiej, i rodzinę jego teściów Pinkasów. Postanowił sobie doprowadzić do tego, aby ani jeden Żyd, ani jeden świadek jego zbrodni nie pozostał żywy.

Nie mogę oprzeć się chęci opowiedzenia pewnej, może najbardziej niezwykłej historii, która, chociaż nie zakończyła się tragicznie, złamała życie ludzkie i poderwała wielką, wręcz wzruszającą wiarę w człowieka. Może wielu wyda się ona nieprawdopodobna, nieprawdziwa – a jednak tak było.

Gdy po kilku akcjach przeciwżydowskich w Brzesku Żydzi zobojętnieli na swoje rodzinne obowiązki zakopywania zmarłych, wówczas Niemcy zaangażowali furmanki magistrackie oraz przygodne chłopskie furmanki do zwożenia trupów na cmentarz, a strażaków do zakopywania.

Na taki właśnie moment trafił jadący swoją furmanką do Brzeska po nawozy Józef Topolski z Jadownik – dowódca drużyny BCh i zmuszony był z przydzielonym mu do pomocy robotnikiem magistratu ładować na wóz leżących pokotem pomordowanych Żydów i wywozić ich na cmentarz. Gdy przyjechał tam z nimi po raz drugi, zauważył leżącą w ukryciu, odłożoną z któregoś wozu, młodą, kształtną Żydówkę, która oprzytomniała, a strażacy ujęci jej błagalnym wzrokiem, nie wrzucili jej do dołu.

Na jej widok młodego Topolskiego oblało gorąco. Jej twarz o szlachetnych delikatnych rysach tak silne zrobiła na nim wrażenie, że zaniemówił, a trzeba dodać, że był to kawaler bardzo wybredny, jeśli chodzi o kobiety. Zanim otrząsnął się z tego wrażenia, wydawało mu się, że to sen, naraz zapragnął sprawdzić, czy na jawie widzi tę piękną kobietę. Ich pierwsze spojrzenie sobie w oczy miało jakąś czarodziejską moc – bezwzględnego oddania się sobie nawzajem, przyrzeczenia bez słów, miłości i wierności, bardziej zobowiązującego od wszystkich na świecie ślubów.

Józek przedłużał, sam jeszcze nie wiedząc dlaczego, zwożenie trupów aż do zmroku, a odjeżdżając ułożył z pomocą Dadeja uratowaną dziewczynę na wozie i bocznymi drogami przywiózł ją do domu. Ta jego niezrozumiała decyzja wywarła niemałe wrażenie na matce, ale nic swojemu ulubionemu jedynakowi na razie powiedzieć nie mogła. Uspokoiło ją krótkie wyjaśnienie, przyjęła chorą za swoje własne dziecko, zrozumiała syna i swoje zadanie w tej sytuacji.

Tej samej nocy lekarz, Piotr Michnik z Brzeska, udzielił uratowanej pomocy i zapisał lekarstwa oraz zalecił umieścić ją z dala od domu, bo już w mieście rozniosła się wieść o tym wydarzeniu na cmentarzu, a nawet i to, że Żydówka pochodzi z Bielska i nazywa się Lia Mätzner. Przez przeszło rok od uratowania Lii Mätzner Józef liczył tylko na własną pomysłowość, aby nikogo nie narażać. Wybudował dla niej za stajnią obszerny bunkier, zamaskował go dobrze nawozem, wejście zrobił ze stajni spod żłobu dla koni, kupił specjalnie taką kobyłę, co gryzła i kopała obcych ludzi, uwiązał ją

w tym miejscu, aby go wiernie strzegła, i taki schowek, nieznany nikomu, ukrył tajemnicę dalszych losów Lii.

Wydawało się, że Niemcy o niej zapomnieli. Przez ten czas Józef, dzięki kontaktom z Ludwikiem Rasakiem „Żukiem", zaopatrzył się w pistolet i granaty, skompletował grupę specjalną, przyjął pseudonim „Szpak" i pod wpływem swojej narzeczonej pomagał głodującym w brzeskim getcie Żydom.

Niemcy nakładając na nich kontyngenty futer, dolarów, złota, rozstrzeliwując dziesiątki podejrzanych za niewykonanie poleceń rękami ich własnych policjantów, ogołocili ich zupełnie.

Wiele osób wzruszało się na widok tych wynędzniałych, błagających o litość nieszczęśliwców. Na niesieniu pomocy gettu w Brzesku Niemcy przychwycili i zamordowali około piętnastu osób, między innymi Annę Jawor z Przyborowia, Michała Pająka z Brzeska, Stanisława Mleczkę z Dołów, Stanisława Rylewicza, Władysława Wasa i Wawrzyńca Gurgula z Łoniowej.

Wielkie straty poniosła też grupa „Szpaka", zorganizowana z dobranych, odważnych młodych ludzi, którzy systematycznie, nocami, dostarczali gettu duże ilości żywności. Podchodzili od strony Uszwicy pod getto przy ul. Wapiennej, a mając zaplecze w Józkowym gospodarstwie, przerzucali przez mur toboły z mąką, kaszą, fasolą. Grupa ta została jednak przez Niemców rozpracowana i zaczęły się sypać ofiary. Oto Józef Chudy został raniony podczas ucieczki, a później dobity. Po pewnym czasie został zastrzelony Stanisław Czarnecki, a za nieobecnego w domu Wincentego Cebulę zabrali Niemcy jego ojca Franciszka, wyprowadzili za wieś i rozstrzelali.

Te straszne ciosy nie przerywają niesienia pomocy Żydom w getcie. W kwietniu 1942 roku Józef z kilkoma kolegami przyniósł pod getto około stu pięćdziesięciu kilogramów żywności, przerzucając ją szczęśliwie do środka. Trafili jednak na zasadzkę – całe szczęście, że nieco dalej – czatujących na nich Niemców. Rozpoczęła się po ciemku obława i gwałtowna strzelanina.

Trzech dostawców zdołało ujść szczęśliwie, natomiast Wicek Cebula, syn zabitego, został ujęty z kompletnie ustrzeloną z karabinu maszynowego u ramienia ręką i – po założeniu opatrunku w szpitalu – zastrzelony. Sam Józef „Szpak" skoczył wówczas do rzeki, ułożył się w sposób niewidoczny wzdłuż jej brzegu i tak w zimnej oblodzonej wodzie leżał ze dwie godziny, przeziębił się, długo chorował, a później okulał.

Po żniwach 1942 roku, bezpośrednio po likwidacji getta w Brzesku, w samo południe którejś pięknej niedzieli, gdy nikt nie spodziewał się najazdu Niemców, Józek przytrzymał złośliwą szkapę – bo tylko jego się bała i jemu była posłuszna – i wypuścił ukrywaną dziewczynę z bunkra, aby wyprostowała sobie kości i zaczerpnęła świeżego powietrza, a on poszedł do stodoły szwagra stojącej po drugiej stronie drogi po paszę dla kobyły. I gdy już miał wracać, jego oczom przedstawił się okropny widok.

Oto kilku Niemców podjeżdża pod jego zabudowania i okrąża je dokoła, a Lia w tym czasie jest w stajni i do bunkra wejść nie może, bo ta stara, złośliwa szkapa kwiczy, wykręca się na boki, bije przodem i zadem, nie pozwala się jej do wejścia przybliżyć. Wydawało się, że już wszystko stracone.

Jednak Lia zdbywa się na tyle przytomności, że niepostrzeżenie bocznymi drzwiami wyskakuje ze stajni, wpada na strych kurnika stojącego obok, wciska się w jego kąt i czeka, kiedy Niemcy będą ją z niego wyciągać. Józek zaś, mając granaty i pistolet przy sobie, postanawia przeszkodzić im w zastrzeleniu Lii, a w najgorszym razie pomścić jej śmierć, obrzucając Niemców granatami i kulami.

Wtedy zobaczył przez szpary, jak Niemcy, biegają koło zabudowań, szukają po wszystkich dziurach, wreszcie widzi, jak jeden z nich wali ostro na drabinę, by dostać się na kurnik, gwałtownie wspina się na pierwszy, drugi i trzeci szczebel, z którego mógł już widzieć wszystko, co się na strychu znajduje. Na szczęście nadepnął ten szczebel tak gwałtownie, że szczebel pękł wcześniej, niż jego wzrok zdołał objąć powierzchnię strychu kurnika. Wtedy zrobiło mu się chyba ciemno w oczach, bo, zawadzając butami o szczeble, runął głową w dół pomiędzy łupki drzewa i widocznie uznał rewizję kurnika za przeprowadzoną, a Lia tylko dzięki temu została uratowana.

Józek całą winę za to przeżycie zrzucił na starą, dobrą do ciągu, ale zwariowaną gniadą kobyłę i wzburzony, postanowił raz na zawsze się z nią rozprawić za pomocą dużej, wąskiej siekiery. Wyprowadził ją więc w tym celu za stodołę, uwiązał krótko u lipy, obwiązał oczy szmatą i gdy miał się już tym groźnym narzędziem zamachnąć, krzyk matki powstrzymał go od tego desperackiego i nie przemyślanego kroku. Gdy się trochę uspokoił, podeszła do niego i zaczęła tłumaczyć.

– Kobyła jest mądra, a twoja to wina, żeś Lii z nią nie zapoznał. Jak była u Smalucha w Uszwi, baba koło niej chodziła, doić by ją mogła i ucha na nią nie stuliła.

Te słowa matki uznał Józek za święte i postanowił niezwłocznie zapoznać kobyłę z Lią. Nie dał jej żreć ani pić przez całą dobę, a potem wyprowadził Lię z bunkra, aby ją nakarmiła i napoiła. Nie od razu wszystko poszło dobrze, ale gdy codziennie przez kilka dni, a później po dwa razy dziennie wychodziła Lia ją karmić, kobyła na nią, jak na niańkę, doczekać się nie mogła. Wkrótce zawarły z sobą zażyłą przyjaźń i stara, poczciwa, gniada szkapa stała się dla ukrywającej prawdziwym stróżem.

Po owym wstrząsającym przeżyciu z Niemcami, Lią, kurnikiem i kobyłą, matka Józka, Petronela, pochodząca z zacnej rodziny Michałków z Sufczyna, postanowiła skończyć nie tyle z przechowywaniem Żydówki, ile z hańbiącym i grzesznym obcowaniem swego syna z pogańską dziewczyną, której historia znalazła się teraz na złych językach całej okolicy.

A przecież tylko dzięki jej staraniom i docieraniu z żywnością do ich tajemniczych bunkrów, których jeszcze dwa przybyło, mogli oni te ciężkie chwile przetrwać. Więc zastawszy ich razem, oświadczyła im wprost, że ona do ich dziwacznych, pogańskich zachcianek, które ośmieszyły całe rodziny Michałków i Topolskich, ręki dalej przykładać nie będzie.

– W każdym spojrzeniu ludzi – żaliła się – dostrzegam zarzut: „jakiegoś ty syna wychowała, drugiego takiego nie ma w najgorszym domu". Ja więcej za to wszystko odpowiadać dalej nie będę ani z taką moralnością, jakiej nie uznaje żadna religia ani żadna sekta na świecie, się nie godzę.

Lia zrozumiała, że nadszedł właściwy czas, aby podziękować matce Józka za ratowanie jej życia, za trudy i cierpienia, zbliżyła się więc do niej i zaczęła ją mocno całować po rękach, a potem po twarzy, w ślad za nią ucałował matkę i Józek. Wzruszyli się wszyscy troje i rozpłakali na dobre, a przy tym postanowili, że w najbliższym czasie Józek pójdzie do księdza kanonika Franciszka Piękosza – oczywiście potajemnie – i zamówi chrzest dla Lii, a następnie ślub dla obojga. Okazało się jednak, że to wszystko nie jest takie proste, jak sobie wyobrażali.

Chrzest Lii urósł do roli problemu, bowiem ks. kanonik nie chciał o niczym słyszeć, dopóki Lia nie pozna zasad wiary katolickiej i nie przerobi całego katechizmu obowiązującego każdego katolika, po prostu nie nauczy się na pamięć.

Należałoby sobie życzyć – pomyślałem wtedy – byśmy wprowadzili takie zasady w ruchu ludowym.

W ostatni dzień grudnia 1944 roku, akurat w noc sylwestrową, znalazł się Józek w niemałym kłopocie – Lię chwyciły bóle porodowe, a nie miał jej kto udzielić pomocy. Zatem wykorzystując oszołomienie Niemców przed ofensywą radziecką, załadował ją na wóz i zawiózł do szpitala w Brzesku.

Dyrektor szpitala, dr Mieczysław Kosowski, znał dobrze Józka i domyślał się, o co mu teraz chodzi. Sprawę załatwił otwarcie. Widząc wahanie Józka i przerażenie odwykłej od ludzi Lii, w obecności towarzyszącego mu Niemca, zagadnął urzędowo: – Pani nazywa się Topolska. A jakie imię pani nosi?

– Maria – odpowiedziała przyszła młoda matka, bo takie imię już sobie od chrztu wybrała.

Na Józka mrugnął porozumiewawczo, ażeby znikł, był spokojny i więcej się w szpitalu nie pokazywał. Za niecałe pół godziny Lia

urodziła syna. Józek dowiedział się o tym przez specjalnego gońca, prawie że natychmiast. Dalszy kontakt pomiędzy nim a szpitalem utrzymywała jego sąsiadka, Maria Kowalska, która – prawie jak matka – służyła mu swoją pomocą i radą w najkłopotliwszych sytuacjach. Równie usilnie pomagał mu jej mąż Aleksander, a chyba największe przysługi wyświadczył mu swoim wścibskim wywiadem dzielny, młody jego przyjaciel, Stanisław Martyna.

Radość z przyjścia na świat dalszego potomka Topolskich była zrozumiała. Nowy 1945 rok zaczął się dla Józka i jego żony Marii szczęśliwie, była to dobra zapowiedź dalszych pomyślności.

Dr Kosowski starał się przetrzymać młodą matkę jak najdłużej, aż naraz otrzymał poufną wiadomość o inspekcji szpitala, oczywiście w poszukiwaniu partyzantów. Sam zamówił dorożkę i kazał ją odwieźć – ale nie do domu Józka, a do domu Kowalskich, uważając, że tak będzie bezpieczniej.

Teraz mógł być pewien, że inspekcja szpitala wypadnie pomyślnie.

Przygotowanie Lii do chrztu przez samego ks. kanonika trwało prawie pięć miesięcy. Dopiero 27 maja zebrana w kościele, jak na odpuście, cała parafia była świadkiem tej niecodziennej uroczystości – chrztu i zaślubin Lii Mätzner z Józkiem Topolskim.

Najpierw była w kościele nauka – wspominają do dziś ludzie – potem był chrzest matki i chrzest dziecka. Ona otrzymała imię Maria, a syn imię Kazimierz. Z kolei odbył się ślub, a w domu huczne wesele, wyprawione po gospodarsku i na ludowo, w strojach krakowskich.

W lecie 1952 roku Lia–Maria Topolska, wykorzystując nieobecność męża w domu, zabrała syna i wyjechała do Izraela.

Brzostek

Uratowana z zagłady

Jest jednym z tych, co podali pomocną dłoń Żydowi.

Joachim Fryc, urodzony w roku 1896 w Nawsiu Brzosteckim koło Brzostka. Opowiada:

Z nastaniem okupacji hitlerowskiej uczyłem się w szkole zawodowej przy ulicy Krupniczej w Krakowie, gdzie przysposabiano do wszystkich zawodów. W tym czasie byłem świadkiem różnych zdarzeń, np. widziałem, jak Niemcy z psami wchodzili w tłum i te psy wyłapywały Żydów, których na miejscu zabijano. Żyd cuchnął cebulą, dlatego psy miały ułatwione zadanie i ani razu nie pomyliły się. Na przełomie kwietnia i maja 1942 roku przyjechał Niemiec Jost z SA i wybrał sobie ludzi do pracy w fabryce koło Lipska. Wywozili po kąpieli i badaniach lekarskich. W czasie kąpieli i badań, wśród nagusów szukali Żydów, których zdradzało obrzezanie. Wyłapanych w ten sposób – zabijali.

Jako ślusarz pracowałem przy produkcji śmigieł samolotowych do bombowców. Płacili dobrze, tak jak Niemcom. W czasie nalotów kryliśmy się w bunkrze. Pracowaliśmy na dwie zmiany, bo na trzecią brakowało ludzi. Żydzi, których tu poznałem, wzięci byli z zakładu pracy z Tarnowa i nie przeszli badań lekarskich i oględzin. Poznałem tu trzech Żydów. Jeden z Łodzi miał lewe papiery na nazwisko Wstodarski Jan, drugi z Częstochowy, a trzeci ze Wschodu. Pracowaliśmy razem. Znali tę pracę, podobnie jak Rusek, może siedemnastoletni, którego tu przywieźli.

Nagle zostałem aresztowany. Wpadło dwóch, skuli mnie i w więzieniu przytwierdzili łańcuchem do ściany, w pojedynczej celi. W celi było maleńkie okienko, kubeł z wodą i ławeczka. Na drugi dzień klucznik wyprowadził mnie na spacer. Wykonał ruch obrazujący krowie rogi i kazał skubać trawę między płytami chodnika. I to był spacer. W czasie powrotu do celi, zabronił patrzeć za

siebie i zapewniał, że jeśli nie powiem o tym skubaniu trawy, to przyniesie mi nieco pokarmu. Wracając z tego spaceru pomyliłem cele i wszedłem do dużej sali, gdzie na stole leżały bykowce, kajdanki, w rogu stała szubienica, a na środku gruby słup, do którego przywiązywali więźnia i siekli nahajkami. Sprowadzili tłumacza Wiesława Polka, Ślązaka, który miał tu piwiarnię. Ostrzegano mnie przed nim, chodził w cywilu, a odznakę nosił pod klapą marynarki. Ktoś doniósł, że wiem coś o sabotażystach, ale nic nie wiedziałem i wypuścili mnie.

W czasie pracy wpadło kilku oficerów i kobieta. Na jej pozdrowienie Heil Hitler rzekłem, że nie rozumiem ich języka, bo jestem Polakiem, ale rękę podniosłem. Zaśmiała się i poszli w głąb zakładu. Wtedy już bombardowanie tego miasta było co noc. Ucieszyłem się, gdy w sierpniu 1943 roku pojechałem na urlop, a w zamian za to zabrała mnie policja i wiozła do Arbeitsamtu w Krakowie.

Przed Krakowem stałem przy drzwiach, gdy konwojent odszedł, wyskoczyłem z kolegą z pociągu. W nocy kupiłem bilet i wróciłem do domu z kolegą. Wsie wysiedlali, a ludzi łapali do pracy przy budowie umocnień. Wobec czego uciekłem do lasu i tu spotkałem znajomego Żyda o nazwisku Romczyk ze wsi Błaszowa. Żalił się, że brat zginął w partyzantce i dodał, że Ruscy też ich rozstrzeliwują. Wnet pojawiła się tu w lasach ruska partyzantka.

Raz w nocy paliła się wieś. Ruscy krzyczeli Urra! Szli na bagnety, których Niemcy się bali, ale mimo ponowienia tego ataku, Niemcy utrzymali się. Wtedy otarłem się nie po raz pierwszy o śmierć. Pocisk eksplodował mi tuż nad moją głową i nawet nie byłem draśnięty. Około 20.X.1944 roku w rejonie Brzostka starły się dwie siły sowieckie z niemieckimi i przez osiem miesięcy trwała tu strefa frontowa, a okolica zmieniła się w pogorzelisko. I tak będąc po stronie niemieckiej, dostałem się do pracy przymusowej przy budowie bunkrów, okopów dla wojska i to na pierwszej linii obrony. Zginęło tu wielu cywilów.

Znając trochę język niemiecki dostałem się do kuchni i wiodło mi się, jak na warunki frontowe, całkiem nieźle, bo w czasie kano-

nady siedzieliśmy w bunkrze. Oficer był wykształcony, podlegało mu dziesięciu innych oficerów.

I tu nagle pojawiła się żydowska dziewczyna. Gdy w roku 1942 wywozili ich do getta, ta dziewczyna wyskoczyła z wozu i nic jej się nie stało. Pobiegła do naszego sąsiada i ten ukrywał ją przez dwa tygodnie. Szukano jej jednak w tej wiosce, więc rodzina ta bała się, że ją znajdą i wtedy wszyscy zginą w płomieniach, jak wówczas mówiono. Po naradzie rodzinnej gospodarz kazał jej szukać sobie innego miejsca. Jego dom stał w polu, ale różni tu ludzie bywali.

Poszła więc do innych znajomych i ci ją ukryli. Pierwszy gospodarz zwał się Stanisław Zatorski, a teraz z kolei znalazła się w domu Kajtanki, kobiety, wychowującej córki, i tu była do wysiedlenia w sierpniu 1944 roku, a więc sześć miesięcy. Dziewczyna lękała się, że zostanie odkryta. Zrozpaczona ukryła się w domu, który stał w odległości 300–400 metrów od linii frontu, ale ukształtowanie terenu sprawiło, że dom był niewidoczny. Tam panował względny spokój i nikogo więcej nie było. Obok domu był mały sad: jabłka, śliwki, włoskie orzechy. Żyła sobie samotnie i dziko. Te drzewa do dziś tam są, a zabudowania spłonęły w czasie wojny. Gospodyni przychodziła tu czasem z żywnością, ale to nie wystarczało i Żydówka musiała chrupać ziarno pszenicy.

Raz Niemcy wrócili z nocnego patrolu i pytali, gdzie są te jabłka, które im kiedyś przyniosłem. Znali mnie dobrze i szanowali, bo nie okłamywałem ich. Dawali mi także przepustkę, abym im przyniósł te owoce. Teraz poszli sami po te jabłka, ale wrócili z prowadzoną pod pachę Żydówką. Na froncie było cicho, nie strzelano, więc szli z nią odważnie do oficera, dowódcy kompanii. Po dziś dzień pamiętam jej smutną twarz i ubogi ubiór. Jeden z nich zawołał mnie po niemiecku i zapytał czy ja ją znam. Tak to jest żydowska dziewczyna odparłem po niemiecku. Skoro twoja, to sobie ją weź! i puścił ją. Pozostała z nami aż do 10 stycznia 1945 roku, tj. do chwili wycofania się Niemców. A ja byłem trochę kucharzem, gotującym posiłki dla dziesięciu osób, które budowały bunkry. Ona też pomagała w przygotowywaniu zup. Odżywiła się, odpoczęła,

bo dotąd głodowała. Zajmowała się praniem, cerowaniem, ale zawsze w ukryciu. Jeden z pracujących tu chłopów zauważył z niepokojem, że ona jest Żydówką. A ja na to: stul pysk, co cię to obchodzi! w końcu Ruski uderzyły cała siłą i kanonada była tak straszna, że słychać było huk i każdy uciekał dokąd mógł. Nikt nie myślał o Żydówce.

Rozstaliśmy się bez słowa pożegnania. Po wojnie opuściła swą wioskę wyjeżdżając do Australii, skąd pisała listy do Kajtanki, o mnie nie pamiętała, zresztą nie znała mnie bliżej.

Po wojnie byli u mnie jacyś panowie i rozpytywali o nią. Gdy im chciałem pokazać, gdzie stał ten dom, to odrzekli, że to nie takie ważne. Istotne było to, że była Żydówką i Niemcy o tym wiedzieli. Była to córka Heszka ze wsi Opacionka. Ojciec jej miał sklep i trochę ziemi. Własność tę oddał ludziom, którzy ukrywali ją u siebie.

Brzostek do roku 1934 był miastem, leżącym przy drodze z Pilzna do Jasła. W roku 1939 było tu 1800 mieszkańców w tym około 500 Żydów.

Czarna

Tułaczka i... małżeństwo

Do wspomnień swojego brata niejeden istotny szczegół dodaje Anna Sipiora z domu Sztyglic. O cztery lata młodsza od Michała Sztyglica, była już jednak w chwili wybuchu wojny dorosła w dzisiejszym pojęciu tego słowa. Liczyła ponad 18 lat. Wspomnienia są zatem relacjami wrażliwej, młodej dziewczyny zdolnej do obiektywnej, bystrej obserwacji.

Urodziłam się w Dąbrowie Tarnowskiej. Wiosną 1942 roku wysiedlono nas do getta, mieliśmy tam pokój, ale nie zajęliśmy go. Zjawialiśmy się tylko czasami, a najczęściej przebywała tam matka. Rodzina rozproszyła się. Rodzeństwo Regina, Michał, Ignacy, Zofia znalazło schronienie na peryferiach miasta w Rudzie Zazamczu u rolnika Adolfa Padło. Mieli schowek w stajni za domem. Nie miałam z nimi kontaktu. Byłam na „wolności" jeśli tak można określić pewną swobodę poruszania się, gdy jednocześnie towarzyszy człowiekowi świadomość stałego zagrożenia i perspektywa okrutnej śmierci.

Przygarnęli mnie państwo Katarzyna i Paweł Sipiorowie w Jastrząbce, odległej wsi, a właściwie przysiółku Pniaki. Miałam „kenkartę" wystawioną na inne nazwisko i uchodziłam za wdowę, której mąż nie powrócił z wojny, Pracowałam w gospodarstwie. Nikt o nic nie pytał w tym wiejskim zaciszu.

Gdy zbliżył się front, wysiedlono nas do lasu. Mojemu gospodarzowi odpowiadałam to o tyle, że z zawodu był cieślą. W lesie koczowaliśmy pod gołym niebem. Miałam być wysłana na roboty do Niemiec, ale jakoś udało się pozostać na miejscu. Z kolei, razem z obcą dziewczyną miałam być skierowana do jakiejś nowej pracy, ale Katarzyna Sipiorowa tak się do mnie przywiązała, że nie chciała mnie od siebie puścić.

W rezultacie zostaliśmy wszyscy przewiezieni do gospodarstwa Ignacego Nowaka w Smykowie. Kolejnym etapem naszej tułaczki była miejscowość Krzyż koło Tarnowa. Wreszcie wynajęliśmy mieszkanie u pana Wardzały przy ulicy Nowodąbrowskiej na skraju Tarnowa. Tam zastało nas wyzwolenie w roku 1945.

Na podstawie wojennych dokumentów, jako wdowa wyszłam za syna swoich gospodarzy. Gdy powstały urzędy i unormowano prawnie stosunki w Polsce Ludowej, wróciłam do swojego panieńskiego nazwiska – co było tylko osobistą satysfakcję, bo nosiłam i tak nazwisko męża. Powoli czas goił najcięższe wspomnienia, choćby takie, jak ucieczka do Lisiej Góry, gdzie przechowywał mnie znajomy policjant granatowy. W Polsce Ludowej moje sprawy rodzinne ułożyły się sprzyjająco. Mąż mój prowadził fermę kurzą w Tarnowie. Mamy dwoje dzieci syna i córkę. Cieszę się z przetrwania i ocalenia.

Las był ich domem

Pochodzący z Jastrząbki Władysław Pożdżał opisuje kilkanaście rodzin żydowskich, które ukrywały się w lesie w Czarnej. Jego wspomnienia, niezwykle precyzyjne obejmują także nagonkę, którą zorganizowali Niemcy szukając Żydów w lesie.

Władysław Pożdżał, ur. 20.IX.1917 roku w Jastrząbce, dziś zwanej Starą, bo wieś rozbudowała się wzdłuż asfaltowych dróg, gmina Czarna lub Czarna Tarnowska. Mieszkałem przy lesie, ale ożeniłem się nieco dalej (trzysta metrów) z Julią Ciok. Gospodarka liczyła dziewięć hektarów gruntu. Przed wojną mieszkali w okolicy Żydzi, np. Mojsio Wurtzel, który przy lesie miał gospodarstwo dziesięć hektarów z lasem i sklep tekstylny. Sam w polu nie pracował, najmował sąsiadów z końmi, handlował. Obok gospodarowała Herśko z dziećmi: Jankielem, Szmulkiem i dwiema dorosłymi córkami. W ogóle było ich tu ponad dwadzieścia rodzin. Szyja Abra-

ham zwany Jabromem nie miał nic poza domem i żył z handlu. Kupował skórki królicze, tchórzy, lisów, które zawoził do Tarnowa. Przy szosie zabudowanie i dwie morgi gruntu miał Kiwa Abraham, który kupował bydło i na piechotę gnał dwadzieścia kilometrów do Tarnowa. Mojsie Wurtzel ukrywał się w lesie z żoną, córką i synem, i po wojnie był szefem UB w Tarnowie, ale wyjechał do USA. Żydzi, zamiast do getta, uciekali do lasu, przeważnie państwowego, mieszanego. Dzięki opiece AK i BCh Żydzi byli bezpieczniejsi, nawet opryszkowie liczyli się z ruchem oporu i nie odważyli się donieść okupantowi. Zresztą ludność tu jest solidarna, zbliżyła ich i połączyła wspólna niedola. Z dawna niektórzy mieli strzelby myśliwskie i kłusowali, bo głód doskwierał. W roku 1944 odebraliśmy zrzuty broni z Wielkiej Brytanii w Tarniniej Górze. Samolot zrzucił skrzynki z karabinkami i amunicją. Leśniczy latarką elektryczną (kolor światła zielony lub czerwony) dawał lotnikom sygnały. Poszliśmy ze strzelbami i karabinkami kłusować do lasu, było nas 6–10 osób. Polowaliśmy na dziki i sarny. Niemcy tu rzadko bywali, zjawiał się czasem jeden lub dwóch za ludźmi do pracy w lesie, przy wywożeniu ściętego drzewa. Podwodami zawoziliśmy te kopalniaki do dworca PKP w Czarnej, gdzie był posterunek granatowej policji. W czasie takiego kłusowania zauważyliśmy dym w lesie, Żydzi gotowali strawę na piecyku z cegieł. Piesek na nich szczekał, zamierzali uciekać, ale nas rozpoznali. Żalili się, że śpią na trawie pod rozłożystym drzewem, w czasie deszczu mokną. Raz w zimie spotkaliśmy ich i wtedy pytali, czy widujemy przepiórki. Skoro jeszcze są, to i my przeżyjemy, mawiali. W zimie polowaliśmy na dziki i zauważyliśmy, że z fosy ktoś czerpał wodę. Tak doszliśmy do bunkra wśród drzew. Nachyliłem suchego świerka, który był przybity do deski nad włazem do bunkra. Buchnęło ciepłe powietrze i zapach kuchni. Bunkier był obszerny i na głębokość 3 metry. Ściany umocnione były słupkami poziomo i pionowo ułożonymi. Strop podparty słupkami i belkami. Nie wiadomo dokąd wynieśli tyle ziemi. Od piecyka szła rurka, która wychodziła na zewnątrz koło świerka. Tu się ukrywali także dwaj sowieccy lotnicy, zestrzeleni przez Niemców, młodzi chłopcy. Natknęli się w polu na pracującego tam Józefa Madurę i ten zaprowadził ich do tego bunkra. Idąc potem za frontem zebrali adresy, obiecali napisać, podziękować za pomoc w tak trudnych chwilach, ale nie odezwali się. Miejscowi gospodarze nocą szli do lasu i zanosili im groch, ziemniaki, kobiety mleko, nabiał i na skraju lasu wręczali. Nie brali pieniędzy, bo ukrywający się byli obdarci, półnadzy, często głodowali, gdy nie było dostawcy. Mówili, że żyją wodą ze strumienia. Było trzynastu Żydów. Znając ich położenie pomagano im bezinteresownie, np. Franciszek Pych, kolega Mośka, zaniósł im upolowanego rogacza. Mosiek Wurtzel chciał dać mu córkę za żonę, mówiąc, że to byłby sposób na jej przeżycie. Po wojnie zaprosili go na jej ślub ze starszym, brodatym Żydem. Na uwagę, że szkoda jej, takiej urodziwej dla staruszka, odpowiedział z dumą: „ale za rabina wychodzi". Córka ta chodziła z lasu do sklepu po zakupy, gdzie sprzedawała moja żona. Była młoda, miała siedemnaście lat i nie wszyscy ją znali, nadto postawa ludności była wzorowa i ona to wiedziała. Była zdrada w pobliskiej wsi Róża. Rano Niemcy otoczyli wieś i strzelali nie tylko do uciekających, bo np. zapukali i gdy wyszła ciężarna kobieta to też ją zastrzelili. Okazało się, że Niemcy nasłali prowokatora, który był parobkiem w zakonie żeńskim i spisał członków ruchu oporu. U nas zdrady nie było, choć przy uboju przypadkowo zaskoczyli Franciszka Wawrzonka i obwiniającą siebie żonę zabrali do Dębicy piętnaście kilometrów stąd. Byli to policjanci w cywilu Urban i Bąk. Urban zastrzelił ją. Wyrok na nim wykonał ochotnik, który w biały dzień na stacji w Dębicy strzelił mu w tył głowy. Akowcy dokonywali sabotaży w tartaku w Czarnej i wtedy zastrzelili strażnika, rozsypując dla niepoznaki angielskie naboje. Innym razem tartak wysadzili. Zarówno Żydzi, jak i my cenimy postawę policjantów w Czarnej, a są to: Tarnowski, Śmiałek, Goła i Świerk. Wielc wiedzieli i potrafili milczeć. Upominaliśmy ludzi, by panowali nad językiem. Gajowi miejscowi byli i mieszkali w lesie. Leśniczy Cymel też w lesie mieszkał i strzegł jego tajemnic. Niemcy organizowali polowania na tym terenie, wyznaczając nas jako nagonkę, której

zresztą dobrze płacili. Po wojnie w Dębicy spotkałem Wurtzela, płakał i mówił, że nie czyhaliśmy na jego życie, częstował orzechami. Odpowiedziałem mu żartem, że polowałem z głodu, a z niego nie miałbym nic, ani skórki, ani mięsa. Pamiętam, że kłusując przed świtem nad strumieniem spotkałem jego córkę i zapytałem o ojca, ale ona przerażona zapewniała, że nachyliła się nad wodą i zapomniała skąd przyszła i nie chciała pokazać bunkra, ale sam zobaczyłem dym. Po wojnie do USA zaprosili siostry Armatys, mówiono, że papież przysłał ich matce pierścionek i różaniec z krzyżem za ratowanie Żydów. Jedna z nich mieszkała w lesie, była wdową po Józefie Armatysie. Żyła 92 lata. Obecnie stoją tam puste budynki.

Tato, dokąd niesiesz to pożywienie?

Mieczysław Krzystyniak z Zasowa wspomina okres okupacji kiedy jego starszy brat przywiózł z getta w Dębicy pięciu Żydów. Będąc dzieckiem pamiętał jedynie głód i ojca wynoszącego w wiadrze gotowane ziemniaki i barszcz.

Mieczysław Krzystyniak z Zasowa, gmina Czarna był dzieckiem, kiedy jego starszy brat Tadeusz przywiózł z getta z Dębicy pięciu młodych Żydów w wieku od dwudziestu do trzydziestu lat.

Rodzice Barbara i Kazimierz Krzystyniakowie przechowywali ich, ale ja nie wiem, który to był rok i jak długo to trwało. Moi rodzice już nie żyją, matka od czterech lat, a ojciec już od siedemnastu. Brat Tadeusz Krzystyniak, starszy ode mnie o dziewięć lat też umarł już rok temu, a on właśnie tych Żydów wiózł na wozie konnym dwadzieścia kilometrów z Dębicy do domu. Żyje jeszcze w Tarnowie moja siostra Irena Więś, która jest starsza o sześć lat ode mnie. Ona, jak pamiętam, często mówiła, że te osoby wyprowadzała w nocy, aby im się nogi nie zastały. Żydów wyprowadzali w nocy w pole moi rodzice, bo Żydzi mieszkali na strychu pod sufitem i było im tam ciasno. W zimie, w stajni mieli takie maleńkie mieszkanko przy krowach. Przy piwnicy też mieli kryjówkę, gdzie mogli tylko stać,

bo nie było miejsca, aby tam siedzieć czy leżeć. Ja pamiętam tylko, że ojciec mój ciągle nosił w wiaderku gotowane ziemniaki i barszcz, czasem pytałem: „Tato gdzie niesiesz to jedzenie", to mi mówił, że małym świnkom, a ja i moje rodzeństwo przymieraliśmy głodem, a w czasie okupacji, to nawet tego ziemniaka i barszczu nie było za dużo, bo trzeba było oddawać Niemcom kontyngenty.

Nasi Żydzi jeszcze żyją, ale mieszkają w Stanach Zjednoczonych w Nowym Jorku. Żyją jeszcze trzy osoby. Piszę do mnie jeszcze: Leonia Nussbam. Jako syn Barbary i Kazimierza Krzystyniaków także chciałbym mieć taki zasłużony medal, jaki dostał mój brat Tadeusz i siostra Irena Więś. Oni dostali medal Zasłużonych wśród Narodów Świata oraz pojechali na wycieczkę do Izraela i Jerozolimy. Otrzymali także dodatek pieniężny sześćdziesiąt dolarów przyznawane raz na miesiąc. Ja nic nie dostałem tylko odmowę, że mi się nie należy, gdyż byłem małoletni. Ale czy gdyby Niemcy znaleźli u nas Żydów, to tak samo mnie, jak i mojemu bratu i siostrze nie groziłaby śmierć. Ja także przymierałem głodem, bo ojciec żywił pięć osób.

Czchów

Ucieczka w góry

Helena Kafel z domu Gabrowska, urodzona 3 lipca 1913 roku we wsi Piaski Drużków koło zapory na Dunajcu w Czchowie, wnosi wiele nowych wiadomości do skarbnicy wiedzy o tragicznym losie Żydów. Dziś w wieku 87 lat rekonstruuje odległe wydarzenia, które nie powinny ulec zapomnieniu. A więc oddajmy jej głos.

Niełatwe było życie nasze, tym bardziej że liczące 1 ha gruntu gospodarstwo położone jest wysoko na polanie góry dominującej nad Jeziorem Czchowskim, w odległości 1 km od zapory i drogi prowadzącej w nizinny świat. Dziś trudno uwierzyć, że uprawialiśmy tę glebę przy pomocy dwóch krów, które nadto dawały mleko, pod warunkiem wszakoż, że były racjonalnie karmione. Doskwierające ubóstwo, dokuczliwość i siermiężność egzystencji wynagradzał kojący spokój, cisza, fascynująca panorama widzianego z góry miasteczka, drogi czy zapory na Dunajcu. Ten majestatyczny spokój zakłóciło zło, piekielne zawirowanie, które przyszło z dołu, z nizin.

Brama piekła otwarła się we wrześniu 1939 roku, kiedy to przed hitlerowską nawałą uciekali zarówno Polacy, jak i Żydzi, konnymi podwodami i pieszo hen za San, jak zapowiadali. I nie wszyscy wrócili, bo część spośród nich wpadła w samą paszczę sowieckiej bestii. W myśl zarządzenia okupanta Polacy mieli stawić się w swoich zakładach pracy, bezzwłocznie. Tak więc mąż podjął na nowo codzienną wędrówkę do odległego o 7–10 km Rożnowa, bo był cieślą na budowie zapory. Niemcy, jak czas pokazał, ukończyli budowę tej zapory, ale w Czchowie już nie zdążyli. W tych strasznych czasach różni ludzie pięli się pod górę, zaglądali do tego uroczego zakątka, sądzili widocznie,że tu ich diabeł nawet nie znajdzie. Mieszkańcy Tropia uciekali do nas w nadziei uniknięcia wywiezienia na przymusowe roboty do Rzeszy. Grupki uciekinierów liczące 7–8 osób nocowały u nas, czekały na zakończenie obławy. U naszych

sąsiadów na polanie też było rojno i gwarno. W późniejszym czasie przychodzili Żydzi, żebracy lub udający takowych, partyzanci wreszcie. Tych ostatnich łatwo rozpoznawałam, nie dlatego, że nie udawali żebraków. Wszyscy bali się pozostać dłużej w domu, pośpiesznie oddalali się do lasu. W nocy pukali w szybę okna, więc dawałam chleb, słoninę z kapustą, ziemniaki. Najpierw fala okrucieństwa uderzyła w Żydów bezpardonowo mordowanych. Niektórzy tylko zaszywali się w leśnych czeluściach, jak tropione zwierzęta łowne znikali pośród zakrytych chaszczami skał i wykrotów. Koledzy męża kierowali tu Żydów porzucających pracę na zaporze czy budowie drogi, skąd wywożono ich do Bełżca. Na stracenie. Pogrążeni w odmętach rozpaczy, z reguły płakali, o pomoc prosili. Mąż pod osłoną ciemności wynosił im pożywienie, bo w dzień natknąć się mógł na Stawialskiego, nadleśniczego z Drużkowa uzbrojonego w strzelbę lub częściej bywającego gajowego. Gajowy Jan Włodarz nadzorował pracę robotników w lesie przy wyrębie drzew. Lasu pilnował, ścigał złodziei i kłusowników. Ciągle się baliśmy, bo nie wiadomo było, kto zapuka. Akowcy z pięć razy byli, zawsze zmęczeni kilometrowym marszem pod górę. Wszyscy tu idący pięli się leśną dróżką, tak jak my, gdy potrzeba wymusiła pójście do sklepu, nad zaporę lub do kościoła w Tropiu. Jednak to najgorsze omijało nas.

Jesienią 1943 roku w dzień przybyło 20 umundurowanych Niemców. Ci zawsze byli perfidni, podstępni. Dla pozoru zapewnili, że zgubili w lesie karabin i teraz szukają. Jednak drobiazgowa rewizja w zabudowaniach, przewracanie i przesuwanie wszystkiego co tu było, dowodziło czegoś innego. Nigdy nie było wiadomo, do kogo strzelają, bo byli i myśliwi. Polujący na dziki, sarny, lisy, a także zające, obchodzili naszą polanę z 14 gospodarstwami, zaszywali się w bujnym, mieszanym drzewostanie. Męża ustawicznie nie było w domu, bo wstawał o 4., na 7. był już w Rożnowie. Z reguły wracał na noc.

Pewnej niedzieli wstąpili do nas dwaj akowcy. Jeden zwał się Kubicki, o którym wiedzieliśmy, iż mieszka w Strużach. Po obiedzie dyskretnie podłożył pieniądze i poszli, bo wycofywali się przed

obławą. Jak się dowiedziałam, na drugi dzień zginął w Stróżach. Akowcy mieli w lesie bunkry, ale Niemcy odkryli tajemnicę i otoczyli ich. Ludzie opowiadali, że zginęło 30 Niemców, akowców mniej.

Żydzi przychodzili coraz rzadziej, pamiętam, iż kiedyś handlowali byle czym, nie podejmowali pracy na roli. Od krewnych zza granicy otrzymywali odzież, obuwie, które sprzedawali na wsi. Tak było przed utworzeniem getta.

13 grudnia 1944 roku, niespodziewanie 14 Niemców zatrzymało się u nas na nocleg, spali na przyniesionej ze stodoły słomie. Dwaj wartownicy przed domem czuwali, strzegli ich bezpieczeństwa i widać było, że są podszyci strachem. Rano poszli. Po wojnie mąż przyznał się, że Żyd spod Gręboszowa długo krył się w pobliżu naszej posesji. Mąża prosił o gotowany bób, groch, a także kapustę. To był znajomy Cabaja z Bieniaszowic koło Gręboszowa. Cabajowa była siostrą moją, dawno temu służyłam u nich, to było w latach 1916–17. Stąd wzięło się to zaufanie.

W roku 1949 woda Dunajca zalała pola na równinie, dlatego sąsiedzi nasi otrzymali niezłe odszkodowanie i przenieśli się w okolice Zakliczyna, a nawet Mielca, Rzeszowa. Czuję się do tego zobligowana, żeby dodać, iż po wojnie tutejszy ksiądz skazany został na 8 lat więzienia jedynie za to, że podczas wojny odbywały się na plebanii zebrania akowców. Ale o tym, że wspierał materialnie ukrytych w lesie Żydów, nikt nie wspomina. Nie wątpię, że takich anonimowych bohaterów jest multum.

Ochrona Żydów i pacyfikacja Czchowa

Opasany górami Czchów leży nad górnym Dunajcem, na skraju Podkarpacia, jest miasteczkiem letniskowo–wypoczynkowym legitymującym się starą metryką, bo założony został za czasów króla Kazimierza Wielkiego. Mieszkańcy szczycą się śladami dawnej świetności w postaci: kościoła, resztek zamku z XII wieku tudzież

obronnego muru. Nowszym akcentem w pejzażu sędziwego grodu jest wybudowana w latach 1937–1948 zapora na Dunajcu i towarzysząca jej elektrownia. Całości dopełnia unikatowa widokowość okolicy, także uprzywilejowana pozycja na geograficznej mapie Polski. Tak rozpoczyna swą opowieść Stanisław Nieć urodzony 13 grudnia 1919 roku w Czchowie, ślusarz maszynowy, maszynista ciężkiego sprzętu budowlanego w Hydrobudowie w Katowicach.

Przez miasteczko przebiega szlak handlowy i z tą okolicznością związana perspektywa rozwojowa przyciąga ludzi przedsiębiorczych. Mieszkający tu od dawna Żydzi zajmowali się handlem; mieli sklepy, sklepiki, skupione w zasadzie wokół rynku, i dobrze im się powodziło. Sąsiadami gospodarstwa mego ojca przy ul. Basztowej 9 byli Żydzi. Haim Wincenberg miał potomstwo w moim wieku. Dwaj synowie to Mojlech i Melek, córki to Siańdzia, Haja, Perka oraz Dorcia, żona Laicia z domu Kluger. Tak ich nazywano. Do Haima przylgnął przydomek metrykarz, jako że miał spis tutejszych Żydów, ich metryki, akty obrzezania, załatwiał na bieżąco wiele spraw, natomiast rabin przyjeżdżał na śluby i ważniejsze uroczystości. Haim posiadał sklep spożywczy. Jako człowiek pomysłowy, a przy tym godny zaufania, pozostawił po sobie dobre wspomnienia. Pamiętam jak u gospodarzy, sadowników, właścicieli dworów kupował owoce, runo leśne, przetwarzał na dżemy, odwoził do fabryk przetworów owocowych w odległych miastach. Tadeusz Krasuski, właściciel dworu we wsi Piaski Drużków po prawej stronie Dunajca posiadał 200 ha lasu. Na polanach tego lasu pleniły się dorodne maliny, które Haim kupował na pniu np. w pobliżu domu Piotra Kafla na górze nad Dunajcem. Osada, miejscowy gospodarz opiekował się nimi. Po zbiorze ważył zebrane przez wynajęte w tym celu kobiety. Żyd dobrze płacił, nie oszukiwał. Maliny te zawoził na zaplecze sklepu Haima, do szop, tu w beczkach czekały na dalszą fazę przetworzenia. Sezonowe pracownice dobrze wiedziały, że po rozpoczęciu się procesu fermentacji maliny należy umieścić w lnianych woreczkach, a te z kolei włożyć do drewnianych pras. Wyciśnięty sok zbierały w beczkach. Na koniec beczki

z sokiem ustawiano na wozach konnych, obłożone po bokach drągami, wędrowały do Tarnowa. Wywód ten traktuję jako przykład zaradności, gospodarności.

W latach poprzedzających drugą wojnę światową do rodziny w Czchowie przejechali krewni z kresów wschodnich i porozumieli się z miejscowymi ludźmi, którym nie podobała się mocna pozycja Żydów w handlu i gospodarce w ogóle. Można było usłyszeć hasła: „Bij Żyda, nie kupuj u Żyda". W środowisku niechętnemu Żydom rej wodzili bezrobotni m.in. Michał Jarosiński i Andrzej Nowicki. Ten ostatni niebawem, bo na początku okupacji wysłał syna swego do Wehrmachtu. To właśnie oni zbierali się, agitowali przeciw kapitalizmowi i Żydom. Policja ścigała ich. Poniektórzy trafili na parę miesięcy do więzienia. W takiej atmosferze nietrudno było o spięcie czy nawet iskrzenie na linii Polak–Żyd. Drobne złośliwości przeszły już do legendy, dodają barwy lokalnej obyczajowości. Zdarzyło się, że idący z wizytą do dziewczyn chłopcy pomalowali farbą szybę w oknie Żyda. Dowcipny Żyd odpowiedział pięknym za nadobne. Na drzwiach domu wywiesił kartkę z napisem: „Tu mieszkają porządni ludzie Moniek i Iwka a pie... naprzeciwko". Żydzi, bywało, rewanżowali się przypomnieniem zdarzenia, które nie przyniosło chluby pewnemu, jak to określili, katolikowi, gojowi. Oto z okazji wielkanocnej spowiedzi na konnych wozach przyjechali obcy księża. Któryś z parobków wykorzystał wyjście duchownych na posiłek, szybko przebrał się za spowiednika, twarz zasłonił kołnierzem kożucha i zasiadł w konfesjonale. Efekt był natychmiastowy. Wracających kapłanów zdziwił widok kobiet, które, jak wyjaśniły, „za pokutę" trzykrotnie okrążały świątynię na kolanach, przy czym długie spódnice nie ułatwiały wykonania zadania.

Wspomniane zgrzyty nie zamąciły obrazu zgodnej koegzystencji mieszkańców odmiennych wyznań. W czasie nieszczęść losowych, pożaru, chorób Żydzi udzielali kredytu, byli ludzcy. Dobrze wspominam ich.

Po klęsce wrześniowej hitlerowcy chwilowo pozostawili naszych Żydów we względnym spokoju, jeśli nie liczyć przymusowych zbiórek precjozów, zegarków oraz dolarów. Dopiero po ograbieniu nieszczęśników przystąpili do zamykania ich w getcie na terenie odległego o 7 km Zakliczyna, dokąd zabrać mogli jedynie rzeczy osobiste. Nie obyło się bez selekcji; młodych skierowali do pracy przy budowie zapory w Czchowie i drogi, bo użytkowaną jezdnię zalała woda Dunajca. Do otoczonych drutem kolczastym baraków spędzili ok. 30 Żydów z Czchowa, potem dowieźli Żydów z Bochni, Brzeska, Wojnicza, tak że w sumie było 150–200 osób z kobietami zatrudnionymi w kuchni obozowej włącznie. Na posiłki składały się: zupa z pastewnych buraków, czarny chleb i gorzka kawa. Reżym obozowy był od razu niezwykle surowy, by nie rzec drakoński. Rano ustawiali wszystkich w dwuszeregu i według list sprawdzali obecność. Nocne kontrole nasiliły się po tym, jak zauważono, że w nocy niektórzy wymykają się w poszukiwaniu żywności. Bywało, że stwierdzano nieobecność 2–3–4 Żydów. Wracający zgłaszali się na posterunku żandarmerii. Stąd po wręczeniu szpadli prowadzili obwinionych w wiklinę nad Dunajcem. Za nimi podążało 2–3 Żydów z zadaniem zasypania ciał rozstrzelanych. Pozostali Polacy i Żydzi obserwowali wszystko, a wiadomości wynosili na zewnątrz. Pośród nich byłem ja.

W roku 1941, pracując na zaporze, byłem już członkiem ZWZ–AK. Dowódcą został przedwojenny oficer zawodowy wojska por. Eugeniusz Bityk pseud. „Godzisz", pracujący w GS, zamordowany później w więzieniu w Tarnowie. Znajomi Żydzi z Czchowa żalili się, prosili o ratunek, widocznie wyczuli, iż mogę im w jakiś sposób pomóc. Porucznik wydał rozkaz rozbrojenia niemieckich pracowników nadzoru technicznego, tj. inżynierów, kierowników, majstrów, bo ci posiadając krótką broń srogo znęcali się nad pracującymi Żydami. Hitlerowcy ci mieszkali w domu Kazimierza Bryniaka we wsi Będzieszyn, blisko zapory. Wieczory spędzali w knajpie Józefa Kamińskiego, pili piwo, zabawiali się grą w karty. Tu właśnie zastaliśmy pijanego hitlerowca z nadzoru, rozbrojonemu kazaliśmy się prowadzić do domu, gdzie mieszkali pozostali. Przerażony bełkotał nawet nie najgorzej po polsku. W domu

sterroryzowaliśmy trzech, zabraliśmy pistolety, dwa karabiny, radio. Leżących na podłodze biliśmy pałami, pogrzebaczami, nawet nogą od stołu przy wtórze ich pokrzykiwań: „Hitler kaput". Na stole leżały karty. Odtąd zmienili się nie do poznania, byli skruszeni, pokorni. Żandarmi okazali się bezradni, także gestapo, gdyż podczas akcji na twarzach mieliśmy pończochy z otworami na oczy.

Druga akcja była trudniejsza i nie obyło się bez ofiar, choć chcieliśmy ich uniknąć. Na początku 1944 roku rozbiliśmy posterunek żandarmerii hitlerowskiej na zaporze, rozbroiliśmy 20 policjantów granatowych ubezpieczających Niemców. Policjanci mieszkali w domach przy zaporze, tzw. kolonii. Strzeżony obiekt był ważny gospodarczo, elektrownia wytwarzała prąd elektryczny pozwalający regulować poziom wody w Jeziorze Czchowskim. Dlatego pilnowali kolejnych zapór na Dunajcu w Czorsztynie, Rożnowie i Czchowie. Żandarm Wodomajer i mistrz Krauze znani byli z nienawiści do Żydów. Z mściwości i zaciętości bili, kopali i lżyli Żydów. Ci zdążyli otworzyć ogień z pistoletów, dlatego zgładziliśmy ich natychmiast. Rozbrojone kierownictwo budowy zapory i drogi nie przerwało pracy. Burza zawisła w powietrzu.

Niemcy i własowcy ostrzelali las z daleka. Taka była zapowiedź pacyfikacji Czchowa. 50 własowców wyruszyło do miasteczka, na samochodach, wozach konnych, nawet na koniach. Zakwaterowanie znaleźli na plebanii i w budynku szkolnym. Po południu w kościele na chórze umieścili cekaem pozwalający im sterroryzować ok. 200 uczestników nabożeństwa. Hitlerowski oficer idąc przez kościół trzciną wskazywał mężczyzn na stracenie. Czterech powiesili na drzewach przy kościele, ośmiu zastrzelili. W domach rozpoczęły się gwałty, krzyki kobiet. Stawiających opór mordowali. Tak było z Fiakiem z Mikuszyc koło Bielska Białej, nauczycielem tutejszej szkoły. Dwie stodoły spalili.

Od tej pory już nie mordowali Żydów na miejscu, chorych, osłabionych wywozili do Bełżca. Trudna, katotrżnicza była praca w kamieniołomach. Żołnierze, niemieccy minami kruszyli skały. Żydzi wybierali kamienie, które w końcu trafiały na budowę drogi

nad Jeziorem Czchowskim. Meser z Krakowa, krawiec z zawodu, ożeniony z moją sąsiadką Hają Wincenberg, po wysiedleniu rodziny do Zakliczyna, skierowany został do budowy drogi wzdłuż jeziora nad Dunajcem.

Przy okazji sporadycznych spotkań prosił o dostarczenie mu pożywienia. Wreszcie którejś nocy przekradł się do mego domu, który stał obok posterunków: żandarmerii i policji granatowej. W rękach trzymał trzewiczki zamordowanej córeczki, rozpaczał, szlochał, nie wiedział co począć. Po paru dniach poszedł dobrowolnie do getta. Wojnę przeżył. Po wkroczeniu Sowietów zamieszkał w Bytomiu przy ul. Adolfa Hitlera. Gospodarstwo swego teścia sprzedał memu ojcu, zachował się akt notarialny.

Żydom radziłem szukać ratunku na wsiach, w lasach. Josek rzeźnik przetrwał w ukryciu u Tadeusza Rybickiego w rynku, w położonych w tyle budynkach gospodarczych.

Na koniec wspomnieć muszę o makabrycznej scenie, którą oglądałem w lipcu czy sierpniu 1940 roku w Brzesku, kiedy to czekałem na furmankę do Czchowa. Dobrze pamiętam, jak czterech Niemców przyjechało samochodem osobowym, a trzech na motocyklu. Przybysze zatrzymali się blisko szpitala, na łące, przy dzisiejszej obwodnicy prowadzącej do Bochni. Inni przywieźli 14–15 Żydów, wśród krzyku, i śmiechu pozostawili ich na łące, po czym odeszli. Jednak zaraz zawrócili, by otworzyć ogień z pistoletów. Trzej Niemcy eskortujący tych Żydów na miejsce kaźni strzelali z broni maszynowej. Jak się później okazało, pośród zabitych byli odważni, którzy przezornie padli na ziemię skutecznie udając martwych. Niemcy zaraz odjechali. Ci odważni Żydzi ocaleli. Nasi sąsiedzi zaniemówili po usłyszeniu tych informacji.

Dziś w roku 1989 daję świadectwo prawdzie, odtwarzam fakty, służę informacjami tak wyśmienitym twórcom i autorom, jak Stanisław Dąbrowa „Kostka", Stanisław M. Jankowski czy dziennikarze. Część tych wiadomości znalazła się na łamach miesięcznika „Czas Czchowski", ale to dopiero początek mej opowieści o okropnościach wojny i okupacji. Dodam jeszcze, że jako jedyny w okoli-

cy otrzymałem krzyż partyzancki. W obronie bliźnich ryzykowałem życie, ale nie żałuję tego.

Wielcy wśród nas – odchodzą

Józef Łojek
„Czas Czchowa", nr 67, maj 1998 r.

„Kto ratuje jedno życie, jakby cały świat ratował" – taki napis w języku polskim i hebrajskim znajduje się razem z mottem: *„w wiecznej pamięci leży tajemnica odkupienia" (Baal–Szem–Tow)* na dyplomie honorowym, który został przyznany dla Franciszka Musiała z Jurkowa.

Franciszek Musiał urodził się w 1904 roku w Lewniowej. Ożenił się w Tworkowej, po niedługim czasie razem z żoną wyjechał do Francji, gdzie przez sześć lat pracował jako górnik. Po powrocie z Francji zakupili ziemię w Jurkowie, gdzie się osiedlili. Wychowali czworo dzieci.

Pana Franciszka i jego żonę znałem osobiście. Pracował w latach osiemdziesiątych jako dozorca mienia Spółdzielni Inwalidów w Bochni, a dozorował w GS Czchów.

Czas jest przemijający, a ludzka pamięć zawodna i ulotna toteż wiedzy potomnych i szacunku dla „wielkiego człowieka", bo takim niewątpliwie był Pan Franciszek Musiał, niniejsze wspomnienie uwidaczniam. Był inwalidą wojennym pierwszej grupy, odłamek pocisku, który uderzył w drzewo, odłamał mu rękę. Nie jest to jednak tak ważne.

Jak już wspomniałem w pierwszych słowach, *„kto ratuje jedno życie, jakby cały świat ratował"*

Franciszek Musiał z Jurkowa był jednym z nielicznych w naszym regionie człowiekiem, który otrzymał: medal Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata, legitymację Nr 737 z 27.07.93. Polskiego Towarzystwa Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata oraz dyplom honorowy wystawiony w Jerozolimie w Izraelu 20.04.1993 r. o treści:

„Niniejszym zaświadcza się, że Rada d/s SPRAWIEDLIWYCH Wśród Narodów Świata przy Instytucie Pamięci Narodowej „YAD VASHEM" po zapoznaniu się ze złożoną dokumentacją ustanowiła na posiedzeniu 21.08.90. odznaczyć FRANCISZKA MUSIAŁA Medalem Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata w dowód uznania, że z narażeniem własnego życia ratował Żydów prześladowanych w latach okupacji hitlerowskiej. Imię Jego umieszczone będzie na honorowej tablicy w Parku Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata na Wzgórzu Pamięci w Jerozolimie

Jerozolima – Izrael 20.04.1993 r.
(Dyplom w twardej oprawie w języku polskim i hebrajskim)

Pan Franciszek uratował żydowskie małżeństwo Oskara i Frydę Haber, którzy pracowali u państwa Osieckich w Jurkowie, jednak na skutek donosu musieli uciekać. Pan Musiał wyprowadził ich na przysiółek Dąbrowa w Jurkowie, nocą do swojego domu, później przeprowadzał ich do siostry na Łacnową w Tworkowej i do swej rodziny w Lewniowej, gdzie ich karmił i czynił wszelkie starania aby przeżyli do końca okupacji. „To byli ludzie, młodzi, zdolni, chcieli żyć – to był Boży, chrześcijański obowiązek" mawiał gdy go pytano, dlaczego to zrobił. Za swoją pracę i postawę Franciszek Musiał został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, legitymacja nr 1283–74–167 z 21.08.1974 r., który dał jako wota do kościoła w Jurkowie. Franciszek Musiał był odznaczony za zasługi dla Ziemi Krakowskiej w 1974 roku oraz otrzymał Honorową Odznakę Zasłużonego Działacza Związku Inwalidów Wojennych Nr 505/78 z 28.07.1978 roku.

Uratowane małżeństwo żydowskie po wojnie wyjechało do Krakowa, później do Izraela, a stamtąd do USA. To oni wystąpili o przyznanie dyplomu, medalu oraz posadzili drzewo w Parku Sprawiedliwych... *„Żegnamy dziś człowieka, który był wielki swoim życiem i postępowaniem, Polaka, katolika, chrześcijanina, jakiego*

Jurków nie miał i chyba miał nie będzie – Sprawiedliwego Wśród Narodów Świata..." powiedział ksiądz proboszcz w Jurkowie na mszy żałobnej w kwietniu b.r.

Wieczne odpoczywanie daj mu Panie!

Dąbrowa Tarnowska

Ucieczka z rynku i getta

Świadkiem hitlerowskich okrucieństw i prób walki z ich sprawcami był Stanisław Opioła, urodzony 1922 roku w Dąbrowie Tarnowskiej.

Ojciec, Błażej, miał gospodarstwo pięciomorgowe, a ponadto od Franciszka Puły dzierżawił dwie morgi i taką samą ilość gruntu od szwagra Franciszka Skrzyniarza. Posesja znajdowała się za miastem w polu i nad brzegiem rzeki Breń i niedaleko Borsy, a więc na obszarze dość zarośniętym krzakami, co w tym czasie miało wielkie znaczenie dla urządzania sobie choćby przejściowo kryjówki. Każdy wąwóz, krzak był sprzymierzeńcem ściganych i dawał jakie takie oparcie i schronienie.

– Dopóki nie było getta – wspomina Stanisław Opioła – to o Żydach dużo się słyszało, ale nie były to wieści tak wstrząsające, jak to się miało stać później. Dzieci i starzy chodzili po wsi dla zdobycia żywności. Żydówki starały się nadać sobie wygląd typowy dla miejscowej ludności polskiej, a wszystko dla większego bezpieczeństwa. Sprzedawały tekstylia i różne poszukiwane artykuły przemysłowe, a także pozbywały się biżuterii.

Ojciec był sołtysem i znał się z burmistrzem dr Łukaszem Staśko, który umiał mówić po niemiecku. Ułatwiało mu to znacznie obronę Polaków. Gdy na peryferiach miasta zginął Niemiec, ojciec był zaniepokojony o los zakładników, ale Staśko zapewnił, że będzie próbował ich bronić. I rzeczywiście uratował im życie, uzasadniając swoją obronę tym, że Niemiec zginął poza miastem. Tak to było w latach, gdy życie nasze zależało od humoru i kaprysu żandarmów, którzy na siedzibę wybrali sobie budynek gimnazjum w Dąbrowie Tarnowskiej.

Jeden z tych ówczesnych panów życia i śmierci złapał kiedyś mojego ojca po godzinie policyjnej. W takich przypadkach łatwo

było stracić życie, bo cóż to szkodziło żandarmowi strzelić do przechodzącego. Skończyło się dobrze, bo żandarm przypomniał sobie, że kiedyś na weselu w Rudzie u Tadeusza Jarosza tańczył z córką sołtysa, która zaimponowała mu tym, że miała warkocze aż po kostki. Na tym weselu był też Wojciech Basta i przeklinał Niemców. Żandarm Billert zauważył to i strzelał za uciekającym.

Mój ojciec był odważny i potrafił zapobiec aresztowaniu Żyda, kryjącego się w pszenicy. A doszło do tego w ten sposób, że sąsiad Władysław Szoł, cieśla z zawodu, budował nam piwnicę i on tego Żyda zauważył, a do ojca przyprowadził jako do sołtysa. Za Żydem ujął się murarz Nalepa i żądał wypuszczenia schwytanego, czemu ojciec nie przeszkadzał, ryzykując jako sołtys własną głowę.

Schwytany był znany w naszej okolicy jako kupiec Werker, do niedawna właściciel składu pszenicy. Znałem go, bo krył się w kopkach. Prosił mnie nieraz o wodę, której mu oczywiście nigdy nie odmawiałem. Było też u nas trzech Żydów od Borsy. Zatrzymali się u nas chwilowo i poszli jeszcze po coś do getta. Tam ich zaskoczyła brutalna akcja przeciw Żydom. Spędzeni, zapłakani klęczeli na rynku, a Niemcy ich pilnowali. Rynek był wtedy zburzony, kamienie leżały na kopie. Ojciec podjechał pod kopę kamieni i trzech Żydów dołączyło do robotników. Razem z nimi opuścili rynek.

Wieczorem przyszli do nas z wódką i wylewnie dziękowali. Hitlerowcy zabijali Żydów za byle co, pod byle jakim pretekstem, później zaś już i bez pretekstu. Na przykład kiedyś grali w karty wieczorem przy świetle. Niemcy wpadli i zabili ich. Gdy Żydzi, zamknięci w getcie, spodziewali się akcji hitlerowskiej, uciekali poza mury i wieczorem podchodzili do nas od strony rzeki i zarośli. Pukali do okna i pytali o nowości z miasta. Sypiali w naszej stodole na sianie. Na polach można było z początku spotkać po 30 Żydów. Składali siano i starali się upodobnić do chłopów. Początkowo, przed utworzeniem getta byli zarejestrowani w Arbeitsamcie i przychodzili do pracy w polu. Pracowali z parobkami Franciszka Borsy, z Piotrem Wężowiczem i Franciszkiem Kotem. Bogaci Żydzi proponowali wówczas ojcu premie, by ich ukrył, ale funkcja sołtysa nie

pozwalała na to. Niemcy wpadali tu, zwłaszcza na przednówku. Ojciec musiał wyznaczać furmanów, dziesiętników. Kontyngent dzielili razem z tak zwanym agronomem, którym był Franciszek Borsa. Pomagali Marcin Trędota i Piotr Ciećko. Wciąż do nas ktoś przychodził. Niemcy także, choćby w związku z listą na mleko, które rabował okupant, albo w sprawie kontyngentu krów, który też trzeba było wyznaczać.

Niemcy stale ojca ganili, że wyznacza zbyt mało furmanek, że za mało zgłasza krów na kontyngent. Gdy nie pomagały te nalegania, w 1943 roku sołtysem na miejsce ojca wyznaczono Piotra Ciećko. A wszystko to działo się w atmosferze narastającego terroru. Żydów w czasie akcji zabijano w dołach i krzakach, wciąż polowano na nich jak na zające.

Pewnego razu była akcja w mieście i w naszej stodole zebrali się wszyscy uciekinierzy żydowscy, ale zbyt głośno rozmawiali i sąsiedzi to usłyszeli. Na szczęście obeszło się bez tragedii.

Pracował u nas niejaki Siedener, który miał matkę i siostrę w getcie. Przez półtora miesiąca kosił, woził snopki. Gdy mieli likwidować getto, Żydzi uciekli za Wisłę, między innymi do Pacanowa, gdzie na razie było bezpieczniej. Wreszcie przyszła do nas matka Siedenera i mówiła, że jadą do Pacanowa.

Siedenerowa z piękną córką była u nas parę dni, byli i inni uciekinierzy z getta. Spali na słomie, nosiłem im dużo herbaty i jadła. Siedzieli z tobołami. Zebrało się ich tu 25 osób. Zaprowadziłem ich do Franciszka Trędoty, a ten w nocy przeprowadził ich za Wisłę. Żydzi mu dobrze płacili. Trędota mieszkał w dworku, który sprzedali poprzedni właściciele Zagórniakowie. Dworek stoi w mieście.

Przed akcją Aron Werker schował dolary pod przyciesie, a później kupował za nie chleb. Mówił, że kilku Żydów zakopało kosztowności na terenie getta i wiele z nich przepadło. Bywaliśmy stale niepokojeni. Żandarm Ketter wpadł na przykład do nas i pytał, gdzie mieszka Światłowska. Wskazałem okrężną drogę, ale on poszedł na skróty. Okazało się, że teściowa wydała zięcia Żyda ze strachu o siebie. Postawili ją pod ścianą, a jego zamknęli w sieni. O za-

chodzie słońca prowadzili do gimnazjum, gdzie miała swoją siedzibę żandarmeria, a na drugi dzień zwłoki zakopano w kirkucie. Taki los czekał wszystkich Żydów, którzy wpadli w ręce hitlerowców lub ich sługusów.

Po partyzancku – ze sztachetami na ramieniu

Wobec okrutnych prześladowań Żydów nie pozostał obojętny Franciszek Trędota, urodzony w 1912 roku w Dąbrowie Tarnowskiej.

Jako tutejszy mieszkaniec – opowiadał po latach – znałem wielu Żydów i rozumiałem ich w pełni, gdy prosili mnie o ratunek. Wielokrotnie podwoziłem ich aż do Wisły. Tutaj w Borusowej przeprawiali się łodzią na lewy brzeg rzeki. Udawali się z reguły do Nowego Korczyna, a tam było jeszcze cicho.

Byliśmy w kontakcie z Żydami w getcie i organizowaliśmy ich ucieczki za Wisłę lub na wieś.

Jako nasz zaufany kontaktował się z nami Jankiel Zies. Był to znany stolarz w Dąbrowie Tarnowskiej. Pomagał w organizowaniu ucieczki z getta. Droga tych ucieczek wiodła na umówione miejsce w polu koło Gruszowa. Oczywiście, na taką ryzykowną wyprawę można było sobie pozwolić tylko nocą.

Jesienią 1941 roku obaj z Adolfem Filipiakiem z Olesna przeprowadzaliśmy odpłatnie 12 Żydów, w tym, do przewozu w Borusowej, na Wiśle u ujścia Dunajca. Żydzi jechali na wozach, a my obok ubezpieczaliśmy ich na rowerach, jeden z przodu, drugi z tyłu. Nie wolno było świecić, by nie zwracać uwagi na ten dziwny konwój. Nikt nie chciał wpaść w ręce Niemców.

W Niwkach, za dworem natknęliśmy się na sześciu konnych żandarmów jadących od strony Wisły. Jako konwojenci wyprzedziliśmy wozy, gdy tylko usłyszeliśmy stukot kopyt końskich. Podjechaliśmy bliżej, by stwierdzić, że to żandarmi. Wróciliśmy do jadących Żydów, ale nie dało się ich już natychmiast ukryć.

Zaryzykowaliśmy, jak to mówią gracze: va banque! Wyrwaliśmy sztachety i dwójkami maszerowaliśmy z tymi sztachetami, jak z karabinami, na rozkaz: „Na ramię broń". Wozy z tobołami i dziećmi pozostały w tyle. Liczyliśmy na to, że Niemcy panicznie boją się partyzantów i rachuba okazała się w pełni słuszna, tym bardziej, że teren był już dość sprzyjający, pokryty krzakami.

Żandarmi kilkakrotnie oświetlali nas latarkami elektrycznymi. Szliśmy dalej, ażeby spotęgować wrażenie podawaliśmy komendę:. „Raz, dwa!". Niemcy nie zatrzymali nas, odbili w lewo, ku Zalipiu, jak gdyby nigdy nic... Później i myśmy świecili, a na końcu podciągnęliśmy wozy, ruszając ku Wiśle. Wróciliśmy do dawnego szyku: znów rower z przodu i rower z tyłu. Nasi podopieczni szczęśliwie przeprawili się za Wisłę, a tam nie było jeszcze wysiedleń.

Za cenę własnego życia

Nasz ponad 100–letni domek – wspomina Julian Gruchała – stał w Dąbrowie Tarnowskiej przy ulicy Szkolnej 56, ale na uboczu, odsunięty od ulicy Szkolnej, od której prowadziła jedynie ścieżka dla pieszych, a dojazd prowadził od ulicy Cmentarnej. Zdawać by się mogło, że tu bezpiecznie, ale i tu okupanci trafiali od czasu do czasu.

Mieszkałem tu od urodzenia z matką, siostrą i babką, bo ojciec Jan Gruchała zmarł jeszcze przed wojną.

Pewnej jesiennej nocy 1942 roku ktoś puka do okna, matka wyszła, po chwili przyszła po mnie. Kiedy wyszedłem, zobaczyłem Żydówkę Szifrę, którą dobrze znałem, bo od małego dziecka chodziłem do niej do sklepu po zakupy. Prowadziła wraz z mężem i swoją siostrą sklep „Towary mieszane" przy ulicy Jagiellońskiej.

Błagała ona matkę, aby ją wraz z rodziną przyjęła i ukryła przez kilka dni, bo gospodarz, u którego do tej pory się ukrywała, wyrzuca ich, gdyż nie mają czym płacić. Skończyły się im pieniądze i gospodarz grozi, że zgłosi żandarmerii.

Byłem jeszcze, można powiedzieć, dzieckiem (ukończyłem dopiero 14 lat), ale jedynym mężczyzną w domu przed którym Matka nie miała żadnych tajemnic: dlatego też chciała tę ważną sprawę uzgodnić ze mną. Zdawała sobie sprawię, że ja i tak o tym wiedzieć muszę, a poza tym, że muszę jej w tym pomóc.

Przyjęcie do domu, gdzie mieszkają cztery osoby, dodatkowo pięciu osób nie jest sprawą prostą, nawet ze względu na samo wyżywienie w czasie okupacji. Wówczas była mowa o pięciu osobach, tj. Szafira, jej mąż, dwoje dzieci i jej siostra. Uzgodniliśmy ostatecznie, że ukryjemy ich na jakiś czas na strychu nad spiżarnią – komorą z wejściem z drewutni. Był to budynek stojący prostopadle do domu mieszkalnego. Na suficie komory rozłożono słomę, aby było cieplej i na druga noc przeprowadzili się.

Kiedy ukończyłem szkołę podstawową, aby nie zostać wywieziony na przymusowe roboty do Niemiec, matka z trudem załatwiła mi praktykę uczniowską w jedynym wówczas w Dąbrowie Tarnowskiej warsztacie ślusarskim, prowadzonym przez Sadkego – był to volksdeutsch, który solidnie dawał w skórę swymi uczniom, a nawet czeladnikom.

Wychodząc więc z pracy w warsztacie, kupowałem zawsze dwa bochenki chleba dla ukrywających się, z tym, że w zasadzie za chleb dawali pieniądze, ale czasem i tak było, że nie mieli i matka ostatnie grosze dawała na chleb dla nich. Kartofle i mleko mieliśmy swoje, więc matka im gotowała i dawała.

O ich kryjówce nikt nie wiedział poza matką, a po jakimś czasie siostrą. Babka nie wiedziała – była osobą starszą, miała swe dwie córki i sąsiadów, do których chodziła i nie utrzymałaby tego w tajemnicy przez dłuższy czas.

Nadeszła zima, a oni nie mieli dokąd pójść – mimo dużych obaw matki, pozostali. Matka jak mogła, tak im pomagała, aby przetrwali najtrudniejszy okres zimy, obok ciągłych obaw o życie wszystkich – ich i nasze.

W nocy zawsze wychodziły 1–2 osoby; wynosili nieczystości, a nadto chodzili gdzieś do znajomych, prosząc o wsparcie. Nie byli

to ludzie bogaci – żyli ze swego sklepu w zasadzie na bieżąco, a więc ich zasoby finansowe szybko się skończyły. W okresie zimy, kiedy był śnieg, takie wyjścia poza budynek były bardzo niebezpieczne, bo widać było człowieka na śniegu dokładnie, a kiedy spadł świeży śnieg, pozostawały ślady, po których można poznać, że ktoś wyszedł lub wszedł do budynku.

Zima przeszła szczęśliwie – nadeszła piękna wiosna i lato, ale przygnębienie narodu polskiego było coraz większe. Okupant zaostrzył represje, ale równocześnie ponosił klęski na froncie wschodnim i to dodawało otuchy. Ukrywający się zawsze czekali na wiadomości z frontu wschodniego, dobre wieści cieszyły ich i dodawały im sił do trwania w tej nędzy. Często wątpili w możliwość przetrwania, ale matka zawsze dodawała im otuchy – pocieszała. W okresie wiosny i lata łatwiej im było żyć, a i matka miała mniej kłopotu. Ja nadal nosiłem po dwa bochenki chleba, a od pewnego razu prosili o trzy. Było to dla nas trochę podejrzane, ale przez cały czas nikt z nas nie wchodził do ich kryjówki, nie kontrolował ich. Wówczas prawdopodobnie doszły tam trzy osoby, to jest druga rodzina o nazwisku Pinkus, Cizer z żoną i synkiem, o czym do końca nikt z nas nie wiedział.

Przyszedł dzień 4 lipca 1943 roku, kiedy majster Sadke postanowił wysłać nas do obozu pracy, w tym swojego siostrzeńca za tak zwany mały sabotaż. W jego warsztacie ślusarskim jako jedynym wówczas w Dąbrowie Tarnowskiej, żandarmeria i w ogóle Niemcy naprawiali samochody, motocykle, rowery, broń itp. Wówczas zmówiliśmy się we trzech, to jest Henryk Orszulak czeladnik, Tomasz Papis – uczeń, siostrzeniec Sadkego i ja najmłodszy uczeń, że będziemy uszkadzać, co tylko będzie możliwe, jeżeli służyć ma okupantowi. Tak więc na przykład rozgrzewaliśmy do czerwoności śruby, wałki itp., przed zamontowaniem do rowerów, motocykli, iglic do pistoletów czy karabinów, uszkadzaliśmy resory w samochodach, wkładaliśmy grubsze opiłki żelaza do opon samochodów, motocykli czy rowerów itd. itd. Sprzęt ten szybko wracał do warsztatu. Pewnego razu przyłapał nas na tym majster i sam osobiście

doręczył nam wezwanie do Arbeitsamtu. Kiedy tam zgłosiliśmy się, już nas nie wypuszczono, lecz wywieziono do obozu pracy. W dzień mych urodzin, 5 lipca 1943 roku wszedłem za bramy obozu pracy w Pustkowie, a następnie przewieziono mnie do Stalowej Woli, gdzie mieszkałem w barakach leśnych, wraz z 15 innymi więźniami w jednej sali baraku.

Pracowałem w kuźni, walcowni i na szlifierkach. Po kilku miesiącach ciężkiej jak na mój wiek pracy, stałej głodówki i bicia – uciekłem w ostatnich dniach października 1943 roku. Po kilku dniach dotarłem do domu i tu był problem, czy mnie nie będą poszukiwać, czy nie będzie rewizji. Rzeczywiście, Arbeitsamt szukał mnie, wyznaczał terminy zgłoszenia się, ale dzięki znajomym, którzy znali kierownika Arbeitsamtu, Eimesa i jego zastępcy Banacha, który mnie również znał, bo przed 1943 rokiem, uczył mnie czasem w szkole podstawowej – jakoś udało się, a groziło mi co najmniej wywiezienie na roboty do Niemiec. Nie wrócił z obozu Tamek Papis – siostrzeniec majstra. Nadeszła druga zima – okres jeszcze cięższy dla ukrywających się, bo przecież byli coraz bardziej wyczerpani, szczególnie dzieci. Matka jak mogła, tak im pomagała, chociaż sama była w ogromnie trudnych warunkach materialnych.

Pewnego zimowego dnia 1943/1944 jeździłem z nieco starszym od siebie sąsiadem na nartach własnej roboty. Kiedy wróciliśmy, poszedłem do domu, zostawiłem narty i ponownie wyszedłem i wówczas zobaczyłem, że ten sąsiad przytulony do ściany komory podsłuchuje, jak w tym czasie matka zaniosła lokatorom ciepłe pożywienie w południe i z nimi rozmawiała. Były to cienkie ściany drewniane, wiec prawdopodobnie wszystko słyszał, o czym się mówiło. Kiedy mnie zobaczył, odskoczył od ściany i poszedł do domu. Od tej pory trzech najbliższych sąsiadów, w tym jego ojciec, kilkakrotnie mówiło matce, że przechowuje kogoś, że kogoś ukrywa, że w nocy ktoś koło domu chodzi i żeby pozbyła się tych osób, bo może być źle.

Matka powiedziała o tym ukrywającym się, chcąc żeby się wyprowadzili, bo może dojść do nieszczęścia. Oni nie mając pieniędzy, nie mieli gdzie pójść – chodzili do znajomych, nikt ich nie chciał przyjąć bezinteresownie. Każdy się bał, bo front przybliżał się, coraz więcej było wojska niemieckiego. W rozmowie z nami, mówili, że jeżeli stąd pójdą, to tylko na śmierć – bo tak jakby zgłosili się na żandarmerię. Ukrywali się więc u nas nadal. Jakoś przeszła szczęśliwie zima – wszyscy z nadzieją i tęsknotą patrzyli w najbliższą przyszłość, spodziewając się tak upragnionego końca wojny – wyzwolenia.

Okres okupacji przecierał się – żandarmeria z Dąbrowy Tarnowskiej uciekała i wracała, okupacja trwała nadal. Coraz więcej było łapanek w mieście.

Nadszedł sierpień 1944 roku – masowe łapanki – w dniu 24 sierpnia 1944 roku, matka zaraz z rana wróciła z miasta, opowiadając co się tam dzieje. Przyszedł do nas kuzyn Janek Dorosz. W ogrodzie zbieraliśmy owoce, nie biorąc pod uwagę, co mówiła matka. Ale w końcu na siłę wypchała nas do rodziny w Szarwarku (wioska położona 8 kilometrów od Dąbrowy Tarnowskiej). Jeszcze ociągaliśmy się z pójściem, ale matka nas ponaglała i po prostu kazała pójść. Poszliśmy, a po przejściu kilkuset metrów usłyszeliśmy strzały, wiec przyspieszyliśmy kroku i „na bliższe" przez pola poszliśmy do rodzinnego domu matki, gdzie spędziliśmy resztę dnia. Pod wieczór postanowiliśmy wrócić do Dąbrowy Tarnowskiej, ale nie uszliśmy daleko, bo koło szkoły w Szarwarku spotkała nas znajoma kobieta, która wracała z Dąbrowy Tarnowskiej i pytała, po co tam wracamy, bo w domu wszystkich wystrzelano i nie mamy po co tam wracać.

Serce we mnie zamarło – przed oczami stanął mi obraz całej tragedii. Nie zdradzając się jednak przed kuzynem z tym, że wiedziałem o Żydach, poszliśmy ostrożnie przez pola do Dąbrowy Tarnowskiej. Podeszliśmy w pobliże domu kuzyna, on poszedł do swego domu dowiedzieć się prawdy, a ja w największej rozpaczy zostałem w pobliskich zaroślach. Po chwili przyszła ciotka, matka kuzyna i powiedziała, że pięcioosobową rodzina Szifrów zastrzelono i pochowano w ogrodzie. Babka Anna Gruchała została postrzelona

opatrzył ją lekarz dr Rosławski. Niemcy jednak przyszli ponownie, zabrali z domu wszystko, co była im przydatne, a resztę zniszczyli, babkę zastrzelili na progu domu. Matka Julia Gruchała i jej 10-letnia siostra Zofia zostały aresztowane, w tym, w czym były. Związano im ręce drutem i zaprowadzono boso do więzienia w Dąbrowie Tarnowskiej. Ja miałem szczęście w nieszczęściu, że matka na siłę wypchała mnie z kuzynem z domu w ostatniej chwili.

Nie był to jednak przypadek — jak pisze mylnie w książce „Polacy i Żydzi 1939–1945" Józef Kozaczka – to ktoś skierował żandarma z żandarmerii polowej, który po przejściu nie zatrzymując się poszedł prosto do budynku gospodarczego i krzyknął, żeby schodzili. Rodzina Szifrów zeszła, kazał się im położyć twarzą da ziemi i strzelał kolejno w tył głowy, aż zabrakło mu naboi w pistolecie. Za chwile przyszedł drugi oprawca i dokończył dzieła. W tym czasie rodzina Pinkusa Cizera uciekła przez otwór w facjacie budynku i gdzieś ukrywając się przeżyła podobno wojnę, ale że mnie nie pokazali się po wojnie, ja ich też nie szukałem.

Kiedy strzelano do Żydów, siostra, 10-letnia dziewczynka, klęcząc błagała, by do niej i mamusi nie strzelali. Być może, że to oprawców wzruszyło, bo ich nie zastrzelili, lecz aresztowali.

Na trzeci dzień wywieziono je do wiezienia w Tarnowie, gdzie były przesłuchiwane, a po pewnym czasie matkę wywieziono do obozu koncentracyjnego w Bergen–Belsen, a siostrę jako dziecko przekazano zakonnicom w jakiejś kuchni, gdzie miała im pomagać. Ponieważ płakała i prosiła o odesłanie jej do domu, jakaś pani, jadąc do Szczucina, zabrała ją do pociągu i wypuściła na stacji w Dąbrowie Tarnowskiej. Poszła do domu, w którym nie było nikogo i nic. Dom miał być spalony, ale kilka metrów dalej stała stodoła sąsiada volksdeutscha, więc nie mogli tego zrobić.

Ja zaraz wieczorem, kiedy się dowiedziałem od ciotki prawdy, wróciłem do Szarwarku i tam ukrywałem się u rodziny matki. Ale żandarmi niemieccy i tam trafili już na trzeci dzień. Wcześnie rano przyjechali na motocyklu Zimermann – Ślązak, bardzo dobrze mówiący po polsku, oraz Minhoff - Niemiec. Akurat po zimnej

nocy spędzonej w polu przyszedłem wczas rano i piłem garnuszek gorącego mleka, kiedy przez okno zobaczyłem idącego Zimermanna – znałem ich dobrze jeszcze w warsztacie Sadkego. Nie miałem wyjścia, musiałem uciekać, bo wiedziałam, że z ich rąk nawet do Dąbrowy Tarnowskiej bym nie dojechał. Kiedy wyskoczyłem z domu i uciekałem, Zimermann strzelił za mną dwa razy, ale na szczęście niecelnie, udało się jeszcze raz. Od tej pory zmieniłem teren ukrywania się. Matka, przebywając w wiezieniu w Dąbrowie Tarnowskiej, prosiła klucznika wiezienia, aby jej dał papier i ołówek, bo chciała napisać kilka ostatnich słów do mnie i do swojej bratowej Marii Dorosz. Wyrwał wiec kartkę z notesu i wraz z ołówkiem podał.

Matka napisała kilka słów do ciotki i ostatnie słowa do mnie, z którymi nie rozstaję się do dziś, uważając je za swój talizman i największą pamiątkę. Wraz z tą kartką do mnie przekazała swoją ślubną obrączkę, której żandarmi nie zauważyli.

Klucznik przekazał za pośrednictwem Stanisława Jarosza kartki, nie przyznając się do posiadania obrączki. Dopiero gdy siostra wróciła z wiezienia i wspomniała o tym fakcie, wujek upomniał się i wówczas zdziwiony obrączki oddał. Był przecież nie tylko Polakiem, ale i znajomym, a mima to korzystał z tragedii ludzi więzionych. Jak zawsze, tak i w tych tragicznych czasach byli jak to się mówi „ludzie i ludziska" bez czci i honoru.

Po wyzwoleniu poszukiwałem matki za pośrednictwem PCK w wielu krajach. Otrzymałem wiele odpowiedzi, w tym i takie, że nazwisko figuruje, a osoby nie mogą odnaleźć i o wyniku dalszych poszukiwań zostanę powiadomiony. Trwało to wiele lat. Istotnie zostałem powiadomiony pismem Sonderstandesamt w Arolsen Kreis Waldeck, dopiero z dnia 14.III.1961 roku, że moja matka zginęła w obozie w Bergen–Belsen... Jakkolwiek byłem przekonany już w tym czasie, że nie żyje, to jednak ta wiadomość była dla mnie wiadomością tragiczną. Była młodą, ładna kobietą, przeszła wiele – śmierć męża, cały koszmar okupacji i zginęła w ostatnich dniach wojny, za to tylko, że chciała ratować innych.

Po wyzwoleniu, mając 17 lat, zastałem wraz z młodszą o kilka lat siostrą. Zamiast pójść do szkoły byłem zmuszony podjąć pracę, aby zarobić na utrzymanie własne i siostry. Pozostaliśmy w tym, co mieliśmy na sobie, a więc prawie nadzy i bez środków do życia. Nikt nie udzielił nam pomocy, nikogo też o to nie prosiłem.

1 lutego 1954 roku zacząłem pracować w administracji, w której pracuję cały czas do dnia dzisiejszego, przechodząc tylko przez różne szczeble i stanowiska, zawsze licząc tylko na własne siły. Siostrę skierowałem da szkoły, a po zdobyciu zawodu podjęła pracę w służbie zdrowia, gdzie również dalej pracuje.

O krok od prześladowcy

Wyjątkowo bogate w fakty, godne scenariusza filmowej tragedii okazują się wspomnienia Franciszki Gruszów, z domu Bleifer, urodzonej w 1915 roku w Pleśnej, koło Tarnowa. W lipcu 1941 r. Niemcy wysiedlili jej rodziców do getta w Tuchowie, a stamtąd do Bełżca, gdzie zginęli. Mieli sześcioro dzieci, troje spośród nich przebywało w Argentynie, zaś troje w Tarnowie, gdzie pozawierali związki małżeńskie.

Brat Józef z siostrą Marią – wspomina Franciszka – zginęli razem z rodzicami w Bełżcu. W czasie pierwszego wysiedlenia na początku czerwca 1942 roku ukrywałam się w Tarnowie, w piwnicy przy ul. Widok 5 (boczna Lwowskiej). Mąż był w Dąbrowie Tarnowskiej z półtoraroczną córką Czesławą. Mieszkali u rodziców w rynku.

To pierwsze wysiedlenie w Tarnowie odbyło się na podstawie list. W nocy policjanci żydowscy roznosili wezwania do stawienia się na tarnowskim rynku. Gdy wywieziono zebranych w ten sposób, pozostałych Niemcy brali do transportu bez żadnych list. Szli wzdłuż ulicy i wyznaczali mieszkańców z domów, kazali iść na rynek, a stamtąd gnali do pociągu towarowego, stojącego na bocznicy. W drodze do pociągu bili i zabijali pędzonych. Zabitych zbierali

żydowscy policjanci i na ręcznych wózkach wieźli na kirkut. W pociągach ludzie męczyli się w potwornym tłoku. Bici, wepchani do bydlęcych wagonów jechali do Bełżca, nie wiedząc co ich jeszcze czeka, bo Niemcy zapewniali, że to wywózka na roboty.

Pierwsza morderczа akcja hitlerowców trwała tydzień. Okazało się, że wielu Żydów zdołało się ukryć. Później oprawcy wygnali ich z domów. Część pochwyconych zostawili w Tarnowie, zamykając ich w garażach przy ulicach: Nowej, Garbarskiej, Lwowskiej. Zebrano tam 15 tysięcy spośród 39 tysięcy Żydów, mieszkających w Tarnowie. Przed utworzeniem getta zwieźli Żydów ze wsi i innych pobliskich miast.

Po drugim wysiedleniu, które miało miejsce we wrześniu 1942 r. zostało w mieście nie więcej niż 5 tysięcy. Trzymano ich do lipca 1943 r., kiedy to getto w Tarnowie zostało ostatecznie zlikwidowane. W tej likwidacji z nakazu hitlerowców brali udział żydowscy policjanci, którzy po odejściu transportu do Oświęcimia i Bełżca zabierali wszelkie dobra, w tym i meble, pilnując ich wysyłki do Niemiec. Wszystkich Żydów, pochwyconych poza gettem, hitlerowcy zabijali. Zanim doszło do tej likwidacji, Żydzi spędzani do getta pracowali w różnych warsztatach rzemieślniczych, odprowadzani tam pod strażą pilnujących całego terenu niemieckich żandarmów i żołnierzy. O rozmiarach zbrodni świadczą groby 25 tysięcy zamordowanych na cmentarzu żydowskim. Rowy kopali i grzebali zabitych chłopcy wcieleni do tak zwanego Baudienstu – Służby Budowlanej.

Podczas pierwszej morderczej wywózki – kontynuuje Franciszka Gruszów – przeniosłam się do Dąbrowy Tarnowskiej. Podczas drugiego wysiedlenia wędrowałam z dzieckiem w ciemnościach polnymi drogami. Widząc co grozi wysiedlanym, ukryłam się wraz z dzieckiem w stodole. Rodzina męża nie przyjęła mnie do kryjówki, przygotowanej pod podłogą domu w Rynku miasta. Bali się moi krewni, że dziecko może zapłakać i zgubi wszystkich ukrytych.

Stodoła, w której się schowałam należała do moich teściów. Niemcy wpadli do ich domu, ale nikogo nie zastali. Koło mojego

schronienia pędzili drogą gromady ludzi. Wielu z nich po drodze zastrzelili, a żydowscy policjanci zbierali trupy w okrwawione prześcieradła i wywozili do kirkut. Wszystko to rozgrywało się tuż obok mojej kryjówki, bo stodoła stała przy przecznicy, sąsiadującej z cmentarzem.

Przesiedziałam w ukryciu od nocy do godziny 18. Moja córka chorowała na odrę. Wywiązało się przy silnej gorączce dwustronne zapalenie płuc. Po czterech tygodniach, gdy pokazała się ropa w płucach, musiałam oddać dziecko do żydowskiego szpitala na terenie getta w Tarnowie (było to między drugim wysiedleniem a likwidacją getta). Po miesiącu zabrałam córkę w lepszym stanie zdrowia. Wyjęto jej jedno żebro, usunięto ropę i wstawiono dren, by usunąć jej resztę.

Na drugi dzień poszłam z córką do żydowskiego lekarza w Dąbrowie Tarnowskiej, by zrobił jej opatrunek. Getto było szczelnie okrążone, ale przedarłam się przez dziurę w murze i to w dzień. Widziałam się w getcie z bratem i siostrą, którzy zostali wysiedleni we wrześniu 1942 r. Podczas pobytu córki w szpitalu w Tarnowie odbyło się drugie wysiedlenie z terenu Dąbrowy Tarnowskiej. Tym razem byłam bez dziecka i rodzina męża wpuściła mnie do swojej kryjówki. Wówczas to w lipcu 1942 roku Niemcy przeszukali domy bardzo dokładnie. U nas rozsuwali łóżka, wyciągali z szaf szuflady, wrzeszcząc ochryple „Heraus". Wiedzieli, że Żydzi potrafili sobie urządzić kryjówki nawet w szafie pod osłoną szuflad. Wszystko to rozgrywało się nad naszymi głowami. Wejście do naszej kryjówki było przykryte deską od podłogi, czego – na szczęście – Niemcy rozsuwając łóżko nie zauważyli.

Były wypadki, że znalezionych Żydów, nie tylko ukrywających się, zabijali hitlerowcy pociskami dum-dum. Mąż mój był na cmentarzu i widział to umyślne okrucieństwo – rozszarpywanie ludzi kulami, które przerażającą sławę zdobyły sobie w czasie pacyfikacji w Indiach w ubiegłym wieku.

Po wyjściu z kryjówki znaleźliśmy się od razu w domu. Trzeba było w tych nieludzkich warunkach wrócić do pracy, bez której

trudno by było przeżyć. Matka męża jako akuszerka chodziła do porodów, zarabiając na utrzymanie, bo stary ojciec nie mógł już pracować. Mój mąż był kuśnierzem i pracował w domu. Robił kołnierze, futra z lisów i tak zwanych żyrasów (perskich łapek jagnięcych), nutrii, norek. W październiku nastąpiło ostatecznie nie zapowiedziane wcześniej wysiedlenie.

Jak zwykle teściowa zaprowadziła mnie z dzieckiem do wsi. Dotarliśmy do domu bezdzietnego starszego małżeństwa we wsi Gruszów. Tu około 12 w nocy siepacze Sonderdienstu pukali do drzwi, żądając, by im gospodarz otworzył. Ten zwlekał i zanim odsunął zasuwę, udawał, że śpi. Niemcy wyrwali zasuwę, a ja w ostatniej chwili zdążyłam się ukryć w piwnicy pod piecem kuchennym. Dziecko w tym czasie spało w łóżku. Niemcy świecili latarkami elektrycznymi i ciągle czegoś szukali. Później okazało się, że we wszystkich domach szukali ukrywających się Żydów. Bardzo szczegółowo przeszukiwali domy, strychy stajnie i obory. Te ostatnie pomieszczenia były pod jednym dachem z mieszkaniami. Nasz gospodarz dziwił się, że tak dokładnie przeszukują stajnię. Po bezskutecznych poszukiwaniach Niemcy, nic nie mówiąc, odeszli. Gospodarz wstał, rozejrzał się i kazał mi również odejść. Nie chciałam tego, bo przecież miało być wysiedlenie. Musiałam znowu wracać do Dąbrowy Tarnowskiej. Spotkany po drodze Józef Bator mówił mi, że już trwa wysiedlenie i on gotów jest mnie przechować. Poszłam z nim. Bator miał stary dom i stodołę w Gruszowie Małym.

Weszłam do kryjówki na zboże przygotowanej w stodole, w słomie. Była to zręcznie wykopana jama. Teraz dała o sobie znać obecność mojej biednej córki. Dziewczynka miała jeszcze założony dren po niedawnej operacji. Płakała i ludzie słysząc to przez ścianę wołali: „Wynoś się". Musiałam tę rurkę wyrzucić, ale dziecko nie mogło powstrzymać się od płaczu, a to denerwowało i niepokoiło sąsiadów. Powiedziałam o tym wszystkim gospodarzowi, gdy przyniósł nam pożywienie. Zrozumiał naszą tragiczną sytuację i zabrał nas ze stodoły do domu mieszkalnego. Znalazłam się w jakimś pokoju, czy raczej alkowie, gdzie było dużo miejsca. Spędziłam tam

z córką trzy dni, czyli tyle, ile trwała akcja wysiedlania. Mąż dowiedział się o naszej kryjówce i przyszedł do nas. Wróciliśmy do Dąbrowy Tarnowskiej, jednak nie do domu, lecz do garażu przy ulicy Jagiellońskiej. Byliśmy tam do połowy grudnia 1942 r. póki nie przedostaliśmy się do Jana Wajdy w Szarwarku. Przez miesiąc ukrywaliśmy się na strychu jego domu. Gdy do Szarwarku zjechali funkcjonariusze Sonderdienstu, ze strychu żona gospodarza wygnała nas. Było nas wtedy czworo: oprócz mnie i córki, mój mąż z matką. Nie czekając zmroku, opuściliśmy ten dom w dzień i ruszyliśmy w stronę lasu. Szło za nami kilku osobników, jakiś 40–letni mężczyzna z grupą młodzieży. Baliśmy się, że będą chcieli nas zamordować. Na szczęście nadszedł w samą porę gospodarz Józef i obronił nas. Daliśmy im jednak okup w wysokości 7 tysięcy złotych. Nasze pieniądze zagarnął niejaki Jarmuła, gospodarz na 10 morgach.

Krótko byliśmy w lesie, przenosząc się do innej kryjówki w Czerni, gdzie znalazł sobie schronienie u gospodarza Wójcika szwagier mojego męża. Wójcik był kawalerem, a mieszkał ze swoją siostrą. Stodoła, do której nas wpuścili, była naszą kryjówką przez dwa dni: piątek i sobotę. Dla córki staraliśmy się znaleźć dogodniejsze miejsce.

Szwagier wybrał się do znanego nam Kucharskiego, mieszkającego koło Targowicy. Wiedzieliśmy, że ma on dużo dzieci i liczyliśmy na niego, że zechce przyjąć naszą córkę. Przeszedł do nas i podjął się tego za 2 tysiące złotych. Byliśmy już spokojniejsi o los naszej córki, ale spotkał nas duży zawód. Dowiedzieliśmy się, że zabrał jej odzież i zaprowadził na schody policji żydowskiej, czyli inaczej mówiąc do domu Szyndlarza. Żydów już tam nie było.

Nasza siostra zabrała dziecko, a po tygodniu doszła do nas wiadomość, że dziewczynką zaopiekował się nasz szwagier Kann Meir. W tym czasie Jan Wajda zapewniał nas, że przechowa nas bez dziecka. Wajda wykopał dół w stodole, zasłonięty słomą. Kryjówka była ciasna i musieliśmy korzystać z niej w pozycji leżącej. W tym czasie matka męża przebywała na powierzchni. Byliśmy wszyscy

wygłodzeni, zawszeni, nie mogliśmy się wykąpać. Czasem przygnębieni naszym położeniem w Szarwarku, gdzie mieściła się kryjówka, snuliśmy plany przedostania się do getta w Tarnowie.

Każda wyprawa groziła jednak niebezpieczeństwem, jak nas o tym przekonał przykład jednej uciekinierki z Dąbrowy Tarnowskiej.

Była to zamożna Żydówka Goldmanowa, do niedawna właścicielka sklepu z obuwiem. Odłączyła się od nas, odeszła w pozornie bezpieczne miejsce, a tymczasem dowiedzieliśmy się, że jedynym śladem po niej pozostał znaleziony w lesie sweter. Mimo wszystko rozstaliśmy się z kryjówką u Wajdy i zatrzymaliśmy się w Bagienicy Małej, gdzie się ściemniło. Weszliśmy do zagrody Józefa Wójcika i pozostaliśmy tam przez dwa dni. Matka odeszła od nas wcześniej, gdy byliśmy jeszcze u Wajdy, i dotarła do getta w Tarnowie. Nie dziwię się, bo trudno było żyć w naszych nieznośnych warunkach.

Po dwóch tygodniach Wajda wypędził nas, choć przyrzekł, że bez dziecka nas przechowa. Tłumaczył, że sąsiedzi już wiedzą o naszej obecności. Jeśli Niemcy się dowiedzą, przyjdą w nocy i zabiją nas. Poszliśmy w nocy do Dąbrowy Tarnowskiej, do Eugenii Chwalibińskiej z domu Wójcik, emerytowanej nauczycielki. Miała ona dwoje małych, dzieci, wyszła za mąż mając 33 lata. Jej mąż pracował w gminnym urzędzie Dąbrowy Tarnowskiej jako główny księgowy. U Chwalibińskich dowiedziałam się, jak postąpił z moją córką Kucharski, który niebezinteresownie – otrzymał na początek 2 tys. złotych – zobowiązał się do opieki nad nią. Jak już wspomniałam w innym miejscu, zabrał jej odzież i w jednej sukience (w grudniu 1942 roku) zostawił dziecko na schodach policji żydowskiej.

Szwagierka, siostra męża dała nam znać, że córce grozi odesłanie do getta w Tarnowie. Mąż pojechał do Tarnowca, wsi za Tarnowem, do znajomych i uzyskał od nich zgodę na przyjęcie i wychowanie córki. Płaciłam tam miesięcznie 300 zł. Kwotę tę wysyłała Chwalibińska przekazem pocztowym. Tłumaczyła przy

tym, że skoro jej siostra została z Mielca wysłana na roboty do Niemiec, musi się opiekować jej córką.

U Chwalibińskich spędziliśmy 5 miesięcy w kryjówce za szafą. Dzieci gospodarzy odnalazły nas tam i trzeba było pomyśleć o nowym schronieniu. Zrobiliśmy dziurę w podłodze, odrywając jedną deskę. Teren był tu dość podmokły, w pobliżu w wąwozie płynęła rzeka Breń. Wydrążyliśmy jamę na głębokość pół metra. Nie dało się tam jednak siedzieć bez dalszych, mozolnych przygotowań.

Było mokro, odwracaliśmy więc pierzynę, bo nasiąkała od spodu. Wreszcie, by zmniejszyć wilgotność, podłożyliśmy książki. Trwało to do 17 stycznia 1945 roku. Chwalibiński nic nie wiedział o naszej kryjówce, bo nie zgodził się na przechowywanie nas. Wszystko załatwiliśmy z jego żoną. Dzień i noc spędzaliśmy w tym lochu w obawie, by nie zauważyli nas sąsiedzi. Zdarzyło się, że byłam głodna i poszłam do kuchni, by znaleźć coś do jedzenia. Sąsiadka podpatrując nas, zauważyła nas i zaczęła krzyczeć: „Żydówka! Żydówka!" Wystrzegaliśmy się więc wychodzenia z kryjówki. Gdy Chwalibiński szedł do pracy jego żona dawała nam pożywienie i spełniała również najbardziej nieprzyjemną czynność: wynosiła nocniki. Zawsze rozmawiała z nami pod nieobecność męża.

Nad naszą kryjówką stał kredens, zajmując przestrzeń 4 desek. Stał on przy ścianie na wysokich półmetrowych nogach. W środku pod kredensem była ruchoma deska, którą podnosiliśmy, by zapewnić sobie dopływ świeżego powietrza. W tym, nie używanym przez gospodarzy pokoju stosowano wszelkie możliwe środki ostrożności. Gospodyni podsuwała talerze do naszej wnęki, nie wchodziła, ani myśmy nie wychodzili z kryjówki, bo zresztą było to niemożliwe z powodu szczupłości miejsca.

Za ścianą tej izby mieszkała „volksdeutschka", Rybicka, poprzednio akuszerka, a w czasie wojny uprzywilejowana pracownica w Dąbrowie Tarnowskiej. W stosunku do swojego męża była bezceremonialna. Wygoniła go z domu, mając korzystniejsze kontrakty ze swoimi kochankami – Niemcami. Często przychodzili do niej na

libacje, zakrapiane obficie alkoholem. Uczestnicy tych trywialnych orgii często się zmieniali, bo przenoszono ich na inne placówki. Najczęściej odwiedzał Rybicką jakiś Niemiec w randze komendanta. Byliśmy mimowolnymi słuchaczami jego zwierzeń. Słyszeliśmy wszystko, co mówili i robili.

Wójtowicze byli właścicielami dużego drewnianego domu z ogrodem. Pół tego domu należało do ich córki Chwalibińskiej. Po lewej stronie od wejścia pokój z kuchnią miała siostra Chwalibińskiej, Klimecka. Gospodyni w tym dużym budynku miała dla siebie kuchnię i dwa pokoje. Jeden z nich przeznaczony był na jadalnię i właśnie on służył nam za niewidoczną kryjówkę.

Przez pięć pierwszych miesięcy kryliśmy się za szafą, a w nocy spaliśmy na kanapie. Z naszym pokojem graniczyła jadalnia Klimeckich. Był o to małżeństwo z synem i służącą. Drzwi do ich pokoju były stale zamknięte i obok nich stały dwie szafy blokujące wejście.

Spaliśmy o pięć metrów od niego, pod baranicą w podszewce. Od godziny 6 wieczorem rozkładaliśmy posłanie za tymi szafami, a warto wiedzieć, że Chwalibiński chodził tu po książki.

Raz książka spadła i szukając jej dotknął mnie ręką. W tym momencie odwołała go żona, wołając, że może się przeziębić. Działo się to bowiem w zimie. Trzeba było zadbać o lepszy schowek, bo dalej groziło nam niebezpieczeństwo wykrycia. Wtedy to mąż przygotował wspomniany już schowek pod kredensem. Ruchomą deskę podniósł nożyczkami. Nie udało nam się wygospodarować miejsca dla pozycji siedzącej. Musiałam leżeć. Ten dołek–kryjówkę wykonał dla nas mój mąż w ciągu dwóch tygodni, gdy Chwalibiński był w biurze. Trzeba było przed nim konspirować naszą obecność i pomoc dla nas. Kiedy wieczorem Chwalibiński spał, jego żona wynosiła wykopaną ziemię. Było tej ziemi, a raczej piasku 10 wiader dziennie.

Gdy wynosiła pierwsze kubły, podejrzliwy mąż pytał, skąd pochodzi ziemia i komu jest ona potrzebna. Okazało się, że niosła je do ogrodu plebańskiego. Kazał wysypać tę ziemię do komórki, gdzie sam zresztą nie zaglądał. Można było komórkę wypełnioną ziemią

zamknąć kłódką. Moi gospodarze kupowali „Krakauer Zeitung". Byłam jego czytelniczka i orientowałam się mniej więcej, co się dzieje w świecie. Miałam też mapę, atlas i konfrontowałam z nim wiadomości z prasy. Szło mi oczywiście przede wszystkim o komunikaty wojenne. Na zawsze wryły mi się w pamięć nazwy: Woroneż, Kursk...

Wiedziałam, że front przesuwa się na naszą stronę, żelazny walec wojny toczył się na zachód.

Po klęsce Niemców pod Kurskiem odwiedzała nas gospodyni i mówiła ostrzegawczo, ze strachem, że: „przyjdą Ruski i będą kraść". Sąsiedzi jej pod wpływem tej wcale nie tendencyjnej propagandy, zdejmowali ze ścian kilimy i chowali je w specjalnie wykopanych dołach.

Miałam i ja w tym swój udział, bo umiałam robić bunkry. W gruncie rzeczy chodziło mi jednak po prostu o siekierę do budowy własnego schronu. Mąż próbował posługiwać się dużą sickierą, ale kaleczyła ona deski. Potem naderwaną i porysowaną listwę zamalowywała Chwalibińska. Gładził drewno nożem kuśnierskim i obcążkami, by nie skrzypiała podnoszona deska.

W tej izbie, kryjącej nasz schowek, odbyła się w 1944 roku uroczystość imeninowa Chwalibińskiego. Był inżynier Koczwański, Wójtowicz z żoną i jej bratem. Siedzieliśmy w swej norze i wysłuchiwaliśmy rozmów. Mieliśmy już nowy mocny wsyp i pierzynę. Aby zapobiec wilgoci, podbieraliśmy dużo książek z biblioteki gospodarza i karty kładliśmy pod siebie, pod pierzynę. Zwykle po czterech godzinach papier był już mokry i musieliśmy podkładać nowe karty. To nas ratowało przed nieuchronnym reumatyzmem.

W czasie imieninowej uroczystości długo nie mogliśmy się ruszyć, aby nie wywołać hałasu. Na imieninach był też nie proszony komendant AK. Chciałam wstąpić do tej organizacji, ale gospodyni odmówiła mi pomocy w nawiązaniu kontaktów z ruchem oporu. Chwalibiński zwierzał się, że chce, żeby Gruszowów zastrzelili. Żona odpowiedziała na to, że wymienia rzeczy na mąkę dla nich, gdyż głodują.

Najwidoczniej Chwalibiński bał się, byśmy w przypadku ocalenia nie upominali się o moje rzeczy, które wysprzedawał. Nie wiedział, że ukrywamy się właśnie w jego domu i słyszymy każde słowo jego wrogich nam zwierzeń. Sprzedał złoto, sądząc, że jesteśmy gdzieś poza Dąbrową Tarnowską. W ten sam sposób dotarły do niego nasze ślubne obrączki, a także dwudziestodolarówka. Wszystko sprzedawał, a pieniądze przekazywał przez swoją żonę, która wmówiła mu, że wieczorem odbiorą je Gruszowowie.

Długo w nocy świętowali imieniny, palili papierosy i powtarzali, że „Ruskie będą wywozili na Sybir ludzi bogatych i wykształconych". O 6 rano Chwalibiński wstał, powtarzając swoje, że wolałby, żeby tych Gruszowów zastrzelili. Poszedł do pracy, a jego żona położyła się na kanapie i rozmawiała z nami, bolejąc nad głupotą swojego męża. Odpowiedzieliśmy, że już trzy razy tak plótł i w razie przetrwania nie będzie miał z nas żadnej korzyści. Opowiedzieliśmy to, co usłyszeliśmy z pokoju Rybickiej.

Po południu Chwalibiński jadał obiady w pokoju mieszczącym naszą kryjówkę. Miał szczególne upodobania, jadł w pozycji leżącej i mówił sam do siebie. Zwierzał się sobie z miłości do niedoszłej kochanki. Była to na razie miłość platoniczna. Słyszeliśmy powtarzane westchnienia: Milusia! Kochana! Planował sobie, że wybiera się w stronę młyna wodnego, by podpatrzeć swoją kąpiąca się Milusię. Powtórzyliśmy to jego żonie. Poszła za swoim romantycznym małżonkiem i wywołała awanturę, oświadczając, że wszystko wie o jego planowanym romansie. Chwalibiński był kompletnie zaskoczony. Pytał zmieszany, skąd ona o tym wie. Odpowiedziała mu sprytnie, że miała taki sen. Miewaliśmy sąsiedztwo jeszcze bardziej niebezpieczne. W 1943 roku w naszym domu zamieszkało kilku Niemców z Czerwonego Krzyża. Pani domu za radą mego męża przeniosła meble do naszego pokoju. Doradził jej też, by dała żołnierzowi pół litra wódki. Sam szukał dla żołnierzy tych kwater.

Wreszcie Niemcy odeszli, a pokój kryjący nasz wykop zajął jakiś oficer. Gdy ten Niemiec zasnął, nie mogłam się powstrzymać od

kaszlu. Wystarczyło to, by Niemiec się przebudził. Na szczęście niczego nie szukał. Ale niebezpieczeństwo groziło i z innej strony. Córka Rybickiej należała do żeńskiej organizacji Hitlerjugend i paradowała z Hakenkreutzem na rękawie. Miała 12 lat. Kiedy wraz z matką wychodziła z domu, czuliśmy się w naszej kryjówce o wiele swobodniej.

Przez mieszkanie Rybickiej przewijali się stale żołnierze frontowi. Dłużej niż inni zatrzymał się pewien oficer niemiecki. Zamieszkał u Rybickiej, potem przywiózł jakieś Niemki, które przedstawił jako swoje kuzynki. Rybicka urządzała mu sceny zazdrości.

– To kuzynka? – pytała gniewnie i ironicznie. – Znamy takie kuzynki materacowe! – Prześladowała go zazdrością. Czytała listy, które przychodziły od żony. Wszystko to powodowało wybuch gniewu Niemca. Krzyczał, że u nich za przechwytywanie listów oficerów wymierza się karę śmierci. Zagroził wreszcie, że wybiera się samochodem do Tarnowa i przekaże tę sprawę tamtejszemu gestapo.

Wszystko to przeraziło zazdrosną i padła na kolana, przepraszając swojego groźnego przyjaciela. W końcu oficer wyjechał, a na jego miejsce zjawił się inny. Zmieniali się wojenni sublokatorzy, a ambicje Rybickiej doczekały się stopniowo coraz skromniejszego zaspokojenia. Po niemieckich oficerach nasza przymusowa gospodyni miała u siebie majstra nazwiskiem Bobe, podoficera, który spędzał u niej noce. Słyszeliśmy dokładnie wszystkie echa jego pobytu.

Wychodziliśmy ze swej nory i stawaliśmy za szafą, oddzieleni jej drzwiami od osób w pokoju. Po bokach osłaniały nas złożone tam worki z mąką. Między szafami było wąskie przejście, z którego czasem korzystaliśmy, gdy była szansa swobodniejszego ruchu. Będąc tak blisko mieszkańców domu, orientowaliśmy się na ogół w ich codziennym życiu.

Świeża volksdeutschka Rybicka dopiero uczyła się języka niemieckiego. Nie zaniedbywała jednak hitlerowskiej propagandy na każdym kroku. Chodziły do niej ze wsi kobiety z nabiałem. Rybicka

wmawiała im, że Polski już nie będzie; jeśli chcą to muszą przyjąć volkslistę.

Tymczasem groziło nam stale niebezpieczeństwo odkrycia naszej obecności. Oto siostra gospodyni zauważyła wynoszenie nocnika i zaraz skomentowała to po swojemu. Narzekała, że daje się Żydom mleko, którego nie ma dla siostrzeńca. Myślała, że przyszłam po mleko, a nie przyszło jej do głowy, że kryjemy się tak blisko. Później już pani domu wynosiła te nieszczęsne nocniki, bo my baliśmy się to robić.

Słyszeliśmy, jak Niemiec zapowiadał likwidację żydowskiej policji. Było to dla nas ważne, bo mąż mój miał siostrę i szwagra z dzieckiem, a wszyscy oni żyli dotąd dzięki temu, że szwagier należał do tej policji. Łatwo sobie wyobrazić nasze zdenerwowanie. Chciałam do nich biec i ostrzec. Nie mogłam się jednak pokazać, a tym bardziej nie mógł tego zrobić mój mąż, bo był tutejszy, dobrze znany miejscowym ludziom.

Całą nadzieję pokładaliśmy w przebiegu walk na froncie wschodnim. Niemiecka prasa donosiła o zwałach trupów rosyjskich pod Kurskiem, ale przyznawała, że Rosjanie się nie poddają. Na razie było to daleko od nas, a tutaj panoszyli się hitlerowscy sługusi.

Świeżo przerobiona volksdeutschka Rybicka żałowała, że nie ma już Żydówki nazwiskiem Hobler, która uczyła ją języka niemieckiego. Skarżyła się też czasem w chwilach rozdrażnienia, że nie ma cech dostatecznie aryjskich. Przed wysiedleniem Żydów wykorzystywała ich na różny sposób. Żyd, właściciel sklepu galanteryjnego, przynosił jej towar. Wiedział, że ma ona zażyłe kontakty z Niemcami.

Wielekroć miałam okazję oglądać tę niebezpieczną kobietę. Była korpulentna, przeciętnej urody, ale zgrabna. W Sylwestra popijała z niemieckim oficerem, którego korespondencję przechowywała, dając upust zwykłej zazdrości, który groził jej za to zastrzeleniem. W lipcu 1944 roku Rybicka uciekła przed nadciągającym frontem. W ciężkich warunkach ukrywania się, moje zdrowie zaczęło poważnie niedomagać. Byłam przeziębiona, kaszlałam, na-

rzekałam na serce. Biło tak gwałtownie, że jak mówił mój mąż, można je było słyszeć z odległości, w czasie nocnej ciszy. Nasza gospodyni wezwała lekarza do pokoju, przylegającego do naszej kryjówki. Był to dr Dębicki, wysiedlony z Poznania, a znany jako człowiek godny zaufania. Miał przyjść o godzinie dwunastej.

Nasza gospodyni przyniosła miednicę z wodą, odsunęła kredens, potem deskę. Chciałam się porządnie umyć. Nagle serce osłabło. Chwalibińska ubrała mnie i zaprowadziła do drugiego pokoju. Byłam przesycona stęchlizną i obawiałyśmy się, że lekarz od razu to zauważy. Na razie stwierdził, że pacjentka jest chuda, cierpi na awitaminozę i musi się odżywiać. Zalecił warzywa i jaja.

Mieliśmy jeszcze 20 dolarów i sprzedaliśmy je za 20 tys. złotych. Nasza dobra gospodyni kupiła nam jaja, cukier, masło. Szybko odzyskałam siły. Na miesiąc przed wkroczeniem Rosjan, obok domu mieszczącego naszą kryjówkę, spadły dwie bomby.

Jedna, 3–tonowa nie eksplodowała, wybuch drugiej wybił u nas szyby. Niemcy mówili potem, że tu latała nisko bardzo zdolna pilotka rosyjska. Poznawaliśmy radzieckie samoloty po dźwięku i – nie bałam się bomb. Zbrzydło mi życie.

Zachorowałam na padaczkę. Co dzień trzęsły mi się palce, wykręcały ręce. W tyle głowy czułam ból, jakby ktoś wbijał gwoździe. Gdy w 1945 roku wynieśli mnie do szpitala, lekarz kazał mi wstać. Ledwie mogłam utrzymać się na nogach. Dostawałam zastrzyki z wapna na uspokojenie nerwów. Co noc dokuczała mi ta nieszczęsna choroba. Atakowała nawet mózg. Było to wywołane długim leżeniem, bo w naszym lochu – kryjówce nie było warunków na to, by chodzić.

Raz po raz wówczas potęgowało się niebezpieczeństwo. Kiedy Niemcy zajęli sąsiedni pokój, Chwalibińscy mieszkali w izbie mieszczącej naszą kryjówkę. Synek naszych gospodarzy bawił się kijem, ale mój mąż niepostrzeżenie zabrał ten kij do jamy. Chwalibiński często zasypiał nad gazetą. Gdy pismo wypadało mu z rąk, mój mąż ściągał je kijem do naszej kryjówki. Szybko czytał nagłówki, bo znał język niemiecki. Później odsuwał w stronę drzemiącego czytelnika.

Zdarzyło się kiedyś, gdy Chwalibiński zasnął, wysunęłam gazetę i przykryłam deską. Chwalibiński usłyszał, przesunął kanapę mamrocząc: „Cuda – kanapa się porusza?". Żona Chwalibińskiego czuwała nad naszym bezpieczeństwem i jęła strofować małżonka „Stasiu! Co się z tobą dzieje? Chory jesteś? To tylko wilgoć!".

Na drugi dzień przesunęła kanapę. Chwalibiński był nieufny, oglądał pokój, zwłaszcza podłogę, ale nic nie zauważył. Wiadomo było, że ma słaby wzrok i słuch. Uwierzył żonie, że to choroba wywołuje złudzenia. Mruczał sam do siebie, że chyba zwariował. A tymczasem, sięgając po gazetę, miałam nadzieję, że znajdę informacje krzepiące, budujące, jasne było, że Niemcy się cofają. Sprawy wielkiej polityki przeplatały się u nas z najzwyklejszymi, a bardzo dokuczliwymi przeżyciami. W naszym schowku chodziła po nas mysz. Kiedy wyszła na zewnątrz, zasłoniłam szparę w drzwiach. Teraz jedynym odgłosem, który do nas dochodził, było echo kroków Chwalibińskiego. Chodził ociężale, a był rosły. Przy tym widać i słychać było, że coś jednak podejrzewał. Co pewien czas wolniutko podchodził do drzwi. Kiedyś podkradł się bardzo blisko i ta mała myszka zaczęła się łasić i bawić z nim. Była już oswojona. Chwalibiński narobił wrzasku – Gieniusiu! – krzyczał – Co za cuda tu się dzieją? Myszka się nie boi, zachowuje się jak oswojony pies czy kot?

Żona przesunęła kanapę w róg dalej od nas. Ale leżąc tam mógł nas znowu zobaczyć, gdy podniesiemy deskę do złapania oddechu. Wobec tego na drugi dzień, gdy poszedł do miasta, poprosiłam, aby opuściła obrus na stole tak, żeby nas zasłaniał, gdy Chwalibiński będzie leżał na kanapie. Nasza opiekunka spełniła prośbę i dzięki temu mogliśmy podnosić deskę w czasie obecności podejrzliwego gospodarza. Nasza opiekunka udostępniała nam gazety, uchylając deskę czytałam. Szukałam wiadomości z frontu.

On także czytał. Nagle odsunął swoją gazetę i poruszył się niespokojnie na swojej kanapie. Był czymś wyraźnie zdziwiony, więc czym prędzej opuściłam deskę. Dodam też, że zawsze wielokrotnie zginałam gazetę w ręku, by nie szeleściła i żeby można nią było

łatwiej manipulować. Tymczasem Chwalibiński mamrotał coś pod nosem, ciągle pełen niepokoju. Jego synek bawił się patykami i sznurkami. Mój mąż pozbierał patyki i powiązał je w rodzaj długiego kija. Gdy Chwalibiński wyszedł, mój mąż zaczął zaimprowizowanym kijem sięgać po gazetę ze stołu. Była już na podłodze, gdy nagle ukazał się podejrzliwy gospodarz. Nie wiedzieliśmy, że on podkradał się cichutko pod drzwi i podglądał harcującą myszkę. Widział otwierając drzwi, że gazeta się przesuwa, a patyki gdzieś zniknęły. Więcej nie mógł zaobserwować, bo mój mąż ściągnął kijek i opuścił deskę.

Któregoś dnia Chwalibiński zaczął się awanturować z powodu tej myszki. Zeszły się sąsiadki, przybiegł pies, który wyczuł naszą obecność, ale zaniepokojona pani domu wypędziła pieska. Chwalibiński ciągle nawracał do tego, że widział, że coś ciągnęło gazetę. – Cuda ! Cuda ! – mruczał raz po raz. Na to odpowiedziała mu żona. – Oj, Stasiu. Stasiu! Michaś miał trzcinkę pod kredensem i to ta trzcinka właśnie...

Rzeczywiście, była tam druga trzcinka porzucona przez chłopca. I tak, wszystko rozeszło się po kościach, ale on nie był już spokojny. Któregoś wieczoru przyszedł Niemiec do Rybickiej i już w korytarzu mówił głośno, że nazajutrz będzie masakra policji żydowskiej. Ta wiadomość mnie przeraziła. Z samego rana wymknęłam się i pobiegłam do domu, w którym kwaterowali policjanci. Wpadłam do nich tylnym wejściem i natknęłam się na zastępcę komendanta Flaumenhafta – Herszmeiera.

Z całym przejęciem ostrzegłam go. Krzyknęłam, że Niemcy mają ich dziś zabić. On zaprzeczył i zaczął mnie uspokajać. Oto za dobrą służbę obiecano im odznaczenia, a nawet prawdziwą broń, bo dotąd jak wiadomo mają tylko pałki.

W tym policyjnym domu, należącym do Szindlera, spotkałam siostrę męża i tak samo ją ostrzegłam. Powtórzyłam moje ostrzeżenie szwagrowi Beniaminowi Schwimerowi. Odpowiedział po prostu: ich nazwiska widnieją na listach gestapo. Jeżeli ucieknie część, albo choćby jeden to reszta zginie.

Dlatego uciekać mogą jedynie wszyscy. Musi się zdecydować uciekać cały oddział bez wyjątku.

Dowiedziałam się jednocześnie, że rodzina męża jest jeszcze w getcie w Tarnowie. Pełna złych przeczuć odeszłam przed południem i ostrożnie, okrężnymi drogami wróciłam do domu kryjówki. Wiedziałam, że Chwalibiński wybrał się do rodziny w sąsiedztwie. Weszłam więc w pończochach do kuchni, aby coś zjeść. Tymczasem Chwalibiński zgubił klucz i wróciwszy się, dobrnął do kuchni przez okno. Zastał mnie tam i zaskoczył swoim powrotem.

Wyjaśniłam, że przyszłam do jego żony. Udawałam, że drzwi były zamknięte. Na szczęście szybko wróciła jego żona i wyprosiła go. Wysłała Chwalibińskiego do matki, która miała jej coś przynieść. Zapowiedziała też, że ze mną zostanie. Skrzyczała mnie za to wyjście z kryjówki, Mąż jej nie zauważył, że byłam w samych pończochach. Później mówił jej – jeszcze raz przyjdzie ta Żydówka, to trzeba ją zająć rozmową, a on pójdzie donieść o jej przybyciu.

Z Chwalibińskim mieliśmy nieustanne trudności. Kiedy musieliśmy sprzedać 20 dolarów i wręczyliśmy je gospodarzom, to Chwalibiński nie chciał nam przekazać pieniędzy i za nie kupił świnię. Opowiadała nam jego żona inną jeszcze ciekawą historię, dotyczącą krzywdzących rozliczeń i prób rabunku prześladowanych Żydów.

Zamożny Żyd ze Szczucina, znany jako Niki, zwierzył się komendantowi policji żydowskiej, że ma w bunkrze ukryte skóry, zwierzęce szewskie, których wartość dochodzi do dwóch milionów złotych. Komendant ze strachu przed gestapo opowiedział to wszystko Niemcowi Wilhelmowi Rommelmannowi. Działo się to w czasie, kiedy nie było jeszcze na tym terenie getta. Żandarmi bez trudu odkryli ten bunkier i zrabowali znaczną część skór, które powysyłali swoim rodzinom w Niemczech. Komendant żydowskiej policji dokładnie notował, ile skór wzięli żandarmi i spis przekazał Rommelmannowi.

Wśród żandarmów był Austriak Baumgarten. On to kontaktował się ze szwagrem Grimfeldem i uprzedzał o akcjach ludobój-

czych, planowanych przez hitlerowców. On to doniósł, że nie będzie fabrykować butów ze skór, zmagazynowanych w bunkrze, Rommelmann ma bowiem listy ze spisem braków. Sprawcy tych braków mieli z tego powodu różne kłopoty. Pamiętam także charakterystyczny incydent. Dwaj byli policjanci żydowscy ukrywali się i zgłosili się do tejże policji z prośbą o pomoc. Nie otrzymali jej i zostali przez policję zatrzymani. Doszło do kłótni, bo obydwaj domagali się jeśli już nie pomocy, to przynajmniej swobodnego odejścia.

Zatrzymani grozili ujawnieniem pewnego drastycznego faktu. „Gdy tu przyszedł Idzik – wspominali – to daliście mu pół magazynu ubrań, pozostałych po wywożeniu Żydów". Groźba nie poskutkowała. Nie puszczono ich, a nawet spisano protokół zatrzymania.

Były kiedyś pogłoski, że komendant policji żydowskiej wydał niejakiemu Idzikowi do lasu sporą ilość odzieży. Wiązało się to chyba z faktem, że cała policja żydowska w obawie przed zagładą chciała przejść do podziemia. Były w tej sprawie pogłoski zaprzeczania, wreszcie wszystko przycichło.

Teraz sprawa nabrała niebezpiecznego charakteru. Komendant żandarmerii był wściekły, bo nie uwierzył w zaprzeczenie komendanta żydowskiej policji i sprawy przekazania ubrań nie chciał już ciągnąć dalej. Odpowiedni protokół dał Rommelmannowi.

Niemcy wahali się jeszcze przed prowadzeniem śledztwa i stosowaniem represji, bo policja żydowska była im do czasu potrzebna. Znała teren i po wsiach kupowała Niemcom świnie i cielęta. Starali się więc Niemcy stworzyć wrażenie, że komendant żydowskiej policji uniknie egzekucji i zostanie odesłany do getta w Tarnowie.

Potem jednak rozegrała się wstrząsająca scena na żydowskim cmentarzu – kirkucie, gdzie odbywała się masowa egzekucja żydowskich policjantów. Komendant tej policji, Kalman Fenihel zapytał, czy żona i syn będą mogli z nim jechać do getta w Tarnowie. Na przeczącą odpowiedź rozebrał się tak jak i inni, a potem skoczył do dołu. Zginął razem ze wszystkimi. Nad wykopane doły prowadzono 20 osób. Padło 80 osób wraz z dziećmi. Strzelał i między innymi funkcjonariusze Sonderkommando z Tarnowa i miejscowy gesta-

powiec. Odzież zamordowanych zabrali ci, którzy kopali doły. Zanotowano także szczegół, że zastępca komendanta policji żydowskiej, Hersztmeier Flaumenhat nie chciał się rozebrać i hitlerowcy bili go i obrzucali kamieniami. W końcu zastrzelili.

Wszystkie akcje przeciw Żydom, odbywały się w atmosferze okrucieństwa, dającego pole do popisu sadystom. Żandarm Engelbert Guzdek tropił na wsi Żydów, którzy tam pracowali, żeby przeżyć. Schwytanych prowadził na cmentarz i tam rozstrzeliwał. Po kirkucie rozbiegały się osierocone przez zamordowanych rodziców dzieci. Zwyrodniały Guzdek polował na nie, jak na zwierzęta. Gdy w Tarnowie ostatnich żydowskich rzemieślników wywieziono do Oświęcimia, dzieci bestialsko wpychano do worków. Zresztą sami rodzice chowali dzieci do worków, by je uchronić przed rozdzieleniem rodzin. Znane mi były wypadki przeprowadzania przez Juliusza Eimesa nie planowanych akcji przeciw w Żydom. Temu Eimesowi dał mój mąż futro z lisa. To wkrótce potem Eimes spotkał matkę męża i bił ją bez jednego słowa.

Oto inny przykład wynaturzonego okrucieństwa. Żydowski policjant Zimmermann łapał dzieci i po wojnie został skazany na karę śmierci. Miał 30 lat, oskarżała go Żydówka, której zabrał dziecko. Byłam na procesie Rommelmanna w Tarnowie. Zachował bezczelność. Nie przyznawał się do zbrodni, a sędziów nazywał żydowskimi niewolnikami. Niemiec Kastura, pochodzący spod Katowic, przyjechał po matkę i tu został złapany i stracony.

Czas powrócić do wspomnień z najtrudniejszych dni życia. Gdy zbliżał się front, w domu Chwalibińskich było pełno Niemców. W ogrodzie mieli kuchnię, za domem warsztaty naprawy samochodów. Armia Radziecka wkroczyła 11 stycznia 1945 roku. Na krótko przed tym Niemcy zdążyli nałapać dużo Żydów i wysłać ich do Oświęcimia. Tymczasem 30 innych, uzbrojonych uciekinierów żydowskich przedarło się przez front. Kilku padło, rozerwały ich miny. Tych min było pełno dookoła, wyrządzały wiele szkód, zginął od miny chłopak, który przyszedł po słomę. Opowiadał o tym Stanisław Pietras z Woli Wadowskiej, ten sam, który zlikwidował

bandę Kosieniaka. We śnie zarąbał ich siekierą. Wracając do oddziału, który przeszedł na drugą stronę frontu, to on musiał podjąć tę ryzykowną decyzję, bo znalazł się na terenie, z którego wysiedlono ludność. Uciekinierów nikt nie mógł wyżywić. Pamiętając, co zawdzięczamy Chwalibińskiej, przekazaliśmy jej dom w Tarnowie. Do końca nie pozwoliła, by jej mąż – nieprzyjazny nam Chwalibiński – poznał prawdę.

Polowanie na ludzi

Do grona osób czynnych w akcji ratowania i wspomagania prześladowanych Żydów należy Antonina Czerwińska z domu Wójcik, urodzona w 1899 roku w Nieczajnej. W czasie okupacji mieszkała ona w domu przy ul. Czernia, należącym do gospodarstwa jej ojca Józefa Wójcika, a otoczonym polami. Ukrywała się tu kilkuosobowa rodzina żydowska, której głową był Majer Marian Kan. Przyjął on chrzest i zmienił nazwisko na: Kamiński. Wraz z nim szukali schronienia: żona Rozalia, dwie córki Maria i Czesława oraz syn Leon.

Zanim dotarli do domu Wójcików, szukali schronienia w różnych miejscach. Przyjmowano ich, ale na krótko, ryzyko pobytu w jednym domu było zbyt wielkie. Dopiero Józef Wójcik zdecydował się przyjść im z pomocą.

Wykopał – wspomina córka Antonina Czerwińska – bunkier w stajni. Wchodziło się pod żłobem i zamykało otwór drewnianym wiekiem. Na to wieko gospodarz rzucał warstwę słomy. Wykopany loch mieścił się pod komórką graniczącą ze stajnią. Wnęka nie mogła być zbyt głęboka, bo w tym miejscu podchodziła woda podskórna. Czasem trzeba było odlewać gromadzącą się wodę. Ciemność kryjówki starano się rozproszyć lampą naftową.

Sąsiedzi nieświadomi grozy sytuacji żartowali, że Antonina wieczorem gotuje żarcie świniom. Chodziło oczywiście o ciepłą strawę dla ukrywających się Żydów. Ludność miejscowa, zarówno

dawno osiadła, jak i napływowa, zajmowała jednolite stanowisko wobec okupanta, współczując prześladowanym. Józefa Surowiec, pochodząca z Podborza i jej mąż przybyły z Ćwikowa, zamieszkali obok Wójcików i wydatnie wspomagali wędrujących, głodnych uciekinierów żydowskich. Z początku uciekinierzy mieszkali w bocznej izbie, a do sąsiednich gospodarstw podchodzili po żywność. W nocy pędzili tu gorzałkę na spodziewane wesele u sąsiadów.

Stopniowo, gdy rosło niebezpieczeństwo, trzeba było pomyśleć o lepszej skrytce. Uciekinierzy bali się już wychodzić po żywność i trzeba im było przynosić ją do miejsca ukrycia.

W lesie Belerycie i inni Żydzi mieli swoje bunkry. Sąsiedzi kupowali drób, cielęta i nocą zawozili do ukrywających się w Belerycie. Trzeba się było strzec zdrajców i donosicieli, którzy też mieli otwarte oczy.

Nauczycielka z Podlesia – przysiółka Szarwarku, ostrzegała, że Niemcy coś wiedzą o transportach żywności kierowanych do lasu. Niestety, nie usłuchano jej, bo za transport taki można było nieźle zarobić.

Którejś nocy przyjechała z Tarnowa kompania Niemców i razem z żandarmami z Dąbrowy Tarnowskiej otoczyła dom gospodarza Mendali. Wymordowali całą rodzinę, a sąsiada Starca spalili żywcem. Mimo to Żydów nie znaleźli. Sumienie przemawiało nieraz przez ludzi, których nikt by o to nie posądził.

Ostrzegali granatowi policjanci, że nadchodzą donosy i grozi obława. Żołnierz AK, działający jako wtyczka wśród policjantów – Franciszek Kwarta, potajemnie nas odwiedzał, zawiadamiając, że szykuje się obława na Żydów i tych, którzy wspomagają prześladowanych. Takie wspominki przekazuje Antonina Czerwińska i dodaje:

– Nasi lokatorzy klękali przed nami. Twierdzili, nie bez sporej dozy słuszności, że odchodząc od nas, idą na stracenie. Zapewnialiśmy, że po obławie mogą wrócić i zostaną przyjęci. Wybrali się nocą do tarnowskiego getta i wkrótce, tuż po obławie wrócili. Był to dwunasty wrzesień; wraz z nimi – szczerze mówiąc – wrócił niepo-

kój do naszego domu. Przybyli z Tarnowa w samą porę dla siebie, bo stamtąd wciąż wywożono Żydów na stracenie.

Ostatnio gdy Niemcy przyszli, nasi zbiegowie uciekli na poddasze. Zabrakło tam miejsca dla matki i córki Marii. Niemcy zabrali je ze sobą i obie zginęły. W tych dniach byliśmy bezradnymi świadkami hitlerowskich okrucieństw. Widzieliśmy, jak wygląda taka hitlerowska obława. Drogami jechali Niemcy konno. Przed końmi pędzili sześciu schwytanych Żydów. Konwój otwierał konny Niemiec. Żydzi byli zbici i pokrwawieni: jeden jęczał żałośnie, a odpowiedział mu pełen zadowolenia głos Niemca: Gut! Gut!. Inni żandarmi penetrowali pola, zagajniki, rowy.

Zdarzały się przerażające okrucieństwa. W Czerni, na polu obsianym łubinem niejaki Cuber znalazł 4–letniego chłopca i prowadził go w triumfie na sznurze. Widząc to mieszkaniec wsi, Marcin Byk, chciał uratować chłopca i krzyczał: „Puść go!". Ale prześladowca nie chciał o tym słyszeć.

W warunkach okupacji mogły się dobrze czuć tylko podłe kreatury. Ów rolnik Cuber z Ulinowa koło Bagienicy był, niestety, Polakiem, a mając 7 morgów, nie umiał na nich gospodarować. Rodzina żyła w biedzie, a 4–letni syn Cubera – dziwnym zbiegiem okoliczności w takim samym wieku, co schwytany chłopiec żydowski – zmarł na suchoty. Cuber nie gardził donosicielstwem na różne tematy, np. gdy udało mu się wywęszyć, że ktoś pędzi gorzałkę.

Inny zdrajca, Fabian, podobno sprowadził Niemców do kryjówki Żydów u Mendali. Również brat Fabiana, Felin, mógł być niebezpieczny. Kiedyś zdarzyło się, że zastał u nas chłopów przy pędzeniu bimbru. Trzeba trafu, że właśnie wszedł tam ukrywający się Żyd. Felin od raz podniósł krzyk, chciał biec za spłoszonym i uciekającym. Zatrzymał go jednak obecny Stanisław Surowiec.

Na drugi dzień przyszedł do mnie Fabian po wódkę i zaczął straszyć: „Tu, na górze są Żydzi, bo mówił mi o tym Felin!". W trzy dni po okrutnej śmierci Mendalów i Starca, do ich sąsiada Surowca wpadł Engelbert Guzdek z Niemcami wołając: „Tu są Żydzi, pokaż gdzie!". Surowiec spokojnie otworzył drzwi ze słowami: „Proszę

szukać. Jeżeli mam ośmioro dzieci, małą chałupkę i klepisko, to gdzie przy tych dzieciach mógłbym chować Żydów? Szukajcie u tego, kto wam powiedział". To mówiąc z komórki wyniósł butelkę wódki, kiełbasę i pół bochenka chleba. Guzdek i funkcjonariusze Sonderdienstu zjedli, popili i poszli. Kiedy w podobny sposób wtargnęli do sąsiada Surowca, jego dzieci z polecenia rodziców pobiegły do nas ostrzegając, że krążą Niemcy. Wtedy ojciec czym prędzej przykrył nawozem wejście do kryjówki pod żłobem. Ukrytych Żydów szczęśliwie nie zauważyli Niemcy, choć przeprowadzili rewizję. Odetchnęliśmy głęboko, gdy prześladowcy się wynieśli.

Dodajmy, że nasi przechowywani uciekinierzy ukrywali się tu przez dwa i pół roku. W dobrze wybranym miejscu mieli ciepło przez cały okres zimy. Zarówno w zimie, jaki i w lecie w nocy przenosili się do izby, żeby po ludzku zjeść i odetchnąć świeżym powietrzem. W ciągu dnia ojciec odsuwał obornik i ciasnym przejściem nosił im w koszyku żywność. Musiał też odwrotną drogą w wiadrze wynosić odchody. Staraliśmy się, w miarę możliwości, stworzyć ukrywającym się ludziom warunki godziwej egzystencji. Przy lampie naftowej czytali gazety, np. „Gońca Krakowskiego". Kobiety szyły ręcznie i naprawiały odzież domowników i zajmującego się pasaniem zwierząt Józefa Niewiadomskiego, okupacyjne bytowanie miało swoje codzienne potrzeby. Z czasem Niemcy wydali na przykład zakaz uboju zwierząt gospodarskich. Działali jednak domorośli rzeźnicy, czasem dochodzący do nas z miasta, jak na przykład Edward Wajdowicz, Antoni Wajda. Bili oni świnie i robili kiełbasy. Przynosili nam też różne wieści z pobliskiej okolicy. Edward Wajdowicz opowiadał nam, jak w Dąbrowie Tarnowskiej żandarm Billert zastrzelił Pułę, mieszkańca tego miasta.

Puła ukrywał 18 Żydów w starych domach koło Sokoła. Ukrytych żywili robotnicy miejscowego zakładu „Rolnika", gdzie Niemcy dostarczali wódkę, a zabierali zboże. Robotnicy usypywali część tego zboża i przekazywali Pule, który mełł ziarno dla swoich uciekinierów. Jeden z nich wpadł na pomysł, by udawać księdza. Razem z Pułą wybrał się do Luszowic do miejscowego proboszcza po starą

rewerendę. Chciał się przedstawić jako duchowny, uciekinier ze wschodu. Obecna na plebanii gospodyni dała mu starą sutannę. W domu Puły chodził w tej sutannie, a córka gospodarza musiała go całować w rękę.

Mieszkaniec miasteczka (zapamiętano go jedynie z inicjałów, a brzmiały one „P.Cz.") wybrał się do „Rolnika" po wódkę, ale mu jej robotnicy nie dali. Miał wtedy rzec w złości: „Jutro będziecie na Montelupich". Nie wiadomo jaki to miało związek z wydarzeniami następnego dnia, ale nazajutrz zjawili się Niemcy, szukając Żydów ukrywanych przez Pułę. Jeden z uciekinierów spotkał zbliżających się żandarmów i uciekł, nie mówiąc pozostałym tam towarzyszom niedoli.

Cała wściekłość hitlerowców skupiła się na nieszczęsnych Żydach i na człowieku, który próbował ich ratować. Poprowadzili Pułę do mostu na rzece Breń, kusząc aresztowanego pozostawieniem przy życiu, jeśli wskaże kryjówki Żydów w Dąbrowie Tarnowskiej.

Wiadomo było, że takich ukrywających się w tym mieście jest bardzo wielu. Puła nie chciał być zdrajcą i brać na swoje sumienie życia wielu niewinnych ludzi. Domagał się od swoich prześladowców dopuszczenia do Hitlera, z którym, jak twierdził, służył w czasie I wojny światowej w jednej kompanii. Te słowa jeszcze bardziej wzburzyły i tak już rozwścieczonych Niemców.

Nie wiadomo, ile było prawdy w tym powoływaniu się na wspólną służbę z Hitlerem, mogło to być prawdopodobne. W Wielkopolsce żył na przykład w latach trzydziestych Polak, nazwiskiem Jarocki, który jako feldfebel w pierwszej wojnie światowej, był zwierzchnikiem Hitlera. Oto któregoś dnia przyszły zbrodniarz, wódz III Rzeszy, miał iść z paroma kolegami na patrol. Zwrócił się jednak do swojego feldfebla z prośbą o pozostawienie go w kwaterze kompanii. Tłumaczył się, że jest przeziębiony, co zresztą było prawdą. Podoficer spełnił tę prośbę i wysłał w zastępstwie innego szeregowca. Patrol dostał się w zasadzkę i został wybity do ostatniego żołnierza. Mimo woli nasuwają się refleksje: ileż to spraw mogło by się inaczej ułożyć, gdyby Hitler zginął w tej potyczce.

Biednemu Pule powołanie się na frontowe koleżeństwo z Hitlerem nie pomogło w najmniejszym stopniu. Rozwścieczeni tym bardziej Niemcy zawieźli go na stację kolejową. Nie dochodząc do budynku, zastrzelili Pułę i zwłoki zostawili w pobliskim rowie.

Tak zginął dzielny człowiek, godny szacunku i bardzo popularny w swoim środowisku. Niemałą rolę w tej popularności odegrał wygląd zewnętrzny. Był bowiem Puła okazałej postaci i dobrej tuszy. Wieści o takich nieszczęściach przerażały, ale nie odcięły Żydów od pomocy z naszej strony. Gdy front się zbliżał, zamieszkało u nas 10 osób, wysiedlonych ze strefy przyfrontowej. Gnieździli się w izbie, a w komorze kwaterowało siedmiu Niemców. Ci ostatni pędzili wódkę, wałęsali się z kąta w kat i ciągle czegoś szukali.

Na podwórzu stały działa przeciwlotnicze, wokół ciągle plątali się żołnierze niemieccy, a w bunkrze siedzieli ukryci Żydzi. Trudno nam było teraz do nich dotrzeć. Nie mieliśmy chwili spokoju, dręczyły nas ustawiczne obawy o życie rodziny i o los ukrytych Żydów, którzy nam przecież zaufali. Nie mogliśmy zawieść tego zaufania.

Jeden z Niemców budził nas w nocy. Chciał, byśmy zagrzali w piecu, bo rozczyn na bimber fermentuje i kipi. Chcieli sobie popić, ale nie mieli chleba do zagryzienia. Trzeba było upiec ten chleb i nasi nieproszeni goście zjedli go, popijając wódką. Rozgrzani alkoholem zaczęli dalsze poszukiwania, tym razem domagali się cebuli i znaleźli ją u sąsiada Stanisława Surowca.

Kobieta wysiedlona ze Smykowa (nazwiskiem Wróbel) opowiadała nam swoje przeżycia, które potęgowały i tak już dostateczną obawę. Oto w jej szopie w Smykowie ukrywało się siedmiu Żydów, podczas gdy gospodarze przebywali w izbie swojego domu. Żył jeszcze wtedy i prowadził swoją nikczemną robotę volksdeutsch i konfident Szalski, który sprowadził do obejścia Wróblów słynnego z okrucieństwa żandarma Engelberta Guzdka. Na szczęście prześladowcy nie zastali już żydowskich uciekinierów. Mimo to Guzdek postawił kobiety pod ścianą. Wróblowa mimo gróźb i krzyku odwracała się, krzycząc przeraźliwie: „Jezus Maria, ratujcie!". Nie-

miec z Sonderdienstu w ostatniej chwili zdobył się na przebłysk ludzkiego uczucia i podbił lufę automatu, z którego Guzdek celował do stojących pod ścianą. Wtedy inny hitlerowiec z Sonderdienstatu kamieniem wybił Wróblowej zęby.

Ostatecznie choć pokaleczona uszła z życiem, a nawet wysiedlonym udało się zebrać swoje zboże. Ale i tak nie wystarczyło go, by wypędzonym zapewnić chleb. Nie mieli go już od dawna. Szczęśliwie docierała do nas żywność w inny sposób i to nieoczekiwanie. Jeszcze przed przybyciem i zakwaterowaniem u nas żołnierzy niemieckich Edward Wajdowicz przywiózł zza Wisły zabitego byka i świnię. Całą noc wędził świnię w ogrodzie. Zapach rozchodził się po Czerni. Na drugi dzień była łapanka. Rano o godzinie dziewiątej nadciągnęła drogą grupa konnych niemieckich żołnierzy. Mówili ze śmiechem, że z daleka poczuli smakowitą woń i dlatego tu są. Dom mieliśmy pełny uciekinierów z Dąbrowy Tarnowskiej. Było ich u nas aż 18. Myśleliśmy, że front zbliży się do nas wcześniej, ale miał nadejść dopiero na jesieni.

Na razie trzeba się było pozbyć niemieckich kawalerzystów. Dwaj z 18 goszczących u nas uchodźców: Wajdowicz i Konior wynieśli im bochenek chleba i kiełbasę, odjechali zadowoleni. A przecież za ten „nielegalny ubój" groziła kara śmierci na miejscu.

Bywały i inne przejścia, bardziej dramatyczne. W czasie pobytu w naszym domu zakwaterowanych żołnierzy niemieckich jedna z ukrywających się Żydówek imieniem Czesława zachorowała na oczy i nie mogła przebywać w bunkrze. Zabraliśmy ją do domu i uchodziła za naszą siostrzenicę z Mielca. Od razu mówiła mi: „Ciociu!" i ani razu się nie pomyliła. Niemcy zauważyli, że rozumiała ich mowę i reagowała na niektóre wypowiedzi.

Zaczęli się wypytywać, skąd zna język niemiecki. Zapewniałam, że uczęszczała do gimnazjum i tam się uczyła, potem pracowała u bauera i tam doszlifowała swoje umiejętności.

Mieliśmy sporo szczęścia, bo kiedy przeprowadzili u nas rewizję w poszukiwaniu Żydów, przebywali oni w tym czasie w wykopanym lochu, a ponadto u Franciszka Surowca blisko Mendali, ale tam niczego nie podejrzewano.

Niemcy odkryli bunkier

Antoni Witek, mieszkający na obrzeżach Dąbrowy Tarnowskiej, dobrze pamięta tamte lata i chętnie dzieli się wspomnieniami.

Na początku Niemcy spędzali Żydów w celu wykonania różnych prac porządkowych. W zimie organizowali ich w grupy i nakazywali usuwać śnieg, w lecie kopać rowy. Początkowo sami Niemcy nadzorowali te akcje, a z czasem utworzyli policję żydowską, która nosiła kolorowe opaski i posługiwała się gumowymi pałkami. Takim policjantem był np. Heś Meier. To oni teraz wyznaczali Żydów do pracy i prowadzili ich do punktu zbornego. Z tego okresu pochodzi dość nonsensowna, zaimprowizowana piosenka, której refren brzmi:

Nas Hitlerek złoty
Nauczył roboty.
A Śmigły Rydz
Nie nauczył nic!

Z czasem Niemcy wywozili Żydów do obozu w Oświęcimiu lub Pustkowa. Policja żydowska pomagała wyprowadzić mieszkańców żydowskiej dzielnicy na rynek. Tu klękali na bruku i oddawali na tacę kosztowności, złoto, obrączki, dolary itp. Ustawiali ich czwórkami i pędzili do stacji kolejowej, bijąc po drodze kolbami. W czasie jednej z takich akcji wybijali kolbami szyby w domach i krzyczeli: raus, raus! Wpadali do mieszkań, maltretowali, zabijali. Nie ominęli domu bogatego Szyndlera, właściciela magazynu zbożowego, utrzymującego stosunki handlowe nawet z zagranicznymi kontrahentami.

Jego syn, z zawodu lekarz, skoczył z balkonu, ale złamał nogę i zamordowali go. Uciekł Sztyglic i przeżył wojnę. Żydzi uciekali i kryli się w stodołach, szopach, prosili o pożywienie i otrzymywali je, choć groziła za to kara śmierci. Egzystencja getta dobiegła końca, ale jeszcze zdarzało się, że do wypędzonych na podwórze strzelali.

Za każdym razem Heś Meier ze swoimi pomocnikami prowadził Żydów pod nadzorem Niemców. Ale i na żydowską policję przyszedł kres. Niemcy kazali im wykopać zbiorową mogiłę i ustawić się nad dołem.

Jak zwykle pozabierano precjoza, a nawet częściowo ich rozebrano. Rozległy się strzały z cekaemu. Heś Meier zasalutował i padł ostatni. Za zasypanie grobu dali Kucharskiemu z Olesna, odzież, obuwie. Po wojnie Kucharski wstąpił do MO i podczas sporu zastrzelił sąsiada. Pinkowie uciekli i na końcu Bagienicy, przy ul. Piłsudskiego zbudowali w ziemi bunkier. Nierówny, pofałdowany, pokryty krzakami teren stanowił dobrą osłonę, ale na krótką metę. Korzystając z ciemności podchodzili do domów znajomych mieszkańców i zaopatrywali się w żywność. Jak mogliśmy, ratowaliśmy nieszczęsnych, mimo że niebezpieczeństwo było wielkie. Z każdego plakatu, za byle co wyzierała śmierć. I codzienność dowodziła, że nie byty to czcze pogróżki.

W Radgoszczy Polesiu Niemcy otoczyli zabudowania Bronisława Łachuta i złapanych Żydów spalili razem z rodziną gospodarza. Podobnie postąpili w pobliżu pod lasem, który zwano Belerytem. Trzej Pinkowie radzili sobie jakiś czas. Wreszcie ktoś zauważył dymiącą rurę i doniósł Niemcom. Jak zwykle w takich przypadkach, Niemcy otoczyli bunkier i zastrzelili jego mieszkańców.

Niektórym udało się wyjechać na roboty do Rzeszy

Mieczysław Banach przed powrotem do rodzinnej Dąbrowy Tarnowskiej mieszkał z rodziną na kresach wschodnich, gdzie widział z bliska tragedię Żydów. Już w 1941 r. – mówi – szef gestapo

Krüger ze swymi zbirami zaczął mordować ludność żydowską. Najpierw żądał od ich gminy futer, złota, srebra, po czym masowo ich rozstrzeliwali. Krüger, jedząc bułkę z kiełbasą, obserwował z lubością przebieg egzekucji. Podobnie postąpili okupanci z polskimi nauczycielami. Mord poprzedziło sporządzenie rejestru pedagogów, których z kolei zebrali w rynku, rozebrali do bielizny i samochodem wywieźli za miasto, gdzie rozległy się strzały.

W Dąbrowie Tarnowskiej zostałem zastępcą kierownika Arbeitsamtu, gdzie szefem był Julian Eimes, polski oficer, który po kapitulacji Modlina wychodził honorowo z białą bronią. Jego stryj był burmistrzem w Tuchowie za Tarnowem, ale synowie nie podpisali volkslisty. Eimes bił Żydów. Polaków kierował na przymusowe roboty do Niemiec. Ale z czasem stawał się życzliwy wobec Polaków, zyskując nawet pewne względy ruchu oporu. Zdarzało się bowiem, że nie zdradzający cech semickich Żydzi byli wywożeni na roboty do Rzeszy. Nasz Zarząd w tym pośredniczył, choć nieświadomie. O Eimesie pisze pochlebnie w swoich wspomnieniach Paweł Kochanek, wójt Bolesławia. Baliśmy się wykrycia takiego faktu, bo znaliśmy nienawiść i zaciekłość okupantów. Tak było wszędzie, dokąd sięgnął złowrogi cień swastyki.

Pacholczyk z Małca jeździła z mąką do Borysławia, skąd przywoziła naftę. Lampy naftowe były w tym czasie w każdym domu, zwłaszcza na wsi. Mówiła, że w lutym 1941 r. Niemcy wieźli na samochodach dzieci żydowskie, a za tymi wozami pędzili rodziców. Dzieci krzyczały, wyciągały ręce ku rodzicom. Wozy zatrzymały się nad wcześniej przygotowanymi dołami. Otworzyli klapy i wrzucali skłębione, rozwrzeszczane dzieci, a na nie z kolei rodziców i zasypywali sproszkowanym wapnem. Tak więc zostali żywcem pogrzebani.

Powszechnie spotykanym obrazkiem było wypychanie Żyda z pędzącego pociągu lub katowanie go na dworcu kolejowym. Widziała, jak pies zlizywał krew po zabitym. Po wojnie Eimes otrzymał niski wyrok, udowodniono bowiem, że oszukiwał okupantów. Zamieszkał w Szczecinie.

Najcięższa próba przyjaźni

Genowefa Borsa urodziła się w 1909 r. W tyle lat po wojnie niemłoda pamięć z czasem jakby przycichła, trzeba się zastanowić, żeby odtworzyć po kolei. Nazwiska. Zdarzenia. Gdyby żył mąż, Franciszek, on by opowiedział więcej, ale już na cmentarzu jest.

Franciszek przeżywał to wszystko bardzo, przecież jeszcze był dowódcą plutonu AK, no i nieustannie musiał czuwać, tyle osób narodowości żydowskiej ukrywało się w ich domu. Znali się, a nawet przyjaźnili od dawna. Kupowali w żydowskich sklepach w Dąbrowie Tarnowskiej. Żydzi czasem brali od nich pożyczki, czasem nabywali żywność. 10–hektarowe gospodarstwo Borsów leżało tuż za opłotkami Dąbrowy. Oddzielała je tylko rzeka Breń. Zarośla wokół rzeki, piękne kępy drzew i krzewów wśród pól w czasie pokoju cieszyły wzrok. A gdy nadeszły lata wojny, lata okupacji, ten krajobraz pogodny dawał ludziom choćby chwilowe schronienie, ratować życie. Pierwsi, którzy skorzystali z tego azylu to byli Żydzi, gdyż to ich najpierw prześladowano.

Już w 1939 roku niektórzy przychodzili w ciągu dnia do pracy w polu, bowiem na wsi było bezpieczniej. Przybywali wczesnym rankiem i dopiero wieczorem wracali do domów. Niemcy wywłaszczali ich z dobytku, ze sklepów, warsztatów, magazynów. Kto mógł sam likwidował swój interes, niektórzy na prędce przygotowali schowki, na to co mają.

Przychodził więc do tych prac szynkarz Alter Rand – właściciel masarni i wielu innych. Radzili się i zwierzali, szczególnie lubili i cenili Franciszka Borsę. To on bywał w dawnych lepszych czasach poręczycielem, gdy ktoś potrzebował pożyczki.

Żydów Niemcy zaczęli wywozić samochodami na roboty, niektórzy uciekali za Wisłę, bo im mówiono, że tam ciszej. Właściciel sklepu bławatnego z rynku, Blangrund, pochował swoje towary między ścianami domu. Jego córka ukryła się u Borsów i po wojnie dała im ten dom. Zaczęli szukać trwałego schronienia w 1941 r., kiedy utworzono getto.

Pierwszy przyszedł Aron Werker z teściową i bratem żony. Borsowie zaczęli organizować i urządzać kryjówkę. Gdy była już gotowa, Żydzi przyszli i już pozostali. Trzeba było wtajemniczyć dwóch parobków i bratanicę Borsy. Skrytka powstała między dwoma kuchniami, gdzie zrobiono dodatkowy mur. Wchodziło się przez strych. Doprowadzono tam energię elektryczną, zainstalowano piecyk żelazny. Obiady donosiła Borsowa. Razem z Werkerem przyszedł jeszcze handlarz słomą Natan Unger z narzeczoną. Borsa najpierw zaprowadził ich do swojego byłego parobka o nazwisku Franciszek Kot z Oleśnicy. Trzeba było jednak umieścić tych dwoje w niedługim czasie znów u kogo innego, bo zaczęło się zbytnio interesować domem Kota.

Na końcu wrócili do Borsów i już tam zostali. Z Tarnowa przyszła właścicielka sklepu z farbami, Zikind i fiakier Izak Izaak. Znów u kogoś Borsa ich ulokował. Krawcową z Dąbrowy Tarnowskiej Borsowie przyjęli na dniówki, mąż jej ukrywał się we wsi Morzychna u Kostkowej. Po wojnie Kostkowa dostała od nich listy. Przetrwali.

Wieczorem inni Żydzi przychodzili po chleb, po żywność. Stale przebywali: Ewa Blangrund, Natan Unger i żona Ućka. Wergerowie nie byli do końca, gdzieś poszli i podobno nie przeżyli wojny. Byli jeszcze inni, ale Borsowej nie dopisuje pamięć, zagubiła nazwiska. Wielu ludzi przewinęło się przez ten dom, każdy otrzymał pomoc, wsparcie.

Córka właścicielki sklepu bławatnego wyszła za Szermera, też z nim była do końca. Momenty grozy przychodziły nagle, paraliżując wszystkich. Któregoś wieczoru przybiegł chłopiec z karteczką: „Uważaj, będziesz miał gestapo". Może to ostrzegła pani Jaworska, pracująca w żandarmerii, a może Rozmus lub inny policjant granatowy, z którym Borsa żył dobrze.

Pod wieczór mąż Marii porozsyłał Żydów na teren Rudy, Zazamcza i Oleśnicy. Tylko Aron Werker z żoną Marią zbuntowali się i powiedzieli, że jest im wszystko jedno i że nigdzie nie idą. Zaszyli się w sianie na strychu.

Ktoś musiał donieść, bo rzeczywiście Niemcy przyjechali bryczką i otoczyli dom. Jeden z tych Niemców mówił po polsku. Borsa wyszedł do nich. Powiedzieli, żeby wydał Żydów, to mu się nic nie stanie, tylko tamtych zabiorą, ale Borsa oświadczył, że mogą szukać – Żydów nie ma. Ponieważ był miejscowym agronomem i zajmował się kontyngentem, przejrzeli dokumenty, a potem zaczęli szukać skrytek. Było to jesienią lub wiosną, bo ule z pszczołami były w dołach koło domu, lekko przykryte deskami i słomą. Tam też zaglądali, bardzo dokładnie. Przypadek sprawił, że tego dnia było świniobicie i na ganku byli dwaj mężczyźni z nożami: Stanisław Golonka i Wincenty Gonciorczyk. Niemcy zainteresowali się nimi. Po wyjaśnieniach, że robili u wujka świniobicie, Niemcy zapowiedzieli że przyjdą na kiełbasę i bimber. Wtedy jeszcze nie karano za ubój. Odeszli, nikogo i niczego nie znaleźli, chociaż w szopie były granaty i radio, którego się nocą słuchało. Odeszli już dalej nie szukając.

Żydzi wrócili w nocy w ulewny deszcz. Musieli się jednak ukryć na razie w stercie słomy za stodoła. Trzeba było się liczyć z tym, że Niemcy w każdej chwili mogą wrócić. Tamci ludzie z tego cierpienia też już dostawali szału. – Borsowa pamięta, że Werker wołał, że gdyby go wyrzucono, złożyłby doniesienie.

Żydzi po kilku dniach wrócili do kryjówki. Potem pewnego razu akowcy przyprowadzili do Borsów odebrane Niemcom ogiery, ale rżały głośno i trzeba było się ich pozbyć, przerzucili je dalej. Marii pomagała w tym trudnym okresie bratowa Janina, dziś Zawadzka, mieszkająca obecnie w Warszawie. Tylu ludziom trzeba było dać jeść, pomóc, żeby się umyli, ogrzali.

Póki było ciepło myli się w pobliskim stawie. W czasie upałów skarżyli się, że nie mogą wytrzymać w schowkach. Niektórzy miejscowi sąsiedzi bali się nawet przychodzić do domu Borsów.

W schowku były deski, na których ukrywający się spali – przypomina sobie Maria Borsa. Nie było miejsca, nie było jak się ruszać – cztery metry na dwa. Ciężko było żyć, ale tamtym w kryjówce jeszcze ciężej. Jak już wyszli po wojnie, to powiedzieli z goryczą, że

w psiej budzie byli. Nie przyznawali się, gdzie byli, ale Borsom zostawili pisemne oświadczenia. Piszą listy. Niekiedy przysyłają paczki. Izak Izaak z Izraela przysłał na święta pomarańcze. Rand z USA słał odzież.

Przeżyli, a przecież tak niedaleko w Rudnie Zazamcze też byli Żydzi u Józefy Kogut, ale pokłócili się z sąsiadami i wszystko wyszło na jaw. Zginęło sześcioro Żydów i gospodyni. Maria Borsa pamięta też, jak Żydzi klęczeli na kamieniach na rynku, jak ich zabijano. Jeszcze dorzuci, że najtrudniej było pod sam koniec wojny, kiedy musieli przyjąć na kwaterę niemieckich żołnierzy. Wtedy tamci nie mogli wcale wychodzić z kryjówki. Już jednak milknie. Dość. Franciszek, ten by najwięcej mógł opowiedzieć, ale już na cmentarzu – mówi stara kobieta, schorowana, słaba. Ale tamci przeżyli. Piszą. Jak można ich było nie ratować – przecież przyjaźnili się, żyli tak blisko.

Ci, którzy przeżyli

Każda relacja z ponurych lat okupacji hitlerowskiej kryje inny fragment osobistych dramatów ludzi prześladowanych i tych, którzy z narażeniem życia spieszyli im z pomocą. Każda stanowi też przyczynek do historii najcięższych lat niedawnej przeszłości. Jaka była cena przeżycia tych lat, możemy się przekonać sięgając do wspomnień Józefa Osaka, urodzonego w Lipinach w 1913 roku, a mieszkającego w pobliskim Szarwarku.

W Lipinach – wspomina Józef Osak – żyły dwie rodziny żydowskie: Finderów i Minderów. Pierwsza składała się z trzech osób: rodziców i córki Rozalii. Mieli małe gospodarstwo rolne. Ojciec był czapnikiem, robił czapki i sprzedawał je w Dąbrowie Tarnowskiej oraz okolicznych wsiach.

W drugiej rodzinie było pięć córek i dwóch synów. Jeden miał na imię Zenek, drugi – Aron. Ten ostatni przeżył lata wojny i mieszka dziś w Stanach Zjednoczonych. Dwie zamężne córki pracowały

w Tarnowie, jedna w winiarni na Burku, druga w Lisiej Górze, wraz z mężem skupowała mleko. Mąż miał konia, woził to mleko, ona musiała być przy udoju, posługiwała się specjalnymi naczyniami. Było to bowiem mleko koszerne, sprzedawane odbiorcom w Tarnowie. Nie wszyscy wiedzą, że zwierzę koszerne zabijał rzeźnik upoważniony przez rabina.

W myśl obowiązujących reguł wyznania mojżeszowego nie jedzono zwierząt kwiczących, jak świnie i króliki. Wieprzowiny nie jadali w ogóle, a z wołowiny – tylko przody. Kogut był koszerny tylko wtedy, gdy go uśmiercono jednym poderżnięciem. Koszerne mięso jedli z upodobaniem jesienią, w czasie świąt zwanych kuczkami.

W Brniku, u zamożnego przedsiębiorcy Mojżesza Gruntzwanga siali pszenicę i sami ją zbierali. Był to duży obszar upraw. Nie wolno im było zbierać zboża świeżo po deszczu ani na zroszonym polu. Zajmowali się też czyszczeniem młyna. Dzięki temu częstowali potem wszystkich. Ojciec rodziny trudnił się rolnictwem. Miał małe gospodarstwo dwuhektarowe, ponadto handlował bydłem. Nie była to praca lekka, polegająca na robieniu samych korzystnych interesów. Zakupione cielęta musiał, nieraz sam, nosić na plecach do Dąbrowy Tarnowskiej.

W roku 1939 Niemcy, poinformowani o sytuacji materialnej tej rodziny, przyjechali i zapowiedzieli, że nie wolno jej opuszczać domów. Przeprowadzili rewizję, zabrali żywność, mąkę, drób. Nie odmówili sobie szykan. Ojciec rodziny nosił brodę, więc ostrzygli go nożyczkami. Najstarszego syna, Arona, z zawodu rzeźnika, dodajmy – silnego mężczyznę, wywieźli do pracy w Pustkowie pod Mielcem.

Za drugim przyjazdem znów zrabowali im zapasy żywności. Nakazali codzienne meldowanie się u sołtysa, a raz w tygodniu na policji w Dąbrowie Tarnowskiej. Tymczasem przybyła z Tarnowa jeszcze jedna żydowska rodzina i zamieszkała u Jana Ptaka. Byli bardzo zamożni. Ojciec trudnił się krawiectwem, miał żonę i dwoje dzieci: syna i córkę. Szyli ludziom za litr mleka, bochenek chleba, a robili to bardzo sprawnie, byli dobrymi rzemieślnikami.

Latem 1940 roku sołtys otrzymał polecenie dostarczenia Żydom furmanek, w celu przewiezienia ich do rynku w Dąbrowie Tarnowskiej. Koszty przejazdu mieli pokryć sami Żydzi. W tym czasie wrócił starszy syn, Aron, wycieńczony, ledwie żywy. Przywieźli go Niemcy, a zabrali za niego młodszego syna. Po miesiącu przywieźli go z powrotem, ale już chorego. Po dwóch tygodniach zmarł.

Starszy syn, Aron, uciekł do lasu, a tymczasem innych Żydów przewieźli konnymi wozami do Dąbrowy Tarnowskiej. W tym samym dniu część z nich została zastrzelona, a reszta załadowana do wagonów i wywieziona. Rodzina Minderów była liczna, córki miały już swoje potomstwa. Najstarszy syn, Aron, nie umiał radzić sobie w lesie. Wrócił na wieś do szkolnych kolegów, tułał się między wiejskimi chłopakami, nocował w różnych miejscach. Po kryjomu pomagał w pracy w polu. Gestapo wpadało kilka razy po niego, ale zawsze zapewniano Niemców, że go tu nikt nie widział. Zapoznał się z różnymi Żydami, którzy się tu również ukrywali i służył im za przewodnika, zaopatrywał w żywność i przedmioty, najpotrzebniejsze do przeżycia.

Powstało w ten sposób spore skupisko, liczące około 30 osób. Najczęściej kryli się w sośninie, krzakach, zbożach, w rejonie Lipin i Brnika. W zimie chronili się w zabudowaniach gospodarczych. Żywiła ich okoliczna ludność. Było to chyba lato 1943 roku, gdy wyśledziła ich żandarmeria i otoczyła w zbożach w przysiółku Brnika – Malarce.

Spostrzegłszy Niemców, rzucili się do ucieczki. Rozpoczęła się strzelanina. Do mego domu wpadł Aron Minder, zziajany, skrwawiony i przerażony. Urywanym głosem rzucał zdania o tragedii prześladowanych. Podczas posiłku, w polu otoczyli ich Niemcy, otworzyli ogień do uciekających. Zabili towarzysza Arona, biegnącego tuż obok. Padł na martwego, a na niego znów zwalił się inny, trafiony niemiecką kulą. Potem wydostał się spod trupa i dobiegł do mnie, nawet nie draśnięty, ale poplamiony krwią zamordowanych towarzyszy niedoli. Twierdził, że Niemcy zabili chyba

ponad 10 uciekających, a ciała wywieźli do Dąbrowy Tarnowskiej. Odzyskawszy siły i równowagę psychiczną w moim domu, Aron przyrzekł sobie, że odtąd nie połączy się już z żadną żydowską grupą i będzie ukrywał się samotnie. Postarał się o broń, wyszukał młodą kobietę Żydówkę i razem ukryli się w lesie. Mieli pieniądze i mogli płacić za wszystko, co im było potrzebne. Dołączył do nich Mojżesz Lind z Brnika, ich rówieśnik, silnie zbudowany i dobrze uzbrojony.

O żywność nie było specjalnie trudno, bo dobrze znali okolicę, a pieniędzy starczyło na zakupy. Dożyli końca wojny, chroniąc się w zimie w domach, a ciągle zmieniając miejsca pobytu. Dobra odzież uodporniała ich na zmiany pogody. Nabrali pewności siebie i wobec podejrzanych o wrogość występowali ostro. Nie dali się też podglądać ani śledzić.

Gdy front przetoczył się przez naszą okolicę, Aron przyszedł do mnie jak do przyjaciela. Narzekał na okrutny los. „Po co ja przeżyłem – skarżył się – miałem liczną rodzinę, a zostałem sam jak palec. Odzyskałem wolność, ale życie mnie nie cieszy".

Sprzedał ojcowskie gospodarstwo w Lipinach i wyjechał do USA: Przyrzekł napisać do mnie, ale tego nie uczynił. Dodajmy, że – jak już może wspomniałem – przeżyła cała trójka ukrywających się, do której należał. Jego towarzyszka, jak się okazało, z Krakowa, po wojnie również wyjechała za granicę.

Znam i inne wypadki solidarnej postawy Polaków i Żydów wobec hitlerowskiego okupanta. W Szarwarku, w zagrodzie Adama Starzyka ukrywały się cztery osoby, przedtem szukające schronienia w Dąbrowie Tarnowskiej. Żydowscy uciekinierzy sprowadzili się do Starzyka w 1943 roku. Dom stał z dala od drogi publicznej, w bok od wsi. Ukryli się w stodole, w schowku, który od boiska i z zewnątrz osłaniały deski. Dookoła ścian stodoły wzniesiono drugą ścianę z desek. Ukrywający się mogli chodzić wzdłuż ścian stodoły.

Na podwórzu był uwiązany zły pies, a do nieznanych przybyszów gospodarz wychodził z bronią. Poszedłem tam kiedyś, żeby

dokonać nielegalnego uboju świni. Gospodarz wyszedł do mnie z siostrą, znali mnie tu oboje. Żydzi, którzy się tu ukrywali, chyba mieli do mnie zaufanie, bo nie mogli się powstrzymać, by ze mną nie porozmawiać. Żalili się na trudne warunki i złe czasy, ale o swoim gospodarzu wyrażali się bardzo pochlebnie. Pochodzili z Radomia, gdzie mieli garbarnię skóry. Szczęśliwie przeżyli okres prześladowań.

Po wojnie uruchomili ten zakład i Starzykowi powierzyli jego kierownictwo. Dorobiwszy się grosza, wrócił w swoje rodzinne strony dokupił gruntu i wybudował nowy dom. Uratowani Żydzi wyjechali do Stanów Zjednoczonych i dalej go wspomagali.

Brat Starzyka, Józef, pracował w Dąbrowie Tarnowskiej, w urzędzie pocztowym jako doręczyciel i pilnie obserwował, co się wokół dzieje. Należał do AK, a brata i innych uprzedzał w porę o grożącym niebezpieczeństwie, a przede wszystkim o planowanych przez okupanta akcjach. Zagrożenie wzrosło, gdy w lipcu 1944 roku zbliżył się front i zatrzymał się w rejonie Radomyśla, Jam i Szczucina.

Napływało dużo wojska niemieckiego, również do Szarwarku. Oprócz wojska zakwaterowali się również wysiedleni. Tych ostatnich było wkrótce więcej niż tutejszych mieszkańców. Wojsko tu odpoczywało i odjechało na front do Jam, leżących w odległości 20 kilometrów. Wśród drzew zamaskowano gniazda karabinów maszynowych. Niemcy pilnowali tego sprzętu w dzień i w nocy.

Wieczorami samoloty radzieckie bombardowały Tarnów i obserwowały ruchy nieprzyjacielskich wojsk w naszym najbliższym rejonie. Rakiety świecące wisiały w powietrzu, było jasno, a Niemcy strzelali w górę. Dym ścielił się chmurami, widać było odłamki pocisków, pękających wokół radzieckich samolotów.

Nad Radomyślem angielski lotnik zestrzelił niemiecki samolot. Alianci lecieli bowiem ku Warszawie z pomocą dla powstania. Za to samoloty hitlerowskie już się u nas nie pojawiły. Gdy w grudniu 1944 roku znowu ruszył front, spodziewaliśmy się walk w naszym rejonie. Po południu zajechały cztery samochody niemieckie i zajęto kwatery w naszym domu. Do mieszkań nanieśli słomy dla wojska.

Działa ustawili na łące i zapowiadali opór wobec ofensywy radzieckiej. Zjedli posiłek, ale nagle nadjechał motocyklista i dał znak, że są zagrożeni. Po kilku minutach zabrali wszystkie swe rzeczy, a wśród nich koce – i uciekli do Dąbrowy Tarnowskiej.

Wkrótce potem zapukał do mego okna niemiecki żołnierz i spytał, gdzie się podziało wojsko, które tu było. W nocy pieszo ruszył przez pola. To był ostatni Niemiec. Ale jeszcze w 1944 roku pojawił się w Szarwarku sierżant Owykin ze Smoleńska i tutaj się ukrywał. Zapoznał się z niemieckim dezerterem. Grali w karty z miejscowymi chłopakami, spali i jedli razem. Niemiec sprzedał karabin za wódkę.

Obaj odwiedzali pannę Genowefę Grabiec i sierżant zapewniał ją i wszystkich, że nie ma się czego bać. Po wkroczeniu Armii Radzieckiej zgłosili się do Komendy Placu w Dąbrowie Tarnowskiej. Niemca zabrali, a sierżant wrócił jeszcze na 20 dni. W końcu przyjechali po niego funkcjonariusze NKWD. Dałem mu różne rzeczy, ale NKWD–ysta powiedział mu wprost, że już nie będą mu potrzebne. Zabrał jednak jajka na drogę, w nadziei, że może przeżyje.

I jeszcze jeden znany mi przykład pomocy udzielanej prześladowanym. Mojżesz Lampel z Dąbrowy Tarnowskiej ukrywał się przy ulicy Szarwarskiej, w domu Ewy Bartuli. Była to wdowa o dobrym sercu, ukryła go w stajni swego gospodarstwa. Przygotowano mu legowisko ze słomy, rozłożonej na żerdziach. Żywiła go pieczołowicie. Niemcy zaglądali tu, ale na szczęście nie znaleźli ukrywającego się.

Wymykał się do lasu, gdzie spędzał również czas w razie niebezpieczeństwa. Ukrywał się też wespół z innymi zbiegami, np. Meckerami z Brnika. Dożywiał ich ksiądz Stanisław Rychlec, proboszcz z Szarwarku. Mieszkańcy wspominają Józefa Rzepkę, który przynosił chleb żydowskim kolegom ukrywającym się w lesie.

Zmienne losy prześladowców i prześladowanych

Do innych relacji warto przyłączyć wspomnienia Józefa Rzepki urodzonego w 1919 roku w Brniku.

– Przypominam sobie – mówi – że Tomasz Wieczorek, właściciel gospodarstwa rolnego w Brniku przechowywał u siebie Żydów. Byli to sąsiedzi rodziny Wieczorków. Zajmowali się również gospodarowaniem na roli. Zacytuję szereg nazwisk. Chaim i Szymon Mecnerowie byli braćmi i pełnili funkcje rabinów. Przed wojną w ich domu odbywały się modły. Przychodzili do nich Żydzi z okolicznych wsi, np. z Brnika i Żelazówki.

Z tej ostatniej wsi przybywali do nas i szukali schronienia członkowie rodzin Piszków i Heśków oraz innych. Z Brnika przychodzili po ratunek Mecker, Orincwang i Samuelowie, posiadajacy młyn wodny na rzece Breń w Brniku.

U Wieczorka ukrywali się na strychu, w sianie. Dom pod strzechą zapewniał w zimie niezbędne ciepło. W nocy chodzili po żywność i handlowali odzieżą. Mieli sprzed wojny towary tekstylne. Nikt nie wiedział, że przebywają tak blisko, byli bowiem starannie i mądrze ukryci. 6 maja 1944 roku gestapowcy przyjechali po cywilnemu do Brnika i w dzień aresztowali Tomasza Wieczorka oraz Józefa Jachyma. Ten ostatni był zastępcą naczelnika urzędu pocztowego przed wojną.

W czasie okupacji nie pracował na żadnej posadzie, uprawiał ziemię przy siostrze. Wieczorek był zatrudniony jako strażnik w fabryce celulozy w Niedomicach koło Tarnowa. Trochę też chorował. Mówiono, że doniesienie na niego złożył sołtys w Żelazówce Wincenty Jakus, którego na krótko przedtem upominali, ostrzegali, a w końcu pobili akowcy. Samochód gestapowców zatrzymał się przy skrzyżowaniu dróg Żelazówka – Brnik, Dąbrowa Tarnowska i Tarnów. Wysiadło trzech cywilów, z których żaden nie znał języka polskiego. Otoczyli dom Tomasza Wieczorka. Był to duży blok należący przedtem do Żydów o nazwisku Samuel. Przeprowadzili rewizję, nie znajdując niczego podejrzanego. Tomasza Wieczorka

skuli kajdankami. Aresztowany podsunął myśl o pomyłce. Wyjaśnił, że jest tu jeszcze jeden jego imiennik i też ma dwie córki. Poszli z nim do Tomasza Wieczorka, mieszkającego zaledwie o sto metrów. Weszli i zapytali o personalia. Okazało się, że jego córki to już panny. Zostawili go w spokoju i zabrali pierwszego, ojca małych dziewczynek. Wiek córek pozwolił im zidentyfikować podejrzanego.

Gospodarze domu byli przerażeni, bo w sianie na strychu ukrywali dwóch Żydów. Tymczasem gestapowcy przeprowadzili aresztowanego Tomasza Wieczorka do sołtysa, na podwórze jego domu. Samochód ich dawno odjechał. W drodze do sołtysa szli przez łąkę Józefa Jachyma, który w tym czasie rozrzucał kretowiska i sam przyszedł do nich, bo znał Tomasza Wieczorka. Być może sądził, że mu w czymś będzie mógł pomóc. Okazało się, że gestapowcy szukali również Tadeusza Jachyma, podoficera Wojska Polskiego i członka Armii Krajowej. Zabrali prosto z łąki Józefa Jachyma, nie słuchając jego tłumaczeń, że chodzi o innego człowieka tego samego nazwiska.

Sołtys Stanisław Bartosz był nieobecny. Wybrał się właśnie do kuźni znajomego kowala w Brniku. Obu skutych postawili gestapowcy twarzą do ściany w korytarzu domu sołtysa. Pilnował ich jeden uzbrojony gestapowiec, a drugi przez okno obserwował wieś i rozmawiał z żoną sołtysa.

Do sołtysa pobiegła służąca. Stanisław Bartosz dostarczył podwodę. Powoził 12-letni Czesław Wieczorek i zawiózł Niemców wraz z aresztowanymi do komendy żandarmerii w gmachu gimnazjum w Dąbrowie Tarnowskiej. Los aresztowanych był tragiczny. Wieczorka rozstrzelano w maju w Zgłobicach. Jachym nie powrócił z obozu w Oświęcimiu. Żydzi, ukryci w jego domu, przetrwali wojnę. Po wyzwoleniu przekazali Stefanii Wieczorek około trzech morgów ziemi.

W innym domu, u Ewy Stefańczyk ukrywał się Mojżesz Lint. Rodzina Lintów, pracująca na roli, sąsiadowała z Ewą Stefańczyk. Do rodziny Lintów należeli dwaj synowie i córka. Jeden z synów

imieniem Lejba handlował sacharyną i kamieniami do zapalniczek, czyli towarami bardzo wówczas deficytowymi. Starali się siedzieć w domu i jak najmniej pokazywać, ale głód zmuszał nieszczęsnych do wędrówek w poszukiwaniu żywności. Prócz ojca rodziny, Mojżesza, wszyscy zginęli.

Ciężkie koleje losu przeszli Samuelowie, właściciele młyna wodnego w Brniku. Ukrywali się: ojciec Mojżesz, syn Woter (mówiono na niego Wotek), drugi syn Kalman, inwalida, który stracił nogę, wskakując do pociągu. To kalectwo było przyczyną jego samobójstwa. Otruł się.

Była jeszcze córka, Ryfka, wydana za Jankla Mecgera z Brnika. Ta ostatnia ukrywała się u Wojciecha Grabki. Przeżyła tragiczne lata okupacji i mieszka w Szczecinie. Jankla zastrzelili Niemcy w lesie, w czasie akcji, która przypominała polowanie na ludzi. Wdowa wyszła za Wojciecha Grabkę. Jak już podawałem, mieszkają oboje w Szczecinie.

Siostra Ryfki, Estera wyszła przed wojną za, jak mówiono, milionera i wyjechała z nim do Wiednia. Druga siostra, Paszka, poślubiła przed wojną Mojżesza Grincwanga. W czasie okupacji ukryli się oboje u gospodarza Kozaczki w przysiółku Wola Brnik.

Tenże Mojżesz nie przekazał Kozaczce obiecanego mu za pomoc swojego gospodarstwa, ale sprzedał je Józefowi Bartoszowi, reemigrantowi z USA. Sam wyjechał za granicę.

Była jeszcze Maria Samuel. Ta ukryła się na skraju Brnika, prawdopodobnie u niejakiego Kmiecia. Inny mieszkaniec tych stron, Tadeusz Kot, przyszedł rano do stodoły po siano i usłyszał płacz kobiety. Żydówka (a była to właśnie Maria) opowiedziała mu, że została przez Adama K. obrabowana i wyrzucona. Prosiła Tadeusza Kota, by jej nie mordował, nie śmiała błagać o pomoc. Dostała przyodziewek, ale nie miał żadnej damskiej garderoby. Musiała przyjąć poniemiecki płaszcz wojskowy i buty drewniaki. Była w tym schronieniu tylko jedną dobę, bo teren okazał się zbyt niebezpieczny. Do Tadeusza Kota jako do starego kawalera schodzili się chłopi, grywali w karty. Łatwo było w tych warunkach o dekonspi-

rację. Po trzech dniach wróciła Maria Samuel i podrzuciła Kotowi drewniaki wraz z płaszczem. Wiadomo mi, że przeżyła wojnę i obecnie żyje w Izraelu.

Wotek Samuel przed wojną ożenił się w Żabnie i miał dwie córki. Zabrany do getta, niestety, zginął razem z rodziną. Inny znany mi mieszkaniec tych stron, Mojżesz Grincwang miał 22 morgi gruntu, wartościową resztówkę. Był ojcem rodziny, w której skład wchodziła m.in. córka i jej dwie córeczki. Niemcy powyrzucali ich wszystkich z tych gospodarstw i oddali ziemię wraz z całością inwentarza i dobytku wysiedlonym z Czermina.

Wydziedziczeni Żydzi ukryli się u gospodarza Witka na strychu. Po wyczerpaniu zapasów żywności Witek przyszedł do sołtysa Stanisława Bartosza z propozycją zabrania Żydów. Zawiadomił o ich pobycie we wsi policję. Na efekt nie trzeba było długo czekać. Granatowi policjanci przyjechali konnym wozem i zabrali całą ukrywającą się rodzinę do sołtysa.

Stary Grincwald płakał i prosił, by ich puścili, a jego córka, Huda, wyjęła pieniądze i dała sołtysowi, aby ten z kolei wręczył je policjantom. Sołtys w obecności policjantów – a działo się to wszystko w jednym pokoju – pieniędzy nie przyjął. Próbowała nieszczęśliwa kobieta błagać jeszcze policjantów, aby ich odstawili choćby do getta. Wywieźli cała rodzinę i nikt z niej nie wrócił. Najprawdopodobniej zamordowano biednych uciekinierów.

Z tej rodziny oderwały się wcześniej dwie córki: Fajga i Nina. Uciekły i u sołtysa ich już nie było. Fajga przeżyła wojnę. Przyjęła katolicyzm i pracowała we Lwowie w Polskim Czerwonym Krzyżu. Jest obecnie za granicą. Młodsza jej córka zginęła w lesie w Belerycie. Zamordował ją Niemiec i zgłosił sołtysowi, że trzeba pochować zwłoki. W tym samym lesie ukrywali się jeńcy radzieccy, którym udało się zbiec z obozów. Dwaj z nich: oficer Mikołaj i podoficer Konstanty postanowili naśladować Żydów w sposobie przetrwania wojny. Wykopali bunkier i kryli się w nim do końca wojny. Bunkier ten mieścił się w stodole Jana Rzepki.

W Brniku żyły dwie rodziny Mecgerów, właścicieli gospodarstw rolnych. Z tej rodziny dwie kobiety, Haftka i Minka, zginęły w Belerycie w październiku 1944 roku. Ukrywały się w gęstwinie leśnej, podobnie jak inni. Miały tam wykopany bunkier.

Bracia Kaim w czasie obławy zostali otoczeni, ale ratując życie wdrapali się na drzewa. Szczęśliwie nie zauważono ich i przetrwali wojnę. Jankiel Mecker przed wojną handlował bydłem, miał sklep spożywczy w Brniku, a w latach prześladowań hitlerowskich także ukrywał się w lesie. Podczas obławy wypadł z lasu i uciekał w pole, ale trafiony w głowę padł na miejscu.

Straszne były te polowania na ludzi. Niemcy wiedzieli, że Żydzi ukrywają się w lesie. Zwoływali robotników leśnych, granatowych policjantów i tworzyli tyralierę. Hitlerowscy oprawcy byli spoiwem tego żywego łańcucha. Szli przez las i przeczesywali gęstwinę, łapiąc ludzi lub zabijając na miejscu. W październiku 1944 roku tyraliera obławy liczyła około 40 ludzi.

Przymusowi mieszkańcy leśnego kompleksu za Dąbrową Tarnowską i Brnikiem w nocy wychodzili do zagród wiejskich po żywność. Te wsie były zapleczem i ostateczną ostoją. W Bagienicy rzeka Breń przepływała głębokimi wąwozami między wzgórkami bujnie porośniętymi zielenią. Tu w wale rzecznym Żydzi mieli bunkier. Krył się tutaj Piszek Balsam i jego córka Dora (Dotka). Inny Piszek, imieniem Herszek, z żoną Haftką mieszkał przy dzisiejszej ulicy Bieruta. Przed wojną ten zakątek zwano Bagienicą. W 1942 roku zostali wysiedleni, a rok później skoszarowani w getcie w Dąbrowie Tarnowskiej przy ulicy Garbarskiej i Jagiellońskiej. Po kilku tygodniach, w maju, przeniesiono ich do getta w Tarnowie.

Piszek i Haftka chcieli ukryć się w gospodarstwie pożydowskim, które zajmował niejaki Krupa, wysiedlony spod Mielca. Za kąt w piwnicy obiecali dać wysokie wynagrodzenie. Mieli przecież ukryty skład męskich ubrań i gotówkę. Krupa wyraził zgodę. Jednakże jego żona po kilku dniach namysłu odrzuciła korzystną propozycję. Wyjaśniła, że dom stoi przy szosie i drodze dojazdowej do pól.

Po upływie kilku tygodni, gdy Niemcy wycofali się spod Lwowa, zajechali tam, by zająć na kwaterę połowę domu. Do piwnic, które miały stanowić kryjówkę prześladowanych, wniesiono skrzynie z wiktuałami spożywczymi. Powstał magazyn z masłem, mąką, konserwami, czekoladą. Tymczasem Żydzi ukryli się w polu. Do tych, wypełnionych tak cennym dobrem, piwnic, nie mieli już uciekinierzy powrotu.

Po zajęciu domów żydowskich w Dąbrowie Tarnowskiej, naklejono na drzwiach ostrzeżenie, że za ukrycie Żyda grozi kara śmierci. W czerwcu 1943 roku cztery osoby z rodziny Piszków zostały zastrzelone przez patrol niemiecki w bunkrze nad rzeką Breń w Bagienicy. Podobno ukrytych zdradził dym wydobywający się z miejsca ich schronienia.

Prześladowanym starano się przyjść z pomocą w różny sposób. Córka niejakiego Puły pracowała w żandarmerii i niejednego ostrzegła przed aresztowaniem. Ona także miała przejąć list z donosem zdrajcy Wincentego Jakusa z Żelazówki, co w konsekwencji stało się przyczyną śmierci sołtysa. Na pogrzebie był obecny Błażej Opioła i opowiadał, jak to Niemiec przemawiał, podkreślając zasługi tragicznie zmarłego.

Codzienność bohaterska

We wspomnieniach z tragicznego okresu okupacji przeplatają się relacje prześladowanych i tych, którzy im udzielali pomocy, ryzykując własne życie. Zbieżność faktów i podobieństw przeżyć najlepiej świadczy o prawdzie, dziś już historycznej. Oto jakie odbicie znajduje ta prawda w relacji Weroniki Kozik z domu Węgiel, urodzonej w 1906 roku w Rudzie Zarzeczu (dziś przy ulicy Nowej 20).

– Nim opowiem moje wojenne przeżycia, muszę wspomnieć o trudnym dzieciństwie.

Ojciec miał gospodarstwo o powierzchni 20 morgów. Matka chorowała po powrocie z USA i od 1932 roku leżała sparaliżowana.

Pobrali się jako wdowcy i umarli oboje w 1943 roku, pozostawiając troje dzieci.

Wielkim wstrząsem były dla moich bliskich przeżycia wojenne z 1939 roku. Ojciec pasł krowy w sąsiednim Swarzowie, gdy tuż obok wybuchła bomba lotnicza, zabijając chłopca również pasącego bydło w polu. Potem odwiedzili nas Żydzi, szukając pomocy, za którą groziła kara ze strony hitlerowców. Ojciec żyjąc w atmosferze ciągłego zagrożenia, wpadł w rozstrój psychiczny. W nocy próbował uciekać z domu, w dzień targał na sobie odzież, tłumacząc, że łuska groch.

Obowiązki domowe nie były łatwe. Miałam troje dzieci, a mieszkająca z nami siostra moja, nazwiskiem Padło, miała dwoje. Kiedy mieliśmy u siebie rodziny żydowskie, w razie zagrożenia uciekały one w pole, my obie zostawałyśmy z dziećmi. Warunki dla ukrycia w sąsiedztwie domu były sprzyjające. Otaczały nas lasy, okolica była pełna zagajników i wąwozów, a domy stały rozproszone na większej przestrzeni. Nasze domostwo usytuowane było na wzniesieniu, tuż obok lasu. Najbliżej stał mały domek mojej siostry, Bądkowej, *secundo voto* Fido.

Żydowska rodzina Sztygliców znała się z nami od dawna. Michał Sztyglic stracił ojca jako 14–letni chłopiec. Mimo tak młodego wieku już jeździł po jarmarkach i znał wielu ludzi. Często przechodził koło naszego domu, gdy odwiedzał krewnego Kazimierza w Oleśnie. Sztyglicowie nie poszli do getta. Postanowili utrzymać się całą piątką, do której należeli. Regina, Zofia, Michał, Hanna i Ignacy. Hanna ukryła się w Jastrząbce, reszta szukała doraźnego schronienia w stodołach i krzakach.

Przyszli do nas zrozpaczeni, szukając ratunku. Za domem wykopano głęboki dół w piaszczystym gruncie. Przykryto ten dół drzewem, gałęziami i ściółką leśną. Trzeba było się spieszyć, bo nadeszła jesień. Później do naszych uciekinierów dołączyli inni ukrywający się Żydzi.

Przez jakiś czas na stryszku naszego domu ukrywał się Aron Werker z żoną i nieletnią córką. Byli u nas z miesiąc, gdy daleki kre-

wny ostrzegł, że szykuje się obława hitlerowska na Żydów. Wtedy błyskawicznie ukryli się w trudno dostępnym gąszczu akacji. W pół godziny po ich ucieczce do domu wpadło trzech Niemców.

– Macie Żydów? – wrzeszczeli od progu.

– Nie ma Żydów – odpowiadaliśmy, ale to hitlerowcom nie wystarczało. Jeden z nich był jak wściekły, szarpał leżące w łóżeczku dziecko. Ciężko przeżywała to siostra, będąca w zaawansowanej ciąży.

– Na stryszku macie Żydów! – nie ustępował prześladowca. Ruszył na górę i szukał, na szczęście bezskutecznie. Wrócił jeszcze bardziej rozjątrzony. Jak się później dowiedzieliśmy, to właśnie ten zbrodniarz zastrzelił matkę Sztygliców.

Wieczorem Żydzi, przebywający przedtem na stryszku, przenieśli się do Olesna. Zrozumiałe, że bali się pozostać u nas po tym hitlerowskim najściu. Potem, w czasie innej obławy, szukano Żydów koło domu. Na szczęście dołu za domem nie odkryto. Kryjówkę tę stopniowo udoskonalano, zastosowano np. odpowiednio zasłonięty lufcik. Uciekinierzy spędzali w nim dni i noce zarówno letnie, jak i zimowe. Michał i Ignacy Sztyglicowie czasem wpadali do izby, by coś zjeść i czegoś się dowiedzieć.

Krewny nasz, Adolf Padło, wykorzystywał drzwi od piwnicy do wynoszenia ukrywającym się pożywienia. Udawało się dostarczać im ziemniaki, bochenek chleba. Mełło się ziarno w ręcznych żarnach i piekło chleb. Mieli też nasi uciekinierzy pierzyny. Najmłodsza z dziewczyn, 12–letnia Zofia Sztyglic, siedziała nieraz za piecem lub obok blachy, na której się gotowało. Siadywała też na krzesełku w pustym piecu, właściwie imitacji pieca, nad którą kładliśmy papiery i garnki. Mimo ciężkich, wręc z nieludzkich warunków egzystencji ukrywający się u nas Żydzi nie chorowali, byli zahartowani i uodpornieni.

Musiałam łączyć troskę o prześladowanych z własnymi kłopotami rodzinnymi. Moja 14–letnia córka kopała rowy strzeleckie i przeciwczołgowe pod Radgoszczą, bo ojciec był chory i musiała go zastępować w tej przymusowej pracy. Groziło to córce coraz

większym niebezpieczeństwem, bo front się zbliżał. Jednej z naszych sąsiadek, Więchowej, pocisk urwał rękę. Dobrze, że policjant, Gruszka, bywał wyrozumiały i zwalniał córkę i jej koleżankę wcześniej do domu.

Tymczasem docierały do nas tragiczne wieści o losach Żydów i tych, którzy spieszyli im z pomocą. W czasie obławy odkryto u Kogutowej ukrywającego się Żyda, Meckera. Kazano jej uklęknąć nad wykopanym dołem i została zastrzelona przez Niemca.

Nauczyciel szkoły powszechnej z Dąbrowy Tarnowskiej, Stefan Szantaler, ukrywał się w zbożu i krzakach, a siostry, Genowefa i Helena, nosiły mu pożywienie. Jakby nie dość było tego wszystkiego, do naszej stajni przybyło jeszcze trzech Żydów i kryło się tam przez rok. Pod żłobem była zręcznie umieszczona deska, maskująca wejście do bunkra. Na zewnątrz osłonę stanowiła sterta liści, ocieplająca ścianę budynku. Schronienie było prowizoryczne i nie dawało większych szans przetrwania.

Mimo to nieszczęśni uchodźcy nie chcieli go opuścić. Wreszcie odeszli, ale po trzech dniach znowu wrócili i skryli się tym razem w pustym chlewie.

Dowiedziałam się o tym przypadkowo. Poszłam właśnie po drzewo na opał i nagle usłyszałam za ścianą ściszoną rozmowę. Zdrętwiałam ze strachu, ale trzeba było przezwyciężyć obawę, bo jak można było wypędzić ludzi na pewną śmierć? No i tak w sumie byli u nas z rok. Obiecywali, że odejdą, ale nie mieli dokąd iść. Każdy, podobnie jak ja, bał się przecież o życie własne i swojej rodziny.

Niebezpieczeństwo dawało o sobie znać na każdym kroku. Któregoś dnia, gdy uciekinierzy byli w stajni, wyszłam z domu z posiłkiem. Przed odejściem położyłam starannie deskę, zarzuciłam ją słomą. Ledwie zamknęłam za sobą drzwi, spostrzegłam idącego ścieżką obok stajni, w odległości 10 metrów, żandarma niemieckiego. Był to Engelbert Guzdek. Znaliśmy go wszyscy jako najgroźniejszego z prześladowców. Na pytanie, dokąd idę, odpowiedziałam, że mamy małe cielątko, które muszę nakarmić. Tym razem niebezpieczeństwo nas ominęło.

Sztyglicowie, świadomi stałego zagrożenia, opowiadali nam, że sporo Żydów nie przeniosło się do getta bądź później z niego uciekło. W Oleśnicy, sąsiadującej z naszą wsią, również osłoniętej lasem i zagajnikami, szukali schronienia. Wycieńczeni i przestraszeni, nie wiedzieli, co ze sobą począć. Koczowali całą gromadą z pierzynami i dobytkiem za stodołą gospodarza Kurtyki. Szybko zresztą przenieśli się w inne miejsce. Część uchodźców przygarnęli okoliczni rolnicy.

Niestety jakieś wiadomości o tych wędrówkach przeniknęły do okupanta. Zaraz hitlerowcy zarządzili w Oleśnicy obławę. Postanowili posłużyć się chłopami, którym kazano się zebrać w obejściu Kurtyki. Gdy na podwórzu zjawili się dwaj Niemcy, chłopi zaczęli wychodzić ze stodoły. Tak się złożyło, że wszyscy byli bardzo zarośnięci i hitlerowcy wzięli ich za Żydów. Tak oto bujny zarost stał się powodem dramatycznego nieporozumienia. Przestraszeni Niemcy wycofali się i zaalarmowali swoje władze, żądając posiłków. Hitlerowcy otoczyli zabudowania Kurtyków, zaczęli dręczyć gospodarza, pytając, gdzie ukrywa tylu Żydów. Po okrutnym biciu i katowaniu ktoś dopiero domyślił się, że chodziło pewnie o chłopów zmuszonych do uczestnictwa w bestialskiej obławie.

Na szczęście było dwóch Kędzierskich

Zmienne losy prześladowanych i ich dobroczyńców znajdują wyraziste odbicie we wspomnieniach Mieczysława Kędzierskiego, urodzonego w 1925 roku w Szarwarku. Oto jego zwięzła relacja.

Moi rodzice mieli gospodarstwo rolne, o powierzchni dość sporej – 8 hektarów. Była to jednak ziemia piaszczysta, nieurodzajna. Po utworzeniu getta w Dąbrowie Tarnowskiej, któregoś wieczoru przyszli do nas Żydzi z Brnika: Jankiel Mecker, Mojżesz Lind, Etka (nie pamiętam nazwiska, bodaj Zis) z córką Haftką. Ta kobieta razem z córką została wysiedlona z Niemiec w 1939 roku przed samą wojną. Mieszkała teraz u Gawlika.

Wszyscy prosili rodziców o ukrycie. Kim byli nasi goście? Jankiel handlował krowami i miał kawałek gruntu, czterohektarowy w Brniku. Niemcy zabrali mu cały dobytek, w jego zabudowaniach zakwaterowali ludzi wysiedlonych spod Mielca. Jeden z jego synów był w ZSRR. Z początku próbował znaleźć dla siebie szansę ocalenia w pracy na roli. Pracował jako fornal w 300 – morgowym majątku ziemskim w Szarwarku, należącym do adwokata Horna. Po wkroczeniu Niemców pojechali furmanką na wschód.

Żydzi, którzy przybyli do nas z prośbą o ratunek byli nieźle zaopatrzeni. Mieli bieliznę pościelową, koce i osobiste rzeczy w plecakach. Zmieściliśmy ich na strychu domu w grubej warstwie siana wybraliśmy rozległą wnękę, coś jakby tunel, umocniony deskami, pokrytymi nową warstwą siana. W dzień nie wychodzili na zewnątrz. Za ubikację musiało im służyć wiadro, systematycznie wynoszone. Czołowego uciekiniera tej grupy Jankiela Mecka skierował do nas Władysław Mikuła z Szarwarku. Jedli to samo, co my: chleb, masło, pili mleko. W nocy Jankiel wychodził dla dokonania zakupów, przynosił ze swoich wypraw nawet wyroby mięsne.

Wychodzili na spacery. Jeden z nich, imieniem Mosiele w dzień szył ubrania na naszej maszynie. Ponieważ materiału nie było, z powodzeniem przerabiał starą odzież. Pilnowaliśmy wówczas, aby ktoś nie zaskoczył go przy pracy. Był to zdolny krawiec, prezentował się bardzo dobrze, a razem z Żydówką – blondynką przybyłą z Niemiec stanowili ładną parę.

W zimie w kryjówce było ciepło, bo dom był kryty strzechą, a szczeliny zostały starannie zatkane. Spali pod kocami i to wystarczyło. W stajniach pod dachówkami było jednak ciemno. Nasi uciekinierzy mieli za to dojście do facjatki, skąd dochodziło światło.

Wszystko zaczynało się normować, ale oto wstrząsnęła nami wieść, że do Franciszka Mendali przyszli Niemcy, otoczyli i spalili gospodarstwo razem z całą rodziną, a sąsiada Władysława Starca przyprowadzili i wrzucili do płonącego domu. Zginęli w płomieniach: Franciszek Mendala, jego żona, 13–letni syn, młodsza córka, teściowa Wiktoria Wężowicz.

Ojciec mój przestraszył się, co było zupełnie zrozumiałe. W dodatku ktoś nas ostrzegł, że sąsiedzi już spostrzegli ukrywających się u nas uciekinierów. We wspólnym i własnym interesie musieli szukać sobie nowego schronienia. Wieczorem wyszli od nas. Potem kupowaliśmy żyto, piekliśmy chleb i zanosiliśmy w umówione miejsce w lesie.

Nawet takie kontakty kryły w sobie pewną dozę niebezpieczeństwa. Toteż gdy ktoś obcy zdążał do nas, to któryś z domowników wchodził po drabinie, stojącej w sieni i stukał w sufit. Był to umówiony sygnał ostrzegawczy.

Niemcy zaś przychodzili do nas w różnych sprawach na przykład po wodę. Ojciec od czasów pierwszej wojny światowej chorował na stawy i nie mógł pracować. Brakowało żywności, a szczególnie mleka, bo Niemcy nałożyli na wieś wielki kontyngent, a naszą jedyną mleczną krowę musieliśmy oddać. Miałem zamiar schować ją w lesie, ale chyba niepotrzebnie przyznałem się do tego w domu.

Przerażony ojciec bał się, że w takim wypadku Niemcy będą się nad nami znęcać. Wobec tego zrezygnowałem i kupiliśmy krowę od wysiedlonych z rejonu frontu. Tymczasem Jankiela Mindera, który przez jakiś czas korzystał ze schronienia u nas, Niemcy zastrzelili w lesie Belerycie w czasie obławy, kiedy to zamordowano ze 24 Żydów. Było to już po tragedii Mendalów, zapewne w październiku. Po tej masakrze rodziny Mendalów przyszedł do nas Paul Sacher z Dąbrowy Tarnowskiej i także prosił o ukrycie. Wówczas u nas nie było już Żydów. Ukryliśmy go na strychu, ale w środku nocy odszedł, bo mieliśmy uzasadnione powody do obaw. Oto znowu ktoś doniósł, że ukrywamy żydowskich zbiegów. Niemcy zareagowali natychmiast, ale przez pomyłkę przyszli po Piotra Kędzierskiego, zamiast do mego ojca Ludwika. Dowiedzieliśmy się o ich najściu. Widzieliśmy, jak chodzili po obejściu Piotra Kędzierskiego i szukali. Widział to też nasz żydowski zbieg i dlatego dobrowolnie opuścił strych i dom. Nie wiem, gdzie się udał, bo Żydzi słusznie

unikali rozmowy na tematy nowego miejsca pobytu. Nadal jednak wynosiliśmy pożywienie w umówione miejsce.

Paul Sacher przeżył wojnę i pisał do nas z Izraela. Inni mieszkańcy Szarwarku też ukrywali Żydów, całe rodziny prześladowanych. Jednak uratowani już nie żyją i nie mogą udzielić dodatkowych informacji. Można je uzyskać na przykład od Marii Starzyk, urodzonej w Szarwarku w 1919 roku, dziś wdowy, która po wojnie wyszła za człowieka z całym poświęceniem ukrywającego Żydów.

Tanie było ludzkie życie

Relację o tragicznych losach zamordowanych żydowskich kobiet odnajdujemy również we wspomnieniach Tadeusza Kota urodzonego w 1917 roku, w Brniku.

Miałem w Brniku – mówi – 5–hektarowe gospodarstwo. Przychodził do mnie w nocy uzbrojony żydowski uciekinier nazwiskiem Gaukiel Mecker i prosił o żywność. Napaliłem w piecu, ugotowałem kolację. Nie odmówiłem też noclegu kilku ukrywającym się Żydom. Przenocowali w stodole, rano poszli w dalszą drogę.

W mojej stodole ukrywały się dwie Żydówki. Jedną z nich przygarnąłem w prawdziwie dramatycznych okolicznościach. Szedłem właśnie po siano do stodoły, gdy natknąłem się na zapłakaną, odartą z odzieży, bosą i półnagą Żydówkę na 30–stopniowym mrozie. Skarżyła się, że ograbił ją i wyrzucił Adam Kmieć. Błagała o ratunek, nie można jej go było odmówić. Poszedłem do Lipin i tu, u własowców w służbie niemieckiej, za wódkę kupiłem dla nieszczęsnej kobiety płaszcz wojskowy. Dałem jej też drewniaki. Odniosła mi jedno i drugie po dwóch dniach. Bywała jeszcze w stodole i odchodziła, by nie narażać mnie na niebezpieczeństwo.

Późną wiosną lub przed żniwami 1943 roku Niemcy łapali i rozstrzeliwali Żydów w lesie. Wspomniany już okrutnik i grabieżca Adam Kmieć zatrzymał i odprowadził do sołtysa dwie Żydówki:

Etkę i jej córkę Dorotę. Sołtys Stanisław Bartosz odprawił go niechętnie: „Jak je schwyciliście, to se je zjedzcie!".

Kmieć na noc zaprowadził je do Stanisława Minczury. Nie pilnował ich, ale nie usiłowały uciec, bo nie widziały żadnych możliwości życia. Ich rodziny były już wymordowane. Zupełnie załamane wpadły w apatię. Łudziły się, że może odstawią je do getta w Tarnowie. Tymczasem dwóch Niemców przyjechało wózkiem. Wyprowadzili obie kobiety za stodołę, na mój plac. Zastrzelili Etkę. Dorotę, ranną od kuli zakopali razem z innymi zamordowanymi Żydami.

W tych czasach nieustannego terroru i zagrożenia każdy nowy dzień mógł przynieść dokuczliwą niespodziankę. Któregoś ranka przyszedł do mnie jakiś Żyd uzbrojony w pistolet i zażądał żywności. Miałem dostarczyć pół kopy jaj i zapas chleba: „Jak nie masz to kup" – poradził. Doprowadzony do rozpaczy swoim położeniem łżył babkę staruszkę, mieszkającą z nami. Kazał sobie podać wody, rozebrał się i mył, nie rozstając się z bronią. Kazał sobie przygotować zapas jajek w ciągu pół godziny, ale nie miałem w domu. Siedziałem w domu, bo mróz doskwierał nieznośnie. Mój kłopotliwy gość poszedł do stodoły. Po powrocie złościł się i wyrzucał mi, że wygnałem jego kolegów. Rozgniewany porwałem siekierę i odparłem, że nie widziałem, kiedy i dokąd poszli. Później sąsiad Tomasz Cygan opowiadał, że wyszli z bronią ku Lipinom. Podobno ten sam uciekinier, który mnie nachodził, zaszedł również do Luszowic, by wygarnąć kury z kurnika, ale miejscowy gospodarz zamknął go i zawiadomił znanego z okrucieństwa żandarma. Nieszczęsny zbieg, szukający żywności był uzbrojony, ale nie próbował obrony. Kury miał w worku i szykował się do odejścia.

Bezskuteczna walka o ocalenie

W okresie prześladowań i wyniszczania Żydów wyjątkowej wartości nabrały domostwa położone w bardziej ustronnych okolicach, odizolowane od innych budynków drzewami i pasami zieleni. W takich domostwach łatwiej było prześladowanym znaleźć schronienie. Gospodarze takich zabudowań musieli często dokonywać wyboru między ludzkim uczuciem współczucia dla ściganych a obawą o własne bezpieczeństwo. O takich rozterkach wiele można się dowiedzieć ze wspomnień Katarzyny Kopeć, z domu Drewnianej, urodzonej w 1985 roku w Oleśnicy.

– Mieszkałam z mężem w Oleśnicy koło Dąbrowy Tarnowskiej – zaczyna się jej relacja. – Mieliśmy gospodarstwo rolne o obszarze 7 ha, ziemi piaszczystej, częściowo zalesionej. Była to posesja samotna, jak i inne porozrzucane pośród krzaków. Dookoła lasu dróżki piaszczyste. Dojazd bywał utrudniony, bo grzęzły po drodze samochody. Las chronił dom i dawał swobodę ruchów.

Rozpościerał się ten las na zachód od Dąbrowy Tarnowskiej, zaczynał się zaraz za jej opłotkami i rzeką Breń. Ciągnął się potem ku Wielopolu na zachód oraz ku Olesnu – na północ. W środku były to zwarte, miejscami gęste skupiska różnych drzew, wśród których wznosiły się domostwa Oleśnicy. Na skraju las rósł rzadziej i przechodził w zagajnik, stopniowo przerzedzając się w otwarte pole. Za pasem polnych przestrzeni leżały: Bobrek, Bucze, Olesno.

To sprzyjające położenie było powodem wielu próśb o udzielenie schronienia. Zwróciła się z taką prośbą Adela Rosenberg, prof. gimnazjum ogólnokształcącego w Dąbrowie Tarnowskiej. Wyszła ona za wykształconego Żyda z Krakowa, nazwiskiem Samuel Files. Mieszkali oni przy ulicy Granicznej.

Mój mąż, śp. Ignacy Kopeć, pojechał po nich wozem konnym, na który było można załadować część ich rzeczy. Wcześniej jeszcze wysłali mego męża do kuzynki w Gruszowie Wielkim po odbiór swego mienia: odzieży, futer, biżuterii, oddanych tam na przechowanie. Spodziewali się tam znaleźć schronienie, ale gospodarz ich nie przyjął i zdeponowanych rzeczy nie oddał.

Działo się to w czasie, gdy utworzono getto. Znajome małżeństwo nie chciało dać się zamknąć w getcie i w nocy oboje uciekli do nas. Kryli się po strychach. Mąż przygotował kryjówkę, ale mieszk-

kańcy Oleśnicy dowiedzieli się i roznieśli wieść o tym, że u nas są Żydzi.

Najpierw znany nam Saul przyprowadził swoja siostrę. Potem przyszły dwie panny Szmit z Krakowa. Były bardzo inteligentne, jeśli chodzi o wychowanie, to wręcz dystyngowane. Zgłosiły się w Arbeistamcie jako Polki. Przezornie uczyły się religii katolickiej i znajomości obrzędów kościelnych. Zamierzały jechać na przymusowe roboty do Niemiec i wiedziały, jakie pytania stawia się wyjeżdzającym. Rzeczywiście pojechały, a po wojnie szczęśliwie powróciły.

Naszym znajomym: Adeli Rosenberg i Saulowi Filsowi nie udało się uniknąć tragicznego losu. Nieświadom pełni niebezpieczeństwa wybrał się Saul do getta po pozostawiony tam gramofon. Został w getcie zamordowany. Miałam nadzieję, że uda się ocalić przynajmniej Adelę Rosenberg, ale i to ułożyło się jak najgorzej.

Pewnego dnia poszłam po bydło razem z Edwardem Tomaszkiem w pobliżu naszego domu. Nagle zobaczyłam dwóch rowerzystów: funkcjonariusza w mundurze Sonderdienstu i granatowego policjanta. Jechali ścieżką wzdłuż toru kolejowego. Na wysokości naszego domu rzucili rowery i wpadli do zabudowań gospodarskich. Jak się później dowiedziałam, Niemiec z Sondierdienstu mówił po polsku.

Adela Rosenberg była wówczas na podwórzu, koło stodoły, do której się schowała. Znaleźli ją na słomie i zastrzelili za stodołą. Zwłoki zakopano w lesie. Sołtys Franciszek Brożek wyznaczył do wykopania dołu mężczyzn z rodziny Kiwiorów. Przed pochówkiem Kiwiorowie odarli zwłoki z odzieży. Po wojnie przyjechała do nas grupka Żydów, którzy zaopiekowali się szczątkami, zabierając je i wywożąc.

Tymczasem znaleźliśmy się w prawdziwym niebezpieczeństwie. Aresztowano mnie razem z mężem. Syn Eugeniusz zgłosił się, ale go nie zatrzymali. Pozostając na wolności postanowił ratować rodziców. Pobiegł do Ćwikowa, do znajomego, o którym mówiło się, że ma znaczne wpływy. Był to lwowski doktor praw

Gogotek, Reichsdeutsch. Objął on tu 80–hektarowy majątek po zamordowanym Kozaczce, który zginął za posiadanie broni. Wcześniej już ten adwokat (taki miał właśnie zawód) zwalniał od wyjazdu na roboty mego syna Eugeniusza i kuzyna Adolfa Dembę. Za łapówki rejestrował najemnych robotników, a to chroniło ich przed wywiezieniem na roboty do Rzeszy. Potrafił nawet zwolnić więźnia z obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Urządzał libacje alkoholowe, na których bywali gestapowcy i żandarmi.

Kierownik Arbeitsamtu Juliusz Eimes przyjeżdżał bryczką i odjeżdżał z tzw. pamiątkami.

Dr Gogotek obdarowywał wódką, wyrobami mięsnymi, pędził u siebie bimber. Nie wiedziano tylko, że współpracował z AK. Jego synowie Zbigniew i Zdzisław ukrywali się, należeli do Armii Krajowej. Bywali też u nas i w lesie.

Adwokat nazajutrz pojechał do Juliusza Eimesa i załatwił nasze zwolnienie, ale z kolei zatrzymali naszego syna Eugeniusza, który szczęśliwie wrócił do domu po dówch tygodniach. Dodam, że w czasie tego najścia i zbrodni była u nas w domu Żydówka Koszkrau, ale zdołała uciec do komory i ukryć się w beczce. Wprawdzie ocalała, ale po tej tragedii nie chciała już u nas pozostać.

Pewnego razu przyszła do nas Żydówka z dzieckiem. Oboje byli bardzo głodni. Upiekłam zaraz na blasze podpłomyki i nakarmiłam przybyłych. Często wstępowali do nas Żydzi po żywność, której sami nie mieliśmy. Niemcy zabrali nam zboże, ziemniaki i ostatnią krowę. Mąż wrócił z Dąbrowy Tarnowskiej z samym łańcuchem, na którym prowadził naszą żywicielkę. Po jakimś czasie dali starą krowinę.

Z Warszawy przyjeżdżała do nas pani Maria Panek jako łączniczka AK pod pozorem skupowania masła, jaj i kiełbasy. Kupiliśmy u niej miejskiej kiełbasy i jechaliśmy wozem do domu. Nagle pod krzyżem przy ulicy Swarzowskiej zobaczyliśmy gestapowców z psem, czekających na przejeżdżających. Trzeba było działać bez zwłoki. Skręciliśmy w pierwszą dróżkę polną.

Okazało się, że Niemcy szli do toru kolejowego, by przechwycić pociąg, którym kolejarze wieźli ze Staszowa skóry, a wyrzucali je w lesie w Oleśnicy. Mieszkał tam bowiem Józef Wnękowski, pracownik sądowy z Bochni, zatrudniony obecnie na kolei, a jednocześnie handlujący skórzanym obuwiem. Wobec braku wszelkiego towaru, wyrzucano z pociągu najprzeróżniejsze przedmioty blisko naszego domu. Wnękowski zbierał je na zasadzie wcześniejszego porozumienia, a potem zaś sprzedawał z odpowiednim zyskiem dla siebie.

Gestapowcy wsiadali na stacji kolejowej w Oleśnie i w drodze do Dąbrowy Tarnowskiej prowadzili rewizję w wagonach. Ze strachem patrzyliśmy na wizyty okupantów. Wiedzieliśmy, że mimo woli, bodaj przypadkiem mogą wpaść do nas, czy kogoś z sąsiadów i zastać osoby ukrywające się, a przede wszystkim Żydów. Przebywali oni w wielu domach miejscowej ludności. Wiem np., że w przysiółku Olesna – Bugaju, Rozalia Biedak ukrywała rodzinę żydowską na strychu domu i stajni.

Tomasz Szado natknął się za stodołą na płaczącą dziewczynkę imieniem Helena. Została w tym domu jak gdyby w miejsce własnej córki, również Heleny, która zginęła wcześniej od pioruna. Żyła tam przez trzy lata, nie ujawniając, że jest Żydówką i powszechnie uchodziła za Helenę Szado. Pracowała w polu, chodziła do kościoła wraz z innymi. Wreszcie zaczęła wracać późnym wieczorem, nie było jej przez trzy dni.

Rodzinę Tomasza Szado odwiedził Marcin Adler, pasający bydło u gospodarza w Ćwikowie. Przyniósł odzież dziewczynki i oświadczył, że Helena już nie wróci. Chciał zapłacić za jej pobyt, ale Tomasz Szado nie przyjął pieniędzy. Dopiero teraz okazało się, że Helena jest Żydówką. Przeżyła wojnę, ale potem nie dała znaku życia rodzinie Szadych. Dobrze, że wszystko tak się skończyło, bo niebezpieczeństwo było znaczne. Niemcy mordowali za byle co, ale specjalnie okrutnie obchodzili się z tymi, którzy udzielali pomocy prześladowanym Żydom. Ale ginęli ludzie z byle jakiego powodu.

Szczepan Drewniany zabił świnię i wyroby chciał zawieźć do miasta. Zaskoczyli go policjanci–sługusi Niemców. Po godzinie 2 w nocy przyszli do jego domu granatowi policjanci: Matelski i Łagodziński z sołtysem Józefem Korytą. Matelski rozbił drzwi i strzelał wewnątrz domu. Postrzelił sołtysa i Drewnianego. Sołtys zmarł w szpitalu w Dąbrowie Tarnowskiej, a Drewniany wrócił do domu. Donos złożyła siostra gospodarza.

Gdy sadyzm był legalny i premiowany

Wstrząsający fragment okupacyjnych wspomnień przekazuje nam Maria Cecylia Bania z domu Leżoń, urodzona 1905 roku w Oleśnicy. Oto jej relacja. Jesienią, mąż mój włóczył ziemniaczysko koło domu Mateusza Cholewy od strony Wielopola. Niedaleko stamtąd jechało wozem dwóch policjantów granatowych, funkcjonariusz Sonderdienstu i agronom. Od strony lasu szła Żydówka Sztyglic z Dąbrowy Tarnowskiej niosąc w ręku białą poszwę.

Zbliżyła się do domu mieszkańca nazwiskiem Wróbel. Niemiec z Sonderdienstu zawołał ją, a wtedy zaczęła uciekać w pole, oddalając się od domu. Na nowe nawoływania zawróciła. Potwierdziła, że jest Żydówką. Niemiec kazał jej wtedy iść naprzód. Kiedy rzuciła się do ucieczki, poprzestrzelał jej ręce. Długo tak uciekała wokół wozu i koni. Obecni nie mogli na to patrzeć.

Jadący z nimi agronom Stanisław Bania, widząc krew płynącą z rąk nieszczęsnej kobiety, wołał: „To tak strzela się do ludzi? Byłem na wojnie i nie widziałem, żeby tak biegać za człowiekiem i strzelać!".

Żydówka wpadła do domu Mateusza Cholewy i zaryglowała drzwi. Niemiec zażądał wtedy od mojego męża i sąsiada Stanisława Pochronia, by wyważyli drzwi. Strzelał w te drzwi, a tymczasem ścigana wybiegła innymi drzwiami, ale trafiły ją kule i zawisła martwa na płocie. Jeden pocisk ugodził ją w pierś.

Niemiec kazał szukać przy niej pieniędzy. Okazało się, że miała jedynie przy sobie tylko 180 złotych w woreczku na sznurku. Zawiedziony, kazał zwłoki zawieźć do lasu i tam zakopać.

Uratowani chłopcy

Jednym ze świadków martyrologii Żydów stała się Maria Pagos, urodzona w 1922 roku w Nieczajnie. W wieku 24 lat wyszła za Stanisława Pagosa w Gruszowie Wielkim.

Wiadomo mi – wspomina – że mąż Stanisław i siostra Zofia przechowywali w Gruszowie Wielkim Żydów ściganych przez okupanta. Gospodarstwo liczyło trzy hektary. W zabudowaniach znaleźli schronienie bracia Roman i Wiktor Weitowie. Pochodzili z Gruszowa Wielkiego, gdzie byli właścicielami gospodarstwa. Ich ojca zabrali Niemcy do Pustkowa, a matkę z kilkorgiem dzieci do getta w pobliskiej Dąbrowie Tarnowskiej.

Dwaj bracia, Wiktor i Roman, uciekli z getta i w nocy przybyli do Pagosa. Liczyli po 16 i 18 lat, a znali Stanisława Pagosa bo gospodarstwa ich sąsiadowały ze sobą.

W stajni pod żłobem przygotowali schowek w kształcie tunelu z dojściem drzwiami jak do piwnicy. W dzień siedzieli w stajni, w nocy chodzili po ogrodzie. Było to możliwe, bo zabudowania stały na uboczu.

Starali się ze wszystkich sił, żeby sąsiedzi nic nie zauważyli. Sołtys Franciszek Kogut przyszedł raz z granatowym policjantem z Radgoszczy. Chodziło a rekwizycję bydła dla Niemców. W tym czasie Żydzi, jak zwykle w dzień, czyścili konie i w ogóle pracowali, nie wychodząc za próg.

Zauważyli idących i szybko schowali się do bunkra, a drzwi do stajni podparli drągiem. Mąż zdrętwiał, myślał, że zaraz zacznie się rewizja, a później już tylko można się spodziewać śmierci w płomieniach. Nie zwlekając, mąż wszedł przez górę i otworzył drzwi stajni. Po wojnie sołtys śmiał się, że można było drągiem podpierać

wrota, tak, jakby to mogły zrobić, konie. Tym razem wszystko skończyło się dobrze.

Na porządku dziennym były tragiczne zakończenia. Oto na przykład mieszkańcy wsi schwytali żydowską dziewczynkę w wieku 5–6 lat i zaprowadzili ją do sołtysa. Nie było już mowy o ratunku dla dziecka, a świadoma tego żona sołtysa z żalu zachorowała. Przyjechali Niemcy, wyprowadzili dziecko w olszynkę i tam zastrzelili. Pochodziła z bogatej rodziny, jej rodzice mieli szynk.

Wracając do Żydów, którzy się tu ukrywali, to przetrwali oni do końca wojny. Obecnie już zmarli, ale żyją ich dzieci. Za okazaną pomoc dali swym wybawcom trzy morgi gruntu i połowę zabudowań. Drugą połowę już Pagosowie kupili. Jeden z dwu uratowanych byt bardzo dobrym krawcem. Chodzili obaj do szkoły powszechnej w Sutkowie. Szyli na strychu i w pokoju nauczycielskim. Gdy były dzieci, to przenoszono maszynę do innego pomieszczenia. Przez pewien czas ukrywali się również w szkole. Mój mąż wiele mi o tym opowiadał. Niestety, zmarł w roku 1973.

Groźby ocalonych

Wywodzący się z Dąbrowy Tarnowskiej Roman Socha przypomina zdarzenia, jakie rozegrały się w jego miejscowości. Pełne dramatyzmu wspomnienie zawiera szczegóły, które znać mogli jedynie jego bezpośredni uczestnicy.

Roman Socha, ur. w 1910 roku w Dąbrowie Tarnowskiej. Z powodu wieku pamięć mnie zawodzi, ale mimo tego trochę informacji pozostało. Wiele widziałem, bo byłem w kontakcie z Franciszkiem Borsą, dowódcą plutonu ZWZ–AK i sołtysem Błażejem Opiołą. Wiedzieliśmmy, że jeden z ukrywających się u Puły Żydów chodzi w referendzie, udając księdza. Puła aresztowany przebywał w suterenach żandarmerii. Zastrzelili go w drodze do stacji kolejowej, niby w czasie ucieczki. Puła do ucieczki nie był zdolny, nadnaturalnie otyły, ledwo się poruszał. Mówiło się w naszej placówce

ZWZ–AK, że Puła dużo wiedział i jego aresztowanie wywołało popłoch.

W schowku u Borsy, gdzie przebywali Żydzi, cały dzień świeciło się światło. W razie zagrożenia w kuchni obok szafy przyciskano przycisk i w schowku gasła żarówka. Dla ukrytych był to sygnał, że mają być w pogotowiu. Wypowiedź Sochy uzupełnia Stanisław Opioła członek AK, syn zastępcy sołtysa. Mówi o niewdzięczności Arona Werkera, którego ojciec Opioły dosłownie w ostatniej chwili wykradł z rynku spośród gromady przeznaczonych na wywóz do Oświęcimia.

Aron Werker i jego brat często przychodzili późną nocą pod dom, a także Michał Sztyglic, by dowiedzieć się co słychać w mieście. Werker wyjechał za granicę i nawet kartki nie przysłał. Jeden z ukrywających się, pamiętam, poszedł po coś do getta, ale nadszedł patrol i przestraszony uciekinier rzucił się w okno, gdzie zawisł martwy.

Oglądając w TV awanturę wokół Oświęcimia doznaję, mówiąc oględnie, mieszanych uczuć. Jeszcze inny przypadek pamiętam, a zdarzył się wtedy, kiedy Borsa w obliczu jakiegoś zagrożenia porozsyłał swoich podopiecznych, gdzie mógł, w pole także.

Właśnie budowaliśmy piwnicę w domu, a pomagał sąsiad oraz murarz Nalepa z Dąbrowy T. W południe przyszła żona sąsiada, poszeptała z mężem i oboje pobiegli w pole. Był tam Werker z żoną, jego brat i jakiś młody Żyd. Ojciec posłał Nalepę z poleceniem zapobieżenia przyprowadzenia Żydów. W przypadku doprowadzenia ich do domu sołtysa, którym był ojciec, należałoby ich zatrzymać i powiadomić Niemców. Gdy Nalepa tam poszedł, sąsiad trzymał Żyda za ręce, a ten Żyd dawał mu siedemdziesiąt złotych do ręki. Trwała przy tym szamotanina. Nalepa zdążył jednak przyczynić się do uwolnienia pojmanego.

Żyd nie dał okupu, przesadził fosę, wypiął się na prześladowcę i zapewnił złowróżbnie, że jeszcze się spotkają. Wiele niepokoju wywołało aresztowanie Władysława Pilasa z Dąbrowy T. W tarnowskim więzieniu przebywał w celi z Zygmuntem Franciszkiem

z Lubasza, także dowódcą plutonu ZWZ–AK. Pilas trafił do obozu w Oświęcimiu, a potem do innych, ale po wojnie wrócił, jego współtowarzysz niedoli po torturach w Tarnowie zmarł. Pilas współpracował z Borsą i znał wiele tajemnic, jednak nie wydał nikogo.

Gdy 17.I.1945 roku wkroczyli Sowieci, Żydzi wychodzili nawet z kopców na buraki. Z ojcem młóciłem cepami zboże w stodole, gdy wszedł ten Żyd z kolegą i rozpytywał o tego sąsiada szantażystę. Zapewnił, że przez lata siedział w smrodzie i to samo chce zapewnić temu prześladowcy. Wtedy ojciec wyjaśnił że właśnie wtedy posłał Nalepę, aby zapobiegł pojmaniu uciekinierów. Ojciec tłumaczył, że w przypadku uwięzienia pijaczyny, wypadnie wyżywić jego liczną rodzinę, która i tak przymiera głodem. Uratowałem cię i bądź szczęśliwy, że żyjesz, a jemu daruj głupotę. Żyd na to: skoro sołtys tak mówi (tu szpetnie zaklął) ja mu daruję i odszedł. Jeszcze pamiętam słowa Sadkego, właściciela warsztatu ślusarskiego, położonego naprzeciw kirkutu. Sadke miał zdjęcia, które wykonał ze strychu domu, lekko podnosząc dachówki, w czasie egzekucji Żydów.

Po wojnie sprzedał budynki z warsztatem i wyjechał do Jasła czy Dębicy, gdzie zmarł u ciotki. Żydzi dziś nie mogą pojąć, co nas czekało za okazaną pomoc. A przecież i u nas bywali zdrajcy, jak choćby ten sołtys Wincenty Jakus w Żelazówce, którego musiano zastrzelić. Jeszcze niebezpieczniej było, gdy w lasach Murzychny i Sieradzy Niemcy zgromadzili amunicję ułożoną w sterty, dla potrzeb frontu. Żandarmi pilnowali wszystkiego, nie tylko amunicji, częściej rewidowali ludzi i zagrody. A Żydzi byli pod ich bokiem, np. u Kostki w Morzychnie.

O krok od pomyłki sądowej

Wiele faktów podanych przez Weronikę Kozik potwierdzi również i uzupełni w swej relacji jeden z tych, którzy korzystali z jej

bezcennej pomocy – Michał Sztyglic. Oto jak brzmią jego wspomnienia z najtrudniejszych lat życia.

Urodziłem się w 1912 roku w Dąbrowie Tarnowskiej. Przed wojną mieszkaliśmy przy ulicy Zazamcze. Ojciec trudnił się handlem, dziadek prowadził gospodarstwo rolne. Praca ojca miała charakter bardzo ruchliwy. Mając odpowiednie zezwolenie z wydziału finansowego, kupował bydło na jarmarkach i przesyłał je transportem kolejowym do Trzebini, Krakowa, Mysłowic, Chorzowa. Przedmiotem handlu były najczęściej cielęta, a odbiorcy rekrutowali się spośród rzeźników.

Transporty kolejowe organizowano przede wszystkim w nocy. Było to korzystniejsze dla przewożonych zwierząt, nie mówiąc o ułatwieniach, jakie przynosił mniejszy ruch kolejowy w godzinach nocnych. Czasem doczepiano wagony z żywcem do pociągów osobowych, co pociągało za sobą dodatkową opłatę 25%, ale było jak najbardziej opłacalne.

Warto przypomnieć, jak układały się wzajemne kontakty zawodowe w przedwojennej Dąbrowie Tarnowskiej. Miasto miało znaczny procent ludności żydowskiej, zajmującej się przede wszystkim handlem. Nie brakło też wśród Żydów przedstawicieli wolnych zawodów, adwokatów, lekarzy. Natomiast urzędnikami byli z reguły, jak to wówczas określano, katolicy. Rzecz charakterystyczna, że ludność polska chętnie kupowała u Żydów, o czym mogli się przekonać właściciele sklepów Marian Wajdowicz i Jan Marusak.

Sklep Marusaka był elegancki, ale klienci czuli się u Żyda bardziej „zwyczajnie", gdzie można się było potargować. Dawała o sobie znać konkurencja, bywały spory o zyski z handlu, o niewielkie połacie gruntu, sprzedawane przez chłopów Żydom. Niektóre z tych animozji odżywały w czasie okupacji, ale nie udało się Niemcom zasiać trwałej nienawiści do Żydów, których prześladowali z całą zawziętością i okrucieństwem.

Gdy np. na 10 miesięcy przed końcem wojny hitlerowcy zorganizowali siłami chłopskimi obławy na Żydów, sołtys Franciszek Borsa uprzedził wszystkich, którzy przechowywali u siebie uciekinierów. Ja ze swojej strony zawiadomiłem wszystkich, do których można było dotrzeć, np. znajomego Meckera, ale ten zapewnił, że ukrywa się w Jastrząbce, skąd pochodził. Obława miała się rozpocząć o drugiej w nocy. 50 chłopów zmuszono do chodzenia po domach, gdzie podejrzewano obecność ukrywających się Żydów Sam sołtys Borsa, odpowiedzialny za organizację obławy, miał u siebie najwięcej ukrytych Żydów. Dzięki pełnionej funkcji mógł od nich i od siebie odwrócić podejrzenia.

My, rodzeństwo Sztyglicow, po śmierci matki w Oleśnicy, ukrywaliśmy się w zagrodzie Węglów, w pobliżu zabudowań Borsy. Opiekowały się nami zamężne i obarczone dziećmi córki Węglów: Weronika Kozik i jej siostra po mężu Padło. Ona to najczęściej nosiła nam pożywienie. Ułatwiały to tylne drzwi części domu, zamieszkiwanej przez jej rodzinę.

W dole stanowiącym naszą kryjówkę, było dość ciepło. Musieliśmy jednak umocnić ściany, piaszczysty grunt łatwo mógłby się ugiąć, pod jakimś ciężarem, obsunąć się i zasypać nas. Szło o to, że ziemia wydziela swoisty zapach, od którego głowa boli. Wiem o tym dobrze nie z teorii, ale doświadczenia długo ukrywającego się człowieka. Kiedy nosiłem stemple, kloce, deski i budowałem czy poprawiałem stan podziemnej siedziby, to oczywiście ktoś stał na warcie i bacznie obserwował okolicę.

Schron prezentował się nie najgorzej, ale siedzieliśmy w nim sparaliżowani trwogą, gdy nas sołtys Borsa i gospodarze ostrzegali przed przygotowywaną obławą. Wróg wiedział, że w pobliżu miasta, w zaroślach i wertepach szukają schronienia nie tylko Żydzi, ale i inni zagrożeni prześladowaniami. Wiedziałem na przykład o pokątnej handlarce, która kontaktowała się z podziemiem. Handel był tylko pretekstem do jej rzeczywistej działalności. Nieraz wczesnym rankiem widziałem jakichś ludzi ukradkiem wychodzących z gąszczu. Czasem w polu naszego widzenia ktoś zasypiał pod krzakiem. Niebezpieczeństwo sygnalizowały psy, a także ptactwo nagle zrywające się do lotu. Były to ptaki dobrze znane naszym gospodarzom, bo przez nich stale dokarmiane w zimie. Przylatywały tuż pod

dom, wchodziły do sieni, natarczywie domagały się pożywienia. Gospodarze przemawiali do nich, przywoływali je pojedynczo. Zachowanie skrzydlatych przybyszów wskazywało na to, że dobrze rozumieją intencje swoich karmicieli i opiekunów. Wrony i dzikie ptactwo zachowywało się tak, jakby było całkowicie obłaskawione. Komu innemu te szczegóły nie rzuciłyby się w oczy, ale my, ukryci tuż przy domu, byliśmy wrażliwi na każdy drobiazg, ożywiający monotonię naszej egzystencji.

Nasi gospodarze robili wszystko, żeby odsunąć, albo przynajmniej zmniejszyć stale zagrażające niebezpieczeństwo. Wypuszczali psa, aby w razie obławy zmylić czujność psów policyjnych. Wiedzieliśmy, że z tej strony może nam grozić największe niebezpieczeństwo. To właśnie psy wykryły ludzi chroniących się w bunkrach.

Tak było w czasie obławy w Wietrzychowicach, gdy Niemcy otaczali szczelnie wsie. Najczęściej jednak psami posługiwało się wojsko w tropieniu żołnierzy podziemia. Wyjątkowo znienawidzony, okrutny żandarm Engelbert Guzdek miał ogromnego wilczura, specjalnie wytresowanego do kąsania i wyrywania kawałków ciała z nieszczęsnych ofiar.

Opowiadano o nim historie przerażające. Podobno kazał swym ofiarom wykonywać skoki na tle ściany i w trakcie tego strzelał do skaczących jak do ruchomego celu. Szymon Goldberg zza Dunajca opowiadał mi, na czym polegało główne niebezpieczeństwo ze strony tego żandarma. Znał język polski, był bardzo ruchliwy, chodził ubrany po cywilnemu i nieustannie węszył w poszukiwaniu uchodźców. Był przy tym w swoim rodzaju nietykalny, bo – jak zapowiedzieli hitlerowcy – zamach na niego pociągnąłby za sobą rozstrzelanie stu wyznaczonych zakładników. Na ich liście znajdowali się księża, nauczyciele gospodarze.

W Radgoszczy miał na miejscu powiesić kobietę, w której domu znalazł i wymordował Żydów. Demolował wtedy całe mieszkanie, rzucając granaty i zrywając sufity. Takie wieści docierały do naszego schronienia.

Nie wolno nam było poddawać się panice. Czasem wchodziliśmy wieczorem do mieszkania, aby czegoś się dowiedzieć, umyć się i zjeść przy stole. Ciężka była nasza egzystencja, ale przecież mogło być jeszcze gorzej. Lękaliśmy się wysiedlenia mieszkańców, gdy front się zbliży. Mówiono nam, że gdy Niemcy wysiedlali rolników w rejonie Dulczy Małej, Dulczy Wielkiej i innych wsi, to Żydzi zostali w bunkrach leśnych. Nie mając środków do życia, zdecydowali się na przejścia przez linię frontu. Gromady Żydów, liczące po kilkanaście osób, w desperacki sposób przedostawały się na stronę radziecką. Wielu z nich, może nawet większości, udało się to, wielu innych padło lub zostało zranionych.

Jak słyszeliśmy wówczas, w Dąbrowie Tarnowskiej i okolicy ukrywało się sporo Żydów. Sytuację ułatwiało lesiste położenie tych stron. Każdy dom był oparciem, a mieszkańcy – sprzymierzeńcami ściganych, choć za pomoc groziła kara śmierci.

Niektórzy Żydzi, zwłaszcza ci, którzy nie mieli rysów semickich, przyłączali się do wysiedlonej ludności i wędrowali z nią na zachód, korzystając z ogólnego zamieszania. Opowiadał mi jeden z Żydów, współtowarzyszy niedoli, jak to koczując w lasach, żywił się jagodami i ślimakami, a chleb i woda ze studni były dla niego prawdziwymi przysmakami. Był on jednym z gromady, która miała w lasach na opisywanym tutaj terenie swoje bunkry, a żywność przynoszono ze wsi. Brakowało zboża na chleb i zastępowano je różnymi nasionami. Zamiast cukru była sacharyna. Na przednówku udawało się zdobyć rzepę odżywczą i bogatą w witaminy. Mówiono o niej, że to są jabłka nas uchodźców.

Pomagał nam ze wszystkich sił młody wiekiem Franciszek Borsa. Poprzez swoich parobków uprzedzał ukrywających się Żydów o przygotowywanych obławach. Najczęściej używał do tej misji miejscowego rolnika Kota z Oleśnicy, który również ukrywał u siebie prześladowanych Żydów. U samego Borsy znalazło schronienie aż 14 osób, ale bywało ich aż po 24. Wówczas zresztą musiał ich rozmieścić u swoich zaufanych znajomych. Wspomniany rolnik, Kot, przeprowadzał ich wtedy nocą na Morzychnę i Oleśnicę.

Franciszek Borsa żył w ciągłym napięciu, nie sypiał, stale nasłuchiwał, dyskretnie zbierał informacje o tym, co mówiono dookoła, starał się wyprzedzać zamierzenia wroga.

Ten zacny człowiek miał ule pszczele, a miód był wtedy naszym lekarstwem. Czasem, gdy głód doskwierał, pod osłoną nocy wymykałem się do znajomych rolników po żywność. Otrzymywałem ziemniaki, chleb, słoninę, marmoladę, bób. Nie odmawiali pomocy, choć sami bywali biedni, a zdarzało się i im samym, że przymierali głodem. I co najważniejsze – zwyczajnie, po ludzku, bali się Niemców.

Niektórzy Żydzi musieli opuszczać swoje schronienia w wypadku dekonspiracji lub zakwaterowania w tym samym domu żołnierzy niemieckich. Takiemu „bezdomnemu" dawał gospodarz żywność, opatrywał na drogę, a dalsze losy prześladowanego wędrowca bywały już dziełem przypadku. Opowiadano o Żydzie, który ukrywając się w okolicy miejscowości Wietrzychowice za Dunajcem, odmroził nogi. Skrajnie wyczerpany, chory, w końcu załamany, zgłosił się sam na posterunek, ale nikogo nie wydał, choć długo korzystał z ludzkiej pomocy i chociaż Niemcy chcieli z niego wydobyć zeznania, obciążające miejscową ludność.

Gdy front zatrzymał się na Wiśle, w rejonie Jam, Małca, nie było spokoju ani w dzień, ani w nocy. Odgłosy kanonady słychać było nieprzerwanie, a w czasie styczniowej ofensywy 1945 roku zdawało się, że przeżywamy trzęsienie ziemi. Po wkroczeniu Armii Radzieckiej poszliśmy do Dąbrowy Tarnowskiej. W rynku spotkaliśmy Żydów, którzy przetrwali, a opowiadania o przeżytych mękach i cierpieniach nie miały końca. Znajomy Żyd, którego ukrywał gospodarz w Bolesławiu, wspomniał, jak to mieszkał pod stajnią, później pod chlewem. Biedny rolnik musiał chodzić na dodatkowy zarobek, by wyżywić jego i całą swoją rodzinę. Ze wspomnień jasno wynikało, że przeżyli ci, którzy mieli stałe schronienie i systematyczną opiekę, a nie musieli wędrować z miejsca na miejsce.

Tymczasem ludzie, nie zorientowani w sytuacji, zaczęli oskarżać najmniej winnych, a najbardziej zasłużonych. Franciszkowi Borsie zarzucono, że to on organizował obławy. Postawiono go przed sądem w Tarnowie. Trwał przewód sądowy i musiałem cierpliwie słuchać różnych bredni i oszczerstw. Gdy przyszła kolej na mnie jako świadka obrony, zapewniłem sąd, że gdybym zeznawał jako pierwszy, to ta rozprawa trwałaby pół godziny, a oskarżeni, w tym Franciszek Borsa, wyszliby stąd nie tylko wolni od zarzutów, ale w aureoli bohaterstwa. Powiedziałem, zgodnie z prawdą, że gdyby nie ludzie siedzący na ławie oskarżonych, to w rejonie Dąbrowy Tarnowskiej nie przeżyłby żaden Żyd. Obławy musiano organizować na rozkaz hitlerowców choćby dlatego, że odwracały uwagę od działalności Borsy i całego terenu. Franciszek Borsa uprzedzał mnie, a ja w nocy zawiadamiałem wszystkich i ci opuszczali na ten okres zagrożone miejsca. Znajomej Kogutowej nie ostrzegłem, bo Mecker zapewniał mnie, że on ukrywa się w Jastrząbce.

Sąd po naradzie uniewinnił Franciszka Borsę i innych oskarżonych. Sprawiedliwości stało się zadość, bo pamiętam dobrze, że w powiecie Dąbrowa Tarnowska były sto cztery wsie i w każdej ukrywali się Żydzi. Ale dzisiaj ogromna większość z nich już nie żyje. Maria Kozaczkowa w maszynopisie opowiadania (Temi nr 18 z 30.IV.1992) informuje, że 65 Polaków z powiatu dąbrowskiego zostało zamordowanych przez okupanta za niesienie pomocy Żydom.

W powiecie Dąbrowa Tarnowska w kryjówkach przetrwało koszmar wojny i okupacji 150 Żydów obojga płci i wieku, pisze Jerzy Rzeszuto w książce „Żydzi dąbrowscy" wydanej przez Wydawnictwo „Kurier Dąbrowski", Dąbrowa Tarnowska, 1993 r. Józef Kozaczka w swoim artykule zamieszczonym w książce „Polacy – Żydzi 1939–1945", wydanej przez Książkę i Wiedzę (Warszawa 1971 r.), wymienia szereg miejscowości i nazwisk ludzi uwikłanych w ten dramat.

Niechciana prawda

„Gazeta Polska" nr 19, 1994 r.

Pan Stanisław Drya-Wysocki w art. „Lista Szulera" („G.P." nr 15/94) wytyka bezczynność („wstyd, że nie znalazł się żaden polonista, historyk, którzy by mimo wszelkich prześladowań zebrali relacje i opisali dzieje gett w Polsce w okresie okupacji...") w zakresie udokumentowania losu Żydów w okupowanej Polsce. Pragnę zauważyć, że w moim przypadku ten zarzut nie znajduje potwierdzenia.

Świadom tego zagadnienia i w obliczu wymierania świadków Holocaustu, podjąłem w latach osiemdziesiątych trud spisania i opracowania relacji od ocalonych Żydów i tych mieszkańców b. powiatu Dąbrowa Tarnowska, którzy mieli odwagę ratować Polaków żydowskiego pochodzenia. Tak powstała praca pod roboczym tytułem „Lata w ukryciu", której druk zaproponowałem kierownikowi Międzynarodowego Zakładu Kultury Żydów w Polsce przy ul. Batorego 14 w Krakowie. Jednak nie otrzymałem żadnej odpowiedzi, mimo że mający bardzo dobre opinie kilku wydawnictw tekst przesłałem listem poleconym pod adresem prof. dr Józefa Gierowskiego, kierownika w/w Zakładu, a z czasem kilkakrotnie interweniowałem także osobiście w Zakładzie.

Rzeczony tekst wysłałem listem poleconym dwu wydawcom w Izraelu pod podanym przez literata Kaca adresem. Po latach, mimo monitów, nie otrzymałem ani maszynopisu, ani jakiejkolwiek odpowiedzi. Odpowiedź ta nie nadeszła do dziś, mimo zwrócenia się listem poleconym w tej sprawie do Ambasady Izraela w Warszawie (!).

W tej sytuacji odstąpiłem od spisywania relacji w pozostałych powiatach woj. tarnowskiego.

Wymienione opracowanie ilustruje tragiczny los Żydów w gettach, ich ucieczki i szukanie ratunku u Polaków. Ci ostatni ukrywali ściganych, najczęściej w obrębie swych gospodarstw, w bunkrach i schowkach. Były wypadki palenia żywcem całych rodzin właśnie

za ukrywanie Żydów (w pow. Dąbrowa Tarnowska zginęło za ukrywanie Żydów ok. 70 osób).

O niektórych z tych wydarzeń wspomniałem w książce „Krwawe upiory", która ukazała się w 1993 roku. Główną postacią jest żandarm Engelbert Koral Guzdek, zabójca 1200–1300 Polaków, w tym przede wszystkim Polaków żydowskiego pochodzenia (Wydawnictwo „Karat" w Tarnowie, ul. Krakowska 2).

Dodam jeszcze, że Żydowski Instytut Historyczny w Warszawie wyraził jedynie zgodę na włączenie maszynopisu do swych zasobów archiwalnych.

Tak więc poruszyłem niebo i ziemię (Ambasada Izraela i in.) i nic nie wskórałem. Komentarz uważam za zbyteczny.

Z wyrazami szacunku

Adam K. Musiał

Mieszkając z katem

TeMI, nr 45, 1996 r.

Wiele napisano już o okupacyjnym kacie Powiśla Dąbrowskiego, niemieckim żandarmie, sadyście i mordercy Engelberdzie Guzdku, który miał na sumieniu życie co najmniej tysiąca niewinnych ludzi; w tym głównie Żydów, a także Cyganów. Tropił ich z wielką zaciekłością i zabijał w każdym miejscu, gdzie spotykał. Był postrachem mieszkańców Powiśla. Na temat jego śmierci do dzisiaj toczą się spory. Jedno jest pewne, że była to postać szczególnie ponura, której bano się i ustępowano z drogi.

Maria Słowik mieszkała z tym osławionym mordercą od połowy maja do 22 sierpnia 1943 roku – czyli do dnia jego śmierci – pod jednym dachem, na plebanii w Otfinowie.

– Na plebanię sprowadziła ją ciotka, Anna Słowik, która była gospodynią proboszcza Józefa Klocha. Wikarym w Otfinowie był wówczas, późniejszy znany proboszcz z Iwkowej, ks. Jan Piechota, twórca wspaniałego muzeum etnograficznego oraz autor kilku

książek. Maria była pomocnicą ciotki. Pomagała w kuchni, podawała do stołu, wykonywała prace porządkowe na plebanii i w gospodarstwie. Miała wówczas 15 lat.

Kiedy na plebanii zjawił się Guzdek wspomina Maria Słowik – na wszystkich nas padł strach. Szła przecież za nim fama o jego straszliwych zbrodniach. Wiedzieliśmy, że zabił wielu ludzi, a także o tym, że jest nietykalny, ponieważ za jego śmierć zostałoby rozstrzelanych stu, zakładników. Zaraz po przybyciu na plebanię kazał opuścić pokój ks. Piechocie i zamieszkał w nim. Ksiądz przeniósł się na poddasze. Guzdek zarządził, że księża muszą jeść z nim te same potrawy przy jednym stole. Bał się widocznie, aby nie został otruty. Podawałam mu często jedzenie i ręce mi się trzęsły ze strachu. Już sam jego wygląd sprawiał groźne wrażenie. Był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną, o pociągłej twarzy z orlim nosem i ciemnoblond włosach. Rzadko chodził w mundurze, ale zawsze w oficerkach. Nawet jego żona Hildegarda, która przyjechała do niego wraz z synem Erykiem oraz córkami Edytą i Moniką, bala się go bardzo. Nie mieszkała z nim, lecz ze mną i ciotką w naszym pokoju. Guzdek był nieobliczalny, zwłaszcza wtedy, kiedy pił. Rzadko się zdarzało, że był trzeźwy. Nawet księdza Piechotę zmusza! do picia wódki, ale jemu zawsze jakoś udawało się wybronić. Słyszałam jednak jak Guzdek mówił: „Jak nie wypijesz, to cię zastrzelę ". Tak samo mówił do napotkanych chłopów, kiedy chciał się napić; „Przynieś wódki, bo jak nie, to cię zastrzelę". I przynosili mu ją. Wiedzieli, że nie żartuje.

Przed plebanią zawsze stał powóz z woźnicą. Czekał, bo w każdej chwili Guzdek mógł zażądać, aby go gdzieś zawieźć. Rzadko byt na plebani. Wciąż gdzieś jeździł. Jakoś w lipcu wrócił z takiej eskapady zakrwawiony. Prałyśmy z ciotką jego odzież. Potem przyszła ta straszna wiadomość, że Guzdek wystrzelał wszystkich Cyganów zamieszkałych w Szczurowej. Jeszcze większy strach padł na nas i mieszkańców Otfinowa.

Dobrze też pamiętam tamten dzień, a właściwie noc, w czasie której zginął Guzdek. W tym dniu zarządził dożynki. Odbywały się

za posterunkiem policji granatowej i żandarmerii, znajdującym się w domu pani Slupkowej, położonym niedaleko plebani, kościoła i aresztu. Po dożynkach odbyła się zabawa. Słyszałyśmy, jak grała muzyka. Było już, późno, kiedy przybiegła do nas żona Guzdka. Była roztrzęsiona. Rękaw bluzki miała rozerwany. Powiedziała, że się pokłóciła z mężem, który po pijanemu szaleje. Strzelił nawet do niej z pistoletu, ale na szczęście trafił tylko w rękaw bluzki.

– Nie przestraszcie się – powiedziała – bo niedługo będzie strzelanina.

– Z jakiego powodu? – zapytała ciotka.

– Mąż mi powiedział, że w areszcie jest zamkniętych trzech bandytów, których rozstrzela.

Po pewnym czasie rzeczywiście rozległy się strzały. Wtedy Hildegarda powiedziała: Żal mi tych bandytów, tych chłopców. Ile mają lat? – spytała ciotka. – Może z osiemnaście. – Proszę się położyć – powiedziała ciotka. – Strzelanina jest tutaj co pewien czas.

Guzdkowa położyła się, ale nie pozwolono jej spać. Ktoś zaczął się dobijać do okna i pytać, czy ona tu jest. Ciotka pomogła się jej ubrać, zabrało ją SS. Rano dowiedzieliśmy się, że Guzdek został w nocy zastrzelony w czasie strzelaniny, jaka wywiązała się przy likwidowaniu owych trzech zatrzymanych wcześniej w areszcie. Strach padł na całą wieś. Niemcy w odwecie mogli zastrzelić przecież zakładników. Na nasze szczęście winę za przypadkowe śmiertelne postrzelenie Guzdka – jak mówiono – wziął na siebie drugi żandarm, Stein.

Przez niedługi czas na plebanii mieszkał też SS–man z Tarnowa, Erki Romelman. Kiedy przybył, wezwał nas do siebie i zaprzysiągł, abyśmy pod karą śmierci utrzymali w tajemnicy fakt, że przebywa na plebani. Dla większego kamuflażu sprowadzał sobie dziewczynę, która często siadała na parapecie okna w jego mieszkaniu, aby ludzie myśleli, że to ona tam mieszka. Był to również okrutny morderca, mimo że na takiego nie wyglądał. Był to niski, łysawy elegancik, który lubił dobrze zjeść i łanie się ubierać.

Pewnego dnia na plebanii pojawiła się piękna dziewczyna, która handlowała bielizną i materiałami. Romelman ją wylegitymował, spisał i kazał się jej zgłosić, kiedy skończy handlować. Faktycznie, przyszła po pewnym czasie. Romelman kazał jej wsiąść do bryczki i powiedział, że ją odwiezie do domu, do Gręboszowa, skąd pochodziła. Ruszyli. Patrzyłam za nimi przez okno. Ku mojemu zaskoczeniu powóz skręcił na cmentarz. Po pewnym czasie, rozległy się stamtąd strzały. Bryczka wróciła z powrotem, a tłumacz Jan zabrał z niej części garderoby, które należały do tamtej dziewczyny. Ci, co widzieli śmierć dziewczyny, opowiadali, że Romelman kazał się jej rozebrać do naga i mimo że prosiła i całowała go po nogach, zastrzelił ją, a potem kazał ciało zakopać.

Po wojnie moja ciotka została wezwana do tarnowskiego sądu na rozprawę przeciwko Romelmanowi. Rozpoznali go Żydzi. Romelman otrzymał wyrok śmierci.

Cytujemy te wspomnienia, ponieważ są niezwykłe. Nikt przecież, tak jak Anna i Maria Słowik czy księża Kloch i Piechota, nie mieszkał z katami Powiśla Dąbrowskiego pod jednym dachem i nie był narażony w każdym dniu na śmierć. Guzdek i Romelman strzelali do ludzi, idących drogą i zabijali ich często tylko dlatego, że nie podobała im się czyjaś twarz. Być może obecność księży tonowała agresję tych strasznych morderców. Mogło być też tak, że smakowały im potrawy przygotowywane i podawane przez Annę i Marię Słowik. Kto dziś dojdzie prawdy?

Kto zabił Guzdka?

„Kurier Dąbrowski" nr 12, 1996 r.

Upadek z Olimpu sławy

W świadomości poniektórych osób funkcjonuje jeszcze stereotyp p. Tadeusza Krasnodębskiego „Kostka", jako wykonawcy wyroku śmierci AK na żandarmie hitlerowskim Engelbercie Karolu Guzdku.

Z dokumentacji związanej ze sprawą „Kostka" wynika jasno, że wbrew jego zapewnieniom nie jest on wykonawcą w w. wyroku, nie jest kombatantem Września'39 r., nigdy nie uzyskał matury, nie wstępował do policji dopiero podczas okupacji, bo służbę w takowej rozpoczął przed wojną, za nieetyczne zachowanie wydalony został ze Związku Inwalidów Wojennych itd. Nadto zarzucam „Kostkowi" popełnienie przestępstwa kryminalnego (zagrożone karą śmierci: Tadeusz Seweryn, Polskie sądownictwo podziemne, „Przegląd Lekarski" 1961, I. Kraków, zeszyt szósty, rok XX, seria II i in.) polegające na tym, że gdy policja przybyła w nocy aresztować p. Stanisława Piątka w Kłyża i kierowała się ku drzwiom, Piątek miałby czas i sposobność ucieczki gdyby właśnie nie to, że „Kostek" wtargnął wcześniej przez okno i pojmał go. Czy „Kostkowi" nie można postawić zarzutu podszywania się pod członka AK, skoro w „Za i przeciw" (nr 13, 1974 r.) zapewniał, że należał do BCh?! Jego zdjęcie tam jest, by nie było wątpliwości. W gąszczu takich i podobnych sprzeczności i konfabulacji doznać można oczopląsu – nie dowierzam oczom, ręce opadają. No bo weźmy dla przykładu: „Kostek" pisał, że zastrzelił Guzdka (nie postrzelił) ze zrzutowego „colta", nie bacząc na to, że w tygodniku „Za i przeciw" (nr 13, 1974 r.) pisał o zastrzeleniu Guzdka z nagana kal. 7,62 mm. Z kolei w „Wieściach" (nr 47, 1984 r.) obwieścił, że zbrodniarz padł przy płocie obok aresztu i... ani zipnął, czasem dodał, że po strzałach odczekał chwilę, by upewnić się o śmierci żandarma, zaś ciało zabitego leżało przy tym wysokim (1,5 m) płocie z wikliny do rana. Mało tego, zdaniem „Kostka" nikt spośród otfinowian nie był obecny rano (wszyscy uciekli w obawie przed egzekucją 100 zakładników) przy wynoszeniu zwłok do sanitarnego samochodu.

Świadkowie obalili majaczenia „Kostka"

Pracownik Urzędu Poczty i Telekomunikacji w Żabnie p. Adam Kucharski podał, że do rannego Guzdka policja z Otfinowa wezwała telefonicznie lekarza z Żabna, który natychmiast pojechał do Otfinowa, podobnie jak lek. E. Gofron z Miechowic. Według war-

townika p. Władysława Magiery ranny Guzdek upadł, po czym dławiąc się własną krwią wbiegł do budynku aresztu wzywając pomocy mieszkającego tam ogrodnika Józefa Wróbla, gdzie pozostał do rana. Józefa Dziądźko potwierdziła informacje Wróbla, dodając, że przerażony ogrodnik przybiegł do jej domu i opowiadał, że ktoś postrzelony prosi o ratunek, ale swym ciałem zatarasował drzwi i dlatego Wróbel wybiegł przez okienko. Wołający miał niski basowy głos, tak jak Guzdek. Dalej Dziądźko ujawniła, że wraz z innymi (potwierdził to m.in. prawnik p. Szczawiński) była obecna przy wynoszeniu rano ciała Guzdka i opisała jego ubiór: niebieska koszula, granatowe spodnie, buty z cholewami (turystyczne). Jan Sowa, który był obecny w miejscu wypadku po zgonie Guzdka podał w wątpliwość słowa Magiery. Jednak relację Magiery potwierdzają inni np. nauczycielka Cierniak, p. Edward Kogut i zapis ks. Józefa Klocha w kronice parafialnej.

Wdowa po Guzdku obalała „rewelacje" „Kostka"

Wreszcie udało mi się odnaleźć wdowę po żandarmie, p.Hildegardę Guzdek Hanak zamieszkałą w Havirowie w Czechach i ta w pisemnym dokumencie podała, że w nocy około godziny 1.00 na życzenie policji i gestapo udała się wraz z synkiem Erykiem do budynku aresztu, gdzie w kałuży krwi z wiązką słomy pod głową leżał martwy jej mąż, a obok siedział jego wilczur. Eryk usiłował pogłaskać twarz ojca i wtedy pies ugryzł go niebezpiecznie w rękę (przecięcie żył). Chłopca odwieziono do lekarza w Opatowcu. Gestapo uznało, że Guzdka postrzelił omyłkowo Wilhelm Stein lub komendant Stefan Mądry i obu ukarało.

Gdzie tu sens i logika

W książce „Krwawe upiory" w 1993 r. (...) nowe dowody zanegowały kłamliwe twierdzenie „Kostka", ale „Kostek" wypowiadając się w prasie nawet nie próbował polemizować z nimi! Według nich „Kostek" (ani ktokolwiek inny), nie mógł ukryć się za wysokim płotem obok wejścia do aresztu, a nawet dalej, bo takowego nie

było!!! Poruszeni kłamstwami „Kostka" mieszkańcy okolicy w pisemnym oświadczeniu zapewnili, że niskie, ozdobne, konserwowane sztachetki, które tu były przetrwały wojnę, uniemożliwiały ukrycie się tu, a tym bardziej strzelanie w obecności około 20 policjantów, żandarmów i wartowników. Miejsce to znają doskonale, bo obok stoi dom zakonnic (konwikt), pod którym siadywali na ławeczkach oczekujący na wizytę pacjenci (zakonnica leczyła), tu mieściła się stołówka dla biednych dzieci, w niedzielę wstępowali do sanitariatu za budynkiem aresztu, tu w centrum gminnej wsi, wzdłuż tych sztachetek prowadziła dróżka nad Dunajcem. Pan Piotr Chłoń otwiera listę osób mieszkających obok (i nie tylko) potwierdzających ten niewątpliwy fakt. I nie jest to ostatni dowód w sprawie. Oto zaszło coś naprawdę szokującego: „Kostek" dostał gwałtownego zwrotu polegającego na zapewnieniu (vide: „Krwawe upiory" str. 307), że zastrzelił (*sic!*) Guzdka zza murowanego okalającego kościół ogrodzenia. A przecież jedno wyklucza drugie. Na dodatek odległość aresztu i sztachetek od owego ogrodzenia wokół kościoła wynosi około dziesiątki metrów. Nie trzeba być strzelcem, żeby wiedzieć, iż oddanie strzału w tył głowy, a nie z boku w nocy 22 sierpnia 1943 r. w tych warunkach przekracza ludzkie i techniczne możliwości.

Wolta ta zburzyła logikę dotychczasowych wywodów, ba, wywróciła strategię linii dowodzenia racji. I tej kolejnej (!) wersji rzekomego zamachu nie sposób obronić – obalają ją realia topografii i całokształt okoliczności wypadku. To jest już trzecie tak doniosłe strategiczne miejsce – stanowisko, gdzie „Kostek" miał się znajdować w chwili oddania strzałów. A tak na dobrą sprawę ranny Guzdek sam wskazał winowajców wołając: „Aleście mi dogodzili! Ratunku!" Tymi słowy winą obarczył żandarma Wilhelma Steina i komendanta Stefana Mądrego, których gestapo ukarało i nie było po śmierci Guzdka egzekucji 100 zakładników.

Jaka szkoda, że nie ma tu miejsca na przytoczenie innych materiałów dowodowych (całość pomieściłem na 60 stronicach) „Kostkowych" manipulacji i infantylnych mistyfikacji, które, o ironio,

zaowocowały nadaniem „Kostkowi" atrakcyjnego prestiżowo Krzyża Virtutti Militarii właśnie za (rzekome) zastrzelenie Guzdka. Panakostkowego autorstwa zawirowania informacyjne (powtarzają te brednie w dobrej wierze różni autorzy) wokół osoby Guzdka w książkach i prasie wyrządziły krzywdę czytelnikom i szkodę nauce historii. Twierdzenie jakoby „Kostek" zgładził Guzdka jest wierutnym kłamstwem. Rzekomy bohater dramatu wykorzystał nieszczelność przepisów, tudzież ułomności procedury weryfikacyjnej (czy tylko?) dla swych niegodziwych celów.

Wiele mówi o tym obszerne Sprawozdanie Komisji Stowarzyszenia Kombatantów (...) w Bielsku–Białej. Przy okazji wyjaśniam po raz pierwszy, że „Kostek" w liście do red. „TeMI" (20 czerwca 1991 r.) owo sprawozdanie nazwał paszkwilem poniżającym jego i ppłk Władysława Kabata, któremu, jak to określił, imputuję dezercję. Solidarność z broniącym czci Kabata zgłosił mgr Władysław Bartosz, który w wojennym życiorysie Kabata („TeMI" nr 24, 1991 r.) przemilczał fakt przejścia Kabata z AK do BCh. Właśnie to przejście określono jako dezercję. Należy zauważyć, że przypisanych mi przez „Kostka" motyw osobistej animozji w świetle zachowanych w całości Raportów Zbiorowych Szefostwa „Kedywu" do Okręgu jest wykluczony. Wykluczenie to potwierdzają konspiracyjnie prominentne osoby, a także członkowie sekcji dywersji przy placówce ZWZ–AK „Zofia" (gm. Żabno).

Dla mnie to ciążące nad sprawą widmo groteskowej tragifarsy jest źródłem smutku, ale poczciwy wojak Szwejk uśmiałby się do rozpuku. Zwłoka z moją odpowiedzią – riposta wynikła z trudności dotarcia do w/w źródeł. Replika jest reakcją nie tylko na naruszenie mych dóbr osobistych dyplomowanego profesora szkoły średniej, ale i wyrazem troski o stan świadomości historycznej narodu.

Ostatnio IPN umorzył dochodzenie przeciw byłym policjantom z Otfinowa, a więc i Krasnodębskiemu.

Ostatnia droga

„Kurier Dąbrowski", nr 7, 1997 r.
mjr w st. spocz. Marian Mleczko

Po wywiezieniu Żydów z getta dąbrowskiego, została ich jeszcze pewna ilość, należąca do Żydowskiej Służby Porządkowej (Jüdischer Ordnungsdienst; tzw. policja żydowska – przyp. red. „KD"). Mieli oni przyrzeczenie od Niemców, że pozostaną na swoim miejscu zamieszkania i nie będą nigdzie przeniesieni. Jednak niemieckie władze okupacyjne zarządziły skoszarowanie pozostających jeszcze w Dąbrowie Tarnowskiej Żydów w domu żydowskiego handlarza zbożem Schindlera (chodzi o Aschera Schindela – przyp. red. „D") przy rogu ul. św. Jana i ul. Jagiellońskiej. Zgromadzono tam całe rodziny, około 50 osób.

Wiosną 1943 r. przyjechała z Tarnowa ekipa uzbrojonych Niemców z żandarmem Engelbertem Guzdkiem na czele. Po mieście rozeszła się wiadomość, że pozostała grupa Żydów dąbrowskich zostanie wywieziona do Tarnowa. Istotnie pod wspomnianą kamienicę, gdzie byli Żydzi, zaczęły podjeżdżać furmanki. Wkrótce do budynku wszedł w towarzystwie kilku Niemców Guzdek. Zażądał on od komendanta tegoż getta imiennego wykazu mieszkańców a następnie oznajmił im, że zostaną wywiezieni wraz z całym dobytkiem do getta w Tarnowie.

W pierwszej kolejności miał odjechać na furmankach cały posiadany majątek Żydów. Żydzi ładowali ten dobytek, mieszczący się w skrzyniach, kufrach, walizkach i tobołkach na wozy, które pod nadzorem eskorty niemieckiej odjechały do Tarnowa. Guzdek zabrał imienny wykaz Żydów i poszedł do szynku raczyć się alkoholem. Tymczasem na cmentarzu żydowskim kilku mężczyzn kopało olbrzymi dół. Wśród kopiących był m.in. Kucharski z Olesna. Dół miał około 12 m długości i 3 metry szerokości. Wkrótce po jego wykopaniu i odejściu kopiących wyszła z budynku przy rogu ul. św. Jana i Jagiellońskiej grupa złożona z czterech Żydów, dwóch Niemców, Guzdka i granatowego policjanta. Pochód otwierał Guzdek,

z boku szli żandarmi niemieccy, a na końcu szedł policjant. Szli ul. św. Jana, przez ul. Berka Joselewicza na cmentarz żydowski i zatrzymali się koło świeżego dołu. Wśród prowadzonych rozpoznany został handlarz bydłem Majer.

Guzdek zaczął krzyczeć wydając komendę, na którą wszyscy czterej Żydzi usiedli na ziemi i do położonych czapek zaczęli opróżniać kieszenie z portfeli, układając również zegarki, pierścionki i inne kosztowności. Następnie zaczęli się rozbierać bardzo szybko, pomagając jeden drugiemu przy ściąganiu długich butów. A Guzdek nadal krzyczał ochrypłym głosem i przyspieszał. Wreszcie wydał rozkaz, by Żydzi wskoczyli do dołu. Wskoczyli posłusznie. On zaś stanął na świeżo wyrzuconej nad dołem ziemi i krzykiem układał ich na dnie dołu. I wreszcie bronią maszynową posiał po nich serie pocisków.

Po dokonaniu tej zbrodni eskorta udała się do getta po następną partię Żydów. Powtórzyła się ta sama scena. Siad, składanie mienia, rozbiórka i wskakiwanie do dołu. Nowi skazańcy musieli najpierw poukładać trupy, według krzyków stojącego nad dołem Guzdka, a sami na tych trupach ułożyć się nową warstwą, głowami na głowach zastygających. Gdy Guzdek dokonał już swego dzieła, to jeszcze jeden starszy wiekiem żandarm strzałami z pistoletu dobijał w dole ruszające się jeszcze ofiary.

Wreszcie zaczęto przyprowadzać Żydówki. Najpierw te bez dzieci. I one zmuszone zostały rozbierać się do całkowitej nagości. I one szły do dołu pod śmiercionośne kule. W końcu zaczęły nadchodzić Żydówki z dziećmi. Większe dzieci szły obok matek, a małe noszone były na rękach. Wszystkie dzieci krzyczały i trzymały matki za szyję. W czasie doprowadzania jedna z matek niosąc małe dziecko na ręku, a większe trzymając za rękę, usiłowała zapewne w przystępie rozpaczy, ocalić chociaż jedno dziecko. W tym celu wypchnęła trzymane za rękę dziecko w bok, ażeby uciekało. Jednak czujny żandarm doskoczył do matki, zadając jej kolbą karabinu cios w krzyże i włączył dziecko do pochodu. I tak poszły matki z dziećmi do grobu, wypełnionego ciałami i krwią pomordowanych

a starszy Niemiec dłużej niż przedtem oddawał strzały w dół... Zapewne dobijając dzieci.

Pozostał wreszcie ostatni Żyd – komendant policji żydowskiej. Niski, szczupły, czarny. Ubrany w bluzę z pasem oficerskim i żółtą gwiazdę Dawida, a na głowie okrągłą czapkę z czarno–czerwonym otokiem. Ten na wezwanie do rozebrania się upadł na kolana i pełzał do Guzdka, całując go w buty i błagał o darowanie mu życia. Jednakże kopnięty przez niego w głowę, szybko rozebrał się i wskoczył do dołu, jako ostatnia ofiara zlikwidowanego całkowicie getta w Dąbrowie Tarnowskiej.

W czasie egzekucji ulice św. Jana i Berka Joselewicza były całkowicie zamknięte przez Niemców. Zresztą ludzie w czasie egzekucji pozamykali się w swoich mieszkaniach.

Jednak znaleźli się dwaj naoczni świadkowie egzekucji. Byli to – dziś już nie żyjący – Bronisław Arabski i Stanisław Kudła, obydwaj z Grądów. Oni to jeszcze przed egzekucją ukryli się na strychu niezamieszkałego domu, leżącego po drugiej stronie ulicy Berka Joselewicza na wprost wykopanego dołu na cmentarzu żydowskim i tam spod obsuniętej na dachu dachówki obserwowali dokładnie całą egzekucję.

Sprawdziła się przepowiednia wędrownego żebraka

„Kurier Dąbrowski", nr 1, 1997 r.

Mieszkańcy kamienic okalających dąbrowski rynek byli mimowolnymi świadkami codziennego poniżania, maltretowania i deportowania Żydów. Mieszkający bliżej kirkutu widzieli dantejskie sceny mordowania przyprowadzanych a raczej przypędzanych grup ludzi w różnym wieku i płci, których płacz, jęki i krzyki zagłuszał terkot broni maszynowej. Po takiej, jak to mówili „akcji", w dołach dogorywało kłębowisko ciał. Żadna publikacja, powieść czy film nie odda bezmiaru cierpień nieszczęsnych ofiar skazanych na niewyobrażalną masakrę i rzeź.

Jednym z obserwatorów makabrycznych scen był b. prof. muzyki w Gimnazjum w Dąbrowie Tarnowskiej, Marian Seweryn (rocznik 1911). Wspomina on, że Niemcy trzykrotnie spędzali Żydów w rynku. Po raz pierwszy w lipcu lub na początku sierpnia 1943 r. Gromadzenie Żydów poprzedzone było ogłoszeniem zarządzenia obligującego ich do złożenia nakazanej ilości złota, biżuterii, dolarów i masła pod rygorem wysiedlenia. Takich zarządzeń było trzy lub cztery. Niektórzy Żydzi udawali się do lekarza powiatowego, dra Jana Lesińskiego, w celu uzyskania zaświadczenia o złym stanie zdrowia, by w ten sposób uniknąć wysiedlenia. Policja żydowska, w nadziei uratowania swego życia, gorliwie pomagała Niemcom wyłapywać chowające się ofiary i prowadziła na miejsce zbiórki. Marian Seweryn z okna swej kamienicy patrzył na te zatrważające sceny, które na zawsze pozostały w jego pamięci niby bolesna zadra.

– Niemcy – wspomina Marian Seweryn – przypędzili moją koleżankę z gimnazjum, Erlich z dzieckiem na ręku, bijąc i łżąc niemiłosiernie. Dobre widziałem i słyszałem, jak zapłakana prosiła w języku niemieckim o darowanie życia jej i córeczce. Wciąż klęczącą hitlerowiec kopnął w twarz, kolbą karabinu bił po głowie. Od klęczących na bruku Żydów funkcjonariusze Sonderdienstu (służba porządkowa) zabierali wyroby ze złota, brylanty, dolary itp. nie szczędząc razów. Starsi, schorowani prosili o pozwolenie pójścia za potrzebą do sieni kamienicy będącej dziś własnością Zdanowskich, nie wiedząc, że nie będzie im dane powrócić stamtąd. Po wyselekcjonowaniu młodych, zdolnych do pracy, starszych odprowadzono do stacji kolejowej, skąd w bydlęcych, zabezpieczonych drutem kolczastym wagonach, odwieźli do Bełżca na śmierć. Cały czas strzelali, zarówno w rynku, jak i w drodze do pociągu. Mego dobrego znajomego Mecnera Niemiec zastrzelił w pozycji klęczącej, każąc mu iść tak przez rynek.

Przed ostatnim transportem zwieźli z całego powiatu, miast i wsi, około 3,5 tysiąca Żydów. Znów powtórzył się scenariusz dręczenia i maltretowania, a siepacze ze służby porządkowej bili pałami w głowy i pracowicie zbierali kosztowności. Po ograbieniu i uszeregowaniu ofiar pognali je do pociągu. W drodze do stacji też zabijali. Na ul. Kościuszki wypchnęli z szeregu starego Isenberga i zastrzelili. W dniu tej tragedii nad ranem usłyszałem w sieni płacz dziecka, więc wyszedłem. Nie byłem zdziwiony, gdy zobaczyłem, że w hollu, na korytarzu i na schodach mego domu schroniło się około stu żydowskich uciekinierów. W razie znalezienia ich tutaj śmierć groziła zarówno im, jak i mnie, mojej matce staruszce i gospodyni – Ewie Jurczyk z Brnika. O wyrzuceniu zbiegów nie było mowy. Znałem ich, niektórzy byli szkolnymi kolegami. Po krótkiej rozmowie przeprowadziłem wszystkich przez wewnętrzne podwórze do bliźniaczego domu Macnera i tam ukryli się w piwnicy, ja zaś zamknąłem bramę oddzielającą podwórze od domu. Jak się potem dowiedziałem, po południu odnalezieni zostali przez policję żydowską, zabrani na rynek i odwiezieni do Bełżca do, jak to Niemcy określali, „niebieskiego komanda". Będąc łącznikiem między AK a „Jędrusiami" składałem stosowne meldunki. Okazało się, że bogaci i wpływowi Żydzi na Zachodzie o wszystkim wiedząc, nie pospieszyli swym pobratymcom z pomocą.

Dziś w wieku 86 lat czuję się po trosze żywą kroniką miasta, znam wiele godnych upamiętnienia wiadomości, z anegdotami włącznie. Zdołałem zgromadzić mnóstwo materiałów, które opracowuję i piszę pod dyktando dopisującej mi pamięci. Niech te moje wspomnienia przetrwają przez wieki jako wyraz hołdu dla barbarzyńsko pomordowanych ofiar wojny i skłaniają do refleksji tych, którzy przyjdą po nas. Na potwierdzenie mych słów, że pisana przeze mnie kronika miasta (w książkach są wiadomości ogólne) jest interesująca poznawczo, przytoczę takie oto zdarzenie z dzieciństwa. Doskonale pamiętam wędrownego żebraka, pospolicie zwanego dziadem, odwiedzającego czasem sklep mięsny mej matki, gdzie dostawał posiłek i parę groszy, jak to się mówi. Dobrze zapamiętałem jego wizjonerską przepowiednię: „Wnet wybuchnie wojna i skończy się dopiero wtedy, gdy na rynku dąbrowskim w kwietniu zakwitną ziemniaki". O dziwo, tę proroczą wizję potwierdziła hi-

storia. Niemcy zburzyli bruk tzw. kocie łby, a że panował powszechny głód, posadzili ziemniaki. Te zakwitły w kwietniu, w maju zaś obwieszczono koniec światowego kataklizmu.

Adam K. Musiał

Magiczne kennkarty

„Kurier Dąbrowski" nr 14, 1997 r.

Wyrobienie fałszywej kennkarty w oparciu o aryjską metrykę urodzenia, otwierało drogę w świat, dawało możliwość podjęcia pracy, ratowało życie wielu Żydom.

W czasie ostatniej wielkiej zawieruchy wojennej na obrzeżach miasta w zagrodzie mej matki–wdowy z domu Skrzyniarz ukrywały się trzy Żydówki z Dąbrowy Tarnowskiej, jedna zwała się Roth – mówi Edward Kogut, rocznik 1929. Początkowo przebywały w jednym z pokojów, do którego obcy nie wchodzili, ale słysząc, co dzieje się w okolicy, musieliśmy zdecydować się na ściślejszą konspirację i umieściliśmy je w stodole, w norze pod warstwą słomy. Nasze zapasy nie wystarczały jednak na utrzymanie tylu osób, dlatego matka posyłała mnie na zarobek u obcych ludzi. Ze zdobytymi w ten sposób produktami żywnościowymi dzieliliśmy się solidarnie z uciekinierkami, które były tak przestraszone, iż w ogóle nie wychodziły ze stodoły. Codziennie roznosząc karmę świniom i paszę bydłu ostrożnie odkrywałem tę wydrążoną w słomie jamę i podawałem pożywienie, zabierając zarazem wiadro służące im za kubeł na odchody. Gdy rżnąłem sieczkę dla bydła, one kąpały się na boisku i pilnowały, abym dokładnie zamykał wrota i drzwiczki stodoły, by nikt nie zaskoczył nas. Matka idąc do stodoły zawsze miała w ręku jakieś narzędzie lub kobiałkę, bo takie były wymogi bezpieczeństwa. Nasze podopieczne ciekawe były nowości z miasta, wypytywały o wszystko, co wydarzyło się w okolicy, a wiadomości prześcigały się w okropnościach, odbierały nadzieję, nie pozostawiały złudzeń, wręcz paraliżowały psychicznie.

Wreszcie któregoś ranka przeżyliśmy ogromny strach, gdy na podwórzu zjawili się żandarmi z pobliskiego posterunku i bez słowa skierowali swe kroki ku stodole. Strach odjął matce mowę, upiornie blada stała jak sparaliżowana, później opowiadała, że jej serce przestało bić. Tego nie da się opowiedzieć. Jedyną nadzieją napawał fakt, iż Niemcom nie towarzyszył pies. Ta wizyta umundurowanych bandytów (nie waham się użyć tego słowa) zakończyła się szczęśliwie i ku zadowoleniu obu stron, bo zabrali tylko sieczkę dla swych koni. I pomyśleć, gdyby uciekinierki nie chowały przezornie wiadra z fekaliami, zostałyby niechybnie odkryte; reszty można się domyślić – spaliliby nas żywcem jak Starca i rodzinę Mendalów, naszych pobliskich sąsiadów. Matka nasza odchorowała to niespodziewane najście, nie mogła sypiać, zamartwiała się.

Czasem najzwyklejszy przypadek mógł być groźniejszy w skutkach od przeprowadzanych rewizji. W majątku–resztówce w Wielopolu kradnący w nocy materiały budowlane złodzieje Ignacy M. i Mieczysław M. bezwiednie spłoszyli Żyda ukrywanego w jednej ze stodół przez pracownicę bez wiedzy właściciela. Niebezpieczeństwa tymczasem nie odwracały się od nas. Z okien domu widzieliśmy ruch pojazdów na szosie z Dąbrowy do Tarnowa, żandarmi i inne formacje wroga nie schodziły z pola widzenia. Dni trwogi dłużyły się. W dodatku ustawicznie doskwierał niedostatek, a nieszczęsnych niewiast nie można było przecież oddalić; płakały, rozpaczały, błagały o ratunek.

Wreszcie matka dostrzegła jedyną szansę ratunku, a mianowicie wyrobienie kennkart na podstawie uzyskanych w urzędzie parafialnym metryk, co zapewniało możność podjęcia byle jakiej pracy, w innych stronach, oczywiście. Matka udała się do ks. Słowińskiego i przyniosła metrykę urodzenia swej córki. Wkrótce poszła po drugą, ale ksiądz pamiętał o tamtej, więc z tupetem wyjaśniła, iż dzieci zgubiły ją. Nasza krewna postarała się o trzecią metrykę. Metryki te pozwoliły wyrobić fałszywe kennkarty, które otwierały nieszczęsnym drogę w świat. Jedna przyjęła pracę jako Rozalia Owsiany, druga w rzeźni w Tarnowie, trzecia na wsi pod Tarnowem.

Szczęśliwym trafem udało im się wyjechać na przymusowe roboty do Rzeszy. Po wojnie jedna przysyłała paczki z francuskiej strefy okupacyjnej, dwie z amerykańskiej. Nawet po latach nie zapomniały o nas, przysyłając paczki z USA, niby dla rodziny, bo baliśmy się oskarżeń ze strony wszechwładnego UB o szpiegostwo. Matka zmarła dawno, dzieci rozproszyły się i nikt z nas nie podejmował starań o przyznanie odznaczenia. Dlaczego narażaliśmy się na najgorsze, ratując zupełnie obce kobiety? Dziś myślę, iż zaważyły na tym czysto ludzkie względy. Traktowaliśmy je tak, jakby należały do naszej rodziny. Dlatego mam żal do nieuczciwych manipulatorów bezceremonialnie uogólniających negatywne przypadki, których nie brak w historii żadnego narodu, szkodząc w ten sposób wizerunkowi Polski na arenie międzynarodowej. Wiem, że można dać im odpór, badając sprawę na miejscu i dogłębnie.

Pomoc Żydom w powiecie Dąbrowa Tarnowska

Józef Kozaczka
w: „Polacy Żydzi (1939–1945)"
Pod red. St. Wrońskiego i M. Zwolakowej
Książka i Wiedza, Warszawa 1971 r.,
s. 341–396

Pragnę przytoczyć nieco znanych mi faktów z terenu powiatu Dąbrowa Tarnowska, gdzie byłem świadkiem wielu wydarzeń.

Formy pomocy Żydom były różnorodne, ale najważniejszą było przechowywanie zbiegłych z gett i transportów. A oto znane mi przykłady udzielania pomocy, za które wielu Polaków wraz ze swymi rodzinami zapłaciło życiem lub obozową gehenną.

Liczniejsze grupy Żydów po opuszczeniu getta szukały schronienia w lasach, szczególnie w kompleksie lasów Radgoszcz–Radomyśl Wielki na pograniczu powiatów Dąbrowa Tarnowska–Mielec. Pobudowali oni bunkry w zaroślach, zamaskowane kryjówki,

a żywność otrzymywali od mieszkańców przyległych do lasu wsi: Małec, Dulcza Mała i inne. W okresie zimy korzystali z pomieszczeń w zagrodach wiejskich wymienionych wsi. Na przełomie roku 1943/44 Niemcy urządzili obławę, do której zmobilizowali znaczne siły policji, żandarmerii i SS, lecz Żydzi powiadomieni przez łączników AK zdążyli zmienić dotychczas zajmowane kryjówki i tylko nieliczni padli ofiarą obławy. Za nieudaną akcję Niemcy zemścili się na mieszkańcach wsi Małec i Dulcza Mała. Aresztowano 36 osób i po śledztwie w więzieniu w Tarnowie wywieziono wszystkich do obozu śmierci w Oświęcimiu, z których tylko 8 po wojnie wróciło, a 28 osób przypłaciło życiem. Świadkiem tych wydarzeń jest żyjąca po powrocie z Oświęcimia Bronisława Bartyzel, zam. w Malcu, i inni mieszkańcy tej wsi.

W pobliskim lesie „Beleryt" również ukrywała się znaczna grupa Żydów, korzystających z pomocy żywnościowej, a w zimie z kryjówek w zabudowaniach przyległych do lasu domów: Franciszka Mendali i Władysława Starca we wsi Szarwark. Wytropieni w dniu 5 VII 1943 r. w czasie obławy niemieckiej Żydzi zostali wystrzelani w zabudowaniach Mendali i Starca.

Niemcy znaleźli kryjówki, w których przebywali Żydzi, i resztki ich mienia. Rozwścieczeni żandarmi zastrzelili Mendalę, jego żonę i teściową Węzowicz, a w stodole dwoje ich nieletnich dzieci. Zabudowania podpalono i wrzucono w ogień dogorywające zwłoki. Przywleczono też do płonących zabudowań Mendali Władysława Starca, zbitego do utraty przytomności, i jego również wrzucono w ogień. Ten barbarzyński czyn Niemców nie zdołał odstraszyć innych ludzi od niesienia pomocy Żydom. W tej samej wsi, w zagrodzie Ludwika Kędzierskiego, przetrwało okupację 3 Żydów: Saul Szacher, Fiszer z Dąbrowy i Jankiel z Brnika. Po wojnie wyjechali do Izraela i USA.

W zagrodzie Jana Chłopka i Adama Starzyka w Szarwarku przeżyło okupację 5 Żydów o nie ustalonych nazwiskach. Po wojnie jeden z nich został dyrektorem garbarni skór w Radomiu, inni wyjechali za granicę.

W sąsiedniej wsi Brnik przechowało się kilka rodzin żydowskich, m.in. Samuel i Chaim Metzger u Tomasza Wierzbówki; po wojnie wyjechali do USA; Mozes Grincfaig z żoną, który po wyzwoleniu pozostał w tej wsi na własnym gospodarstwie. U Ewy Stefańczyk przetrwał okupację Mozes Lind, obecnie przebywa w USA.

Herszko Wajzer, zam. w Dąbrowie przy ul. Świerczewskiego, zawdzięcza swe ocalenie mieszkańcom wsi Brzezówka, szczególnie ofiarnej pomocy nieżyjącego już Franciszka Łachuto. W tejże wsi znaleźli schronienie i inni ukrywający się Żydzi, jak np. Wajzer, syn Urysia, Markus Arymowicz. Wszyscy, oprócz H. Wajzera, wyjechali do USA.

U Józefy Zając w Skrzynce przetrwał okupację Roman Salamon z 2 córkami. Po wyzwoleniu ojciec wyjechał do NRF, zaś córki – do Izraela. W tejże samej wsi w zagrodzie Józefa Piekielniaka znalazła kryjówkę rodzina żydowska (5 osób). Wytropieni przez żandarma Guzdka i wójta gminy Mędrzechów – volksdeutscha Wendlanda, Żydzi zostali zastrzeleni, a Piekielniakowie – zbici do utraty przytomności, wskutek czego Piekielniakowa wkrótce zmarła. Stanisław Pagos w Gruszowie Wielkim w swoich zabudówaniach przechował 2 rodziny żydowskie (Fałek i Weitów). Po wojnie wyjechali do Izraela.

Adler z rodziną (żona i 4 nieletnich dzieci) przetrwał okupację dzięki pomocy mieszkańców wsi Ćwików; szczególnie wiele zawdzięcza rodzinom: Węglów, Saratów, Ziemianów. Obecnie, poza jednym synem pracującym w Krakowie, pozostali wyjechali do Izraela. Liba Ehrenberg, obecnie mieszkanka Dąbrowy, Rynek 4, ocalenie swe zawdzięcza mieszkańcom małej wioski Niwki, w szczególności właścicielowi gospodarstwa Stanisławowi Golonce. W tej wsi przetrwał okupację u Jana Bednarza Izaak Fuszer.

Barbara Wolfowicz, z d. Fałek, ze swym bratem, ocalona została przez mieszkańców wsi Suchy Grunt. Obecnie oboje przebywają w Izraelu.

Franciszek Foder w Lubaszu w swoich zabudowaniach przechował Żyda (nie ustalonego nazwiska). Przeżył on okupację, wyjechał za granicę. Wojciech Niedźwiadek z tej samej wsi przechował u siebie Wicmachera z rodziną, po wojnie wyjechał do Anglii.

Józef Kech z synem i 2 córkami – Barbarą i Esterą – przetrwali okupację w zabudowaniach Zofii Gruchały w Dąbrowicy, a po wysiedleniu mieszkańców tej wsi znaleźli schronienie we wsi Radwan. Po wojnie wyjechali do Izraela.

Regina i Mendel Haber, Bronisława Hirsz i Rozalia Resler, przeżyli wojnę dzięki pomocy mieszkańców wsi Radwan, w szczególności opiece Władysława Cura. Po wojnie wyjechali do Izraela, gdzie do obecnej chwili przebywają. Utrzymują serdeczny kontakt ze swymi dawnymi opiekunami, zwłaszcza Władysławem Curem.

W tak zwanej „Kępie" nadwiślańskiej, w pobliżu wsi Tonia–Brzeźnica, ukrywało się wiele rodzin żydowskich, żywionych i w razie zagrożenia ostrzeganych przez mieszkańców wyżej wymienionych wsi.

Siostry Ziss – obecnie mieszkanki Dąbrowy Tarnowskiej – ocalenie zawdzięczają mieszkańcom wsi Kanna, głównie opiece obywatela Kaczówki.

Józef i Zygmunt Gruber oraz ich bratanica przetrwali okupację również w Kannie dzięki ofiarnej pomocy nieżyjącego Stefana Ząbka, aktywnego członka AK.

Dwie rodziny Goldbergów: Helena, Izaak i Salomon, przetrwały okupację dzięki pomocy mieszkańców Oleśna, szczególnie ofiarnej pomocy ze strony Tomasza Szadego.

Wojciech Cieślak, zam. w Łęce Szczucińskiej, został zastrzelony za ukrywanie w swoim domu Żydówki z Pacanowa. Władysław Wierzbówka z Woli Żelichowskiej pomógł uratować się rodzinie żydowskiej składającej się z 4 osób. Po wojnie wyjechali za granicę, nazwisk ich nie ustalono.

U Józefa Wójcika w Sieradzy przeżyła okupację rodzina żydowska, o nie ustalonym nazwisku. Po wojnie wyjechali do USA.

Lejb Tafel z Borusowej zawdzięcza życie b. policjantowi granatowemu – żołnierzowi AK, który postawiony w pierścieniu obławy przepuścił uciekającego. Obecnie Tafel przebywa w USA.

Józef Gibes w Jadownikach Mokrych uratował rodzinę Szymona Goldberga. Po wojnie Goldbergowie wyjechali do Francji. Władysław Jurczak w Jadownikach Mokrych przechował u siebie w kryjówce Samuela Celnika, który po wojnie wyjechał do Włoch. Również w Jadownikach bracia Paweł i Franciszek Kosteccy oraz ich sąsiad Aleksander Grajdura – ojciec 5 drobnych dzieci – za niesienie pomocy Żydom zostali przez dowódcę żandarmerii Guzdka zamordowani. U Jana Gibesa w Jadownikach przetrwał okupację Jakub Kinclik z żoną Dorą i małym dzieckiem. Po wojnie wyjechali za granicę.

Feliks Świerczek, syn Stanisława, w Gorzycach przechował w kryjówce swojej zagrody rodzinę żydowską nie ustalonego nazwiska. Po wojnie przez kilka lat z rzędu Żyd ten był dyrektorem stacji Technicznej Obsługi Samochodów w Tanowie, następnie wyjechał do Izraela. Nauczycielka szkoły podstawowej w Gorzycach Janina Tarnowska przechowała w swoim mieszkaniu Żyda z Tarnowa Birkama pod przybranym nazwiskiem (uchodził oficjalnie za jej kuzyna), o czym wiedziała cała wieś, lecz solidarność i chęć niesienia pomocy nakazały milczenie. Obecnie Birkam mieszka w Izraelu. Tomasz Lech w Szczucinie przechował w kryjówce Żydówkę Sabinę Ziser. Po wojnie wyjechała do Francji, gdzie dotąd przebywa. Aniela Podkówka w Maniowie uratowała życie młodej dziewczynie żydowskiej, przechowując ją w swoim domu, po wojnie wyjechała do Izraela. Ze swą dawną opiekunką utrzymuje serdeczne stosunki.

Maria Kuglarz ze Szczucina zaopiekowała się niemowlęciem swego sąsiada Żyda. W czasie przeprowadzonej akcji przeciwko Żydom w Szczucinie w dniu 17 III 1942 r., gdy wyciągnięto z mieszkania jej sąsiada oraz jego żonę i wywieziono ich w nieznane, pozostawili oni nie zauważone przez oprawców hitlerowskich niemowlę w poduszce. Kuglarzowa, mając w tym czasie męża w obozie

w Oświęcimiu, a na swym utrzymaniu swoje dziecko, zajęła się z konieczności pozostawionym żydowskim niemowlęciem jak swoim, wychowała je, następnie wykształciła, obecnie dziewczyna wyszła za mąż, mieszka w Tarnowie. Nazwiska tej rodziny, niestety, nikt w Szczucinie nie pamięta. Wiadomo mieszkańcom Szczucina, że była córką adwokata.

W samej Dąbrowie Tarnowskiej pod bokiem żandarmerii niemieckiej uratowało się wiele osób. Franciszek Borsa, zam. przy ul. Nadbrzeżnej, w swym obszernym budynku gospodarczym wybudował dodatkową ścianę, urządzając tam pomieszczenie o powierzchni 3×5 m, z zamaskowanym wejściem ze strychu. W pomieszczeniu tym przetrwało okupację, mieszkając tam, dwa i pół roku, 11 osób, w tym : Naftali Unger (USA). W nawiasie podaję obecne miejsce zamieszkania uratowanych. Nina Ziskina (NRF), Alter Rand (NRF), Mojżesz Rand (USA), Roman Szermer i jego żona Rachela (?), Ewa Blaugrund (Kanada), Aron Werker (Izrael), Izaak Izrael (Izrael), Maria Gruszów (?), Maria Pinkcholc – ze Lwowa. Prócz wyżej wymienionych Franciszek Borsa ulokował u swoich sąsiadów 7 innych Żydów, większość z nich u Błażeja Opioły w sąsiedztwie. Wszyscy, w liczbie 18, przeżyli wojnę, wyjechali za granicę i większość z nich utrzymuje serdeczne stosunki ze swymi dawnymi opiekunami, zapraszają ich do siebie w ramach wycieczki, przesyłają upominki.

W Dąbrowie przy ul. Szkolnej, w zagrodzie Anny Gruchały, znalazły kryjówkę dwie rodziny żydowskie, a to Pinkus Cizer z żoną Rozalią i synkiem, Szifra z mężem oraz ich dwoje dzieci i jej siostra. Ci również przeżyliby wojnę, gdyby nie przypadek w miesiącach lipiec–sierpień 1944 r., gdy front wschodni zbliżył się do granic powiatu Dąbrowa Tarnowska. Niemcy w tempie pośpiesznym budowali fortyfikacje. Do prac tych zmuszali ludność polską. Chętnych nie było, więc na siłę wyciągali ludzi z mieszkań i kryjówek, zmuszając do pracy na linii frontu. Żandarmeria polowa w poszukiwaniu robotników w zabudowaniach natknęła się na osoby w kryjówce. Stwierdziwszy, że to Żydzi, postanowiła ich wykoń-

czyć. W ogólnym zamieszaniu, wykorzystując konsternację Niemców (było ich 2), Cizer z żoną i synkiem zdołał zbiec w pobliskie krzaki, nim Niemcy się zorientowali, i znikł im z oczu. Pozostałe osoby, w liczbie 5, zostały na miejscu przez żandarmów zastrzelone. Poniosła śmierć od kuli tych oprawców właścicielka zabudowań, a jej synową Julię Gruchałę, wdowę i matkę dwojga nieletnich dzieci. Niemcy zabrali ze sobą i już nie powróciła. Dzieci jej zostały uratowane dlatego, że w tym czasie znajdowały się u sąsiadów. U Józefy Kogut w Zazamczu, w jej zobudowaniach, ukrywało się 6 Żydów. Wytropieni przez żandarmów zostali zastrzeleni wraz z ich opiekunką Kogutową.

Na Czerni w zagrodzie Józefa Wójcika przetrwał okupację Żyd Gruszów :z rodziną, zam. obecnie w Tarnowie, ul. Krakowska. U Stanisława Surowca ukrywał się Majer Kamm (po wojnie Marian Kamiński). U Michała Surowca na Czerni przetrwał resztę dni okupacyjnych Pinkus Cizer z rodziną, który uciekł spod kul niemieckich po odkryciu meliny u Gruchałowej przy ul. Szkolnej.

Adam Padło i szwagier jego Michał Kozik na peryferiach Dąbrowy w melinach przechowali 10 osób, w tym rodzinę Sztyglicόw.

Franciszek Puła z Dąbrowy został zastrzelony przez żandarma niemieckiego Bilerta za ukrywanie Żyda.

W Oleśnicy, w zagrodach Stanisława Bani, Kurtyki i innych, znalazło schronienie wiele rodzin żydowskich, m.in. Jachimowiczowie. Po wojnie Jachimowicz wyjechał do NRF.

Za pomoc niesioną Żydom zapłaciły życiem następujące osoby: Ludwik Łach, Jan Nadolski, Kulpa z Małca i 3 rodziny Polaków z Radgoszczy, a to: małżeństwo Szkotaki, Juzby i Nadolscy. Jak opowiadają tamtejsi mieszkańcy, w czasie dokonania morderstwa na rodzinie Juzbów żona Juzby, która była w wysoko zaawansowanej ciąży, ugodzona kulą, zepchnięta do przygotowanego dołu, wijąc się z bólu, zaczęła rodzić... Widok mrożący krew w żyłach u tych, których zmuszono do zakopania zastrzelonych ofiar.

Mój sąsiad z ul. Szkolnej Juda Gruber ocalenie zawdzięcza Polce ze Lwowa.

Wiele dla Żydów zdziałali księża poszczególnych parafii, którzy prócz udzielania kryjówek wystawiali potrzebne dokumenty aryjskie. A oto kilka ze znanych mi osobiście przykładów ofiarnej, patriotycznej postawy: ks. Franciszek Okoński, ps. „Nawa" – kapelan AK, proboszcz parafii Luszowice, udzielał wszechstronnej pomocy ludziom: ratował Polaków i Żydów. U niego znalazł kryjówkę m.in. Żyd – adwokat z Krakowa. Wiadomość o tym przenikła do działającego w Luszowicach konfidenta niemieckiego Tomasza Madury (zginął z wyroku sądu podziemnego). Zorganizowana przez żandarmerię niemiecką obława na plebanię nie dała obciążającego dowodu. Ukrywający się uszedł, wyskakując oknem do sadu, upatrzył w pierścieniu obławy stojących policjantów granatowych i w ich kierunku skierował swe kroki. Uszedł z życiem. Rozwścieczeni Niemcy, spotkawszy ukrytą w zabudowaniach służbę, plebańską, zastrzelili dwie osoby, nie badając, kim są. Aresztowano wówczas 2 księży, lecz nie udowodnili im winy i po kilku dniach zostali zwolnieni.

Ksiądz proboszcz parafii w Bolesławiu, Wojciech Dybiec, podobnie jak ks. Okoński, uratował życie wielu osobom, m.in. braciom: Dolkowi i Romanowi Keglom – Żydom z Bolesławia, wystawiając im dowody urodzenia na nazwiska przez nich wybrane. Jeden obrał sobie nazwisko Bernat, drugi Ciepiela. Trzeci ich brat Moniek wyjechał do Dubna, gdzie zamieszkał u tamtejszej nauczycielki Polki. Wszyscy trzej przeżyli wojnę i okupację. Komu zawdzięczają życie i jak potraktował ich wówczas proboszcz, do którego się zwrócili z prośbą o dokumenty aryjskie, świadczy wypowiedź Dolka Kegla–Bernata, zamieszkałego w USA, w liście przesłanym do znajomych w Polsce. A oto jego treść:

„Moi Kochani!

Jeżeli chodzi o św. pamięci ks. Dybca, to należy zaznaczyć Jego bezinteresowność i wielki patriotyzm. Miało to miejsce w Bo-

lesławiu, kiedy bandyci niemieccy mordowali cywilną ludność, a szczególnie padali ofiarą bezbronni Żydzi, więc pewnego wieczoru udałem się z bratem na plebanię i prosiliśmy o rozmowę z ks. Dybcem.

Ks. Dybiec wyszedł i zaprosił nas do swego gabinetu, pytając, co nas sprowadza do niego.

Więc prosiliśmy o wydanie nam dokumentów aryjskich, ponieważ takie dokumenty mogą nas uratować i jest nadzieja, że możemy przeżyć wojnę. A taka była odpowiedź na to św. pamięci ks. Dybca: «Jak ja mogę wam dać takie dokumenty, a z drugiej strony, jak ja nie mogę wam dać». Wyszukał w księdze urodzin, kazał nam wybrać nazwiska mniej więcej zgadzające się z naszym wiekiem...

Wręczając nam potrzebne dokumenty prosił, że jeżeliby niemieccy bandyci nas przyłapali i stwierdzili, że dokumenty są nie nasze, to proszę nie mówić, że ja wam dałem, bo wiecie przecież, że za wszystko jest kara śmierci. Przyrzekliśmy, żeby nas nawet ze skóry żywcem krojono, to też nie powiemy. Podziękowaliśmy ze łzami w oczach i poszliśmy.

Czy może być bardziej szlachetne podejście? Nie opisuję całej rozmowy, a to sa tylko urywki. I naprawdę te dokumenty pomogły nam i do tego czasu zachowaliśmy nazwiska wydane nam przez św. pamięci ks. Dybca.

Brooklyn, 19 XII 1965 r. D. Bernat".

Inni na podstawie dokumentów aryjskich wystawianych przez księży, zwłaszcza młode dziewczęta żydowskie, znaleźli schronienie przed zagładą na robotach w Rzeszy. Również i ja, działając przez Arbeitsamt w Tarnowie, uratowałem życie kilku Żydówkom, mieszkankom Dąbrowy Tarnowskiej, m.in. siostrom Hindzie i Fejdze Windheit, z których jedna w Hamburgu, druga w Göttingen przeżyły wojnę, a po jej zakończeniu wyjechały do USA, skąd przesłały mi list dziękczynny. Przytoczone wyżej przykłady stanowią zaledwie część prawdy historycznej tamtego okresu. Po upływie dwudziestu kilku lat trudno ustalić i oddać wiernie, co działo się

w mrokach okupacji hitlerowskiej, kiedy to śmierć czyhała na każdym kroku, a walka z wrogiem odbywała się w konspiracji. Wiele ludzi, uczestników walk tamtego okresu, zmarło, wiele wyjechało i osiedliło sie na Ziemiach Odzyskanych. Czas zatarł w pamięci wydarzenia tamtych lat.

W powiecie Dąbrowa Tarnowska znajduje się 100 wsi i w każdej z nich ukrywali się Żydzi. Sądzę, że tutejsi mieszkańcy w akcji niesienia pamocy Żydom nie stanowili wyjatku. Jednolite pod tym względem stanowisko zajmowali wszyscy Polacy zdający sobie sprawę, że to, co dziś spotyka Żydów – jutro czeka nas.

Ofiary ze strony ludności polskiej za udzielanie pomocy Żydom tylko na terenie powiatu Dąbrowa Tarnowska, jak wynika z przytoczonych przykładów, zamykają się liczbą 56 osób, w tym 27 zastrzelonych na miejscu, 28 zamordowano w obozie, jedna osoba zmarła na skutek pobicia.

Podobne ofiary za pomoc udzielaną Żydom poniosła ludność w innych powiatach południowej Polski. Po tak długim okresie czasu niesłychanie trudno jest ustalić nazwiska zabitych, tym bardziej iż czasami za przechowywanie Żydów Niemcy mordowali całe rodziny polskie.

Dębica

Zdrada wylęknionego Żyda

Burzliwe wydarzenia związane z losem Żydów i ich martyrologią nie ominęły terenu gminy Dębicy. W odległych o 20 kilometrów na południe od Dębicy Gumniskach schronienie znalazł Żyd z Dębicy nazwiskiem Winde. Ostrożny był, nawet nocą bal się wyjść z ukrycia dla zaczerpnięcia świeżego powietrza. Opatulony starą garderobą zaszył się w jamie wydrążonej w słomie. Zazwyczaj nocą wychodził na boisko, bał się okropnie, bo widział co Niemcy zrobili z jego rodziną. Jednak te środki bezpieczeństwa zawiodły, bo we wsi szeptano, że ktoś tu się ukrywa. Dlatego gospodarz przekazał go na pewien czas komuś w Głobikowej, a jednak i tu uciekinier został odkryty i pojmany. Konną podwodą odwozili go do miasta, ale w drodze zapytali, gdzie ukrywał się tak długo. Żyd wskazał dom Zielińskich. Gest ten był wyrokiem śmierci wydanym bez skrupułów na niedawnych dobroczyńców i wybawicieli.

Prześladowcy bez wahania zastrzelili będącą w zaawansowanej ciąży Rozalię Zielińską, żonę gospodarza, który ocalenie swe zawdzięcza nieobecności w domu i umiejętnemu ukrywaniu się. Egzekucji dokonali granatowi policjanci, niestety.

W sąsiadującej z Dębicą wsi Wolicy za przyjęcie pod swój dach Żyda od kul zginał Antoni Kępa. Ale zdarzył się przypadek nie do końca jasny. W Gębiszynie Stanisław Węgrzyn ukrywał 3–4 Żydów w piwnicy w podwórzu.

Tu miała przyjechać granatowa policja, ale Niemcy nie chcieli stracić okazji, być może, zdobycia cennych trofeów, tak to było u Rębisiów. Ponoć marzyły im się podobne futra, odzież, może i biżuteria. Po przyjeździe seriami podziurawili drzwi piwnicy, ciała wyciągnęli na podwórze. Bandycka wyprawa zakończyła się zabraniem desek, które posłużyły do wykonania ogrodzenia posterunku. Gospodarz ocalał, stąd rodziły się podejrzenia, że może powodowany strachem sam zadenuncjował nieszczęśników. Jednak fragmentaryczna znajomość okoliczności zajścia, zdaniem relanta Stanisława Szczepanika, przemawia za nierozstrzyganiem zagadkowego dylematu.

Dębno

Nieudany pościg

Józef Flądro ur. 31.VII.1926 r. w Dębnie, gdzie gospodarstwo (5 ha) posiadał ojciec. Okolica biedna, ziemia marna, teren podobny do innych obszarów Pogórza Karpackiego, pocięty wąwozami często zakrzaczony. Domostwo usytuowane z dala od szosy, Tarnów–Brzesko–Kraków, bo w odległości 3,5 km w przysiółku Domania, na uboczu wsi i na zboczu wąwozu przy wiejskiej pełnej wybojów dróżce. Po deszczu fatalny stan drogi zniechęcał do przejazdu, ale podczas okupacji zapewniał większe bezpieczeństwo i spokój. W pobliżu rozrosły się krzaki przechodzące w las, który stanowił własność państwa. Urząd gminy był bliżej szosy, na wzgórku przy kościele i dworze Jastrzębskich, a raczej zabytkowym zamku, gdzie dziś mieści się muzeum. Tu w centrum usadowił się posterunek policji granatowej. Było czterech policjantów, komendant Plichta, Białek, Tomaszewski, Cichocki. Przed wojną Żydzi kupowali, co się dało, najczęściej bydło, cielęta, zboże. Stałym kontrahentem i bywalcem był Herman Glasner Sperber. Na końcu Dębna miał domek i kawałek ziemi. Z handlu utrzymywał żonę i dwoje dzieci. Kupował bydło, cielęta. Najmował Formana, który zawoził je do Brzeska, albo pędzili je wynajęci poganiacze. W Dębnie była to jedyna rodzina żydowska.

Niemcy zaczęli ograniczać ich wolność, a potem wywozili do getta. Jak wszędzie, tak i tu nosili opaski. Ale nasi Żydzi nie dali się wywieźć, bo wiedzieli już, co się w gettach dzieje i po co ich tam gromadzą. Nocą zniknęli i wysłane po nich wozy wróciły puste. Ukrywali się w małej wsi Poręba Uszewska. Był to pierwszy dom, stał w polu i na uboczu w krzakach. Miejsce trudno dostępne. Siedzieli w domu na strychu. Gestapowiec Rabsch, znany w Bochni morderca w otoczeniu granatowych podszedł pod dom. Było to po południu. Ziemniaki zbierano z pól, robiło się chłodno. Był to rok

1942. Po drabinie wszedł na strych i zmusił ich do zejścia. Rabsch chciał strzelać w sieni, ale Herman miał dziecko na ręku. Odeszli ok. 20–30 m od domu, gdzie wykopano doły. Żydzi musieli się położyć nad tymi dołami. Płacz, lament, zaklęcia nie miały tu żadnego znaczenia. Rabsch wymierzył w głowę Hermana, nacisną spust, ale pistolet się zaciął. Herman widząc to, błyskawicznie podciągnął nogę, podparł prawą ręką i dał susa w krzaki. Padły chaotyczne strzały. Policjant Białek pobiegł w pole, wyrwał chłopu konia i ścigał zbiega. Uciekający widząc jeźdźca pognał w gęstniejące krzaki, kluczył, krył się za drzewami i tymi manewrami zniechęcił konia, który ani myślał przedzierać się przez gęstwinę. Zmagania popędzanego konia, zsuwającego się ze skarp, usiłującego omijać gałęzie długo obserwowano jak jakaś westernową sekwencję sensacyjnego filmu. Możliwości ścigającego malały, przyroda najwidoczniej nie sprzyjała mu.

Rabsch tymczasem zastrzelił żonę i dzieci i przyglądał się, jak ich zasypywano ziemią. Do wracającego policjanta miał pretensje, zapewniał, że mając konia, przywiózłby tu Żyda żywego. Na to strapiony policjant: koń w krzaki nie pójdzie. Gospodarza nie tknęli. Zrozpaczony błąkał się po znajomych.

Za pół roku Herman zapukał do naszego domu, ojcu opowiadał o tragedii i brawurowej ucieczce. Dom nasz był drewniany pod strzechą. Najpierw krył się w słomie w stodole i jedynie w nocy wychodził zaczerpnąć świeżego powietrza. Ojciec nie sypiał, nasłuchiwał, każde szczekanie psa lub ruch na drodze napawały go niepokojem. Skarpa, do której zbocza przylgnęły nasze budynki, sprzyjała wykopaniu dołu i zbudowaniu bunkra. miejsce było suche, bo woda deszczowa spływała, a i przebiegający za stodołą bardzo głęboki strumień odciągały nadmiar wody. Niepokoiła okoliczność, że obok wąwozu prowadziła ścieżka do wsi. W końcu obaj z ojcem zdecydowali, że obaj zbudują schowek na strychu obory. Wstawili ścianę z desek. Nad koniem była klapa z desek, która się unosiła w górę. Tam miał pierzyny, koce i legowisko. Po drabinie nosiło się pożywienie, tedy też schodził w celu załatwienia swoich potrzeb fi-

zjologicznych. Strzecha ma tę zaletę, że w przeciwieństwie do dachówek w zimie zapewnia odpowiednią ciepłotę. Herman przemyśliwał nad sposobami uratowania kuzynki z getta w Tarnowie. I rzeczywiście pod osłoną nocy wybrał się do Tarnowa, gdzie miał zaufanych Polaków. Odtąd zamieszkali razem z wykradzioną kuzynką. Nie mogliśmy uwierzyć w to, co ona opowiadała. Stale płakała wymieniając nazwiska bliskich im osób, które znalazły się w piekle. Nadzór nad gettem z ramienia gestapo, mieszczącego się przy ul. Urszulańskiej, sprawował, jak to mówiła, starszy sekretarz Heindrich Wilhelm Rommelmann, pochodzący z Bremen. Przed wojna jako osadnik mieszkał w Tarnowie, poznał ludzi i język polski. Wpadał jak burza do getta między ul. Lwowską i Starodąbrowską, mordując bez opamiętania. To samo, choć w mniejszym stopniu robił z Polakami. Był tak zawzięty, podejrzliwy i żądny krwi, że tłumaczeń prawie nigdy nie przyjmował. To go zgubiło. Policjanci żydowscy opowiadali, że w swym zapamiętaniu zastrzelił Polkę, na której gestapo zależało i za tę samowole przeniesiony został do Bremen. Z gazet powojennych wiem, że został złapany przez Brytyjczyków i po procesie powieszony w Tarnowie. Pluł i złorzeczył, gdy go prowadzono na szubienicę. Gdy wieczorem po zasłonięciu w myśl nakazu okien przychodzili do izby, ogrzewali się przy piecu chlebowym, jedli, a ona opowiadała, co się w getcie dzieje. Na ten jej płacz nie mogliśmy patrzeć. Zimę też spędzali w tym schowku. Sołtys i gońcy przychodzili raczej w dzień i przekazywali polecenia. W zimie ograniczali się do pukania w okno i informowania donośnym głosem, że trzeba jechać z podwoda, pędzić krowę na kontyngent. Ale i Niemcy chodzili po wsiach za końmi i za ludźmi do różnych robót i posług. Bardzo dokuczliwe były roboty przy budowie fortyfikacji ziemnych, bunkrów i okopów. Brakowało im ludzi i podwód konnych. Spędzone ze wsi tłumy ludzi podwodami zawożono do prac we wsiach: Okocim Górny, Gosprzydowa, Gnojnik, Poręba Spytkowska, Chronów, Wiśnicz. Nie wszystkich puszczano do domu. Wielu zatrzymywali na noc i upychali gdzie mogli. W przejętym pod zarząd niemiecki

majątku w Gnojniku, w wielkiej stodole trzymali ludzi za drutami kolczastymi. Wszędzie pełno było Niemców. Rankiem prowadzili do pracy przy okopach, a wieczorem zamykali za drutami. Opowiadam to z autopsji, bo sam się tam znalazłem. Spaliśmy na słomie. Rano podawali zupę z buraków lub karpieli, czasem po robocie ziemniaki. Po drodze w sklepiku, kto mógł, miał pieniądze, kupował chleb. Kolumna stawała dozorujący pozwalali.

Uciekających z miejsca pracy zabijali. Nawet oddalenie traktowane było jak próba ucieczki. Dwie dziewczyny, Kapusta i Ogar odeszły i zginęły. Żydami w domu opiekował się starszy o dwa lata brat Alojzy członek AK, który przynosił im także informacje. Tadeusz, najmłodszy z nas, rocznik 32, uczęszczał do szkoły powszechnej. Stale upominaliśmy go, aby się nie wygadał i nie sprowadzał kolegów do domu.

AK nie chciała być bezczynna, mimo że trudno tu było drażnić Niemców. Alojzy i koledzy dyskretnie wyprowadzili z dworu świnię i oporządzili ją na cmentarzu. Wyroby przynieśli do nas i schowali w oborniku. Niemcy wpadli z psem i wyroby znaleźli. Zaskoczenie domowników było całkowite. Żydówka jadła w izbie, gdy Niemiec skierował się ku drzwiom. Babka założyła jej chustę na głowę, wręczyła dzban świeżo wydojonego mleka i kazała iść do sąsiadów. Niemcy byli przeświadczeni, że sąsiadka przyszła po mleko. Udała się do domu Wilhelma Fabiana i oznajmiła, że są Niemcy. Gospodarz mimo obaw przyjął ją. Tymczasem u nas odbywała się rewizja. Poszli do obory i stajni. Wszędzie zaglądali. Porównywali liczbę zapisanego, objętego ewidencją inwentarza i sztuki nie ewidencjonowane skonfiskowali. Wyprowadzili do dworu krowę, trzy warchlaki i maciorę na ocieleniu. Wyroby mięsne też kazali ojcu wywieźć na wozie.

Po ich odjeździe za jeden, dwa dni wpadło 4 gestapowców. Ojciec spostrzegł ich i zawołał z trwoga w głosie: gestapo. Tadeusz skoczył za szopę i ukrył się. Alojzy z pistoletem wybiegł w koszuli i uciekł dzięki drzewom, które go zasłoniły. Dlatego nawet nie strzelali. Tadeusza znaleźli i zabrali do dworu. Byliby go zakatowa-

li, bo nic nie powiedział. Przyjechał rządca, zobaczył spuchniętego i zalanego krwią. Zaczął besztać oprawców zapewniając, że to najlepszy pracownik, na wszystkim się zna. Cóż on jest winien, że ma brata bandytę. Tamtego szukajcie. Pozwolili i mu odejść, ale nie był w stanie się podnieść, jęczał. Kazali ojcu przyjechać furmanką i zabrać go. Cały pokryty był ranami, nawet ręce miał pokaleczone. Założono bandaże, stosowano okłady. Długo leżał, leczył się. Im chodziło o Alojzego i domagali się wydania go. Pobity brat wiedział wszystko, ale nie zdradził. Alojzy uciekł do ciotki w Sufczynie i tam się ukrył.

Nadal pracowałem i przebywałem w lagrze, za drutami, pod strażą. Kopaliśmy okopy w Porębie Uszewskiej. Postanowiłem zbiec. Udałem powrót do szopy po kilof. Gdy Niemcy odeszli, pobiegłem 100 m do rzeki, za nią przez drogę za jakaś szopę. Nie strzelali, widocznie nie zauważyli. Dobiegłem do Uszwi, do domu znajomego, u którego wcześniej mieszkałem z innymi, pracując przy kopaniu rowów strzeleckich. Zastałem go przy pędzeniu bimbru. Po poczęstunku wieczorem przez las na skróty poszedłem do domu. Po drodze znajoma dziewczyna opowiedziała, co zaszło w moim domu. O zmierzchu znalazłem się w moim domu. Było to 20.I.1945 r. Za dwa dni Niemcy uciekli. Te fortyfikacje na nic się nie zdały, bo bojąc się okrążenia wszystko zostawili. Po przetoczeniu się frontu odebraliśmy z dworu nasz dobytek. Mówiący po niemiecku i polsku rządca Tomasik także uciekł.

Pamiętam, bywało, że dla odwrócenia, uwagi przeprowadzających lustrację czy rewizję ze strychu obory usunęliśmy wszystkie graty. Dwie dachówki zostały wyjęte, żeby było widać, że strych jest pusty. Żydzi byli ostrożni i nie wychodzili zaraz. Przecież jeszcze różnie mogło być. Dopiero za dwa dni opuścili kryjówkę i zgłosili się w Brzesku. Jeszcze wrócili i dopiero za jakiś czas udali się do Tarnowa, gdzie czasowo zamieszkali. Byliśmy u nich w odwiedzinach. Zajmowali się sprzedażą pożydowskich domów czerpiąc obfite profity finansowe. Pobrali się i mieli dwie córki w Krakowie. Stąd wyjechali do USA, przysyłali paczki z odzieżą,

dołączając czasem parę USD. Już dziesięć lat nie piszą. O żaden medal nie staraliśmy się.

Jeszcze coś muszę dodać. W Porąbce Uszewskiej, sześć kilometrów stąd w gospodarstwie Stanisława Buziaka ukryli się dwaj bracia tej, co u nas była, czyli Reginy Pinkas. Zostali jednak wykryci i wywiezieni. Gospodarza nie karano, stad padło podejrzanie, że sam ich wydał. Ale znane są wypadki, że granatowi tuszowali takie sprawy ratując ukrywających. Po wojnie Herman pełnił ważną funkcję w UB w Krakowie i zaskarżył Buziaka i Białka. Buziak skazany został na 15 lat więzienia, a Białek nie wiem na ile. Któremuś z nich amputowali nogi, obaj zmarli w więzieniu. Dodać trzeba, że Romelmann nie znał wcześniej Tarnowa, a Polka doniosła, że podczas rewizji w jej domu zginęły dolary. Za to go przenieśli.

Ze zmiennym szczęściem

Latocha Stanisław, ur. 20. VIII.1916 roku w Dębnie. Do tego, co powiedział Flądro, wniosę nowe informacje. Herman był naszym sąsiadem przed wojną i na początku okupacji. Znany był jako Schweiber, miał żonę i córkę uczęszczającą do szkoły powszechnej. Posiadał ¼ morgi i budynki. Zazwyczaj handlował bydłem a szczególnie cielętami, które ja mu zawoziłem do Brzeska, gdzie z kolei kupowali je Żydzi. Bywało, że kupione przez niego bydło pędziłem do Bochni na rzeź. Odbiorcami zawsze byli Żydzi. Byli to ludzie o przyjaznym usposobieniu, zgodni we współżyciu, nasze stosunki były dobrosąsiedzkie. Urodził się w roku 1902. W roku 1939 poszedł na wojnę i dostał się do niewoli niemieckiej, skąd wrócił w 1942 roku. Opowiadał o walkach z Niemcami i o swoich cierpieniach w obozie niemieckim na terenie Niemiec.

Mimo zakazu nadal handlował, ale już tylko wyrobami w małej ilości. Jego krewni wcześniej znaleźli się w getcie, głodowali, a on im dostarczał produkty spożywcze. Pokątnie handlował też słoniną i podrobami. Mówił, że opasywał się słoniną i pod odzieniem prze-

mycał, bo wszędzie rewidowali torby i walizki, a na pomysł zaglądania pod garderobę nie wpadli. Był to dobry interes, bo żywność była droga, jej brak dawał się we znaki wszystkim, a zwłaszcza miastom, które głodowały. Dlatego pomiędzy miastem a wsią krążyli pokątni handlarze, paskarze, którzy dla zysku wiele ryzykowali. Żydzi w getcie oddawali pierścionki, zegarki, dolary. Jego chwilowo nie brali do getta. Wnet jednak zaczął się ukrywać z rodziną i krewnymi, którzy się tu schronili.

Niemcy wpadli na piekielnie chytry pomysł: wyznaczyli ludzi miejscowych i zagrozili, że w razie niezłapania ukrywających się w okolicy Żydów, zakładnicy zostaną rozstrzelani. Zakładnicy wiedzieli, że Żydzi kryją się w polach, wąwozach, z pierzynami, garnkami, palą ogniska i pieką ziemniaki, a wodę czerpią z polnych potoków. Zakładnicy tłumaczyli się, że zastają jedynie popiół po paleniskach, bo Żydzi zmieniają miejsce pobytu, a może już opuścili rejon wsi.

Gruchnęła wieść o tragedii w domu Józefa Sachy w Porąbce Uszewskiej, gdzie ci Żydzi się ukryli. O świcie Niemcy i policjanci wyprowadzili ich za dom, każąc paść twarzą do ziemi. Jedynie Herman zdołał uciec, tułał się, aż trafił do Flądry.

Solidarność miejscowych

Jan Mleczko, ur. 7.I.1914 roku w Porąbce Uszewskiej. Przed wojną w Porąbce Uszewskiej nie było Żydów, ale mieszkali w innych wsiach. We wsi Doły Żydzi mieli dwa gospodarstwa, przy czym zajmowali się też handlem. Do getta nie poszli, a ukrył ich Józef Sacha w naszej wsi, jak się później okazało, było u niego aż 7 osób. Miał małe gospodarstwo (2 ha), ale Żydzi mieli pieniądze i zapasy. Poupychał ich gdzie mógł, w piwnicy pod domem i na strychach. Na strychu wstawił drugą ścianę i zamaskował ją. Wchodzili w ten sposób, że podnosili drzwiczki w suficie, do których dostawali się po drabinie. Długo to się udawało, bo dom stał na uboczu,

z 300 m do sąsiadów, koło krzaków olszynowych i potoku. Do wykrycia doszło w ten sposób, że obok tego domu przechodził policjant Tomaszewski, a czasem i Kurtyka, także policjant. Idący do zamieszkałej w pobliżu przyjaciółki, Tomaszewski usłyszał płacz 3–4–letniego dziecka. Tak doszło do opisanej egzekucji i ucieczki Hermana. Gospodarz ocalał, bo obronili go policjanci granatowi. Dodam jeszcze, że ta ucieczka skazańca postawiła nas w bardzo kłopotliwej sytuacji, bo Rabsch zarządził pościg i obławę. Herman uciekał koło kuźni Chodackiego, aż pod Jaster. Pościg dotarł do kuźni, gdzie policjant zabrał konia i dalej gonił uciekiniera. Na rozkaz gestapowca ruszyło 30 osób z Dębna i tyleż z Porąbki. Mieli oni zatoczyć szerokie koło, penetrować każdy zaułek, dom, zagajnik. Gospodarz z Porąbki dojrzał uciekiniera w tarninie i rzekł głośno: tego mięsa dziś jeść nie będą. Żyd zorientował się, że Jan Mleczko nie wyda go. Nie złapali go. Nie wydał wówczas, nie wydał i później, gdy tułający się Herman przychodził nocą i prosił o kawałek chleba, krył się po stodołach, ale ludzie się bali, więc wędrował dalej. Takich nazwisk gospodarzy można podać wiele. Wspomnę tylko, że np. u Władysława Piątka przebywał jakiś czas karmiony i serdecznie traktowany.

Niektórzy są skłonni przyjąć, że Roman Buziak w Dołach, nastraszony przez Niemców, naciskany przez zakładników załamał się i ujawnił pobyt Żydów u siebie. Po wojnie skazany był na 15 lat więzienia. Do zdrady, jak zapewniano, nie przyznał się i dowodów zdrady nie było.

Pod koniec wojny wykryli obecność Żyda, jego żony i córki w piwnicach pod rozebranym domem, w polu pół kilometra od domów. W lecie to było. Poprowadzili ich na posterunek, przesłuchiwali. Na koniec kazali iść ścieżką ku kładce nad potokiem i gdy zbliżyli się do kładki, Niemiec strzelił. Pochowali w lesie. Po wojnie Żydzi zabrali ciała.

Wdzięczność i odwet

Stefan Bajdoł, ur. 16.VI.1926 r. w Łoniowej. Dziś po pięćdziesięciu latach, kiedy wiele ludzi zmarło, trudno odtworzyć te fakty, bo wcześniej były otoczone tajemnicą. Dziś są z grubsza jednak znane. I tak np. wyszło na jaw, że Józef Pabian, mimo opisanego już terroru, przechował do końca aż cztery osoby wyznania mojżeszowego. Wcale nie był bogaty, bo 3-hektarowe gospodarstwo, obciążone kontyngentami, dawało bardzo małe szanse wyżywienia tylu ludzi. Zrobił to ze świadomością wielkiego ryzyka. Schowek urządził na strychu obory, gdzie ścianą oddzielił część strychu od strony okienka. W oczy rzucał się brak tego zasłoniętego okienka, wobec czego w strzesze zrobił dziurę, by na strychu było jasno.

Zagladajacy stwierdzali, że strych jest pusty. W tym domu bywali też poszukujący Żydów. Dzielna żona, Katarzyna, pochodząca ze Złotej, gotowała skrycie, piekła placki ziemniaczane, bo nie było chleba. Dom stał wprawdzie na odludziu, ale przecież w każdej chwili mógł wejść ktoś obcy i zauważyć większe garnki na piecach. Nawet przed małymi dziećmi trzeba było zachować tajemnicę, bo mogły zapytać, a są przypadki, że pytały, dla kogo mama gotuje tak dużo ziemniaków.

Pod koniec wojny nadlatywały sowieckie samoloty, strzelając do wszystkiego co się rusza. Trzeba było szybko się kryć. Pabian nie zdążył się schować, trafiony odłamkiem w głowę upadł na podwórzu i wołał o ratunek. Sąsiedzi mieszkali daleko i nikt nie słyszał krzyku. Żydówka wybiegła ze schowka i usiłowała go ratować. Była to córka Jabrama. Frontu tu jednak nie było. Po wojnie z wdową ożenił się Franciszek Święch z Niedźwiedzy, kawaler. On to przyjął od wdzięcznych Żydów 5 morgów ziemi. Żydzi pojechali do krewnych, gdzieś w świat, ale słali paczki i dziękowali. Żydów tych było czworo: ojciec, syn, córka i ktoś obcy. Płaneta, ojciec żyjącego Józefa jest jednym z tych, którzy odważyli się przyjąć pod swój dach Żydów, choć nie trwało to długo. Pukającym w nocy w okna nie pożałował mąki, chleba czy jajek. Znali się ze szkolnej

ławy i z wojska. Wcześniej sprzedawali Żydom swoje płody rolne i zwierzęta hodowlane. Proszący o pomóc nie mówili, gdzie się zatrzymali, kto ich ukrywa i nie wolno się było o to pytać, bo im mniej człowiek wiedział, tym bezpieczniej było dla obu stron. Wiedzieliśmy, że nasi policjanci sprzyjają nam, o ile mogą, to wyciszają sprawę, tuszują by ofiar było jak najmniej. Oni też stali w obliczu trudnych wyborów, ryzykowali życie, a powojenne sądy traktowały ich jako oddanych III Rzeszy. Sam Herman to stwierdzał, gdy został jak to określano, komisarzem po wojnie. Po zabraniu tej świni od Fladrów Żydówka uciekła i dopiero wieczorem przyszła do Płanety, sąsiada Flądrów. Wieczorem wyszła za stodołę na pagórek i stad z odległości 2–3 km widziała światła samochodów na szosie. Wydawało się jej, że Niemcy jadą tu do nas i uległa panice. Wpadła do izby i wołała: schowaj mnie, bo Niemcy jadą! Wbiegła na strych. Płanetowa wróciła i wołała, że nie ma Niemców, ale Żydówki nie mogła znaleźć. Okazało się, że przerażona wbiła się pod siano, aż pod dach. Doprowadzona do równowagi poszła do Flądrów.

Po ucieczce Niemców, gdy komuniści jeszcze nie stworzyli organów władzy, Herman zjawił się i rozmawiał z obecnym tu także Stanisławem Chadackim. Herman zapewnił, że komuniści zniszczą komendanta policji w Dębnie, który pochodził z Borzęcina i Łazarskiego z Krzyża. Łazarski mieszkał w Dębnie przy szosie i odpowiedzialny był za odśnieżanie jezdni. Żyd Aid nie chciał iść do pracy, wobec czego Łazarski wpadł i pobił go. Herman odgrażał się, że wykończy także sołtysa Stanisława Kargula, bo ten niedawno wygadał się, że na końcu Dębna ukrywają się Żydzi. Szło o to, że sołtys zwykle po nabożeństwie ogłaszał pod kościołem nowe zarządzenia, które częstokroć dotyczyły Żydów. Zazwyczaj były to ostrzeżenia i groźby pod adresem tych, co odważyli się bronić Żydów. Chadecki wziął w obronę sołtysa i na koniec rzekł: Daruj Kargulowi, to stary zastraszony człeczyna. Innym wspomnianym już Herman nie darował.

Walka o przetrwanie

Andrzej Migda, ur. 23.XI.1909 r. w Łysej Górze koło Dębna. Gdyby pan przyjechał wcześniej powiedziałbym znacznie więcej. Wiek, choroby czynią spustoszenia w świadomości, wiele faktów uleciało, zatarły się, wyparowały niczym kropla wody na słońcu. Wieś nasza usytuowana jest tak, jak na to pozwala ukształtowanie terenu, a teren jest górzysty, co nawet z nazwy wynika. Domostwa przylgnęły do łagodniejszych zboczy pagórków, przycupnęły za załomami skalistych występów, wśród starych drzew. Inne wspięły się w górę i do nich dostęp jest trudny, a po deszczach prawie niemożliwy. Za to pięknie jest tu, gdzie okiem sięgnąć. Krajobraz jak żywcem wyjęty z westernu. Mówię o tym dlatego, że ten pagórkowaty, lesisty, a więc mało przystępny zakątek, zniechęcał Niemców utrudniał penetrację i tym samym bronił wielu uciekinierów. Pamiętam dwu młodych Żydów, którzy tu się zjawili i w skarpie w lesie wydrążyli bunkier. Żywili się tym, co znaleźli w polu lub ktoś im dał. Do Niemców dochodziły czasem pewne informacje ale byli tu bezradni. Pewnie dlatego wyznaczyli ludzi na zakładników odpowiedzialnych za wyśledzenie i złapanie uciekinierów z gett. Zakładnikami, którym wciąż grożono, byli m. in. Mrozek, Gurgul i Roczniak.

U Skoczylasów zamieszkała Żydówka, która była w ciąży z Polakiem z Łukianowic. To dziecko tu się urodziło. Poznali ją po tym, że przy porodzie krzyczała: o jej, jej, jej! Józef Lis został ojcem chrzestnym tej dziewczynki. Sołtys i agronom przyszli z ostrzeżeniem o skutkach przechowywania Żydówki. Przyjaciela jej nie było, bo pracował w Krakowie. Skoczylas zapewnił sołtysa Kluskę, że to nie Żydówka, tylko katoliczka. Wreszcie zabrałem je na wóz i odwiozłem je do stacji kolejowej w Biadolinach. Pisali do księdza i prosili o wydanie metryki. Matka małej zginęła, a córeczka wyszła za mąż. Jej ojciec mieszkał w Łukianowicach, może jeszcze żyje. Byli tu tacy, co kryli się w wąwozach i na pagórkach. Pamiętam, że Gurgulowie ukrywali dwie dziewczyny żydowskie z Wojnicza,

zwano je Rylcionki. To były córki biednych Żydów, pachciarzy. Pod łóżkiem miały bunkier i tam w dzień przebywały, a w nocy wychodziły na spacer. Po wojnie w Mysłowicach miały sklep złotniczy. Gurgul dostał od nich kawał łąki, ale państwo ludowe mu to zabrało. Te dwie Żydóweczki głodowały, dlatego w nocy chodziły do Jana Drużkowskiego. Same to potem opowiadały.

Stefan Migda wykradł z getta w Zakliczynie dwie Żydówki i przechowały się u Karasia w Ratnowach. Przeżyły. Gdy się żenił po latach, to mu dały złote pierścionki.

Zdażyło się, że ukrywający się Żydzi wykradli chłopu jałówkę. Gdy chłop ich spotkał, złapał za siekierę. To znów inni Żydzi udawali partyzantów i nawet świnie zabierali. Były to raczej odosobnione przypadki, jak ten w Niedźwiedzy, gdzie podobno Żydzi ukradli młodą jałówkę. Gospodarz Pałach złapał młodego Żydka zamieszanego w tę kradzież i zatrzymał. Inni Żydzi przyszli i upominali się o niego. Doszło do bijatyki, w czasie której od ciosów zadanych motyką jeden Żyd zginał. Po wojnie Pałach siedział za to 15 lat. Dziś jestem bardzo stary i uważam, że była to walka o przetrwanie. Drażniło to nie jednego, że Żydzi, acz przybysze, rozradzali się szybko, co widać ze statystyki. Wypierali nas nie tylko z handlu, uczelni, kupowali dwory, mieszkali często w samym centrum miast, dlatego trudno się dziwić, że w tym klimacie rodziły się różne opowieści, anegdoty czy wiersze jak poniżej. Oto w Dębowej Żyd mówi do sąsiada Polaka: Albo z nas Żydów kiełbasę zrobią, albo wy nas o klucz do kościoła prosić będziecie, zapewnił Mordek. Za jakiś czas Mordek mówi: oj, ja już wiem, że z nas kiełbasy będą! Jest to wypowiedź autentyczna sprzed wojny, gdy Hitler doszedł do władzy i zaczął ostrzyć pazury. Oto wiersz z okolic Wiśnicza Nowego:

Di dy – dy, Oj dy – dy
Wytruły się Żydy
Od czegoś takiego
Od żuru kwaśnego

Ten żurek był dobry,
Bo się nim karmił
Król Bolesław Chrobry.

Pamiętam, że przed wojną rząd polski popierał akcję Żydów mającą na celu osiedlanie tychże w Palestynie.

Zagadkowa zbrodnia

Genowefa Pach, ur. 13.09.1904 r. w Biadolinach Szlacheckich, gdzie z mężem Janem mieli małe gospodarstwo (81 arów gruntu nieornego), dlatego Jan pracował na kolei. W przypadku ukrywania kogokolwiek ważną okolicznością było, to czy sąsiedzi mieszkają blisko, choćby byli najlepsi i czy w domu są małe dzieci. Najbliższą sąsiadką była Anna Bodzioch. Dzieci to: Jerzy ur. 1929 r., Błażej ur. 1932 r., Dorota ur. 1933 r. Dzieci jak widać już duże, a wiec zdolne zachować dyskrecję. Mośke pracowała dorywczo u gospodarzy w Bielczy, Borzęcinie, dokąd chodziła pokonując 9 km w jedną stronę. Za prace dostawała żywność np. ziemniaki, które nosiła do domu na plecach. Mimo niedostatku, a nawet głodu przechowywali Żydów. Fromowiczowie pochodzili z Biadolin Radłowskich, gdzie mieli sklep. To była liczna rodzina: Sławomir Fromowicz, urodzony chyba w 1900 roku, brat Samuel Fromowicz, zwany Samkiem, po polsku Leon, Dawid Fromowicz brat, dalej Abraham, siostra Regina i matka wdowa, bo ojciec ich zmarł w roku 1939. Znali się sprzed wojny z mymi krewnymi Alojzym i Janem Kłapuckimi. Nasze wsie stykały się, oddzielała je tylko rzeka Kisielinka. Niemcy wezwali ich do Arbeitsamtu w Wojniczu. Puścili ich i kazali zabrać cenne rzeczy, bo pojadą do Rumunii. Poszli do urzędu i już nie wrócili. Z Wojnicza 13.06.1942 r. pognali ich piechotą do Tarnowa. Regina chorowała na nogi. Gdy w Łukianowicach upadła, zastrzelili ją. Haje, żona Dawida miała 9–miesięczną córeczkę. Niosła ją na ręku na ul. Targową w Tarnowie. Dziecko głodne, przestraszone

płakało, więc Niemiec kazał je uciszyć. Wreszcie wyrwał z rąk matki i główkę roztrzaskał o krawężnik. Tak zginęła Estera Fromowicz. Matkę podnieśli i doprowadzili, dowlekli do ulicy Nowej. Po 1–2 dniach Niemcy poprowadzili kolumnę do rampy kolejowej w Tarnowie. Łamaną polszczyzna mówili, że jadą na Węgry, do łagru i tam im będzie dobrze. Towarowym pociągiem wieźli ich. Zamiast w kierunku Tuchowa, Krynicy, jechali do Krakowa. Przez swoje miejscowości zdążali ku Krakowowi. W Płaszowie postał pociąg 4 godziny. Pociąg nabrał wody, węgla i ruszył w stronę Trzebini, Chełmka. Zorientowali się, że jadą do obozu śmierci w Oświęcimiu. W wagonie była matka Estera, syn Dawid z żona Hają, Samuel, Leon – bracia. O czwartej rano padał deszcz. Dawid oglądnął wagon i spostrzegł, że otwory zabite są deskami, nawet małe okienko było zabite deskami. Grzebieniem aluminiowym próbował podważyć deskę, wreszcie sprzączką od pasa podważył deskę, przez okienko wyjrzał. Byli miedzy Libiążem a Chełmkiem, gdy zawołał: uciekamy! Na wieść o tym, dokąd jadą i o ucieczce matka chwyciła się za lewy bok i zmarła na serce. I tak dojechali, do Węgier. Wyskoczyli na odcinku 600 m w lesie. Byli poobijani, pokaleczeni, ale cali. Nocami wracali ku Biadolinom, omijali wsie i miasta. W lesie k. Radiowa wykopali bunkier i tu zamieszkali. Tak spędzili zimę. Korzystali z zapasów, których nie zabrali ze sobą do Wojnicza, lecz pochowali, pozakopywali. Teraz rzeczy i kosztowności wymieniali za żywność. Ludzie kradnący drzewo z lasu zacierali ślady. Leon był skarbnikiem. Umówił się ze znajomym stolarzem, że wieczorem chłop przyniesie żywność, a Leon większą gotówkę. Ponieważ Leon tego dnia miał krwotok z płuc, więc wysłał brata Samuela po tę żywność. Stolarz nie rozpoznał przybysza, myślał, że to Leon z pieniędzmi i oddał strzał z dubeltówki. Nie doczekawszy się powrotu brata, rodzina wyszła na poszukiwanie i znalazła go w tarninie. Kieszenie miał powywracane, puste. Stąd przenieśli się do bunkra pod Wojniczem w lesie na tzw. Podlesiu, gdzie za wzgórkiem była leśniczówka. Leśniczy zwał się Hawryłeczko. Tu rozegrała się tragedia, o której krążą sprzeczne opowieści. Żydzi mówili, że ran-

kiem w niedziele pod leśniczówkę podeszło trzech cywilów w skórzanych płaszczach w towarzystwie sołtysa z Biedolin Szlacheckich, o nazwisku Kawa. Leśniczego zabrali i w odległości 300 m od domu strzelili w tył głowy. Dawid porwał broń... ale przybysze odeszli. Zapewniał, że Żydzi nie mają nic wspólnego z tą zbrodnią. Dotrwali do końca 1942 r. Bardzo mroźna zima, głód i strach przed wykryciem ich obecności zmusiły ich do opuszczenia bunkra. Nocą przyszli do Biadolin Szlacheckich i zamelinowali się w pustym domu blisko skrzyżowania dróg, potem ukryli ich Bodziochowie. Byli do 15.01.1943 r. Szukali pustego domu. Znaleźli puste domostwo Wincentego Majewskiego, który zginął pod kołami pociągu. W dniu, kiedy przyszli do nas, mróz sięgał –30°C. Mimo palenia w piecu mróz z okien nie schodził. Tam na strychu już nie mogli wytrzymać, zamarzali. Wieczorem ktoś zapukał do naszych drzwi, raz, drugi, delikatnie. Ojciec nie rozpoznał, ale wpuścił i na widok Dawida struchlał, bo myślał, że Dawid nie żyje. Dawid błagał o wpuszczenie do izby, grzali się przy żelaznym piecu. Matka wypiekła placki na płycie pieca, podała herbatę lipową. Był głodny. Powiedział, że nie jest sam i chciałby nakarmić pozostałych: żonę i brata, ukrywających się w pustym domu w pobliżu, na strychu. Nie mogą być tam dłużej, bo Niemcy rozbierają dom, czerpią drewno na opał. To byli Niemcy ze szpitala prowizorycznego wojskowego z Biadolin Szlacheckich i z centrali telefonicznej wojskowej. Ci rozciągali kable w polach na bębnach i też łazili wszędzie. Przyprowadził resztę i grzali się przy piecu do rana. Ojciec poszedł do pracy. Pod podłogą w pustej kuchni wykopali dół, odtąd strach i braki żywności gnębiły nas. Syn jako chłopiec zbierał czernicę i zanosił żołnierzom za żywność. Zapoznał się z Janem, pół–Polakiem spod Opola, 19–latkiem. Lubił go i autem woził po okolicy. Dostał kawę, czekoladę, bywał u nas w domu po słonecznik. Za litr czernic dawał chleb 1–2 bochenków. Syn chodził do kuchni szpitalnej, gdzie kucharz Gelb (był rudy i dlatego zwali go Gelb–złoty) dawał chleb, zupę w bańce, produkty, których w domu brakowało. Nawet czasem masła. Prosili aby im śpiewał piosenki, wiec improwizował,

a żołnierze śmiali się. Miał 5 lat. W tym miejscu dawny chłopiec, dziś starszy mężczyzna uzupełnia wypowiedź starej matki. Mówi: poszedłem do kucharza i dałem mu bańkę czernic, zwracając się jak zawsze po niemiecku. Gelb odciął piętkę i podał, bo opuściłem zwrot grzecznościowy: mój panie. Drzwi do domu były zamknięte, także w dzień, bo baliśmy się zaskoczenia. Gdy przyszedł obcy Niemiec, to ostrzegaliśmy go, że mamy wszy lub chorujemy na tyfus. To skutkowało. Zdarzały się różne przypadki. Jesienią Żydzi wyszli z bunkra, drzwi nie były zamknięte, Żydzi grają w karty, w durnia, a tu wchodzi Niemiec. Haja odegrała rolę gospodyni i posadziła go na honorowym miejscu. Broń odłożył i włączył się do gry. Jak przystało na członka herenvolku, wygrywał, ani razu nie został durniem, bo Żydzi mu ułatwili grę. Śmiał się. Haja dała mu wódki. Matka przyszła i okazała złość, że zamiast pracować tracą czas na zabawach. Z gniewem w głosie kazała im iść do pracy. Poszli do bunkra. W lecie zanosiłem naszym Żydom żywność do lasu. Wreszcie w polu przed lasem natknąłem się na znajomego Niemca, który po zrewidowaniu mnie wylał zawartość, a garnkami bił mnie po głowie. Zauważyli to Żydzi i oddali śmiertelny strzał do Niemca, a ciało zaciągneli w chaszcze.

Gnojnik

Odpowiedział głową

W Uszwi Niemcy w odwecie za ukrywanie Żydów zabili gospodarza Wojciecha Kołfisa. Jak opisuje to Józefa Pasek, jej wuj, Wojciech Kołfis, niemal przez cały okres wojny pomagał żydowskiej rodzinie Federgun, która wspólnie ze znajomymi Żydami pochodziła z Brzeskiego.

Mój wuj przechowywał Żydów u siebie w domu. Część z nich spała na strychu, a był to stary domek pod strzechą. Reszta zrobiła sobie taki bunkier w lesie, bo wuj mieszkał tuż obok i mógł ich zaopatrywać w żywność. Kiedy zrobiła się nagonka na Żydów, mój brat, który mieszkał wspólnie ze mną i z mamą u naszego wujostwa uciekł z domu, bo grożono mu śmiercią z powodu tego, że wspólnie z wujem pomagał Żydom. Mama moja po całych nocach nie spała, bo bała się, że przyjdą także po nią i wszystkich zastrzelą. Dobrze pamiętam, jak nocami ci Żydzi, którzy ukrywali się w leśnym bunkrze, przychodzili do wsi po ziemniaki, które moja mama wkładała im do worka. Wiem kto wydał tych Żydów, ale ci ludzie już nie żyją, a było tak. Niemcy mieli ze sobą psa, który wywęszył ten bunkier w lesie. Młodzi żydowscy chłopcy, mający może po dwadzieścia lat, zaczęli więc uciekać, ale pies dopadł ich i zaczął szarpać. Musieli więc wszystko wygadać. Była tam też młoda Żydówka z małym dzieckiem i także starała się uciec stamtąd, trzymając dziecko na ręku. Kiedy padły strzały, dziecko wypadło jej z rąk, a ona nadal uciekała. Dopiero kolejna kula ją dosięgła. Zostali pogrzebani obok lasu. Dołek po tym bunkrze zachował się po dzień dzisiejszy. Biedny mój wuj także został wtedy zastrzelony. Po skończonej pogoni za Żydami przyszli i po niego. Wyprowadzili go za stodołę i na jego własnym podwórzu strzelili mu dwa razy w tył głowy. Leżał całą noc. Dopiero następnego dnia przewieźli go na cmentarz i jak psa rzucili do dołu, a na twarz nasypali ziemi, bo trumny mu odmówiono. Ci łajdacy, którzy go wtedy grzebali, także już dawno nie żyją. I to za to, że nosił Żydom jedzenie do bunkra. Mój mąż zrobił mu taką ładną mogiłę z betonu z krzyżem i napisem ś.p. Wojciech Kołfis ze wsi Uszew. Moja kuzynka, Honorata Robak, córka Wojciecha Kołfisa, napisała mi ostatnio, że żadnego medalu nie chce, bo nikt i tak nie jest w stanie przywrócić czci jej ojcu, któremu wyrządzono taką krzywdę.

Gręboszów

Pacyfikacja esesmanów z „Galizien"

Lata okupacji pozostawiły niezatarte ślady w pamięci Anny Kaczmarczyk i jej najbliższej rodziny. Podeszły wiek pani Anny (urodziła się w 1897 roku w Ujściu Jezuickim) sprawia, że o najtrudniejszych latach życia opowiada jej córka Stanisława.

Mój wuj Piotr Haleniak, będąc raz za Wisłą, spotkał znajomego młodego Żyda Dawida. Był to chłopiec pochodzący z bardzo biednej rodziny, mieszkający aż do wysiedlenia w małym domu koło spichlerza przy wale rzecznym. Żyli z drobnego handlu, ale Dawid mieszkał już i pracował w Żabnie jako piekarz. Zatrudnili go Żydzi i chcieli znaleźć kryjówkę.

Szło kilka osób: pracodawczyni, jej dwie córki, brat i siostra. Dawid uszczęśliwiony tym, że spotkał wuja, zaczął prosić o ratunek. Zaklinał się, że już zapada noc i nie może trafić pod adres, wskazany go drugiej stronie Wisły.

Prosił więc już konkretnie o przyjęcie wszystkich na trzy tygodnie. Piotr Haleniak dał się nakłonić i całą szóstkę ulokował w stodole. Ani gospodarz, ani jego nieoczekiwany gość nie spodziewali się, że ich przymusowy pobyt w tej kryjówce rozciągnie się z planowanych 3 tygodni na 30 miesięcy.

Gospodarstwo mojego wuja liczyło 8 morgów. Korzystna dla ukrycia prześladowanych wydawała się stodoła, murowana i kryta dachówką. Warunkiem pobytu tam uciekinierów było zachowanie pełnej ostrożności, a zwłaszcza ciszy, bo budynek stał o 150 metrów od ulicy, przy której znajdował się posterunek policji granatowej. Pełno tam było Niemców, wśród których rej wodził, Engelbert Guzdek. Tutaj obok Wisły wpadał Dunajec i wiele dróg prowadziło do ujścia. W tym miejscu promem przeprawiano się na lewy kielecki brzeg Wisły. Niemcy byli tu czujni, wciąż legitymowali ludzi – zwłaszcza spoza tego terenu, udających się za Wisłę. Pamiętając

o zachowaniu wszystkich środków ostrożności Piotr Haleniak wykopał bunkier w stodole. Dwie zbite deski wyjmowano i wchodziło się do ziemnego bunkra przykrytego słomą.

Nie był duży, trudno było w nim nawet swobodnie stać. Bale podtrzymywały strop z desek. Na wierzchu bunkra, pod słomą było legowisko, z którego korzystano latem. Zdarzyło się raz, że niemiecki żołnierz wtargnął do budynku w poszukiwaniu rzekomo ukrytego bydła. Piką dźgał słomę tuż obok Żydów schowanych właśnie w tym legowisku. Zmartwiali ze strachu, patrzyli na to przez szpary między deskami, tworzącymi rodzaj parasola nad bunkrem. Niemiec naśladował głosy zwierząt i kłuł piką, która w pewnym momencie ugrzęzła w ręce żydowskiego uciekiniera. Mimo bolesnego skaleczenia dzielny człowiek nie wydał z siebie głosu. Żołnierz niczego nie zauważył i rozczarowany opuścił budynek.

Trzeba dodać, że samo przebywanie w bunkrze wymagało nie lada hartu. Było to bowiem pomieszczenie trzy na trzy metry. Gnieździli się tu prześladowani ludzie w słomie pod pierzynami, które przynieśli ze sobą. Siedzieli w mroku i zimnie. Tyle tylko, że pozatykali szpary. A przecież pod tym „parasolem" z patyków koczowali mężczyźni, kobiety, a nawet dziewczynki 9–letnie. Na parasolu były śmieci, bobowinki, kukurydzianki, a na nich leżała narzucona słoma. Nasi przymusowi więźniowie wychodzili dla zaspokojenia swoich potrzeb fizjologicznych na boisko lub do glinianki, z tyłu stodoły, gdzie było na ten cel wiadro. Gdy nadeszły mrozy – a dochodziły do 30 stopni – mój wujek brał ich do trzeciego mieszkania, gdzie były piec i podłoga. Na tej podłodze sypiali. Przez okno mogli widzieć przechodzących Niemców i granatowych policjantów.

Myśmy w tym czasie mieszkali obok, w innym domu. Przebywała tam Anna Kaczmarczyk z Haleniaków z dwojgiem dzieci: rocznym synkiem Romanem i 14–letnią Stanisławą. Wuj żywił sześć osób, a matka 3 mężczyzn. Bardzo trudno było utrzymać tak liczną gromadkę. Kupowaliśmy zboże. Jeden z Żydów dał bransoletę, którą sprzedaliśmy handlarzowi z Krakowa. Można było wtedy kupić kilka kilogramów mąki, aby ich dochować do lepszych czasów.

Dostałam też mydło za noszenie pożywienia dla żydowskich uchodźców,. Ale matka tłumaczyła, że cenny dar trzeba sprzedać, bo nie ma co jeść. Nam samym brakowało mleka, ale i im musieliśmy dać, byli tam młodzi chłopcy i baliśmy się, że zachorują bez odpowiedniego pożywienia. Jeden z tych chłopców wyglądał jak laluś i był bardzo nieśmiały. Obserwowaliśmy ich życzliwie z sympatią. Czasem kłócili się między sobą i nie wiedzieliśmy, o co się sprzeczali, bo nie rozumieliśmy ich języka.

Codziennie życie było pełne niespodzianek i ryzyka. Pewnego razu Niemcy robili łapankę na przymusowe roboty do Rzeszy. Za stodołą zatrzymał mnie granatowy policjant nazwiskiem Biś, ale zdołałam uciec za zabudowania i zniknąć mu z oczu. Niebezpieczeństwo zażegnał mój wuj, który w tym czasie rąbał drzewo, obok bunkra kryjącego naszych uciekinierów żydowskich. Zapytany przez granatowego policjanta o dziewczynę, spotkaną za stodołą, wyjaśnił dobrodusznie: „E, to taka mała koza!"

Stałe zagrożenie stanowił dla nas przypływ dużej ilości ludzi z bliższej i dalszej okolicy. Tymczasem jeden z Żydów zachorował na płuca i musiał cierpieć, bo głośno jęczał. Staraliśmy się wszelkimi sposobami zagłuszyć te niebezpieczne dla wszystkich odgłosy. Wuj przepędzał gęgające gęsi i zachęcaliśmy psa do szczekania i hałasowaliśmy jak się tylko dało. Zabezpieczało to innych ukrywających się, ale nie miało wpływu na zdrowie chorego, który po bolesnych atakach zmarł w ciągu jednego dnia. Zakopano go w pace na ustroniu. Letnia pora ułatwiała ten smutny, konspiracyjny pochówek. Dopiero po wojnie dokonano ekshumacji. Wolni już od niebezpieczeństwa Żydzi przenieśli swego współwyznawcę na własny cmentarz – kirkut do Żabna. Żałowaliśmy zmarłego Leona, którego znaliśmy jako uczciwego człowieka. Nawiasem dodam, że zapewniał nas o swej zamożności i obiecywał wynagrodzić tych, którzy pospieszyli mu z pomocą. Śmierć stała się wtedy, niestety, zjawiskiem codziennym. Z licznej rodziny właścicieli piekarni w Żabnie pozostali tylko ojciec z jednym synem.

Tymczasem nasi uciekinierzy wegetowali w swojej kryjówce, nie tracąc nadziei na ocalenie. W nocy ostrożnie wychodzili na spacer do sadu. Trzeba było zachować pełną czujność, bo na przykład jedna z sąsiadek podsłuchiwała nas systematycznie, podejrzewając obcych w domu. Kilka razy pojawił się u nas na podwórzu złowrogi żandarm Engelbert Guzdek. Rzekomo szukał raz listwy do parkanu. Żyliśmy w biedzie i to wszystko odbiło się na naszym zdrowiu. Po wojnie dowiedzieliśmy się, że naszych Żydów zauważył niejaki Szarwark z Ujścia, ożeniony i zamieszkały w Pierszycach. Niemcy chcieli go zatrzymać i już zbliżali się do niego, gdy wozem wracał do domu, ale prowadzący go chłopak zdobył się na odważny w tej sytuacji gest. Wysunąwszy do tyłu rękę, pomachał nią znacząco. Szarwark skoczył z wozu i pognał w stronę zagajnika. Pociski pocinały gałęzie, ale nie dosięgły uciekającego. Wyszedł cało i odtąd ukrywał się w rodzinnej wsi Ujściu, wieczorami spacerował po ogrodzie. Widział dużą grupę Żydów, wychodzących z naszej stodoły do ogrodu i słyszał ich rozmowy. Obserwując nocne życie wsi, pozwalał sobie czasem na żarty nie pozbawione pewnej złośliwości. Zauważył na przykład, że samotna kobieta nocą przyjmowała sąsiada. Wścibski Szarwark przez uchylone okno wrzucił kurę do mieszkania, jej furkot i trzepotanie skrzydeł wywołało przestrach i krzyk kobiety.

Groziło wówczas niebezpieczeństwo nie tylko ze strony oddziałów niemieckich, ale i innych formacji w służbie okupanta.

W lipcu 1944 roku Ukraińcy w służbie niemieckiej, którzy wcześniej mordowali mieszkańców Opatowca, przeprawiali się promem, przez Wisłę. Z wałów Dunajca, przywitali ich ogniem partyzanci. W odwet za to Ukraińcy 29 lipca 1944 roku przeprowadzili zbrodniczą pacyfikację wsi Ujście Jezuickie. Palili domy i mordowali mieszkańców na trasie swojego pochodu. Było to w upalnym dniu lata. Żydzi widząc palącą się wieś, szybko wyszli ze stodoły i pokładli się w łanie pszenicy. Na szczęście przy wale wiślanym i w jego okolicy Ukraińcy nie przeszukiwali zabudowań. Dopiero przy końcu wsi, za kapliczką konno ścigali tych mieszkańców, któ-

rzy w porę nie zdążyli uciec. Ofiarą tych prześladowań padł Jakub Rogoziński, który wracał od pociągu z Krakowa. Wlekli go za wozami konnymi, aż do Dąbrowy Tarnowskiej, a tam zastrzelili wraz z innymi. W sumie, ogarnięci ludobójczą wściekłością Ukraińcy spalili 32 zabudowań.

Żydzi długo leżeli w pszenicy i półżywi wrócili do stodoły, która ocalała od pożaru. Nie obeszło się przy tym bez wstrząsających scen. Zbrojny Ukrainiec wpadł na podwórze i krzyczał do starej kobiety:

– Babciu! Niesiemy ci prezent! – pokazał trzymany w ręce granat zapalający. Staruszka padła na kolana, błagając, by nie podpalał budynku. Krzyczała, że w czasie pierwszej wojny światowej był tu front i wszystko spłonęło. Żołdak kolbą karabinu uderzył starowinę i przewrócił ją, ale zapalił dopiero jakieś dalsze budynki.

Nasi żydowscy uciekinierzy ocaleli. Niedługo potem piekliśmy im placki, które bardzo lubili. Takie drobne radości nie mogły przysłonić stałego strachu przed prześladowcami, a zwłaszcza najgorszym z nich Engelbertem Guzdkiem. Opowiadano o nim rzeczy przerażające. Po zbiorowej rzezi w Szczurowej, gdzie Guzdek zastrzelił z pistoletów maszynowych około setki Cyganów, policjanci wrócili do Ujścia tak wstrząśnięci, że wymiotowali i nie mogli jeść obiadu. Wiem o tym dobrze, bo razem z kucharką nazwiskiem Grabiec obierałam ziemniaki.

Pamiętam, jak wcześniej, jeszcze przed zamknięciem gett, przez Ujście jechali furmankami bardzo zamożni Żydzi. U wuja zatrzymał się na krótko dentysta i leczył mieszkańcom zęby. Odjechali, zostawiając wór błamów, futra, skórki, pelisy. Bali się wieźć to bogactwo. Z kolei wuj bał się je przyjąć i polecił mi zanieść wszystkie cenne rzeczy Żydom, zamieszkałym w Ujściu. Żydówki z płaczem odmawiały przyjęcia. Zostawiłam skóry na środku izby i odeszłam.

Jodłowa

Wymiar poświęcenia

Maria Świerczek, ur. 10.II.1928 r. w Jodłowej, wsi o charakterze miejskim, usytuowanej na pograniczu Pogórza Ciężkowickiego i Strzyżowskiego, u podnóża wzniesienia Wisowej, nad potokiem Jodłowa, dopływem Wisłoki. Krajobraz tutejszy wyróżnia się pod względem walorów turystyczno–krajobrazowych, ma w sobie coś z perły natury. Zarówno rzeźba powierzchni, jak i szata roślinna stwarzają specyficzny dla Pogórza widok. Rodzice moi Leon i Anna mieli gospodarstwo rolne o powierzchni 8 ha i mieszkaliśmy w centrum osady w zwartej zabudowie naprzeciw cmentarza. Ojciec jako gospodarz zawierał różne, na ogół drobne, transakcje z Żydami. Żydzi mieszkali w centrum, mieli bóżnicę, ale ich dzieci chodziły z nami do szkoły powszechnej, bo swoich szkół nie mieli. Na lekcje religii nie uczęszczali, wychodzili do domu i wracali na inne lekcje. Nasze współżycie było przyjazne. W sobotę nie uczyli się, gromadzili się w bóżnicy. Moja klasa chciała zobaczyć rabina i wszyscy, ale bez nauczyciela poszliśmy do bóżnicy, gdzie Żydzi byli tak zajęci modlitwą, że nie popatrzyli na nas, gromadkę ciekawskich. Konfliktów nie przypominam sobie, nie było ich może dlatego, że Żydzi nie byli bogaci, ich zamożność nie raziła otoczenia. Ojciec mój i Jakub Pariser byli na pierwszej wojnie światowej, zżyli się ze sobą i wzajemnie szanowali. Ten Pariser zajmował się handlem, a jego żona prowadziła sklep tekstylny. Dzieci ich to Jan i Róża. Mieli mało ziemi, hodowali kury, krowę i kaczki. Posiadali ogród, a za osadą, pole uprawne. On sam prace polowe scedował na gospodarzy, którzy uprawiali mu ziemię, obsiewali, plony dlań zbierali i brali sobie słomę. W lasach kupował drewno, a do pozyskiwania najmował robotników, którzy furmankami wieźli je do stacji kolejowej.

Dobrze płacił, był uczciwy, więc przyjaźniliśmy się. Z nastaniem okupacji hitlerowskiej wszystko odwróciło się do góry nogami. Zaczęły się drobne szykany, potem wrogie prześladowania. W zimie z 1940/41 r. wpadło gestapo i zabijało Żydów. Polaków zmusili do wyrąbania przerębli w lodzie na stawie. Niemcy przyprowadzili przeważnie starszych Żydów, mimo –35°C kazali im się rozebrać do naga i odbyć kąpiel. Nahajami siekli i wreszcie puścili do domu. Dzieci patrzyły na tę scenę. Nie dali Żydom spokoju. Wyprowadzili ich przed bóżnicę, strzygli pejsy, robili ośmieszające fryzury. W Święta Wielkanocne mace nam nosili, a my dawaliśmy im chleb, bo oni cały tydzień jedli te mace i mieli ich dość. Dzieci chętnie jadły chleb. Z Janem Pariserem siedziałam w jednej ławce. Z tą rodziną byliśmy w najlepszej komitywie, odwiedzaliśmy się, odrabiali lekcje, bawili. Współczuli nam, gdy nasza matka zmarła w 1931 roku, pozostawiając czworo dzieci. Ojciec ich stale u nas bywał, rozmawiali o polityce. Nasz ojciec chwalił ich, podkreślał zacność i wyrozumiałość. Gdy była potrzeba, na bórg (kredyt) sprzedawali, dzieciom w sklepie potrafili doradzić. Niemcy kazali im złożyć najcenniejsze rzeczy, które samochodami wywieźli. Żydzi wcześniej o tym wiedzieli, próbowali rozdać na przechowanie Polakom, ale ci się bali i rzadko kto przyjął. Ale to najgorsze miało dopiero nadejść. 12.VIII.1942 roku Niemcy i różne formacje uzupełniające otoczyły osadę. Żydzi musieli zabrać do walizek najcenniejsze przedmioty i zebrać się na placu zwanym rynkiem. Gdy im zabierano te walizy na samochody, w lesie kończono kopanie zbiorowego grobu. Zapowiedź wyjazdu do pracy gdzie indziej była zwykłym kłamstwem obliczonym na skuteczne ograbienie skazanych już na śmierć. Pod eskortą pognali ich czwórkami do lasku. Zmasakrowane ciała przykryli gaszonym wapnem i zakopali. Egzekucja ta odbyła się w lesie w Przeczycy. Dziś stoi tam obelisk upamiętniający kaźń 160 Żydów. Podczas gromadzenia ich na tak zwanym rynku, rodzina Pariserów uciekła. Mieszkali w zaroślach nad rzeczką Jodłowianką, w ogromnym strachu. Stąd w dzień do nas przyszli i mówili: dziś Żydzi, jutro Polacy. Nie musieli długo przekonywać, ani prosić. Ojciec zdecydował: idźcie na strych! Pomyśliśmy nad zapewnieniem wam pomocy. Nakarmiliśmy ich. Ojciec przemyślał sprawę z najstarszym synem Kazimierzem. W stodole wykopali dół, podstemplowali, a z góry nałożyli snopki nad ziemię. Wychodziło się z zewnątrz tunelem wydrążonym pod przyciesią. Obok stała szopa i sieczkarnia. Szopa przylegała do stodoły. Wiadro wynosili wieczorem.

W nocy wychodzili na spacer, a nawet ogrzewali się w domu, i wówczas zawsze ktoś z nas czuwał. Dla bezpieczeństwa nie świeciło się tam. Zanosiłam im posiłki w naczyniach noszonych w wiadrze. Ciepłą strawę wieczorem i na obiad, w dzień chleb i masło. W nocy był spokój. W zimie daliśmy im pierzyny i kołdry. W granatowej policji mieliśmy znajomego, który ostrzegał o mającej nastąpić rewizji, a takie były cztery czy pięć razy. Przychodzący Niemcy i granatowi policjanci odrywali nawet podłogi. Wiedząc o takiej rewizji, Żydzi szli w nocy do Przeczycy, do domu Andrzeja Porębskiego, który dokonywał niegdyś wyrębu w lesie dla Parisera i stąd się znali. W oborze miał kryjówkę, dół koło drzwi nakryty deskami. Dół ten połączony był podziemnym tunelem prowadzącym do piwnicy na buraki i ziemniaki. Gospodarz był biedny, dlatego żywność zanosiliśmy. Po rewizji wracali do nas. Żona Porębskiego była bardzo bojaźliwa i odradzała mężowi, a i bieda nie pozwoliła na dłuższe przetrzymywanie Żydów. Zmartwiony Porębski zapewnił, że już ich nie przyjmie. Gdy znów miała być rewizja, to Żydzi kryli się w lesie.

W bóżnicy Niemcy mieli magazyn zbożowy, a domy żydowskie, przeważnie drewniane spalili. Niektórzy Żydzi pochowali kosztowności i pieniądze. Pariser po pożarze znalazł swoje pieniądze, które zakopane były w fundamentach. Wszystko przewidział. Inni potracili majątki, wszystko poszło z dymem. W czasie pobytu u nas informowani byli na bieżąco o sytuacji na frontach i w kraju. 17.I.1945 roku wyszli z kryjówki i na kolanach dziękowali ojcu za ocalenie, całowali go. Tego, co przeżyliśmy, nie da się opowiedzieć i nawet film nie potrafi oddać. Ojciec kupił u nich dwie

morgi gruntu, ale w tym celu sprzedał konia i krowę. Zależało mu na tym kupnie, bo pole przylegało do naszego. Kontrakt załatwili i wyjechali do Wałbrzycha, a następnie do USA, gdzie kształcili dzieci. Jan został reżyserem filmowym, siostra szwaczką. Jan pisuje listy, wyraża wdzięczność. Obecnie przebywa na emeryturze, ale nadal pracuje społecznie. Ciekaw jest, co u nas się dzieje, bo po wojnie bał się pisać, aby nam nie przysporzyć kłopotów, nie stworzyć podejrzeń i oskarżeń o współpracę z imperializmem. Później już mimo tych obaw, zwykle załączał parę dolarów.

Jan po wyjściu z ukrycia był pokrzywiony z powodu ciasnoty i bezruchu, braku słońca i marnego pożywienia. Ojciec jego zmarł w 1989 roku i przekazał prośbę, by syn pamiętał o nas, mimoże Jan uczył się i zajęty był swoimi sprawami. Po śmierci ojca Jan przekazał każdemu z nas po 18 dolarów jednorazowo. Obiecał załatwić stały dodatek. Prosił o pomoc w udokumentowaniu faktów, zdjęcia i wypełnienie formularzy. Wyszło na jaw, że wcześniej jego ojciec czynił starania o jakieś finansowe profity dla naszego ojca, ale listy wracały z adnotacją, że adresat jest nieznany. Jan odkrył to kłamstwo i postawił na swoim. Dopiero upadkowi komunizmu zawdzięczamy możliwość sfinalizowania tych starań. W roku 1990 wraz z ojcem byliśmy w Krakowie w Sukiennicach odebrać medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata", który wręczył nam ambasador Izraela Miron Gordon. Szybko to załatwili. Jan pisał, że w Warszawie odbędzie się konferencja. Była to Międzynarodowa Konferencja poświęcona tym, co ratowali Żydów z holocaustu. Tematem jej było: czy obojętność może zabić.

Odbyła się ona w dniach 5–7 lipca 1993 roku w Hotelu Victoria w Warszawie. Konferencja była uroczystością z udziałem wybitnych gości i młodzieży izraelskiej. Były mowy, wiersze, ja też przemawiałam. Tu dowiedzieliśmy się, że Jan przygotował nam wzruszającą niespodziankę. Nic nie pisząc o swoim przyjeździe, znienacka pokazał się. Rozpoznaliśmy się po upływie prawie pół wieku. Wszyscy płakaliśmy. Dyrektor dr Mordechai Paldiel jako naczelny dyrektor urzędu (...) w piśmie do mnie stwierdził: (...) dzięki takim

ludziom, jak Szanowna Pani i wielu innym „Sprawiedliwym wśród Narodów Świata" wiele istnień ludzkich zostało uratowanych od potwornej zagłady (...). W parku wdzięczności w Jerozolimie są drzewa, a na nich tablice z nazwiskami (...). Dodać muszę, że wszyscy posiadacze medalu kwartalnie otrzymują na swe konto w banku 90 dolarów. Dyrektor Paldiel radził mi wyrobić sobie legitymację „Sprawiedliwy..." i złożyć dokumenty o przyznanie honorowego obywatelstwa państwa Izrael. 5 kwietnia 1994 r. otrzymałam dyplom Honorowego Obywatela Państwa Izrael. Minister Oświaty Amnon Rubinstein wręczył mi go w Teatrze Wielkim w Warszawie w obecności ministra Aleksandra Łuczaka. Dyplomów takich wręczono dziewięć. Wiadomo mi, że jedna osoba z naszej rodziny ma być zaproszona do Izraela na 20 dni, ale jeszcze tego nie załatwili.

Jan przygotowuje publikację, a może i film o ratowaniu Żydów w Polsce. Prosił o zgodę na publikowanie zdjęć i nazwisk. Po wojnie byłam dyrektorką Szkoły Podstawowej w Rzepienniku Suchym (1949–1990), posiadam wiele różnych odznaczeń, w tym: Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski i Medal Edukacji Narodowej.

Prowadzę szeroką korespondencję z organizacjami żydowskimi, dokumentuję fakty, piszę wiersze o holocauście.

Wdzięczność ocalonych

Kazimierz Świerczek, ur. w 1920 r. w Jodłowej, wzbogaca wypowiedź siostry Marii. Nasza rodzina spotkała się z gorącą wdzięcznością Żydów Pariserów. Ojciec nasz Leon zmarł w 1975 roku, ale wcześniej otrzymał medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata". Ja, jako najstarszy syn i moje rodzeństwo Stanisław, Maria, Czesława dostaliśmy go znacznie później, bo w tamtych warunkach ustrojowych trudno było to załatwić.

Dwa lata temu na uroczystości z okazji 50–lecia tych wydarzeń przyjechały cztery osoby z rodziny Pariserów, które odwiedziły ma-

sowy grób w Przeczycy, kirkut żydowski na stoku Wysokiej oraz grób naszego ojca. Odwiedzili też siostrę Czesławę w Dębowej, która nie mogła pojechać do Warszawy, dokąd posłała swą córkę. Siostra, Maria, posiada spory zbiór korespondencji, dokumentów i pamiątek. Dziś Jodłowa jest wielka, ma dwie parafie. Pamiętam, że najwięcej Żydów ukryło się w Jodłowej. Tu przeżył Bercik i Chylik, choć nie jestem pewien, czy w samej Jodłowej. Trudno dziś dociec, gdyż wielu starszych poumierało. Jeszcze przed napaścią Niemców na Polskę Żydzi spodziewali się najgorszego i wyjeżdżali. Wojciech Kita wywiózł do Tarnopola całą rodzinę Szpetów, przez miesiąc go nie było, bo w powrocie przeszkodziła mu zawierucha wojenna. Uczący w Liceum Ogólnokształcącym w Jodłowej, a pochodzący z Lubczy prof. Czesław Wojewoda ukrywał skutecznie Żydówkę i otrzymał medal, ale już nie żyje, zaś syn jego, Janusz mieszkający w Krynicy lekarz, przekazał ten medal i pamiątki do izby pamięci. Ludwik Sambora przechował Żydówkę i jej syna, który dziś jest rabinem w Jerozolimie. Jakub Baran też ukrywał Żydów, ale strachliwi sąsiedzi zapewne przez nieostrożność i gadulstwo przyczynili się do tragedii. Żydów wywieźli, a jego uwięzili w Jaśle. Cudem ocalał. Obecnie mieszka w Podgórskiej Woli, gdzie się ożenił. Mieszkający pod kościołem w Jodłowej Jakub Świętoń też ukrywał Żydów, z których ocalał jeden. Ten jednak wyjechał i nie daje znaków życia. Z konferencji w Warszawie posiadam kasetę, listy od Pariserów, którzy długo bali się do nas pisać, by nam nie zaszkodzić. Córka Jana Parisera, Linda chciała koniecznie zobaczyć wybawców swojej rodziny i odwiedziła nas. Ksiądz Karaś wikary w Jodłowej ukrywał w dzwonnicy żydowskie rodzeństwo brata i siostrę, którzy przeżyli wojnę. Ksiądz Karaś już dawno nie żyje. Miałem gazetę „Myśl Społeczna", gdzie był o nim artykuł, o tym, jak na zebraniu w Olszynie, dokąd pojechał z księdzem Białkiem w misji duszpasterskiej, dementował pogłoski o tym, że Polacy pomagali w zagładzie Żydów. Zapewnił, że było akurat odwrotnie. Polacy ratowali Żydów, przyjmowali ich pod swój dach, mimo groźby kary śmierci. Dzielili się ostatnią kromką chleba, a ten szary

chleb razowy mielony był w ukryciu, bo przemiał był zabroniony. Artykuł pożyczony koledze gdzieś przepadł, a przydałby się do kroniki parafialnej. 14.VIII.1942 roku, kiedy to Żydów wywożono na rozstrzelanie, kosiliśmy pszenicę koło cmentarza. Jeden z więzionych, Heszek, poznał nas i wysoko wznosił kapelusz na pożegnanie. W drodze udało mu się uciec, choć strzelali za nim. Później opowiadał, że westchnął do Matki Boskiej Przeczyckiej i skoczył z wozu. Fakt ten odnotowany jest w kronice przeczyckiej. Jeszcze coś ciekawego przypominam sobie. Dwaj nasi krewni, Michał i Józef Lejowie kupili gospodarstwo na Pomorzu, ale z nastaniem okupacji musieli te grunta opuścić i wrócić z niczym w rodzinne strony. Bratu żony Józefa udało się pozostać u bauera. Właśnie on czytał w tamtejszej prasie, co Niemcy pisali o Jodłowej. Pisali, że prowadzili Żydów do getta, a Żydzi zbuntowali się w drodze i zmusili Niemców do użycia broni. W liście pytał, czy to prawda. Dokument ten miał ich przed światem usprawiedliwić, wybielić. W pobliskiej Lubczy ukrywała się, nie mająca cech semickich, córka młynarza, która wmieszała się w tłum wysiedlanych, chodziła do kościoła i nie zwracano na nią uwagi. Była przy tym urodziwa. Znaleźli się łotrzykowie, Burza, Dzierwa i jakiś trzeci, którzy poprowadzili ją do Jodłowej, a było to już przed wkroczeniem Sowietów. Prowadzona na rozstrzelanie na kolanach prosiła gestapowca o darowanie jej życia, buty mu całowała, niestety zastrzelił ją. Przytoczę jeszcze fragment listu Jana Parisera: „... Bardzo dziękuję za ten piękny czas, który przeżyliśmy w Polsce. Linda, Lech, Róża i ja byliśmy bardzo wzruszeni, zadowoleni, że spotkaliśmy was w dobrym zdrowiu po pięćdziesięciu latach. Nawet w TV podawali. Do łez byłem wzruszony i oszołomiony wrażeniami, poruszony dobrocią i życzliwością, a także pięknymi przemówieniami. Tak przyjmowała nas rodzina Świerczków, która wcześniej uratowała nas od śmierci. W roku 2000 w Jerozolimie mają się spotkać delegacje czterech religii z udziałem papieża. Świerczkowie i Pariserowie też mają tu być". Jako ciekawostkę podam, że w miejscowym kościele chrzczony był Agatstein, w wieku 17 lat, syn lekarza i późniejszy poeta.

Utajniony żywot

Wspomnienia dotyczą losu Żydów w okresie okupacji niemieckiej, we wsi Jodłowa, leżącej obecnie w granicach południowej części byłego województwa tarnowskiego, mniej więcej w połowie drogi Pilzno Ryglice.

W latach okupacji Jodłowa należała administracyjnie do powiatu jasielskiego. W okresie międzywojennym w Jodłowej mieszkało około 250–300 osób pochodzenia żydowskiego, utrzymujących się głównie z drobnego handlu i rzemiosła, a kilka rodzin prowadziło gospodarstwa rolne.

Mieszkali w centrum wsi, na skrzyżowaniu dróg Pilzno–Ryglice i dróg lokalnych łączących wieś Dębowa z Lubczą, zajmując niewielki obszar o zwartej, przeważnie drewnianej, zabudowie, który nazwano miastem.

Wprawdzie Jodłowa w tej części mogła korzystać z praw miejskich, o czym świadczą dokumenty, jednakże ze względu na różne obciążenia podatkowe, władze gminne zrezygnowały z praw miejskich już w 1933 roku. Mimo to, dotychczas funkcjonuje dla tej części Jodłowej nazwa „miasto".

Powracając do wspomnień o losach Żydów jodłowskich ograniczę się do okresu lat 1942 aż do zakończenia wojny. W 1942 roku, gdy kończono już żniwa, niektórzy mieszkańcy Jodłowej dowiedzieli się, dzisiaj nie wiadomo z jakich źródeł, że 12 sierpnia, tj. następnego dnia od zdobycia informacji, żandarmeria niemiecka zamierza wywieźć Żydów jodłowskich do rzekomo zorganizowanego getta w miasteczku Brzostek, miejscowości o dużym również skupisku Żydów.

Za namową niektórych jodłowian, wiele rodzin żydowskich, poinformowanych o zamiarach niemieckiej żandarmerii, opuściło w nocy swoje domy i wraz z zabranym dobytkiem ukryli się u zaufanych gospodarzy bądź w leśnych zakątkach z dala od uczęszczanych dróg i policji.

Następnego dnia, zgodnie z informacją, przyjechało kilku niemieckich żandarmów i pozostałym w miasteczku Żydom nakazano spakować swój dobytek i stawić się na rynku. Najpierw przeprowadzono selekcję. Dzieci i osoby starsze, które nie mogły iść, załadowano na podwody konne wyznaczone przez Urząd Gminy.

Pozostałe osoby, zdolne do pracy, uszeregowano w kolumnę marszową i wyruszono w kierunku Brzostka. Żydzi łudzili się, że idą do getta w Brzostku, tymczasem ostatnim przystankiem okazał się las przeczycki, rozciągający się na lewo od wspomnianego kierunku marszu, aż ku rzece Wisłoce.

W tym właśnie lesie, leżącym w granicach sąsiedniej wsi Przeczyca, niemieccy żandarmi nakazali „Junakom" (młodym chłopcom, których Niemcy brali na różne roboty) wykopać rów na kilka metrów długi i szeroki. Na szczycie wzniesienia niemieccy żandarmi skierowali kolumnę w kierunku lasu. Tutaj nakazano Żydom jodłowskim rozebrać się do naga i przy pomocy policji ustawiono po kilka osób nad dołem, a żandarm niemiecki strzelał ofierze w tył głowy i spychał do rowu. W ten barbarzyński sposób Niemcy wymordowali sto sześćdziesiąt osób. Nikt nie stawiał oporu.

Z tej grupy tylko dwoje, tj. Hersz Gelb zwany Heszkiem i Josek Lazur, zdołało się uratować, uciekając znad dołu. Wspominając to zdarzenie Heszko opowiadał, że w tym krytycznym momencie, kiedy stał już nad dołem, westchnął do Matki Boskiej Przeczyckiej „Matko Boska ratuj, to ci się opłaci" i gdy żandarm szykował się do strzału, on skoczył mu między nogi. Niemiec przewrócił się, a Heszko skoczył w pełne jeżyn i bogatego poszycia leśne zarośla. Z zamieszania skorzystał również Josek Lazur, uciekając w las. Mimo strzelaniny i pogoni, ci dwaj Żydzi zdołali uratować się przed egzekucją i przeżyć wojnę. Nagi Hersz Geib, nie wiadomo o jakiej porze, ale przypuszczać należy, że wieczorem, zjawił się u J. Nawracaja, który dał mu odzież i posiłek.

Po wojnie opowiadano, że Heszko dotrzymał obietnicy i złożył wotum dla cudownego obrazu Matki Boskiej, znajdującego się

w kościele przeczyckim, do którego właśnie w sierpniu, na Matki Boskiej Zielnej podążają liczne pielgrzymki.

Całą akcją wymordowania Żydów jodłowskich kierował żandarm Kosma z Jasła przy udziale granatowej policji z Jodłowej i żandarmerii, a egzekucji dokonywał Helmut Mentz, również z Jasła. Świadkowie tego zdarzenia opowiadali, że po egzekucji, Niemcy Kosma i Mentz nakazali zasypać zwłoki wapnem, a następnie ziemią. Podobno przez wiele dni ziemia unosiła się i opadała.

Dla pozostałych Żydów, którzy uszli z miasteczka poprzedniej nocy, rozpoczął się długi i bardzo trudny okres walki o przetrwanie.

W 1942 roku generalny gubernator Hans Frank wydał zarządzenie, zakazujące udzielania Żydom jakiejkolwiek pomocy pod groźbą śmierci dla udzielającego i jego rodziny. W powiecie jasielskim i wielu innych powiatach Generalnego Gubernatorstwa miały miejsce egzekucje na Polakach i całych ich rodzinach, właśnie za udzielanie pomocy Żydom. O tych zdarzeniach wspomina p. Mieczysław Wieliczko w swojej książce – „Jasielskie – w latach drugiej wojny światowej". Mimo najwyższych zagrożeń, aż do utraty życia, mieszkańcy Jodłowej udzielali pomocy Żydom, bądź doraźnie, gdy Żydzi przychodzili, by otrzymać coś do jedzenia, bądź też ukrywali ich w sposób tajny i zorganizowany.

Takim przykładem może być nieżyjący już p. Leon Świerczek (przechował on rodzinę Pariserów). Namówił on Abrama Parisera i jego rodzinę do ucieczki z miasta i w ową noc z 11 na 12 sierpnia 1942 roku, a i później użyczał schronienia przez cały okres okupacji, aż do wyzwolenia. Kryjówę wykopano w stodole i tam też dostarczano im żywności. Pewnego dnia, ktoś przy wódce zdradził miejsce pobytu rodziny żydowskiej i skończyłoby się tragicznie, gdyby nie informacja, która nadeszła w porę o mającej odbyć się rewizji u Świerczków (rodzina Pariserów ukryła się na ten czas w pobliskim lesie, a przeprowadzona przy pomocy granatowej policji rewizja nie osiągnęła zamierzonego skutku. Po tym zdarzeniu rodzina Pariserów nadal przebywała w kryjówce u Świerczków.

Abram Pariser ukrywał się stale u Świerczków, ale często pod osłoną nocy i to późnej nocy, odwiedzał moich rodziców, bądź to by zasięgnąć wiadomości, co się dzieje w świecie, bądź prosząc mojego ojca o przyniesienie chleba na umówione miejsce w lesie. Były to niebezpieczne wyprawy, ale ojciec podejmował je dość często. Czasem Pariser dawał ojcu do zbycia jakiś materiał ubraniowy, aby w ten sposób zdobyć pieniądze na przeżycie. Sytuacja w całym Generalnym Gubernatorstwie była niezwykle złożona. Do naszej miejscowości przybyło wielu nieznajomych ludzi, z terenów włączonych do Rzeszy, a wysiedlonych do G.G., nadto Niemcy zabierali chłopom zboże, żywiec, mleko, wszystko co było dla Rzeszy i utrzymania armii, wprowadzając tzw. kontyngenty, które w postaci obowiązkowych dostaw utrzymywały się w czasach powojennych do końca 1970 roku. Zdarzały się przypadki, że zabierano wszystko zboże, albo i ostatnią krowę. W niejednej rodzinie brakowało chleba. Stąd też trudności z wyżywieniem własnej rodziny, a co dopiero mówić o dodatkowych racjach żywnościowych dla kilku osób.

Nasz dom, drewniany i pod strzechą, znajdował się w pobliżu Urzędu Gminy i posterunku policji. Często też do Urzędu Gminy zajeżdżali trójkołowym motocyklem gestapowcy lub SS z Jasła. A stary dom drewniany z małą sienią, izba babci, i duża izba, w której mieściła się kuchnia i skupiało się całe życie domowe, był również miejscem wielu zdarzeń. Jakiekolwiek kontakty i pomoc Żydom mogły się odbywać tylko nocą.

Powracając do odwiedzin Parisera, pamiętam, że te spotkania odbywały się późną nocą przy zaciemnionych oknach. Odwiedziny te były bardzo niebezpieczne dla obu stron, a to dlatego, że ojciec i stryj trudnili się szewstwem, więc izba była zawsze pełna ludzi i to do późnych godzin wieczornych, gdyż czasami ludzie czekali na naprawienie obuwia, a innym znów razem sąsiedzi spędzali czas na rozmowach. Niebezpieczeństwo groziło jeszcze z innej strony. Dość często przychodził do naszego domu pewien policjant z bro-

nią i nieraz siedział do późnych godzin, oczekując spotkania Żydów: „Oni tu muszą przyjść", mawiał.

Pewnego wieczoru, trudno mi dzisiaj określić o jakiej porze roku, już późną nocą, ktoś delikatnie zapukał do okna, wtedy ów policjant zerwał się z krzesła, podejrzewając, i słusznie, że ktoś stoi pod oknem, ale ojciec mój, wiedząc kto to może być, uspokoił go, mówiąc, że przy oknie rośnie krzew róży, a na polu jest wiatr, więc być może gałązka mocniej uderzyła o szybę. Policjant zadowolił się wyjaśnieniem ojca i usiadł, ale rodzice moi, świadomi niebezpieczeństw, przeżyli chwile strachu.

Zdaje się, że pod koniec 1942 roku, późną jesienią, albo już zimą, ktoś zaproponował rodzicom udzielenie schronienia rodzinie Wurclów – rodzice, syn i dziewięcioletnia córka. Rodzice uświadamiali sobie trudności i niebezpieczeństwo w razie przychylnej decyzji. Przede wszystkim gęsta zabudowa, bliskość Urzędu Gminy, posterunek policji niemieckiej, a ponadto liczni ludzie, interesanci, z których każdy mógł coś zaobserwować i czegoś się domyślać. A w dodatku ta ciążąca wszystkim atmosfera strachu, która paraliżowała podejmowanie nawet koniecznych decyzji.

Mimo licznych zagrożeń zdecydowano się ukryć tę rodzinę i pomóc jej przeżyć. W oborze wykopano rów, wzmocniono jego stropy, na dnie położono deski i wyścielono je słomą, a wejście mieściło się pod deską położoną wzdłuż legowiska krowy. W ciągu dnia rodzina Wurclów przebywała w kryjówce, a w nocy wychodzili odetchnąć do obory. I tak codziennie. Pożywienie, tj. śniadanie, obiad i kolację zanosiła najczęściej mama, pod pretekstem niesienia w koszyku karmy dla zwierząt. Oczywiście, że naczynia z żywnością leżały na dnie koszyka.

Pewnego razu mama po zaniesieniu obiadu właśnie wyszła z obory, a tu niespodziewanie na podwórzu pojawił się żandarm, z jakąś jeszcze osobą towarzyszącą i ta pyta mamę „Są tu Żydzi?" Mama zaskoczona i zmieszana celnym pytaniem znalazła niespodziewanie dość siły i na pytanie odpowiedziała pytaniem „A skąd

by się tu wzięli Żydzi?" Żandarm chwilę podumał i powiedział: „a chodźmy dalej". Z przerażenia ledwo wróciła do domu.

I tak prawie każdy dzień przepełniony był lękiem i strachem, obawą przed jakimś donosem, chociaż wszystko robiło się w wielkiej konspiracji, w obawie przed rewizją żandarmów, którą ci mogli przeprowadzić w dowolnym dla siebie czasie.

I mimo wielkiej ostrożności w ratowaniu tej rodziny nie udało się przeżyć wszystkim. W lipcu 1944 roku, bo jeszcze zboża były w polu nie skoszone, nie wiadomo jakie ugrupowanie zamordowało dwóch Polaków: Czapkę i J. Nowaka oraz trzy osoby z rodziny Wurclów i ostrzyżono jeszcze jedną Polkę, która ponoć wysługiwała się Niemcom.

Opiszę to na podstawie własnych przeżyć i relacji mojego nieżyjącego już ojca. Zdarzenie to miało miejsce w noc lipcową 1944 roku. Zbudziło nas głośne stukanie do drzwi oraz wołanie o wyjście z domu mojego ojca. Ale już przed tym wołaniem ktoś z rodziców słyszał podejrzany hałas na podwórzu wokół stodoły i obory. Zaraz po wyjściu ojca z domu, jeden zapytał: „pokaż, gdzie trzymasz Żydów". Ojciec odpowiedział, że nikogo nie przetrzymuje. Wtedy jeden zaczął go bić, a inni poszli do obory szukać Żydów. Ponieważ noce lipcowe były dość ciepłe, rodzina Wurclów wychodziła często z kryjówki i udawała się poprzez sionkę i komorę, po drabinie, na taką nadbudowę nad stajnią, w której składowano siano, czasem słomę. Tej nocy tam właśnie byli i gdy usłyszeli podejrzany hałas na podwórzu, przestraszyli się i zaczęli szybko schodzić, udając się do kryjówki. Właśnie w czasie przejścia przez sionkę zginęła zastrzelona p. Wurclowa, a jej małżonek wraz z jedenastoletnią już córką zostali zastrzeleni na podwórzu. Ta właśnie dziewczynka żydowska była ostatnią ofiarą, a jej przerażający krzyk, czy raczej pisk, słyszę jeszcze do dziś.

Tylko syn Jankiel Wurcel uratował swoje życie, wskakując w tej komorze do pustej beczki po zbożu, nakrywając się jakimiś starymi workami. Mimo że partyzant świecił latarką elektryczną, jak opowiadał p. Jankiel, nie zauważył niczego podejrzanego i od-

szedł. To była okropna noc, zamordowano pięć osób, w tym dwóch Polaków i troje Żydów. Komu potrzebne były te ofiary i w jakim celu dokonano tak zbrodniczego czynu?

Po wyzwoleniu w 1945 roku ekshumowano zwłoki pomordowanych Żydów i pochowano na cmentarzu żydowskim. Społeczeństwo w większości potępiło zbrodnicze postępowanie partyzantów. Również nadrzędna jednostka, nie pamiętam jakiego ugrupowania w Jaśle, potępiła zbrodniczy czyn w drukowanym obwieszczeniu powieszonym na lipie przed kościołem parafialnym, przypominając, że Żydzi są obywatelami polskimi i korzystają w pełni ze wszystkich praw obywatelskich.

Wymordowanie rodziny Wurclów było nie tylko hańbą i naruszeniem praw obywatelskich, ale stwarzało realne i śmiertelne zagrożenie dla całej naszej rodziny, w wypadku, gdyby wiadomość o udzielaniu pomocy Żydom dotarła do gestapo w Jaśle. Do dzisiaj nie znajduję motywu tej zbrodni, bo czy można zabijać człowieka tylko dlatego, że przylega do niego taka czy inna nazwa etniczna lub rasowa?

Opisując fakty, których doświadczyłem w jakiś sensie osobiście, jako kilkunastoletni chłopiec, odbiegłem nieco od zdarzeń wcześniejszych, a równie tragicznych.

Zdaje się, że zdarzenie to miało miejsce w 1942 roku. Jesienią tego roku przebywał u nas i u innych znajomych parę dni Shija (Szija – tak go nazywano). W okresie przedwojennym i na początku wojny utrzymywał się z drobnego handlu, sprzedawał nici, igły, kamyki do zapalniczek, a skupował masło, jajka, zarabiając w ten sposób na życie. Był wysokim mężczyzną w wieku około pięćdziesięciu lat, nosił czarny płaszcz i czarny kapelusz oraz długą i nieco siwą już brodę. Po zagładzie jodłowskich Żydów chodził po znajomych domach, ufając, że nic mu nie grozi. Ale zbliżał się szabat, Shija chciał zapalić świeczki, jak to czynili wszyscy pobożni Żydzi, poszedł więc do znajomych, u których zostawił podobno świecznik. Tam właśnie, wskutek czyjegoś donosu, dopadli go żandarmi „granatowi". Kilka dni przebywał w miejscowym areszcie, mając do

końca nadzieję, że zostanie uwolniony, niestety, pewnego przedpołudnia wyprowadzono go do niewielkiego lasku i tam zastrzelono, oddając pięć strzałów.

Wspominam tę osobę z powodów bardzo osobistych. Również w 1942 roku zginęli członkowie orkiestry żydowskiej i jeszcze inni Żydzi. W obawie przed policją niemiecką kilkuosobowa grupa Żydów ukrywała się w lasach w okolicy Wisowej (jest to przysiółek Jodłowej, porośnięty lasem z licznymi wąwozami, ostępami leśnymi, oczywiście zamieszkały, ale oddalony od centrum wsi około cztery kilometry). W tej grupie znaleźli się znani i bardzo bliscy mieszkańcom Jodłowej, miejscowi Żydzi orkiestranci, których nazywano „Moskami", a po imieniu to Icek pierwsze skrzypce, Mendel, brat – sekundzista i Chaim też brat bębnista. W okresie międzywojennym grali na wiejskich zabawach i weselach.

Pewnego dnia, trudno dzisiaj o dokładną datę, pogoda wyraźnie się popsuła, zrobiło się zimno i padał ulewny deszcz, co zmusiło wspomnianą grupę Żydów do wyjścia z lasu i schronienia się w niezamieszkałym domu, położonym w pobliżu drogi wiodącej ku Wisowej. Niespodziewanie dom został otoczony przez niemiecką żandarmerię, granatową policję i wszystkie osoby znajdujące się tam zostały wyprowadzone na zewnątrz. W pewnej chwili Icek zaczął uciekać. Nie zdołał jednak ujść daleko. Postrzelony w nogę upadł i został ujęty. Nie mogąc jednak iść razem z pozostałymi Żydami z powodu odniesionej rany, został zastrzelony i pochowany w pobliskim zagajniku.

Pozostałe osoby niemieccy oprawcy popędzili w kierunku miejscowego posterunku policji, gdzie po niedługim pobycie w areszcie zostali zastrzeleni. Tak oto zginęli w 1942 roku cieszący się sympatią jodłowian żydowscy orkiestranci.

A oto inny przypadek, który zdarzył się już w 1943 roku. Granatowy policjant prowadził na rozstrzelanie pochwyconego Żyda, młodego człowieka Szermera i zastrzelił go na łące w pobliżu lasu. Przestraszone strzałem Żydówki – matka z córką, ukrywające się w lesie, zaczęły wybiegać z lasu na puste pole, chcąc przebiec do

następnego lasu, oddzielonego tylko niewielkim pasem pól uprawnych, aby tam znaleźć bezpieczne schronienie. W pewnym momencie znalazły się w polu widzenia policjanta, który celnymi strzałami zamordował je. Mieszkającym w pobliżu gospodarzom żandarm niemiecki nakazał pochować w lesie pomordowanych Żydów.

Ujęci przez policję niemiecką Żydzi: Kanarek – wójt gminy żydowskiej i Perycz również zostali zastrzeleni na łące plebańskiej. Trudno było ustalić, w jakich okolicznościach zostali schwytani przez policję. Podczas bardzo możnej zimy w 1943 roku zdarzył się i taki wypadek, że pewna matka żydowska wraz z czteroletnim dzieckiem, nie znajdując schronienia w domu, zamarzły na śmierć pod jakąś szopą.

A oto inne zdarzenie – prawdopodobnie miało miejsce wczesną wiosną 1943 roku – nie udało się ustalić daty tragicznej śmierci młodej dziewczyny żydowskiej. Owa młoda osoba ukrywała się przez dłuższy czas w sąsiedniej wsi Lubcza u jednej z tamtejszych rodzin. Posiadała nowe dokumenty i uchodziła za Polkę – członka rodziny. Była córką bogatego Żyda z Tarnowa o nazwisku Szancer, właściciela wielkiego młyna, u którego w okresie międzywojennym jodłowscy piekarze – Żydzi i sklepikarze nabywali mąkę. Dziewczyna ta, mając podrobione dokumenty czuła się dość pewnie i wierzyła, że przetrwa koszmar wojny. Według relacji pewnych osób, bywała również w Jodłowej. Widywano ją tam ponoć w towarzystwie osób krótko goszczących u jakiejś rodziny wysiedlonej i zamieszkałej na terenie Jodłowej. Policja niemiecka wpadła jednak na jej trop, została odkryta i aresztowana w Lubczy.

Natychmiast przewieziono ją do Jodłowej i bez jakichkolwiek skrupułów, mimo jej próśb i błagań, zastrzelono ją w pobliżu ścieżki na tzw. jazie – tj. przystawie na rzece, żeby wodę można było skierować na koło poruszające młyn i tartak.

Żandarm granatowej policji nakazał pochować ją w miejscu rozstrzelania. Wobec protestu właściciela działki, zwłoki ofiary zostały przewiezione na cmentarz żydowski, znajdujący się w lesie na Wisowej.

Pisząc tylko o samych tragicznych przypadkach mordowania Żydów jodłowskich, ukazałem obraz niepełny, ponieważ większość osób, które owej pamiętnej nocy z 11 na 12 sierpnia 1942 roku uciekły z miasta i uniknęły śmierci w lesie przeczyckim, przechowała się wśród Jodłowian i doczekała szczęśliwie upragnionej wolności. Oprócz wspomnianych już: rodziny Parisera i J. Wurcla, przeżyło wojnę dwoje dzieci żydowskich z rodziny Gimpel, rodzeństwo, brat i siostra (14, 15 lat). Ukrywali się przez długi okres pod dachem starej dzwonnicy, przy kościele jodłowskim. Między dzwonnicą a murem otaczającym obejście kościelne jest niewielka przestrzeń zabudowana i pokryta dachem. Składano tam różne przedmioty kościelne, jak stare konfesjonały, katafalk, świeczniki itp. I tam właśnie ulokowano dwoje dzieci żydowskich, oczywiście za wiedzą ówczesnego proboszcza, ks. J. Starzaka i jego wikariusza ks. Karasia, który donosił im żywność w ciągu dnia. Całe to zdarzenie opisał ks. Karaś w czasopiśmie „Myśl Społeczna" w 1968 roku, pracując już w parafii, w diecezji olsztyńskiej. Ogółem przeżyło w Jodłowej ponad trzydzieści osób pochodzenia żydowskiego, przynajmniej o takiej liczbie mówiło się zaraz po wojnie. Obecnie doliczyłem się siedemnastu osób. Są to: rodzina A. Parisera – cztery osoby, Jankiel Wurcel – 1, Izaak Wurcel – 1, Rachela z Wurclów – 1, Szimowa – 1, Gimpleta – 2, Zygfryd z córką – 2, Hersh Gleb – 1, Berkowa z córka i synem 3, Perec – 1.

Ks. J. Mleczko w swojej książce – Jodłowa – przeszłość i teraźniejszość, podaje jeszcze inne osoby i nazwiska jodłowian, którzy ukrywali Żydów w okresie okupacji niemieckiej. Nie udało mi się jednak dotrzeć do wszystkich możliwych informatorów, by opisać warunki życia Żydów w tamtym czasie. Wiadomo jednak powszechnie, że przeżyli dzięki pomocy społeczeństwa polskiego, które mimo wielkich zagrożeń, bo aż do utraty życia, niosło pomoc potrzebującym. I mimo iż zdarzały się wypadki, że chciwość bądź strach wzięły górę nad zwykłym ludzkim odruchem i że wydawano Żydów, to jednak zdecydowana większość potępiła czyny zbrodnicze tych osób i całą niemiecką politykę wyniszczenia narodu żydo-

wskiego. Nawet ci, którzy dopuścili się haniebnego czynu w okresie okupacji, można przypuszczać, że nie zrobiliby tego w normalnych warunkach. To wojna stępiła ludzką wrażliwość.

Obecnie nie ma Żydów w Jodłowej. Po wojnie ci, którzy ją przeżyli, nie mając bliskich, ani własnych domów, wyemigrowali początkowo do miast, a w następnych latach do Ameryki bądź do Izraela. Od niedawna rząd Izraela wprowadził odznaczenie „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata" dla tych osób, u których rodziny żydowskie bądź poszczególne osoby przeżyły wojnę. W Jodłowej taki zaszczyt wyróżnienia przypadł p. Janowi Świerczkowi.

mgr J. Świętoń

Było nam ciężko

Stanisław Sambora z Jodłowej pamięta, jak jego rodzice także ukrywali żydowskie rodziny Furmanów, Tomaszewskich i kilku innych Żydów z Przeczyc.

Niewiele pamiętam z tamtych lat, bo byłem wtedy mały. Nie mogę także nikogo więcej zapytać ze starszych, bo większość o tym nie wiedziała. Jeżeli chodzi o tych Żydów, to męża Mośkowej zabili Niemcy. Ona z synem Abrahamem i córką jej siostry przeżyli. Ich rodzice i pozostałe rodzeństwo zginęli. Została także Lajka. Przechowywaliśmy ich w bardzo ciężkich warunkach prawie trzy lata. Nie było nam lekko, jak przyszli do nas, jesienią 1942 roku. Było to jeszcze przed wykopkami. Odeszli, jak się już wszystko unormowało, ale już nie pamiętam, czy w maju, czy w czerwcu 1945 roku. Najgorsze były lata 1944 i 1945. Jak pamiętam, to Niemcy prawie każdej nocy szukali po gospodarstwach Żydów, gdyby ich u nas znaleźli, to wiadomo co by było. Byli u nas prawie rok wysiedleńcy z Przeczyc: rodzina Furmanów – pięć osób, Tomaszewscy – także pięcioro, była pani Gacek z Nawsia Brzosteckiego. Była ona panną. Rodzice jej zginęli od kul niemieckich. Później Żydów była jeszcze

trójka, a nas w domu czworo dzieci, w tym dwoje z pierwszego małżeństwa naszej mamy. Mieszkali także z nami rodzice mamy i babcia. W sumie więc było nas w domu osiemnaścioro. Kiedy doszła jeszcze ta trójka Żydów, było dwadzieści jeden gąb do wyżywienia. Nieraz i kartofli brakowało. Część tych Żydów wychodziła nocą do swoich domów, których im Niemcy nie zabrali. Przechowywani byli w bunkrze w stajni i tam cała ta nasza trójka siedziała całymi dniami. Na pokrywie leżały dyle takie jak podłoga. Gdy Niemcy nadchodzili, to rodzice wypuszczali prosiaka, albo cielę, a te dodatkowo robiły hałas i nie można było odkryć tych Żydów. Dopiero nocą wychodzili. Pod koniec wojny już sąsiedzi zaczęli nas podejrzewać, że przechowujemy Żydów. Kiedyś rano wpadli Niemcy za chłopami, których chcieli zabrać do robót frontowych. Zabrali wtenczas moją siostrę Teresę na front do Gogolowa. Była tam około dwóch tygodni i pracowała w kuchni. To była bardzo ładna dziewczyna i Niemcy nie zrobili jej krzywdy. Wracając z jednym Niemcem do domu, została ranna w głowę, ale niemieccy lekarze wyciągnęli ją i wyleczyli w szpitalu wojskowym w Jodłowej. Niemcy pokazywali się u nas coraz częściej, ale chyba dzięki cielakowi, który skakał po bunkrze, Żydów nie odkryli. Jak przeszedł front i wszystko się skończyło, to nie wiem, co się z tymi Żydami dalej działo. Dwa lata temu moja siostra Maria starała się o jakieś wynagrodzenie, ale przyznali je tylko rodzicom i najstarszej siostrze, która mieszka w Jeleniej Górze. My byliśmy za młodzi. No ale taki jest świat. Nie wiem, czy którykolwiek Żyd poświęciłby się, by ukrywać polską rodzinę, narażając wszystkich swoich i cały swój dobytek. A przecież gdyby Niemcy nas złapali, to zginęłoby dwadzieścia jeden osób. Myślę, że wprawdzie ta starsza Żydówka nie żyje, bo zmarła rok temu w Palestynie, ale jej syn, który jest nauczycielem i Lajka, powinni poczuć się do jakiejś przyzwoitości.

Shoah w Jodłowej i w oczach jodłowian

ks. Jan Mleczko
Przeszłość i teraźniejszość Jodłowa 1974 (1989)

W listopadzie 1985 r. Telewizja Polska pokazała obszerne fragmenty głośnego i szeroko omawianego w polskiej prasie filmu Claude Lanzmanna Shoah. Fragmenty dały tylko częściowe wyobrażenie o całości tego dzieła filmowego, którego realizacja trwała 11 lat. Nakręcono 350 godzin materiału, a na wyświetlenie złożono materiał na 9 i pół godziny. Film ma wyjątkowo polski aspekt. Miejscami zagłady (shoah – zagłada) były Oświęcim, Treblinka, Chełmno, Bełżec, Sobibór. W dyskusji telewizyjnej nad filmem Shoah zauważono, że nie ma podstaw, by kwestionować autentyczność zarejestrowanych wypowiedzi chłopów i że wypowiedzi chłopów mają nieraz wydźwięk antysemicki. Tendencyjność C. Lanzmanna polega na tym, że dopuszcza takich tylko polskich świadków, którzy odpowiadają jego założeniu.

Raul Hilberg autor amerykański dzieła 4–tomowego o zagładzie Żydów formułuje tezę filmu Lanzmanna w trzech fazach antysemityzmu:

1. Żydzi nie mają prawa żyć wśród chrześcijan jako Żydzi – stąd przymusowe nawracanie ich na chrześcijaństwo;
2. Żydzi nie mają prawa żyć wśród chrześcijan czy aryjczyków, stąd zamykanie ich w gettach lub exodus;
3. Żydzi nie mają prawa w ogóle żyć, a więc zagłada.

Twierdzi dalej Hilberg, że w gruncie rzeczy Hitler nie wymyślił niczego nowego poza organizacją i techniką eksterminacji.

W odniesieniu do Polski tezy Lanzmanna brzmią tak: obozy zagłady zostały zlokalizowane na terenie Polski – bo Polacy byli antysemitami i Niemcy ponoszą współodpowiedzialność za zagładę Żydów.

Jerzy Turowicz w Tygodniku Powszechnym potwierdza, że antysemityzm w Polsce lat międzywojennych był grzechem społecznym. Polacy widząc, do czego może doprowadzić antysemityzm, winni przeprowadzić głęboki rachunek w odniesieniu do grzechu antysemityzmu. Niemniej twierdzi on dalej, że oskarżanie Polaków o współodpowiedzialność za zagładę Żydów jest absolutnie bezpodstawnym wprost absurdem. Rasistowski antysemityzm III Rzeszy pochodził z teorii o nierówności ras, o wyższości rasy germańskiej, nie ma korzeni religijnych czy chrześcijańskich – był antysemityzmem pogańskim.

Postanowiłem zmobilizować opinię Jodłowian. Zwróciłem się z prośbą o pomoc w przepracowaniu sprawy shoah w Jodłowej. W odpowiedziach licznych słownych i pisemnych nie za długich opracowaniach wyszedł następujący obraz, który rzetelnie i z odpowiedzialności, by czego nie zafałszować, przedstawiam.

Jodłowa rozwijała się na statucie miasteczka – dopiero w 1933 r. zrzekli się Jodłowianie – bo podatki zwłaszcza za służbę rolną (parobki) bardzo im dokuczały. Były jarmarki, kwitł handel. Okoliczne wsie zaopatrywały się tutaj w towary powszedniego użytku. Żydzi już od dawnych czasów zajmowali się handlem. Tutaj w samym centrum urządzili sobie osiedle. Jak podaje jedna z ankieterek, w środku Jodłowej powstało miasteczko, w którym mieszkały same rodziny żydowskie. Również na wsi Dolnej czy Górnej było kilka rodzin i domów żydowskich. Żydzi zajmowali się przeważnie handlem. W centrum (w mieście – tak mówiono i do dziś się jeszcze mówi – miasto) było kilka sklepów żydowskich spożywczych i mieszanych – trzy sklepy bławatne: Mosiek – Paryzer – Kanarek. Były trzy karczmy: Uszer – Ferlaga – Chyl – Lerchsupt. Jedna tylko rodzina żydowska Janklów trudniła się rolnictwem i małą hodowlą. Żydzi jako ekspedienci w handlu byli bardzo uprzejmi, także dla chłopów. Ci przesiadywali u nich a nawet kobiety w szynkach. Żydzi im chętnie borgowali sprzedawali na kredyt, a potem gdy nie miał kto oddać zaciągniętego kredytu, w sądzie wygrywali proces (słyszałem, że za Piłsudskiego z Żydem nikt nie wygrał). Po wygra-

nym procesie zabierali chłopom ziemię. Kasami i bankami zawiadywali Żydzi.

Nie od rzeczy będzie, gdy wspomnę o latach dziewięćsetnych (1900–1905). Żył w Jodłowej gospodarz samouk – z amatorstwa pisał wiersze – Józef Nocek. W 1908 r. nakładem Księgarni Kubaczek i Lang w Bielsku Białej wydał drukiem zbiór wierszy Z serca pod siermięgą. Egzemplarz znajduje się w Bibliotece Ossolineum we Wrocławiu pod sygnaturą 127971. W 1921 r. przeniósł się do Ryglic. Zmarł 11.XII.1955 r. w Ryglicach.

W zwyczajach ludu wiejskiego i jego obyczajach w Jodłowej w czasach popańszczyźnianych (Ryglice 25.IX.1949) zamknął swoje przeżycia i myśli co do sprawy żydowskiej takim epizodem. Cytuję:

Nie byłby dokładny obraz wsi, gdybyśmy nie wspomnieli o Żydach osiadłych w Jodlowej. Na pewno jeszcze długo za pańszczyzny dziedzice osiedlili ich w pobliżu dworu centrum, gdzie się krzyżują drogi z Lubczy, Jasła, Tuchowa i Pilzna.

Dwór budował im karczmy i zwalniał od pańszczyzny. Mimo że dziedzic ich nienawidził, późniejsi nabywcy Żydów tolerowali, z nimi interesa robili, bo Żydzi mając talmud do warunków życiowych ułożony i na oszustwie narodów wyrośli od wieków, umieli się dostosować i do czasu i do warstw społeczeństwa także i w Jodłowej.

Umieli być pokorni wobec władz, dziedzica, zamożnych gospodarzy, natomiast brutalni byli dla wyzyskiwanych.

Chłopi przesiadywali w karczmie, tam im nawet żony jeść nosiły – pili na kredyt, na przednówku brali od niego stęchłą mąkę, zgniłą kukurydzę i nic nie pisali, bo nie umieli tylko pamięciowo pamiętali. Żyd zaś pisał i przepisywał. W jesieni brał od chłopa zboże, kury, masło, ale tego nigdy nie wystarczało. Były po tym skargi, Żyd wygrywał, bo miał zapisane gospodarza jeszcze zniszczył i rezultat był z tego, że go z gruntu wyrzucił i dzieci na służbę. Ojciec z matką na żebry, a później do Ameryki. Wódką chłopów truł ... ponadto dodawano do wódki na wzmocnienie ałunu wapnia i Bóg

wie czego. Jak się wypiło takiej chary, to człowiek był chory, palenie gardła, wymioty, nieraz śmierć.

Miałem raz taki wypadek. Już z Ryglic pojechaliśmy z żoną i córką na odpust do krewnych w Jodłowej. Miałem wódkę swoją i piliśmy. Gdy brakło, posłaliśmy po wódkę do Hiela zehrchapta, bo on miał tajemny szynk i do niego było najbliżej. Pytał się komu. Powiedziano, że Nockowi. To wystarczyło dla niego, aby się na mnie pomścić, bo byłem najzacieklejszym wrogiem, za to, żem się mu nigdy nie dał oszukać. Gdy przyniesiono, skosztowałem, otrząsło mię i żonę, tak że tego więcej nie piliśmy. Ale krewni byli podchmieleni, wypili wszystko. Za mały czas, może 20 minut wszystkich objął jakiś obłęd, zaczęli skakać, tańczyć, przewracać się, tak się zamroczyli i oszołomili, że nas nie poznali ani siebie wzajemnie. My zostawiwszy córkę, by w razie jakiegoś wypadku sąsiadów zaalarmowała – pojechaliśmy. Chciał mię ten szubrawiec struć.

Sklepu katolickiego nie było, a później, gdy założono Kółko, nędznie egzystowało. Ja go później prowadziłem do wybuchu wojny światowej i mocno żałowałem tego kroku. Trzeba było u Żydów kupować towar – Żydzi mieli własne fundusze do walki z handlem katolickim, kupowali towar taniej – klientów na wadze i miarze oszukiwano. Gdy w piątek wieczór, sobotę weszło się do miasta otoczonego drutami, miało się wrażenie, że się jest w Jerozolimie. Sklepy pozamykano, rajwach po domach, świeczki palące się na każdym stole. Żydzi ubrani w pasiaste płachty, nie pokazuj się tam biedny katoliku.

Raz mię posłał ojciec po tytoń do fajki rano w sobotę – to jak stary Żyd skoczył z łóżka, jak mię chwycił za kark, skopał mię i tytoniu nie dał, bo on ma szabat.

Pisze dalej Józef Nocek. Literatura ludowa musi i ten zaropiały, gnijący wrzód zabijający naszych ojców, ten garb społeczeństwa – mimo że Żydów dziś już w Jodłowej nie ma – rozciąć i tę zgniliznę moralną pokazać młodemu pokoleniu.

Pańszczyzny już nie ma i dziedziców nie ma, pisze się o ich złych stronach – czemu o Żydach i macherstwie oszustwie nie moż-

na pisać. Każdy wnuk, którego dziadek został pokrzywdzony przez Żyda – winien to opisać i do publicznej podać wiadomości. To temat niewyczerpany. Gdy gospodarze w 1905 r. postanowili wybudować Dom Ludowy – uchwałą rady gminnej już zgromadzono budulec w lesie, to spalił je w lesie – Żyd – by do dzieła nie doszło. Dopiero w 1927 r. wybudowano Dom Ludowy, który uległ pożarowi zaraz po II wojnie, Żydów już nie było. Zbyt długo zatrzymaliśmy się przy Józefie Nocku, ale tylko dlatego, że sprawa nie tylko Jodłowej, ale podobnych także osiedli.

Wracam do lat międzywojennych – mając na uwadze nastroje lat przed pierwszą wojną – jak układało się życie między katolikami a Żydami.

Opisuje Franciszka Zając z Jodłowej lata dziecinne. Miałam w sąsiedztwie trzy koleżanki Żydówki, trzech kolegów Żydów, nazwiska ich: Mina Mahrer, Zemu Szermer, Rózia Szpet, Moses Lerchaupt, Natan Mahrer, Anbram Szpet. Razem chodziliśmy do szkoły 3 km, razem się bawiliśmy. U Mindzi chowały kozę, którą Mindzia pasała z naszymi krowami.

Pamiętam jak my obie śpiewały na polu pieśni. Najbardziej lubiła Po górach dolinach – musiałam ją jej nauczyć. Czasem zostawała ze mną na religię. Mialam ochotę wciągnąć ją w naszą wiarę, ale ona bała się matki, która jej powiedziała, że musi wierzyć w to, co jej przekazali rodzice.

Pamiętam w miasteczku (centrum) bożnicę. Gdyśmy wracały ze szkoły patrzyłyśmy przez okno, jak modlą się Żydzi. Ubrani w pasiaki na plecach, na czole przepaski, śpiewali i kiwali się przed posągiem, który stal na środku. Mindzia mówiła, że to Mojżesz. Mówiła także, że u nich do bożnicy chodzą tylko Żydzi – niewiasty chodzą na wielkie święta jak kucki lub sądny dzień. Na kucki budowali szałasy z jedliny i tam się modlili i jedli postne mace, barszcz burakowy kiszony. Oto ich przysłowie: Jidz go chleb przyjdź po mace, bo go Żydek bardzo place. A po kuckach mawiali: Jydz go mace przyjdź go chlyb bo go Żydek bardzo zbidł. Albo: Proście dzieci Boga, by was więcej było, żeby jedno drugie na rękach nosiło.

Za kilka lat później... ukończyłam 7 klasę. Chciałam iść dalej na studia, ale rodziców nie było stać, by mię posłać do gimnazjum w Tarnowie, chociaż mieli 20 morgów ziemi.

Wstąpiłam do Koła Młodzieży Żeńskiej. Ideą naszej organizacji była praca nad podniesieniem oświaty, kultury na wsi z patriotyzmem związana. Wyniszczona przez wojnę Polska nie mogła się podnieść – bieda na wsi. Zdrowi i silniejsi wyjeżdżali za chlebem do Ameryki lub na Saksy. Cały handel – hurtownie były w rękach żydowskich. Dla gojów nie było pracy. Naszym zadaniem w Kole było podjąć walkę o dobro społeczeństwa polskiego, ująć w ręce handel, zakładać sklepiki i sklepy – w miastach Hurtownie Kupców Polskich – propagować swój do swego po swoje – katolik kupuje u katolika – posługiwano się nieraz szykanami.

Obserwowaliśmy w jarmark kobiety, które wychodziły z towarem od Żyda – zręcznie przypinaliśmy na ich plecach kartki: Ta świnia kupiła u Żyda. Nie łatwo było osiągnąć cele – bowiem Żydzi mieli hurtownie, prowadzili handel zagraniczny, a inni drobni, jak Sija z żoną czy Berkowa i inni, chodzili po wsi i kupowali wszystko – powiada inny ankieter. Mieli nawet podzieloną wieś na rejony, w których cały handel prowadzili i nie można było katolikowi się wśliznąć. Próbował nasz gospodarz Jan Kita, ale znów hurtownicy płacili Żydom wyższe ceny.

Byli w Jodłowej muzykanci Żydzi: Ocek, Mendel, Mościyk mośkami ich nazywano. Oni grali na wszystkich zabawach weselach – tuż przed druga wojną zaczęli z nimi konkurować nasi muzykanci Lechy, Jelenie.

Wieczorami schodzili się sąsiedzi. Kobiety skubały pierze lub przędły len. Gospodarze opowiadali różne dzieje z wojny i o duchach, strachach, czytano książki. Przychodził czasem Żyd Apel z żoną Salcie i pamiętam jak mówił: w księgach mamy zapisane, że jakaś wielka zagłada ma przyjść na Żydów, ale ani oni ani ich dzieci tego chyba nie dożyją. Nie uszło 2 lata, a Hitler wszedł grabieżco do Polski. Żydzi jodlowscy coś przeczuwali już w 1937 r. po trochu sprzedawali ziemię i domy – wyjeżdżali z Jodłowej.

Powiada dalej Franciszka Zając: ja też kupiłam w sąsiedztwie dom z ogrodem u Pesli Mahrer – wyjechał do Tarnowa – tam było wielkie skupisko Żydów. Mindze podobno zaraz wyszła za mąż i wyjechała z mężem do Rosji.

Nie wyjechali wszyscy. Trudno mi zebrać konkretny materiał, wszyscy korespondenci opowiadają, a dokładnie już nie mogą. Pamięć ludzka zawodna – dlatego podjąłem się tej pracy, by jeszcze strzępy od zapomnienia ocalić.

Mieli swoją gminę w Jodłowej Kahał – przewodniczącym był Dawid Kanarek – mieli bożnicę. Ile wiernych miała gmina żydowska? Nie ma nigdzie notatek, nawet w parafialnych aktach nie ma. Było ich ponad trzysta, a mniej niż 500 tak opinia przedstawia. Zajmowali centrum – mieli położenie dogodne.

Przeczycy na cmentarzu zagłady las – spoczywa rozstrzelanych w 1942 r. 160. Wyjechało kilkudziesięciu – kilkudziesięciu uciekło w czasie egzekucji po sąsiednich wsiach, albo ocaleli ratując się albo wydani czy odszukani rozstrzelani kilkadziesiąt uratowało się, przeżyło wojnę, ale o tym później.

Gdy Niemcy wkroczyli we wrześniu 1939 r. do Polski i Jodłowej – z miejsca zaczęła się gehenna żydowska. Już w pierwszą niedzielę września pojawił się nowy prorok Volksdeutch Józef Okarma – odsunął sołtysa – wójta Lecha Andrzeja z całą bezwzględnością korzystał z władzy – obok niego stał żołnierz niemiecki, a on od pomnika ogłaszał zarządzenia Führera. Sołtys bębnem zwoływał Żydów, a Okarma Józef ogłaszał. Zaczęło się od golenia pejsów (fryzjer urzędowy Adam Warzecha Chadamek za 2 zł), porządki na mieście i praca na roli.

Dotąd Żydzi w pracy fizycznej na roli wyręczali się gojami katolikami – teraz musieli nawet na gospodarstwie J. Okarmy pracować – uczył ich jak należy posługiwać się motyką przy kopaniu ziemniaków.

Zdemolowano bożnicę – księgi święte na placu spalono, a Żyd Luzer mieszał sztachetą i przewracał, by się doszczętnie spaliły. Jeden z Żydów do Leona Świerczka powiada: Taką świątynię rozebrać to zgroza – jak się Boga nie boją – co za czasy nastały. Wtenczas indagowany zapewnia: nie martwcie się, po wojnie lepszą murowaną sobie postawicie. Wtenczas Żyd: jak przeżyje dwu lub trzech – to komu będą stawiać. Żydzi byli jacyś zdeterminowani – wierzyli w zagładę i nie bronili się.

Brano ich na przymusowe roboty do Pustkowa – tam ich wykańczano. Wozili ich samochodami – kazali im śpiewać; jak mamy śpiewać, skoro w sercach mamy gwoździe. Gdy nie chcieli śpiewać, szofer wychodził na wóz – bił i musieli śpiewać:

Jak panował Rydz,
– nie robiliśmy nic,
a teraz przyszedł Hitler złoty,
nauczył Żydków roboty.

W czasie mrozu urządzono im kąpiel w stawie – zamrożono wtenczas dwu starych. Ustał handel. Wielu zlikwidowało interes – rozmieszczając towary u ludzi – wielu nieuczciwych zagarnęło mienie ... niestety było tak – zaparli się albo nawet z chciwości – gdy Żydzi upominali będąc w biedzie ukrywając – to ich donosili – policja likwidowała (Berek i wielu jeszcze). Po tych łakomczuchach jak podaje Kazimierz Świerczek – dokładnie orientujący się w tych sprawach – nic już nie pozostało. Pan Bóg pomścił krzywdę krzywdzonych.

W pamiętny dzień 12 sierpnia 1942 rolnicy kończyli spóźnione żniwa. Wywleczono wszystkich, którzy byli – ukrywał się także jeden z profesorów z Łodzi – z domów – utworzono kolumnę, która przemaszerowała przez Jodłową Dolną na granicę do Przeczyckiego lasu – słabych, kaleki, dzieci wiozły dwie furmanki.

Opowiadał jeden z furmanów: gdy ich dowieziono tam, nad jednym dołem kazali się rozebrać do naga i strzelali jednego po drugim, spychając do dołu. Widział jak postrzeleni w dole się rzucali, chcieli się wydobyć, to ich żywcem nieodbitych wapnem zasypywali i ziemią.

Dwu Żydów Heszko i Lejba nago uciekli i ocaleli. Heszko zawołał: Matko Boska Przeczycka ratuj mnie i dał nura w las ... strzelali za nim – kula nie dosięgła – ocalał, bo ludzie pomogli – wyżywili. Po wojnie złożył wotum do Przeczycy.

W latach 50–tych jodłowski ZBoWiD postawił pomnik kamienny ofiarom hitlerowskiej zbrodni, z napisem wymieniającym 160 ofiar. Wykazu zamordowanych nie ma i nigdzie nie znajdziesz uciekło też z pamięci żyjących. W wądole lasu przeczyckiego spoczywają kości pomordowanych. Raz w roku z Jodłowej udaje się grupa harcerzy i młodzieży szkolnej, by przypomnieć, czym był hitleryzm.

Na Jodłowej zawisł strach, każde użyczenie pomocy Żydom groziło śmiercią przez natychmiastowe rozstrzelanie i spalenie gospodarstwa, czego doświadczyło kilku gospodarzy (Filipiak).

Połowa Żydów została – oczywiście wcześniej zbiegli i ukryli się – bo ostrzeżeni – wiedzieli, czym taki wywóz pachnie bowiem Niemcy nigdy prawdy nie mówili... kazali się ubrać i włączyć do szeregu – bo udają się na lepsze miejsce – inni w samą noc przed egzekucją 10 i 11 sierpnia zwiali do lasu... Teraz wychodzili i szukali schronienia – jakiś czas ukrywali się w dzwonnicy przy kościele za wiedzą ks. proboszcza Jana Strzaka z opieką ks. Jana Karasia. Rodziny żydowskie kryły się w stodołach, szopach gospodarzy, za ich wiedzą i dokarmianiem... Wielu kryło się w zaroślach, gąszczach leśnych na peryferiach Jodłowej. Do tych rejonów zaliczyć trzeba Wisową (w początkach kilkanaście rodzin żydowskich), Biedoszyce, Maślakowice, Potoki.

Czujność niemiecka zaostrzała się ... urządzono łapanki rewizje podejrzanych na uboczu stojących domów – nieraz z przypadku, a bardzo często z doniesienia zawistnych sąsiadów schwytanych rozstrzeliwano na miejscu – na posterunku również odwożono do Jasła czy Brzostku – podobnie jak złapanych w innych gromadach transportowano do Jodłowej na rozstrzelanie – do ostatnich miesięcy 1944 r. trafiały się egzekucje.

Społeczeństwo jodłowskie nie akceptowało postępowania władz niemieckich – użyczało pomocy chroniącym się Żydom narażają swe mienie i życie (czytaj w dopisach: Teresa Pacana, Kazimierz Świerczek, Franciszka Zając, Stanisława z d. Burza Nawracaj z Maślakowic, Studniarz Emilia synowa Zofii, Maria Szpak, Kita Wojciech ...) .

Przeżyło kilka rodzin dzięki ofiarnej pomocy społeczeństwa. Podaję. Kita Wojciech ratuje Chaima Abramka i Rózię Szpetów. Stanislawa z d. Burza Nawracaj – Heszek Gimplonka, Maszlejada (Żydówka z dzieckiem). Zofia Studniarz – Maria Berger córka Mojżesza. Leon Świerczek – rodzina Pariserów (3). Maria Teresa Pacana – Matysiki, oraz Helena Lerman, Jakub Wurcel. Franciszka Zając – Salcia Wolf, Makies i Lejba ...

Wymienieni wyżej przeżyli wojnę – po wojnie meldowali się u swoich dobrodziejów – usiłowali wynagrodzić – obiecywali przysłać nagrodę ... Wielu pisalo jeszcze z Francji, Niemiec – przysyłało paczki i listy z Argentyny.

Z ostatnich listów J. Parisera pisanego do Świerczków przebija obok chłodnącej wdzięczności uraz do Polaków zwlaszcza tych, którzy nie użyczyli schronienia, a nawet wydawali ukrywających. Moje refleksje. Jodlowanie zachowywali się jak prawie wszyscy w kraju – obawa – strach – podłość, łakomstwo, chciwość. Nie zdobyliby się nigdy na zbrodnie. Te zbrodnie musimy przypisać hitleryzmowi, a nie Polakom czy jodłowianom.

Była niechęć nie u wszystkich, ale u pewnej części – do Żydów za zmajoryzowanie w handlu – opanowania i tłumienia konkurencji z ich strony. Doszedłem do wniosku i ośmielam się rzucić myśl: kilka wieków zrobiło swoje – opanowali rynek – dusili działaczy, panowali nad Jodłową – co dzisiaj widać – brak zintegrowania Jodlowian – brak inicjatywy. Obecnie problem już nie istnieje. Dzieci jodlowskie nie widziały Żyda i nie wiedzą – kto to jest Żyd.

Te fragmenty z dziejów Jodłowej dotyczące problemu żydowskiego, a tak przez poetę ludowego Józefa Nocka eksponowanego nie roszczą pretensji do pełnego opracowania... niestety wziąłem się

do tego zagadnienia zbyt późno ... dokumentów żadnych. Niemcy je palili. Pamięć ludzka zawodna. Spisywane opowiadania są strzępami wspomnień, a jak nieraz zawodnych.

Zmarł sprawiedliwy z Jodłowej

Tarnowskie Echo, nr 20, 1996 r.

Z Jodłowej doszła do nas bardzo smutna wiadomość. W wieku 75 lat zmarł tam Kazimierz Świerczek, który był odznaczony medalem „Sprawiedliwy wśród Narodów Swiata" przyznawanym przez Żydowski Instytut Pamięci Narodowej Yad Vashem w Jerozolimie.

Kazimierz Świerczek dostał ten medal za ratowanie Żydów w czasach wojennej nocy. 16 marca w ambasadzie Izraela w Warszawie K. Świerczek odebrał ten medal w obecności ludzi, których uratował: Johna Parisera i jego siostrę Rose Schwartz.

Tragiczny dla jodłowskich Żydów dzień 12 sierpnia 1942 roku nie zapowiadał nieszczęścia. Pogoda była piękna, a okupanci hitlerowscy kazali miejscowym Żydom zgromadzić się na Rynku. Nikt nie wiedział po co, ale ponieważ niewykonanie rozkazu groziło karą śmierci zatem już od rana na Rynku był tłum kilkudziesięciu ludzi: starców, dorosłych, dzieci. Zabrakło tylko 4–osobowej rodziny Pariserów. Ojciec Kazimierza Świerczka poradził im, aby ukryli się w polu i nie szli na Rynek.

Abraham Pariser, jego żona i dwójka dzieci przesiedzieli w polu do wieczora. Kiedy wreszcie pod osłoną ciemności przyszli do domu Świerczków, dowiedzieli się, że jako jedyni ocaleli z pogromu, jaki Niemcy urządzili ich rodakom. Wszyscy zostali pognani do Przeczycy i tam rozstrzelani. Z dnia na dzień rodzina Pariserów ze statusu majętnych obywateli Jodłowej spadła do roli trzęsących się ze strachu mieszkańców niewielkiego dołu pod podłogą stodoły Świerczków.

Spędzili tam 2,5 roku, w ciemnościach, wilgoci, piwnicznym zaduchu, zgięci i stłoczeni, gdyż piwnica była niewysoka i niewielka. Ale szczęśliwi, że przeżyli, że udało im się uratować własne życie. Modlili się tylko o to, by przeżyć. Żeby nikt z sąsiadów Świerczków nie zauważył nic podejrzanego w ich stodole.

Pariserowie przeżyli. Doczekali wejścia Rosjan. Gdy mogli wreszcie wyjść otwarcie na dwór, płakali ze szczęścia i ucałowali zmarzniętą, styczniowa ziemię 1945 roku. Dziękowali swoim wybawcom, wiedzieli, że żyją dzięki nim, dzięki ich odwadze.

Medalem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata" odznaczono prawie 12 tysięcy ludzi, wśród nich ponad 4 tysiące Polaków. Jednym z nich był Kazimierz Świerczek. Zmarł w końcu kwietnia na własnym polu. Za kilka dni miał mieć spotkanie z młodzieżą jodłowską. Miał młodym ludziom opowiadać o postawach Polaków wobec Żydów w czasie wojny i okupacji. Bardzo cieszył się na to spotkanie. Był człowiekiem, który jak mało kto miał dużo do powiedzenia na ten temat. Trzeba było wielkiej odwagi, aby przez prawie 900 dni przechowywać u siebie żydowska rodzinę. (aj)

Sprawiedliwy wśród Narodów Świata

Irena Papciak
Wiadomości Jodłowskie, nr 2, 1994 r.

Jest jednym z 4 tysięcy Polaków z wielkim pietyzmem przechowuje medal, którym został odznaczony 16 marca 1992 r.

Medale przyznaje Żydowski Instytut Pamięci Narodowej Yad Vashem w Jerozolimie tym, którzy z narażeniem własnego życia ratowali Żydów podczas okupacji. Wyryty w medalu cytat z Talmudu „Kto ratuje jedno życie, ten jakby ratował świat cały" zawiera w pełni istotę czynu rodziny Świerczków z Jodłowej i wielu zwykłych ludzi w Polsce, którzy uczynili chrześcijański gest wobec bliźniego.

Kazimierz Świerczek, liczący dziś ponad 70 lat, kiedy wspomina czasy wojny – pamięć go nie zawodzi. Wspomina żydowską rodzinę Pariserów jako rodzinę, w której panował dostatek. Abraham Pariser handlował w Jodłowej drzewem, a jego żona prowadziła sklep. Mieli dwoje dzieci – Janka i Różę. Kiedy w domu Świerczków brakowało pieniędzy w sklepie pani Pariser można było dostać towar na kredyt lub kupić pół darmo. W sierpniu 1942 r. wszyscy Żydzi z Jodłowej mieli się zebrać w Rynku. Leon Świerczek (ojciec Kazimierza) namówił rodzinę Pariserów, aby nie zastosowali się do zarządzenia Niemców. Pariserowie ukryli się w polu, a potem pojawili się w domu Świerczków. Żydów, którzy zebrali się w Rynku, odtransportowano do Przeczycy i tam rozstrzelano.

Przez 2,5 roku rodzina Pariserów ukrywała się w ciasnej piwnicy stodoły pozbawionej całkowicie światła dziennego. Z pomieszczenia tego wychodzili tylko wtedy gdy było absolutnie bezpiecznie. Leon Świerczek bal się o siebie, o swoich najbliższych gdyż doskonale wiedział, że za ukrywanie Żydów groziła kara śmierci. Szczęśliwie udało się przeżyć obydwu rodzinom ten tragiczny okres. Po zakończeniu wojny Pariserowie jeszcze przez jakiś czas mieszkali w Polsce, po czym wyjechali do Kalifornii. Przez wszystkie lata powojenne utrzymywali kontakt z rodziną Świerczków.

W lipcu 1993 r. K. Świerczek został zaproszony przez Żydowską Fundację na Rzecz Chrześcijan Ratujących Żydów do udziału w międzynarodowej konferencji w Warszawie zorganizowanej pod hasłem: „Czy obojętność może zabić?". Konferencja miała na celu m. in. złożenie hołdu tym, którzy z narażeniem życia ratowali Żydów.

Uczestniczący w konferencji K. Świerczek zobaczył się po raz pierwszy po 50 latach z Jankiem Pariserem i jago siostrą Różą (obecnie Rose Schwartz). Spotkaniu towarzyszyła radość, łzy wzruszenia, wspomnienia, wdzięczność, pamiątkowe zdjęcia. Rodzina Pariserów odwiedziła Jodłową, złożyli kwiaty w miejscach pamięci oraz na grobie ojca K. Świerczka. Jak sam o sobie mówi: – W jego szare zwyczajne życie wpisane są chwile, które stanowią i dziś

źródło wzruszeń, dają spokój sumienia i radość w sercu, że tamtej tragicznej chwili okazali pomoc drugiemu człowiekowi.

W oparciu o wywiad przeprowadzony z K. Świerczkiem oraz materiał zamieszczony w TeMI z 03.02.94 r. opracowała Irena Papciak.

Dziękuję za życie
Konferencja – czy obojętność może zabić?

Magda Szczypiorska, Jan Turnau

– Robiliśmy zwykłe rzeczy, nic więcej i nic mniej, ale kiedy obojętność wobec zła była złem, zwykłe czyny stawały się niezwykłymi – mówili uczestnicy pierwszej międzynarodowej konferencji ku czci tych, którzy ratowali Żydów w erze holocaustu.

Organizator: Żydowska Fundacja dla Chrześcijan Ratujących Żydów (sekcja Ligi przeciw Zniesławianiu). W warszawskim hotelu Victoria zjawili się m.in. Lech Wałęsa, ambasador Izraela Miron Gordon, Roman Kent, Leon Blenicki, arcybiskup Henryk Muszyński. Zbigniew Brzeziński, Jerzy Turowicz, Władysław Bartoszewski, Jan Karski.

W warszawskim kościele św. Augustyna na terenie dawnego getta wspólnemu nabożeństwu przewodniczyli dwaj księża i rabin Klenicki.

Najgorszy wygląd

W hotelu Victoria spotkali się ci, którzy ratowali Żydów w czasie wojny, z tymi, których uratowali.

– Miałyśmy czarne oczy, czarne warkocze – opowiada Katarzyna Meloch, uratowana wraz z 30 innymi dziećmi przez siostry zakonne. – w Turkowicach k. Hrubieszowa przechowywane były dzieci o najgorszym wyglądzie, takie, które mogły tylko iść do gazu.

– Przywoziłam dzieci z Warszawy po upadku powstania w getcie – wspomina siostra Irena Antonina Manaszczuk, która wychowywała w Turkowicach panią Meloch. Musiałam im bandażować twarze, bo wszyscy w pociągu natychmiast poznaliby, kogo wiozę. Teraz spotykam czasem na ulicy te uratowane dorosłe dzieci. Mówią: „Dla siostry zrobimy wszystko. Ale nie podamy adresu i nie chcemy się kontaktować. Czujemy się Polakami i nie chcemy wracać do przeszłości".

Choroba „Jude"

Dr. Geralda Kaisera, wykładowcę matematyki w Massachusetts, przechowywali w czasie wojny Janusz i Krystyn Włodkowie, wówczas ośmio– i dziesięcioletni chłopcy, których ojciec byt partyzantem.

– Dziękuję bardzo za moje życie – powiedział Jack Pariser do rodziny Porębskich i Świerczków, którzy przechowywali Pariserów przez dwa lata. – Pielęgnowaliście nas w czasie ciężkiej, nieuleczalnej choroby, której nazwa brzmi „Jude".

– Odnalezienie rodziny Czerniakowskich zajęło mi 47 lat – oświadczyła Renata Zajdman. Hrabia Piotr Poraj–Czerniakowski, dr Zofia Czerniakowska i ich córka Lechosława pomogli Renacie i jej siostrze uciec z getta, zdobyli dla nich aryjskie papiery i ukryli brata Renaty.

Dobro zapoznane

Zapytaliśmy abp. Henryka Muszyńskiego, który przewodniczy Komisji Episkopatu Polski ds. Dialogu z Judaizmem czy konferencja pomogła Żydom zrozumieć, że wśród Polaków byli nie tylko „szmalcownicy".

Odpowiedział, te spotkanie ukazało nasza odpowiedzialność moralna na bardzo szerokim tle, co pozwoliło uniknąć dotychczasowych uproszczeń.

– Konferencja przypomniała dobro, które się dokonywało w czasie holocaustu. Wówczas ratujący przywracali nadzieję ratowanym. dziś uratowani przywracają nadzieję tym, wobec których świadczą, powiedział abp. Muszyński.

Lisia Góra

Pod bokiem gestapo

mgr Stefan Kareł z Zabrza

Opis tych wydarzeń graniczy z horrorem. Ciągły strach, nieustanne, szarpiące nerwy zagrożenie było dominującym elementem codzienności, kształtowało warunki życia w tej jakby nadgranicznej prowincji. Usytuowany pod Tarnowem majątek ziemski stał się przystanią dla Żydów i innych, także ściganych przez okupanta zbiegów. Tu zaświtała dla nich nadzieja, tu znajdywali przejściowe lub stałe polepszenie swego losu, ba, ratunek przed śmiercią. Ta śmierć groziła również właścicielowi i rodzinie jego, ale jej widmo nie odstraszyło, nie powstrzymało, przed świadczeniem możliwych form pomocy potrzebującym. Jednym i drugim los sprzyjał – ocaleli.

Pan Tomasz Michałek, urodzony 6 kwietnia 1950 r. w Tarnowie, zna opisane zaszłości z opowiadań nieżyjącego już ojca Kazimierza Michałka, właściciela majątku ziemskiego w Kobierzynie nieopodal Lisiej Góry, podtarnowskiej gminy.

Tam z dala od niżej położonych wsi, z dawien dawna rozsiadły się zabudowania folwarczne i murowany z cegły dworek zdobny w kolumnowy portyk. Z daleka rzucały się dworskie stodoły, mające swą kuriozalną przeszłość. To tu okoliczni Cyganie urządzali swoje wystawne wesela, jak na pańskim dworze. Starsi mieszkańcy Kobierzyna wspominają, że w jednej stodole lśniła złota zastawa stołowa, w drugiej srebrna, w trzeciej z innego szlachetnego kruszcu. Nie ulega wątpliwości, że zwyczaj ten nadawał charakterystyczny rys tutejszej obyczajowości, do dziś stanowi swoisty smaczek i osobliwość.

Emanująca z tego domu życzliwość i dobroć zjednały przychylność okolicznych mieszkańców, którzy chętnie szli tu na zarobek, po dobrą radę i pomoc. Podobna atmosfera przyjaźni i zażyłości panowała w drugim jego majątku w Słupcu nad Wisłą. Gdy w roku 1934 Wisła przerwała wał, a woda wlewała się przez okna do chat, mieszkańcy schronili się u swego dobroczyńcy w Kobierzynie, a więc miejscowości dość odległej. Powódź nie ominęła sąsiadów Kobierzyna, mieszkańców wsi. Jedni i drudzy podążali ku wyżej położonemu dawnemu domninium w Kobierzynie. Od dotkniętych kataklizmem powodzian nie wziął grosza. Po trzech miesiącach powrócili do domu, nie zapominając o doznanych dobrodziejstwach. Wnet spadło na kraj nowe nieszczęście – nastała okupacja. Niemcy pozwolili ojcu na otwarcie szkoły z zakresu przysposobienia rolniczego, inne szkoły zostały zamknięte. Placówka ta potrzebna była choćby i dlatego, że pozwalała części młodzieży uniknąć służby w Baudienście, a więc pracy dla wroga. Powyższe okoliczności sprawiły, że repetowanie klasy nie było przykrym zrządzeniem losu, lecz skutkiem świadomego wyboru. Jednym z wykładowców był kolega ze studiów, o nazwisku Gierat, mieszkający nieopodal, znany z komponowania muzyki i gry na różnych instrumentach. W takim zbiorowisku ludzkim nie było trudno o wsypę. Wychodzący na środek klasy uczeń oddał memu ojcu zeszyt z kopertą w środku od „Jądrusiów", ale potknął się i upadł. Nauczyciel, a był nim mój ojciec, udał, iż nie widział rozsypanych na podłodze nabojów, ani pistoletu.

Odtąd lękano się rozgłosu wokół tej sprawy. Życie toczyło się dalej, także to podskórne, konspiracyjne. „Jędrusie" podchodzili nocą, by zabrać broń ukrytą na podsibitce dwuspadowego dachu dworku. Po podniesieniu dachówki broń była w zasięgu ręki. Ruch oporu kierował tu ludzi zagrożonych, w tym Żydów, którym tajemnicze hasło otwierało podwoje tego domu. Ci ostatni wymizerowani, nad wyraz wychudzeni z lękiem w oczach, zazwyczaj osiedlali się na dłużej, a nawet na stałe w charakterze kuzynów ojca i tak byli traktowani. Żywności nie było za wiele, dlatego ojciec kazał co tydzień dokonywać uboju świni, inaczej trudno byłoby wyżywić około 20 osób. Stale przebywało 7 Żydów, wśród nich Goldberg z ul. Goldhammera 3, właściciel kilku sklepów w Tarnowie. Inni po

krótkim pobycie dokądś odchodzili. Stojący na uboczu dworek, rzadko odwiedzany przez Niemców, ułatwiał skutecznie konspirację, dyskrecja była zupełna, nikt nie znal prawdy. Uderzenie przyszło nagle i niespodziewanie. 1 stycznia 1942, a może 1941 r. rano przyjechało sześciu umundurowanych prześladowców (dwu gestapowców, czterech granatowych policjantów). Na szczęście Niemcy zabawili się z psem przed gankiem, policjanci zaś weszli do środka mając baczenie na wszystko. Ku swemu przerażeniu dostrzegli radio i karabin, trwoga zajrzała w oczy wszystkim. Wówczas nie mniej zaniepokojony ojciec ostrzegł ich: „Nas jest tu więcej niźli was, więc możecie stąd nie wyjść". W końcu granatowi przystali na milczenie. Ukrycie tak szokującej prawdy przed gestapowcami, bądź co bądź postaciami apokaliptycznymi, niewątpliwie zakrawało na heroizm. A przecież wystarczyłby gest, słowo, by wojenno–okupacyjna epopeja tego domu wzbogaciła się o krwawy dramat. Najtragiczniejszy. Wszyscy przybysze, zaproszeni do suto zastawionego stołu, nie wzgardzili poczęstunkiem, ale z chytrych pytań nie zrezygnowali. Na koniec zabrali jednego z pracowników z podejrzaną, ich zdaniem, kenkartą. Zatrzymanym okazał się nauczyciel języka niemieckiego, który po trzech dniach powrócił. Kenkarta była. legalna. Trzeba wiedzieć, że kenkartom, a zwłaszcza ich narodzinom, towarzyszyły chytre machinacje. Pieczęcie do lewych kenkart wyrabiał właściciel jakiegoś zakładu przy ul. Targowej, bardzo się tego bał, jednak dostarczał je memu ojcu. Powyższe dowody tożsamości przekazywano do urzędu w Dąbrowie Tarnowskiej, skąd po zarejestrowaniu wracały jako pewne. Dla bezpieczeństwa ruch oporu polecił ks. proboszczowi z Kobierzyna wejść w bliższą komitywę z sekretarką tego urzędu. Żydzi uchodzili za naszych familiantów, mieli figurujące w rejestrze dokumenty. Nasz duszpasterz, rzeczywiście, był odważny, z ambony gromił donosicieli i aczkolwiek przesłanie swe przemycał w zakamuflowanej formie, to jednak intencje kaznodziei bywały nazbyt czytelne. Wobec tego ojciec udał się do ks. biskupa i sprawił, że księdza przeniesiono do parafii Łużna za Stróżami. Nim to jednak nastąpiło, ruch oporu

nasłał księdzu drugą przyjaciółkę–urzędniczkę z Urzędu Poczty i Telekomunikacji w Lisiej Górze z poleceniem pozyskania jej do przechwytywania listów do gestapo. Donosicielstwo i tak szczerzyło swe kły. Ojciec jako oficer pełnił funkcje dowódcze w strukturach zbrojnego podziemia i pewnie ta okoliczność zapewniła mu sporadyczne uczestnictwo w akcjach sekcji dywersji. W Tarnowie przy Burku (pl. Bema) zginął od strzałów stomatolog. W dniu targu o godzinie 10, gdy wokół panował ruch i harmider, sześciu bojowców weszło do poczekalni, dwu z nich do gabinetu lekarza. Pierwszy rzucił kartkę z wyrokiem śmierci, a drugi zastrzelił obwinionego. Siedzącym w poczekalni pacjentom zagrozili karą śmierci w przypadku opuszczenia tego miejsca przed upływem wyznaczonego czasu. I tym razem katem był ten, który wylosował zapałkę bez główki. Jak później opowiadali, ohyda sceny wywoływała torsje, czuli się tak, jakby im przypadło, spożywać żywe myszy. Z tym uczuciem rozpłynęli się w skłębionej ludzkiej masie. Nikt nie wie, ilu ludzi złamanych cierpieniem i tragedią okupacji, starało się czerpać nie tyle satysfakcję, co smakować charakter tej chwili i pamiętać o tym, co umacniało psychicznie na lata. Każda porażka wroga krzepiła ducha, umacniała wewnętrznie. Koło Dąbrowy Tarnowskiej konfident ukrywał się w piwnicy na podwórzu, żona podnosiła krzyk, dopiero za trzecie podejściem, gdy wychylił głowę zdołali go zastrzelić. Ojciec mówił o casusie Komendanckiego, właściciela restauracji Cichy kącik w Tarnowie, któremu akowcy obcięli na pniu obie dłonie, by nie pisał więcej doniesień do gestapo. Z jego winy Niemcy zdziesiątkowali dwie wsie. Dudek komendant przedwojennej policji w Tarnowie, odprowadzony do toalety, wyskoczył z 2 piętra siedziby gestapo i zbiegł. Dzięki znajomości hasła i pomocy kolegów znalazł azyl w Kobierzynie. Mało tego, sprowadził narzeczoną Żydówkę i pojąwszy ją za żonę, uchodził za członka naszej rodziny. Dalszym etapem ucieczki była podróż na statku „Batory" za ocean. Szerokie kontakty ojca, znajomość z „Jędrusiami", z którymi kiedyś pobierał nauki w Mielcu, jego udział w podziemnych strukturach umożliwiły wyekspediowanie poszuki-

wanych aż do Filadelfii. Przed tym wyjazdem Dudkowa przywiozła kilkoro Żydów z dwojgiem dzieci. Dzieci te ojciec przekazał bezdzietnemu małżeństwu na wsi, dzięki czemu przetrwały okupację i pozostawały listownym kontakcie z Dudkową. Do roku 1970 napływała częsta korespondencja z Filadelfii, w oryginalnych opakowaniach nadchodziły mace i rożne rzeczy. Wymienieni zachowali głęboką wdzięczność za ocalenie przed okupacyjną apokalipsą Żydów. Podobnie działo się w majątku dziadka Franciszka Michałka w Zabłędzy koło Tuchowa, pozostającym pod głównym zarządem siostry mego ojca, Stefanii Roman. Ona także tkwiła w strukturach AK, toteż pośród pracowników byli zbiegli Żydzi. Z uwagi jednak na bliskość szosy i częstsze wizyty Niemców, żydów przesuwała do majątku mego stryja. Mąż jej Jakub Roman w tym czasie służył w wojaku desantowym (komandos) w Wielkiej Brytanii. Po powrocie do Polski dzięki znajomości języka angielskiego został szefem Poczty Polskiej w Warszawie. Po wkroczeniu Sowietów majątek został zabrany, ale dopiero za trzecim podejściem, ponieważ miejscowa ludność nie akceptowała zaboru: „Kazkowego nie weźmiemy" – mówili. Majątek liczący 47 ha nie podlegał tzw. ustawie o reformie rolnej, jednak został przejęty przez władzę ludową. Czy to nie jest paradoksem, że tylu ludziom zapewniliśmy dach nad głową, pracę; i ocalenie, a sami zostaliśmy wyrzuceni z ojcowizny.

Mędrzechów

Zginęli w ostatnich godzinach

Burzliwe przeżycia wojenne stały się udziałem Julii Bakalarek, urodzonej w 1899 roku we wsi Toni. Najazd niemiecki zaskoczył ją w trudnej sytuacji rodzinnej. Mieszkała z 11–letnim dzieckiem w Grądach, z dala od męża przebywającego wówczas za granicą. Małżonkowie Bakalarek poznali się we Francji i tam założyli rodzinę. Pochodzili z różnych dzielnic Polski, ona z Krakowskiego, on z powiatu Turek. W 1936 roku Julia Bakalarkowa powróciła z dzieckiem do kraju. Mąż pozostał we Francji, nie chcąc tracić szans emigracyjnego zarobku. Ponad wszystkim dominowało pragnienie zdobycia i prowadzenia własnej gospodarki.

– Kupiłam – wspomina Julia Bakalarek – pięć morgów gruntu i stare budy. Był tam dom i szopa bez stodoły, stajnia i mieszkanie pod jednym dachem. Bywało skromnie, czasem wprost biednie, ale biedniejsi okazali się ci, na których zwaliły się najcięższe prześladowania hitlerowskie. Znajomy Żyd miał dwór w Świebodzinie, do tego budynki i dużo pola. Nazywał się Hil Lejb, miał wspólnika w osobie Holendra Dunela. Razem mogli gospodarować na rozległym obszarze 64 hektarów. Niewiele korzyści ze swych dostatków miał Hil Lejb, gdy musiał opuścić gospodarstwo i pójść na tułaczkę.

Ukrywał się z początku u Józefa Wołowca w Toni przy wale wiślanym. Bał się tam pozostać, bo tuż za wałem, w krzakach próbowali znaleźć schronienie różni zbiegowie. Ułatwiała im to bujna roślinność. Wiklina, drzewa, krzewy – zwłaszcza tarniny. Kiedyś wybierano tu ziemię na wał ochronny, osłaniający brzegi. Pozostały z tego okresu wielkie i mniejsze doły, wypełnione gęstą i wysoką trawą. Były i naturalne wąwozy, przypominające długie tunele, jakby wyjęte z przygodowych powieści. Gdzieniegdzie rosło kilka drzew owocowych, rozciągały się zagony ziemniaków lub kapusty.

Tutaj kryli się zbiegowie w jamach pod skarpą, wymoszczonych trawą i zielskiem. Wisła, zasobna tu w ryby, dostarczała żywności. Łowić można było tylko w sprzyjających okolicznościach, gdy ludzie nie kręcili się nad wodą.

W dzień trzeba było się kryć. W nocy uciekinierzy zachowywali się różnie, w zależności od tego, skąd pochodzili. Najgorzej wiodło się zbiegom z dalszych stron, nie znającym tu nikogo. Żydzi miejscowi znali rolników w okolicy i nocą wymykali się do zagród w poszukiwaniu żywności, której nikt nie odmawiał prześladowanym. Trudno było jednak przebywać stale w domostwach w pobliżu wału rzecznego. Niemcy wpadali do tych domów bądź w poszukiwaniu ukrywających się, bądź też po prostu, by rabować żywność. Od czasu do czasu systematycznie przeczesywali kępę nadwiślańską.

Polowali na ludzi jak na kaczki lub zające, których tam zresztą bywało dość sporo. Toteż kępa traktowana była jako chwilowy azyl. Z tymczasowego miejsca noclegu wyruszali uciekinierzy w teren, gdzie dopiero, korzystając z czyjejś życzliwości, lokowali się w jakichś zakamarkach wiejskich zagród. Byli i tacy, którzy ryzykowali dłuższy okres pobytu na kępie, a po żywność wyruszali w dalsze okolice. Nauczyli się też w sposób zręcznie zakamuflowany gotować sobie strawę w jakichś głębszych, nadrzecznych dołach.

Zamożny przed wojną, a nie przywykły do trudnych warunków Hil Lejb znalazł schronienie w stodole Józefa Wołowca. Nie był to jednak punkt bezpieczny. Bracia Wołowcowie, mieszkający koło siebie, należeli do zespołu muzycznego obsługującego uroczystości weselne. Z tej racji często odwiedzali ich okoliczni mieszkańcy. Obok domu Wołowców prowadziła też ścieżka ze wsi do przewozu na Wiśle. Tutaj przeprawiali się przez rzekę mieszkańcy wsi Brzostków, Błotnowola, Grotniki, wracający nocą ze stacji kolejowej w Mędrzechowie. Zdarzało się też, właśnie w nocy, że przewoźnik Puchała, jako krótkowidz, nie chciał wychodzić z łodzi i wtedy podróżni zatrzymywali się u Wołowców. Ilu wśród tych podróżnych

działało w konspiracji? Tego nikt nie mógł przewidzieć. Z całą pewnością jeździli tą trasą łącznicy kieleckich „Jędrusiów", ale po uwięzieniu kolporterów ich pisma „Odwet" w Bolesławiu, Niemcy zdwoili czujność. Stosowali przy tym swoje ulubione metody prowokacji.

Nasłali na ludzkie skupiska żandarma z Mędrzechowa, znanego wkrótce później z okrucieństwa, Engelberta Guzdka. Włóczył się on w cywilnym ubraniu po okolicznych wsiach, udawał konspiratora tropionego przez gestapo i skrzętnie zbierał informacje. Czasem demaskował się od razu, zabijając na miejscu nieostrożnych rozmówców. Tak było np. w Pawłowie, gdzie zastrzelił przewoźnika Woźniaka i jego przypadkowego gościa, Wójcika ze Szczucina.

Przewoźnika z Brzeźnicy Zająca wyprowadził w zarośla kępy wiślanej, by odszukać tam kryjówki „bandytów". Zając donosił żywność Żydom i znał ich niektóre kryjówki. Idąc za Guzdkiem, robił wszystko, by nie wysunąć się naprzód, bo wiedział dobrze, że żandarm z reguły strzela z tyłu. Klucząc po dróżkach kępy, ominął kryjówki i Żydów nie wydał, a nawet, o dziwo, ocalał.

Na marginesie tego incydentu warto przypomnieć, jak złowrogo upamiętnił się żandarm i prowokator Guzdek wśród ludności okolic Dąbrowy Tarnowskiej. We wschodniej części powiatu, w rejonie Dulczy Małej i Wielkiej, Radgoszczy i Jam, wśród lasów ukrywało się dużo Żydów, uciekinierów z różnych gett. W lecie kryli się w bunkrach, a w zimie szukali schronienia w budynkach gospodarczych. Miejscowa ludność żywiła ich i przechowywała z narażeniem życia. Niemcy, na ogół zorientowani w tej sytuacji, od czasu do czasu przeczesywali kompleksy leśne. Znalezionych Żydów mordowali na miejscu.

W sobotę 28 listopada 1942 roku hitlerowcy przyjechali samochodami i zatrzymali się na granicy powiatu mieleckiego. Potem ruszyli tyralierą przez las, zaglądali do wszystkich domów. W Porębach otoczyli dom Anny Wójcik i wzywali Żydów do wyjścia na zewnątrz. Gdy to nie odniosło żadnego skutku, ruszyli do obory, kazali wypuścić bydło. Kierujący obławą żandarm Engelbert Guzdek

rzucił do środka granaty. Znalezionego młodego Żyda zastrzelił, a jego ojca i siostrę zabrał do Radgoszczy. Wystrzelał też rodzinę Wójcików.

Wkrótce potem, 3 grudnia 1942 roku tenże sam żandarm zastrzelił w Radgoszczy, a ściślej w Kolonii Narożniki – Bronisławę i Tomasza Juzbów. Zginęli pod zarzutem udzielania pomocy Żydom ukrywającym się w lesie. Kiedy indziej zastrzelił schwytanego Żyda Majlicha z Radgoszczy. Z upodobaniem mordował złapanych przed domem miejscowego wikarego. Najpierw kazał im się wynosić biegiem, a następnie strzelał do uciekających.

W czasie obławy w Luszowicach Guzdek dotarł do księdza Franciszka Okońskiego, który ukrywał u siebie jednego z żydowskich uchodźców. Uciekinier zdołał zbiec, a rozwścieczony żandarm wywarł zemstę na dwóch pracownikach księżego gospodarstwa, których zastrzelił 5 grudnia 1942 roku. Zawzięty prześladowca Żydów, odkrył ich kryjówkę w słomie na strychu nie wykończonego domu we wsi Kaczówka. Zabrał ich na posterunek, a małżonków Szkotaków zamordowano za udzielenie pomocy zbiegom. Po dodatkowym śledztwie Niemcy zastrzelili jeszcze trzech mieszkańców wsi, spieszących Żydom z pomocą. Łacha, Stopę i Nadolskiego. W Smykowie Niemcy dostrzegli wydeptaną ścieżkę w lesie. Bunkier znaleźli, Żydów zastrzelili.

Nie bacząc na śmiertelne niebezpieczeństwo, miejscowa ludność Toni i Strojcowa pomagała Żydom i wielu z nich uratowała. Uciekinierzy musieli co pewien czas zmieniać kryjówkę. Ukrywający się u Józefa Wołowca Hil Lejb zostawił naczynia kuchenne, zastawę stołową, nawet odzież i przeniósł się do Grądów, dalej od wału Wisły, gdzie panował mniejszy ruch i nie było chyba tak bliskiego i bezpośredniego zagrożenia. Dom Bakalarków stał w polu, a ich grunta graniczyły z polami dworskimi.

– Zajechał tu wieczorem Hil Lejb – wspomina Julia Bakalarek – i prosił o udzielenie mu schronienia, choćby na jakiś czas. Obiecywał dać 8 morgów gruntu. Z początku odmówiłam, bojąc się Niemców. On jednak schował się na strychu, gdzie wykopał sobie wnę-

kę w sianie. Odtąd nosiłam mu żywność, bo nie mógł się pokazać nawet w mieszkaniu. W nocy, korzystając z ciemności, gdzieś wychodził. Niemcy w tym czasie na szczęście tu nie bywali, co najwyżej zjawiali się we wsi. Mimo to każde szczekanie psa w nocy napawało mnie strachem. Wstawałam i patrzyłam przez okno.

Wreszcie front zbliżył się od wschodu. Wyzwolenie zdawało się bliskie, ale na razie Niemcy kwaterowali w moim domu. W ogrodzie ustawili działo, zwrócone lufą ku Szczucinowi. To stamtąd atakowali Rosjanie. Niemieccy żołnierze gotowali u mnie w kuchni i na polu, gdzie mieli swoją kuchnię polową. Nie zaprzestali rabunku w okolicznych gospodarstwach, znosili i spędzali świnie, kury, króliki.

Lękałam się, że pójdą na strych. Aby temu zapobiec, zabrałam drabinę. Uprzedziłam mojego uciekiniera, że w domu są Niemcy, zresztą on to słyszał, jak w nocy tu zjechali. Jakiś czas siedział tam cicho, ale pewnego dnia, nie wiadomo czym powodowany, a może po prostu załamany nerwowo, zszedł ze strychu i oddał się w ręce żołnierzy.

Nie było dla niego ratunku. Niemcy zaczęli krzyczeć jeden przez drugiego, że znaleźli Żyda. Musiałam udawać, że go nie znam i nie wiedziałam o jego kryjówce. Zabili go bez strzału. Ciało leżało najpierw w stodole, potem wywieźli je na pole. Nieszczęsny uciekinier był bliski ocalenia, bo już na drugi dzień Niemcy uciekli w popłochu, pozostawiając nawet gorącą strawę.

Wtedy zjawili się chłopcy żydowscy, głodni, obdarci. Nakarmiłam ich i ogrzałam. Znieśli z pola zamęczonego towarzysza niedoli, mówili, że usta miał zatkane słomą. Ponieważ wybierali się w drogę, dałam im tego, co jeszcze było w domu – chleba i bobu. Cieszyłam się, że ci przynajmniej ocaleli, ale radość okazała się przedwczesna. W drodze napadli ich własowcy i oddali w ręce Niemców.

Grądzki Żyd Mendel

Oglądana kiedyś oczyma dziecka scena jest dziś nie tylko znakiem czasu, ale także bolesną zadrą i groźnym memento na przyszłość.

W Grądach, mojej rodzinnej wsi położonej w gm. Mędrzechów, przed wojną i częściowo w pewnym okresie okupacji hitlerowskiej, mieszkała od dawna żydowska rodzina o nazwisku Mendel, zajmująca się pracą, na roli, ich budynek mieszkalny, stodoła i stajnia zajmowały plac tuż przy dróżce, zwanej wtedy ulicą, dziś pokrytej asfaltem, prowadzącej z Grądów do przysiółka Boru Grądzkiego.

Obecnie na tym właśnie placu znajduje się dom po zmarłym Franciszku Tobiaszu. Od strony zachodniej Żyd Mendel sąsiadował z Wawrzyńcem Rejowskim, szewcem i zarazem gospodarzem małorolnym. Obecnie w tym domu mieszka syn Rejowskiego Eugeniusz z żoną i synem.

Żyd Mendel i jego żona. Rywka mieli troje dzieci, Nuśkę, Joska i najmłodszego w wieku przedszkolnym Fajgusia. Najstarsi ludzie opowiadają, że kiedyś w tym domu była karczma, a później trafika tj. sklep, gdzie można było kupić artykuły gospodarstwa domowego i spożywcze. Po tych dawnych czasach pozostał wyblakły napis na drzwiach: Trafika, a także kolorowe przytwierdzone nakrętkami blaszane tabliczki i nalepki reklamujące sprzedawane towary, takie jak: wódka, piwo drożdże, zapałki itp.

Biedny był ów Żyd. Wokół domu nie miał ani ara gruntu, zaś około 1,5 ha użytków rolnych znajdowało się w Borze Grądzkim odległości około 1 km, w sąsiedztwie tzw. śmigna. Śmignem nazywano niżej położone podmokłe łąki o powierzchni kilkunastu hektarów. Mendel był Żydem skromnym, uczciwym i cichym, życzliwie usposobionym względem wszystkich, żyjącym w zgodzie z sąsiadami. Bywało, że wynajmował się ze swym koniem do pracy u będących w potrzebie gospodarzy, albo konia dawał do pomocy w pracach polowych.

Z jego dziećmi dobrze się znałem, często bawiliśmy się razem, jak to bywało na wsi w owym czasie. W pole Żyd jeździł koło naszego domu, wozem rachwowanym (na kołach były obręcze żeliwne, zwane rachwami) z drabinami lub gnojnicami. Do wozu zaprzęgał mocnego konia siwka, bielutkiego jak śnieg. Stałe wyposażenie rolnicze stanowiły: pług, brony tudzież drobniejsze narzędzia.

Zazwyczaj pracował do wieczora przy wtórze szczebiotu, pisku i kwilenia hałaśliwego ptactwa, zwłaszcza często tu spotykanych czajek, które latały nisko tuż nad jego głową.

Przed zmierzchem ptaki stawały się bardziej natarczywe. Mendel słyszał wyraźnie artykułowane w ich szczebiocie dźwięki przypominające słowa: czyj Żyd, czyj Żyd. Wówczas odkrzykiwał ze złością: grądzki Żyd! grądzki Żyd! nie rozumiecie? Swoje narzędzia ładował na wóz i wyruszał w drogę powrotną przez wieś a przy różnych okazjach z humorem opowiadał o swojej rozmowie z czajkami.

Żona jego, Rywka, zajmowała się wychowywaniem dzieci, pamiętam, że dbała, nie tylko o ich schludny wygląd, ale i zachowanie się względem innych, zwłaszcza osób starszych. Najwięcej kłopotu sprawiała jej niefrasobliwość Fajgusia, który wracał ze wsi umorusany, usmarkany. Rodzina ta nie wyróżniała się niczym, z dawna wrosła w pejzaż wsi, była jej częścią jak inni.

Groźne wieści zaczęły napływać do Grądów, po otwarciu getta w Dąbrowie Tarnowskiej. Pamiętam, był ciepły, letni dzień, po wsi rozeszła się wiadomość, iż po Żyda Mendla przyjechali Niemcy w towarzystwie wójta L. Wendlanda z Mędrzechowa, zwanego Gruby.

Mój kolega śp. Roman Łosowski skrzyknął kilku chłopaków ciekawych tego co się będzie działo. W końcu tylko my dwaj pobiegliśmy za stodołę Wawrzyńca Rejowskiego, sąsiada Mendlów i przycupnęliśmy za rozłożystym krzewem orzecha laskowego, tuż przy gościńcu. Stąd widzieliśmy doskonale podwórko Mendlów i drabiniasty wóz z zaprzężonym doń znanym nam dobrze koniem. Gospodarz widać mocno zafrasowany, wynosił z domu i układał na

wozie różnej wielkości tobołki i pakunki. Na koniec przyniósł przewiązane sznurkiem pierzyny.

Wójt Wendland tymczasem spacerował z pistoletem P–3W w ręku i choć nie widział, że pół przytomny z rozpaczy Żyd przynosił jedne, a odnosił ma powrót inne paczki, zaczął się niecierpliwić. Rozeźlony szef, bo tak się kazał tytułować nasz wójt, brutalnie poszturchiwał Żyda w bok pistoletem. Aj waj, aj waj, żałośnie zawodził Mendel. Na koniec wyszła z domu żona z dziećmi, wszyscy głośno płakali. Ostrym głosem i groźbą użycia broni wymusił uciszenie się i zajęcie miejsca na wozie.

Na gościńcu nie było nikogo, przerażeni mieszkańcy pochowali się w zagrodach, może nie chcieli widzieć tej rozdzierającej sceny. Kolega mój, Roman, uciekł w chwili, gdy wójt szedł wolno ku gościńcowi i nim doszedł na środek, ja też zdążyłem umknąć ku domowi.

Pamiętam również z opowiadań, iż niektórzy Żydzi, wykorzystując dawne znajomości, uciekali na wieś, kryli się w zagajnikach, mając oparcie u przyjaciół. Z sympatią i uznaniem mówiono o Żydzie z Pilczy. Żyd ten wrócił szybciej niż wozy, którymi ich odwożono do getta, odtąd koczował w polach, krzakach, strychach pustych domów.

Ta scena wywożenia Żydów do getta, była zaledwie uwerturą do ponurego dramatu, jakim okazała się hitlerowska okupacja. Nie można nie wspomnieć, że wójt Wendland przyczynił się do śmierci 40 ofiar, zanim został dyskretnie otruty z wyroku AK.

Jego trumnę partyzanci przenieśli nocą na bagna, by Niemcy nie odkryli prawdziwej przyczyny śmierci. Ale śmierć nie przestała pukać do naszych domów – w okolicy wciąż ktoś ginął.

Czas zaciera ślady upiornej przeszłości, która odchodzi w niepamięć, jakby odpłynęła wraz z nurtem pobliskiej Wisły, burzliwej jak tamte dni – kończy swą opowieść Mieczysław Wołowiec z Grądów w Kurierze Dabrowskim, nr 9, 1997 r.

Mord w nocnej scenerii

Mieczysław Wołowiec
Kurier Dąbrowski, nr 11, 1997 r.

Podczas okupacji hitlerowskiej do naszego domu w Grądach przyszedł stryj Andrzej Wołowiec, który mieszkał wtedy w przysiółku Kopacz w gminie Mędrzechów. Mogło to być w 1942 lub 1943 roku. Nikt w tym czasie nie był wesoły, ale stryj przejawiał większe niż zwykle przygnębienie, był przytłoczony jakimś wewnętrznym brzemieniem. Nigdy dotąd ani ja, ani rodzice moi nie widzieliśmy go w tak skrajnie pesymistycznym nastroju. Na pytanie mojej matki odparł ze smutkiem w oczach: – Gdybyś ty Stefa wiedziała, co ja przeżyłem parę dni temu... To nie mieści się w wyobraźni. I tak zaczął snuć grozą wypełnioną opowieść o tym, jak to przed paroma dniami około godziny 21 wkroczyło do jego domu dwóch Niemców z bronią. Jeden miał karabin przewieszony przez ramię, a drugi trzymał swój w rękach, gotowy do strzału. Mówiący po polsku Niemiec rzekł: Gospodarzu, proszę zabrać szpadel i pójść z nami. Z doświadczenia paru lat okupacji wiedzieliśmy, co takie polecenie oznacza, dlatego przestraszona żona próbowała odwieść ich od tego zamiaru. Rozsierdzony Niemiec przerwał jej wpół słowa stanowczym i nie mniej złowrogim stwierdzeniu: – Uspokój się kobieto, bo i ciebie też zabierzemy. Jej płacz nie zrobił na nich żadnego wrażenia. W sionce stał szpadel, więc wziąłem go i poszedłem przodem, a za mną obaj przybysze, z których jeden skierował lufę w moje plecy. O ucieczce nie można było nawet myśleć, wobec tego zdałem się na łaskę i niełaskę losu. Myśli wirowały, serce gwałtownie łomotało, jakiś paraliż owładnął mną. Pacyfikacja czy rozstrzelanie zakładnika, przemknęło przez myśl. Wkrótce doszliśmy do szosy prowadzącej z Bolesławia ku Szczucinowi. Droga na wprost otwierała zamazany obraz mędrzechowskiego cmentarza. Za tym skrzyżowaniem dróg, po lewej stronie była (i jest) figura św. Tomasza, a po prawej na szosie i poboczach dostrzegłem samochody cię-

żarowe, wokół których kręcili się uzbrojeni Niemcy. To oni posługiwali się latarkami kieszonkowymi, dzięki którym zobaczyłem obok figury stojących ze szpadlami mędrzechowskich chłopów. Ich nazwiska zatarły się tuż w pamięci. Jakby mało było tego, opodal w osłoniętym młodymi olszynami i chaszczami obniżeniu jacyś ludzie kopali dół. Za kilka minut powietrzem targnął terkot broni maszynowej przeplatany metalicznym szczękiem i przeraźliwym krzykiem, prośbami o darowanie życia.

Niebawem zapanowała przejmująca grozą cisza, jak po przejściu kataklizmu. Nikt nie śmiał się odezwać, porażeni strachem stali w bezruchu – czekali. I tylko św. Tomasz z kamiennym spokojem patrzył na hańbę „rasy panów", bolał nad brakiem przełożenia jego nauk na otaczającą nas rzeczywistość. Zło triumfowało, było silniejsze. I wtedy padł rozkaz pogrzebania tych, co przez chwilą kopali te doły dla siebie. Mordercy ostrzegli, że za opieszałość lub próbę ucieczki grozi, jak to zaakcentowali, kula w łeb. Nagrodą za dobrą pracę będzie odejście do domu, zapewnił polskojęzyczny oprawca. W rozmowie ze swym kolegą nie szczędził przekleństw pod adresem Żydów (...Jude), bo w świetle latarki zauważył, że niektórzy jeszcze się poruszają, jęczą, powoli nieruchomieją pod warstwą ziemi, która kaskadami spada na nich. Czy mogliśmy pomóc im? Nie. Po naszym odejściu samochody zawarczały, mordercy odjechali. Powrócić nie mogliśmy, bo nie widzieliśmy, czy ktoś nie pozostał i czy nie powrócą z nowymi ofiarami.

Od tej chwili każde wyjście do sklepu lub urzędu oznaczało odtworzenie ponurej, nocnej scenerii – pamięci nie dało się oszukać. A ta drążyła świadków w środku, obsesyjnie przywoływała dawno wygasłe obrazy i echa, w dzień i w nocy. Dziś, po upływie 57 lat, poprosiłem najstarszego mieszkańca Kopacza, 94–letniego Jana Chmurę o wspomnienia z tamtych lat – epoki pieców. I tak usiedliśmy przy oknie, nieopodal miejsca opisanej tragedii, którą mój rozmówca oglądał z ukrycia.

Dobrze pamięta, że żandarm niemiecki Engelbert Karol Guzdek, zabójca setek Polaków, w towarzystwie innych Niemców

przywiózł siedem osób obojga płci, Żydów prawdopodobnie z Radwana i ustawiwszy je w szeregu na wprost figury św. Tomasza, podchodził od tyłu do każdego i strzelał z pistoletu. Zabici upadali do tyłu. Ktoś z Mędrzechowa, nazwiska już nie pamiętam, zasypywał dół ziemią.

Owo wejście w sferę szczegółów uplastycznî i doda lokalnego kolorytu naukowemu opisowi (vide: „Krwawe upiory", s. 170 pióra Adama K. Musiała, z 1993 r.). Ów monstrualny kanibal Guzdek naznaczony był zbrodnią, chorobliwą fascynacją śmiercią.

W dalszej rozmowie jeszcze Jan Chmura dopowiedział, że po wojnie Żydzi przyjechali tu i wykopali szczątki ziomków, ale gdy wykopywali, to ciała były już w rozkładzie. Więc się tak babrali, „grajdali" rękami, wydobywając z ziemi, że niemiło było patrzeć, bo on to widział. Te szczątki zabrali i pochowali z żydowskim ceremoniałem na swym cmentarzu, bo tak wtedy mówiono. Ja to miejsce, dziś piszący, pokazuję na załączonym zdjęciu. Patrzy się ten św. Tomasz w miejsce tragedii. Gdyby mógł mówić, to z pewnością dużo więcej i dokładniej opowiedziałyby o zaistniałej wtedy masakrze Żydów. A ja tylko tyle zapamiętałem z opowiadania mego stryja Andrzeja Wołowca, który już nie żyje i to co mi opowiedział rolnik, a obecnie kombatant i emeryt Jan Chmura, najstarszy mieszkaniec Kopacza – przysiółka Mędrzechowa. Więc to opisałem i niech pozostanie dalej w pamięci potomnych.

Dlaczego nie uciekł Żyd Fisiek?

Mieczysław Wołowiec
Nowe Powiśle Dąbrowskie, nr 2, 1998 r.

W mojej rodzinnej wiosce Grądy od przedwojnia do chwili holocaustu, mieszkał Żyd o nazwisku Fisiek. Dom jego pokryty był papą, podczas gdy inne, podobnie usytuowane w zwartej, szeregowej zabudowie, pokryte były z reguły słomianą szczechą.

Dom Fiśka usadowił się w centrum wsi, tuż za szkołą gromadzką tj. pomiędzy zagrodą Józefa Olearczyka, zwanego Stelmachówką (lutował garnki, naprawiał różne sprzęty), a domem Stanisława Olearczyka i jego żony Salomei, którego przezywano Krakowiakiem. Przezwisko to przylgnęło doń dlatego, że jako były ułan przy różnych okazjach manifestował swą przynależność do wspomnianej formacji wojskowej. Dobrze zapamiętano, że podczas różnych uroczystości np. wyświęcanie księży (prymicje) lub dożynek, pojawiał się w stroju krakowskim i na koniu. Ten teatralno–folklorystyczny gest ożywiał i urozmaicał oprawę imprez, przydawał barwy ich tłu.

Fisiek miał żonę potężnej tuszy, toteż na widok idącej przez wieś zwykło się słyszeć uwagę w rodzaju: o idzie gruba Fiśkowa. Nawet imienia jej nie wymieniano, dlatego poszło w zapomnienie. Fisiek był chuderlawy, średniego wzrostu i nie tyle to go wyróżniało, ile charakterystyczny, szybki chód, dlatego mawiano: o idzie chybki Żyd Fisiek. Nie należał do ludzi odważnych i zdecydowanych, robił wrażenie raczej bojaźliwego, niepewnego siebie, niemniej jednak umiał sobie zjednać przychylność i szacunek w naszym środowisku. Jego dwaj synowie pracowali zarobkowo, usamodzielnili się przynajmniej finansowo. Starszy Duwed specjalizował się w szewstwie; młodszy, którego imię zatarł czas, był wyrobnikiem wynajmującym się do pracy w Grądach i innych wsiach, zyskując przychylne opinie gospodarzy. Żyda tego znałem i dobrze pamiętam, jak pracował u rolników przy żniwach i wykopkach, a także przy młóceniu cepami zboża jesienią, a nawet w zimie. Pieniędzy od gospodarzy nie brał, wolał mąkę, ziemniaki, warzywa lub bochenek chleba. Dobrze go znał też mój przyjaciel Henryk Czupryna, liczący dziś 73 lata, który mieszkał nieopodal jego domu. Henryk opowiadał mi wiele o Fiśku, o jego krewnej starej Hoimce. Kiedy udawał się do niej w odwiedziny, zazwyczaj wstępował i do nas, bo lubił rozmawiać z rodzicami o ważnych dla wsi sprawach.

W święta żydowskie zwykle przynosił mace, cienkie prostokątne placki z bielutkiej mąki i wypieczone tak mocno, że łamały

się niczym szkło. Mamie, tacie i mnie dawał ze słowami: „Jedz dziecko, jakie te mace kruche i dobre". Z przekonaniem zachwalał, toteż łamałem je i chrupałem jak królik, choć nie smakowały mi. Mace były robione na wodzie, nie solone, cienkie, podziurawione.

Rodzice moi je też kosztowali, ale po odejściu Fiśka, mówili między sobą, że placki te nie odznaczają się walorami smakowymi, a spożycie ich w nadmiarze, może spowodować zatwardzenie.

W innych domach też rozdawał mace, ale nikt nie oceniał ich krytycznie, bo rozumiano, że związane były z żydowskimi świętami., ich obyczajem i tradycją. Taki był ten Żyd Fisiek. Z nastaniem okupacji sytuacja Żydów stała się rozpaczliwa. Żydów z Grądów, podobnie jak innych, wywożono furmankami do getta w Dąbrowie Tarnowskiej.

Trwożne wieści obiegły wszystkie tytuły prasowe, potwierdzili je ludzie, jeżdżący okazjonalnie do miasta. Nawet dzieci wiedziały, że Fisiek uciekł i tuła się po wsi, ukrywał w stodołach i oborach, a nawet w domach z dala od wsi, na odludziu. Wyżywienie otrzymywał od litościwych ludzi w okolicy. Henryk Czupryna zapamiętał następujące zdarzenie. Do domu Władysława Czupryny, tj. ojca Henryka, przyjechali na rowerach policjanci z posterunku policji granatowej w Mędrzechowie: Komendant Lewandowski i posterunkowy Mech. Niebezpieczeństwo zawisło nad obecnymi w tym domu, bo w drugim pomieszczeniu pędzono bimber, nazwany burocorą.

Dobrze to rozumiał gospodarz i jego syn, a także chłopcy, koledzy Henryka: Wojciech Tracz i Tadeusz Skoczylas z sąsiedniej wsi Wólki Grądzkiej. Przybysze wjechawszy na podwórze, zapytali, czy jest tu jakiś Żyd. Po usłyszeniu odpowiedzi przeczącej, Lewandowski udał się do stodoły, otworzył drzwi. Po czym z kolei zajrzawszy do obory, głośno zawołał: Wyłaź! Nikt jednak nie wychodził. Mech natomiast udał się do domu i ku przerażeniu obecnych wkroczył do izby, w której pędzono bimber. Rozejrzawszy się, zadał tylko jedno pytanie: Czy nie ma tu Żydów? I nie zwrócił uwagi na to,

co się tu robi, a może starał się zrobić takie wrażenie. Na podwórzu czekał nań Lewandowski i obaj udali się do sąsiada Jana Starsiaka. Tu zatrzymawszy się przy stodole, która stała tuż obok wiejskiej drogi, zawołali: Wyłaź! W drzwiach stodoły ukazał się Fisiek.

W tym czasie z domu wybiegła żona Starsiaka Nela, która swoje wyreżyserowane zdziwienie wyraziła w słowach: rany boskie, skąd się tu wziął w naszej stodole, skoro nikt nie wiedział, że on tu jest. Najprawdopodobniej było tak, że Fisiek młócił zboże u Starsiaka i ukrywał się tu. Starsiakowa uległa panice, wiedząc co ich czeka za udzielenie schronienia zbiegowi z getta. Za takie przestępstwo groziło co najmniej wywiezienie do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Strach udzielił się Władysławowi Czuprynie na myśl, że Mech może zameldować o wszystkim Niemcom, a pędzenie bimbru było zakazane i karane. W takim przypadku Niemcy wymierzą najsurowszą, z możliwych za to wykroczenie, karę. Trwoga opadła go skutecznie, bo wiedział, że policjant jest tak strwożony, iż po pierwsze widzi... czym prędzej pognał więc do sąsiada Józefa Misterki z prośbą, by ten wykorzystał swą zażyłość z Mechem dla zażegnania groźby. Sprzyjała mu okoliczność, że posterunkowi bywali tu w czasie świniobicia, by zaopatrzyć się w wyroby. Misterka miałby obiecać Mechowi przywiezienie do domu wędlin przy najbliższej okazji. Lewandowski tymczasem zlecił doprowadzenie Fiśka do Mędrzechowa, a sam udał się do wsi, w stronę Bolesławia.

Tak się też stało. Mech podążał za idącym przodem Żydem, dopóki nie zagadnął go stojący na mostku przy swej zagrodzie właśnie Misterka, który poprosił Mecha o chwilę rozmowy. Przebiegły gospodarz wiedział, że na człowieka składa się ciało i dusza – moce sprzeczne. Wiedza ta wsparta życiowym doświadczeniem, podsunęła mu najwidoczniej pomysł skutecznego osaczenia policjanta. I rzeczywiście Mech nie zameldował o tym, co widział.

Dzięki temu manewrowi Fisiek szedł sam powoli ku Mędrzechowie i oglądał się trwożliwie, czy policjant jedzie już za nim. Przedłużająca się tymczasem rozmowa sprawiła, że Żyd doszedł do rowu melioracyjnego, płynącego blisko przysiółka Bór Grądzki.

Rów ten był dość głęboki i ciągnął się przez Wólkę Grądzką w kierunku lasu mędrzechowskiego. Konfiguracja terenu, a także odległość (800 m) od Mecha. rokowała nadzieję udanej ucieczki do lasu. Fisiek czekał jednak przy rowie na policjanta.

Nikt nie wie, dlaczego tak a nie inaczej zachował. się policjant Mech, czy umiejętnie umożliwił pojmanemu ucieczkę. Dlaczego Fisiek nie umknął, rów ten zaprowadziłby go niechybnie do lasu. Może miał dość życia w ciągłym strachu, uciekaniu, ukrywaniu w cudzych stodołach i stajniach. Zbrzydła mu poniewierka o chłodzie i głodzie. A może osadzenie w getcie nie kojarzyło mu się jeszcze z perspektywą późniejszej totalnej zagłady Żydów.

Tak czy owak Fisiek czekał na swego stróża, po to by trafić do getta, po raz wtóry i ostatni. Niebawem ojciec mój będąc w Dąbrowie Tarnowskiej zobaczył, jak Niemcy strzelają do Żydów, łapią ich i mordują. Strach, przerażenie malowały się na twarzach wszystkich, także Polaków szukających schowka.

Po tej iście apokaliptycznej masakrze, mieszkańcy miasteczka wychodzili z ukrycia, a z nimi ojciec mój, który rozpoznał wiezione na konnym wozie z gnojnicami ciało Fiśka.

Nogi zabitego bezwładnie zwisały, rzec można dyndały w takt poruszającego się pojazdu. Krew ściekała na bruk. Zamiatacze posypywali piaskiem ciemne plamy na trotuarze. Ojciec po powrocie z jarmarku opowiadał nam i sąsiadom, a słowa jego trafiały w nas niczym kamienie.

Dziś po upływie pół wieku z okładem opowiadanie językiem pióra o tragedii Żydów wydaje się niewystarczające i wcale nie chodzi tu o upadek słowa pisanego, a raczej o doskonalsze formy ekspresji.

Ucieczka małej Hajki

Mieczysław Wołowiec
Nowe Powiśle Dąbrowskie, nr 2, 1998 r.

Powrót do tych wspomnień jest operacją okrutną, ale bardzo pouczającą. Mimo wielkiego nagromadzenia okrucieństwa i strachu, pozostawiona samopas żydowska dziewczynka, po niedługiej tułaczce o głodzie i chłodzie, przygarnięta przez polską rodzinę, ocalała.

W Grądach, mojej wsi rodzinnej – mówi Mieczysław Wołowiec – mieszkała Żydówka Hoimka, przezywana Kuziocką, jako że przybyła do Grądów z przysiółka Kuzie w gminie Bolesław. Na jej barki spadło wychowanie Hajki, najprawdopodobnie wnuczki, bo o rodzicach małej nie słyszałem. Hajkę pamiętam doskonale jako współuczestniczkę dziecięcych zabaw odbywanych przed jej domem, który niedawno został zburzony. Dziś na tym placu pozostała jedynie murowana piwnica. Nasze częste obcowanie wypełniały rozmowy, zabawy, a także, rzec można, nauka, bo Hajkę interesowały nasze obyczaje, modlitwa, tudzież ceremonii kościelne. Dziewczę doprawdy było pojętne, w krótkim czasie nauczyła się pacierza, który chętnie odmawiała nie gorzej niźli jej katolickie rówieśniczki.

We wrześniu 1939 r. usłyszeliśmy, że wrogie hordy przewalają się szosą przez Mędrzechów ku Szczucinowi i dalej na wschód. Mimo zakazu rodziców, wiedzeni nieodpartą ciekawością zebraliśmy się na szosie. Włodzimierz Wierzbicki, Roman Łosowski i ja stanowiliśmy grupkę śmiałków, która pobiegła na Kopacz, przysiółek Mędrzechowa, by z bliska przyjrzeć się najeźdźcy. W tumanach kurzu jechały motocykle w niedużych od siebie odstępach. Z tyłu na siodle siedział żołnierz z karabinem, drugi tkwił z boku w koszu przy cekaemie. Zarówno oni, jak i kierowca byli przykryci warstwą kurzu. Od tej chwili wszystko zaczęło przewracać się do góry nogami. Przykre zgrzyty poczęły wdzierać się w ciszę wiej-

skich opłotków coraz natarczywiej i hałaśliwej z brutalnością godną azjatyckich Hunów. A zaczęło się to wszystko od wywieszenia plakatu na ścianie stajni Marcina Chrabąszcza. Treść plakatu zaskoczyła wszystkich, bo wróciła uwagę ku temu, co może się wkrótce wydarzyć. Strwożeni przechodnie oglądali postać brzydkiego Żyda z nie mniej paskudną brodą i obwisłymi pejsami, a pośród nich okazałą wesz. Zarówno obraz, jak i całe przesłanie plakatu nie budziło wątpliwości co do intencji autora – wymowa była jednoznaczna. W drodze do szkoły patrzyliśmy na ten malunek z niesmakiem, wiedzieliśmy bowiem, iż właściwą barwę plakatu stanowi propagandowa obłuda i rasowa nienawiść. Przecież bywając na co dzień w żydowskich domach, widzieliśmy schludność i porządek, dbałość o wszystko, co składa się na wizerunek kulturalnego domu. Plakat ten wyrósł do rangi znaku czasu, w sposób plastyczny zwiastował zmianę w stosunku do tej mniejszości narodowej. Coraz wyraźniej posępniało oblicze każdego dnia. W dąbrowskim getcie było rojno i gwarno, konne wozy podążały ku miastu. Ciotka moja, Aniela Jurczyk, mieszkająca na wprost domu Hoimki była świadkiem rozdzierającej sceny, kiedy to babka Hoimka, rozstawała się na zawsze z wnuczką Hajką. Zrezygnowana babka usadowiła się na wozie gotowa do odjazdu Wnuczka tymczasem stała przy niej ze łzami w oczach, trzymała się spódnicy i zapewniała, iż także chce jechać. Babka odpychała ją ze słowami: „Dziecko, uciekaj między ludzi, a ja muszę odejść, przepaść bom stara i nic na to nie poradzę. Tyś mała, ale już o tyle zaradna, że potrafisz ukryć się gdzieś. Może ktoś przyjmie cię do siebie, może przetrwasz ten koszmar, żegnaj".

I tak za Hoimką zamknęła się brama getta, jak się wkrótce okazało, na, zawsze, bo padła ofiarą najbliższej strzelaniny. Hajka tymczasem poszła w pole, noce spędzała w stodołach, spała gdzie popadło, żebrała. Nie było zaskoczenia, gdy spoza pagórka, tuż za naszą stodołą, wychyliła się opatulona głowa i ruch ręki przywołał moją matkę. Na polecenie matki zniknąłem z podwórka szybciej niż się tu pojawiłem. Po chwili matka, wróciwszy ze spotkania z tajemniczą postacią, zakrzątnęła się w kuchni, ukroiła cztery kromki

chleba, posmarowała masłem, dorzucając kawałek sera i owinęła kawałkiem płótna, po czym szybko wyszła. Z rozmowy rodziców dowiedziałem się iż zawiniątko otrzymała Hajka. Dziewczynka żaliła się, że od wczoraj nie jadła, kryje się w zaroślach, sypia w szopach. Nie trudno było zrozumieć, że sceneria dziecięcego dnia w ucieczce była pedantycznie okrutna. Zwykle budziła się wcześniej niż gospodarz, wcześniej wybywała, najpóźniej zagrzebywała się w słomie, gdy już światła pogasły. Jakkolwiek dzielnie znosiła trudy, to jednak widać było, że zbliża się do kresu wytrzymałości psychicznej i fizycznej.

Mimo wszystko jej prośba o przyjęcia pod nasz dach nie mogła być spełniona, bo wszyscy ją tu znali. Wobec powyższego matka doradziła jej, by wymyśliła sobie polskie nazwisko, także życiorys i jako sierota, ofiara wojny, szukała w obcych wsiach ludzi samotnych, potrzebujących pomocy w zajęciach gospodarskich, najlepiej pasterza do wypasania bydła. Tę rozmowę rodziców podsłuchałem przez nie domknięte drzwi, mimo że matka przezornie ściszyła głos. Niebawem pocztą pantoflową dotarła do nas wieść, że Hajkę ktoś złapał i zaprowadził na posterunek policji w Mędrzechowie. Przesłuchujący ją jakiś Niemiec, po usłyszeniu pacierza, nakazał uwolnienie podejrzanej. Ten, który przyprowadził, nie dawał za wygraną, ściśniętej ręki nie wypuścił. Jego protesty nie zmieniły decyzji policjanta, w końcu dzielna Hajka wyrwała się z łap zbira i szybko oddaliła ze słowami: „Przecież ten pan mnie wypuścił, a wy mnie trzymacie". Uciekinierka szczęśliwie dotarła do niedalekiej wsi Olesno i stanęła przed stodołą Tomasza Szado; bała się zbliżyć. Był to rok 1941. Dziś po tylu latach rodzina Szado przywołuje obraz wystraszonej dziewczynki przybyłej w zasadzie w koszuli. Gospodarzowi opowiadała, że przyjechała ukraińskim transportem i zgubiła się, ale jest Polką, nazywa się Wanda Kogucik. Jeszcze raz udało się. Nazajutrz bawiła się w gromadce ośmiorga dzieci swego wybawcy i nikt się nią nie interesował, wiadomo, sierot wówczas nie brakowało i chodź ludzie z Grądów w drodze na jarmark rozpoznawali w małej pasterce w Oleśnie grądzką Hajkę, to

jednak nie znalazł się nikt, kto by nie zachował dyskrecji. Przybyszka wykonywała prace domowe, gotowała obiady dziadkowi, w niedzielę szła na nabożeństwo w pobliskim kościele. Dziadek tak się do niej przywiązał, że chciał zapisać jej gospodarstwo. W Wielkiej Brytanii, dokąd w roku 1946 zabrali ją Żydzi, została adwokatem i wyszła za mąż za Żyda z Krakowa. Hajka, owszem, dziewczyna hojna, dziadka wspierała finansowo, pisała listy. W 1988 odwiedziła swych dobroczyńców i znajomych zarówno w Oleśnie, jak i w Grądach. Po raz ostatni oglądała stojący jeszcze wówczas dom jej dzieciństwa. W czasie ostatniej wizyty sporo mówiła o pracy, która nadaje sens istnieniu, pozwala wycieczki w stronę wyobraźni cierpienia ograniczyć. Bo zapomnieć nie wolno!

Nowy Wiśnicz

Po starej przyjaźni

Piotr Świątek, ur. 29.VI. 1912 r. w Nowym Wiśniczu koło Bochni. Właściciel domu, ogrodu i sadu. Domostwo położone peryferyjnie na skraju osady, rzadko odwiedzane przez obce osoby. Okoliczność ta ułatwiała konspirację, chroniła przed ciekawością i wścibstwem. Z Żydami łączyła nas stara przyjaźń i stare kontakty, które utrzymywały się po wprowadzeniu różnych zakazów wobec Żydów, ograniczeń ruchu. Żydzi nosili opaskę z gwiazdą Dawida, słyszało się o aktach terroru, bezkarnym biciu i zabijaniu Żydów. W roku 1942 Żydzi wiedzieli, że lada chwila znajdą się w getcie. Odważniejsi próbowali różnych sposobów, by przeżyć ten koszmar. Jedni szukali schronienia w pobliskich lasach, drudzy u znajomych. Krajobraz jest tu urozmaicony. Pagórki, wąwozy, a szczególnie las, utrudniały okupantowi penetrację okolicy. Ci kryjący się w lesie, od początki uzależnieni byli od pomocy mieszkańców. Tego Żyda ukryła żona Janina, bo ja byłem w pracy. Zgodziliśmy się go przyjąć na kilka tygodni, a był to nasz znajomy Hirsch Abusch. Uciekł z getta w Bochni i na początku ukrył się w stodole. Nie przeczuwaliśmy, że u nas w okolicy przetrwa wojnę. Pracowałem w charakterze doręczyciela w Urzędzie Pocztowo–Telekomunikacyjnym w Nowym Wiśniczu. Funkcja ta sprzyjała nawiązywaniu kontaktów z wieloma osobami, także Żydami, którzy zajmowali się tak zwanymi interesami. Obracałem się wśród urzędników, policjantów, prawników, a z czasem nierzadko i Niemców, bo pracowałem przed i w czasie wojny w dużym gmachu w centrum osady o charakterze miejskim, gdzie była siedziba naszego urzędu, policji i sądu. Znałem osobiście policjantów, było ich pięciu czy sześciu. Na początku okupacji Żydzi byli w swych domach, ale wnet nie było im wolno swobodnie się poruszać. Abusch miał sklep, był mym dobrym znajomym, więc mimo tych zakazów

przychodził do mnie do urzędu telefonować do znajomych i krewnych, bo czuł rosnące zagrożenie. Policjantów prosiłem, by pozwalali mu tu przychodzić i telefonować. Miał sklep z towarami mieszanymi, był średnio zamożny, kawaler. Matka zginęła w Bochni, a brat gdzieś się ukrył i przeżył zagładę, a po wojnie zmarł w USA.

Gdy nie wolno im było wychodzić poza dom, przychodził do mnie w nocy. Okna urzędu były zasłonięte zasuwanymi firanami. Pamiętam, że dzwonił do Żydów prosząc o żywność. Nieraz wracaliśmy w nocy. Mój dom stał na miejskich polach, z data od sąsiadów, którymi byli dwaj gospodarze. Z Wiśnicza szło się do mnie zakrzaczonym wąwozem. Czterej rabini z Wiśnicza przychodzili w nocy do nas tym wąwozem po mleko, które żona przygotowywała. Wywieźli ich do getta w Bochni, ale część się ukryła. Znaliśmy się bardzo dobrze. Kilku chodzących po żywność nosiło broń krótką. Jeden z nich, Morys, był po wojnie generałem w Izraelu, zmarł już. Zaszyli się w lasach 1–2 kilometrów stąd. Chroniły ich osłonięte lasem wąwozy, pagórki, doliny. Mieli rodzinne bunkry. To było chyba jesienią. Abusch poprosił o ratunek, nic nie obiecując. Żona schowała go w stodole. W słomie wydrążyli wnękę i ukrywał się tam, by nasi synowie nie mogli się o tym dowiedzieć. Przyszedł do nas przemoczony, gdyż padał deszcz ze śniegiem. Miał tylko odzież na sobie. Dałem mu swoje ubranie, by miał się w co przebrać. Był wygłodzony i przemarznięty. Opowiadał, że uciekł z Bochni, z grupy prowadzonej na rozstrzelanie. Nie wiedział, dokąd uciekać i przyszedł do nas, bo nas zna. Odtąd niebezpieczeństwo zawisło nad naszym domem. Ograniczyliśmy wychodzenie z zagrody i przyjmowanie obcych. Byliśmy czujni, ostrożni, staraliśmy się mało mówić, dużo słuchać. Żona zanosiła mu pożywienie. Nie płacił. Po paru tygodniach żona dała mu ubranie i żywność, i w nocy wybrał się w drogę do kogoś znajomego. Wcześniej porozumiał się z ukrytymi w Leszczynie, wsi, położonej osiem kilometrów stąd, też w gminie Wiśnicz. Idąc tam nie wiedział, jak zostanie przyjęty, bo terror był niesamowity i ludzie bali się o życie. Nie wykluczaliśmy jego powrotu. Jednak myśl o znalezieniu bez-

pieczniejszego miejsca nie odstępowała go. Później opowiadał, że został przyjęty serdecznie. Myśmy nie wiedzieli, gdzie jest, bo sam nie był pewien, czy go przyjmą i kto. Nadto zasady konspiracji zalecały dyskrecję. Jego dobrodziejem i wybawcą został zamożny rolnik, może ziemianin, bo miał duże zabudowania, okazałe stodoły, choć już tylko 12 morgów ziemi i parę koni. Ukrywali go w stodole, w zimie nocami przebywał w mieszkaniu. Znali się dawno, bo Abusch kupował u niego zboże. Żyd nie miał pieniędzy, nie płacił. Zagrożenie sprawiło, że stąd poszedł, ale i tak przeżył.

Po wojnie wyjechał do Izraela i do dziś pisze listy. Miał sklepik, obecnie przebywa na emeryturze. Odwiedzał nas kilkanaście razy, prawie co roku. Należał do Żydów religijnych, chasydów.

Z ramienia rabina objeżdżał cmentarze, którymi się opiekował. W chwili przyjazdu tylko u nas spał, bo tu czuł się najlepiej, mimo że zapraszano go na pobyt do Krakowa, Tarnowa. Syn woził go samochodem, żonę mą traktował jak matkę. W Wiśniczu były dwa sklepy z towarami mieszanymi w rękach Polaków, kilkanaście innych mieli Żydzi. Rabin przysłał mi podziękowania za to, że Abusch tu bywał nawet z rodziną i mieszkał, gdy zajmował się konserwacją cmentarzy. Po raz pierwszy był u nas po czterdziestu latach i nie poznaliśmy go. Bał się do nas pisać, abyśmy nie mieli kłopotów z UB. Przywoził produkty spożywcze, owoce, kawę.

W roku 1992 pisałem podanie o przyznanie mi medalu, który przysłali po dwóch latach. Pamiętam, że na tych Żydów w naszym lesie Niemcy urządzili polowanie i zabijali ich. Dlatego opuszczali bunkry, rozpraszali się po wsiach, zaułkach. Morys zwał się inaczej, lecz tak na niego mówiono. Był uciekinierem z getta w pobliskiej Bochni.

Sally była w niebie, a ja w piekle

Irena Dźwigaj z domu Łacna, ur. 3.IV.1927 roku w Morawskiej Ostrawie, gdzie ojciec pracował w hucie miedzi. W roku 1932 wróciłyśmy z mamą i bratem do Połom Dużych, trzy kilometry od Nowego Wiśnicza. Kupiliśmy gospodarstwo o powierzchni 2,5 morgi. Trzy zagrody stały koło naszej, reszta w oddali, co w przyszłości nie było bez znaczenia dla naszego bezpieczeństwa. W roku 1934 ojciec po redukcji wrócił i zajął się gospodarstwem, bo nie było innej pracy. Jedynie dorywczo imał się różnych zajęć, np. przy budowie tamy rożnowskiej i dróg.

Brat mój Władysław, urodzony w 1932 roku, pracował u Abrahama Scheira w Nowym Wiśniczu w garbarni, zatrudniającej 3–4 osób. Stąd ta przyjaźń z Żydami. W roku 1944 zabrali ich do getta. W czasie tej akcji przeprowadzono selekcję, w wyniku której starych, niedołężnych od razu wywieźli do Oświęcimia. Rodzina ta na dwa tygodnie schroniła się u nas w domu na strychu pod dachówką. Dom był mały, kuchnia i pokój. Baliśmy się nie tylko okupanta, ale i sąsiadów, choć byli życzliwi, ale strach wiele może. Mieli tam talerze i sztućce, po drabinie nosiłam im pożywienie. Po dwóch tygodniach ojciec odprowadził ich do getta, gdzie byli z pół roku, po czym wywieźli ich do obozu w Oświęcimiu. Pozostała jednak u nas córka, 20–letnia Sally. Dwa i pół roku była u nas. W pokoju ojciec zrobił przepierzenie bez okna. Wchodziło się z izby i z sieni. W sieni pod podłogą był loch prowadzący do tego pomieszczenia między ścianami. W razie potrzeby podnosiło się deski. Podobnie wchodziło się z sieni, gdzie był drugi tunel. Sally miała w środku posłanie, w skrzyni na zboże. Pożywienie podawałam trzy razy dziennie, pukałam w ścianę i wtedy ona schodziła do loszku po ciepłą strawę. Nieczystości wynosiłam w wiadrze. Raz w tygodniu wychodziła do kuchni i kapała się w drewnianej wannie. W środku miała świecę. Nie chorowała. W zewnętrznej ścianie, którą zasłaniał niski okap dachu, a w lecie krzew winogrona, ojciec wyciął malutkie okienko, zapewniające dopływ powietrza i w razie potrzeby zatykane. Liśćmi z lasu ocieplaliśmy ściany domu na zimę. Spało się w pomieszczeniach nie opalanych, dlatego Sally grubo się ubierała. Religijna była, w samotności odprawiała modły. Dla odwrócenia uwagi sąsiadów i obcych dom był otwarty, a ona

tam zachowywała się cicho. Wychodziła tylko w nocy, gdy dom był zamknięty. Jednak trudno było zachować tajemnicę, gdy sąsiedzi byli blisko. Poszło raz o kozy, a spór rozjątrzył sąsiad, bardzo pewien siebie, bo chyba coś wiedział. W złości wykrzykiwał: gdy zechcę, to postawię was pod ścianę. Ogarnęła nas trwoga, bo karą za ukrywanie Żyda była śmierć. W lesie Bukowcu Niemcy złapali Żydów i zastrzelili ich. O wyrzuceniu dziewczyny jednak nie myśleliśmy. Na dodatek doskwierał nam głód, bo Niemcy wszystko rabowali. Ojciec kroił chleb na kromki i dzielił. Chleb był w kredensie, ale nikt z nas nie śmiał go ruszyć i tylko ojciec mógł go dzielić.

Z początku Sally przebywała w pokoju. Pewnego razu przyszła kuzynka, weszła do kuchni i zawołała: co ta Irka tak uciekła?! Okazało się, że widziała przez okno Sally, ale jej nie rozpoznała. Wobec czego należało pozostawić ją w tym przeświadczeniu. Brat szybko wpakował mnie do pokoju przez okno i udałam, że to ja wybiegłam z pokoju, a nie ktoś inny. Gospodarz z Połomia, Władysław Wojewoda przyszedł do nas i polecił ojcu zaprowadzić gromadkę Żydów do getta. Ojciec bał się kursujących na drogach kontroli. To rozkaz władz, zapewnił. Około 23 przyprowadził trzech Żydów, trzy Żydówki i dwoje dzieci. Inni Żydzi byli już w getcie. A tych ktoś złapał w lesie Rajbrocie w listopadzie 1942 roku. Matka nagotowała zacierki i nakarmiła ich. Nie mieli pieniędzy i nie płacili, jednak, jak zauważyliśmy potem, pod serwetką zostawili parę groszy. Około godziny pierwszej ojciec wziął cepy, poszedł przodem, a oni w odległości pięćdziesięciu metrów za nim udając obcych. Tak doszli do getta w Bochni. W rynku, w Starym Wiśniczu, jak pamiętam, ktoś ukrył Żydówkę. Żydówkę tę zastrzelili pod kirkutem, a Polaka dla postrachu w rynku. Były noce, kiedy ojciec nie mógł zasnąć, czuwał, rozmyślał, bo dochodzące zewsząd wieści siały strach i trwogę. Po ucieczce Niemców Sally wyszła z ukrycia do pokoju, ale nadal baliśmy się cofnięcia linii frontu. Nie mogła patrzeć na śnieg, biel raziła ją, więc stopniowo przyzwyczajała się do normalnego otoczenia. Przyszedł jakiś Żyd i rozpytywał o nią tłumacząc, że jej nigdzie nie widzi. Wnet zjawił się jej narzeczony, który przeżył obóz w Kra-

kowie Płaszowie. Jej siostra przetrwała w obozie w Oświęcimiu z narzeczonym, który był w żydowskiej policji. On ją ukrył w kominie na terenie obozu i dzięki temu ocalała. Mieli zginąć na końcu, ale garstka ocalała. Ta z Oświęcimia była u nas po wojnie, dawałam jej chleb i mleko, Krępowałam się, że to byle co, a ona nazwała to pożywienie rarytasem. Mówiłam, że Sally przeżywała męczarnie w schowku, a ona na to: Sally była w niebie, a ja w piekle. To co opowiadała nie mieści się w głowie. Jak mógł człowiek człowiekowi zgotować taki los? Jeszcze pamiętam, że Władysław Wilczyński w Wiśniczu Nowym, blisko zakładu karnego ukrył dziewięciu Żydów w dużym starym domu. Był to gospodarz pełną gębą, a przed wojną fiakrem. W lasach kryli się dwaj Żydzi i w lecie jakoś radzili sobie, gorzej natomiast było w zimie. Tułali się po stodołach, oborach, choć właściciele posesji nie zawsze o tym wiedzieli. U nikogo nie byli na stałe. Mieszkańcy pomagali im, ale nie odważyli się przyjąć na dłużej.

Nie mogliśmy odmówić pomocy

Aleksander Dźwigaj, ur. 28.II.1917 roku w Nowym Wiśniczu. Rodzice mieli gospodarstwo na miejskich polach (8 morgów). Sąsiedzi mieszkali tuż obok. Moje dzieciństwo spędzałem razem z Żydami i może dlatego ja i moja rodzina nie mogliśmy odmówić im pomocy, na jaką w tych strasznych warunkach biedy i terroru mogliśmy się zdobyć.

Dziś wiem, że gdybym był Żydem, byłbym kimś, bo Żydzi byli tak solidarni, że biednym ale zdolnym pobratymcom pomagali finansowo, by zostali kimś. Moje zdolności zauważyli nauczyciele: Władysław Wojarz i ks. Józef Białka. Wyraźnie wyróżniałem się w rysunkach i pracach ręcznych. W klasie czwartej szkoły powszechnej z kory sosny robiłem ratusz wiśnicki, zamek, kościół od zewnątrz i wewnątrz. Wyroby te kierownik szkoły pokazał w roku 1938 na wystawie prac ręcznych uczniów. Z braku pieniędzy zo-

stałem stolarzem. Uciekłem z domu, by nie paść bydła. Znajomy Żyd pomógł mi w otrzymaniu pracy w zakładzie tkackim przy zakładzie karnym, nazywanym wtedy więzieniem, w Nowym Wiśniczu. Materiał samodziałowy wysyłaliśmy do Łodzi. W czasie wojny zrobiłem sobie warsztat tkacki. Tę surówkę z bawełny ludzie kupowali na koszule i bieliznę. Żywiłem wdzięczność do Żyda, który mi kiedyś pomógł w trudnym okresie życia. Dlatego teraz Żydów zaopatrywałem w ten tani materiał. Na większą pomoc nie było mnie stać. Ojciec przed wojną handlował z nimi. Teraz na krótko przechował dwóch Żydów, ale nie udało się tego utrzymać długo w tajemnicy. Ktoś zauważył i zaczęto się interesować naszym domem. Od życzliwych policjantów dostaliśmy przeciek i Żydzi musieli odejść. Po naradzie z ojcem postanowili udać się w bezpieczniejsze miejsce pod las, do odległego stąd o dziesięć kilometrów Sobolowa.

Sobołowskie lasy są duże, a Niemcy unikali lasów, bali się partyzantów. Ojciec zawiózł ich na wozie. Wnet jednak wrócili pobici i ograbieni, bo mieli dość dużo cennych rzeczy. Poszli do roboty w obozie w Krakowie Płaszowie.

Olesno

Ofiarna szlachetność i zbrodnicza zachłanność

Stosunkowo korzystne warunki dla ukrycia się przed hitlerowskimi prześladowcami mieli mieszkańcy Dąbrówki Gorzyckiej. Mówi o tym Bronisław Waś, urodzony w tej wsi w roku 1928.

Domostwa były rozproszone pośród zagajników i polnych dróżek z dala od publicznego gościńca, zwanego jeszcze do niedawna Traktem Cesarskim. Starała się to wykorzystać żydowska rodzina Lejbów, która miała gospodarstwo rolne w pobliskiej wsi Świebodzinie. Do tej rodziny należały dwie córki i trzech synów w wieku szkolnym.

Gdy zaczęto wywozić Żydów, Lejbowie uciekli ze swojego domu do znajomych z okolicy. Od nich trafili do mojego ojca Antoniego Wasia, błagając o ratunek. Ojciec znał ich od dawna i wiedział, że nie może odmówić tej prośbie.

Zamieszkali u nas i spędzili tu dwa jesienne miesiące. Dom był kryty strzechą, a Żydzi mieli swój schowek na strychu. Nocą gdzieś chodzili w poszukiwaniu żywności, a ojciec pomagał im, uzupełniając częste braki.

Strych został przebudowany w ten sposób, że zmontowano przepierzenie, za którym uciekinierzy czuli się bezpieczniejsi, w stodole wykopaliśmy dół głęboki na półtora metra i o wymiarach dwa na dwa metry. Po brzegach dół ten opleciony był wikliną i obłożony słomą. Dach z desek zasypaliśmy ziemią i zrównaliśmy z powierzchnię otoczenia. Wąskie przejście prowadziło do kryjówki, wyposażonej w okienko osłonięte od zewnątrz gałęziami starej wierzby. Tutaj kryła się matka z córkami. Dodajmy, że mieliśmy wtedy jedną krowę – żywicielkę.

Żyliśmy w stałym strachu, bo Niemcy tropili Żydów, a udzielającym schronienia groziła śmierć w płomieniach własnej chaty. Łatwo było zapłacić głową za chwilę nieuwagi i zwykłe ludzkie ga-

dulstwo. Pewnego razu chodziła po wsi handlarka Kopciowa z Rudy Zazamcza koło Dąbrowy Tarnowskiej. Sprzedawała igły i nici, których nie było w żadnym sklepie. Żydzi czasem bywali w naszym mieszkaniu, a gdy ktoś nadchodził, kryli się w piwnicy. Tym razem nie zauważyli wejścia handlarki i nie zdążyli się schować. Wobec tego rozmawiali z nią, kupili od niej zapas igieł i nici. Kopciowa wyszła i nie spodziewaliśmy się, by komukolwiek opowiedziała o uciekinierach. Tymczasem poszła ona do wdowy Genowefy Liro. Wygadała się, że u Wasia przebywają Żydzi. Na szczęście w czasie obławy nie wykryto Żydów, których chronił mój ojciec w stodole. Wieczorem odeszli w nieznane. Okazało się potem, że przeżyli wojnę. Niestety, nie uratował się jeden z uciekinierów, biegnący w stronę Ćwikowa. Dotarł do Świebodzina, gdzie miał jakieś pieniądze, został jednak złapany.

Po wojnie odwiedził nas Lejba, ojciec rodziny. Mówił o swoim synu Marcinku, mieszkającym w Stanach Zjednoczonych. W liście wysłanym z USA pytał czy żyją ci, którzy ścigali uciekających. Prześladowcy trafili na ławę oskarżonych. Przed rozprawą sądową w Dąbrowie Tarnowskiej oskarżeni prosili matkę, by ich oszczędzała, bo musieli brać udział w obławie, zarządzonej przez Niemców. Bronisław Łata z Pilczy Żelichowskiej, ten sam, który obuchem uderzył ściganego żydowskiego chłopca, został potraktowany surowo i – podobnie jak inni prześladowcy – skazany na wieloletnie więzienie. Najsurowiej potraktowano handlarkę, która doniosła Niemcom o ukrywających się Żydach.

Nawet bez takich donosicieli udzielającym schronienia groziło bezustanne niebezpieczeństwo. Wystarczyło, że Niemcy wpadli po kontyngent lub – co było jeszcze gorsze – w pogoni za partyzantami. Najgroźniejsze jednak były konsekwencje donosów. Piotr Łata i Jan Morawiec zostali na przykład oskarżeni o posiadanie broni. Nie było o nią trudno, bo wiele uzbrojenia pozostawiło wojsko na polach bitewnych we wrześniu 1939 roku. W przypadku Piotra Łaty i Jana Morawca okazało się, że donosiciele byli dobrze zorientowani. Niemcy znaleźli karabin i czapkę pełną nabojów. To wystarczyło do aresztowania obu sąsiadów. Nie wrócili już do swoich domów.

Przeżyliśmy jedną z kolejnych chwil strachu, gdy niespodziewanie zjawił się u nas sołtys. Mieliśmy przecież u siebie ukrytych Żydów. Okazało się jednak, że przyszedł, by wyznaczyć mojego ojca do kopania okopów nad Dunajcem. Trudno mi było pominąć fakt, że sołtys miał trzy krowy, ale nam ostatnią, jaką mieliśmy wyznaczył w ramach kontyngentu. Mnie wyznaczono też do pracy, ale gdy się nie zgłosiłem w ciągu dwóch dni, przyjechali Niemcy i zawieźli mnie do lagru w Diamencie. W miejscowym dworze zebrali Niemcy złapanych i wyznaczonych do budowy umocnień. Trzymali nas w fatalnych warunkach sanitarnych, dawało się dotkliwie we znaki robactwo. Pewnej nocy zrobiłem dziurę w siatce, otaczającej teren i uciekłem przez park dworski, choć ścigał mnie strażnik.

Odnowił się kontakt z dawniej ukrywającymi się u nas Żydami. Choć odeszli, przestraszeni obławami, to jednak zjawili się nocą z prośbą o pomoc. Zapamiętałem nazwiska: bywali u nas Fisiek Zelman z Otfinowa, Szymek z Olesna, ten ostatni postawny, wysoki, i bystry. Fisiek uzbrojony był w pistolet. Wszyscy oni uratowani od zagłady mieszkają w Stanach Zjednoczonych.

Tajemnica Fryderyka Dammera

Z Żydami okrutnie prześladowanymi przez hitlerowców zetknął się też wielokrotnie i to jak inni mieszkańcy rejonu Dąbrowy w okolicznościach niezwykle dramatycznych Zygmunt Tęczar. Urodzony w 1904 r. w Oleśnie. Świadczą o tym jego wspomnienia o charakterze ogólnym, a w miarę sięgania pamięcią w przeszłość, coraz to bardziej osobiste.

Gdy Niemcy utworzyli getto w Dąbrowie Tarnowskiej, Żydzi zaczęli i uciekać w obawie przed wywiezieniem i zagładą. Wykorzystywano dawne znajomości i przyjaźnie. Mogłem się o tym przekonać osobiście dzięki położeniu mojego domu na szlaku tych nie-

szczęsnych wędrówek. Miałem gospodarstwo rolne na skraju wsi Olesno, tuż przy gościńcu prowadzącym do mostu na rzece Żabnicy. Za stodołą zaczynały się pola, wśród nich krzaki, rowy stanowiące osłonę dla prześladowanych. Dalej pola przechodzące w gęste zagajniki, a nawet w większe obszary krzewów i chaszcze. Od Dukli ciągnęły się między Olesnem a Wielopolem aż do Adamierza zadrzewione z gęstym, skłębionym poszyciem. Wiedziałem, że tu właśnie kryją się Żydzi, którzy korzystając z pomocy miejscowych rolników, starali i się przetrwać aż do wyzwolenia.

Dwaj spośród ukrywających się w tym rezerwacie zieleni przyszli do mnie po chleb. Byli to: Samuel Goldberg – właściciel małego gospodarstwa rolnego i handlarz bydła oraz Izaak Goldberg. Dotarli do mnie wieczorem. Później przychodzili tylko w nocy, bo w pobliżu przy stacji Niemcy mieli magazyn ze sprzętem wojskowym w budynkach szkolnych. Kwaterowali w tych budynkach oraz w domach okolicznych rolników. Często można było oglądać i słyszeć ich bez mała 80–osobowy oddział w czasie ćwiczeń na dziedzińcu szkolnym i w przemarszach przez wieś. Po przeszkoleniu wysyłano ich na front wschodni, a przybywali i nowi. Kwaterował tu też oddział sanitarny z weterynarzami.

Lekarze weterynarii mieszkali po domach i mieli swoją kuchnię, ale ludność musiała dostarczać im żywność, zwłaszcza jaja i mleko. Wizyty takich oddziałów nasiliły się pod koniec wojny. Na wiosnę ukryło się paru Żydów w stodole. W nocy grzali się i spali w stajni. Sami doili krowy i pili mleko. Uważali na kwaterujących we wsi Niemców. Radziłem uciekinierom, by na jakiś czas odeszli. Na parę dni znaleźli schronienie u znajomego właściciela dworu – Jana Augustyńskiego. Ukrywali się w piwnicach i oborach. Gdzie niegdzie przygarnęli ich fornale. Zawędrowali też do Oleśnicy. Ostatecznie jednak wrócili na mój teren.

Zrobili sobie kryjówkę w stodole, od strony pola odrywali deski by otworzyć sobie wejście do wnętrza. Tutaj zawsze wracali, nieraz po dłuższej nieobecności. Tutaj też nosiłem im żywność. Uciekinierzy mieli nad głową snopy lub słomę.

Zdarzyło się raz, że dzieci zauważyły ukrywających się i nieświadome grozy sytuacji zaczęły wołać „O Żydzi! Żydzi!". Na szczęście, skończyło się na chwilach strachu. Ryzyko wykrycia uciekinierów było niestety zbyt wielkie, więc opuścili nasz dom, ale tylko na krótko i nadal wracali, po odnowieniu niezbędnych zapasów żywności. Mówili, że w oborach i stajniach szukają ciepła, bez którego przyszło by im zginąć. Nasi sąsiedzi dobrze rozumieli naszą sytuację i zaopatrywali ich w chleb, a nawet masło, które ukrywali przed Niemcami.

Szukali też zbiegowie skutecznej pomocy u księdza proboszcza Jana Jakubowskiego, posiadacza okazałych zabudowań na skraju wsi od strony pól. Budynki te miały swoją świeżą dramatyczną historię. We wrześniu 1939 roku Niemcy, nadciągający od strony Wielopola, zatrzymali się na pobliskich wzniesieniach i oddali kilka strzałów z działek czołgowych, zapalając budynki gospodarskie należące do plebanii. Zniszczone zabudowania szybko naprawiono i odnowiono.

Wydatnie pomagał Żydom parobek księdza Fryderyk Dammer. Szczerze go za to chwalono. Dopiero po wojnie okazało się, że był to żołnierz niemiecki, który zbiegł z Wehrmachtu i ukrywał się wśród Polaków. Mówiono, że przywiózł go jakiś chłop z gór, a wkrótce okazało się, że Dammer dobrze zna się na robotach gospodarskich. Przy tym udawał cichego, skromnego człowieka, zainteresowanego tylko pracami polowymi, a zwłaszcza pilnowaniem koni. Ożenił się z Heleną Zacharą i po wojnie wyjechał z kraju. W czasie organizowanych przez hitlerowców obław ukrywał się wraz z innymi zbiegami, jeśli obława nie zastała go w czasie pracy w polu. Musieli tu uważać, bo Niemcy złapanych wywozili na roboty do Rzeszy.

To właśnie u Dammera w stajni dwaj Żydzi znaleźli schronienie. Odpoczywali po kolejnej dramatycznej „przeprowadzce" nie wiedząc, że w tym samym czasie z rąk Niemców zginęła ich siostra Niuśka, oraz ukrywająca się razem z nią babcia, wdowa po żołnierzu września 1939 r. poległym pod Pszczyną. Dzieliła ich nie tak

wielka odległość od Olesna do Bobrku, gdzie rodzina Salaterskich ulokowała dwie kobiety i dziecko w szopie za stodołą. Wykopano tam bunkier kryty deskami, posypanymi słomą. Do tragedii doszło przypadkowo, gdy u sąsiada młócono zboże.

W pewnej chwili młody parobek Nagórzański pobiegł za uciekającym tchórzem do sąsiednich zabudowań. Tam, ku swojemu zaskoczeniu znalazł wejście do bunkra. Dano znać sołtysowi Wawrzyńcowi Szelągowi, a ten zaalarmował Niemców. Przerażone i zdesperowane kobiety przyznały, że gospodarz Salaterski zgodził się je przechować. Niemcy zastrzelili dwie Żydówki i dziecko. Tym razem jednak – wbrew powszechnej ludobójczej praktyce – oszczędzili rodzinę Salaterskich. Po wojnie sołtys, gorliwy wykonawca poleceń okupanta, stanął przed sądem.

Pomogła mu córka przyjaciela

Maria Drabik, urodzona w 1906 roku w Pilczy. Niesłychanie trudno wyobrazić sobie życie, jakie było udziałem tamtego pokolenia, tragicznego pokolenia lat wojny, hitlerowskiej okupacji. Wiadomo przecież, że te karty dziejów ojczystych spływają krwią, cuchną grozą. Hekatomba cierpień nie mieści się w wyobraźni. Te właśnie okropności dotknęły w pierwszym rzędzie Żydów, którzy stanowili znaczący odsetek mieszkańców, zwłaszcza miasteczek i miast. Byłam wyrobnicą, służącą tułającą się po służbach we włościańskich domach i ziemiańskich dworach. Były to trudne czasy. O losie młodzieży z tak zwanych niższych sfer mówił wierszyk – piosenka młodocianego pastucha:

Ojca nie mam wcale,
Matka nie wiem gdzie,
Pewnie gotowego znaleziono mnie.

Jeszcze przed wojną zaczęłam pracować w majątku ziemskim w Wielopolu gminie Dąbrowa Tarnowska. Gospodarstwo ustawione było w kierunku hodowlanym, a rozległa łąka ciągnąca się od wsi Borek i wzdłuż Wielopola stanowiła doskonałe pastwisko. Był to osuszony staw dworski. Bydło zawsze było w tym gospodarstwie i trochę jakby wyznaczało jego ciągłość. Świadczy o tym rozległe pole nad rzeką Żabnicą zwane wołownią, bo za dziadków właściciela pasano tam stada wołów dokarmianych bobem. Żydowscy kupcy przyjeżdżali po jałówki, byczki i cielęta, które niekiedy zabijali za stodołami i wieźli do miasta, Żydzi z Tarnowa kupowali tu nabiał, jaja. Najczęściej bywał Szymek znany z długiej brody i obwisłych pejsów, o świcie obładowany towarem wyruszał do Tarnowa.

Z miast docierały coraz gorsze informacje, a przywozili je bracia pani domu – Stanisław Menel z Tarnowa i Edward Menel z Krakowa. Mówili, że Żydzi pod groźbą represji zostali zobowiązani do noszenia na plecach i piersiach wierzchniego okrycia żółtych gwiazd Dawida, noszenia opasek z niebieską gwiazdą Dawida na lewym ramieniu.

Któregoś dnia konnym wozem przyjechał z Pierszyc inżynier Jan Mika, który pomagał w pracach polowych. Opowiadał o nasileniu zamykania ludności żydowskiej w gettach. Mogło to być na przełomie roku 1940/1941. Wówczas w miastach już mordowali Żydów. Naszych znajomych w Żabnie wezwali niby do pracy, wywieźli za cegielnię i zastrzelili. A wybierali przede wszystkim młodszych i zdrowszych mężczyzn. Pozostali zwłaszcza ci odważniejsi i mający powiązanie z wsią szukali schronienia poza miasteczkiem i gdzie się dało. To samo działo się w Dąbrowie Tarnowskiej. Mówił o tym Tadeusz Miś, który pracował w warsztacie Sadkego.

Pewnego razu przyjechał do nas młody Reich z Żabna na rowerze i przywiózł duży placek. Wiązało się to z jakimś ich świętem. Po pewnym czasie, pracując w polu przy burakach, zobaczyliśmy grupy ludzi w różnym wieku idących polną drogą w stronę resztówki w Wielopolu, dowiedziałem się, że to byli znajomi Żydzi z Żabna

o nazwiskach Małka, Reich, Beila, którzy opowiadali niesamowite rzeczy i liczyli na ukrycie ich. Nie wiedzieli, że w majątku czasowo zamieszkał niemiecki kontroler, który przy pomocy specjalnego przyrządu badał jakość dostarczanego okupantowi mleka. Wrócili więc zaraz, a Niemcowi wytłumaczono, że ludzie ci szukają pracy i dlatego odwiedzili byłego naczelnika gminy, który niedawno urzędował w swym domu.

Okoliczna ludność pracując w polu opowiadała, że wracali do Żabna głośno płacząc. Ale nie tylko oni musieli opuścić ten dom. Na stałe kryło się tu trzech jeńców wojennych, dwaj Francuzi i Ukrainiec spod Kijowa. Ci nocą uszli w niewiadomym kierunku, by znów się zjawić po odjeździe nieproszonego gościa. Ale ci byli bardzo ostrożni i umieli się kryć, a w domu tym było coraz ciaśniej. Zamieszkali tu wysiedleńcy z Poznańskiego, cała rodzina Przybyłowiczów, Siwków, a później ze wschodu rodzina Bryków. Po jakimś czasie zamieszkali jeszcze wysiedleńcy ze strefy przyfrontowej, na przykład rodziny o nazwisku Bator z Luszowic i Pyzik ze Świerża. Poza tym w okresie pilnych prac w polu przez ten dom przewijało się wielu chłopów z okolicznych wsi i różni najemni pracownicy i dzierżawcy. Zabudowania stały z dala od wsi, przy skrzyżowaniu wiejskiego gościńca z ruchliwą szosą. Byliśmy więc w bezpośrednim zasięgu policyjno–represyjnej władzy okupantów, którzy chętniej tu zaglądali niż do odległych chałup chłopskich.

Do moich obowiązków należało codzienne zaopatrywanie domu w wodę pitną, która znajdowała się w ogrodzie. Była to bardzo smaczna woda, a ze źródła doprowadzały ją drewniane dreny.

Właśnie wieczór przy tej studni usłyszałam obcy głos. Nieznajomy prosił o jakiekolwiek pożywienie, najchętniej chleb. Mówił, że zna moją rodzinę w Pilczy, przyjaźnił się z ojcem i dlatego liczy na nakarmienie, wsparcie i chwilowe ukrycie go. Mówił, że jest sam, śpi w snopkach słomy w kukurydzy za ogrodem. Zdecydowałam się go ukryć w jednej ze stodół, mniejszej, stojącej na uboczu. Połowę jej miejsca zajmował materiał budowlany, na przykład cegły, deski, słupy. Początkowo ukrył się w słomie, a później zrobił

sobie schowek w stertach cegieł. Tu przynosiłam pożywienie, aż pewnego razu zauważyłam, że jest ich dwóch. Bałam się okropnie, bo Niemcy bywali w różnych sprawach, na przykład wpadali po siano, a Ukraińcy rabowali świnie, mimo że złodziejsko wysoki kontyngent był oddany.

Na polach naszej resztówki uprawiali roślinę (koksagiz), która służyła do wyrobu kauczuku lub gumy. Okoliczna ludność, a także młodzież szkolna stanowiły siłę roboczą, gotową do pracy od rana do wieczora, na każde zawołanie. Na ich polecenie i dla nich uprawialiśmy rzepak.

Pewnego razu wpadł esesman z policją i rekwirował zboże w komorach. Powiedzieliśmy, że nie ma worków i oburzony zarządził poszukiwanie. Rozbiegli się za tymi workami i plądrowali wszystkie kąty, nie omijając strychów, stodół, drewutni. W plewince natomiast na długiej żerdzi wisiały ubrania robocze, różne części garderoby i worki. Znaleźli je. Ściągnęli z pola naszych robotników: Juliana Sobiaraja, Jana Króla oraz Władysława Lasotę i polecili im załadować zboże i zawieźć je do Dąbrowy Tarnowskiej. Odtąd wszyscy jedliśmy chleb z domieszką ziemniaków, które przypominały rodzynki w cieście. Nie było cukru. Nawet sacharyny brakowało. Wobec tego uprawialiśmy buraki cukrowe, gotując je i uzyskanym syropem słodziliśmy potrawy, spożywaliśmy żur. Ratowało nas mleko podawane bez ograniczeń. Pomoc kuchenna Sabina Król zauważyła, że wynoszę dokądś mleko. Spostrzeżeniem podzieliła się z braćmi – Janem i Mieczysławem. Cała trójka pochodziła z Krakowa i czasem w niedzielę odwiedzała ich matka. Zapewniałam ich, że za mleko dostanę buty od szewca. Zdaje się, że mi uwierzyli.

Najgorsze były nocne niespodziewane wizyty, a raczej brutalne najścia Niemców, którzy nagminnie kradli i ratowali drób. Nie oszczędzili przy tym gąsiora, który był wspaniałym okazem zoologicznym. Wtedy domownicy przeżywali chwile niebywałej trwogi, gdyż wiedzieli, że zbiegowie w nocy wychodzili do ogrodu, myli

się, pili wodę przy ostatniej studni, bo dwie pozostałe przeznaczone były dla bydła.

Bywało, że Niemcy w nocy pukali do drzwi frontowych, a mieszkańcy, oprócz właściciela, tylnymi drzwiami uchodzili w strachu i po kryjomu. Osłaniał ich wszechobecny mrok – niezawodny sprzymierzeniec konspiratorów.

Jesienią nasi lokatorzy wynieśli się sami, gdyż zobaczyli, że w naszym domu zamieszkało kilku niemieckich żołnierzy, a na dziedzińcu pod krzakami bzu stanął duży samochód. Niemcy ścinali drzewa w lesie i budowali nowy most na rzece Żabnicy.

Fakt ten pozostawał w ścisłym związku z sytuacją na froncie wschodnim. O tym wiedziały nawet dzieci. Ruch oporu dawał znać o sobie. A sołtys Wawrzyniec Szeląg żalił się, że nie wie, kogo ma słuchać, bo w dzień Niemcy rozkazują egzekwować kontyngent, a akowcy w nocy zabraniają.

W tym czasie ukrywało się wiele osób, najczęściej z miast. Najwięcej z nich znajdowało schronienie we wsiach w domach położonych wśród krzaków i blisko lasu, gdzie Niemcy rzadziej zjawiali się. Do Wielopola, jako wsi sołeckiej należały wsie położone w obszarze zalesionym, na przykład Borek, Bobrek, Bucze, Zadycz Grobla i Gliniki. Dziś wiadomo, że prawie w każdej wsi ukrywał się obywatel polski wyznania mojżeszowego, niekiedy cała rodzina. Głośnym echem odbiła się tragedia obywateli polskich pochodzenia żydowskiego, których odkryto zupełnie przypadkowo w domu Salaterskich w Bobrku. Mówiono, że mała dziewczynka pytała się matki, dokąd ją prowadzi, a słyszący to Niemiec polecił jej powiedzieć, że prowadzą ją na śmierć.

Zastrzelili na podwórzu. Salaterscy mieli szczęście w nieszczęściu, bo gdyby tu wpadł Guzdek, to i gospodarze padliby od kul, a zabudowanie spłonęłoby. A może spaliliby ich żywcem, jak to uczynił zresztą w pobliskim Szarwarku i Radgoszczy – Polesiu.

Bywało, że schronienie, choćby na krótko, znajdowali tu krewni właściciela z Tarnowa, którzy uchodzili przed aresztowaniami. Po wojnie o ich dramacie opowiadała księżna Ludwika van Marcke

de Lummen Musiałowa. Rodzina ta była z dawna zaprzyjaźniona z bogatymi Żydami i nie mogła w trudnych chwilach odmówić im pomocy. Znajomych uciekinierów z getta kierowali na wieś.

Guzdek czasowo grasował pod naszym bokiem, bo w pobliskim Otfinowie mieszkał i urzędował. Szlak jego podróży, jak powszechnie mówiono, znaczyły mogiły. Ruch oporu tropił szpicli i tępił. Bywały wyroki śmierci. Ale mimo tego od czasu do czasu donosicielstwo szczerzyło swe zęby. I tak na przykład ktoś wysłał anonim na adres posterunku policji donoszący, że znana mieszkanka Wielopola jest z pochodzenia Żydówką. Nie wiadomo, czy w liście tym pisano, że syn jej jest oficerem i działa w AK. Konnym wozem przyjechało sześciu policjantów do sołtysa Wawrzyńca Szeląga i dzięki sołtysowi całej tej sprawie ukręcono łeb. Mówiono, że finałem tego zdarzenia było zastrzelenie miejscowego rolnika, który był postrachem okolicy. Już przed wojną napadał ludzi bez powodu, nie miał żadnych moralnych hamulców ani skrupułów. Wyrok w imieniu AK wykonał Ryszard Kotra „Juhas".

Wówczas po raz pierwszy widziałam człowieka zastrzelonego i zbroczonego krwią. Wyprowadzili go do niewykończonej izby, polecili przeżegnać się i świecąc w oczy latarką elektryczną zastrzelili. I tak żył zbyt długo. Jego to dziełem było skopanie i wypędzenie młodej Żydówki, która niepotrzebnie trafiła do jego domu. To jedna z tych ponurych spraw. Jeszcze bardziej ponury dramat rozegrał się w Zadyczy, gdzie ofiarą obławy padł Lekarczyk z Mędrzechowa. Zaskoczyli go w domu Satków w jesienne popołudnie, gdzie suszył onuce. Złodzieje kradli zboże zakopane w ogrodach w obawie przed pożarem i Niemcami. Ściągali ze ścian zawieszony na drutach tytoń, zabierali ziemniaki z kopców, drób a nawet świnie z chlewów. W domu czasowo samotnej kobiety pędzili bimber.

W nocy było tu bardziej niebezpiecznie niż w dzień. Dlatego na noc spuszczano psa, węszył wokół zabudowań i odstraszał złodziei. Ci jednak zastawiali sidła w wąskim przejściu między budynkami i złapanego w ten sposób psa mordowali. Głównym sprawcą był syn sąsiada.

Wyszło to na jaw, gdy kara chłosty dosięgła niektórych. Ksiądz proboszcz, Jan Jakubowski w Oleśnie nie umiał się opędzić przed złodziejami grasującymi w polu. Ginęły kupy liści buraczanych. Ksiądz poświęcił noc i złapał kobietę z sąsiedztwa. Gdy nabrała już liści a odchodziła, ksiądz zawołał głosem pełnym udanej pokory: „Ch. – tylko mnie nie zabierzcie". Mieszkańcy parafii zaśmiewali się do rozpuku. Wreszcie po złapaniu przez naszych pracowników in flagranti złodziei świń Eugeniusza Masłonia i Benedykta Pochronia, mieliśmy trochę spokoju. Echa tych kradzieży wracały niczym bumerang, po wojnie i tak np. Kazimierz Warias ujawnił, iż kradzieży materiałów budowlanych dokonał Ignacy Motyka z Borku pospołu ze swym szwagrem Mieczysławem Misiem z Wielopola, któremu dal za to harmonię. Służącemu Misiów Wariasowi wypadło pomagać przy wynoszeniu ze stodół desek, słupów itp. Na szczęście Żyda nie zauważyli.

Po wojnie opuściłam wraz z synkiem znany z gościnności dom Józefa Musiała w Wielopolu i osiadłam w Żabnie. Dziś patrząc na te wydarzenia z perspektywy wielu lat, myślę że wszyscy mieszkańcy resztówki, ci oficjalni i zakonspirowani, mieli dużo szczęścia. W jakimś stopniu zawdzięczamy je poczciwym boćkom, które siedząc w gnieździe na szczycie dębu przy wielkiej stodole donośnym klekotem witały przybyszów, niezależnie od tego, kim byli i jakie mieli zamiary. One to odwracały uwagę wroga, by nie zdołał zaskoczyć domowników. Nawet gestapowcy wpierw zrobili im zdjęcia, a potem wpadli do domu w poszukiwaniu Jana Masłonia, byłego oficera policji. Masłonia nie było, ale wędrująca młoda Żydówka zdołała umknąć tylnymi drzwiami.

W Żabnie mieszkało 600 Żydów. Przeżyły jednostki. Zanim pochłonęły ich komory gazowe, ginęli za miastem, na ulicach i podwórzach.

Codziennie przechodzę obok ich dawnych sklepów, kamienic i wówczas ze zdwojoną siłą odżywają wspomnienia wyniesione z Wielopola.

Ćwików okazał się szczęśliwym miejscem

Okres okupacji dobrze zapamiętał Jan Kozaczka, urodzony w 1915 roku w Podlipiu, a mieszkający w Ćwikowie.

– Z chwilą rozpoczęcia się prześladowań rasistowskich – wspomina – do Ćwikowa przybyła cała, siedmioosobowa rodzina żydowska z Pilczy Żelichowskiej. Skład tej rodziny, noszącej nazwisko Heśko, stanowiili rodzice, trzech synów i dwie córki. Mieszkali we dworze i tam pracowali, ale wątpię, żeby mogli być właścicielami majątku i dworu.

Było to, jeśli mnie pamięć nie myli, wiosną 1941 roku. Nieszczęśni uciekinierzy kryli się w polach, w łanach zbóż, również koło mojego domu. Gdy kosiłem zboże, znalazłem ich kryjówkę, jedynie bez pierzyny, którą zdążyli już zabrać. Obok stała pusta stajnia. Jej właściciel wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Nazywał się Bronisław Urban.

Dom Niemcy rozebrali na opał dla szkoły, ale stajnia została i w niej też zamieszkali. Rano szedłem po słomę i usłyszałem rozmowę. Zobaczyłem ich leżących na sianie. Jeden z synów tej rodziny, Roman, wpadł w ręce Niemców w pobliskiej wsi Pilczy. Za to sołtys, nazwiskiem Rodak, po wojnie był skazany na trzy lata więzienia.

Drugi syn został pojmany w Świebodzinie, gdy poszedł do rolnika Kaczówki po zapłatę za prace w polu. Był bardzo pracowity, odbierał w polu pokosy po żniwiarzach. Chłop zamknął go w chlewie i zawiadomił policję w Bolesławiu. Zabrali uwięzionego i zastrzelili.

Trzeci trzymał się rodziców i ocalał. Po wojnie ożenił się w Dąbrowie Tarnowskiej z Żydówką z Krakowa i wyjechali chyba do Izraela. Ojciec tułał się po polach rozległej wsi. Ułatwiał to teren pofałdowany i dość zakrzewiony. Rowy i zarośla dawały schronienie uciekinierom. Od wschodu dochodziło się do wału rzeki Żabnicy.

Często w nocy spotykałem go. Raz zrywał owoce w moim obejściu. Ująłem go za ramię, ale nawet się nie obejrzał, tylko szukał

i rzucił za siebie: „Głodnym, kolego!". Dałem mu pół bochenka chleba i poszedł. Miał, na szczęście, takie domy, do których pukał i dostawał żywność. Wodę pił podobnie jak inni, ze studni.

Nie wiem, jak długo ta rodzina przechowywała się w stajni. Mieliśmy tam tylko słomę i na niej spali uciekinierzy. Przebywali w tej wsi do końca wojny. Kiedy Tadeusz Zachara ubił świnię, Heśko jako obeznany z tą robotą wędził kiełbasy i za to dostał wędliny. Raz, w czasie podobnego wędzenia przyłapali go granatowi policjanci, którzy znali go z wcześniejszych lat.

Zdołał jednak Heśko szczęśliwie uciec. Nie ścigali go zresztą zbyt wytrwale, raczej tylko pozornie, bo często bywali na poczęstunku u Zachary. Działo się to zwykle, gdy wypadła im służba w tym rejonie.

W czasie pobytu w Ćwikowie spotkałem Józefa Lekarczyka z Mędrzechowa. Prosił mnie, abym z nim poszedł do Dąbrowy Tarnowskiej.

– Weźmiemy – mówił – Żydów z getta i będziemy ich przeprawiać przez Wisłę. Miał pistolet, worek z nabojami i granat do obrony. Znaliśmy się od dawna, od niego nabyłam kiedyś bimber, ale teraz odmówiłem. Tłumaczył, że opłaca się jechać, bo Żydzi dobrze płacą, zwłaszcza gdy zażąda się od nich forsy na środku Wisły. Spotkałem go jeszcze kilkakrotnie w Ćwikowie, bo Mędrzechów to sąsiednia wieś. Przypominam sobie inny fragment ówczesnych przeżyć. Jan Chmura z Dąbrówek Breńskich był zakładnikiem w Mędrzechowie. Jego żona przyszła do szewca Kędzielawy w Ćwikowie, by zrobić sobie buty. Zastała tam uciekiniera Lekarczyka i potem przyjechała z Mędrzechowa granatowa policja wraz z jakimś Niemcem. Gdyby nie ten Niemiec, to Józef Kędzielawa byłby zabity, bo nie pozwolił strzelić, gdy „granatowi" wymierzyli broń w szewca. Skończyło się na aresztowaniu szewca, którego zresztą, po zebraniu o nim opinii, wypuszczono po trzech dniach. Nie wiadomo, w jaki sposób Niemcy wpadli na trop Lekarczyka.

Inny mieszkaniec tamtych stron, Wiktor Nowak z Ćwikowa, przeprowadzał Żydów za Wisłę, ale na skrzyżowaniu dróg natknął

się na Niemców, tuż za wsią. Ofiarą tego spotkania padło dwóch ludzi. Ojca zastrzelili, synowi przestrzelili twarz, leżał i jęczał u Władysława Sarata przez całą noc. Rano przyjechał Niemiec, który go zranił. Teraz dobił go z całym okrucieństwem. Do dziś leżą blisko siebie pochowani, zamordowani ojciec i syn.

Sołtys uratował Nowaka, tłumacząc, że to katolik, a nie Żyd. Mówił też, że spotkali się z zabitym przypadkowo. Była to policja z Bolesławia, bo do niej należał ten teren. Dąbrówki Breńskie należały już do policji w Mędrzechowie. Przy tej egzekucji był policjant granatowy Szwed, ten sam, który Heśkę zaskoczył w czasie uboju, ale wypuścił go wolno. Policjant ten próbował Niemcowi odepchnąć karabin i uniemożliwić zabójstwo. Sołtysem był Nowak.

Kiedyś koło naszego domu zatrzymał się samochód z gestapowcami i kilku z nich wysiadło. Właśnie wtedy mieliśmy w domu zabitą świnię. Patrzyli na nasz dom, ale nie wstąpili. Okazało się, że urządzili obławę na Żydów, ale nie pochwycili nikogo. Osławiony żandarm, Guzdek, przejechał przez cały Ćwików, ale nikogo nie spotkał na drodze. Zajechał do sołtysa i oznajmił mu:

– Tylko jednego człowieka masz porządnego!

Tym tak wyróżnionym przez żandarma okazał się chłopiec z Poznańskiego, kopiący spokojnie rów. Ten chłopiec jako jedyny nie uciekał przed złowrogim żandarmem.

W Ćwikowie przeżył okupację niemiecką Heśko z żoną i dwiema córkami. Wielka i zamożna wieś, skupiająca ponad 200 rodzin i rozciągnięta na przestrzeni pięciu kilometrów, okazała się dla nich szczęśliwym miejscem schronienia.

Bunkry w polu pozwalały przetrwać

Do losów szczęśliwie ocalonego z prześladowań hitlerowskich Heśki nawiązuje w swoich wspomnieniach Bronisław Dojka, urodzony w Ćwikowie w 1915 roku.

– Co wiem o Adlerze Heśko z Pilczy Żelichowskiej?

Ukrywał się w Ćwikowie z rodziną. Długo przebywali u Pawła Zachary na strychu w stajni, ale sąsiedzi ich zauważyli i żydowscy uciekinierzy musieli szukać innego schronienia. Jan Kozaczka ukrywał syna Heśki, Henryka. Po wojnie uratowany pisał z Palestyny i wciąż pozdrawiał księdza kanonika Jana Jakubowskiego w Oleśnie. Pytałem księdza o powód tej sympatii, czy raczej wdzięczności, ale ksiądz zbył mnie zdaniem: „Niech nie wie lewica, co czyni prawica".

Powszechnie wiadomo jednak, że ksiądz Dybiec w Bolesławiu i nasz ksiądz kanonik wydawali Żydom fałszywe metryki, na podstawie których wyrabiali sobie kenkarty.

Córka Adlera Heśki była u Wojciecha Kędzielawy i nawet nie tak bardzo się kryła. Syn Adlera Heśki imieniem Marcin był parobkiem u Jana Dojki. Ojciec krył się w różnych miejscach.

Inny uciekinier, Macker, oprócz tragicznych warunków życia miał kłopot dodatkowy. Jego żona zachorowała. Prosił wtedy o mleko, maślankę. Jego rodzice mieli sklep w Dąbrówce Gorzyckiej, zabytkową karczma i 12 morgów gruntu, które nabyli od książąt Sanguszków. Dwóch jego synów zginęło. Jeden jego syn, najmłodszy jest w USA, a córki w Izraelu. Adler Heśko po wojnie mieszkał w Dąbrowie Tarnowskiej, zaś po śmierci żony wyjechał do Izraela. Byli to bogaci Żydzi, którzy w czasie parcelacji dóbr Potockich nabywali grunta. Zabrali go Niemcy do getta w Dąbrowie Tarnowskiej, ale on wrócił szybciej niż furman, który ich wiózł. Kiedyś służył w wojsku austriackim i może ta służba dała mu pewną przedsiębiorczość, tak przydatną w najtrudniejszych chwilach hitlerowskiego terroru. Ogólnie rzecz biorąc, był życiowo obyty i bardzo zaradny.

Pamiętam, jak raz przyszedł do mnie po wędlinę i zastał strażnika w mundurze. Natychmiast zniknął, bo pomyślał, że to policjant granatowy. W nocy pukał w okno i prosił o żywność. Nie odmawialiśmy jej nikomu. Niektórzy jednak postępowali inaczej, a nawet manifestowali swoją wrogość wobec prześladowanych Żydów. Po wojnie niektórzy chłopi byli pociągani do odpowiedzialności za

przewinienia, związane z traktowaniem Żydów. Zapadały różne wyroki, aż do kary śmierci włącznie, którą jednak łagodzono.

W Dąbrówce Gorzyckiej doszło do tragedii. Przybyła tu w związku z handlem kobieta z Rudy pod Dąbrową Tarnowską i zobaczyła Żydów, którzy weszli do izby, żeby się ogrzać, bo była tęga zima, a oni siedzieli w bunkrze, który zbudował w swojej stodole Antoni Waś. Opowiadała, że w Rudzie Niemcy wymordowali za ukrywanie Żydów całą rodzinę. Słysząc to, gospodyni posłała Genowefę Forgiel do sołtysa Rodaka z doniesieniem.

Sołtys, jak należało się spodziewać, zarządził obławę, ale Żydzi uciekli. Udało się jednak prześladowcom ująć chłopaka, syna Adlera Heśki. Schwytanego oddali policji w Otfinowie. Na tę morderczą akcję przyjechało kilku Niemców czy też granatowych policjantów. Jechali konnym wozem, bo z zaopatrzeniem w benzynę mieli już hitlerowcy coraz więcej kłopotów. Samochodami posługiwali się już wtedy w zasadzie gestapowcy. Po wojnie sprawcy tego morderstwa na synu Adlera Heśki zostali skazani na karę więzienia. Genowefa Forgiel, która zaalarmowała sołtysa, została potraktowana najsurowiej.

W Ćwikowie ukrywała się też rodzina Salpetrów, którzy byli właścicielami dworu w Żelichowie, do którego należała średniej wielkości resztówka. Szukali oni schronienia w różnych miejscach, między innymi u Władysława Zachary. Salpeter zdobył karabin z obciętą lufą i groził, że nie podda się bez walki. Zachara handlował żywnością. Kupował świnie i sprzedawał różnym paskarzom z Krakowa, a zawsze miał chętnych odbiorców, bo w mieście był głód. Przyjeżdżali kolejarze, straż w mundurach, a nawet policjanci granatowi i kupowali wyroby Zachary albo brali je za cenę zachowania milczenia. Raz zdarzyło się, że Salpeter zostawił na podwórzu swój karabin i chłopcy zabrali mu broń, ale prosił, rozpaczał i w końcu ją odzyskał. Administrator Ludwig z Brnia, majątku barona Jana Konopki, prowadził dochodzenie na własną rękę. Pytał ludzi, czy w Ćwikowie w stajni przebywają Żydzi. Odpowiadano zgodnie, że ich nie ma. Tak zapewniał między innymi pewien mie-

szkaniec nazwiskiem Słomka, choć wiedział, że są, w dzień nie pokazują się, ale nocą wychodzą po wodę do studni. Starano się pomóc prześladowanym, choć wiedziano dobrze, że za jakąkolwiek pomoc groziła kara śmierci.

Jesienią spotkałem znajomego, Łosa, jadącego z Drzymałki, ostrzegłem go, że Ludwig zbiera informacje, a ma u siebie telefon na stole i może w każdej chwili zawiadomić o swoich spostrzeżeniach Niemców. Upatrzyliśmy ustronne miejsce w zaroślach nad rzeką Drzymałką, z dala od domów. Właścicielka była kucharką czy gospodynią księdza w Byszycach koło Rożnowa, a pole uprawiał jej szwagier, Jan Łos. Zawołał on Żydów, dał im narzędzia oraz łopatę i kazał sobie zbudować bunkier w nadrzecznej skarpie Drzymałki, pod osłoną bujnych tutaj krzaków i wyższych krzewów.

Tak też uczynili. Sufit tego bunkra był z desek, pokrytych darnią i gałęziami krzewów. Schroniło się tu siedem osób, a odwiedzał je od czasu do czasu Salpeter, zbrojny w swój karabin z obciętą lufa. Mieszkańcy bunkra mieli żelazny piecyk, wodę czerpali na miejscu i sami sobie gotowali, raczej nocą, by ich dym nie zdradził. Żywność w zasadzie zbierali w polu.

Popełnili jednak nieostrożność, wywieszając wypraną bieliznę do słońca. Przechodził w pobliżu Franciszek Tabor z Grądów i zauważył suszącą się bieliznę. Przyrzekł przestraszonym Żydom, że ich nie wyda, ale radził się znajomych i sąsiadów, co ma robić, bo się boi o siebie, a w razie wykrycia zbiegów i on też będzie podejrzany.

Nie wiadomo, jaki był dokładnie przebieg tych rozmów, dość, że zjawiła się policja z Bolesławia. Przyjechał Niemiec, starszy wiekiem i – co nie było obojętne – przybyły z Wiednia, oraz dwóch policjantów granatowych: Chrzanówek i Szwed. Obaj nie byli źli. Bywało, że uprzedzali o niebezpieczeństwie, grożącym ukrywającym się i tym, którzy ich ratowali.

Tym razem podeszli pod bunkier i kazali wychodzić. Salpeter, przebywający tam strzelił z karabinu. Chrzanówek uciekł w bok i również wystrzelił. Salpeter został ranny w brzuch, ale ocalił pozostałych, którym udało się uciec. Niestety, była jeszcze jedna ofiara,

w osobie starszej wiekiem babki młodych uciekinierów, która została w bunkrze. Zabrano ją do Bolesławia. Działo się to wiosną 1943 roku. W dwa lata później ciało Salpetera wydobyto i zabrała jego siostra z Żabna. Wykopano zwłoki i włożono do skrzyni z wapnem. W Żabnie brat rodzeństwa Salpeterów był adwokatem.

Były jeszcze inne, znane mi przypadki ratowania się przez wykopanie bunkra w sprzyjającym temu terenie. Żydzi ze Świebodzina wykopali bunkier nad rzeką w Mędrzechowie, ale zostali odkryci i zastrzeleni. Siostra rzadcy majątku w Owczarni wysłała grupkę Żydów do Ćwikowa, sądząc, że tam najłatwiej będzie się im ukryć. Mordowano zresztą nieszczęsnych dosłownie wszędzie: w bardziej ustronnych miejscach nad Wisłą i w Dąbrowie Tarnowskiej, gdzie zdarzało się widzieć skutki tych sadystycznych morderstw – na ścieżkach nogi i tułowie, a w rowach odcięte głowy. Franciszka Czub, urodzona w 1910 roku w Dąbrowie Tarnowskiej, była urzędniczką pocztową, wspomina, jak idąc do pracy spotkała dwa trupy Żydów, a obok pełno jeszcze śladów krwi po innych, których ciała zdążyli już mordercy usunąć. Na ich rozkaz Żyd z opaską na ramieniu zbierał zabitych i wyrzucał na wóz.

Sam widziałem przez okno wstrząsającą scenę transportu Żydów, wiezionych chyba na zagładę. Dodam, że nie wolno było na to patrzeć, bo w takim przypadku strzelali do okien. Umundurowany zbir popychał starą Żydówkę kolbą karabinu, a że była niedołężna, zastrzelił ją. Całe gromady w koszulach wpychali do wagonów kolejowych. Tłok tam panował potworny, ludzie dusili się. Czasem ktoś podawał wodę, jeśli udało się ominąć posterunki prześladowców. Pamiętam Jana Kalca, który uratował małą Żydówkę, chowając ją pod schody magazynu.

Trudno sobie w pełni uzmysłowić ówczesną atmosferę tego terroru. Pamiętam na przykład, jak nie było wolno mieć w naszych stronach roweru. Może dlatego, że właśnie Niemcy masowo wyłapywali i wywozili na roboty do Rzeszy, chodziło więc prawdopodobnie o uniemożliwienie szybkiej ucieczki. U Jana Wasia zauważono kółko od roweru. Był to jakiś fragment roweru francuskie-

go, rozebranego na części. Komendant polecił stwierdzić, czy pozostałe części pasują do tego koła. Okazało się, że właściciel mówił prawdę. Oszczędzono mu dalszych dochodzeń, ale roweru zatrzymanego i złożonego w całości już z powrotem nie otrzymał. Stosowano jednak samoobronę.

Zdarzyło się raz, że zgłodniali Żydzi wstąpili do karczmy w Wielopolu, którą znali, gdyż była przedtem własnością Chaskiela Kukuka. Stała od wieków przy szosie obok dworu Franciszka Musiała w Wielopolu. Ale z dworu już niewiele zostało, jedynie karczma oparła się niszczycielskiemu działaniu czasu.

Byli to obcy Żydzi i nie wiedzieli, że w dużym budynku karczmy mieszkają rodziny wysiedlonych oraz rolnik Ignacy Miś, a o Chaskielu już dawno słuch zaginął. Zamiast na życzliwych gospodarzy, natknęli się na zgraję pijaków, gromadzących się tu u szewca. Z opresji wybawił ich gospodarz, dał im chleb i wskazał im drogę do Pilczy.

Pomoc bezdomnym i głodnym

Lata najcięższych prób wspomina Jan Kozaczka, urodzony 1915 roku w Podlipiu, zamieszkały w Ćwikowie.

Kiedy tylko zaczęły się prześladowania, do Ćwikowa przybyła żydowska rodzina ze Świebodzina, ze dworu. Jan Kozaczka nie sądzi, że byli tam właścicielami, raczej pracowali. Mieli trzech synów i dwie córki. Wiosną 1941 roku koczowali w polu, kryli się w krzakach. Ody kosiłem potem zboże obok domu, odkryłem ich gniazdo – mówi Jan Kozaczka. Zabrali jednak stamtąd swoją pościel. Obok była pusta stajnia, której właściciel był w USA (był to Stanisław Urban). Dom rozebrali Niemcy – na opał dla szkoły. Był to duży dom. Uciekinierzy zamieszkali na strychu stajni.

– Rano idąc po wodę usłyszałem rozmowę. Leżeli na sianie w pościeli, tylko synów z nimi nie było. Jednego złapali w Pilczy. Sołtysa Rodaka po wojnie zasądzono na 2 lata więzienia za śmierć

tego Żyda. Drugiego syna złapano, albo zastrzelono w Świebodzinie, kiedy udawał się do Kaczówki po zapłatę za pracę w polu. Był to bardzo sprytny i pracowity chłopak. W polu odbierał pokos za żniwiarzami. Chłop zamknął go w chlewie i zawiadomił policję w Bolesławiu. Tylko trzeci syn tułał się z rodzicami i ocalał. Po wojnie ożenił się z Żydówką z Krakowa. Pojechali chyba do Izraela (do Palestyny – mówi Jan).

Ta rodzina nie miała stałej siedziby, schronienia. Raz nocą zobaczyłem, że stary Haśko rwie owoce. Kiedym go ujął za ramię, nawet się nie obejrzał, tytko powiedział: „głodnym kolego". Dałem mu pół bochenka chleba i poszedł. Miał takie domy, gdzie pukał i dostawał żywność. Nie wiem jak długo byli w tej stajni, gdzie sypiali na mojej słomie, byli we wsi do końca wojny, znali mieszkańców tutejszych i ci jak mogli, tak ich ratowali. Tu dokarywali uboju, tam robili wędliny i coś za to dostawali. Raz złapali tego człowieka na wędzeniu granatowi policjanci, ale pozwolili mu uciec, oni też go znali.

W polu spotkałem Józefa Lekarczyka z Mędrzechowa. Prosił, żeby iść z nim do Dąbrowy Tarnowskiej, przeprowadzić Żydów z getta za Wisłę, w Kieleckie. Miał pistolet, woreczek naboi i granat do obrony. Zamierzaliśmy wyruszyć z dworca. Od niego nieraz nabyłem bimbru, ale teraz odmówiłem. Tłumaczył, że na środku Wisły zażąda forsy, że mu się to opłaci. On się też ukrywał i widywałem go w Ćwikowie. Jan Chmura w Dąbrówkach Breńskich, administracyjnie i policyjnie należących do gminy Mędrzechów, był zakładnikiem. Jego żona przyszła do Józefa Kędzielawy w Ćwikowie po buty i widziała Lekarczyka. Kędzielawa był szewcem. W jakiś sposób wiadomość o Lekarczyku dotarła do okupanta, znaleźli go tam granatowi policjanci i niemiecki komendant. Gdyby nie ten Niemiec, zastrzeliliby szewca, bo jeden z policjantów miał odbezpieczony pistolet. To Niemiec zabronił strzelać. Szewca zabrali do aresztu, ale po paru dniach go zwolnili. Gdy zabierano szewca, dzieci krzyczały, że przed wojną Lekarczyk był złodziejem.

Mieszkaniec Ćwikowa, Wiktor Nowak chciał przewieźć Żydów za Wisłę, ale na skrzyżowaniu dróg w Ćwikowie natknęli się na Niemców. Zastrzelili ojca, a syna postrzelili w głowę. Jęczał całą noc w domu Władysława Sarata. Rano przybył ten Niemiec, który go zranił i teraz go pobił. W czasie tej egzekucji był granatowy policjant, ten sam, który widział Heśka w czasie uboju i nie doniósł. Obronił teraz Nowaka.

Był kiedyś we wsi żandarm o nazwisku Guzdek, którego wszyscy się bali. Jeden zawiadomił drugiego, że trzeba uciekać. Heśko z żoną, córką i synem krył się w wysokiej trawie, w kukurydzy i tak przeżyli wojnę. Oczywiście ktoś ich przyjmował do stajni, czy obory, ale nie mieli stałego miejsca – tułali się. Korzystali ze starych zabudowań. Dziś byli tu, jutro tam. Obecnie trudno to sobie nawet wyobrazić, ale to był taki czas.

Olesno i Adamierz, ostatnia nadzieja zbiegów

Już we wrześniu 1939 r. mieszkańcy Olesna i okolicznych wsi przekonali się, że Niemcy są nie tylko wrogami, ale i barbarzyńcami. Właśnie w Oleśnie niemiecka kolumna pancerno–motorowa zaskoczyła i w nierównej walce rozbiła luźna kolumnę wojska polskiego.

28 żołnierzy polskich zginęło, ok. 40 było ciężko rannych. Na szosie padło 80 koni. Epizody tej walki i przeżycia szczególnie odrażającego okrucieństwa wpisały się krwawymi zgłoskami w pamięci mieszkańców okolicy. Opowiadano jak to stalowe kolosy, jak w makabrycznym filmie, tratowały piechurów.

Nastał czas trudnych wyborów moralnych, szło bowiem o sprawy wielkie, podstawowe. Już w pierwszych dniach okupacji odważniejsi ukryli broń, później niemal wszyscy solidarnie sprzeciwiali się władzy okupanta. Właśnie we wspomnieniach tamtego września, choć trudno to do końca wyważyć, tkwią korzenie okupacyjno–rodzinnej epopei rodziny Kiwiorów. Genowefa Kiwior z domu Cholewa, urodzona 28 kwietnia 1926 r. w Adamierzu obok Olesna, wciąż wraca myślą do tych chwil tragedii.

Mieliśmy wtedy gospodarstwo rolne (4 ha), wspomina – usytuowane pośrodku wsi. Tuż przy gościńcu. Najbliższą sąsiadką była Adela Latocha. Nasze domostwo oddalone było od innych, co w tym czasie stwarzało jakby strefę bezpieczeństwa. Wieś nie była zamożna, wcześniej należała do dworu w Wielopolu i nawet po zrzuceniu poddańczo–pańszczyźnianego brzemienia wielu biedniejszych gospodarzy szło tam na zarobek. Inni trafili do miast, za granice lub do bogatszych na służbę. Rodzice odumarli nas dość wcześnie. Starsza siostra, Janina, wyjechała na przymusowe roboty do Rzeszy, Zofia pracowała w domu em. małżeństwa nauczycielskiego Wrześniowskich, a potem u Żyda Erlicha w Dąbrowie Tarnowskiej. W domu pozostali dwaj młodsi bracia, Józef i Tadeusz. Bieda doskwierała wszystkim, brakowało wszystkiego, najbardziej żywności. Wrześniowscy mieli kartki na chleb, zamiast cukru kupowali sacharynę. Siostra, Zofia, stała się mimowolnie świadkiem tragedii Żydów. Zbiorowe egzekucje na kirkucie zbiegały się zazwyczaj z przyjazdem do miasta żandarma Guzdka (będą mordować Żydów – mówiono – bo przyjechał Guzdek). Już wtedy odważniejsi Żydzi, korzystając z pomocy zaprzyjaźnionych gospodarzy, uciekali z getta na wieś i do lasu. W lesie zwanym Beleryt, blisko miasteczka, mieli swoje bunkry. Wokoło opowiadano o urządzanych przez Niemców obławach. Tropili ich zawzięcie i zabijali. Taki sam los spotykał udzielających im pomocy Polaków. W mieście rozlepiano złowrogie obwieszczenia. Malowane jaskrawymi kolorami ulotki propagandowe ośmieszały i poniżały Żydów, ostrzegały przed karą śmierci za pomaganie im, ziały jadem nienawiści i pogardą. Śmierć czyhała wszędzie, wyzierała z każdej gazety, każdej nowej informacji, którą podawano sobie z ust do ust.

Siostra nie mogła znieść tego okrucieństwa, dlatego zaraz po zamażpójściu opuściła miasto apokalipsy i zamieszkała razem z mężem w wynajętym domu w Oleśnie. ródłem ich utrzymania była praca szwagra w fabryce nawozów azotowych w Tarnowie,

dokąd dojeżdżał koleją. Po powrocie z Tarnowa oboje przyjeżdżali do nas na rowerach, by pomóc w pracach polowych. Do domu szwagra w Oleśnie (Bugaj) przybyła potajemnie siostra żony Erlicha – Hanka z zamiarem ukrycia się. Na krótko zamelinowała się na strychu domu. Niestety, niebawem po jej odejściu dowiedzieliśmy się, że została zastrzelona w lesie w Brniu. Las należał do barona Jana Konopki z Brnia, ale majątek pozostawał pod kontrola niemieckiego urzednika.

W domu szwagra zjawili się znowu Żydzi. Na stałe zatrzymało się dwoje – Hesiek Buch z Krakowa, zdaje się kawaler, i Celina Holzer, panna z Tarnowa. Spędzili tu rok. Dom, podobnie jak inne w tym czasie, pokryty był słomiana strzecha. Na strychu pod ułożonymi w sterte snopkami w schowku spędzali dzień. Czasem na noc schodzili do mieszkania. Bywałam w domu szwagra, piastowałam dziecko, ale nie wiedziałam o ukrytych na strychu Żydach. Hesiek chciał mnie wtajemniczyć, ale siostra powodowana obawami związanymi z moim młodym wiekiem nie dopuściła do tego. Gdy siostra wyjeżdżała, zanosiła im pożywienie na cały dzień. Zdarzyło się, że siostra i szwagier późnym wieczorem przyprowadzili swych podopiecznych do naszego domu w Adamierzu. Wówczas zapewniali, że są to partyzanci. Znów strych stał się ich przymusowa przystanią. Po kilku dniach powrócili do Olesna. Z tajnych pism i rozmów dowiedzieliśmy się o tym, co dzieje się w kraju, a wiadomości prześcigały się w okropnościach. I tak na przykład mówiono o polowaniu na Żydów w Oleśnie, w zagajniku zwanym Dukla. To znów złapali pięcioro Żydów w krzakach nad Wisłą w Karsach (miejscowość znana z komunikatów o stanie wód w Polsce) pod Winiarami. W obławie uczestniczyli policjanci granatowi, w tym Eugeniusz Niechciał. Wacław Lewandowicz, Jan Szewczyk, Oleksy i inni z Otfinowa. Wielkim wstrząsem było wykrycie na Bugaju i zastrzelenie kilku Żydów. Gospodynie wywieźli na przymusowe roboty. Wydarzenia te śledziliśmy z zapartym tchem. To znów gruchnęła wiadomość, że w Ujściu partyzanci zaatakowali przeprawiających się promem przez Wisłę Ukraińców służby niemieckiej. Ci w odwecie palili wieś i mordowali mieszkańców po obu stronach Wisły. Zginęło 40 osób. Ukraińcy ci jechali potem ku Dąbrowie Tarnowskiej mijając naszą wieś. Inwentarz wypędziliśmy w zagajniki w obawie przed pożarem.

We wrześniu 1944 r. front był już niedaleko, samoloty z czerwonymi gwiazdami dokonywały wypadów w głębokie tyły. W Oleśnie stacjonowało wojsko niemieckie, na stacji kolejowej stały wagony z amunicją i sprzętem bojowym. Niemcy jeździli po wsiach, rekwirowali bydło, paszę dla koni. Samolot latał nad okolicą i zrzucał bomby. Jedna trafiła w samotny domek bielejący w zagajniku na terenie Adamierza, ale nie eksplodowała, druga natomiast wybuchła blisko tego zagajnika, a jej odłamek zranił siostrę w szyję. Sąsiedzi zawiadomili nas, że leży martwa na podwórzu. Tak więc szwagier pozostał z córeczką.

Wieczorem przybył do nas i oznajmił, że przechowuje Żydów i prosił o ukrycie ich u nas w Adamierzu. Pamiętam to dramatyczne pytanie: czy się zgodzisz? Nasz drewniany dom miał sto lat i obawialiśmy się, że sufit nie wytrzyma takiego obciążenia. Tu też zrobiliśmy schowek pod stertą snopków, gdzie przetrwali do końca wojny. W dzień siedzieli tam cicho, bo niczego tak się nie lękali, jak ujawnienia swej bytności. Wieś nasza, położona z dala od bardziej uczęszczanego traktu, osłonięta licznymi skupiskami krzaków, należała do rzadziej nachodzonych przez okupanta i jego sługusów w granatowych mundurach. W rok po śmierci siostry wyszłam za maż za szwagra. Nasi nietypowi lokatorzy w nocy schodzili do kuchni i po kolacji spali z nami w jednej izbie. Rano znikali po drabinie na strych. Regularnie nosiłam im śniadania i obiady. Na zewnątrz nawet w nocy nie wychodzili, bo doświadczenie nauczyło nas wszystkich ostrożności. Zagrożenie mogło przyjść nagle i nie dało się przewidzieć, kiedy i skąd nadciągnie.

Bywało, że Niemcy i policjanci granatowi chodzili po wsi lub jeździli na koniach. W naszej stodole akowcy przechowywali broń i amunicje, a w kufrach różne rzeczy. Bez większego wysiłku można było się natknąć na przykryte słomą karabiny jak na kanie w le-

sie. A licho, trzeba pamiętać, nie spało. 10–letni brat Tadeusz odgrzebał karabin i strzelił zeń blisko domu, nie wiedząc nawet, że we wsi są Niemcy, którzy przygnali natychmiast konno ku naszej zagrodzie. Małolat przerażony rzucił karabin do stodoły, byle jak zarzucił słomą. Chyba przytomność umysłu i odrobina odwagi przesądziły o oddaleniu tak bliskiej katastrofy. Porwawszy kosę wybiegi za stodołę i pozorował koszenie trawy. Niemcy na koniach wpadli i zapytali, kto strzelał. Chłopiec niezdarnie machnął ręką i rzekł niedbale, że gdzieś tam. Odjechali. Nie trzeba przekonywać, że dla uciekinierów i domowników była to chwila grozy. Tego się nigdy nie zapomina. Mimo ciągłego zagrożenia, Żydzi, wśród których, bywało, rozpoznawałam znajome twarze, zjawiali się nocą, pukali w okno i prosili o pożywienie. Ci nocni wędrowcy zjawiali się nawet w zimie, w Boże Narodzenie. Co mieliśmy, dawaliśmy pieczywo, nabiał, pieniądze. Pośród nich bywał Szymek, do niedawna zamieszkały w Oleśnie.

Pod koniec wojny Niemcy bywali częściej, rabowali bydło, trzodę chlewną i drób. Nadjeżdżali od strony Olesna lub z kierunku Pilczy, przez most na rzece Żabnicy i rozsypywali się pomiędzy zabudowaniami. Nie pozostawało nam wiec nic innego, jak uciekać w pole razem z bydłem.

List ocalonej Żydówki

Byłam urzędniczką Zarządu Miejskiego Tarnowa (Biuro Meldunkowe) w okresie kiedy Niemcy wkroczyli do Tarnowa. Po zarządzeniu, że Żydzi muszą nosić opaski z gwiazdą Dawida, otrzymałam wypowiedzenie pracy – jednomiesięczne. Po utworzeniu getta tarnowskiego, zmuszona byłam opuścić wraz z rodzicami nasze stałe miejsce zamieszkania i zaczęła się moja gehenna w getcie, gdzie w bestialski sposób hitlerowcy zamordowali moich rodziców. Ja pozostałam, pracując ciężko, aż do likwidacji getta. Następnie z małą garstką Żydów pracowałam przy pakowaniu rzeczy pożydowskich, przeznaczonych do wysyłki do Niemiec (tzw. Zauberyng – Colone).

W lutym 1944 roku, w dniu, w którym Goetz (komendant Płaszowa) przyjechał do Tarnowa, by zabrać nas do obozu, ja cudem uciekłam i przy pomocy bardzo dobrych ludzi dostałam się do Państwa Kiwior – wieś Adamierz – koło Dąbrowy, gdzie przebywałam aż do wyzwolenia, w styczniu 1945 roku. Ukryta byłam na strychu, Pani Genowefa Kiwior opiekowała się mną z bohaterskim poświęceniem, dzieląc się ze mną ostatnim kawałkiem chleba, robiąc to, mimo że sami byli bardzo ubodzy, nie mówiąc już o tym, że groziła im śmierć dniem i nocą.

Uważam Państwa Kiwior za wielkich bohaterów, cenię, szanuję i kocham, jak własnych rodziców.

Z poważaniem
Celina (Lesia) Morley
z domu Holzer

Pilzno

Nocne obławy zwiastunem śmierci

Tajfun historii przetoczył się przez te pagórki, naznaczając pejzaż znakiem krzyża i obrysem rozsianych mogił. Nie wszyscy chcą o tym mówić i jest ich coraz mniej. Nieubłagany upływ czasu wykreśla kolejne istnienia, a wraz z nimi pamięć o tym, jak wygląda piekło na ziemi.

Kazimiera Rębiś, urodzona 24 stycznia 1924 r. Gołęczynie, gmina Pilzno, z domu Kmiecik, wspomina na wstępie trudne lata młodości spędzone na wsi. Gospodarstwo rodziców nie było duże, bo posiadali 1,5 ha na ogół piaszczystego gruntu, który zakupił ojciec po powrocie z 6-letniej harówki u francuskiego farmera. Urozmaicony krajobraz, malownicze pagórki, strumyki, załomy, skarpy i bogaty drzewostan zdają się akcentować turystyczną atrakcyjność, której z kolei oszczędna natura poskąpiła rolniczej przydatności. Tutaj uroda ziemi i jej chlebodajność ustawicznie rywalizowały ze zmiennym szczęściem.

W tych niełatwych przecież warunkach najskuteczniej radzili sobie Żydzi. Jedna rodzina miała młyn wodny, druga karczmę z bogatym asortymentem artykułów spożywczych tudzież nieodłącznym wyszynkiem alkoholowym. Trzecia wyspecjalizowała się w zakupie cieląt i drobiu. W karczmie kobiety nabywały najczęściej wyroby mięsne, gospodarze pili wódkę. Żydzi żyli dostatnio z interesu, ziemi nie chcieli, jeden miał grunt, ale wolał wydzierżawić go za opłatą. Z reguły uprawiali pozarolnicze, a więc bardziej finansowo intratne zawody. Mortek zajmował się handlem, Hemek podobnie, ale nie pamiętam konfliktów z miejscową ludnością. Koegzystencja była raczej zgodna, choć niejeden zazdrościł im sprytu, łatwiejszego życia i wyższego statusu materialnego. Ten spryt, życiowe wyrobienie i biegłość w interesach pozwoliły im przetrwać szaleństwo czasu zagłady, choć nie bez ofiar z naszej

strony. Sytuację naszą komplikowała bliskość frontu, który zatrzymał się na Wisłoce, gdzie przycupnęli na 6 miesięcy. Zabudowania pochłaniał ogień, inne Niemcy rozbierali na bunkry, a nas wysiedlali.

W 1945 r. wyszłam za mąż za Jana Rębisia, urodzonego 13 lutego 1914 w Gębiczynie, syna dość zamożnego gospodarza, bo gospodarstwo liczyło 8 ha gruntu, ale piaszczystego. Ojciec jego, Józef, przed I wojną światową dwukrotnie jeździł na zarobek do USA, by móc oddać dług zaciągnięty przy kupnie gruntu. Z opowiadań zmarłego przed rokiem męża wiem, że jego rodzice ukrywali 8 Żydów w bunkrze w stodole. Strop z desek podparty był belkami, słupami, wejście zamaskowane. Nie wiem, kiedy tu przyszli po ucieczce z Dębicy. W nocy wychodzili na spacer do odległego o 100 metrów lasu.

Nieszczęście spadło niczym grom z jasnego nieba. 9 września 1943 o godzinie 3 zajechały samochody, trzech granatowych policjantów i siedmiu Niemców otoczyło naszą zagrodę szczelnym kordonem. Swoim zwyczajem załomotali we drzwi i wpadli z bronią w ręku. Rodzinę Rębisiów postawili pod ścianą, żądając wskazania miejsca ukrycia Żydów. Wykonanie jakiegokolwiek ruchu groziło natychmiastową śmiercią bez ostrzeżenia, sparaliżowani trwogą nie byli zdolni do oporu. Informacje te potwierdził ówczesny sołtys Walenty Szczepanik. Ponieważ uciekinierzy nie reagowali na wezwanie do wyjścia, Niemcy wrzucili granat. Rannych, pokaleczonych wyprowadzili w bieliźnie spodniej, ustawiając w szeregu obok stodoły. Wśród zatrzymanych były dwie kobiety. Rębisiów pilnowali przy płocie za domem. Jedni i drudzy płakali, błagali o darowanie życia. Najpierw zastrzelili Żydów, potem Rębisiów, spośród których ocalał syn Jan, późniejszy mój mąż, bo przebywał poza domem. Zginęła Anna, żona Józefa, córka Zofia i Wiktoria oraz syn Karol. Najmłodsze z dzieci miało 15 lat. Ojca, Józefa, poddali biciu, katowaniu wręcz, na koniec przetrącili mu kręgosłup. W końcu zastrzelili. Podobnych okropności doświadczył Piotr Gawryś, który zbiegł z Pustkowa, z Baudienstu i schronił się tu u ciotki. Niemców rozwścieczył brak kenkarty. Przypadek sprawił, że nocni siepacze

nie znaleźli Żyda zaskoczonego przez obławę w ubikacji, nie zaglądali do wszystkich zakamarków. Wszystko słyszał i po tej tragedii uszedł w nieznane. Sołtysowi dali rozkaz zwołania ludzi i zakopania Żydów nieopodal stodoły. Teraz opowiem, co sama widziałam. Oto znajoma dziewczyna przybiegła do mego domu w Gołęczycy z propozycją udanie się do Polom, by popatrzeć i dowiedzieć się czegoś więcej. Gdyśmy tam zaszły, Żydzi byli już zakopani. Ciała Rębisiów leżały na boisku w stodole. Miejscowi myli je i odziewali w nowe ubrania. Po dwie trumny ustawili na wozie z gnojnicami i skierowali się ku cmentarzowi w Dobrkowie. Zgodnie z rozkazem pogrzebowych ceremonii nie było, jednakże ksiądz odważył się przyjść, by pokropić trumny.

Po wojnie, gdy już tu mieszkałam, Żydzi przyjechali autem z deskami i na podwórzu wykonali duże skrzynie z otworami, do których przenieśli doskonale zachowane zwłoki swych pobratymców. Jakiegoś materiału nawieźli, każde ciało owinęli suknem, po czym odjechali na kirkut. Na koniec opowiem, jeszcze jedno zdarzenie, związane z dworem w Dobrkowie, stanowiącym własność przybyłego tu przed wojną z Czech Zborżyla, który kupił posiadłość od Niemca. Ziemi uprawnej było ze 100 ha. Syn właściciela, będąc kapitanem w wojsku, ożenił się we Lwowie, a zamieszkał w Gołęczynie, bo ojciec dał mu tu 100 mórg lasu i ziemi. W czasie wojny pełnił funkcje dowódcze w AK, miał pseudonim Sosna, a mój mąż – Wicherek. Kapitan znany był z życzliwości dla uciekinierów, także żydowskich. W jego stodole akowcy mieli broń, a do akcji wkraczali, gdy Niemcy wpadali do wsi z zamiarem rabowania. trzody chlewnej, kur itp. Ostrzelani okupanci uciekali w popłochu. Niestety, wojsko niemieckie otoczyło gumna, stodołę, strzelało z przywleczonego tu działa, iluś akowców zbiegło, trzech padło w walce. Pana nie było. Niemcy spalili budynki. Ciała poległych zabrały rodziny z Pilzna. Niemcy zaś pozbierali swoich i wywieźli. Teraz hitlerowcy śmielej rozbierali stodoły na bunkry budowane w Połomie. Ustawione we wsi działa strzelały w kierunku Latoszyna, położonego przed Dębicą. Kpt. Zborżyl ocalał, bo był w podróży. Odtąd ukrywał się u stryja Rębisia w Smarzowej. Po wojnie przebywał w Ustce, po powrocie wzniósł nowe budynki, zmarł we śnie na serce. Dzieci podzieliły się mieniem. Z czasem budynki z cegły zaczęły popadać w ruinę.

Fałszywa przysięga

O czasach, kiedy śmierć chadzała, kędy chciała, mówi mieszkaniec Jaworza Dolnego w gminie Pilzno, według opinii mieszkańców, doskonały znawca odległych już zdarzeń, który swe relacje wspiera literaturą przedmiotu. To właśnie Stanisław Szczepanik, urodzony 15 kwietnia 1920 r. w Połomie (wcześniej Polomeja), chętnie służy mi pomocą.

W Połomie w gospodarstwie wdowy Zofii Mieli azyl znalazło dwu Żydów, lecz po tragedii u Rębisiów zaraz uciekli. Wtedy mówiła swoim wnuczkom: „Uciekajcie, bo mogą mnie zastrzelić", dlatego opuściły dom babki i żyją do dziś. Słowa jej okazały się prorocze, po tygodniu Niemcy wpadli i dokonali przewidywanej egzekucji. Ta śmierć miała chyba zawiązane oczy, bo u Uryjasza żydowscy zbiegowie ukrywali się nadal. Policjanci z Pilzna zwołali zebranie i objaśnili zarządzenia władz okupacyjnych, ze szczególnym uwzględnieniem problemu żydowskiego. Do Rębiszowej mówili wprost: „Rębiśko, wiemy, że przechowujecie Żydów, usuńcie ich lub zgłoście..." Na to ona: „Jak mi Boga trzeba przy śmierci, tak Żydów nie mam". Po śmierci Rębisiów dowiedzieliśmy się, że jeden bunkier był pod stodołą, z szopy się doń wchodziło. Wejście Rębisiowie zasypywali śmieciami, słomą. Drugi na podwórzu pod drewutnią. To były właściwie wydrążone w ziemi lochy. Na wierzchu pokładli drwa.

Ponieważ los Żydów był częścią tutejszej rzeczywistości, nie można problemu tego wyizolować, przedstawić w oderwaniu od pewnego, choćby szkicowo zarysowanego tła, które sygnalizuje poniższa wypowiedź. Tak więc dom nasz spalili Niemcy w odwet za

barykady, które stworzyli akowcy z grubych drzew, padających po ścięciu na gminny gościniec. Całą noc ścinali najgrubsze pnie, a te co 300 m stanowiły przeszkodę wzdłuż lasu od Głobikowej do Gołęczycy. Te pnie zatrzymały oddział pancerny złożony z czołgów i wozów pancernych, podążający z Wielopola Skrzyńskiego do Słotwiny na kwaterę. Wśród przekleństw i złorzeczeń hitlerowcy cięli piłami pnie, odciągali je przy pomocy czołgów. Z tego powodu spalili dwa najbliżej położone gospodarstwa, Marii Lesiak i nasze. Chwilę czekali, aż dom się zapali, jednak stodoła ocalała, także bydło wcześniej przez nas wyprowadzone. Zabierając ramy okienne, zauważyliśmy, że pożar wzniecili pociskami zapalającymi. W tym czasie tj. w sierpniu 1944 r., w lesie na polanie koło Połomi zebrało się 300 akowców. To oni zaatakowali dwóch oficerów jadących autem osobowym do Braciejowej. W odwecie Niemcy szli tyralierą na las, 20 padło, akowców około 15. Jedni i drudzy cofnęli się, bo front był blisko. Niemców pochowali w Łękach, 5 km za Pilznem, na starym austriackim cmentarzu. Polaków po wojnie przeniesiono do Gumnisk. Te okoliczności sprawiły, że przenieśliśmy się do Józefa Kałuży w Jaworzu Dolnym. Syn ich był niemowlęciem, żona chorowała, a jej siostra, Władysława, od 1947 r. żona moja, zajmowała się dziećmi i domem. Domostwo pod strzechą usytuowane było na pagórku obok wiejskiej drogi, prowadzącej z Jaworza Dolnego do Jaworza Górnego i Jasła. Ziemia piaszczysta, lasy mieszane, panorama okolicy przeurocza. Zabudowa wsi rozrzucona, od sąsiadów dzieliła nas przestrzeń 300–500 m, posterunek i władze gminne znajdowały się w odległym o 23 km Pilźnie. W tym nieistniejącym już domu zamieszkała żydowska rodzina, którą Niemcy wysiedlili na okres roku z Dworku w Jaworzu Górnym. Liczący około 50 ha dwór przejął Surowiec z Pustkowa, jak się potem okazało, wysiedlony z Poznańskiego.

Wtedy jeszcze nie wywozili Żydów do getta. Tak więc pod tym dachem znaleźli się: Roman Thau, jego rodzice, zarazem właściciele dworu, dwie siostry: Tauba, Fraida i brat Nysek. Gdy zaczęli wywozić Żydów do gett, powstał wśród nich wielki popłoch. Jedni

uchodzili do lasów, drudzy szukali ratunku w wiejskich zabudowaniach, pozostali z rezygnacją szli do getta, jak mówili, na stracenie. Roman Thau z rodziną wyjechał za Wisłę, ale niebawem sam powrócił pociągiem. Ojciec zmarł, matka została zastrzelona w getcie. Syn ich, udając Polaka, znalazł pracę w cukrowni, siostry w Arbeitsamcie, zamieszkali w wynajętym domu z jakimś Żydem i jego córeczką. Ten Żyd nie zachował niezbędnej ostrożności, wieczór zasłaniał okna, na głowę nakładał, jak mówiono, płachtę i modlił się. Ta 3–letnia córeczka też nie potrafiła zachować należytej dyskrecji. Na skutki lekkomyślności nie trzeba było czekać długo. W nocy zostali zastrzeleni, świadków nie było. Thau tymczasem krył się u Kałuży na strychu, sypiał w słomie i liściach, w zimie w izbie na nalepie. W dzień, gdy ktoś przychodził, chował się pod piecem w piwnicy na ziemniaki. Drzwiczki zasłaniał firanką. Nad nim były deski stropu piwnicy. Tam, bywało, zapalał świece, modlił się, oddawał rozmyślaniom. Na osmalonej przez świece desce stropu widniał wypalony napis: kto z Bogiem, Bóg z nim.

Zimą 1943 r. nastał srogi mróz, gruba warstwa śniegu utrudniała poruszanie się nawet w obrębie obejścia. Nagle przed świtem zaroiło się wokół zabudowań od Niemców różnych formacji zbrojnych z Jasła, Pilzna i Dębicy. Jak się dowiedzieliśmy potem, saniami podjechali od strony Gorzejowej do Gębiczyny. Mróz doskwierał im sromotnie, skoro opatuleni byli kocami, furmani mieli na głowach kaptury chroniące przed mrozem, konie nakrywali derkami. Po drodze zabrali Józefa Rybę, rocznik 1921, skutego, skatowanego zawieźli do szkoły na przesłuchanie. Prowadząc ledwie żywego przy drodze postrzelili i wreszcie strzałem skierowanym w twarz dobili. Pośród katów był Urban z policji porządkowej z Dębicy, Poznaniak z pochodzenia, postrach tych okolic. Zamordowanie Ryby stanowiło końcowy akcent wyprawy. Było to około godziny 11. Do dziś stoi tu nagrobek obok kapliczki.

W czasie tej akcji Niemcy przyszli do domu Jana Kałuży, Józefa Kałuży i Psiodów. W tym czasie żona Jana Kałuży, po ucieczce z przymusowej pracy w Nowym Sączu, ukrywała się w gospodar-

stwie. Niemcy chodzili za nią. Zdarzało się, że przed obcymi uciekała razem z Żydem na strych, by się schować pod wiązką słomy na pustej przestrzeni. Ślama opowiadał, iż widział swoich prześladowców, sam będąc niewidocznym. I tym razem udało się u Psiodów, natomiast znaleźli Żyda ze Strzegocic, spał na nalepie stanowiącej jakby przybudówkę pieca. Dzielny, doprawdy, był ten Żyd. W obliczu niechybnej śmierci zapewniał, że jest tu od wczoraj. Bity nie wydał nikogo. Zarówno on, jak i domownicy padli od kul. Byli to rodzice Katarzyny – Jan Psioda i Wiktoria Psioda. Inni uczestnicy obławy o świcie przyszli do Józefa Kałuży, wołając, by im otworzono. Od progu Niemiec zapytał, czy tu są Żydzi. Żyd faktycznie był, ale po usłyszeniu pukania do drzwi zdążyli schować go w kominie. Stojąc na zasuwie i wspierając się łokciami o ściany komina, trwał w bezruchu, choć bliski był omdlenia. Na szczęście nie palono w piecu. Usilne poszukiwania, połączone z przewracaniem i odsuwaniem mebli, nie przyniosły niczego poza rozczarowaniem. Dwaj Niemcy pozwolili się nawet ugościć, byli weseli, zadowoleni. Wnet przyszli inni z zamiarem powtórzenia rewizji w myśl jakichś nowych wskazań, jednakże: zostali wyrzuceni przez współtowarzyszy biesiadujących przy stole. W południe wrócili do sań, po czym odjechali. Żyd dotrwał do czasu wkroczenia Sowietów, pojechał do kolegi w Szwecji, a stamtąd do RFN, gdzie po latach zmarł.

Kończąc tę smętną epopeję wojenno–okupacyjną, przywołam jeszcze kilka znamiennych faktów. Mieszkając w domu rodzinnym w Połomie, wieczorem przed szopą spotkałem mężczyznę z małą córeczką. Na pytanie, czy są Żydami, z wahaniem odparł „A ty człowiek". A tu wokół szalała, siarczysta zima, śnieg sięgał po kolana. Przenocowali u nas, rano poszli do Pilzna. Trafili na dzielną kobietę z Machowej i ta zdecydowała się ukryć ich z powodzeniem. Przed nadejściem frontu kobietę wysiedlili, a Żyd z córeczką schował się w szałasie w lesie. Niemcy odkryli ich, jednak oficer, z pochodzenia Austriak, po przesłuchaniu przywrócił im wolność. Odtąd mieszkali razem z żołnierzami, pracowali przy koniach w stajni, sypiali w żłobie. Nagle zagrzmiało, zahuczało – to front

przetoczył się z łoskotem. Jeden z Niemców pozostał i ożenił się z córką właścicielki domu. W Gorzejowej także pozostał Niemiec, by pojąć za żonę Polkę. Żołnierze ci pochodzili ze Śląska, więc może byli przymusowo wtłoczeni w sałdacki szynel. Żyd z córką wyjechał do Stanów, z czasem dziewczyna wyszła za mąż, żyje do dziś. W czasie egzekucji Rębisiów, w sąsiednim domu u wdowy o nazwisku Miela było 10 Żydów. W stajni pod dylami mieli bunkier, nad którym stało bydło i koń.

Do wieczora jeszcze byli, ale odeszli, podobno przeżyli. Inni nie mieli tyle szczęścia. W Lipinach za Pilznem rodzina żydowska ukrywała się długo, ale z obawy przed spodziewaną rewizją uciekła się do koczowania w polach. Zastrzelili, a było to młode małżeństwo z córeczką i babką. Liczącego lat 50 Jana Bobowskiego pobili i też zastrzelili, budynki doszczętnie spalili.

Radgoszcz

Bezskuteczne obławy

Smutne dzieciństwo miał Władysław Piłat, urodzony w 1929 roku w Radgoszczy. Jako sierota wychowywał się u Franciszka i Honoraty Sołtysów w Radgoszczy, a raczej w przysiółku Czarkówka. Pracował w ich niewielkim, dwuhektarowym gospodarstwie. Domostwa stały tu na uboczu, w terenie zakrzewionym i porośniętym bujną roślinnością, pociętym rowami. Wszystko to sprawiało, że miejsce to można było uważać za bezpieczne.

– Ukryła się u nas – wspomina Władysław Piłat – rodzina Grünów, zwanych też potocznie Bajdczami. Ojciec i jeden z synów tej rodziny zginęli w nieznanych nam okolicznościach. Ukrywali się: syn Benedykt oraz jego siostry: Regina, Felicja i Haja. Rodzina Grünów miała w Czarkówce majątek ziemski o obszarze 100 morgów i w odległości 500 metrów.

Zamiast do getta nocą przyszli do Franciszka Sołtysa z najcenniejszymi rzeczami, pierzynami i odzieżą. Przekradli się skrycie, we dworze zostawili inwentarz żywy i martwy, wszystko, co stanowiło majątek nie do przeniesienia. Miejsce wypędzonych w ich gospodarstwie zajął Niemiec ze Śląska. Zmuszał ludzi do pracy według swego widzimisię, poszczególne wsie wzywał do pracy w ustalonej przez siebie kolejności, na przykład Czarkówkę, Łęg i inne. Za roboty polowe często nie płacił. Kazał harować o własnym wikcie.

Wracając do moich spraw osobistych, to musze wyjaśnić, że Franciszek i Honorata Sołtysowie nie mieli własnych dzieci i ja byłem im potrzebny w gospodarstwie. Mieszkaliśmy w starym domu pod belkowaniem, była tam jedna izba, drzwi i stajnia. W tej stajni tylko jedno prosię. Była jeszcze jedna pusta izba. Drzwi do stajni prowadziły z pola i z sieni.

W tym skomplikowanym układzie można było sobie pozwolić na wykorzystanie miejsc, nadających się na kryjówkę. W stajni pod

miejscem, gdzie chowano świnię, był bunkier, czyli mówiąc prosto, dół obłożony deskami. Sufit był również z desek, a nad tym wszystkim chował się dorodny świniak. Przez małą szybkę docierało niewiele światła głównie wtedy, kiedy zaglądały promienie słoneczne.

Samo wykopanie w stajni odpowiedniego dołu wymagało specjalnych starań. Wydobytą ziemię wynoszono nocą i rzucano na obornik. Drugi schowek był w pustym mieszkaniu, gdzie pod piecem znajdowała się piwnica. Tutaj też kryli się Żydzi, ale najczęściej chowali się do stajni, gdy było zagrożenie. Często siedzieli w mieszkaniu, wykorzystując fakt, że dom stał na uboczu. Kryli się najstaranniej, gdy dowiadywali się o nadchodzącej obławie.

Pierzyny mieli nasi ścigani lokatorzy w mieszkaniu, które dzielili jako kwaterę z gospodarzami. Sypiali nieraz na polepie pieca i wyżej, na jego szczycie. Mieli też w rezerwie drugi dom, gdzie chronili się u gospodarza Leżonia w Grochowiskach przysiółku Radgoszczy. W 1943 roku urządzono obławę: policja granatowa wraz z Niemcami przyjechała wozami z Radgoszczy o świcie. Szukano tylko u Sołtysów na strychu i po kątach. Właśnie na strychu, choć nie znaleziono nikogo, były ślady czyjegoś pobytu. Pozostał ślad w postaci chustki kobiecej.

Prześladowcy pobili gospodarza, pchnęli go do sieni. Potraktowany tak brutalnie, upadł na ziemię i złamał rękę. Odjechali, a w tym czasie nasi Żydzi byli schowani pod chlewikiem. Wpadli potem jeszcze raz i też nic nie znaleźli.

Ukrywały się u nas wtedy trzy osoby: brat, matka i 18–letni kuzyn. Znane mi są fakty przerażające. Jeden z Żydów wyszedł z ukrycia i na moście łączącym Radgoszcz z Sutkowem został zatrzymamy przez tak zwaną wartę chłopską. Przywiązali go do drzewa, a później oddali w ręce policji. Matkę nieszczęsnego uciekiniera ukrywał niejaki Leżoń, interesujący się od dawna jej lasem. Ten Leżoń popełnił morderstwo, a zwłoki pochował pod świerkiem. Po wojnie odkopał je na polecenie władz. Skazany został na 7 lat więzienia. Jan Frąc za przywiązanie Żyda do drzewa, zatrzymanego przez tak zwaną wartę chłopską, został skazany na śmierć. Jak mó-

wiono, jego teść odwołał się do Bolesława Bieruta i uzyskał złagodzenie wyroku i ostatecznie skazany odsiedział wszystkiego 7 lat. Ponoć nie mógł uwierzyć, że zasłużył na karę śmierci. Kiedy zbliżał się front i wysiedlono nas do Sutkowa, uciekinierzy żydowscy pojechali razem z nami. W wielkim zamieszaniu, jakie wówczas powstało, nawet się nie kryli. Żydówki pracowały, obierały ziemniaki. Po wojnie były jeszcze z nami kilka dni. Z Franciszkiem Sołtysem pojechali nasi Żydzi do Krakowa. Honorata Sołtysowa pozostała na miejscu. Pięć i pół roku byli w Krakowie, a Sołtysowa sama gospodarowała. Dodam jeszcze, że jeden z ukrywających się, Benedykt Grün, zmarł potem po chorobie nerek.

Nawet las przestawał dawać schronienie

Mieszkańcy Radgoszczy maja wiele do powiedzenia o losie tamtejszych Żydów. Do nich należy zamieszkujący dziś w Tarnowie mgr Aleksander Kędzierski, prawnik i kombatant.

Na początku 1940 r. – mówi on – w domu mego ojca w Radgoszczy – w Podmałcu zamieszkała żydowska rodzina z Krakowa o nazwisku Łajbel, złożona z rodziców i 11–letniej córki. Łajbel był dobrym krawcem i dlatego cieszył się powodzeniem i uznaniem wielu klientów.

Ale fala terroru wzbierała nieubłaganie, rozlewała się po całym kraju, a okropne wiadomości dochodziły z okolicznych miasteczek: Dąbrawy Tarnowskiej, Szczucina i Radomyśla Wielkiego. Ostatnią nadzieję odbierały pełne euforii komunikaty wojenne o triumfalnym pochodzie hitlerowskiej machiny wojennej.

Z upływem czasu coraz boleśniej odczuwaliśmy brzemię niemieckiego panowania, wszechobecnej buty i pychy „nadludzi". Coraz trudniej przychodziło nam znosić piętrzące się niewygody, niedobory w zaopatrzeniu. Coraz powszechniej chodzono w drewniakach, cukier zastępowała sacharoza i czarny syrop buraczany, zresztą bardzo smaczny, chleb zawierający sporą porcje ziemniaków stawał się mniej dostępny. Pomysłowość manifestowała się w tworzeniu różnych środków zastępczych nie tylko w zakresie sztuki kulinarnej. Trudno dostępna była odzież. Nasz żydowski krawiec czerpał surowiec ze sprutych spodni, sukien, każdy skrawek materiału znalazł swoje zastosowanie. Łaty i cerowania były widoczne na spodniach i marynarkach.

Dolegliwości te wzrastały lawinowo, piętrzyły się i doskwierały każdemu. Ale to był dopiero początek polskiej drogi krzyżowej, wkraczaliśmy w gęstniejący mrok okupacji. Wiosną 1940 r. Niemcy zaczęli wysiedlać Żydów. Naszych wywieziono do Pustkowa. Łejb nie przyjął propozycji ukrycia w bunkrze, nie dowierzał pogłoskom o nadchodzącej zagładzie: „niemożliwe, żeby tak dużo ludzi odważyli się wymordować" – mówił.

Z Podmałca wywieźli także innych. Do nich należy Mełk Mojżesz, właściciel 100 morgowego majątku, Szlama, Meyer i Sziwer. Nazwiska podaję z pamięci, fonetycznie, nie ręczę za poprawność ich pisowni.

Ale Żydzi odważniejsi i zaradniejsi, a może mający szanse skorzystania z bardziej sprzyjających okoliczności przeżyli wojnę i utrzymują serdeczny kontakt ze swoimi opiekunami z czasów zagłady i pogardy. Roman Salomon z dwiema córkami przetrwał ten czas w skrzynce, w domu Józefy Zając. Po wojnie swą wybawczynię zaprosili do Izraela. Dowody wdzięczności swojemu wybawicielowi Władysławowi Curowi przesłali: Mendel Haber i Regina, Rozalia Hesler i Bronisława Horsz z Radwana. Ks. Bolesław Dybiec z Bolesławia był bohaterem reportażu, który za sprawą braci Köglów z Bolesławia ukazał się w prasie polonijnej w USA. Sprawy te trafiły na łamy prasy krajowej, a także publikacji książkowej dzięki staraniom Józefa Kozaczki i Zdzisława Baszaka. Jeszcze przypominam sobie, że 10–letnia Wiesia Kosiak ocalała dzięki odwadze i ludzkiemu miłosierdziu mieszkańców Bolesławia. Rodziców jej pojmali Niemcy w czasie obławy. Dziewczynka doprowadzona była na posterunek, ale na szczęście Guzdek był nieobecny i jego żona oddała dziecko gospodarzom na wsi. O tym nietypowym

przypadku pisał Zdzisław Baszka w swej broszurze pt. Placówka „Malwina", wydanej w Tarnowie w 1992 r.

Głośnym echem odbiła się tragedia w domu Anny Wójcik w Porębach, wdowy, ponieważ wcześniej Guzdek aresztował jej męża, który zginął w Oświęcimiu. Tym razem Niemcy przeczesywali las na granicy z powiatem mieleckim i mordowali Żydów ukrywających się w bunkrach. Rewidowali obejścia gospodarskie i tak doszli do domu Anny Wójcik. Żydzi musieli zejść ze strychu, ojca i córkę zabrali na posterunek, a młodego Żydka postrzelili i żywcem zakopali. Od strzałów Guzdka zginęli: Anna Wójcik, Bronisław Kmieć, czteroletnia Janina i licząca pół roku Bronisława.

3 grudnia 1942 r. Guzdek zamordował Tomasza i Bronisławę Juzbów w kolonii Narożniki w Radgoszczy. Mieszkająca z nimi siedemdziesięcioletnia teściowa po kłótni doniosła Guzdkowi, że Juzbowie żywią ukrywających się w lesie Żydów. W wyniku jednej z obław i rewizji znaleziono Żydów w zagrodzie Bronisława Łachuta w Polesiu k. Radgoszczy i zamordowano ich razem z rodzina gospodarza. Zabudowania spalono.

To prawda, że teren ten obfitował w skupiska leśne i okoliczność ta sprzyjała konspiracji, ale zewnętrzne warunki w pasie przyfrontowym działały w odwrotnym kierunku. Zwłaszcza gdy front zbliżył się do Radgoszczy i na tyłach rozlokowano dużo wojska, które kwaterowało we wsiach, wtedy nawet las nie dawał schronienia. Niemcy ustawicznie patrolowali wsie i lasy w poszukiwaniu sowieckich zbiegów, alianckich skoczków spadochronowych, partyzantów. Obławy te były groźne i niejednokrotnie obfitowały w krwawe żniwo. Pojmanych, uznanych za szczególnie niebezpiecznych dla Rzeszy, doprowadzano do rezydującego w szkole w Radwanie generała. Żydów na miejscu zabijali.

Pożytek z trefnej nogi wieprzowej

Do trudnych wspomnień z lat wojennych dołącza swoje relacje Edward Łachut, urodzony w Brzezówce w 1931 roku. Rozpoczyna, jak to zwykle ma miejsce, od sytuacji życiowej swojej rodziny.

– Ojciec mój Franciszek i matka Cecylia mieli gospodarstwo rolne o powierzchni około trzech hektarów blisko szosy Szczucin Radomyśl. Obok biegła ścieżka często uczęszczana. Wszystko to na terenie raczej odkrytym, bez zagajników, które bywały schronieniem i osłoną dla ściganych.

Zimą 1942 roku przyszli do nas Żydzi: Herman Weizer i Maksymilian Arymowicz, którego zwano Motykiem. Weizer miał gospodarstwo w Brzezówce, a jego towarzysz był krawcem ze Szczucina. Z ich obu znaliśmy jedynie Weizera. Dowiedzieliśmy się, że jego rodzina, licząca 6 osób, została ujęta w listopadzie 1942 roku, zdaje się, że przez policję u Michała Szułapa w Dąbrowicy koło Szczucina.

Wpadli w ręce prześladowców: ojciec Herman Dawid, siostra Estera, brat, Herszko z 7–letnią córką Heleną i niejaki Toporek ze Szczucina. W czasie transportu Herman uciekł szczęśliwie, mimo że za nim strzelali. Pozostałych złapanych zastrzelili Niemcy na kirkucie w Szczucinie. Maksymilian Arymowicz przyszedł do nas po raz drugi. Za pierwszym razem przyprowadzili go Weizerowie, zwani przez miejscowych ludzi Duwetami, co było przekręceniem imienia Dawid. Wówczas nie było warunków do przechowywania prześladowanych, skoro zbyt często okoliczni mieszkańcy mówili, że „u Łachuta w Brzezówce przetrzymuje się Żydów". Toteż Herman Weizer zabrał Aramowicza i przez pewien czas nie pokazywali się.

W styczniu przyszli znowu. Tym razem prosili, by ich przyjąć na trzy dni. W rzeczywistości byli potem znacznie dłużej, bo około dwóch lat, aż do zbliżenia się frontu. Zimą przebywali w stajni, latem w stodole.

Kryjówkę stanowiła wnęka w słomie rzepakowej. Słoma ta była obłożona deskami, które można było wyjąć, zasypując wnękę. Zimą

często przenosili się do mieszkania, jedli rozmawiali, czytali gazety. W Szczucinie kupowaliśmy gazetę „Goniec Krakowski". Rano, na przemian z matką, przynosiliśmy im pożywienie. Nie brakowało chleba, choć trudna sytuacja i kontyngent wysoki. Dwie izby stały otworem dla obcych i gości, w trzeciej była kryjówka dla Żydów. W nocy robili oni wypady na wsie do znajomych, głównie w poszukiwaniu żywności. Któregoś dnia przyjechał konnym wozem Niemiec i dwóch granatowych policjantów. Jeździli po całym terenie gminy Szczucin. Ani ojca, ani mnie nie było wówczas w domu. Nasi ukrywający się lokatorzy wyjrzeli przez szpary ze stodoły i czekali na dalszy rozwój wypadków, gotowi w każdej chwili uciekać. Wkrótce okazało się, że policjanci przyjechali w jakiejś innej sprawie. Były chwile trwogi, kiedy weszli do mieszkania, ale zaraz je opuścili i odjechali. Mogło być gorzej.

Latem 1944 roku zbliżał się front. Oddziały niemieckie zajmowały kwatery. Zjawiał się Niemiec i zaznaczał kreda na ścianie, że stodoła została zajęta na kwatery dla wojska. Ojciec patrzył na ten napis, a znał język niemiecki z wojska i z okresu pracy na Śląsku. Poszedł do stodoły i oświadczył uciekinierom, że muszą opuścić to pomieszczenie.

Były właśnie żniwa i jeszcze część zboża leżała na polu nie zżęta. Nasi biedni tułacze skryli się w pszenicy i siedzieli tam parę dni. Mój ojciec kosił tę pszenicę bardzo powoli, by zostawić im schronienie. Spodziewaliśmy się, że Niemcy lada chwila uciekną. Na razie jednak żołnierze zakwaterowali się w stodole. Była to jednostka zmotoryzowana, która wyrwała się z kotła pod Jarosławiem. Mówili o tym żołnierze ze Śląska. Nie ukrywali, że są wrogami Rzeszy i czekają na klęskę Niemiec.

Auta i samochody pancerne stały w naszym obejściu. Nasi żydowscy uciekinierzy siedzieli w kopach ściętego zboża, a po uprzątnięciu pól musieli uciekać i szukać schronienia tam, gdzie Niemcy nie kwaterowali. Ciągle zresztą następowała wymiana kwaterujących oddziałów i mieliśmy do czynienia z coraz to innymi żołnierzami. Od lipca 1944 roku napłynęło wielu wysiedlonych ze

strefy przyfrontowej. Ten chaos i bałagan, napływ obcych i nie znających się wzajemnie ułatwiał poruszanie się. Nasz żydowski uciekinier Arymowicz, znający język niemiecki, nie krył się w dzień i poruszał się dość swobodnie. Niemcy usunęli nas do stajni, a sami zajęli dom mieszkalny. Któregoś dnia o świcie Arymowicz wszedł do domu i zapytał, gdzie są gospodarze. Niemcy skierowali go do stajni. Dostał od nas chleba. Zachęceni dotychczasowym bezpieczeństwem, nasi Żydzi poruszali się wśród ludności dość swobodnie, aż do listopada 1944 roku.

Potem jednak Niemcy wysiedlili część wsi, w tym i nas. Żydzi wpadli w ręce żandarmów. Patrol doprowadził ich pod szkołę i wylegitymował. Dokumentów nie mieli. Mieszkaniec Brzezówki, Józef Kupiec, widząc Żydów wykrzyknął: „Po co was tu diabli przynieśli?". Byli bowiem na jego podwórzu, koło szkoły. Chciał im pomóc, ale z zapasów żywności miał tylko nogę wieprzową. Dał im tę nogę i radził uciekać. Skorzystali z zamieszania, zostawili swoją pierzynę u Józefa i uciekli.

W odległości około 300 metrów była kopa słomy. Przesiedzieli tam w niej do wieczora. Jeden z uciekinierów opowiadał potem, że ta trefna noga wieprzowa ratowała ich przez parę dni. Ostatecznie poszli za rzekę Breń, bo tam mieszkańców nie wysiedlono. Pozostali tam od listopada 1944 roku, aż do styczniowej ofensywy w 1945 roku. Kryli się w stodołach, najczęściej u Szymona Dziekana. Nie odmawiano im pomocy, ale – jak opowiadali – bywało też, że gryźli kłosy zboża.

Przed ofensywą styczniową rozpoznał ich i ujął jakiś Niemiec. Nie był to jednak żandarm, ale żołnierz frontowy, machnął ręką i puścił ich. Czekali więc dalej w stodole Szymona Dziekana na wkroczenie oddziałów Armii Radzieckiej. Niełatwo było żyć w tej nieustannej konspiracji. Mówili uratowani, że to, co przeżyli, nie daje się objąć wyobraźnią normalnego człowieka. Są to fakty przerażające dla cywilizowanego świata. W szczytowym momencie oczekiwania na ratunek do stodoły, w której się ukrywali, wbiegła, jedna z wysiedlonych z wieścią, że „są już Ruski". Potem był trudny

powrót do normalnego życia, a jeszcze później – wyjazd za granicę. Heśko żyje w Stanach Zjednoczonych, a drugi młody zmarł w Kanadzie. Obiecali nas odwiedzić. Przed wyjazdem Heśko chciał nam dać meble po kuzynach w Tarnowie i niemal się obraził, gdy nie przyjęliśmy tego daru. Proponował też tanią sprzedaż pola i łąki, ale i tego nie chcieliśmy przyjąć, bo nie dla zapłaty pomagaliśmy ściganemu człowiekowi. Mimo wszystko obiecywał, że jak będzie miał pieniądze, to nam pomoże. Rodzicom dał w końcu 5 hektarów gruntu, częściowo z krzakami. Ornej ziemi było tam 2 hektary. Była to ziemia w Radgoszczy. Jego córka pisała do nas z Wiednia.

W tym wypadku wszystko zakończyło się szczęśliwie, ale mówiono o wstrząsających faktach męczarni ściganych Żydów. Podobno był wypadek zamordowania Żyda siekierą po to, by mu zrabować 1 kilogram cukru. W Brzezówce na strychu jednego z domów ukrywało się 4 Żydów, lecz zostali odkryci i zastrzeleni. Prawdziwym nieszczęściem dla ukrywających się była choroba. Pamiętamy, jak wspomniany wielokrotnie Arymowicz dostał ataku serca. Wówczas wyszedł z tego obronną ręką.

Przypadkowa denuncjacja

Wspomnienia wojenne Julii Piłat, z domu Kołodziej, sięgają lat jej dzieciństwa. Urodziła się bowiem w Radwanie w roku 1933. W gospodarstwie jej rodziców ukrywali się Żydzi latem i zimą.

Było to – mówi – małżeństwo i dzieci: Helena, Róża oraz chłopak. Mieszkali z nami, jedną izbę mieli do dyspozycji. Gdy nasiliły się łapanki, szukali schronienia w lesie lubaskim, pod Szczucinem. Przychodzili także po chleb. W końcu rodzice poumierali w lesie, córka zaś przeżyła.

W pobliżu znajdował się dworek Władysława Dobrowolskiego. Był tam stóg słomy koło stodoły.

Któregoś dnia Niemcy wyciągnęli z tego stogu ukrywających się Żydów. Od razu zastrzelili rodziców, a potem ich synka. Zanim

doszło do tej tragedii, Władysław Dobrowolski żywił swoich uciekinierów.

Zdarzały się w tych sprawach sytuacje zaskakujące, najmniej spodziewane. Niejaki Świąder ukrywał Żydów, którzy się doń zgłosili z prośbą o pomoc. Kiedyś wpadli do niego Niemcy razem z garanatową policją i rozpoczęli rewizję. Gospodarz za wszelką cenę chciał odwrócić ich uwagę i skłonić do odejścia. Sądząc, że to najlepszy sposób dezinformacji, rzucił na chybił trafił, że Żydzi ukrywają się w Radwanie. Nie wiedział, że jest to jak najbardziej prawdziwe.

Przerwano rewizję i policjanci wraz z Niemcami pojechali do Radwana. Tam w pustej stodole znaleźli małżeństwo i dwoje małych Żydów. Wyciągnęli ukrytych z siana i zastrzelili. Nie stosowali represji wobec mieszkańców, bo stodółka stała na uboczu. Po wojnie tragicznie ułożyły się losy mimowolnego sprawcy tej tragedii. Pobito go i zastrzelono z karabinu.

Parę słów jeszcze o losach mojej własnej rodziny. Wysiedlili nas, Kołodziejów, do Olesna, do Franciszka Frysa. Stamtąd przychodziliśmy do domu i nawet zdarzyło się, że dostaliśmy mąkę od jakiegoś przyzwoitszego Niemca.

Cmentarz radgoski

Józef Łabuz
Gazeta Krakowska, nr brak, 1979r.

Ze względu na rewolucyjną przeszłość i liczne przejawy oporu podczas okupacji uważali Niemcy Radgoszcz za najbardziej oporną gminę na obszarze tarnowskiego „Kreishauptmannschaftu". Śródleśne położenie gminy stwarzało dogodne warunki ukrywania się dla wielu wysiedlonych i „spalonych" w innych stronach ludzi, w tym także Żydów, których (poza gettem w Tarnowie i Dąbrowie) przebywało w Radgoszczy może najwięcej. Głośne nawet w Tarno-

wie było hasło, żeby uciekać z gett do lasów duleckich koło Radgoszczy.

Latem 1942 roku za pośrednictwem dowódcy piątki GL w Radgoszczy Juliana Frącza zgłosili się do mnie przedstawiciele zgrupowania Żydów w lasach duleckich. Byli to trzej synowie Pinkasa Szchera, trzydziestomorgowego rolnika z Wyrębisk: Paweł, Lejb i Cunia (prawdopodobnie Icunia, tzn. Izaak). Od imienia ojca zwano ich we wsi powszechnie Pinkami.

Odbyliśmy naradę w lesie koło zagrody Łachów. Młody Ludwik Łach był żołnierzem GL i osobistym przyjacielem Pinków, z których dwóch wysłużyło wojsko. Potwierdzili, że organizują z tułających się po lasach Żydów oddziały partyzanckie. Była to chyba najwcześniejsza i największa tego rodzaju próba na wsi małopolskiej.

Zwracali się do nas o pomoc, zwłaszcza o broń dla samoobrony, o kontakty z ludźmi, którym można było zaufać. Planowało się wspólną partyzantkę, ale dopiero na wiosnę 1943 roku. Pinkowie nie chcieli przystąpić do komunistów (nazwy Gwardii Ludowej w tych pertraktacjach nie wymienialiśmy). Uważali się za żołnierzy „w ogóle" i chcieli należeć do „armii polskiej", jeśli taka powstanie. Chcieli od nas kupić parę karabinów, gdyż wiedzieli, że Julian Frącz, Ludwik Łach i Władysław Nadolski przechowują naszą broń. Nie zgodziłem się na sprzedaż, choć niektórzy towarzysze przystawali na to. Zgodziliśmy się wypożyczyć Pinkom pięć karabinów i trochę naboi, ale tylko do wiosny, gdy się wyjaśni sprawa przystąpienia Żydów do naszej formacji zbrojnej.

Przyrzekliśmy im dostarczać żywności, udzielać schronienia u sympatyków, nie skompromitowanych jeszcze, jak my, dawniejszymi aresztowaniami. Broń, w tym i mój własny karabin – przekazali im Julian Frącz, Ludwik Łach i Nadolski. Od tego czasu, zazwyczaj nocą chodziły po terenie gminy Radgoszcz grupy po trzech, pięciu i więcej ludzi z karabinami, zapewniając sobie w ten sposób częściowe bezpieczeństwo, ale jednocześnie wywołując wrażenie istnienia w tych stronach poważnej partyzantki.

Na obławy ruszały bandy esesmanów, Sonderdienstu i żandarmów z Tarnowa, nieraz poprzebieranych po cywilnemu oraz tzw. „Ernteeinsatzkommando" z Radgoszczy, którym komenderował okrutny zbir Engelhardt Gózdek i jego pomagier Zimmerman, zwany „Sonderdienst". Latem i jesienią 1942 roku zdołali schwytać i wymordować dziesiątki Żydów.

Z oddziałami „Pinków" starli się kilkakrotnie. Do największej strzelaniny doszło jesienią 1942 roku w przysiółku nazywanym Górki lub Kąty. Na tzw. „Sipiorówce" zatrzymała się grupa „Pinków" u rodziny Wariasów. Zaskoczyli ich Niemcy. Uciekających gonili do lasu. Ażeby osłonić rozpraszający się oddział, okopał się Lejb Szcher w zaroślach i dzielnie walczył do ostatniego naboju, aż hitlerowcy otoczyli go i ciężko rannego dobili.

Brat jego Paweł zastał później schwytany – zdaje się – w Luszowicach i po straszliwych torturach zamordowany. Zaś Cunię wywąchali hitlerowcy w domu Józefa i Teresy Szkotaków na Kaczówce.

Nie strzelał do nich z posiadanego karabinu, gdyż nie miął wcale naboi. Hitlerowcy wraz z nim rodzinę Szkotaków i trupy zakopali w podwórzu. Za współdziałanie z „Pinkami" ujęli i rozstrzelali Niemcy Ludwika Lacha, który był łącznikiem między oddzialem „Pinków" i Gwardią Ludową.

W tym także czasie, jesienią 1942 roku, wykryli Niemcy kryjówkę rodziny „Piekarzy", nazywanych tak powszechnie, gdyż prowadzili w Radgoszczy piekarnię. Właściwych ich nazwisk niestety nie znam, choć kilka nocy spali w stodole mojego ojca. Ale ponieważ dom nasz był zagrożony możliwością wtargnięcia Niemców i ja sam już ukrywałem się gdzie indziej, przenieśli się Piekarze (starzy rodzice, dwie córki i zięć) do zabudowań tzw. z pierwszego małżeństwa Komietki, wdowy po zamordowanym w Oświęcimiu Wojciechu Wójciku. Pomagali jej, a ona ich przechowywała.

W nocy otoczyli hitlerowcy dom Kmietki – Wójcikowej. Spalili chałupę wraz z Piekarzami, wdową i jej małymi dziećmi.

Często do mojego ojca zachodził nocą po żywność Szmul Fas, nazywany Czarnym. Na jego prośbę ojciec reklamował go w żniwa

przed zabraniem do getta w Dąbrowie jako pracownika na swoim gospodarstwie. Czarny zadeklarował wobec mnie i Stanisława Błocha chęć wstąpienia do partii.

Żołnierzy Gwardii Ludowej: Jana i Kazimierza Doroszów, moich kuzynów, odwiedzali niekiedy nocą Grünowie z Łęgu. Mieli w pobliżu kryjówkę w specjalnym bunkrze u Franciszka Sołtysa, gdzie Beniamin Grün i jego siostry przechowali się szczęśliwie przez całą wojnę. Uważali się za prawowiernych chasydów. Obecnie są w Ameryce.

Wszyscy przedwojenni komuniści i nowi członkowie PPR w Radgoszczy oraz sąsiedniej gminie Szczucin – okazywali Żydom wiele pomocy i ułatwiali kontakt z sympatykami i znajomymi. Dowódca piątki GL w Narożnikach i Porębach, Julian Frącz, dostawiał w dużych ilościach żywność do lasów duleckich i na umówione miejsce, jak np. do Tomasza Juzby, zwanego Matyjasem. Juzba oprócz żywności odstępował Żydom m.in. skórę na buty, otrzymaną za odstawione na kontyngent zboże.

Czując, że patriotycznego oporu Radgoszczy nie da się złamać, ani ukrywających się w niej Żydów nie da się wytępić, póki – jak mówili faszyści – „gnieździ się żydokomuna", przygotowali Niemcy w Tarnowie na 13 listopada 1942 r. większą ekspedycję na Radgoszcz. Bandy esesmanów z trupimi czaszkami wtargnęły o świcie do przysiółków, zagarniając około 30 komunistów i ludowców. Listę aresztowanych mieli przygotowaną na podstawie przedwojennych materiałów policyjnych i sądowych, gdyż z Radgoszczy nie było w tym czasie konkretnego donosu ani wsypy, oprócz amunicji znalezionej u ludowca, Franciszka Frącza.

Nie zastali mnie w domu, ale aresztowali za mnie i – jak mówili – za „żydokomunę" mojego siedemdziesięcioletniego ojca, który był żarliwym katolikiem. Wśród przeszło dwudziestu aresztowanych i wywiezionych do Oświęcimia znajdowali się moi trzej kuzyni – Jan, Kazimierz i Władysław Dorosze oraz dalsi krewni: Franciszek Frącz, Julian Frącz, Antoni Kawa oraz Kazimierz i Józef Grabowscy. Wszyscy zginęli w Oświęcimiu.

Dla postrachu postawili hitlerowcy w Radgoszczy szubienicę. Ale nie udało im się ująć tych, którzy chcieli powiesić. Mimo największego terroru przechowało się do końca wojny w gminie Radgoszcz wielu „spalonych", w tym kilkunastu Żydów, którzy później, jak Grünowie, wyjechali do Ameryki lub do Izraela.

Tuż przed placem, gdzie stała szubienica, wznosi się obecnie nowa szkoła, a na niej umieszczona marmurowa tablica wymienia nazwiska 25 radgoszczan rozstrzelanych lub zamordowanych w Oświęcimiu, wielu za udzielanie pomocy Żydom. Tablica ta nie obejmuje ani połowy ofiar, które poniosła gmina Radgoszcz w ruchu oporu i bohaterskich zmaganiach o wolność „naszą i waszą". Ja też wspomniałem tylko tych, których znałem bezpośrednio i z którymi miałem do czynienia. Konieczne jest ustalenie wszystkich nazwisk Polaków i Żydów, poległych tam za wspólną sprawę.

Apeluję do kompetentnych instytucji i instancji o wzniesienie na cmentarzu radgoskim godnego pomnika dla uczczenia tych wszystkich, którzy polegli za wolność i pokój. A nowe wydanie encyklopedii niechaj umieści obok Radogoszczy także i Radgoszcz.

Radłów

Kurier

Stefan Guzy po wojnie zmienił nazwisko na Górski, ur. w 1919 roku w Biskupicach Radłowskich w gminie Radłów. Zmarł na początku 1995 r. na 2 tygodnie przed mym przyjazdem. Wcześniej na listy nie odpisywał.

Z relacji synów wiadomo, że został wywieziony na roboty przymusowe do Austrii, mimo że rodzice chcieli zatrzymać go w swym gospodarstwie. I tak z wyroku historii wypadło mu pracować w majątku ziemskim blisko granicy szwajcarskiej. Okoliczność ta, jak się okazało, miała zasadnicze znaczenie w jego utajnionych poczynaniach.

Jako człowiek przedsiębiorczy i energiczny, a przy tym niezwykle odważny zorganizował przerzut prześladowanych Żydów z Austrii do Szwajcarii, kraju neutralnego. W 3–4 partiach przeprowadził, jak zapewniał po wojnie, około 300 Żydów, pobierając opłatę w lirach włoskich, które jednak straciły wartość, uległy dewaluacji. Szczęśliwcy wyemigrowali do USA.

Udało mu się powrócić do domu. Tu znów bez wiedzy rodziców ukrywał wpierw dwie, później jedną w średnim wieku Żydówkę. Jedną odesłał do siostry w Woli Rzędzińskiej koło Tarnowa, gdzie ukrywała się w bunkrze w szopie. Z czasem jednak matka zaczęła coś podejrzewać, w końcu na wiadomość, że to Żydówka, porażona strachem matka zemdlała. Zdecydował się odprawić ją ale tak tylko na niby, bo faktycznie niepostrzeżenie wróciła bez wiedzy matki.

Gdy znów wzmogło się zagrożenie, wywiózł ją, do siostry pod Tarnów. Nie wiadomo dokładnie, jak długo tu była, ale pewne jest, że opiekował się nią do końca i pomagał materialnie.

Był kawalerem. Kupił dom od wdowy, której męża zamordowali Niemcy. Założył mały tartak i warsztat stolarski. W tartaku cięto drzewo na deski dla okolicznej ludności. Warsztat produkował

stolarkę budowlaną w szerokim asortymencie, np. drzwi, okna. Zapotrzebowanie było, bo wieś doznała zniszczeń, gdy we wrześniu 1939 r. rozgorzały walki o Radłów oraz most na Dunajcu właśnie w Biskupicach Radłowskich. Interes dobrze prosperował, a właściciel stał się zamożny. Jako taki mógł wspierać finansowo ukrywające się tu Żydówki, które ocalały.

Po wojnie, zrujnowany przez władzę ludową podatkami i domiarami, wycofał się z interesu.

Korespondował, jak zapewniał z rabinami z USA. Nie wiadomo z czyjej inicjatywy w piśmie do Białego Domu podnosił swe zasługi w ratowaniu Żydów. Odpowiedź nie nadeszła. Sprawa ewentualnego przerzutu, a więc i ocalenia, tak dużej liczby Żydów jest niecodzienna i wymaga bliższego zbadania. Może odezwie się ktoś znający ten epizod.

Radomyśl Wielki

„Świadectwo prawdy"

Szanowny Panie Musiał!

Dziękuję Panu za obydwa listy z prośbą o wybaczenie, że dotychczas nie odpisałam. Niestety nie z niedobrej woli, ale z braku zdrowia fizycznego i moralnego. Powrót myślami do przeszłości, to znaczy mojego przeżycia i utraty całej rodziny, i naszego narodu nie jest dobrym lekarstwem dla obecnego mego stanu. Postaram się jednak z wielkim wysiłkiem wyrazić mój punkt widzenia. Na ogół wieśniacy naszego okręgu byli brutalni i byli antysemitami. Opisałam sytuację Żydów podczas okupacji naszego miasteczka Radomyśla W. Zaraz po wyzwoleniu w 1945 roku, znajdując się wówczas w Szwecji. Odpowiadając na prośbę dalszego mego krewnego, dziennikarza w żydowskiej gazecie „Unsser Wost" w New Yorku. Ja przetłumaczyłam ten opis, który został wydrukowany w New Yorku w odcinkach przez trzydzieści dni i przesłałam go w 1987 roku do Żydowskiego Instytutu Historycznego w Polsce do Warszawy, ul. Tłomackie 3/5 (tel. 27–18–43, 27–15–30). Opisując między innymi dzień wysiedlenia Żydów z Radomyśla W. wspomniałam: „Co się stało z tymi 250 Żydami, którzy się przed wysiedleniem ukryli u chłopów w okolicy". Po najwiekszej części oni zostali wypędzeni z chat samego dnia deportacji. Przy tym oni zostali ograbieni przez tych chłopów i pozbawieni nawet ich odzieży. Mając jedyną wymówkę, bali się denuncjacji. „Podczas tych tragicznych dni mieliśmy ponowną okazję stwierdzić zwierzęcy instynkt polskich chłopów. Nie wystarczyło im wygonić Żydów z ich chałup, oni ścigali nawet tych, którzy się chowali w lasach i polach, ściągając z nich ostatnią koszulę. Jeżeli oni sami ich nie zabili na miejscu, oni ich donieśli policji, która ich dobiła... Większość Żydów, która się ukryła we wioskach w dniu deportacji, została zabita tego samego wieczora. Inni przeżyli do listopada 1944 r. w lesie, między innymi ja z mężem. Niestety 11 listopada, po denuncjacji zostaliśmy zaskoczeni nad ranem obławą niemiecką, podczas której mój mąż został na miejscu zastrzelony, mnie zaś i około piętnaście osób zabrali do obozu w Płaszowie, gdzie wszyscy prócz mnie zostali zastrzeleni na górce. Tylko mała garstka w lesie wymknęła się z rąk niemieckich, ona została wyzwolona przez wojska rosyjskie. Osobiście jestem wdzięczna Adamowi Kokoszce z Dulczy Małej, szczególnie jego żonie, która nas ukryła dwa razy przez kilka miesięcy w 1943 roku, kiedy inni chłopi, jak Józef Szocik z Dulczy M., którego musiałam opuścić, mimo że go wynagrodziłam wielką sumą dolarów. On nas okradł pewnej nocy, zostawiając nas bez butów i odzieży w mroźnym miesiącu stycznia 1943 roku. Ja żywię ogromną nienawiść do Tomasza Szczurka, wójta w Dulczy Wielkiej i jego żony, którzy nas wyrzucili, moich rodziców i mnie z mężem w dniu deportacji, mimo że się zobowiązali nas ukryć, po tym, kiedy wywieźli z naszego domu dobra ruchome oraz dużą sumę dolarów.

Przed wysiedleniem zamożni Żydzi zostawili na plebanii znaczne dobra, szczególnie towar różnego rodzaju, między innymi ja również zaniosłam towar bławatny, który udało nam się uchronić. Okazało się, że ksiądz był głównym inspiratorem ludności wiejskiej. Co niedzielę jego kazanie polegało na wzbudzaniu nienawiści wobec Żydów. Mogę to osobiście zaświadczyć. Nie mając więcej pieniędzy na żywność, kiedy się ukrywaliśmy u Kokoszki, który był bardzo biedny, zaryzykowałam moje życie, udając się wieczorem na plebanię poprosić księdza o bochenek chleba. On mnie wygonił, zastraszając mnie, że czeka na wizytę swego przyjaciela Pielucha (policjant Volksdeutsche) i że on nie będzie odpowiedzialny, jeżeli Pieluch mnie na miejscu zastrzeli. Przypominam sobie jeszcze teraz moją odpowiedź: „Wolę umierać ze strzału niż z głodu". Ja jednak wróciłam z pustymi rękoma. Zakończę ów krótki opis, że jestem zamożna, mimo, że p. Józef Balczyniuk wychował mojego syna do trzeciego roku życia. Kiedy znalazł dziecko pod oknem, nazajutrz

wyraził się w obecności p. Kokoszki: „Jeżeli to jest żydowskie dziecko, oni mnie dobrze zapłacą, jeżeli to jest pewnej »dziewuchy«, będę mieć pastucha."

Po wyzwoleniu, kiedy listownie do niego zwróciłam się, żeby mi oddał dziecko, on mi stawiał ogromne warunki, wiedząc, że ja wówczas nawet własnej koszuli nie posiadałam. Mogłam naturalnie prawnie wydostać moje dziecko. Uważałam jednak, że on nie zasługuje, żeby przemocą odebrać dziecko. Dzięki moim współwyznawcom w New Yorku, na łamach gazety żydowskiej, po wydrukowaniu mojego opisu, zebrano około 2000 $, za które organizacja żydowska, wówczas jemu kupiła nieruchomości w Dulczy Małej. Przypuszczam, że ów krótki opis da Panu satysfakcję.

Z poważaniem
Hela Lewi

Jedna spośród tysięcy

Chaja Garn–Rozenblat
TeMI, 1986, nr 17

Nazywam się Chaja Garn–Rozenblat, córka Chaima–Leiba, który – jak jego ojciec Benjamin – handlował tkaniną w Radomyślu Wielkim. Miałam niezwykłe szczęście, że uratowałam się z hitlerowskiego piekła. Zachęcona przez swoich krewnych i przyjaciół pragnę opowiedzieć o losie naszej rodziny.

Dwa tygodnie przed wysiedleniem i wymordowaniem Żydów z Radomyśla wyszłam za mąż. Kilka tygodni wcześniej 500 młodych Żydów zostało wybranych, by pozostać w getcie mającym powstać w Radomyślu. Mój mąż był jednym z nich.

Moi dwaj szwagrowie: Mendel Ajzland i Naftali Honig mieli przypadkowo zezwolenia na wyjazd z miasta, których daty ważności minęły. Nam też udało się dostać takie dokumenty. Zmieniliśmy

daty i wykonaliśmy poprawki tak kunsztownie, że nie było poznać sfałszowania. W ten sposób mogliśmy opuścić miasto przed zagładą Żydów. Postanowiliśmy schować się u chłopa w sąsiedniej wiosce. Okazało się, żeśmy mądrze zrobili, nie polegając na specjalnych świadectwach, gdyż w ostatniej chwili, przed wysiedleniem, władze unieważniły wszystkie zaświadczenia i nie pozwolono już opuszczać miasta.

W piątek, o północy, wyruszyliśmy do chłopa ze wsi Żarówka, z którym przedtem umówiliśmy się, że da nam przytułek na strychu. Według tej umowy schowany tam nasz dobytek zostanie zwrócony nam, gdy powrócimy do miasta. Miał też przechować naszych rodziców.

Za tę dobroczynność otrzymał od nas znaczną sumę pieniędzy oraz dużą paczkę tkaniny. Jego żona przyjęła nas bardzo uprzejmie i troszczyła się o wszystkie nasze potrzeby. Oboje pilnowali, by nikt się nie dowiedział, że w jego domu ktoś się ukrywa.

Niestety, uprzejmość gospodyni trwała tylko jedną dobę. W niedzielę poszła do Radomyśla dowiedzieć się, co się tam dzieje. Czekaliśmy w napięciu i strachu, słysząc dalekie strzały i nie wiedzieliśmy, co o tym myśleć. Dopiero po południu wróciła ze strasznymi wieściami. Nagle wyznała drżącym głosem, że słyszała w kościele ogłoszenie, że każdy, kto przechowuje Żyda, ma go od razu wypędzić i że wkrótce będą obławy na Żydów w chłopskich domach. Przy tym wspomniała, że wszystkich Żydów z Radomyśla wysiedlono i nie mamy dokąd wrócić. Kobieta nie zgodziła się na nasz dłuższy pobyt w domu. Sytuacja była bez wyjścia. Wiedzieliśmy, że nas znajdą i wymordują wszystkich na miejscu. Moi rodzice poczęli płakać jak dzieci.

Dowiedzieliśmy się, że w Dąbrowie Tarnowskiej jeszcze nie było wysiedlenia i znajdują się tam Żydzi. Postanowiliśmy się tam udać, ale należało iść nocą, by nas ludzie nie zauważyli. Przed nami długi dzień i nie możemy zaraz opuścić domu wieśniaczki. Ona zaś nie chciała słyszeć o naszym pozostaniu. Wówczas przytoczyłam jej religijne argumenty „Czy pani Bóg odpuści twardość serca?". Na

szczęście była głęboko wierząca i te słowa wpłynęły na nią. Zgodziła się, byśmy pozostali do wieczora.

Pełni trwogi czekaliśmy zachodu słońca. Czekała nas piesza wędrówka cała noc, niezupełnie znaną nam drogą. Ale najtrudniej rzecz się przedstawiała dla naszych rodziców, ludzi przeszło 60-letnich, którzy chorowali nawet w dobrych czasach. Mój mąż szedł z opierającym się na nim ojcem. Ja prowadziłam mamę. Często kryliśmy się zaroślach, pełni śmiertelnego strachu, słysząc głosy przechodzących Niemców, gdyż o tej porze nikomu nie wolno było znaleźć się poza domem. Ojciec nie mógł już iść, więc ja z mężem skrzyżowałam ręce, tworząc niby krzesło i tak nieśliśmy ojca szmat drogi, by trochę odpoczął.

Nareszcie przybyliśmy do Dąbrowy. Ledwie weszliśmy do domu pewnego Żyda – przybiegł chłopak z wiadomością, że jest obława na Żydów w mieście i wysyłają ich do Pustkowa. Zaczęto się chować, po piwnicach, ja zaś wyszłam na ulicę, by zobaczyć, co się dzieje. Przed domem leżały trupy, a spotkani ludzie opowiadali, że w mieście zastrzelono mnóstwo Żydów. SS–owcy biegają po mieście jak szaleni i strzelają na wszystkie strony. Trzeba było stąd uciekać, ale dokąd?

Przypomniałam sobie, że w Mielcu mam znajomego Polaka, który jest zatrudniony w urzędzie pracy. Postanowiłam zadzwonić do niego, może uda nam się wpłynąć na zarządcę fabryki, by przyjął nas do pracy. Byliśmy gotowi zapłacić wszelką cenę, komu się należy. Mój znajomy Polak obiecał w Mielcu starać się mi pomóc. Był to bardzo porządny człowiek. Po wielogodzinnym czekaniu zawiadomił mnie, że jutro o godz. 11.00, przed południem przybędzie ciężarówka, by nas zabrać do Mielca. Uszczęśliwiona opowiedziałam to Polakowi, od którego telefonowałam. Usłyszawszy to zbladł i ledwie wymamrotał, że musimy wnet wyruszać, bo jutro rano Niemcy uczynią to w Dąbrowie, co uczynili w Radomyślu i dodał – „skoro udało ci się raz uratować – nie wolno ci ryzykować teraz".

Postanowiliśmy uciec do Tarnowa. Za dobrą opłatą udało nam się dostać do tarnowskiego getta. Niepodobna opisać przeżycia tej

ciężkiej, nocnej wędrówki, ale tylko chęć życia dodawała nam sił do wytrwania. Tu, w getcie, nie było już starszych ludzi. Wszystkich bowiem wcześniej już wytransportowano. Pojedynczym udało się ukrywać. Często gestapowcy zjawiali się nagle w domu żydowskim i – jeśli znaleźli w nim starszych ludzi – wnet wszystkich wysiedlali.

Byliśmy zmuszeni szukać schronienia dla naszych rodziców. W ciągu kilku dni wykopaliśmy pod domem rodzaj piwnicy i tam ich ukryliśmy. Wtedy zaczęliśmy się starać o zezwolenia dla nas na pobyt w Tarnowie. Z wielkim trudem i za grubą opłatą uzyskaliśmy to zezwolenie, które zarazem oznaczało dla nas ciężką pracę. Mój mąż szedł wiele kilometrów do Mościc, by dźwigać worki z cementem z wagonów na ciężarówki. Ja zaś dostałam pracę w fabryce płaszczy dla SS–manów.

W połowie sierpnia SS–owcy zaczęli zbierać Żydów na transport z tarnowskiego getta. Posiadacze kart pracy mieli pozostać, inni zaś byli zmuszeni klęczeć, aż zbierze się wyznaczona ilość ludzi na transport. Gestapowcy biegali po domach i szukali ukrytych Żydów. Trwało to cały dzień. Gdy się okazało, że nie mają dostatecznej ilości, poczęli łapać kobiety i dzieci spośród tych, co posiadali karty pracy. Okropne sceny rozgrywały się na oczach wszystkich. Rodziny rozdzielano siłą. Gdy żona biegła za mężem lub odwrotnie, nie chcąc się dać rozłączyć, rozstrzeliwano ich na miejscu. Było już ciemno, gdy zezwolono pozostałym „szczęśliwym" powrócić do domu. Wśród nich byliśmy i my.

Przyszedł rozkaz zmniejszyć getto, które zostało podzielone na bloki. W blokach wolno było mieszkać tylko pracującym w pewnych miejscach pracy. Kobiety mieszkały oddzielnie. Od mężczyzn były odgrodzone kolczastym drutem. Zmuszeni byliśmy szukać nowej kryjówki dla naszych rodziców. Mieściła się ona na strychu w specjalnie wybudowanym pomieszczeniu z cegły i była przeznaczona dla kilku osób, które sowicie, je opłaciły.

Pewnego dnia, po upływie kilku tygodni wróciłam z pracy i zastałam strych pusty. Żywej duszy z kilkunastu ukrytych tam Żydów nie zostało. Byliśmy wstrząśnięci. Nikt nie mógł nam pomóc.

Upłynęło znów trochę czasu. Było to już z końcem jesieni. Po powrocie z pracy udałam się do ubikacji znajdującej się na podwórzu mojego mieszkania. Nagle usłyszałam moje nazwisko wywołane przez jednego z policjantów Judenratu. Wyszłam więc szybko z ubikacji i ukryłam się za drzwiami prowadzącymi do podwórza. W pokoju, gdzie mieszkałam razem z dwoma siostrami męża, szukali mnie dwaj policjanci Judenratu. Byli za mą również na podwórzu, ale mnie nie odkryli. Mój mąż był wówczas w drodze powrotnej do getta ze swej pracy w Mościcach. Natychmiast udałam się na przystanek auta ciężarowego, którym miał przyjechać mąż z grupą Żydów. Samochód udało się załatwić mojemu mężowi za aparat fotograficzny podarowany pewnemu inżynierowi. Na przystanek nadeszłam w odpowiednim momencie. W pośpiechu opowiedziałam mężowi, co się wydarzyło i udaliśmy się do mieszkania Szymona Federa z Radomyśla, który ukrył nas w piwnicy wypełnionej węglem. Tutaj przeczekaliśmy kilka dni, aż do momentu, kidy zjawił się po nas Jakub Eisig, który miał nas zaprowadzić nocą do Dulczy Małej. Aby się wydostać z getta, trzeba było skoczyć z wysokiej zamurowanej ściany zakończonej elektrycznymi drutami. Ucieczka się powiodła. Wędrowaliśmy cała noc około 50 kilometrów. Wreszcie znaleźliśmy się w Dulczy Małej. Jednak i tutaj nie zagrzaliśmy dłużej miejsca. Trzeba było wciąż uciekać. Nocowaliśmy po chlewach, oborach i na strychach. Drżeliśmy z zimna i głodu.

Pewnej nocy dotarliśmy do biednej chałupki na skraju Dulczy Małej, obok małego lasku. Osobiście nie znałam tej rodziny. Kobieta przyjęła nas wyjątkowo uprzejmie. Ona mnie poznała, mówiąc, że chodziła z najstarszą moją siostrą do szkoły. To był dobry znak. Przechowywała nas na strychu stodoły do końca wiosny.

W końcu powędrowaliśmy w kierunku Mielca. Tam odnaleźliśmy kilku Żydów pochodzących z Radomyśla, którzy pomogli nam dostać pracę i urządzić w obozie. Pracowaliśmy ciężko, za to warunki mieszkaniowe były znośne. Nareszcie spałam na ludzkim posłaniu. Naszymi dozorcami byli Polacy. Ale to szczęście nie

trwało długo. Gestapo zaczęło bowiem poszukiwać wszystkich tych Żydów, którzy przybyli do tego obozu nielegalnie i ukrywali się tak samo jak i my. Kierownik obozu, chcąc nas zalegalizować zameldował nas do gestapo.

Pewnego dnia po powrocie z pracy usłyszeliśmy wywoływanie kilkunastu z nas, między innymi i Rozenblatów. Mój mąż zamiast się zgłosić, wyciągnął mnie z baraku i pomógł przeskoczyć płot. Zdecydowaliśmy się na ucieczkę do lasu. Uciekaliśmy bardzo szybko, by jak najdalej oddalić się od obozu. Po drodze słyszeliśmy strzały. Nazajutrz dotarłam na miejsce, gdzie pracowała nasza grupa. Dowiedziałam się, że kilkanaście osób zostało wówczas rozstrzelanych przez gestapo na podwórzu naszego obozu. Nas nie znaleziono. Polska policja otrzymała rozkaz poszukiwania nas. Nie było więc mowy o powrocie do obozu. Jedynym wyjściem było wykopać schron w lesie i w nim zamieszkać. W tym celu ukradliśmy z obozu narzędzia pracy. W wykopanej jamie zaczęłam gorączkować i niedomagać, a głód dokuczał nam niemiłosiernie. Tymczasem nastąpiły silne opady i kryjówka nasza została zalana. Trzeba było się z niej wynosić. Znowu wlekliśmy się ostatkiem sił, nim doszliśmy do jakiejś wioski. Odważyłam się zapukać do chaty, by kupić chleb. Chłop był w strachu, ale zlitował się nade mną i w końcu sprzedał chleb, obiecując raz w tygodniu sprzedać trochę pożywienia. Zamieszkaliśmy w lesie pod gołym niebem. Tak przebywaliśmy przez dwa miesiące, cierpiąc głód, chłód i strach. Znowu zaczęłam gorączkować i bardzo osłabłam. Nie byłam już w stanie chodzić do wsi po zakupy i mój mąż musiał mnie zastąpić w tych wielce niebezpiecznych wyprawach. Jego wygląd od razu zdradzał Żyda.

Pewnego razu wrócił z radosną nowiną o kapitulacji Włoch. To nas natchnęło nową nadzieją. Postanowiliśmy wrócić w kierunku Radomyśla. Tym razem trzeba była przepłynąć Wisłokę. Droga jednak minęła szczęśliwie i wieczorem przybyliśmy do Dulczy Małej i zamieszkaliśmy u znajomego chłopa. Z radością przyjął nas i ulokował na strychu. Była jesień 1943 roku. Czekaliśmy na zmianę sytuacji międzynarodowej, która poprawiłaby nasze położenie.

Mijały dnie, tygodnie i miesiące. Samopoczucie moje jednak się z każdym dniem pogarszało. Czułam się osłabiona, chora i bliska rozpaczy. Powodem moich zmartwień była ciąża. Byłam w szóstym miesiącu. Zadawałam sobie ciągle pytanie, jak ja wytrzymam jeszcze te trzy miesiące przed porodem. Mimo pocieszania mojego męża płakałam dniami i nocami. Nie wierzyłam, że będę rodzić po zakończeniu wojny, co obiecywał mi mój mąż. Martwiłam się tylko o to, gdzie będę rodzić. W mieszkaniu gospodarza było to niemożliwe, bo może ktoś zobaczyć i wszyscy bylibyśmy zgubieni. Co będzie, jeśli zajdzie potrzeba korzystania z lekarza lub akuszerki? Koszmar moich rozmyślań udzielał się także mojemu mężowi, który również jak ja nie mógł zasnąć.

Nastała zima 1944–45 r. Czas mojego rozwiązania się zbliżał. Właściciele domu bali się trzymać nas u siebie w tym stanie. Odetchnęliby z ulgą, gdybyśmy ich opuścili, ale nie mieliśmy innego miejsca. Wieśniaczka zgodziła się zostawić nas na poddaszu, gdzie miałam rodzić. Zgodziła się również być akuszerką. Ale na tym nie skończyły się moje troski. Jeżeli nawet poród będzie normalny, to co zrobimy z noworodkiem? O ukrywaniu się z maleństwem nie było mowy. Mój mąż doszedł do wniosku, że najlepiej będzie go podrzucić jakiejś rodzinie. Po wielu godzinach rozmyślań, wspólnie z naszymi dobroczyńcami postanowiliśmy podrzucić dziecko w pobliżu zamożnego gospodarza, któremu trzy miesiące temu zmarł mały chłopczyk – i nie miał nadziei na ponowne zostanie ojcem. Byliśmy pewni, że on przygarnie podrzutka i będzie się nim opiekował.

Spis treści

Wstęp 5

Bochnia 16
O pomocy Żydom podczas ostatniej wojny.
Na marginesie pracy Michała Grynberga „Księga sprawiedliwych" 16

Bolesław 27
27 miesięcy zbawczego więzienia 27
Każda chwila groziła śmiercią 36
Tylko praca 37

Brzesko 40
Prześladowania Żydów i próby ich ratowania 40

Brzostek 54
Uratowana z zagłady 54

Czarna 58
Tułaczka i... małżeństwo 58
Las był ich domem 59
Tato, dokąd niesiesz to pożywienie? 62

Czchów 64
Ucieczka w góry 64
Ochrona Żydów i pacyfikacja Czchowa 66
Wielcy wśród nas – odchodzą 72

Dąbrowa Tarnowska 75
Ucieczka z rynku i getta 75
Po partyzancku – ze sztachetami na ramieniu 78
Za cenę własnego życia 79
O krok od prześladowcy 86
Polowanie na ludzi 104
Niemcy odkryli bunkier 111
Niektórym udało się wyjechać na roboty do Rzeszy 112
Najcięższa próba przyjaźni 114
Ci, którzy przeżyli 117
Zmienne losy prześladowców i prześladowanych 123
Codzienność bohaterska 128
Na szczęście było dwóch Kędzierskich 132

Tanie było ludzkie życie 135
Bezskuteczna walka o ocalenie 136
Gdy sadyzm był legalny i premiowany 141
Uratowani chłopcy 142
Groźby ocalonych 143
O krok od pomyłki sądowej 145
Niechciana prawda 152
Mieszkając z katem 153
Kto zabił Guzdka? 156
Ostatnia droga 162
Sprawdziła się przepowiednia wędrownego żebraka 163
Magiczne kennkarty 166
Pomoc Żydom w powiecie Dąbrowa Tarnowska 168

Dębica **178**
Zdrada wylęknionego Żyda 178

Dębno **180**
Nieudany pościg 180
Ze zmiennym szczęściem 185
Solidarność miejscowych 186
Wdzięczność i odwet 188
Walka o przetrwanie 190
Zagadkowa zbrodnia 192

Gnojnik **196**
Odpowiedział głową 196

Gręboszów **198**
Pacyfikacja esesmanów z „Galizien" 198

Jodłowa **203**
Wymiar poświęcenia 203
Wdzięczność ocalonych 207
Utajniony żywot 210
Było nam ciężko 220
Shoah w Jodłowej i w oczach jodłowian 222
Zmarł sprawiedliwy z Jodłowej 232
Sprawiedliwy wśród Narodów Świata 233
Dziękuję za życie
Konferencja – czy obojętność może zabić? 235

Lisia Góra **238**
Pod bokiem gestapo 238

Mędrzechów **243**
Zginęli w ostatnich godzinach 243
Grądzki Żyd Mendel 248
Mord w nocnej scenerii 251
Dlaczego nie uciekł Żyd Fisiek? 253
Ucieczka małej Hajki 258

Nowy Wiśnicz **262**
Po starej przyjaźni 262
Sally była w niebie, a ja w piekle 264
Nie mogliśmy odmówić pomocy 267

Olesno **269**
Ofiarna szlachetność i zbrodnicza zachłanność 269
Tajemnica Fryderyka Dammera 271
Pomogła mu córka przyjaciela 274
Ćwików okazał się szczęśliwym miejscem 281
Bunkry w polu pozwalały przetrwać 283
Pomoc bezdomnym i głodnym 288
Olesno i Adamierz, ostatnia nadzieja zbiegów 290
List ocalonej Żydówki 294

Pilzno **296**
Nocne obławy zwiastunem śmierci 296
Fałszywa przysięga 299

Radgoszcz **304**
Bezskuteczne obławy 304
Nawet las przestawał dawać schronienie 306
Pożytek z trefnej nogi wieprzowej 309
Przypadkowa denuncjacja 312
Cmentarz radgoski 313

Radłów **318**
Kurier 318

Radomyśl Wielki **320**
„Świadectwo prawdy" 320
Jedna spośród tysięcy 322

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

Adam Kazimierz Musiał

Lata w ukryciu

Gliwice 2002 r.

Copyright @ by Adam Kazimierz Musiał, Gliwice 2002 r.

Wszystkie prawa zastrzeżone

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

II 5.5.74.287

Wydrukowano w Polsce

Druk:
KOMDRUK - KOMAG Sp. z o.o.
ul. Pszczyńska 37, 44-101 Gliwice
tel. (32) 2374651

Biblioteka Narodowa
Warszawa

30001002553685

ISBN 83-918385-0-1

Wydanie I
nakład 600 egz.

2003 co 10580

Synom moim

Ryglice

Mieszkanie w pożydowskim domu

Helena Kantor z Uniszowej, gmina Ryglice pamięta, jak pierwszą żonę jej męża, Żydówkę Dobkę Sztrum, zabili Niemcy. Mieszkam w domu po Żydach, bo pierwsza żona mojego obecnego męża była Żydówką, nazywała się Dobka Sztrum. Gdy mieli brać ślub, przechrzciła się na wiarę rzymskokatolicką. Po ślubie oboje musieli uciekać, bo prześladowali ich Żydzi. Uciekli więc na Śląsk. Później mój mąż, Stanisław Kantor, został wywieziony do Niemiec, na roboty. Dobka mieszkała z synkiem, w wynajętym domu w Uniszowej. Po niedługim czasie została wydana przez Żyda Niemcom, była wówczas w ciąży z drugim dzieckiem. Przy domu została rozstrzelana. Chłopaka zostawili przy życiu, a ją pochowali ludzie, ale nikt nie wie, gdzie jej mogiła. W Ryglicach na budynku Urzędu Gminy jest wyryta tablica ludzi zamordowanych przez Niemców, jest i nazwisko Dobki. Gdy mąż przyjechał z Niemiec, ponownie ożenił się, tym razem ze mną, i razem wychowywaliśmy syna po Dobce, Adama Kantora, który obecnie przebywa w Tarnobrzegu. Jeśli chodzi o przechowywanie Żydów, owszem, chodzili po domach i prosili o przechowanie, ale każdy się bał, bo wiadomo, co za to groziło, a zresztą nikt takim czymś się nie chwalił, jak wiedział o tym, to trzymał to w tajemnicy. Jakieś cztery może pięć lat temu odwiedzili nas Żydzi. Było ich czworo, opowiadali, że wstąpili do partyzantki i w ten sposób przeżyli. Podobno mieszkają w Izraelu, a byli najbliższą rodziną Dobki. Następnego roku znów przyjechali i ciągle powtarzali nam, że jesteśmy rodziną. Ale więcej się nie pokazali ani nie dali znaku życia. Mówili nawet, że jakby wiedzieli, że tak biednie mieszkamy, to by coś przywieźli i na tym się wszystko zakończyło.

Żydzi odmówili przysłania zaproszenia

Eugeniusz Bradło, ur. 13.08.1927 r. w Lubczy, gmina Ryglice. Rodzice moi, Szczepan i Klara (z domu Kurnięga) Bradło, mieli gospodarstwo (4 ha), wtedy, tj. podczas wojny w gminie Lubcza. Zagroda położona jest na środku pagórka, 1 km od szosy, która widnieje w dole, a dookoła wznoszą się po części zalesione pagórki. Z góry widać piękny krajobraz i odległe wsie. Sąsiedzi mieszkają z dala, jedynie zagroda Stanisława Szczędor jest po drugiej stronie drogi. Dom był drewniany, pod strzechą, także stodoła. Stajnia i obora pod jednym dachem.

Przed wojną kilka rodzin żydowskich miało gospodarstwa, ale zajmowali się także handlem. U nas dzieci były już dorosłe, co miało duże znaczenie, gdy idzie o zachowanie tajemnicy, a ta miała cenę najwyższą, bo oto jesienią 1942 lub 1943 roku w nocy przyszli do nas Żydzi i błagali o ratunek. Zapasy ich już się wyczerpały, nikt nie odważył się przyjąć ich na dłużej. Ludzie byli dobrzy, ale bali się Niemców i mówili: Macie tu prowiant i idźcie, nie przyznawajcie się, że my wam to dali. Była to rodzina Reich, chyba trzej bracia młodzi i obcy Abraham, dwie panny i starsza kobieta. Panny miały imiona: Maria i Józefa, starsza kobieta miała 4–letnia córkę. Jeszcze był młody Hend i Heszek i inni. Heszek bardzo prosił o pomoc, obiecał dać dolary, ale słowa nie dotrzymał.

Ojciec po odbytej z nimi naradzie zdecydował, że wykopie bunkier w stodole i nakryje go słomą z sąsieka. Dół był głęboki, można było w nim swobodnie stać. Ściany ze słupków i desek. Nad stropem ziemia i słoma w sąsieku. Pod tym samym dachem była szopa na słomę. W tej szopie pod ścianą było wejście do tunelu prowadzącego pod sąsiek. Klapa do tunelu zakrywana była słomą. Pod boiskiem mieli tunel, który prowadził pod drugi sąsiek. Mieli lampę naftową. Prycze z desek, koce. Trudno było wyżywić tylu ludzi. Chleb piekło się, gotowało bób, mleka brakowało. Pożywienie w garnkach. Zanosiliśmy im i podnosili klapę, zabierając wiadra z fekaliami.

Nie chorowali. Cześć z nich była z Pilzna. Baliśmy się przyjazdu Niemców, a ci wpadali po słomę dla wojska albo szukali ludzi na wywóz do roboty w Rzeszy. Ojciec był przewodnikiem i przyjezdnych prowadził na wieś, zawiadamiał też o zarządzeniach np. kto ma dostarczyć podwodę. Niemcy chodzili też za końmi, które zabierali ale do nas nie wstępowali. Niemcy łapali młodych na roboty, a ci uciekali i chowali się. Dalszy sąsiad, Stanisław Łempa, wpadł do naszej stodoły, choć siostra moja, Franciszka, stanowczo odradzała mu szukanie tu schronienia. W sąsieku wpadł do wydrążonej w słomie jamy i znalazł się w bunkrze. Już go chcieli zabić, aby ich nie wydał, ale ojciec nadszedł ze śniadaniem i uratował go. Nie mogliśmy wyżywić ich, wobec czego w nocy szli dokądś po chleb, słoninę. Kupowali zboże, które gospodarze zawozili na cmentarz wojskowy w Słotowej, a myśmy zabierali na wóz i wieźli do domu. Czyniliśmy to w nocy i w obawie przed zdradą zawsze ktoś ubezpieczał z tyłu, aby ktoś nie szedł za naszym śladem. Żydzi często kłócili się między sobą, co było słychać do drogi. Dlatego niektórzy mieszkańcy powzięli podejrzenie, że kogoś ukrywamy. Bunkier ten przedłużyliśmy, by zapewnić im większa przestrzeń. Ziemię wynosiliśmy w wiadrach na pole i zabronowaliśmy. Kopanie wykonywano w nocy. Początkowo ukrywali się na strychu domu, gdzie siedzieli w koniczynie. Przypominam sobie, że byli tu obaj bracia Bochnerowie, młodzi, Lejba już w podeszłym wieku. Czasem za dnia wychodzili z bunkra i siedzieli na wieszaku słomy w sąsieku. Panny w dzień bywały w mieszkaniu i pomagały matce w pracach kuchennych. Kupowaliśmy gazety, które chętnie czytali i wypytywali się, co się dzieje w okolicy. Mężczyźni golili się i myli w tym bunkrze. Ojciec nie mógł sypiać, ciągle czuwał, często chodził do wsi i rozpytywał, co nowego słychać, aż niektórzy zaczęli coś podejrzewać. Nasi nietypowi lokatorzy opowiadali o swym ciężkim losie, użalali się.

Wcześniej byli u kogoś w Siotowej, ale ktoś ich zauważył i musieli opuścić to miejsce w gminie Dębica lub Pilzno. W lasach były obławy. Niemcy szli od podnóża ku szczytom pagórków i strzelali,

siedmiu Żydów upolowali. Wiem, że w gminie naszej jeszcze w dwu zagrodach przeżyli wojnę, ale ludzie powymierali, rozproszyli się po wojnie i informacje przepadły. Nazwiska zapamiętałem. W roku 1945 poszli do Pilzna i kilka lat tam mieszkali. Pisali listy z USA, czasem dołączając kilka USD, słali odzież. Za tę przysługę rodzice zapłacili własnym zdrowiem. Na skutek tych przeżyć ojciec zmarł w 1960 r. w wieku 60 lat, a matka w 1953 r. Żyją dwie Żydówki, jedna pisuje listy.

Ojciec z konieczności sprzedał krowę, jedna tylko została. A za pieniądze kupował zboże. Pod koniec wojny zamieszkali u nas wysiedleni spod Jasła, jedna rodzina to była, zwali się Garbaczyńscy. Po wojnie odwiedził nas tylko Bochnar z synem, który zrobił zdjęcie, 10 USD zostawili, a ojcu dali 100 USD, było to w roku 1986. Prosiliśmy, aby nasze dzieci ściągnęli do USA, ale pojechał tylko Tadeusz zamieszkały w Toruniu, jednak na skutek złego traktowania zaraz powrócił. Więcej nikogo nie zaprosili. Gdy go prosiliśmy o zaproszenie na wyjazd w celu zarobkowym, to zbył nas żartem mówiąc, że kiedyś była tu bieda, a teraz nie jest tak źle. Ludzie myśleli, że Żydzi pozostawili u nas bogactwa, czego skutkiem były napady rabunkowe. Świecili latarkami elektrycznymi, ręce kazali podnieść w górę i rabowali zwłaszcza odzież. Byli dwa razy. Jedynie zmarła już siostra dostała medal, zmarłemu już bratu Tadeuszowi i mnie przyznali tzw. stypendium (90 USD kwartalnie).

Należy dodać, że składający relacje zaprzeczył, jakoby ktoś z rodziny otrzymał medal i tzw. stypendium, dopiero przybyła żona nie miała skrupułów z ujawnieniem tego faktu. Mąż tłumaczył to kłamstwo obawą kojarzoną ze wspomnianymi napadami bandyckimi i nieprzychylną, pełną zazdrości reakcją części mieszkańców okolicy.

Rzezawa

Rozstrzelał 40 Żydów

Honorata Puzia z domu Cebok, ur. 14.V.1913 r. w Borku, gmina Rzezawa, gdzie z mężem mieli gospodarstwo (6 ha). Nieopodal Żydzi mieli gospodarstwo, duży ogród i sklep spożywczy. Ojciec zmarł przed wojną, a matkę zabrali na samochód i wraz z innymi zastrzelili w Lesie Bratuckim. Synowie, którzy dotychczas pracowali dorywczo u gospodarzy w polu, teraz zaczęli się ukrywać. Trwało to rok. Byli to Fisz Salamon, Fisz Henryk i najmłodszy Roman – 20-letni. Już nie sprzedawali warzyw, owoców z ogrodu, nie było ich widać, choć jeszcze nie zeszli do ścisłego podziemia. Niemcy przyjeżdżali do ich pustego domostwa i czynili poszukiwania.

Z litości przyjęliśmy ich pod swój dach. Ukrywali się na strychu domu lub w stodole. Roman i Salamon nie mieli cech semickich, więc na początku schodzili do mieszkania, gdy nikt się nie kręcił. Nie zauważyli jednak, gdy przyszli dwaj żołnierze niemieccy w poszukiwaniu mieszkań.

Ulegliśmy panice, ale na szczęście Niemcy nie legitymowali ich Napiętą atmosferę rozładowała przytomność i tupet Salomona, który był wykształcony i znając niemiecki zajął ich rozmową. Starali się być ostrożniejsi. Schodzili do izby tylko czasem, zazwyczaj gdy się kąpali w balii lub byli głodni. Mimo tego zastał w izbie Henryka, brata Romana i Salomona, wracający wcześniej i kwaterujący tu żołnierz, który zawołał: „Tyś Judy!" Narobił wrzasku. Mąż wyperswadował mu, że to pomyłka i obrona była skuteczna. Odtąd mąż przemyśliwał nad znalezieniem lepszej kryjówki, a tymczasem zabronił im pokazywać się w izbie.

W sąsieku w stodole wydrążył dół, ściany umocnił belkami i obił deskami, słupy i podpórki wspierały sufit, a w nim podnoszona klapa. Na wierzchu było siano, w nim wnęka prowadząca do klapy. Ponieważ było cicho i spokojnie, nikt nie chodził, zdecydowali

się wyjść na chwilę do izby. Nagle na podwórzu pojawili się Niemcy z wielkim psem. Na ich widok mama rzekła: „Teraz to już nas rozstrzelają!". Skamienieliśmy ze zgrozy. Żydzi zdążyli jedynie zaszyć się w sianie na stryszku. Niemcy jednak poszli dalej .

Ponieważ bunkier wymagał wykończenia, dlatego siedzieli na tym strychu jakiś czas. Pożywienie zanosiłam im w koszyku z sionki po drabinie, a z powrotem brałam siano. Znów kryli się w bunkrze. Ludzie zaczęli szemrać, coś zauważyli i bali się o siebie, dlatego na krótko opuścili stodołę i wrócili, gdy mąż przygotował im siedzibę w trzeciej od nas zagrodzie, w pustej stodole. Do tej stodoły przywiózł trzy fury siana, by zamaskować ich pobyt.

Salomon i Roman zgłosili się po roku do getta w Bochni. Dostawali przepustki i przychodzili po żywność oraz odzież. Gdy nie dawano już przepustek, niektóre kobiety, np. Honorata Puzia, zanosiły im pożywienie, co na razie tolerowano, a później musiano o to prosić. Stąd Żydów prowadzono do lasu, gdzie dokonywali wyrębu. Sytuacja ich pogarszała się coraz wyraziściej, aż stała się wręcz nie do zniesienia, dlatego postanowili zamordować esesmana w drodze do lasu i uciekać.

Na umówione hasło Salamon rzucił się na Niemca, pomagał mu brat Roman, ale nie dali rady Niemcowi, a inni Żydzi stchórzyli. Rozwścieczony esesman zastrzelił z automatu 40 Żydów, którzy nie uciekli. To było głośne wydarzenie.

Zjawiła się u nas Żydówka Hela z Krzyżowej, miejscowości położonej pod Lasem Bratuckim i ukryła się na strychu. Wiedziała, że nasz położony pośrodku wsi dom nie zapewnia bezpieczeństwa, dlatego poprosiła męża o znalezienie innego domu, gdzieś na odludziu. Ojciec rozmawiał o tym z zaufanymi, w końcu Styrnowie przyjęli Helę i mężczyznę, nie wiem, kim był, może mężem. Długo tam byli. Już wiosną któregoś roku głodowali, bo Niemcy porekwirowali zboże, we wsi także. Mąż zakopał zboże w skrzyniach pod sianem. Także worki z ziemniakami. Od Styrnów wymykali się nocą do nas, by się najeść. Po wojnie Hala z Krzyżowej z tym mężczyzną wyjechała do Izraela. Jadąc tam zapewniali, że nie zapomną

o naszej dobroci i odwdzięczą się. List napisał, ale zgubiłam go wraz z adresem i więcej nie pisała. Pomagaliśmy im z litości i nagród nie oczekiwaliśmy. Nie dostaliśmy nic.

Zabiła go wojna i strach

Maria Wiśniowska, ur. 22.07.1940 r. w Borku, gmina Rzezawa. Rodzice moi, Piotr i Salomea Styrna, mieli gospodarstwo (3 ha) w Borku. Wieś oddalona jest od siedziby władz i posterunku w Rzezawie, blisko lasu. Dom drewniany, kryty dachówką, stodoła i obora też kryta dachówka i pod jednym dachem. Konia nie posiadali, byli biedni. Za wynajęcie konia pracowaliśmy u zamożniejszych gospodarzy. Władysław Ryncarz, należący do AK, w nocy przyprowadził Żydów, daty nie znam. Miał do nas zaufanie, był gospodarzem w Borku. Z uwagi na ogromny strach, ważne było to czy sąsiedzi mieszkają blisko. Tu niestety domy sąsiadów usytuowane były tuż obok. Przybysze byli wynędznieli i obdarci, głodni, zalęknieni. Było to rodzeństwo, dla ostrożności posługujące się polskimi imionami Helena i Józef Szeinger, wolnego stanu, młodzi. Pochodzili z Dąbrówki–Krzyżowa, gdzie pod lasem mieli gospodarstwo i sklep. Rodzice umieścili ich w stojącej za domem szopie na siano pod dachówka. W tej szopie po odsunięciu ruchomych desek wchodzili do wnęki w sianie, gdzie mieli schowek. Zarówno w lecie, jak i w zimie było tu ciepło. W obawie przed sąsiadami, do których przecież mieliśmy zaufanie, mama w nocy w wiadrze zanosiła im posiłki i wynosiła kubeł z nieczystościami. W nocy wychodzili z szopy i przemykali przez nasze podwórze i tyłami udawali się na przechadzkę do lasu. W takim przypadku ktoś z nas czuwał nad ich bezpieczeństwem. Byli biedni, mieli tylko to, co na sobie. Żalili się, że gdzie indziej wykorzystywano ich i to ich ostatnia szansa. Najbardziej baliśmy się rewizji z użyciem psa tropiącego, Niemcy chodzili za ludźmi, których wywozili na przymusowe roboty nie tylko do Rzeszy i zaglądali wszędzie. Mieszkańcy byli solidarni, nie słyszało

się tu o zdradzie, donosicielstwie, ale trzeba pamiętać, że ludzie słabsi psychicznie w obawie o siebie mogliby wydać. Pewne znaczenie miała świadomość, że w lesie kryli się partyzanci i policjanci bali się tu przyjeżdżać. Wielki strach przeżyliśmy pod koniec wojny, gdy Niemcy z Krakowa, nie ufając widocznie miejscowej policji, wpadli na rowerach do sąsiada, którego syn zajmował się nielegalnym ubojem zwierząt rzeźniczych. Chłopak próbował ucieczki, przesadził dwa płoty, ale na trzecim zawisł przeszyty serią z broni maszynowej. Chaotyczne strzały trafiły w budynki. Przypadkowo postrzelili ukrytą za podwójną ścianą świnię w domostwie, w zagrodzie Józefa Popodiaka. Niemcy to zauważyli, ale zauważyli jadących z lasu partyzantów i szybko się oddalili. Mimo naszej ostrożności sąsiedzi, np. Piotr Gaweł i Piotr Kica, wiedzieli o ukrywaniu przez nas Żydów. Zauważyli, jak mama wynosiła z szopy wiadro na obornik. Gdy zbliżył się front, pięciu żołnierzy zamieszkało w domu i często zaglądało do szopy, bo akurat psa nie było. Ojciec chodził do pracy u gospodarzy i zarabiał na utrzymanie, bo brakowało wszystkiego. Żydzi czytali gazety i dzielili się uwagami. Obiecywali, że do śmierci nie zapomną, będą wdzięczni. Po wojnie długo mieszkali w Polsce. Helena wyszła za Żyda. Pisała z Warszawy, ale 7 lat po wojnie wyjechała do Izraela i już nie pisała. On też był w Warszawie. Józef przyjechał do nas w roku 1968 i wykonał zdjęcie szopy, gdzie się ukrywali. Matka jeszcze żyła, a ojciec zmarł w 1947 roku, wojna i strach go zabiły. Józef zaprosił ojca do Warszawy, ale ojciec pracował na kolei i nie mógł pojechać.

O odznaczeniu medalem nie słyszeliśmy, zresztą nie upominali byśmy się o to, bo skoro umieli prosić o ocalenie, to powinni pamiętać o wdzięczności.

W komorze spędzali noce

Józef Borowiec, ur. 18.III.1925 r. w Buczkowie, gmina Rzezawa, gdzie rodzice, Ambroży i Maria z d. Misina, mieli gospodarstwo (8 ha). Zabudowania stały na uboczu, ale blisko szosy (200 m) łączącej Bochnię ze Szczurową. Około 5 km stąd widnieje kompleks lasu Bratucice. Wieś położona z dała od Rzezawy, siedziby władz gminnych i posterunku policji, a także stacji kolejowej na trasie Kraków–Tarnów. Dom drewniany pod dachówką, stodoła, stajnia i obora kryta strzechą. Wokół stare, okazałe drzewa zabytkowe.

Nasi Żydzi mieszkali pod lasem, ojciec Ankiel miał małe gospodarstwo, jedną krowę, a nadto Trafikę. Szklił ludziom okna, naftę sprzedawał. Syn Lajbek Ankiel sprzedawał kożuchy, pledy, a także piwo, które w beczkach przechowywali w piwnicy.

W r. 1939 przed wojskiem polskim uciekali mężczyźni w wieku poborowym do 60 r. życia. Piechotą z workami na plecach dotarli do Biłgoraja. Uciekł także Lajbek, ale nie powrócił. Opowiadał to mój ojciec, który tez tam był. Ankielowie poszli do getta i w tym dniu ich zabili. Byli to ludzie okazałej tuszy, rzucało się to w oczy. Jedynie córka Hinda zdołała się gdzieś ukryć i po wojnie w Szczecinie wyszła za oficera WP.

Z pół roku przychodził nocami do nas Żyd pochodzący z Brzeska, Mingelgrin. Narzekał na okropne warunki w lesie, tułaczkę bez dachu nad głową. Z czasem pozostał i przyprowadził brata. Jeden z braci, Moniek, po wojnie został katolikiem o imieniu Józef.

Najmłodszy z braci Natek zdecydował się pójść do getta w Bochni i ja go odprowadziłem. Na głowę nałożył baranią czapkę, wziął grabie na plecy i tak szedł za mną w odległości 100 m. Z tego getta jeszcze ileś razy przychodził i ja jako najmłodszy z rodzeństwa odprowadzałem go.

Początkowo siedzieli w domu, a gdy ktoś szedł, to chowali się w dużej piwnicy, pod piecem. W komorze spędzali noce. Tam przechowywaliśmy zboże, kapustę w beczce. Tu mieli łóżko. W zimie też tu sypiali, a także na strychu obory. Później już baliśmy się i doradziliśmy im, by siedzieli nad oborą. W zimie rzadziej ktoś obcy bywał u nas, ale i tak, gdy byli w izbie, ktoś z nas czuwał.

Zabrakło nam chleba, wobec tego w nocy Marian dokądś chodził i był bardzo rad, gdy udało mu się przynieść bochenek chleba.

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

Pieniędzy nie mieli, z konieczności więc dawali na sprzedaż ubranie, zegarek. Nie byli zamożni, ojciec ich za życia handlował w Brzesku skórkami króliczymi, które kupował we wsiach. Dali mi ubranie, zegarek niklowy i cieszyłem się tymi podarunkami.

Były chwile zagrożenia i wtedy dokądś uchodzili, ale nie wiem dokąd. Wiem, że jeden z nich dotarł po coś aż do Brzeska, 12 km stąd. Nie o wszystkim nam jednak mówili.

Raz daliśmy się Niemcom zaskoczyć. Niepostrzeżenie podjechali dwaj Niemcy i mieli przeprowadzić rewizję, ale siostra, bardzo odważna panna umiała im wyperswadować bezsens, ugościła poczęstunkiem i weseli odeszli, a Żydzi byli w piwnicy, bo nie zdążyli uciec.

Pod koniec wojny Niemcy w popłochu uciekali, ale z braku środków transportu zabierali wozy z końmi. Tak przepadł nasz wóz i koń. Walk tu nie było, choć Niemcy zza Raby, gdzie mieli umocnienia, strzelali, mimo że Rusków jeszcze nie było. Tu i ówdzie wybuchały pożary. Uciekli w końcu.

Przed nadejściem Rusków znów była panika, bo źle mówiono o ich obyczajach względem kobiet i o tym, że rabują cenniejsze rzeczy, np. zegarki. Mówiono, może dla żartu, że Rusek wołał do chłopa „Cziasy". Chłop wbił widły w grunt i na podstawie rzucanego przez styl cienia określił godzinę. Żołnierz porwał mu te widły... Śmiechu było dużo.

Żydzi pojechali do Katowic. Tu mieli rzeźnię, wyroby sprzedawali na stoiskach w hali, gdzie później wybudowano hotel. Siostrę zatrudnili w charakterze sprzedawczyni. Moniek przyjął katolicyzm i jako Józef ożenił się z moja siostrą Wiktorią. Zmarł w ubiegłym roku w wieku 84 lat w Katowicach. Ich dwaj synowie są w Szwecji, dwie córki w Berlinie. Żadnego medalu nie otrzymałem, ani jakiejkolwiek zapłaty.

Szczucin

Droga przez most do ocalenia

Wszystkie wspomnienia mieszkańców Dąbrowy Tarnowskiej i okolic tego miasta są zgodne w opisach hitlerowskiego terroru w stosunku do ludności polskiej i żydowskiej. Potwierdzają też znane i powszechne fakty, ale dodają do nich osobiste spostrzeżenia, pozwalające na wyciągnięcie nieodpartych wniosków o jedności losów i konieczności wspólnej postawy oraz zgodnego działania wobec okupanta. Oto jedna z charakterystycznych relacji Tomasza Lecha, urodzonego w 1909 roku i zamieszkałego w Szczucinie.

Zamożniejsi Żydzi, zamieszkujący nasze miasteczko, trudnili się przeważnie handlem. Można było naliczyć 20 sklepów i sklepików, najczęściej branży bławatnej, czy jak kto woli określić – tekstylnej. Przed wybuchem wojny zarówno kupcy, jak i przedstawiciele wolnych zawodów spośród ludności żydowskiej składali znaczne ofiary na Fundusz Obrony Narodowej. Mając ożywione kontakty z krewnymi zza granicy, na ogół dobrze zorientowani w sytuacji międzynarodowej słusznie spodziewali się najgorszego. Podobnie zresztą myśleli najbardziej świadomi spośród ludności polskiej. Można też powiedzieć, że wybuch wojny, jej początkowy przebieg i terror wkraczających Niemców – wszystko to nie zaskoczyło Żydów ani przynajmniej znacznej części Polaków na naszym terenie.

Rzeczywistość okazała się jednak stokroć gorsza od najbardziej pesymistycznych obaw i oczekiwań. Okrucieństwo hitlerowców prześcignęło wszystko, czego można było się spodziewać ze strony wroga.

Za zastrzelenie jednego podoficera niemieckiego zamordowano w naszych stronach 70 jeńców i uciekinierów z różnych stron. Zamknięto ich w szkole i spalono budynek wraz z ludźmi. Tak mordował ludzi Wehrmacht zaraz po przejściu przez najbliższe wsie

i miasteczka linii frontu. Od pierwszych dni, a nawet godziny wojny stosowano okrutną zasadą odpowiedzialności zbiorowej, w nie znanych dotąd, wyolbrzymionych wymiarach, systematycznie, już nawet nie szukając usprawiedliwienia. W zasadzie zbiorowej odpowiedzialności rozpoczęli od początku prześladowania ludności żydowskiej. Odbiło się to przede wszystkim na położeniu licznej biedoty żydowskiej .

Wielu spośród Żydów, zwłaszcza tych uboższych, szukało pracy po wsiach u chłopów lub w majątkach ziemskich. Mieli takie majątki i dworskie zabudowania: Aleksander Bogusz w lesistym terenie przy drodze, prowadzącej do Dąbrowy Tarnowskiej, Edward Bogusz w Lubaszu, zamożna mieszkanka Szczucina Lubomirska.

Z właścicielami majątków i okolicznymi chłopami Żydzi handlowali przed wojną. Do niedawnej przeszłości należały barwne jarmarki w Szczucinie nad Wisłą. W dzień targowy cały rynek zajmowały stragany. Od zjeżdżającej z różnych stron ludności rolniczej kupowani jaja, drób i króliki. Ciągnęły setki i tysiące sprzedawców i nabywców zza Wisły z Kieleckiego. Tak życie w miasteczku jeszcze do niedawna gwarne, gwałtownie zamierało.

Zaczęli grasować hitlerowcy, szpicle, tropiąc podejrzanych. Dziś wiadomo, że podsłuchiwali rozmowy na placach i ulicach, w restauracjach, np. u Taflińskiego. Stanowiło to największe zagrożenie dla działających od początku członków ruchu, oporu i zaciekle prześladowanych Żydów. Tropiono zawzięcie pismo „Odwet" krążące po mieście i okolicy, a przynoszące wieści o legendarnych później „Jędrusiach".

Tragiczny był dzień przed niedzielą palmową 1942 roku. Przed świtem wojsko i różne formacje policji otoczyły ze wszystkich stron miasteczko. Niemcy łapali idących do kościoła, innych wyciągano z domów i pędzono na rynek. Spędzili tam ponad tysiąc osób. Według wcześniej przygotowanej listy aresztowali około dwustu ludzi i ci klęczeli na bruku rynku.

Wśród aresztowanych był ks. Kwarta, ks. Kloczkowski, organista, kpt. Grabowski, sołtys Urbański, Jan Stanisław Głód, Józef Kularz, Bronisław Barnaś, Zygmunt Bober, Podosek – Polacy, Żydzi. W środku rynku na schodach ratusza siedział adwokat Władysław Praus, Polak wysiedlony z Poznania, zabrany teraz z gospodarzem Józefem Kularzem.

Adwokat miał potwornie zmasakrowaną twarz, opuchniętą, krwawiącą. Pilnujący go Niemiec podawał mu papierosy. Przed nim przeprowadzili podejrzanych i na jego umówione skinienie głowy dołączali dane osoby do klęczących. Inni odchodzili do stojących i byli poza podejrzeniami.

Od ratusza w południową stronę ustawili się Niemcy, a mogło ich być kilkunastu. To przed nimi pędzono Żydów. Tych ostatnich siekli biczami, nahajami, targali za siwe brody. Podczas tej akcji do urzędu gminy wprowadzili kilku księży i restauratora Taflińskiego. Aresztowanych wyprowadzili z krwawiącymi twarzami i w pośpiechu popędzili do trzech, czterech samochodów ciężarowych. Cały czas bili, złorzeczyli. Jak się później dowiedzieliśmy, zawieźli ich do więzienia w Tarnowie. Grabarz w Krzyżu pod Tarnowem mówił, że kapitana Grabowskiego i Stanisława Głoda, naczelnika stacji kolejowej w Chylowie, nieopodal Gdyni, zaraz zamordowali. Zginęła żona Prausa, córeczką zaopiekowali się znajomi. Po wojnie wrócił lekarz Śnieżko, Aleksander Pietracha.

Żydów ustawicznie zabijali bez powodu i byle gdzie. Wiek i płeć nie miały tu znaczenia, dlatego Żydzi uchodzili za Wisłę do Pacanowa, Staszowa, Stopnicy, Solca, gdzie było bezpieczniej. Nadto w Biblii napisano, że Żydzi przetrwają nad wodą. Taka opinia krążyła w Nowym Korczynie nad Wisłą. Całkiem blisko. Stanisław Makuch przewoził Żydów ukrytych w wozie, spokojnie mijał strażników na moście nad Wisłą. W nocy w domu kryła się dwa tygodnie Sabina Siser, młoda Żydówka ze Szczucina. W zimie siedziała na strychu koło komina, wieczór schodziła po drabinie i myła się. Zdecydowała się pójść do getta w Tarnowie. Spod dworca kolejowego w Szczucinie, zarządzanego przez Niemców, jeździł do Tarnowa konny wóz po ropę naftową. Tym razem pojechała do getta. Wkrótce wywieźli ją razem z matką transportem kolejowym.

Matka błagała Sabinę, by jako młoda dziewczyna wyskoczyła z wagonu, ratując życie. Wysłuchała prośby i wydostała się małym okienkiem. Wyskoczyła, pozostawiając matkę i siostrę.

Spod Białegostoku wróciła do Szczucina. W nocy przedostała się do naszej stodoły. Następnego dnia była łapanka. Chodziło o wywózkę do Niemiec. Niemcy zaglądali, do nas, ale na szczęście nie zajrzeli do stodoły. Znalazłem ją tam i odruchowo zapytałem: „Wie pani, że były u nas aresztowania?". „Wiem, panie Tomku, powiedziała – ale mnie już wszystko jedno!". Starała się Sabina zmienić swoją powierzchowność. Wkładała czarną opaskę na oko, by mieć mniej charakterystyczne rysy. Na szczęście nie doszło do spotkania z Niemcami.

Nie wszystkie próby ocalenia prześladowanych kończyły się tak pomyślnie. Niemcy tropili ukrywających się z całą zajadłością. Często wpadali do domów po nocach, rewidowali różne pomieszczenia.

Do ukrywających się należał mój szwagier Michał Głód. Po fali aresztowań zniknął z miasta, choć od czasu do czasu wracał do domu. Raz zauważył go żandarm Proscher. Była to wyjątkowo obrzydliwa postać, odstręczająca na pierwszy rzut oka samą niskością wzrostu. Brutalny Niemiec pobił moją ciężarną bratową i kazał jej zgłosić się do żandarmerii. Znajoma pobitej poszła na posterunek i zawiadomiła, że Głodowa leży chora. Ma krwotok i nie może się zgłosić. Wkrótce po tym wtargnęli do nas Niemcy z krzykiem i groźbami. Znowu szukali ukrytych ludzi i broni na strychu i w piwnicy. Mimo stałych rewizji, Polacy nadal pomagali Żydom, utrzymywali tutaj kontakty z partyzantami, którzy od czasu do czasu zaglądali do naszych domów. Czasem dorywcza działalność podziemna wynikała z błędnych informacji.

Pamiętam jedną z akcji, wyraźnie nieudaną. Koło domu parafialnego mieszkała Janina Kupiec, której ojciec zajmował się ubojem zwierząt rzeźnych. Czasem bywali tam Niemcy, szukali mięsa i wędlin. Nie wiadomo dlaczego partyzanci przyszli w nocy do domu Janiny Kupiec i pomawiając o kolaborację z wrogiem chcieli jej

ostrzyc włosy. Wybuchła wrzawa, a kwaterujący w sąsiedztwie Niemcy zaczęli strzelać. Zginął wtedy Misiaczek, żołnierz AK z Mędrzechowa. W pamięci pozostał mi jeden bolesny epizod. Żydówka nazwiskiem Izraelowicz, dodajmy ułomna (garbata) zwróciła się do mnie z prośbą o przewiezienie jej do Pacanowa. Pamiętam ją jako właścicielkę małego sklepiku w szczucińskim rynku. Od jednego z Żydów dostała walizy na przewiezienie rzeczy i zgłosiła się do mnie z zachowaniem wszelkiej ostrożności. Ukryłem ją między siedzeniami, pod deską i przysypałem po wierzchu sianem.

Wjechaliśmy na most, gdzie stali niemieccy wartownicy. Jeden z nich włożył rękę pod siano i odkrył obecność uciekinierki. Z okrzykiem „Juden!" odrzucał siano, wyrzucił walizki, nieszczęsną Izraelowicz uderzył kijem. Kazał mi zawrócić wóz, sam usiadł obok mnie i jechaliśmy w stronę posterunku żandarmerii. W drodze przerażona Żydówka błagała o litość. Ze swej strony zacząłem molestować Niemca, tłumacząc mu, że biedaczka jest matką. Doradziłem, żeby mu obiecała tysiąc złotych, co stanowiło równowartość kwintala cukru. Wreszcie udało nam się zmiękczyć prześladowcę. Weszliśmy do pustego domu tuż przed Szczucinem. Tutaj moja pasażerka wydobyła spod pończochy ukryte pieniądze. Wziąłem je od niej i podałem niemieckiemu wartownikowi. Izraeliczowa odetchnęła swobodniej i zapewniła Niemca, że restaurator Józef Bielaszka da mu jeszcze beczkę piwa. Wtedy Niemiec obiecał, że po południu będzie miał służbę i przepuści ją przez most. Nie należy jednak jechać tym samym wozem, który poznają łatwo po białych koniach.

Mój kuzyn Mieczysław Lech zgodził się przewieźć uciekinierkę. Przed mostem zeszła z wozu i próbowała iść. Nie było jednak znajomego Niemca, a ten, który pełnił służbę, bił kolbą i zawracał wszystkich uciekinierów.

Załamana Izraelowiczowa postanowiła na razie wracać do getta w Dąbrowie Tarnowskiej. Odwoziłem ją, mając nadzieję, że będę mógł skutecznie zorganizować pomoc. Ale nazajutrz w gettcie była

selekcja i Izraelowiczowa jako ułomna została zastrzelona na miejscu.

Innych Żydów z Dąbrowy Tarnowskiej wieźli miejscowi chłopi do Lubasza i przeprowadzali na drugi brzeg Wisły. Ja odbierałem ich po tamtej stronie rzeki i podwoziłem dalej. Lubasz sąsiaduje ze Szczucinem i trzeba było zachować pełną czujność, bo Niemcy krążyli, czasem po wale nadrzecznym. Patrole były coraz liczniejsze i coraz groźniejsze w miarę narastania ruchu oporu.

Coraz bardziej też nasycano cały teren działalnością szpiclów i donosicieli, zwłaszcza gdy dała o sobie znać leśna grupa Wojciecha Idzika z Jam. Po jego śmierci doszła do głosu banda rabunkowa Stanisława Kosieniaka. Obaj stale niepokoili Niemców i zręcznie wymykali się ich obławom.

Walka z różnego typu oddziałami leśnymi stanowiła znakomity pretekst dla okrucieństwa niemieckiego żandarma Engelberta Guzdka, który szybko okazał się najkrwawszym mordercą w naszej okolicy. Miał na sumieniu życie ponad tysiąca Polaków, Żydów i Cyganów.

Najgorsze były rewizje

Najcięższe chwile przeżywali mieszkańcy Dąbrowy Tarnowskiej, gdy do ich domów wdzierali się niemieccy żandarmi w poszukiwaniu ukrywających się Żydów. Często kończyły się takie najścia strzelaniną i śmiercią gospodarzy. Czasem unikali oni, najtragiczniejszego losu i po latach odtwarzali swoje wstrząsające wspomnienia. Jednym z nich jest relacja Stanisława Jaje, urodzonego w 1906 roku w Lubaszu, a ściślej w przysiółku Rąbina.

– Miałem 5 hektarów ziemi – to początek tej relacji. Gospodarstwo leży blisko ruchliwej szosy. Niemcy zaglądali tu po żywność, lub w poszukiwaniu osób kryjących się w pobliskiej, kępie wiślanej, albo też przeprawiających się łodziami z lewego, kieleckiego brzegu Wisły.

Esesmani robili tu rewizję w poszukiwaniu Żyda, którego ukrywałem. Zwał się Myczyn Macker, częściej znany jako Szajek, a znałem go, bo szył nam odzież w swoim warsztacie w Szczucinie. W tej miejscowości nie było już Żydów na wolności, bo wyłapali ich w czasie akcji i wywieźli do getta w Dąbrowie Tarnowskiej.

Rodzinę krawca zastrzelili, a on uciekł na teren dawnej Kongresówki i osiadł w Pacanowie. Po akcji przeciw Żydom w tym miasteczku znów uszedł i w nocy przeprawił się łodzią przez Wisłę. Przyszedł do mnie z prośbą o pomoc. Chodziło o to, bym go przechował u siebie przez kilka dni. Siedział ukryty w różnych miejscach: w piwnicy, pod piecem, w stajni, w stodole, w komórce na stryszku. Trzeba się było mieć na baczności, bo jedni mieszkańcy donosili, a drudzy ostrzegali.

Gdy przewidywałam rewizję, to wysyłałem go na kępę nad Wisłę, w zarośla – zaś w zimie zakopywał się w plewach. Kiedyś jednak zdarzyło się, że gdy siedział w kępie, nie mógł wyjść, bo Niemcy kręcili się w pobliżu. Brakło mu już żywności. Żył wodą, owocami i ślimakami. Po powrocie żartował, że zmienił nazwisko na Robinson Cruzoe. Raz zastali go w domu, szyjącego na maszynie. Ukrył się w piwnicy pod piecem chlebowym, a żona zasłoniła wejście zawieszonym prześcieradłem. Było wtedy w czasie tej obławy kilkunastu granatowych policjantów, dwóch Niemców, a niektórzy prześladowcy przyjechali aż z Tarnowa do Szczucina podwieziono ich na dwóch furmankach.

W południe otoczyli zabudowania. Szukali w szafach, na strychu pod łóżkiem, w komórkach, w stajni i oborze. Słychać było tylko łomot, tupot butów, przesuwanie skrzyń, przewracania mebli i naczyń. Nawet obicie ze ściany zdarli. Pukali i szukali pod dużymi obrazami. Zaglądali do łóżek pod pierzyny.

Innym razem Niemcy szukali kogoś na kępie wiślanej. Było to w czasie deszczu. Zastrzelili Niemcy wtedy dwoje handlarzy, nazywano ich paskarzami, złapanych w przysiółku Piasek. Wybrali się na tę obławę liczną gromadą: dwóch Niemców i 25 granatowych policjantów. Gdy odnaleźli tych dwóch handlarzy niedaleko mego

domu, przyszli znowu, tym razem w narastającym deszczu – i przeprowadzili u mnie rewizję.

Musiałem podpisać oświadczenie, że nie ukrywam obcego. Na szczęście wcześnie dałem mojemu zbiegowi swój kapelusz i marynarkę, wyprawiając go w pole. Kiedyś w lecie Żyd poszedł do stodoły, a gdy zobaczył Niemców, wpadł do komórki i wszedł na jej stryszek. Były tam żarna kieratowe, szybko się tu ukrył i nie znaleźli go. Schowany tak blisko, słyszał, jak Niemcy mówili i że go tu nigdzie nie ma. Osławiony żandarm Engelbert Guzdek jeździł koło mego domu, prosił o wodę do picia, pytał o drogę do wału wiślanego, a ukryty Żyd słyszał to w mieszkaniu.

Przyszedł do mnie w listopadzie 1941 roku i był tu z przerwami trzy lata. Chciałem się uwolnić od jego niebezpiecznej znajomości. Zebrałem i dałem mu zapasy żywności, a potem odprowadziłem go do wsi Skrzynka. Nikt go tam nie chciał przyjąć. Poszedł znowu za mną i zaskoczył mnie tym, bo byłem przeświadczony, że odszedł na stałe. Płakał i prosił o ratunek, przyjąłem go.

Był potem u znajomych ze dwa dni, ale wrócił ponownie. Nie sypiałem w nocy, każde szczekanie psa napawało mnie obawą o rodzinę, którą, nie wiem jakim prawem, narażałem na najgorsze. Przy wale, na naszym polu znajdowało się drzewo budowlane, przykryte słomą. Bywało, że w zimie szukał tam kryjówki. Partyzanci kryli się w kępie nad Wisłą i Niemcy chodzili z psem po wale w ich kierunku, a więc obok schowanego w drzewie i słomie zbiega. Bał się, również i wtedy, gdy zbliżył się front, bo kule padały tu gęsto. Przy wale Niemcy zbudowali betonowe bunkry, a Rosjanie bombardowali je zza rzeki.

Musieliśmy opuścić domostwo i zabierając bydło przenieść się do Delastowic. Było to w lecie. Uchodząc przed frontem, ulokowałem naszego żydowskiego zbiega w kopie bobu, za wałem Wisły. Gdy zabrakło chleba, głodny uciekinier jadł surowy bób.

Tymczasem walki wzmagały się. Niemcy wysiedlili mieszkańców wsi Lubasz i Delastowice. Wtedy po prostu uciekliśmy z dobytkiem przed siebie. Wreszcie i zgłodniały, nieszczęsny Żyd opuścił

kryjówkę i dotarł do Kupienina blisko Mędrzechowa. Doczekał ucieczki Niemców w styczniu 1945 roku. Opowiadał potem, że po wysiedleniu ludności był sam we wsi, czuł się tam panem. Zbierał rozsypane ziarno, resztki ziemniaków, kiszoną kapustę, bób.

Bywało jednak, że Niemcy tam krążyli. Wtedy nie wychodził z nory, głodował. Dziś żyje w Wielkiej Brytanii. Przeżył „czasy pogardy" dzięki ludziom, którzy okazali mu serce.

Inni mieli więcej szczęścia. W Maniowie np. przedwojenny komunista Kiełbasa ukrył do końca wojny znajomego Żyda i nie gnębiły go rewizje. Po wkroczeniu Sowietów został szefem Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

Uratowałam zbiega, straciłam brata

Wśród tych, którzy z narażeniem życia pomagali prześladowanym, znalazła się Maria Foder urodzona w 1949 roku w Lubaszu. Oto, co zapamiętała z najtrudniejszych lat życia.

– Mieliśmy z mężem gospodarstwo o obszarze dwóch i pół hektara. Sąsiadowaliśmy z gospodarstwem Stanisława Jaje w Lubaszu. Stanisław ukrywał u siebie Myczyna Mackera. Ten sam prześladowany Żyd przebywał i u nas całą zimę.

Mieliśmy dom pod strzechą, wiec na strychu było ciepło. Chwalił sobie tę kryjówkę, ale miał i inne. W sieni, pod piecem, chlebowym, była duża piwnica, w której mieściła się fura ziemniaków. Tutaj było też miejsce na taki jakiś schowek. Drzwi w piwnicy zostały zamurowane, w ścianie wycięto dziurę, prowadzącą do komórki. Wycięty pal zasłaniał wnękę, gdy siedział w niej nasz uciekinier. W dzień spał i nawet chrapał, bo nocami gdzieś chodził i wracał nad ranem. Musieliśmy go budzić, by tak nie chrapał z uwagi na bliskość Niemców, czuwających w bunkrach za wałem. Kiedy przebywał w komórce, obserwował przez okienko obejście i w razie zagrożenia uciekał.

W tej komórce było drewno i węgiel na opał. Składowaliśmy tam również ziarno, ale bał się wykorzystywać je do mielenia. Po-

zwalał sobie tylko na inny rodzaj pracy: szył w tej komórce na maszynie. Uszył naszemu synkowi ubranie, zbyt ciasne, bo chciał z posiadanego materiału uszyć coś również dla siebie.

Były u nas rewizje, na szczęście nie odkryto ukrywającego się. Tragiczna była dla mnie ta wojna. Pamiętam jak żandarm Engelbert Guzdek zastrzelił w Pawłowie mego brata, gdy nocował u swojego znajomego Woźniaka. Byłam potem u Guzdka w Mędrzechowie, by pozwolił zabrać ciało. Pamiętam, że zamordowanemu zabrano nawet spodnie. Trudno o tym wszystkim myśleć bez ściśnięcia serca.

Pomagałam szkolnemu koledze

O pomoc w chwilach największego niebezpieczeństwa zwracali się prześladowani do rodziny Niedźwiadków. O tym, jak im tę pomoc okazano, mówi nam w swojej relacji Łucja Niedźwiadek z męża Bielaszkowa.

Mój ojciec, Józef, wspomina, był właścicielem pięciomorgowego gospodarstwa. Zmarł w czasie okupacji hitlerowskiej. W tydzień po śmierci ojca przyszedł do nas sąsiad Stanisław Jaje w towarzystwie Żyda, który prosił o udzielenie mu schronienia.

Razem z bratem, Wojciechem, przyjęliśmy go. Była to doraźna pomoc, również ze względu na dokuczliwą pogodę. Zima była mroźna, ciężka dla wszystkich, a tym bardziej dla tutejszych tułających się i ściganych. Przybysza znaliśmy jako Hejka Micynmachera, kolegę ze szkoły, do której kiedyś chodziliśmy razem.

Zrobiliśmy pryczę, daliśmy mu koc i poduszkę. Musiał sypiać w jednym pomieszczeniu z bydłem. To wyglądało na najbezpieczniejsze schronienie. Przyszedł do nas w niedzielę wieczorem. Sąsiad Mieczysław Wójcik widział go przy stole razem z gospodarzami domu. Ze względu na bezpieczeństwo później nosiłam mu posiłki do stodoły. Przebywał u nas zarówno w zimie, jak i w lecie.

Gdy w gospodarstwie Jajów Niemcy przeprowadzili rewizję, był właśnie w naszej kryjówce. Nikt inny nie chciał go przechować.

Wobec tego ukrywałam go na stryszku chlewika. Tutaj nikt go nie śmiał widzieć. Bałam się i chcąc mieć trochę spokoju, zaprowadziłam go do szwagra Jana Maligi w Delastowicach. Był tam krótko i znów musiałam pójść po niego.

Tym razem zaprowadziłam go do Michała Wolaka, gdzie szył odzież, ale gospodarz za robotę dał mu stare banknoty, bez wartości. Obszywał zresztą i innych. Za usługi krawieckie Antoni Nytko dał mu starą kołdrę. Angażowali uciekiniera do robót krawieckich ci, którzy mieli w domu maszynę do szycia.

Gdy zamieszkał u nas, usunęliśmy go ze stajni do stodoły. Tutaj było się łatwiej ukryć i obserwować z kryjówki całe obejście. Kiedyś zastałam go w tej stodole przy modlitwie. Na kłocku miał rozłożonych dziesięcioro przykazań żydowskich. Głowę przykrył odpowiednio i owinął paskiem.

– Co się modlisz? – spytałam.

– Zobaczysz – odparł – że Hitler padnie, a ja przeżyję. Matka mi się śniła i o nim mówiła.

Kupowałam mu gazety. Czytał i czuwał. W czasie rewizji schował się w plewach i nie znaleźli go. Wpadły im wprawdzie w ręce liście tytoniu, ale uwierzyli, że dostał je mój brat.

Raz w lecie zdarzyło się, że nasz uciekinier był na stryszku, a Niemcy go szukali. Brat sąsiadów, Jajów, Michał Wiślicki mówił po niemiecku i ręczył honorem, że nie ma tu obcego. Był wykształcony, wymowny i umiał wyprowadzić ich w pole w obronie ludzkiego życia. Raz prowadziłam naszego zbiega do szwagra, mieszkającego w Delastowicach, ale z powodu mgły zabłądziliśmy. Ledwie wróciliśmy, bo szwagier zgodził się go przyjąć tylko na jeden dzień. W lecie najlepiej było naszemu lokatorowi w stajni na słomie. Właśnie w lecie zaprowadziłam go do domu Franciszka Fodera i tam szył w komórce. Ale Foder opłacił to zdrowiem. Zachorował, dostał rozstroju nerwowego i musiał się leczyć. Wiadomo przecież, co groziło ze strony okupanta za ukrycie Żyda.

Można było rzec, z wisielczym humorem, że miewaliśmy nie tylko lokatorów, ale i stołowników.

Znajomy ze Szczucina, nazwiskiem Kern, syn handlarza zbożem przychodził do nas jeść.

Podczas naszej nieobecności mełł zboże w żarnach, choć był zakaz mielenia. Niestety wpadł kiedyś w ręce Niemców. Chciał się ratować. Mówił, że ma zamurowane złoto. Podobno im je oddał. Nie miał jednak szans na ocalenie. Kazali mu uciekać i zastrzelili go.

Dramatyczny egzamin

Ludwik Mróz, urodzony w 1914 roku pod Mielcem, i jego żona Emilia, równa mu wiekiem, a pochodząca z Maniowa, przekazują nam zwięzłą relację o uratowaniu przed zagładą młodej Żydówki z okolicy.

– Nasza znajoma Aniela Podkówka miała gospodarstwo o wielkości trzech morgów. Pochodziła z Rzędzianowic pod Mielcem. Gdy Niemcy rozpoczęli swoje akcje eksterminacyjne, znajomi Żydzi, przysłali Anieli Podkówce Irenę (Ikę) Mosiek. Dziewczyna ta miała dobrze podrobione dokumenty, a przy tym pochodziła z gospodarstwa rolnego i znała się na robotach różnego rodzaju. Pasła krowy, pomagała w zajęciach gospodarskich. Zachowywała ostrożność, przebywała w mieszkaniu i w obejściu, unikała wyjazdów i spacerów do Szczucina.

Podkówkowa uczyła ją katechizmu. Miejscowy proboszcz uczył ją też religii. Wszyscy o tym wiedzieli i nikt jej nie szkodził. W sierpniu 1944 roku Niemcy wysiedlili nas do Wólki Mędrzechowskiej i zamieszkaliśmy u Stefana Kijaka. Podkówkowa wraz ze swoją podopieczną znalazły kwaterę u gospodarza Bezoka. Podkówkowa miała też przedślubnego syna, Anastazego Chrzana. Służył on w granatowej policji w Mielcu i Gorlicach.

Znała też Podkówkowa na wylot Wólkę Mędzrzechowską. Była przy tym sprytna, odważna, oczytana, rozmowna i miała wiele wiadomości z dziedziny polityki. W Mędrzechowie zdarzyło się, że legitymowali ją wraz z przygarniętą żydowska dziewczyną. Niemcy nabrali jakichś podejrzeń i wezwali księdza, by w ich obecności zbadał znajomość zasad wiary młodej dziewczyny. Egzamin – na szczęście dla Ireny Mosiek – wypadł pomyślnie.

Tułaczka żydowskiego rolnika

Z dala od szosy prowadzącej ze Szczucina do Radgoszczy, oddzielony od drogi rowem, kępami krzaków i wikliny stał dom Gruchałów. Byli oni właścicielami 22–morgowego gospodarstwa. Zofia Gruchała, urodzona w 1899 roku, w Dąbrowicy, zachowała z okresu okupacji wspomnienia wiernie odtwarzające atmosferę tamtych lat. W naszym sąsiedztwie miał 10–hektarowe gospodarstwo Żyd imieniem Josef. Niemcy wysiedlili całą ich rodzinę do getta w Dąbrowie Tarnowskiej. Żona z dwojgiem dzieci zginęła z rąk hitlerowców. Josef nie dał się zamknąć w getcie. Razem z synam i córką ukrywał się u gospodarzy we wsi Zabrnie bądź w Dąbrowicy u niejakiego Boćka. W tym czasie Niemcy szukali ludzi na wywóz do Rzeszy. Chodziło oczywiście o roboty rolne. W czasie tych poszukiwań natknęli się, na rodzinę Josefa. Dzieci wywieźli do getta, z którego nie wróciły. Józef przyszedł wtedy do nas, ukrywał się w stodole, pod łóżkiem, gdzie popadło. Nieraz na widok zbliżającego się obcego człowieka wskakiwał do obory, do piwnicy. Był na szczęście poza domem gdy Niemcy przyszli po naszego syna, by go wywieźć na roboty rolne. Zabrali nam wtedy syna, a mąż pojechał za nim do Krakowa. Z wyjazdu syna nic nie wyszło, bo uciekł Niemcom z wagonu kolejowego. Gospodarstwo naszego sąsiada, Żyda Józefa, zagarnął volksdeutsch imieniem Piotr. Przechwalał się, że to nagroda za donosy do władz. Uciekł jeszcze, nim front zbliżył się do nas.

Kopali rowy, budowali fortyfikacje

Przez półtora roku gościł u siebie ściganych Żydów Henryk Forgiel. Ściślej rzecz biorąc, gościli ich rodzice chłopca, bo urodzony w Zabrniu w 1927 roku był za młody do podejmowania w takich sprawach samodzielnej decyzji. Oto, jak wspomina Henryk Forgiel lata okupacji:

Ojciec mój Stanisław miał gospodarstwo rolne o obszarze 9 hektarów. Żadnych pracowników nie zatrudnialiśmy. W nocy jesienią 1944 roku przyszedł do nas Benedykt Grün z siostrą Cecylią. Dwie ich siostry ukrywały się we wsi Czarkówka. Tam jednak prześladowcy domyślili się ich pochodzenia. Uciekli w nasze strony.

Zastali u nas warunki dość sprzyjające. Był drugi dom, dobry, okazałe zabudowania gospodarskie, rozległe podwórze. Ojciec dorobił się, będąc w Ameryce. W ostatnim mieszkaniu nie było podłogi. Ojciec wykopał w części tej izby bunkier, wnękę przykrył podłogą i ziemią. Na wierzch nasuwało się kufer. Drugi bunkier był w spichlerzu, tuż pod podłogą. Na skraju były ziemniaki przy ścianie. W razie niebezpieczeństwa podnosiło się deskę i wysypywało ziemniaki, które zasypywały właz. Tam się kryli w czasie poważnego zagrożenia.

W tym spichlerzu siedzieli też nasi zbiegowie w zimie, bo był tu parnik. Paliło się i gotowało dla świń. Mieli pierzynę Siedzieli w dzień, a w nocy wychodzili. Najważniejsze, że nie było tu rewizji. Pies pilnował ogrodowego parkanu domostwa i w porę ostrzegał szczekaniem. Chwilowo zatrzymał się u nas również Żyd nazwiskiem Duwet, po egzekucji u Szudaja w Dąbrownicy. Chroniło się tam bodaj ze czterech uciekinierów. Byli to rolnicy pochodzący z Brzezówki.

Niestety, ktoś zdradził miejsce ich pobytu. Niemcy otoczyli zabudowania w dzień, po południu, powyciągali i pozabijali ukrytych. Uciekł wtedy Duwek i przedostał się do mnie. Ukryci u mnie wcześniej Żydzi nie chcieli, bym go przyjął. Odpoczął tylko, pomedytował i poszedł dalej. Szczęśliwie przeżył niszczycielską wojnę. Żyje obecnie w USA.

Nasi żydowscy lokatorzy znaleźli sposób maskowania swojej obecności. Nawlekali liście tytoniu na sznurki i wieszali na drzwiach. Wyglądało to, że nikt tędy nie wchodził. Zresztą domostwo – jak już mówiłem – leżało na uboczu, dojazd był niełatwy i Niemcy rzadko tu zaglądali. Słusznie przewidywaliśmy, że nie odkryją bunkrów, które wykopaliśmy bardzo starannie w nocy i również nocą wynosiliśmy wykopaną ziemię. Wywiązywaliśmy się też w pełni z nałożonych kontyngentów, by uniknąć wizyt Niemców.

Jesienią 1944 roku wysiedlono nas do Smęgorzowa. Nasi żydowscy lokatorzy opuścili swoje kryjówki i znaleźli sobie lokum gdzieś pod Tarnowem. Nie przyznając się, kim są, chodzili na roboty, budowali fortyfikacje pod nadzorem okupanta. W ten sposób przetrwali aż do wyzwolenia. Potem wyjechali do Izraela. Wiem, że kobieta, należącą do tej grupy, żyje w tym kraju.

Zmienili ojcu miejsce pochówku

Lata okupacji odcisnęły wiele bolesnych wrażeń w pamięci Antoniny Cieślak, po mężu Motyka, urodzonej w 1920 roku w Łęce Szczucińskiej. Ojciec jej, Wojciech Cieślak, miał dwuhektarowe gospodarstwo rolne w Łęce Szczucińskiej, tuż za miasteczkiem przy wale Wisły i w pobliżu szosy prowadzącej ze Szczucina do Kielc.

– Szosa ta – wspomina Antonina Cieślak – prowadzi przez most na rzece. Przy moście przez Wisłę stoi budka, podobnie jak po drugiej stronie rzeki. W obu budkach pełnili służbę niemieccy wartownicy. Po drugiej stronie szosy, niedaleko budki, w domu pożydowskim mieściła się wartownia. Przebywało w niej stale od 15 do 20 Niemców. Mieli swoją stołówkę i kucharza, Austriaka, który przyrządzał posiłki z przywożonego prowiantu.

Zmiana warty następowała co dwie godziny. Mostu pilnowało po dwóch wartowników z każdej strony. Legitymowali przechodniów na moście, sprawdzali pojazdy. Rewidowali też pasażerów

i wagony kolejki wąskotorowej łączącej Szczucin z Bogorią i Jędrzejowem. Jeździła ona z Rataj za Wisłę przez most do stacji Szczucin na prawym brzegu rzeki. Byli tu też w służbie niemieckiej żołnierze skośnoocy o czarnych włosach, rekrutowani z jeńców radzieckich. Popularnie zwano ich własowcami od nazwiska generała, który zdradził Związek Radziecki, deklarując się po stronie hitlerowskich najeźdźców.

Własowcy byli gorsi od Niemców. Było to widoczne nawet w drobniejszych sprawach. Oto przykład. Niemcy przychodzili do nas, by im prasować ubrania. Płacili za to lub dziękowali. Tymczasem własowcy nachalnie żądali prasowania, nie płacili ani nie dziękowali. Opowiedziałam to kucharzowi, a ten z kolei swojemu zwierzchnikowi. Ten zarządził zbiórkę, podał komendę: „Padnij! Powstań!" a potem wysłał ich za karę na front wschodni.

Po tych wszystkich incydentach przybył do nas znajomy, Stępień z Pacanowa, prosił, by go ukryć. Miał ze sobą akuszerkę, Żydówkę, niby swoją żonę. Wiedzieliśmy jednak, że jego żona była nauczycielką w Pacanowie. Przed wojną Stępień pracował przy budowie mostu drewnianego na Wiśle w latach 1938–39. Był to most prowizoryczny, obok betonowego. Stępień zatrudniony był jako majster, mówił, że ma otrzymać pracę w gminie szczucińskiej. Ojciec przyjął go jako znajomego, choć nie wolno było wówczas nocować obcych. Musiało się ich meldować.

Później zameldował go u sołtysa w Łęce. Zarówno w gminie, jak i na posterunku policji. Stępień wraz ze swoją towarzyszką nie krył się. Ona chodziła do kościoła z krzyżykiem na piersi. On często jeździł do Pacanowa, bywał też często u nas. Niemieccy wartownicy sprawdzali ich dokumenty i nie mieli zastrzeżeń.

Po miesiącu ich pobytu, 21 marca 1943 roku, w Wielką Niedzielę, gdy wszyscy ludzie szli do kościoła na rezurekcję, o wschodzie słońca przyjechało gestapo i otoczyło zabudowania. Było razem ośmiu Niemców. Ojciec to widział i słyszał, jak wyszli z litrem wódki, którą zaczęli od razu pić przy domu. Ojciec przypuszczał, że to łapanka ludzi przeznaczonych na wywózkę do robót w Niemczech. Syna, Tadeusza, schował w piwnicy, by go na razie uchronić przed wywiezieniem. Nie ufając tej kryjówce, Tadeusz uciekł przez okienko do sąsiada, Wincentego Rybarza.

Kilkakrotnie ojciec brał broń do ręki i nie mógł się zdecydować, co uczynić. Należał do AK i na wszelki wypadek był uzbrojony. Tymczasem Niemcy zapukali do drzwi i gdy ich wpuścił, zapytali go, kogo obcego ma u siebie. Zaskoczony, w pierwszej chwili zapomniał nazwiska swego lokatora i dopiero po chwili odparł: „Stępień".

Niemiec znający język polski powiedział wtedy, że go szukają. Wyszli na strych i pukali do kawalerki na poddaszu. Słychać było łomotanie. Potem oboje uciekinierzy zebrali się i otoczeni Niemcami wyszli na podwórze. Gestapowiec ukraiński, znający język polski, zaczął Stępniowi urągać.

„Milsza tobie Żydówka z Pacanowa niż żona i dzieci? Ostatni raz pytamy, czy to żona?" – Panowie darujcie – odpowiedział – Nie żona! Owinęli jej głowę kocem i zastrzelili ją z pistoletu. Stępniowi kazali uciekać. Dostał kulę w pierś i serce. Pochowano ich na kirkucie w Szczucinie. Nie darowali i mojemu ojcu. Uderzyli go motyką w kręgosłup. Gdy padł, podnieśli go i rzucili na gnój. Strzelili do ojca i kula trafiła w róg nosa. Zaczął uciekać. Przebiegł ze 24 metrów i upadł. Dobili go. Krańcowo przygnębieni tą tragedią, pochowaliśmy ojca na cmentarzu.

Przedtem jeszcze byliśmy niemymi świadkami dalszego ciągu tej ekspedycji karnej. Strzały zaalarmowały wartowników na pobliskim moście. Telefonowali do wartowni, ale tam wszyscy spali. Wobec tego wartownicy otworzyli ogień w powietrze i wreszcie ktoś odebrał meldunek, złożony przez telefon. W tym czasie już całą naszą rodzinę ustawili pod ścianą, przed celownikiem ckm-u. Przybył jednak oficer niemiecki z wartowni i strzelca ckm-u postawił na baczność. Zapoznawszy się ze sprawą, wstrzymał egzekucję i wrócił na wartownię, by telefonować do swego dowództwa w Tarnowie.

Stamtąd polecono mu sprawdzić dokumenty zatrzymanych. Gestapowcy sprawdzili zameldowanie u sołtysa i w urzędzie gmi-

ny, a na koniec twierdzili, że ojciec zginął niewinnie. Mieli ojca pochować na kirkucie, ale po wszystkich wyjaśnieniach zmienili decyzję. Pod głową ojca został – na szczęście nie odnaleziony przez Niemców – pistolet „empi", pistolet „dziewiątka" i granaty. Nieobojętna wydaje się też pewna informacja odnosząca się do naszego położenia w czasie okupacji. Oto na naszym placu stał tartak niejakiego Byka, który zmienił nazwisko na – Wojciechowski. Jego żona, po śmierci męża, mimo upływu terminu dzierżawy nie chciała opuścić tartaku. Kłóciła się z moim ojcem i groziła mu:

– Czekaj, jeszcze się najesz tej świętej ziemi!

Po wojnie na mocy orzeczenia sądu ustąpiła z placu. Dodam jeszcze, że kucharz Austriak, pełniący służbę na wartowni w sąsiedztwie Wisły, zginął później od pocisku artyleryjskiego, który urwał kawał domu. Działo się to gdy zbliżał się do nas front.

Szerzyny

Nieszczęście przyszło świtem

Dom w dolinie między rzeczką a krzakami, sąsiadów mało, teren podgórski – wspomina Kunegunda Bazan spod Czermnej. Był to czas wojny, przychodził i do nas Żydzi, prosili o żywność. Gdy był czas letni, ukrywali się w krzakach, spali w zaroślach, później przychodzili coraz częściej, prosili o nocleg w stodole, bo było coraz zimniej. Koło świąt Bożego Narodzenia przyszli, prosili aby ich przyjąć chwilowo, bo był już mróz i śnieg. Ojciec się bał, ale kazał im schować się w stodole w słomie. Było ich troje: matka, wydawała mi się w tym czasie staruszką, syn dorosły – trzydzieści lat, córka – dwadzieścia lat. Początkowo spali w słomie, później wykopali sobie dużą dziurę, głęboko pod słomą i tam przebywali. Nocą wychodzili, bojąc się, że zostawiają ślady na śniegu, wszyscy szli jednym śladem do drogi, albo ojciec konia prowadził, który je zacierał. Ojciec także bał się, bo później nie chcieli odejść. Każdego dnia chodził dawać jeść zwierzętom i przy okazji zabierał z domu coś ciepłego do zjedzenia, aby mogli się zagrzać. Ile lat się ukrywali, tego dokładnie nie mogę powiedzieć, dwa na pewno. Młoda Żydówka bywała zimą w domu, pomagała przy sprzątaniu, zmywała garnki, ale zawsze ktoś z rodziny pilnował, czy ktoś obcy nie zbliża się do domu. Gdy się ktoś zbliżał, to w rogu pokoju była szafa ubraniowa i ona wchodziła za tę szafę. Miała, pamiętam, złoty pierścionek ze szmaragdowym oczkiem, którego jej zazdrościłam. Była średniego wzrostu, miała ciemny warkocz, trochę piegów i długi nos. Jej brat był wysoki, rozrośnięty, babcia natomiast wydawała mi się staruszką. Latem wychodzili, a tej młodej już w domu nie było, ale o jedzenie prosili i rodzice dawali im co mogli, chociaż bardzo się bali, aby ktoś o nich nie doniósł policji. Ostatnia zima, którą u nas spędzili, była ostatnią i dla mojego ojca, Andrzeja Garbulińskiego, oraz brata, Władysława. Był to Wielki Tydzień, ponie-

działek 1944 roku. Był wczesny poranek marcowy, mróz, śnieg. Słychać było strzelaninę, wszyscy w domu byli przerażeni. My, małe dzieci posiadaliśmy na łóżku i ile się dało, zaglądaliśmy z łóżka do okien. Było nas pięcioro. Byliśmy mocno wystraszeni. Koło domu słyszeliśmy krzyki i rozmowy. Po jakimś czasie weszli do mieszkania Niemcy, gestapo i policja polska. Byli wściekli i chcieli nas rozstrzelać, a dom spalić. Odbyła się długa dyskusja, matka błagała Niemców o litość, a polska policja też się za nami wstawiła i jakoś uprosili tak, że zabrali w kajdankach tylko tatusia i najstarszego brata, Władysława. Sąsiedzi byli pilnowani przez resztę policji i zwozili zwłoki Żydów. Żydzi się rozproszyli. Ich syna zastrzelili dosyć daleko od domu, babcię pod krzakami, a Hanelę, bo tak ją nazywali, blisko pod górką. Doprowadzili ją jeszcze do stajni, ale była ciężko postrzelona.

Sąsiedzi wykopali mogiłę, tam, gdzie Niemcy kazali, przy stodole i wszystkich troje pochowali. Niemcy odjechali wozami zaprzężonymi w konie z tatusiem i bratem do Siepietnicy na stację, a później skutych wieźli dalej, do Jasła i nie wiemy dokładnie, jak zginęli, podobno tatuś został rozstrzelany w lasach Warzyckich koło Jasła, a brata wywieźli do Krakowa do więzienia. Podobno napisał jeden list, prosił o jedzenie i ubranie, ale paczka, którą matka wysłała, wróciła. Zostaliśmy sami z matką, czekaliśmy, kiedy tatuś wróci, każda chwila była myślą o nich, o ich powrocie. Matka dowiadywała się, czy żyją, ale nie było żadnej wiadomości od nich. Przeżyliśmy koszmar życia za młodu i do teraz smutek nas nie opuszcza. Ciężko nam było żyć bez ojca i brata. Część dzieci poszła na służbę, część została w domu, bo mieliśmy dwa gospodarstwa, jedno duże, drugie mniejsze na tak zwanych Górach. Dwojga z nas, Leśka i Staszek, już tam było, podczas tej tragedii. Jakoś dorośliśmy. Chodziliśmy trochę do szkoły, a później rozjechaliśmy się po świecie, pracowaliśmy, pozakładaliśmy rodziny, ale o tym miejscu pamiętamy i tam wracamy. Dłuższy czas nikt tam nie mieszkał, ale my, mieszkając na Śląsku, wracamy tam na okres letni, a teraz na emeryturze to i dłużej tam mieszkamy, w tym domu po rodzicach,

ale wymaga on już remontu. Zośka, siostra, teraz Tyczyńska, wyjechała do Stanów. Brat, Marian, jest we Wrocławiu, Kazimierz w Żaganiu. Brat, Janek, w Bolesławcu. Ja Kunegunda Bazarz z domu Garbulińska mieszkam w Siemianowicach Śląskich, a Helena Zając Garbulińska w Szerzynach, woj. tarnowskie.

Po dwóch, czy trzech latach od opisywanych wydarzeń przyjechała wozem konnym w żałobie pani Szajnowa, Żydówka z Biecza wozem konnym. Nikogo starszego nie było w domu. Podeszła do mnie i pytała, gdzie są Żydzi pochowani. Zaraz jej pokazałam i dała mi parę złotych na cukierki. Chłopi, którzy z nią byli, nie wiem, czy mieli pozwolenie na ekshumację zwłok, czy nie, ale wykopali zwłoki, zawinęli w białe prześcieradło, dół wywapnowali, a nam nie pozwolili w tym czasie wychodzić z domu. Zwłoki zawieźli na cmentarz żydowski do Biecza, bo są tam zbiorowe mogiły żydowskie. Pani Szajnowa wyjechała do Stanów. Miała wtedy około czterdziestu lat. Policjanci, którzy byli u nas w czasie tych tragicznych wydarzeń to: Stafin, Leszega i Kapustka. To wiem od starszych osób. O Niemcach nie wiemy nic. Myśleliśmy o odszkodowaniu, ale nie ma dokumentów tej tragedii i świadków też jest już niewielu, bo zmarł Kazimierz Szczygieł, pewny świadek z Czermnej. Nie ma ceny za życie. Później na każdym kroku byliśmy poniżani, że ukrywaliśmy Żydów.

Dzisiaj mam już dużo lat, fantazjować nie umiem, życie ułożyło mi się względnie dobrze. Miałam dwoje dzieci, Dorotę i Krzysztofa. Teraz mam dwoje wnuków. Jeden chodzi do pierwszej klasy, drugi ma trzy latka. Zabieram go z sobą, gdy jadę do Czermnej.

Podaję nazwiska tych Żydów: Elfeibein Sary, Elfenbein Haneli, Enfelbein Major.

W kolejce po śmierć

To życie mogło się toczyć utartymi koleinami, we względnym jak na okres wojny spokoju w wiejskim zaciszu. Bohaterka wybrała

jednak inny drogę, drogę wyzwań i napięć, pełną dramatyzmu, zmagania o ocalenie czyjegoś życia. Kierowała się szlachetnymi pobudkami i uczuciami wyższymi.

Józefa Szutkowska, ur. 28 lipca 1920 r. w Czermnej, gmina Szerzyny i jej nieżyjący już mąż, Władysław, mieli gospodarstwo (5 morgów gruntu) położone na górce, z dala od wsi i drogi publicznej. Krajobraz typowy dla Pogórza Karpackiego; pagórki, doliny, wąwozy, często porośnięte krzakami, a wśród nich wijące się jasną wstęgą drogi i dróżki. Tutaj horyzontu nie widać, zasłaniają go wzniesienia, mniej lub bardziej strome pagórki, a od wschodu ciągnący się od Jasła do Tarnowa gęsty, bujny las.

Nad tym morzem zieleni wznosi się góra Liwocz (520 m n.p.m.). Obok wije się wstęga rzeki o nazwie Brzyska. Te trudności terenowe wykorzystywali konspiratorzy, kryjący się przed ludzkim okiem uciekinierzy, a do nich należeli też Żydzi. Oni też nadawali koloryt tej okolicy, tworzyli jej legendę.

Z nastaniem okupacji hitlerowskiej, Żydzi, którzy od dawna śledzili rozwój wypadków, teraz byli szczególnie strwożeni, bali się opuszczać swoje siedziby. Z miast bowiem docierały coraz gorsze wieści. W naszej wsi było dziewięć gospodarstw żydowskich. Od dawna pozostawaliśmy w przyjaznych stosunkach, pomagaliśmy sobie wzajemnie. Niektórzy zajmowali się drobnym handlem, odwiedzali nas i zawierali różne transakcje. W roku 1942 zawisła nad nimi groźba wywiezienia do getta i odtąd zdradzali szczególnie zaniepokojenie. Mówili, że nad nimi gromadzą się czarne chmury, zwiastujące nieszczęście. W obliczu spodziewanej wywózki upychali swoje cenniejsze rzeczy na przechowanie u znajomych gospodarzy. Bydło wyprowadzali w nocy. Wywozili zboże, czasem meble. I wreszcie przyszło to najgorsze, z dawna spodziewane i nie stanowiące zaskoczenia. Na początku czerwca nakazano im opuścić domostwa i pozostawić dobytek. Przysłanymi ze wsi furmankami i pod eskortą wywieźli ich do odległego o 15 km miasteczka Biecz, gdzie wegetowali w bardzo trudnych warunkach, cierpiąc głód i poniżenie. Do nas nic nie przynieśli, bo jeszcze mieszkaliśmy u siostry

i kończyliśmy budowę nowego domu pod strzechą, na pagórku, na odludziu, jak wiele innych przycupniętych na zboczach, rozsianych w dolinach i wąwozach, choć były i większe skupiska, ale raczej na równinach. Pod koniec czerwca nasza budowa dobiegła końca. Zostało jeszcze porządkowanie obejścia, drobne prace wykończeniowe, tudzież malowanie.

Właśnie w związku z tym poszłam do Biecza w celu poczynienia zakupów, a zwłaszcza zaopatrzenia się w farbę. Tu zobaczyłam z bliska strzeżone przez Niemców i strażników getto żydowskie. Przechodząc obok tych zabudowań, zauważyłam, że moja koleżanka z ławy szkolnej Pesi Ader daje znaki ręką przez okno. Wybiegając wręczyła coś strażnikowi, a ten pozwolił jej wyjść na ulicę. Była blada i roztrzęsiona. Prosiła o przeprowadzenie jej polnymi drogami, wąwozami i przechowanie przez parę dni. Zapewniła, że chce zabrać pozostawione u sąsiadów zapasy, np. mąkę, chleb, masło. Zdjął mnie okropny strach, bo wiedziałam, co mi za to grozi. Chodziłyśmy do jednej klasy, byłyśmy zaprzyjaźnione i zżyte, dlatego tym bardziej było mi jej żal. Opowiadała, jak ich tu maltretują, głodzą i poniżają. Rozstałyśmy się, ale wnet w umówionym miejscu spotkałyśmy się na torach kolejowych, by wspólnie ruszyć w drogę. Teren koło Biecza znałam dobrze. Unikałyśmy uczęszczanych dróg, kluczyłyśmy po polach, skrajem lasu, aż dotarłyśmy do Czermnej. Pesi była słaba, ustawała w drodze, ale szczęśliwie dobrnęłyśmy do naszego domu na górce, skąd jak na dłoni widać było okolicę. Wnet nastał wieczór. Nazajutrz w nocy poszła do znajomych, przynosząc mąkę oraz chleb. Błagała mnie, abym ten chleb zaniosła do getta.

Pod osłoną ciemności wybrałam się w tę niebezpieczną drogę idąc torami, unikając dróg. O świcie byłam na miejscu. To co przyniosłam, oddałam jej siostrze, a ta podzieliła się z braćmi. Rodzice ich jeszcze przed wojną zmarli na tyfus. Na szczęście strażnicy nie zauważyli mej wizyty. Ogrodzenia nie było i dało się podejść niepostrzeżenie od tyłu. Tak to zaczęły się moje nocne wędrówki do Biecza. Dwa razy w tygodniu zanosiłam chleb, masło, jaja i mleko.

Chleb piekłam w domu, bo w sklepach nie było, obowiązywał system reglamentacji i kartki. Zawsze podchodziłam z tyłu domu i podawałam przez okno. Strażnicy nie widzieli. Strach mój był uzasadniony, bo mówiono, że za zbliżanie się do getta i próbę przekazania czegokolwiek karano śmiercią.

Wreszcie siostra Pesi powiedziała, że wszyscy mieszkańcy getta muszą złożyć okup. Wróciłam z tą informacją i moja podopieczna przekazała mi cztery pierścionki i zegarek dla siostry. Idąc z tymi precjozami i wiktuałami, tuż przed Bieczem usłyszałam strzały. Zeszłam z dość wysokiej góry i zbliżyłam się do getta, gdy zaczynało świtać. Tu zobaczyłam piekielne sceny – Niemcy strzelali, Żydzi rozbiegali się, a tej kotłowaninie towarzyszyły krzyki i jęki rannych.

Po powrocie oddałam Pesi tę biżuterię. Dziewczyna była zdruzgotana, płakała. Opowiedziałam jej, jak gnali Żydów do aut i odwozili do lasu na rozstrzelania. Na miejscu zabijali uciekających i rozbiegających się. Dzieci jak oszalałe trzymały się matek. Bito je i popychano ku autom. Skamieniała ze strachu stałam i trzęsłam się. Pesi prosiła mnie, abym znów poszła do Biecza i zasięgnęła języka. Zaszłam tam w nocy. Znajomi z przejęciem opowiadali o masakrze Żydów, o tym, jak młodych wywieźli do pracy na torach kolejowych w Prokocimiu pod Krakowem. Pojechali tam krewni Pesi i nasi chłopcy z Czermnej jako junacy.

Po tym szoku rozchorowałam się na nerwicę serca. Na drugi dzień pojechałam do Krakowa i ciotka poszła ze mną do lekarza. Leki pomogły, ale choroby nie zwalczyły. Pesi też je przyjmowała. Z czasem wzięłyśmy się w garść i poczułyśmy się lepiej. Chłopcy ze wsi, pracujący na torach w Prokocimiu, zawiadomili przez swych rodziców, że krewni Pesi też tu pracują. Pesi nocami chodziła do tych rodziców junaków, bo miała tam swoje rzeczy. I tak dowiedziała się wszystkiego. Ludzie ci wiedzieli, że ona ukryła się u nas i potrafili dochować tajemnicy, a trwało to długo, ba, może rok.

Co jakiś czas Pesi prosiła mnie, żebym zawoziła do Prokocimia żywność dla jej braci i Żydów z Czermnej, a było ich z tej wsi dzie-

więcioro. W tym celu wyrobiłam sobie zaświadczenie (kartę) upoważniającą mnie do zawożenia żywności polskim chłopcom z naszej wsi, junakom zatrudnionym na torach. W przeciwnym wypadku zabraliby wszystko, bo tak postępowali z pasażerami pociągów. Ratował mnie za każdym razem ten fałszywy dokument, którego autentyczności nie sprawdzali. Synowie ciotki pracowali w Krakowie i wyrobili go. Jeździłam dwa razy w tygodniu, a woziłam bardzo dużo, ile udźwignęłam w obu rękach. Konia nie mieliśmy, by furmanką podwieźć to wszystko do stacji kolejowej. Trzeba było się mordować. Dlatego mąż pomagał mi dźwigać te toboły 9 km. Cały ten bagaż zanosiłam do domu zaufanego kolejarza Antoniego Antosika. Liczył około 50 lat życia, miał żonę i dwie dorosłe córki. Dom ich stał obok stacji kolejowej w Prokocimiu. Antosik z wielkim poświęceniem pomagał Żydom. Sam nosił pożywienie na tory, pomagały mu żona i córki, które w dużych garach gotowały zupę. Inne kobiety też tu widziałam, one gotowały inną strawę. Dziwiłam się, że Antosik nie boi się Niemców. Zapewnił mnie, że Żydzi pracują, to i jeść im wolno. Tak więc za pieniądze Pesi kupowałam masło, jaja, mąkę, piekłam chleb i zawoziłam. Owinięte w papier masło umieszczałam w dużych bochenkach chleba, by nie zauważyli, bo by zabrali. Niemcy szukali, grzebali po torbach, ale chleba nie brali. Wciąż zasłaniałam się tymi papierami uzyskanymi w Krakowie przez kuzynów, Mieczysława i Kazimierza Metorów. Rewizje w pociągu były częste i dokuczliwe.

Pod koniec, jak zwykle, jechałam z ośmioma bochnami w torbach. Dwie stacje przed Prokocimiem pociąg stanął. Ogłoszono, że powodem jest wykolejenie się pociągu towarowego. Jednak w tym czasie odbywała się tu łapanka na roboty do Niemiec. Pojmanych, najczęściej chłopców i dziewczęta wepchnęli do trzeciego pociągu. Jakaś panna płakała, bo miała ładne włosy i obawiała się, że jej obetną. Zauważyłam, że drzwi wagonu nie były zamknięte. Gdy pilnujący Niemiec odwrócił się i odszedł dalej peronem, wyskoczyłam i wpadłam do pociągu jadącego z Tarnowa do Prokocimia. Dopiero rano zjawiłam się w Prokocimiu, a zamierzałam być tam wieczorem

i zatrzymać się na noc, by porozmawiać z Antosikami. Stanęłam przed domem, a tu drzwi zaplombowane, Antosików nie ma. Sąsiadka, która sprzedawała mi odzież za masło, przez uchylone drzwi powiedziała, że pół godziny temu Niemcy zabrali wszystkich Żydów i tych, co im pomagali. Uciekaj, bo gestapo może obserwować dom! Stanęłam jak porażona, myśli wirowały mi w głowie. Kobieta mówiła, że trudno opisać, co się tu działo. Torami poszłam do Krakowa, gdzie spotkałam moich znajomych Żydów pracujących na torach. Ucieszyłam się, że żyją. Przekazałam im to, co przywiozłam. Mówili, że wywieźli innych i prosili o pomoc w przedostaniu się do Czermnej. W tym celu postarałam się o wyrobienie lewych przepustek, które znów otrzymałam od synów ciotki i jej zięcia z Krakowa. Po tygodniu przywiozłam im te przepustki. Wkrótce w nocy zjawiło się w mym domu dziewięciu Żydów z Czermnej i dwóch obcych. Tych dwóch obcych mąż w nocy odprowadził; jednego do wsi w pobliżu Biecza, drugiego w trzecią noc do Jodłowej. Pozostali byli u nas dwa tygodnie, dopóki nie znaleźli sobie innej kryjówki. Udali się do drugiej wsi Swoszowej pod las, gdzie przetrwali do 1944 r. Na siedem miesięcy przed wkroczeniem Sowietów zostali wytropieni i zgładzeni.

Pod osłoną nocy zjawił się u nas Mendel Einhorn, któremu udało się uciec z grupy pędzonej do lasu na rozstrzelanie. Usilnie prosił mnie i brata o przechowanie przez kilka dni. Ponieważ był on naszym dobrym znajomym, przyjęliśmy go. Jakoś wówczas nie myśleliśmy o konsekwencjach, jakie nam groziły z tego powodu. Przebywał u nas od sierpnia 1942 roku do końca wojny. Przypominam sobie, że w maju zabrali ich do getta w Bieczu, a w listopadzie uciekł z Prokocimia pod Krakowem. Chwalił sobie nasz dom na górce, skąd widać było rozległą panoramę, a nie tylko 4 km nieba, jak to mówiono o wciśniętych między zbocza domach. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że tamci poszli do Swoszowej pod las, gdzie mieszkała wdowa z synem. Ukrywali się w piwnicy, ale zostali odkryci i zawiezieni na posterunek. Było ich ośmiu. Poszła fama, że powiesili się. Kobiecie nic nie zrobili, bo granatowa policja zatuszowała sprawę.

Pesi i Mendel chwilami byli w mieszkaniu, ale wnet przekonaliśmy się jak dalece było to niebezpieczne. Gdy poszłam kupić masło, Pesi prasowała sobie bieliznę, kiedy nadeszła dalsza sąsiadka i zauważyła ją przez niedomknięte okno. Ostrzegła mnie o skutkach ukrywania Żydów. Zrozpaczona Pesi poszła do znajomej wdowy w Swoszowej, która jakiś czas była sama, ale chodził do niej kawaler i wygadał się przed kimś. Pesi musiała uchodzić do nas. Mendel chodził do ludzi, u których zostawił różne rzeczy na przechowanie. Poszedł do Władysława Rompały. Przybyli tu jednak chłopi i rozpoczęli grę w karty, wobec czego Mendel ukrył się. Całkowicie głuchy dziadek, nie zważając na obecność, mamrotał pod nosem: Mendel, Mendel. Grający w karty zorientowali się i niespokojnie zaczęli rozglądać się po kątach. Dopiero po tygodniu w nocy Mendel wrócił do nas, ale ktoś go widział, chyba śledził, bo przyszedł sąsiad i powiedział: pokaż kupionego konia. Dotąd nigdy tego nie czynił. Żydzi byli w stajni, ale nie można mu było odmówić. Mąż liczył na to, że się ukryją. Niestety spod drzwi wystawały buty.

Poszłam do sołtysa z podatkiem, był on komendantem tzw. drewnianej policji, złożonej z dziesięciu chłopów. Ich zadaniem było poszukiwanie ukrywających się Żydów. Niemcy ich do tego zobowiązali. Ożeniony był z moją kuzynką. Zaczął mnie nakłaniać do dobrowolnego wydalenia Żydów. „Wiem, że świętej pamięci mój ojciec lubił cię, dlatego przez wzgląd na jego pamięć odkładam rewizję, która jest nieunikniona. Wiem, że u was są. Natychmiast ich wygoń, bo my musimy przyjść, a jeśli nie my, to gestapo wpadnie i reszty się domyślasz. My się boimy o nas i nasze rodziny". Było to w styczniu 1943 roku. Po powrocie do domu powtórzyłam Mendelowi całą rozmowę. Nakłaniałam, by zabrał najbardziej niezbędne rzeczy i zniknął na pewien czas, bo ta rewizja musi się odbyć. Zapewnił, że po północy pójdzie do domku pod lasem, gdzie pozostawił dwa wozy dobytku i zboża.

Drewniana policja była niestety szybsza. Ktoś zapukał da drzwi. Mendel schował się w kącie pod dziecięcym łóżeczkiem. Rzuciłam tam kocyk. Synka Mariana położyłam na łóżku obok sie-

bie, miał trzy lata. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam, że zapalają zapalniczki, palą papierosy. Znów zapukali w okno. Weszli i od progu krzyczeli: Pokaż Żydów, to nic ci nie zrobią, bo jeżeli nie, to wiesz co cię czeka? Kara śmierci! Mieli w rękach patyki, rozglądali się, a sołtys szukał w szafie i za szafę zajrzał, potem pod pierzynę i łóżko. Mdlałam i drętwiałam. Tamci szukali na strychu, w stodole, w stajni, patykami kłuli zboże w pace. Poszli.

Mendel wyszedł i mówił: „Żydzi ukrzyżowali pana Jezusa, dlaczego to zrobili? Gdyby Jezus żył, czyniłby cuda". Odetchnęliśmy z ulgą i Żyd nie odszedł. Mąż umieścił go w drewnianej piwnicy w stodole. Miał tam słomę, koce i nawet w zimie było tam ciepło. W domu miałam ziemniaki na dowód, że do piwnicy nie chodzę.

Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że policja chodzi po domach. Do nas wstąpił granatowy policjant, pochodził z Lubczy, a urzędował w Szerzynach, siedzibie władz gminnych. Po co tu jestem? Nie wiecie? Za Żydami! Mąż na to, że wczoraj byia rewizja. On mówił dalej: Żydzi w dzień się ukrywają, a w nocy chodzą po żywność. Nie ma dnia, by ktoś nie doniósł. Jesteście młodzi, dziecko małe. Wypędźcie ich, bo przyjdzie gestapo, będzie mordować i palić. Żal mi was. Dajcie słowo, że ich wygonicie. Daj rękę na znak, że ich odeślesz. Bardzo był przejęty tym, co mówił, życzliwy i zatroskany o los wsi. W nocy mąż z Mendlem oderwali podłogę w pokoju i wykopali głęboki dół, w którym można było stać. Miał tam siennik i pierzynę. Bunkier zakryli deskami, które się podnosiło. Ziemię wynosiliśmy do dołków na podwórzu i przykrywaliśmy obornikiem. W nocy tam siedział, a w dzień wychodził. Synek nasz zwał go wujem. Baliśmy się jednak okropnie. Dlatego na dzień zanosiłam dziecko do siostry w dolinie.

Na lato mąż zbudował Mendlowi bunkier pod boiskiem. Był on przykryty deskami, na których układaliśmy paczki. Gdy był spokój i nikt się nie kręcił, to wychodził na boisko. Pożywienie zanosiłam mu w koszyku lub w wiadrze. Był zadowolony, bo stąd widział całą okolicę. Co wieczór wynosiłam wiadro z fekaliami na obornik. W zimie przebywał w pokoju pod podłogą.

8 września 1943 roku mąż był koło kościoła u krewnych i po powrocie opowiadał, że Niemcy idą do Woli, przysiółka Czermnej. Widocznie wiedzieli, że w tamtejszym lesie przebywają partyzanci, którzy, podobnie jak Żydzi, szukali oparcia w domach przy lesie. Poszliśmy do teściowej, zamieszkałej w dolinie obok Budziatowej. Nagle wpadła siostra z krzykiem: „Wszędzie pełno Niemców, idą ku nam. Pobiegłam do domu, na boisko, poinformowałam Mendela, a ten wspiął się na górę na słomę. Niemcy przyszli. Trzech siedziało na klocowym drzewie, a po górze chodziło pełno żołnierzy i policjantów. Puściłam psa. Młody żołnierz zagadnął po niemiecku: Pani się nas boi? i przeszedł na język polski. Zapewnił, że tylko przenocują i pójdą dalej. Pochodził z Katowic, był wcielony przymusowo do Wehrmachtu. Kazali ugotować ziemniaków i zasiedli do stołu, a ja poszłam do siostry w dolinę. Siostra oznajmiła, że załadowali chłopów na dwa auta i powieźli. Prosiłam, by wracającego z pastwiska męża ostrzegła, a bydło sama do nas przyprowadziła. Gdy wróciłam, wszędzie było pełno Niemców. Dwa razy pokazywałam kennkartę i wpadłam do domu. Jeden z tych, co zatrzymali się w izbie, niósł masło, jajka, ogórki. Gdzie trzeci? zapytałam. Na warcie, boby nas partyzanci napadli. Zapewniłam ich, że nic nie wiem o partyzantach, choć dobrze wiedziałam, że są w lesie. Pułkownik mówił: jecz. Wypytywał o naszą wieś, rodzinę, a ten z Katowic tłumaczył na język niemiecki. Władysław Kaczka zawrócił męża i sam przygnał krowy w pobliże, ale do domu przyprowadziła je jego pasierbica. Na pytanie, dlaczego mąż nie wrócił, odparła, że dziecko boi się żołnierzy, dlatego przyjdzie po jego zaśnięciu. Ten żołnierz z Katowic, zwany przez nich Filipkiem, ostrzegł, by mąż nie wracał, bo wszędzie stoją warty i zastrzelą go. Jutro rano może wrócić, radził. Na boisku pełno było Niemców, spali na słomie. W nocy rozpętali strzelaninę koło naszych zabudowań. Kryli się za osłoną z trzech patyków ustawionych stożkowato i przykrytych słomą. Takie stożki ustawili w polu za stodołą. Z godzinę pruli seriami po lesie. Rano koło stodoły było około stu Niemców. Siedzieli na wiązkach słomy, inni kryli się za tymi stojakami

z patyków i słomy. Pilnie wpatrywali się w las. Zjawił się oficer na koniu i poprowadził ich w dolinę. Jeszcze połapali chłopów i pognali ku Jodłowej, ale tylko 40–50 letnich, bo młodzi uciekli. W Jodłowej zatrzymali się na górze, bo jeden Niemiec zaginął. W związku z tym zarządzili egzekucję pojmanych, jednak Niemiec wrócił, tłumaczył się, że zabłądził. Chłopów pognali do Tarnowa i wepchnęli do pociągu. Około dziesięciu z nich zginęło w zawierusze wojennej, inni wrócili.

Żyd wyszedł z ukrycia i zajście to nazwał cudem, obiecując, że po wojnie ochrzci się, i będzie katolikiem. Tych rewizji było jeszcze parę. Podejrzewam, że ktoś donosił, bo stale zagrożenie niczym miecz Damoklesa wisiało nad nami. Po tych wszystkich poszukiwaniach, rewizjach i kontrolach zdaliśmy sobie sprawę, jak wielkie jest to niebezpieczeństwo. Wierzyliśmy jednak, że uciekiniera nie znajdą. Jako ludzie wierzący i religijni wierzyliśmy, że niesienie bezinteresownej pomocy naszemu bliźniemu to święty obowiązek i rzecz oczywista. Po prostu nie mieliśmy sumienia odmówić mu pomocy. Biedny był i na profity finansowe nie liczyliśmy. I tak mijały podszyte strachem dni okupacji.

W Wigilię 1943 roku Niemcy przyjechali niespodziewanie i spalili pięć gospodarstw. Z płonącego domu Janigi uciekał syn, ciemno było jeszcze, ale go zastrzelili, rzucili na boisko i podpalili. Warchołowie zdążyli zbiec, podobnie inni, ale zabudowania spłonęły. Warchołowa mówiła po wojnie, że handlarka chodziła po wiosce i sprzedawała trudne do zdobycia artykuły przemysłowe, np. nici. Gospodarze zapraszali do stołu, użalali się. Handlarka zapewniała, że jest zrzuconą z samolotu Rosjanką poszukującą swych rodaków. Nie ukrywano, że są w pobliżu i wieczorem może ich zobaczyć. Byli to zbiegli z obozu jeńcy wojenni. Zjawili się, rozmawiali, pili wódkę. Ta handlarka przyjechała później z Niemcami i zapewniała, że zbiegowie tu byli i przy tym stole częstowali ją alkoholem. Opowiadano jak to Warchoł schował się do piwniczki pod kuchnią, a żona skrzynką zasłoniła drzwiczki. Gdy dom się zapalił, sąsiadki w skrzyni wyniosły go na oczach Niemców. Ludzie uciekali do lasu, a Niemcy szli i podpalali zabudowania. Dwa spłonęły w Czermnej, a trzy w Jodłowicy na granicy wsi.

Mimo tego Żydzi mieli tu zawsze oparcie. Ks. proboszcz Józef Latocha w Czermnej też ukrywał Zydów. Byli to: Mortka Erihorn, jego żona i córka. Ten Mortka był bratem naszego Mendela. Jednak po kilku tygodniach granatowa policja dowiedziała się o tym i nie po raz pierwszy postanowiła zapobiec tragedii. Policjant Leszega dyskretnie przyszedl do księdza i uprzedził o mającej nastąpić rewizji za Żydami, bo wpłynęło doniesienie. Żydzi poszli do innej wsi, Swoszowej, ale nie przeżyli wojny. Terror był tak wielki, że ludzie obawiali się o życie własne. Naszą policję chwalimy, bo ma zasługi w zażegnywaniu niebezpieczeństw. Zawiadamiała, ostrzegała, a w razie potrzeby tuszowała. To byli wzorowi Polacy, aczkolwiek oficjalnie w służbie wroga. Komendant pochodził ze Śląska, mówił po niemiecku i po polsku, nie cofał się przed wstawiennictwem. Tak było u Andrzeja Garbulińskiego. Oboje z żoną ukrywali Żydów. Była to córka Henia, syn Major i ojciec Heszek. Nazwiska ich nie pamiętam, ale wiem, że nazywano ich Heszkami. W kwietniu przed świtem Niemcy otoczyli zabudowania i przystąpili do rewizji. Żydzi rzucili się do ucieczki, ale wszyscy troje zginęli. Zawołani sąsiedzi wykopali grób i pogrzebali ciała. Garbulińskiego i syna zabrali na posterunek, skąd już nie powrócili. Policjanci zaczęli prosić Niemców, by nie zabierali żony gospodarza i nie palili domostwa, bo żona i dzieci nie zawiniły. Niemcy zmiękli, bo mieli iść dalej i szukać, trochę zniechęciły ich trudności terenowe, wieś położona była w górach pośród wąwozów, miała obszar o długości 8 km i 6 km szerokości, liczyła 500 gospodarstw. Groźnych chwil było wiele. Z góry widzieliśmy samochody jadące na akcję. Mąż zabierał synka i bydło i uchodził w dolinę, a ja pozostawałam z ukrytym Mendelem. Różaniec brałam do ręki i modliłam się o ocalenie. Mendel był w dobrej komitywie z właścicielem tutejszego dworu, zaglądał tam i zawsze coś dostawał, ale sytuacja zmieniła się na niekorzyść, gdy napłynęła fala uchodźców ze Wschodu. W takich wypadkach dyskretnie pukał do jego okna. Właścicielem był wcześniej

Łobaszewski, który kupił tę posiadłość od państwa. Miał sto morgów gruntu, dwieście morgów lasu, duży drewniany dwór, gdzie mieściła się leśniczówka. Córka ich wyszła za tutejszego kawalera po maturze Juliusza Filipaka.

Z Przemyśla przyjechała 19–letnia Krystyna Najserówna z matką i dziadkiem. Zamieszkali u Pasińskiego pod lasem. Była łączniczką AK i meldunki zanosiła z lasu do dworu, bo Filipiak pełnił jakąś funkcję w AK. Mówiono, że był komendantem.

Dwór zaludnili obcy ludzie, w tym Ukrainka zatrudniona w kuchni i jej syn przy koniach. Właściciel ostrzegł Żydów, by się strzegli Ukraińców. I rzeczywiście, Ukrainiec zauważył, że w nocy właściciel jeździł konno i zaczął go śledzić. W nocy Filipiak pojechał konno do lasu, a po powrocie położył siodło na półce w stajni. Śledzący go Ukrainiec wykradł mu dokumenty z siodła i dostarczył gestapo w Bieczu. Gestapo zabrało Filipaka, który podczas ucieczki został postrzelony i trafił do szpitala w Bieczu. Oficjalnie pochowali innego. Po wojnie na dwór i AK spadły inne nieszczęścia, dlatego wyjechał do USA. Sprawa tej wsypy zaniepokoiła Żydów, bo Filipiak za dużo o nich wiedział. Dawał im nie tylko żywność, ale i starą odzież, i obuwie. Jesienią, gdy Sowieci przybliżali się ku nam, Niemcy uciekali do Tarnowa. Pociski tu w zasadzie nie padały, a tylko w Szerzynach, ale samoloty bombardowały okolicę. Krystyna Najserówna poszła do lasu z jakimś meldunkiem, czy też z rozkazem i została ciężko ranna. Pocisk trafił ją między serce, a płuco. Ciężarna kobieta ugodzona w pierś też zginęła. Po przetoczeniu się frontu, Mendel odwiedził żonę Filipaka i podziękował za doznane dobrodziejstwo. Po ucieczce Niemców Mendel był u nas jeszcze przez dwa tygodnie. Zachciało mu się iść do dawnych sąsiadów i pokazać, że ocalał. Odradzaliśmy mu, wiedząc, że nie wszyscy są życzliwi. Wychodził, ale wracał. Wreszcie w lesie natknął się na bandytę, miejscowego chłopaka, który dokonał pięciu zabójstw, rabował i krył się w lesie. Wtedy jeszcze nie było władz ani milicji. Nie mogliśmy przeboleć faktu, że Mendel przetrwał dwa i pół roku w ukryciu i tak niepotrzebnie zginął. Zabójca bał się go jako świadka jednej ze swych zbrodni. Zwał się Edward Wierzgacz. Jego proces odbył się w Krakowie, gdzie został skazany na karę śmierci.

Pesi, właściwe nazwisko Rita Friedman ukrywała się u nas tylko jeden rok, potem u znajomych pod Jasłem. Po wojnie wyjechała do krewnych w USA i do dziś mieszka w Nowym Jorku. Korespondencję utrzymujemy, ale ostatnio kontakty są coraz rzadsze, bo Rita podupadła na zdrowiu. Dzięki staraniom pani dyrektor szkoły, Marii Świerczek, dwa lata temu poszły papiery za pośrednictwem Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie do Izraela. Komisja w Izraelu uzależniła decyzję o przyznaniu medalu od uzupełnienia dokumentów, przedstawienia protokołu z rozprawy sądowej.

Tarnów – miasto

W trosce o pełniejszy obraz wydarzeń, a także w przeświadczeniu, że lepszemu zrozumieniu głównej idei i przesłaniu publikacji pomóc może literatura naukowa, sięgnijmy do fragmentu opisu holocaustu po tarnowsku. Oto Aleksandra Pietrzykowa i Stanisław Potępa opracowali i zredagowali książkę pt. „Zagłada tarnowskich Żydów", Tarnów 1990, jest to część szerszego wydania pt. „Tarnów – egzystencja i zagłada skupiska żydowskiego", Tel Awiw 1954, red. Abraham Chomet. Poczynając od strony 9 czytamy, co następuje:

Jesień 1939 roku była ciepła i przyjemna, pełna słońca, jakby chciała się połączyć z hitlerowskimi wojskami i pomóc im w ich marszu przez polskie drogi i szosy, w celu zdobycia polskiej ziemi. Stało się to we czwartek 7 września 1939 roku. W tym dniu Tarnów jakby opustoszał. Trzy dni wcześniej, we wtorek 5 września, w sali Rady Miejskiej odbyło się jeszcze zebranie obywatelskie, na którym wybrano Komitet Niesienia Pomocy Poszkodowanym. Przygotowano wielką akcję pomocy na rzecz ofiar wojny. Wiadomości z frontu nie były bowiem pocieszające. Niemieckie bombowce stale i bez przeszkód bombardowały polskie miasta, osiedla i wsie. Nikt jednak nie przewidział, że sytuacja będzie aż tak zła, zwłaszcza że silne oddziały polskiej artylerii przejechały przez miasto w kierunku góry Św. Marcina, aby – jak sobie wmawiano – bronić miasta. Nawet w biurach gminy żydowskiej odbywało się normalne urzędowanie, nastawione przede wszystkim na udzielanie pomocy fali uciekinierów płynącej z Krakowa i Śląska. W gmachu gminy urządzono kuchnię zarówno dla uciekinierów, jak i dla potrzebujących z samego Tarnowa. Ówczesny prezydent miasta, dr Mieczysław Brodziński, wyasygnował sporą kwotę na rzecz kuchni.

Tejże samej nocy miasto zostało silnie zbombardowane, a budynek poczty całkowicie spalony. Ochotnicze służby ochrony przeciwlotniczej pracowały z dużym zaangażowaniem, nie bacząc na grożące niebezpieczeństwo.

Na dworcu kolejowym panował już tłok przy uruchomionych dodatkowo pociągach ewakuacyjnych.

Nazajutrz, 6 września, w mieście nie było już ani starosty, ani prezydium Rady Miejskiej. Również wielu urzędników Zarządu Miasta i członków zarządu gminy żydowskiej opuściło Tarnów. Kto tylko mógł, uciekał z miasta, ale już nie główną szosą w kierunku Lwowa, lecz drogą okrężną – w kierunku Radomyśla Wielkiego i Mielca. To byli już ostatni uciekinierzy, którzy w końcowej fazie ewakuacji udali się na tułaczkę w nieznane. Przez całą drogę, wzdłuż ulicy Nowodąbrowskiej, aż do Lisiej Góry ciągnęły tłumy uciekinierów – mężczyzn i kobiet, często z dziećmi na ręku. Szli w nieznane, uciekając przed wrogiem. Każdy z nich wówczas wierzył, że trzeba tylko przeprawić się przez San, by tam odpocząć, a po kilku tygodniach powrócić do wyzwolonego miasta. Tymczasem pozostawiono na łaskę losu rodzinę, to mizerne mienie, stanowiące dorobek wieloletniej harówki. Kobiety wyprawiały w drogę swoich mężów i synów, którzy mieli dołączyć do Wojska Polskiego. Wedle pogłosek wojsko miało się przegrupować po tamtej stronie Bugu.

Tarnów opustoszał. Ci, którzy pozostali w mieście, nie opuszczali mieszkań. Na ulicy zamarł wszelki ruch. Z niepokojem i lękiem oczekiwano wkroczenia Niemców.

Odprężenie nastąpiło szybko. We czwartek 7 września 1939 r. około godziny jedenastej zajechał niemiecki żołnierz na motocyklu przed dom przy ulicy Lwowskiej 4, gdzie mieściła się restauracja Menaszego Wachtla. Niezwykle szybko przejechała duża ilość niemieckich żołnierzy ulicą Krakowską, Wałową, Lwowską wraz z czołgami i działami artyleryjskimi.

Miasto zostało zajęte przez Niemców. Ukazały się pierwsze zarządzenia okupanta. Stopniowo zaczęto się do nich przyzwyczajać. Żydzi i Polacy, którzy przedtem uciekali, wracali do domu. Wielu z nich zatrzymało się na skutek przemęczenia marszem w dzień i w nocy, zwłaszcza że niemieckie czołgi już ich prześcignęły. Gdy ukazał się rozkaz o otwieraniu sklepów, w mieście znów

rozpoczęło się życie, regulowane już niemieckimi zarządzeniami. Były to przecież pierwsze dni wojny; przez miasto przeciągały niemieckie oddziały wojskowe, nasiliło się więc zapotrzebowanie na różne towary. Z początku wydawało się, że wygrali ci, którzy pozostali w mieście. Mimo to udzielała się Żydom psychoza strachu i niepokoju. Nie było ani jednej rodziny, z której ojciec lub syn nie wyruszyłby na niepewne drogi, a które teraz były odcięte i niedostępne. Gdzie oni się teraz znajdują? – pytały zaniepokojone kobiety i matki. Gdzie jest mój mąż? Gdzie teraz przebywa moje dziecko? Były jeszcze inne, głębsze przyczyny żydowskiego niepokoju. Dla Żydów niemiecki żołdak był nie tylko okupantem, ale wrogiem, wychowanym w żydożerczych hasłach, które wcześniej realizował u siebie w kraju. Dlatego żydowscy działacze społeczni i przywódcy żydowskiej organizacji pozostawali w ukryciu, nie pokazywali się niemieckim okupantom i unikali wszelkich kontaktów z nowymi władzami. Mimo że w mieście nie było jeszcze krwiożerczych łotewskich czy ukraińskich faszystów, nie pokazało się jeszcze gestapo, to jednak Żydzi nie dowierzali Niemcom i różnymi drogami przedostawali się do wschodniej Galicji, zajętej przez Armię Czerwoną. Tam znów byli tacy, którzy tęsknili do swoich rodzin, do domu, a przeczuwając długotrwałą wojnę, bez perspektywy uzyskania pracy i środków do życia, poszukiwali sposobów wydostania się ze wschodniej Galicji i kresów, aby powrócić do domu, do Tarnowa, gdzie przynajmniej w pierwszych tygodniach mogli żyć i zarabiać. Tylko pozornie w pierwszym okresie okupacji toczyło się życie normalnym trybem. Ludność żydowska nie była jeszcze izolowana od polskiej, chociaż już wtedy nie brakowało antyżydowskich posunięć.

Dnia 26 października 1939 r. ukazała się proklamacja o utworzeniu Generalnego Gubernatorstwa dla okupowanych ziem polskich, w których Hans Frank wyraźnie oświadczył, że w krajach pod niemieckim panowaniem nie będzie miejsca dla „żydowskich wyzyskiwaczy". Dlatego Niemcy zaczęli podkopywać byt materialny ludności żydowskiej. Na podstawie zarządzenia tegoż Franka

wprowadzono z dniem 26 października 1939 r. przymus pracy i we wszystkich miejscowościach utworzono kolumny robocze. Pełnomocnictwo odnośnie do wprowadzania tego zarządzenia w życie powierzył Frank swemu zastępcy do spraw bezpieczeństwa.

W listopadzie 1939 r. na rozkaz niemieckiej policji bezpieczeństwa rozpoczęła się w Krakowie, a potem w innych miejscowościach rejestracja Żydów. W tym samym czasie zostały zablokowane wszystkie konta bankowe Żydów i ich depozyty. Specjalni niemieccy komisarze przejęli większe żydowskie przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe. Zyski tych przedsiębiorstw komisarze ci przekazywali do niemieckiego banku na tzw. „Sparkonto", a żydowscy właściciele otrzymywali najpierw po 1.000 zł. miesięcznie, a potem tylko 250 zł.

W środowisku żydowskim ustała jakakolwiek praca kulturalna. Wszystkie organizacje polityczne i instytucje społeczne przerwały swoją działalność. Szkoły żydowskie zostały zamknięte. W budynku szkoły „Safa – Berura" (hebr. „Zrozumiały Język") urządzono niemiecki skład. „Talmud Tora" (Szkoła religijna dla biednych dzieci żydowskich), towarzystwo „Unzere Kinder" (jidysz: „Nasze Dzieci") oraz wszystkie inne szkoły żydowskie były nieczynne. Nadal był czynny tylko Dom Sierot pod kierownictwem dr Lieblicha. W miejsce zarządu gminy Niemcy utworzyli tzw. Judenrat (Radę Żydowską), którego głównym zadaniem było wykonywanie zarządzeń niemieckich. Początkowo Judenrat urzędował w budynku przy ulicy Nowej 11. Była to jedyna czynna instytucja żydowska, która tak jak w innych miastach okupowanej Polski stała się narzędziem w rękach niemieckich, przeznaczonym do realizacji ich programu całkowitej zagłady żydostwa polskiego. Tylko ludzie naiwni pragnęli w Judenracie widzieli namiastkę lub podobieństwo do dawnej gminy żydowskiej. Judenraty miały pomagać Niemcom i tylko w tym celu zostały utworzone. Potwierdziła to również Prokuratura Najwyższego Trybunału Narodowego w akcie oskarżenia przeciwko ludobójcy Amonowi Leopoldowi Goethowi: „Władze niemieckie ustanawiają Rady Żydowskie, tzw. Judenraty, gwoli

ułatwienia sobie realizacji swych celów i zamierzeń w stosunku do ludności żydowskiej". Również w uzasadnieniu wyroku z 5 września 1946 r., którym Amon Leopold Goeth skazany został na śmierć, Najwyższy Trybunał Narodowy stwierdził, w świetle dowodów rzeczowych i materiału faktograficznego, że wraz z różnymi zarządzeniami przeciwko ludności żydowskiej, celem sprawniejszej grabieży mienia żydowskiego i usprawnienia wykorzystania siły roboczej Żydów, tworzono tzw. Judenraty.

Niemcy narzucili ludności żydowskiej nie tylko Judenraty. Zamęczana, skazana na śmierć żydowska ludność otrzymała jeszcze większa „autonomię". Przy Judenratach została zorganizowana żydowska policja, tzw. „Żydowska Służba Porządkowa". Służba Porządkowa była żydowska tylko z nazwy, ponieważ faktycznie służyła ona Niemcom i ślepo wykonywała ich rozkazy. Żydowska policja stanowiła prawdziwą plagę dla ludności żydowskiej, chociaż byli również tacy policjanci, którzy nie zapomnieli, że są Żydami. Ostrzegali oni ludność o każdym nadchodzącym nieszczęściu i w wielu wypadkach okazywali swój humanitaryzm. Ale tacy stanowili nieliczne wyjątki.

Na czele służby porządkowej w Tarnowie stał najpierw niejaki Miller, a potem Wasserman. Po nim dowództwo nad żydowską policją przejął szczególnie okrutny Żyd niemiecki, kapitan austriacki Diestler, który wraz z gestapowcami był postrachem dla ludności żydowskiej. Policja żydowska miała swoją siedzibę w budynku kasy autobusowej przy Placu Wolności, nazywanym później „Placem Magdeburskim".

Już pierwsze niemieckie zarządzenia stanowiły początek akcji, która miała na celu zagładę Żydów w Polsce. Ludność żydowska na początku nie zdawała sobie sprawy z grożącego jej niebezpieczeństwa. Zlekceważono zarządzenia Franka z 26 października odnośnie do utworzenia Generalnej Guberni, jak również późniejsze zarządzenia dotyczące organizowania administracji, sądownictwa, służby bezpieczeństwa, a w szczególności dekret o pracy przymusowej Żydów.

Dziś już wiemy, że szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy w Berlinie, Heydrich, wysłał pismo dnia 21 września 1939 r., nazwane „Schnellbrief" (Telefonogram), w którym przekazał dowódcom „Grup Operacyjnych Policji Bezpieczeństwa" wytyczne do postępowania z Żydami. W piśmie tym podany został „cel ostateczny", który należało utrzymać w ścisłej tajemnicy, a który przewidywał całkowitą zagładę Żydów, przeprowadzaną etapami.

Pierwszym etapem był właśnie dekret o pracy przymusowej Żydów, który w konsekwencji okazał się najbardziej tragicznym antyżydowskim dekretem. Podkreślił to również w sposób następujący Josef Wulf (członek Centralnej Żydowskiej Komisji Historycznej w Polsce) w swoim artykule umieszczonym w „Dos Naje Leben" (jid. „Nowe Życie"), napisanym w związku z procesem Amona Gotha, że „dekret o pracy przymusowej Żydów był to pierwszy, lecz najważniejszy, a w swej konsekwencji najtragiczniejszy, dekret antyżydowski. Nie dlatego, że była tam mowa o pracy (...), lecz dlatego, że praca była w stosunku do Żydów narzędziem tortur i śmierci. Praca otępiała i niszczyła wszelkie ich ludzkie uczucia, przy pracy ginęły ich żony i dzieci, pod jej pozorem zwabiano i w końcu gazowano. Znakomity znawca i badacz życia żydowskiego podczas okupacji, autor wielu dzieł o żydowskiej martyrologii w czasie ostatniej wojny światowej, red. Michał Borwicz, wystąpił w charakterze eksperta ze strony Żydowskiej Komisji Historycznej w Polsce, przed trybunałem narodowym, na procesie przeciwko Amonowi Goethowi.

Podkreślił on, że niemieckie zarządzenia, których cel można obecnie jednoznacznie odczytać, pozwalają stwierdzić z całą stanowczością, że zmierzały do jednego: zdemoralizowania wszystkiego i wszystkich.

„I dlatego – powiedział M. Borwicz – niezależnie od fizycznych mordów działalność ta zmierzała do zarażenia każdego metra sześciennego moralnym dziegciem. Starano się ofiary poróżnić i zdemoralizować. Tak było na przykład z powołaną do celów administracyjnych Radą Żydowską czy z tak zwaną Służbą Porządkową.

Potem starano się wprowadzić antagonizm między jedną część ofiar, a inną, podzielono ich na pracujących i niepracujących, z których jedna część miała żyć, druga – umrzeć. Potem podzielono na starych i młodych, a wszystko to miało na celu demoralizowanie i wzajemne pokłócenie ofiar".

Pierwsi członkowie tarnowskiego Judenratu szybko przejrzeli prawdziwe zamiary Niemców. Dr Józef Offner, duma palestry adwokackiej w Galicji, wzór uczciwego człowieka, któremu Niemcy po wkroczeniu do Tarnowa powierzyli kierowanie Judenratem, szybko opuścił ten urząd. Dr Offner był przed laty prezesem gminy żydowskiej w mieście i szybko wyczuł, czego Niemcy od niego zażądają. Także jego następca, mgr Dawid Lenkowicz, oraz członek Judenratu, Ruwen Waksman, uciekli z Tarnowa do Lwowa, niezwłocznie po spaleniu w ciągu jednego dznia wszystkich bóżnic i Bejt Hamidraszów (hebr. domy modlitwy i nauki).

Stało się to w czwartek 9 listopada 1939 r., w dniu rocznicy jakiegoś zamachu stanu. Niemal w tym samym czasie Niemcy podpalili starą bóżnicę, która znajdowała się w tym samym miejscu, w którym stała pierwsza bóżnica w Tarnowie (wybudowana w 1582 r.) oraz Bejt Hamidrasz obok starej bóżnicy. Oba obiekty znajdowały się w samym centrum żydowskiej dzielnicy starego miasta. Tegoż dnia podpalona została synagoga, w której znajdowały się ładne organy. Zniszczona została bóżnica pn. „Debora Menkes" oraz bóżnica na Strusinie. Śladu nie zostało z Domu Modlitwy, w którym modlili się tarnowscy ortodoksi. Całkowicie spalone zostały Izby Modlitwy (tzw. „Sztibłech") tarnowskich rabinów oraz bóżnice na Grabówce, gdzie modlili się żydowscy robotnicy i lud.

Z dymem poszła również „bóżnica tragarzy" na Grabówce oraz wszystkie stare bóżnice na żydowskiej ulicy wraz z rodałami i rabinicznymi księgami. Ileż to żydowskich uczniów i jeszywotów (hebr. średnie szkoły talmudyczne) wychowało się w tych Bejt Hamidraszach? Od samego rana siadali w nich i studiowali. Przy stołach siedzieli robotnicy i rzemieślnicy, kupcy i drobni handlarze i przed rozpoczęciem pracy słuchali lekcji. Niezwykle bolesne dla

tarnowskich Żydów było zniszczenie nowej synagogi, której budowa rozpoczęła się w 1863 r., a kilka pokoleń Żydów tarnowskich wniosło swój wkład pieniężny, aby dokończyć budowy jednej z najpiękniejszych i największych synagog w Polsce, której kopuła górowała nad miastem. W tej synagodze gromadziły się podczas uroczystych świąt tysiące Żydów, tam odbywały się najważniejsze państwowe i żydowskie narodowe uroczystości, wszystkie żydowskie manifestacje i wielkie zgromadzenia. Synagoga została zbudowana na solidnych fundamentach w ciągu dziesiątków lat, a potężne filary podpierały sufit. Kaci niemieccy sprowadzili swoich saperów, aby dynamitem rozerwali solidne mury. Jedna kolumna pozostała wśród gruzów. Ona stoi obecnie na żydowskim cmentarzu w Tarnowie, na masowym grobie żydowskich męczenników, jako nagrobek–pomnik wymordowanego polskiego żydostwa. A tam, gdzie stała stara bóżnica, obok rybnego rynku, znajduje się obecnie pusty plac, z którego wystaje pozostawiony almemor bóżnicy, na którym odczytywano torę (hebr. Pięcioksiąg). Cztery słupy almemoru wystają w przestworza, a na nich – dzikie ziele, zasadzone przez wiatr...

* * *

Po barbarzyńskim czynie hitlerowców, po pierwszych antyżydowskich rozkazach władczych okupantów, strach ogarnął żydowska ludność. Zamiary i plany Niemców stały się zrozumiałe. Ci, którzy od pierwszej chwili nie dowierzali Niemcom, zrozumieli, co oznacza podpalanie bóżnic. W tym wandalizmie Niemcy mieli swój cel. Aby zrealizować plan całkowitej zagłady ludności żydowskiej, nie wystarczyło samo podcięcie ekonomicznej egzystencji. Trzeba było przede wszystkim załamać Żydów moralnie, zrabować im możliwości gromadzenia się i publicznego odmawiania modlitw, które podtrzymywałyby na duchu cierpiących i wystawionych na ciężką próbę Żydów. Tam, w bóżnicach, Żydzi mogli czerpać nadzieję i wiarę w lepszą przyszłość, co dodawało im sił do przetrwania

straszliwych czynów hitlerowskich morderców. Tam, w bóżnicy, można było publicznie potępić tych, którzy służyli Niemcom.

Kto to wie? Może tam zrodziłaby się myśl o stawieniu opory własnym i obcym tyranom? Aby jeszcze bardziej złamać duch tarnowskich Żydów i udowodnić im, iż są jedynie igraszką w rękach niemieckich bandytów, całkiem od nich uzależnieni, że w środowisku żydowskim nie mają żadnego oparcia, żadnego przedstawicielstwa, które mogło by ich ochronić, podpalono tegoż miesiąca listopada budynek żydowskiej gminy. W tym budynku panowała przecież inna atmosfera, inny duch. Mianowicie członkowie Judenratu, urzędując w tym gmachu, nie mogliby zapomnieć, że gmina była na przestrzeni wieków przedstawicielstwem żydowskiej ludności. Niemcom potrzebny był Judenrat, który by raz na zawsze przerwał tradycję uczciwej i wiernej pracy społecznej. Brunatni bandyci obawiali się, że stare mury budynku gminnego ostudzą zapał i lizusostwo u członków Judenratu i dlatego spalili go. Spalenie przez Niemców bóżnic, Bejt Hamidraszów i budynku gminnego oznaczało również, iż dla Żydów tarnowskich nastał nowy okres, w którym są wydani na łaskę okupantów, że Judenrat nie jest kontynuacja żydowskiej gminy. Dlatego wielu Żydów zaczęło opuszczać Tarnów. W tymże czasie wyruszyła do Lwowa większa fala uciekinierów, składająca się z tarnowskich Żydów.

Po uzupełnieniu Judenratu nowymi ludźmi nastąpił okres względnego spokoju. Przy Judenracie utworzono „Urząd Pracy", którego zadaniem było dostarczanie Żydów do pracy na rzecz Niemców. Na czele Urzędu Pracy stał Niemiec, którego wskazówki i polecenia Judenrat był zobowiązany wykonywać. Byli Żydzi, którzy pracowali, ale byli też i tacy, ci bogatsi, którzy posiadali tylko „karty robocze", po wpłaceniu do Judenratu pewnej sumy w formie „okupu". Częste łapanki do pracy wywoływały u tarnowskich Żydów uczucie niepewności i strachu. Karta robocza stała się marzeniem i celem każdej żydowskiej rodziny. Sądzono bowiem, że wraz zaspokojeniem żądań i apetytów Niemców, które rosły z każdym dniem, uchroni się ludność żydowską od większych represji.

Dlatego Judenrat dostarczał Niemcom ludzi do pracy oraz drogie meble i towary, kosztowności, napoje i inne wartościowe przedmioty. W tym celu nałożono znaczne podatki na zamożnych Żydów. Żydzi płacili i przynosili najładniejsze i najlepsze rzeczy do Judenratu, wierząc przy tym, że sobie i innym uratują życie. Pomimo że wzrastała nerwowość i psychoza niepokoju, istniała jednak pewna nadzieja, że mimo represji i szykan uda się dzięki kontrybucjom uspokoić niemiecką bestię i przetrwać okupację.

Obraz z życia Żydów w Tarnowie oddaje zeznanie Leona Lesera, który przeżył cały okres okupacji w Tarnowie. Wyjaśnienia zostały złożone w Żydowskiej Wojewódzkiej Komisji Historycznej w Krakowie. Leser zaznał, co następuje: „Początkowo Żydzi żyli stosunkowo spokojnie, jedynie na ulicy zdarzały się sporadyczne wypadki zaczepiania względnie pobicia Żydów, jak również rozstrzeliwania Polaków. Oni (czyli Niemcy) wyprowadzali wtedy Polaków za miasto i chwytano Żydów, którym kazano kopać doły. Polaków ustawiano w szeregu i rozstrzeliwano, a Żydzi zmuszeni byli grzebać ich martwe ciała. W takich przypadkach Żydzi musieli wcześniej kłaść się w grobach. Niemcy stali nad nami z załadowanymi karabinami i krzyczeli, że nas zabiją, a dopiero potem pozwalali nam wyjść z dołów, bijąc przy tym bezlitośnie. Ja sam zostałem pewnego razu straszliwie pobity, gdy schwytano mnie do takiej egzekucji i przed zwolnieniem do domu grożono mi śmiercią, w celu zmuszenia mnie do zachowania ścisłej tajemnicy wydarzeń, które miały tam miejsce".

* * *

Jak widać z powyższego, wiele było przyczyn wywołujących uczucia niepewności i zdenerwowania u tarnowskich Żydów; szczególne wrażenie wywarło zarządzenie o obowiązku noszenia naramiennych opasek. W tym przypadku Tarnów został jakby „wyróżniony", ponieważ było to pierwsze miasto w Polsce, gdzie wprowadzono ten antyżydowski nakaz jako kolejny środek złamania du-

cha żydowskiej ludności oraz jako pierwszy krok do odizolowania jej od ludności polskiej. Dnia 20 października 1939 r. ukazało się zarządzenie o noszeniu opasek, podpisane przez ówczesnego cywilnego komendanta miasta (Standthauptmana) Ernesta Kundta. Opaska miała być biała, 12 cm szeroka, z naszytą niebieską gwiazdą Dawida. Ponadto 12 listopada 1939 r. zarządzono również oznakowanie drzwi i okien żydowskich sklepów gwiazdą Dawida. Za uchylanie się od tych zarządzeń groziło 10 lat więzienia i grzywna. W późniejszym okresie, już po utworzeniu getta, takie uchylanie się karane było śmiercią.

Zarządzenie o opaskach dla Żydów było wyrazem zaostrzającego się wobec nich kursu. Po tym wydarzeniu Żydzi zaczęli z obawą i nasilającą się niepewnością patrzeć w przyszłość. W owym czasie tarnowscy Żydzi utrzymywali kontakty z zagranicą, przede wszystkim ze swoimi krewnymi w Związku Radzieckim, a niektórzy z nich otrzymywali nawet paczki żywnościowe od swoich krewnych z zagranicy. Mimo że już zaznaczyły się symptomy ekonomicznego załamania całych rodzin żydowskich, to jednak większość miała pewne zapasy, które wystarczyły na własne utrzymanie i na okup dla Niemców.

Niemieckie organy władzy odnosiły się do Judenratów ze wstrzemięźliwością; nie żądano jeszcze dostarczania ludzi do komór gazowych. W Judenracie utworzono nawet wydział opieki socjalnej, a w pewnych wypadkach można było jeszcze interweniować u Niemców. W owym czasie w Judenracie pracowała grupa starszych wiekiem działaczy społecznych: dr Szlomo Goldberg, dr Wolf Schenkel, dr Becalel Speiser i inni, którzy kierowali się najlepszymi intencjami i wiarą, iż uda im się utrzymać działalność socjalną na określonym poziomie oraz, że za pomocą osobistych wpływów na poszczególnych niemieckich władców będą w stanie złagodzić niejedną antyżydowską ustawę lub wyzwolić część Żydów z pazurów gestapo. Dlatego niezwłocznie zorganizowali pomoc socjalną oraz służbę medyczną.

Dyrektor Domu Sierot, Lieblich, nie szczędził wysiłków, by utrzymać przy życiu żydowskie sieroty. Ze szczególnym oddaniem

pracowała wówczas w Domu Sierot pani dr Mangel w charakterze lekarza oraz panna M. Mahler jako wychowawczyni. We wrześniu 1942 r. Niemcy wywieźli do komór gazowych wszystkie żydowskie sieroty wraz ze swoimi wychowawczyniami i całą rodziną dr Lieblich. W żydowskim szpitalu ograniczonym wyłącznie do pawilonu chorych na gruźlicę (zbudowanym niedługo przed wybuchem II wojny światowej), żydowscy lekarze pod kierunkiem dr E. Schippera rzetelnie wypełniali swoje obowiązki.

* * *

Już w listopadzie 1939 r. rozpoczęli Niemcy systematyczne prześladowanie Żydów, wyczerpanych z powodu częstych łapanek i represji ekonomicznych. Represje zastosowano przede wszystkim wobec powracających ze wschodu. Nie było dnia, w którym nie zdarzyłyby się wypadki rozstrzeliwania Żydów przypadkowo spotkanych na ulicy; coraz częściej wysyłano Żydów do obozów koncentracyjnych za najdrobniejsze przewinienia. Na przykład w połowie 1940 r. wywieziono do Oświęcimia cieszących się powszechnym szacunkiem obywateli: dr Emila Wiedera oraz dr Maurycego Simche – adwokata wraz z jego bratem prof. Zdzisławem Simche (który przed laty opuścił gminę żydowską), dr Ignacego Abfelbauma i innych tarnowskich Żydów. Wszystkie wymienione osoby zginęły w oświęcimskim obozie śmierci.

W ogromnych męczarniach zginął dr B. Speiser, który do ostatniej chwili zachował hart ducha. Jego ciało gestapowscy mordercy poćwiartowali na kawałki, przysłali do Judenratu w koszu na węgiel i polecili pochować na cmentarzu żydowskim. Dwaj hitlerowscy mordercy: von Moltke i Nowak stali się postrachem dla żydowskiej ludności w Tarnowie. Nierzadko ukrywali się w bramach, czekając na przechodzącego Żyda, wciągali go do bramy, obrabowali, straszliwie bili i tak długo się nad nim znęcali, aż pół martwy padł na ziemię. Odbywały się również częste rewizje w żydowskich mieszkaniach. Niemcy szukali wartościowych przedmiotów.

W lecie 1940 r. Przeprowadzono rewizję we wszystkich żydowskich mieszkaniach. Trwały one przez cały dzień. Mężczyzn wyprowadzono z mieszkań, zgromadzono na Rynku przy pasażu Tertila i ustawiono twarzami do ściany z podniesionymi rękoma. W takiej pozycji musieli stać przez dłuższy czas. Na rozkaz morderców hitlerowskich musieli pobożni Żydzi nałożyć Tałesy (hebr. szaty liturgiczne) i tańczyć wokół Rodału (zwój z Pięcioksięgiem, który później został spalony). Na rynek sprowadzono wówczas niemieckich żołnierzy, którzy stacjonowali wtedy w mieście, aby mogli oglądać to smutne widowisko. Starszym Żydom obcięto brody i pejsy i dopiero po obrabowaniu mieszkań pozwolono im do nich powrócić.

Od tego czasu odbywały się systematyczne łapanki do pracy. Ciężki dla tarnowskich Żydów był rok 1940. Nie było spokoju ani żadnej możliwości zarobkowania i prowadzenia normalnego życia. Częste łapanki napawały przerażeniem żydowskie społeczeństwo i były zapowiedzią dalszych prześladowań. Niemieccy tyrani potrzebowali dobrze urządzonych mieszkań na ul. Krakowskiej i częściowo również przy ul. Wałowej, skąd usunięto wszystkich Żydów. Kazano im w ciągu 12 godzin przeprowadzić się do dzielnic zamieszkałych przez ludzi biednych. W ten sposób została zmniejszona dzielnica zamieszkała przez Żydów, którzy faktycznie znaleźli się już w getcie, tylko że nie było ono ogrodzone drutem kolczastym i nie było strzeżone. Można sobie wyobrazić warunki mieszkalne w takiej ciasnocie, pomimo że była to jeszcze dzielnica otwarta. Nie należy zapominać, że w Tarnowie znajdowało się wówczas wielu Żydów z pobliskich i dalszych miast i miasteczek. O ile przed wojną w Tarnowie mieszkało 26.000 Żydów, to w 1940 r. znajdowało się ich tam niemal 40.000.

Od 20 stycznia 1940 r. zakazano Żydom podróżowania koleją. Ludzi złapanych podczas łapanek wysyłano wówczas do obozu pracy w Pustkowie koło Dębicy. Począwszy od 1 stycznia 1940 r. Żydzi nie mogli zmieniać miejsca zamieszkania bez zezwolenia władz niemieckich. Już w pierwszych miesiącach okupacji Żydzi

musieli składać różnorakie kontrybucje pod różnymi pretekstami i to w bardzo krótkim terminie, pod groźbą rozstrzelania członków Judenratu lub specjalnie w tym celu zatrzymanych zakładników. Na początku 1940 r. na nałożono upokarzający obowiązek oczyszczania ulic ze śniegu i śmieci. W ten sposób stopniowo zaciskano pętlę na szyi żydowskiej ludności.

Ci, którzy wówczas kierowali Judenratem – dr Wolf Szenkel oraz dr Szlomo Goldberg – żyli iluzjami, iż mimo szykan i represji, mimo częstych ofiar niemieckiego bestialstwa, Żydzi tarnowscy przeżyją okupację. Swoim autorytetem trzymali w ryzach takich osobników, jak Antek Soldinger, Idek Lehrhaupt i inne indywidua, którzy rwali się do władzy w Judenracie, nie powstrzymując się od donosów w gestapo. Również niemieckim katom, którzy przygotowywali żydowska katastrofę, nie na rękę byli tacy działacze, jak dr Schenkel i dr Goldberg, którzy w najtrudniejszych warunkach próbowali chronić Żydów przed prześladowaniami. Podczas święta Pesach (Pascha, Wielkanoc) obaj lekarze zostali aresztowani, a wraz z nimi zasłużony działacz w dziedzinie pomocy socjalnej Zalek Weltch oraz młody Engelberg.

Dr Schenkla i dr Goldberga zapędzono do więzienia, w którym przeżyli męczarnie, a po pewnym czasie zostali wysłani do Oświęcimia, gdzie obaj zmarli. Dr Schenklowi Niemcy kazali przemaszerować ulicami Tarnowa z podniesionymi rękami i krzyczeć „Żydzi zawinili wojnę!". W tym samym czasie został wraz z dr Goldbergiem aresztowany i wysłany do Oświęcimia dr M. Rosenbuch, dyr. hebrajskiego gimnazjum „Safa Berura". Żaden z nich już z Oświęcimia nie powrócił. Tarnowskie więzienie było przepełnione. Z tego więzienia wysyłano transporty aresztowanych do Oświęcimia. Po pewnym czasie rodziny więźniów otrzymywały informację o śmierci swoich bliskich. Ten kto wysłał do Oświęcimia 20 zł, otrzymywał potem puszkę z prochami ofiary.

Taki właśnie los spotkał Mordechaja Dawida Ungera, aresztowanego za rzekomo nielegalny handel. Kilka miesięcy siedział w więzieniu. Tam wystawiony był na takie męczarnie i cierpienia,

że opowiedział o posiadaniu w swoim domu skrytki z kosztownościami. Zaprowadzono go tam, aby wskazał miejsce skrytki. Gestapowcy wszystko zabrali, Ungera wypuścili na wolność, ale po krótkim czasie wezwano go na gestapo, skąd został odesłany do Oświęcimia. Po pewnym czasie nadeszła stamtąd wiadomość, że Unger zmarł.

Z więzienia już nie powrócili Weltsch i Engelberg. Judenrat stanął więc otworem dla wyrzutków żydowskiej społeczności w Tarnowie. Natychmiast wypłynęły ciemne indywidua, wysunięte przez gestapo. Teraz Niemcy potrzebowali takich ludzi, którzy bez sentymentów, ślepo i bezwzględnie będą wykonywać wszystkie niemieckie rozkazy dotyczące ludności żydowskiej.

* * *

Na początku 1941 r. wprowadzono dla Żydów specjalne karty tożsamości koloru żółtego. Trzeba było w owym czasie mieć sporo zręczności, sprytu i pieniędzy, by uchronić się od aresztu i móc ukryć ostatnie resztki majątku przed Niemcami i ich żydowskimi pomocnikami. Ciągła troska o kartę pracy, która na razie dawała prawo do życia, trzymała ludzi w stanie ustawicznej nerwowości i napięciu. Każdy chciał żyć, chociażby w najgorszych warunkach. Ten pęd do życia był tak silny, że w wielu ludzkich sercach stępił uczycie litości i wstydu. Na szczęście mało było takich osób, które zerwały ze wszystkimi etycznymi i moralnymi hamulcami, nie bacząc na silnie rozwinięty w owych czasach instynkt samozachowawczy, który opanował Żydów w getcie. Dlatego też było tam wiele przykładów wzajemnej pomocy, mimo że odbywała się ona w formie niezorganizowanej, bez mieszania w to Judenratu, ponieważ wszyscy wierzyli, że nadejdzie w końcu kres wojny i dzień niemieckiej klęski.

Taka sytuacja trwała w Tarnowie do wybuchu wojny niemiecko–radzieckiej. Dzień 22 czerwca 1941 r., w którym Niemcy napadli na Związek Radziecki, był dniem przełomowym dla tarnowskich

Żydów. Jak psy spuszczone z łańcucha, niemieccy mordercy rzucali się na Żydów. Od owego dnia Niemcy rozpoczęli systematyczną akcję fizycznego niszczenia Żydostwa, które duchowo było już załamane. Zakończył się ostatecznie rozdział sporadycznych prześladowań antyżydowskich. Przystąpiono do realizacji zaplanowanej akcji zagłady. Zima dała się Niemcom w Rosji we znaki. Z tej przyczyny Żydów zmuszano do dostarczania futer. Zimą 1941 r. Niemcy nakazali im pod groźbą kary śmierci, aby dostarczyli swoje futra, buty i narty.

Z dniem 15 października 1941 r. Żydom zakazano opuszczania przeznaczonych dla nich dzielnic mieszkalnych, a od dnia 1 grudnia 1941 r. poczcie nie wolno było przyjmować paczek żywnościowych. Zakończył się względny spokój w Tarnowie. Do miasta przybył osławiony niemiecki kat Grunow. Jego pierwszy „występ" miał miejsce 8 grudnia 1941 r., czyli w dniu, w którym wybuchła wojna japońsko – amerykańska. Grunow kazał wtedy aresztować ponad 100 ludzi, z których 17 zastrzelono, a pozostałych po kilku dniach zwolniono.

Po dokonaniu tego mordu na 17 Żydach, nastąpiło pewne odprężenie. Kaci niemieccy chcieli w ten sposób uśpić ich czujność. Życie w mieście powróciło na „normalne" tory. Judenrat wysyłał ludzi do pracy, inkasował pieniądze u bogatszych Żydów, aby mieć fundusze na płacenie Niemcom.

Żydowskie sklepy i przedsiębiorstwa były prowadzone przez niemieckich komisarzy, mianowanych przez władzę okupacyjną. Większość komisarzy stanowili tzw. „folksdojcze". Z początku tolerowali jeszcze żydowskich właścicieli, korzystając z ich wiedzy i doświadczenia i dlatego podrzucali im jedynie ochłapy. Ale po pewnym czasie całkowicie usunęli Żydów z ich sklepów.

W roku 1941 tarnowscy Żydzi wierzyli jeszcze, że pomimo terroru, prześladowań i ofiar uda im się przeżyć wojnę za okup i haracz dla Niemców. Folkman oraz Idek Lehrhaupt, którzy obecnie stali na czele Judenratu, uspokajali Żydów, radząc im pracować, płacić i dostosować się do zarządzeń Niemców i Judenratu.

* * *

Rok 1941 zapowiadał burzę.

Z powodu zmniejszania żydowskiej dzielnicy mieszkaniowej panowała w mieszkaniach straszliwa ciasnota. Światła elektrycznego nie było, bowiem ten „luksus" był przeznaczony dla mieszkań zajmowanych przez Niemców. W pierwszych miesiącach 1942 r. wybuchła w Tarnowie epidemia tyfusu plamistego, którą przywlekli do miasta niemieccy żołnierze powracający z frontu wschodniego.. Z uwagi na to, że tyfus rozprzestrzenił się wśród ludności aryjskiej, wszystkie urzędy zostały zamknięte na dwa miesiące. Nastroje ludności żydowskiej w Tarnowie nie były optymistyczne, kiedy obserwowano przemarsz transportów rosyjskich jeńców wojennych, których dziesiątki tysięcy pędzono na zachód.

W okresie od marca do maja 1942 roku przez Tarnów przeszło około pół miliona Rosjan z Charkowa i Rostowa. Pędzono ich do pracy w Niemczech. W „Krakauer Zeitung" („Gazecie Krakowskiej") można było przeczytać wiadomość, iż pół miliona Rosjan dobrowolnie zgłosiło się do pracy w Niemczech.

W pierwszych tygodniach 1942 roku wyciągnięto z domu przy ul. Bóżniczej nr 9 wszystkich mieszkańców, wysłano ich do Oświęcimia za rzekome zastrzelenie znanego agenta gestapo, Nowaka. Dość szybko okazało się, że była to zwyczajna prowokacja niemiecka, ponieważ Nowak sam się zranił podczas manipulowania przy własnej broni.

Święto Pesach (Pascha) 1942 r. przeszło pod znakiem straszliwej zbrodni popełnionej przez niemieckich morderców. O nastrojach w tarnowskim getcie w owym czasie złożył relację Eliezer Unger, który znajdował się w owym czasie w Tarnowie. Udało mu się w 1944 r. wyemigrować do Palestyny, gdzie ukazała się jego książeczka wspomnień pt. „Zchor" („Pamiętaj"). Pisze on w niej m. in.:

„Pierwszego kwietnia 1942 r., w wigilię Pesach, słońce wysyłało swoje promienie na wąskie uliczki, gdzie znajdowali się

tarnowscy Żydzi. Lekki wiosenny wiaterek uspokajał zbolałe serca. Przy niskich nędznych domach stoją kobiety z wyrazem melancholii na twarzach. One czyszczą, piorą i doprowadzają wszystko do porządku na święta. Ich mężowie i synowie, którzy niegdyś pomagali im w tych pracach w wigilię Pesach, opuścili je. W tym roku zatrudniono ich do przymusowej pracy w fabrykach, pracujących dla Niemców. A ci, których nie zatrudniono, drżą, aby ich nie złapano do pracy bezpośrednio z ulicy. Tego wigilijnego dnia święta Pesach w mieszkaniu mojego ojca zebrało się kilku bliskich znajomych, aby wypiec strzeżoną macę (przaśne placki) w piecu, który specjalnie przygotował. Judenrat wypiekał mace z mąki dostarczonej przez zarząd miejski. Na „czarnym" rynku sprzedawano mace po 25 złotych. Bogaci Żydzi przygotowali wszystko na święto Pesach–mace, wino, niczego nie brakowało w ich domach. Biedni pobierali mace w Judenracie, a w kuchniach ludowych urządzono publiczne noce sederowe (seder – ustalony przepisami religijnymi porządek i kolejność spożywania potraw i czytania tzw. „Hagady") dla setek Żydów, którzy z powodu braku mieszkań i środków, nie mogli wyprawić sederu we własnym domu".

„Wieczorem ten świąteczny nastrój uległ zakłóceniu. Błyskawicznie rozeszła się wiadomość, że kaci Rommelman i Grunow wpadli do mieszkania szocheta (rzezaka) Lipy i zastrzelili go wraz z dwoma synami (każda wiadomość z „żydowskiego frontu" błyskawicznie rozchodziła się w mieście i docierała do każdego żydowskiego mieszkania). Rzezak Lipa był skromnym człowiekiem o wielu zaletach i powszechnie lubianym, wykształconym talmudysoą, oddanym sprawom gminy.Zdarzyło się, że dziewczyna, która handlowała drobiem, niosła w koszu zarżnięte kury. Obaj mordercy znajdowali się akurat na uliczce prowadzącej do rzezaka Lipy. Handlarka drobiem zauważyła z daleka tych dwóch gestapowców, chciała się ukryć w bramie domu, ale gestapowcy dogonili ją i złapali grożąc jej rewolwerami, zażądali od niej, aby powiedziała, kto zarżnął te kury. Przestraszona groźbami, dziewczyna pokazała dom, w którym mieszkał rzezak. Gestapowcy natychmiast wpadli

do mieszkania rzezaka i tam go zastrzelili wraz z synami. Po dokonaniu mordu wstąpili z zakrwawionymi rękami do mieszkania sąsiada. Zamieszkałe tam osoby zaczęły wołać „Szma Jisrael" („Słuchaj, Izraelu" – okrzyk w chwili zagrożenia), ale kaci zażądali od nich miski z ciepłą wodą i suchym ręcznikiem. Umyli ręce, oczyścili odzież z krwi i odeszli. Wiadomość o tym mordzie poruszyła wszystkich tarnowskich Żydów. Oni nie byli jeszcze przyzwyczajeni do takich morderczych aktów. Po tym nieszczęściu większość Żydów w mieście wstrzymała się od jedzenia mięsa, nie chcąc narażać rzezaka i handlarzy mięsem. Zaprzestano handlować mięsem. Dni świąteczne mijały pod wrażeniem przerażającego wydarzenia".

Mimo to tarnowscy Żydzi nie zdawali sobie jeszcze w pełni sprawy za swoje położenie. Dopiero gdy w tzw. „wolne dni" święta Pesach ukazał się w urzędowej gazecie „Krakauer Zeitung" meldunek oficjalny o przesiedleniu wszystkich lubelskich Żydów z Lublina na Majdanek, gdzie utworzone zostały dwa obozy koncentracyjne dla Żydów, oraz gdy nadeszła straszliwa wiadomość o masakrze tysięcy Żydów, wtedy Żydzi tarnowscy, tak, jak Żydzi z całej Generalnej Guberni, zaczęli się zastanawiać nad swoim losem. Do żydowskich serc zakradło się podejrzenie i wątpliwość, czy czasami niemieccy mordercy nie przygotowują tego samego, co uczyniono z Żydami w Lublinie.

To podejrzenie wzmocniło się nowym aktem mordu hitlerowskich wandali. Dnia 24 kwietnia 1942 roku znów zamordowano 56 Żydów, którzy różnymi drogami powrócili ze Lwowa do Tarnowa.

Na podstawie spisu Żydów, którzy otrzymali zezwolenie na powrót ze wschodnich obszarów do Tarnowa, gestapo zestawiło specjalną listę; wśród tych 56 osób zastrzelono Cadyka z Białej, przywódcę Mizrachi (partia syjonistów–ortodoksów) we wschodniej Galicji i na Śląsku dr Hirschfelda, który dnia 1 września 1939 roku powrócił z Kongresu Socjalistycznego w Genewie. Z Białej uciekł on do Przemyśla, a potem gdy Niemcy zagarnęli Galicję wschodnią, powrócił do Tarnowa, aby tu przeżyć wojnę. Ten szlachetny

człowiek, znakomity mówca i oddany działacz partii Mizrachi, był dobrze znany społeczności żydowskiej Tarnowa z tytułu częstych wystąpień w Wielkiej Synagodze podczas świąt państwowych i narodowych. Był również poważnym kandydatem do objęcia urzędu naczelnego rabina w Tarnowie. Dr Hirschfeld, wyciągnięty ze swojego mieszkania przez hitlerowskich morderców, zmarł na progu wskutek ataku serca. Tegoż dnia zginął także Meir Weiss, właściciel hotelu „City", który wraz z żoną został zastrzelony w łóżku. Od kul niemieckich zginął także tegoż poranka Łajbisz Schlesinger wraz z synem oraz Izrael Osterveil. Jedynym ich przewinieniem było to, że powrócili z Galicji wschodniej. Wśród ofiar znalazł się także urzędnik Judenratu Szmulowicz. Został on dlatego zastrzelony, że nie powstał w chwili wejścia gestapowca – mordercy. Za karę został wpisany na listę osób, które powróciły ze wschodu, i zastrzelony w domu obok Judenratu.

W święto Lang Baomer (uroczystość w dniu zwycięstwa bohatera Judei Bar Kochby, przywódcy powstania w latach 132–135 przeciwko cesarzowi Hadrianowi) 1942 r. grupa żołnierzy niemieckich weszła na podwórze Josefa Hudesa na placu targowiskowym i dopytywał się o właściciela. Josef Hudes (wszędzie znany, szanowany mieszkaniec Tarnowa, szlachetny, ortodoksyjny Żyd) był akurat w mieszkaniu i słyszał, jak Niemcy o niego się dopytują. Nałożył więc Tałes (rytualna odzież) i Tefilin (Filakteria), odmówił widni (spowiedź) i wyszedł z mieszkania. Gdy tylko pokazał się na podwórzu, został niezwłocznie zastrzelony przez hitlerowskich morderców. Tegoż dnia pochowano także rabina Josefa Elimelecha Hudesa, niech jego pamięć będzie błogosławiona, obok grobu jego bł. pamięci ojca Pitchajahu Hudesa.

W maju 1942 roku widoczne już były niemieckie przygotowania do akcji zagłady. Na Judenrat nałożono kontrybucję, płatną w ciągu 10 dni, na kwotę pół miliona złotych oraz nakaz dostarczenia mebli do 500 niemieckich mieszkań. Zaniepokojonych Żydów Judenrat uspokoił tym, że powinni zapłacić kontrybucje oraz że Judenrat nic nie wie o jakiejkolwiek planowanej akcji.

Kiedy w końcu maja 1942 roku zaczęły się rozmowy o tym, że wysiedleni mają być tylko biedni, którzy otrzymują wsparcie z „Wohlfartu" (pomoc socjalna), setki Żydów zrezygnowało z pomocy udzielanej przez Judenrat, błagając, aby ich skreślono z listy. Kiedy znów rozeszła się pogłoska, iż wysiedlani mają być ci Żydzi,którzy nie są zatrudnieni przy ciężkich robotach, tarnowscy Żydzi, sprzedali resztki swego mienia, aby dostać się do różnych katolickich przedsiębiorstw, które pracowały na rzecz niemieckiego wojska, ale również do „Cherwa Kadisza" (Bractwo Pogrzebowe) przy Judenracie, do „Służby Porządkowej" (Policja Żydowska) także chciało się dostać wielu tarnowskich Żydów. W końcu maja 1942 roku szef policji żydowskiej w Tarnowie, niejaki Miller, otrzymał zarządzenie dotyczące powiększenia „Służby Porządkowej". Służba w żydowskiej policji miała uchronić przed wysiedleniem nie tylko policjanta, ale również jego żonę i dzieci. Spośród setek wybrał Miller mężczyzn wysokiego wzrostu, którzy odbyli już służbę wojskową.

Żydzi nie rozszyfrowali hitlerowskich planów eksterminacji nawet wtedy, gdy na początku 1942 roku, na podstawie niemieckiego zarządzenia musieli się zarejestrować wszyscy żydowscy mieszkańcy, aby uzyskać w karcie pracy stempel. Tarnowscy Żydzi nie przeczuwali niczego złego i masowo meldowali się w Urzędzie Pracy. Po 10 czerwca 1942 roku gestapowcy przybijali w kartach pracy dwa rodzaje stempli. Jeden stempel miał swastykę, zaś drugi był z literą „K". Bezrobotni i dzieci otrzymywali białe karty. Nikt nie znał właściwego znaczenia tej tajemniczej litery „K". Różnorakie stemple powiększały zamieszanie i nerwowość. Zwiększała się liczba przypuszczeń. Wprawdzie po cichu mówiono już o wysiedleniu, nie wiedziano jednak, czyj los jest pewniejszy: czy tych, którzy na pieczęci mieli swastykę, czy tych z literą „K". Dopiero po zakończeniu rejestracji tajemnica się wyjaśniła: litera „K" oznaczała wysiedlenie, a więc – śmierć. Wprawdzie Żydzi czuli, że coś strasznego wisi w powietrzu, lecz nikt nie był w stanie sobie wyobrazić, że hitlerowscy kaci już zdecydowali o losach Żydostwa tarnowskiego.

Nikomu również nie przyszło na myśl, że cała manipulacja i rejestracja z odciskami pieczątek (stempli) była jedynie formą ułatwiającą Niemcom zagładę tarnowskich Żydów.

Pułapka zastawiona na żydowską ludność była sprytnie pomyślana. Każdy pragnął mieć pieczątkę w swojej karcie pracy, niezależnie jaką. Obawiano się, że karta pracy, za którą drogo zapłacono, nie będzie ważna bez pieczątki, która przecież dotychczas chroniła przed większymi prześladowaniami. Dlatego Żydzi zgłaszali się masowo, tym bardziej, że kilka dni przed rozpoczęciem rejestracji wezwano urzędników Judenratu do gestapo w celu przedłużenia ich kart pracy. Zresztą święcie wierzono, że karta pracy oznacza pewność. Dlatego strach ogarnął tych wszystkich, którzy jako bezrobotni nie mogli uzyskać pieczątki.

Zaczęto się zastanawiać, jak utworzyć nowe warsztaty, aby zatrudnić masy Żydów, którzy zgłosili się do pracy. Wśród tarnowskich Żydów powstał tzw. „Arbeits Gemeinschaften" (Wspólnota Pracy), czyli wspólne przedsiębiorstwa, które skupiały Żydów mogących pracować w danym zawodzie. W ten sposób otwarto różne warsztaty stolarskie, szewskie, krawieckie, czapnicze i inne. Pracowały one dla niemieckiego wojska. W szczególności rozwinął się przemysł konfekcyjny, który odegrał dominującą rolę w przedwojennym Tarnowie. Żydzi rwali się do robót, wierząc, że praca uchroni ich od śmierci. Zresztą jak długo ci fachowcy byli potrzebni Niemcom, oszczędzano ich na tyle, że nie chwytano ich do pracy przymusowej. Dwóch Żydów Icchak Schweber i Chaim Frei (ten ostatni z Bielic) otworzyło w majątku księcia Sanguszki (uciekł do Londynu) fabrykę soków i marmolady z owoców, zbieranych w sadach majątku. Produkty te również szły do armii niemieckiej. W fabryce tej w Gumniskach, otrzymały zatrudnienie setki Żydów, a z dochodów fabryki utworzono Dom Sierot oraz Dom Starców. Ponadto pokrywano częściowo wydatki budżetowe żydowskiego szpitala (do chwili wymordowania wszystkich chorych). Gestapowcy bogacili się przy takich przedsiębiorstwach, ponieważ niezależnie od tego, że pracowano dla armii niemieckiej, trzeba było jeszcze przekupywać gestapo pieniędzmi i towarami.

* * *

Tymczasem tarnowskie gestapo przygotowywało się do masowej rzezi żydowskiej ludności. Gdy 10 czerwca 1942 roku zakończyła się rejestracja, na murach pojawiły się dwa ogłoszenia: jedno, podpisane przez untersturmfuhrera Paltena, obwieszczało, że wkrótce rozpocznie się wysiedlanie żydowskiej ludności z Tarnowa, przy wyłączeniu z niego personelu szpitala oraz tych, którzy posiadają pieczątki. Drugie ogłoszenie, podpisane przez obergruppenfuhrera Schornera,komendanta niemieckiej policji w Krakowie, zawiadamiało polską ludność, że w najbliższym czasie odbędzie się wysiedlanie żydowskiej ludności z Tarnowa, a za ukrywanie Żyda grozi kara śmierci.

Niemieckie obwieszczenia zawiadamiały również, że w dniu 11 czerwca zabronione jest Żydom opuszczanie swoich mieszkań, ale każde żydowskie mieszkanie musi być tego dnia otwarte. Za opuszczenie mieszkania grozi kara śmierci. Z chwilą ukazania się tych ogłoszeń Żydów ogarnął strach, zwłaszcza iż 9 czerwca szerzyła się w mieście pogłoska o otoczeniu Tarnowa przez wojska niemieckie. W czasie tej ogólnej paniki usiłowano ukryć dzieci w pewnym miejscu. Polacy, którym zagrożono śmiercią za ukrywanie Żyda, nie chcieli za żadne pieniądze wziąć do siebie żydowskich dzieci, chociaż zdarzały się przypadki, że polskie służące, które kiedyś służyły w żydowskich domach, zgłaszały się w tym krytycznym momencie do Żydów i zabierały od nich dzieci, celem ich ukrycia (Unger „Zchor" – pamiętaj). Poprzednio wspomniany Eliezer Unger opisuje nastrój paniki, który tej nocy opanował żydowskich mieszkańców Tarnowa:

„Nastrój na żydowskiej ulicy jak w przededniu święta Jom Kipur (Sądny Dzień) podczas modlitwy Kol Nidrej (wszystkie zobowiązania). Żydzi są przygnębieni i przestraszeni. Rodzice biegają, aby pożegnać się ze swoimi dziećmi, ukrytymi na innych ulicach. Żegnają się z płaczem i pocałunkami. Przyjaciele i znajomi przy spotkaniu się na ulicy i pożegnaniach życzą sobie: „do zobaczenia

zdrowym i całym po wysiedleniu". Kobiety szlochają gorzkimi łzami. Nawet bardziej zahartowani mężczyźni, wraz ze swoimi żonami i dziećmi, wybuchają spazmatycznym płaczem. Każde żydowskie serce przepełnione jest strachem, gdyż jutro ma się wydarzyć straszna rzecz. Są tacy, którzy w godzinie trwogi nie chcą się z nikim spotkać twarzą w twarz. Siedzą zamknięci w swoich mieszkaniach i czekają na wyrok milczący i skamieniali. Brakuje słów, by wyrazić panikę owego wieczoru, zwłaszcza u kobiet i strachu u maleńkich dzieci".

Folkman, przewodniczący Judenratu polecił swoim urzędnikom, aby w nocy z 10 na 11 czerwca 1942 roku pozostali w biurze i nie szli do domu. Zarządzenie to można różnie skomentować. Część ludzi uważała, że urzędnicy Judenrate będą oszczędzeni, inni znów byli pewni, że urzędnicy będą pomagać Niemcom w czasie akcji. Tamtej nocy żaden Żyd nie spał. Zastanawiano się co oznacza słowo „Aussiedlung" („wysiedlenie"). Wiedziano, że dotychczas nikt nie powrócił z obozów pracy. Ale to były zesłania tylko pojedynczych osób, aresztowanych osób, ludzi lub podzielnych grup, schwytanych do pracy. Jeśli tak, to co w końcu oznacza z taką dokładnością przeprowadzona rejestracja osób pracujących. Dlaczego też odciśnięto u części osób pieczęć na kartach pracy, podczas gdy innym tego odmówiono? Niepracujący otrzymali zamiast pieczątek białe karty. Ale dlaczego dzieci nie otrzymały pieczątek?

Nie! Nikt nie przypuszczał, że żydowskie dzieci zostały już skazane na straszną śmierć – przez roztrzaskanie ich główek o kamienny bruk lub o ściany domów. A dlaczego dwie różne pieczątki? Gdyby tylko miało to być zwyczajne zesłanie do pracy! Trudno, aby tylko żyć. To była straszna noc. Obawiano się nadejścia poranka. Wielokrotnie uspakajano i pocieszano się słowami pochodzącymi z Judenratu. Wzajemnie pocieszano się i dodawano otuchy. Chętnie słuchano optymistów, którzy oświadczali, że koniec końcem ma się do czynienia z Niemcami, że czymś innym są dzikie wyczyny gestapowców oraz że niemieckie organy władzy nie dopuszczą do czegoś takiego, co by mogło zagrozić życiu całej żydowskiej ludności.

W najczarniejszej fantazji skrajnych pesymistów nie mogła zrodzić się myśl, że wysiedlenie oznacza rzeź, dzikie pastwienie się nad ludźmi starymi i małymi dziećmi, palenie na stosie, w komorach gazowych, że to oznacza masową zagładę. Nie! Tarnowscy Żydzi – tak, jak Żydzi z innych miast – nie przeczuwali, co oznacza przesiedlenie. Dlatego tej nocy czekali na nie, chociaż z drżeniem i ze strachem, ale czekali – i nikomu nie wpadło na myśl, że należy się ukryć lub uciec, aby uratować się przed wysiedleniem.

Wreszcie minęła noc z 10 na 11 czerwca. Wcześnie rano zmobilizowani zostali żydowscy policjanci. Każdy z nich posiadał spis Żydów przeznaczonych do wysiedlenia. Tam, gdzie pokazał się żydowski policjant, padał niezwłocznie rozkaz, aby przygotować sobie 10–kilogramową paczkę i stanąć przy bramie swego domu. Żydzi niezwłocznie wykonywali rozkazy policjantów. Jakaś fatalistyczna siła pchała tarnowskich Żydów do bram z paczką w ręku. Stali i czekali. Jeszcze do ostatniej chwili wierzyli w to, że Judenrat nie przygotowałby listy ludzi do wysiedlenia, gdyby to dla nich było związane z niebezpieczeństwem. Tymczasem żydowscy policjanci nie tracili czasu i popędzali ludzi, chociaż wśród nich byli tacy, którzy zdawali sobie sprawę z ich smutnego losu i gdzie tylko mogli, ostrzegali swoich braci przed tym tragicznym losem. Z paczkami w ręku Żydzi stali przed bramami i cierpliwie czekali do chwili powrotu policjantów, aby wszystkich odprowadzić na Rynek i oddać ich w ręce rozjuszonych gestapowców i ukraińskich faszystów w czarnych mundurach. Zaprowadzeni na Rynek Żydzi musieli, pod gradem uderzeń kolb karabinowych i pejczów, klękać z głowami pochylonymi do ziemi i czekać, aż plac zapełni się tymi wszystkimi, którzy zostali przeznaczeni na rzeź. Nie można słowami oddać tego, co w tym dniu działo się na tarnowskim Rynku. Niemieccy i ukraińscy mordercy w bardziej wyrafinowany sposób męczyli Żydów sprowadzonych na ten plac.

Tego dnia surowo zakazano Żydom samowolnie opuszczać mieszkanie.

Na żydowskim cmentarzu dwudziestu Żydów wykopało dwa długie, szerokie doły dla ofiar zastrzelonych przez niemieckich morderców. Po wykopaniu dołów zastrzelono tych dwudziestu Żydów, którzy wykonali tę pracę. Tymczasem na Rynku było piekło. Klęczących Żydów męczono i bito. Najmłodsze dzieci mordowano bez wystrzału. Gestapowski lub ukraiński wyrzutek społeczeństwa chwytał za nogi niewinne, płaczące dziecko i rozbijał jego główkę o kamienny bruk lub ścianę. Żydowska krew płynęła rynsztokami, które ciągnęły się z Rynku w różne strony miasta. Tej męki nie był w stanie oglądać jeden z najszlachetniejszych tarnowskich Żydów o kryształowym sercu, duma i honor tarnowskiego Żydostwa, Wolf Gotzler, przywódca partii Mizrachi i wieloletni wiceprezes gminy. Los zaoszczędził mu zbytecznych cierpień, ponieważ zmarł po zaprowadzeniu go na Rynek. Wolf Gotzler nie mógł patrzeć na męczarnie i cierpienia Żydów, którym służył przez całe życie, a jego delikatne serce pękło. Cześć jego pamięci! Rynek szybko zapełnił się młodymi i starymi Żydami, kobietami i dziećmi. Aby było miejsce dla nowych ofiar, niemieccy i ukraińscy mordercy odprowadzili jeszcze do południa na żydowski cmentarz kilka tysięcy umęczonych Żydów, aby ich tam wykończyć i wrzucić do wcześniej przygotowanych masowych grobów. Inną grupę Żydów w liczbie 3.500 popędzono z rynku na dworzec towarowy, by ich odwieźć do Bełżca. Ich los był znacznie gorszy. Sama droga do Bełżca była piekłem. Straszny obraz przedstawiała ta kolumna przybitych, zranionych Żydów – mężczyzn, kobiet i dzieci, która posuwała się wzdłuż ulicy Krakowskiej pod konwojem żądnych krwi, ukraińskich faszystów, umundurowanych na czarno.

Leon Leser, który z okna swojego mieszkania obserwował przemarsz Żydów ulicą Krakowską tak opisuje swoje wrażenia przed komisją historyczną:

„...Podczas straszliwego upału niemieccy żołnierze i Ukraińcy pędzili kobiety z dziećmi na rękach, ludzi starych i małe dzieci... Pędzili ich jak stado zwierząt między dwoma kordonami niemieckiej

policji po obu stronach drogi. Policja biła tych, którzy na drodze pozostawali w tyle, a kto nie mógł iść, został zastrzelony. Ciężko było patrzeć na pędzonych i poganianych ludzi. Zauważyłem między innymi właściciela naszego domu, rzeźnika Dawida Friessa, który szedł ze swoim synem i córką. 72–letni starzec szedł powoli nie mogąc nadążyć, nagle dostał cios kijem w głowę. Wydawało się, że upadnie, ale opanował się i pobiegł. Jego syn, który maszerował z protezą po utracie nogi, również nie był w stanie dotrzymać kroku, był bity, a gdy to nie pomogło, został na drodze zastrzelony. Leżał około 50 metrów od naszego okna, po drugiej stronie ulicy. Ojciec z córką musieli iść dalej. Gdy ten cały pochód wszedł na dworzec, został załadowany do bydlęcych wagonów, przy tym nie pozwolono nikomu podać choćby kropli wody. Potem dowiedziano się, że wszystkich odwieziono do Bełżca. Sądziliśmy, że oni pojechali do pracy na wschód i przed rozstaniem każdy prosił, aby niezwłocznie pisali, gdy tylko dotrą na miejsce".

W tym czasie na Rynku ukraińscy mordercy bestialsko znęcali się nad świeżo sprowadzonymi ofiarami. Kamienie brukowe na Rynku były czerwone od krwi żydowskiej. Ten, który nie zginął na Rynku, został zapędzony na cmentarz, aby tam zapełnić masowy grób. Ta pierwsza rzeź trwała do 1 w nocy. Tymczasem Rommelman, tęgi kat i morderca, wraz z Grunowem obchodzili mieszkania wysiedlonych Żydów, przeszukiwał szafy, walizki i skrytki, zabierając dla siebie wszystko to, co miało większą wartość. Robotę tę ten wyrzutek społeczeństwa przeplatał strzelaniem do przechodzących Żydów, którzy nie mogli wylegitymować się pieczątką. Strzelał wszędzie, w mieszkaniach, na ulicy, na podwórzu. Platformy bractwa pogrzebowego odwoziły ofiary na cmentarz.

W 1942 roku Rommelman został przeniesiony z Krakowa do Tarnowa, gdzie przydzielono go do policji kryminalnej (Kripo).

Przekazano mu jednocześnie nadzór nad majątkiem Żydów wysiedlonych z Tarnowa i okolic. Ten sadysta i morderca kierował w tarnowskim gestapo referatem ds. żydowskich, a później zajmował się likwidacją getta w Tarnowie. Dnia 24 marca 1948 roku Sąd

Okręgowy w Tarnowie skazał tego ludobójcę na śmierć. W uzasadnieniu wyroku stwierdzono, że był on jednym z najkrwawszych katów gestapowskich w mieście.

Po godzinie pierwszej tego dnia Rynek był już pusty. Ale rozjuszonej, niemieckiej bestii za mało było jeszcze krwi żydowskiej.

Wspomniany już Eliezer Unger podaje w swojej książce „Zchor" (Pamiętaj), że: „po południu jeden z wielkich bandytów gestapowskich zatelefonował do Judenratu (który tego dnia musiał być otwarty bez przerwy) i powiedział, że brakuje mu jeszcze kilkuset Żydów, aby uzupełnić listę ofiar. Gestapowiec zażądał od Judenratu spisu Żydów, których jeszcze nie odprowadzono. Przy telefonie siedział jeden z głównych członków Judenratu, Paul Reis, uchodźca z Niemiec, uczciwy, prostolinijny człowiek. Reiss odpowiedział gestapowcom, że nie wyznaczy żadnego Żyda do wysiedlenia i że nie dostarczy żadnej listy. Wtedy gestapowiec zażądał, aby zaczekał na niego w biurze i odłożył słuchawkę. Reiss nie opuścił biura Judenratu i zaczekał na mordercę. Po upływie pół godziny, samochód podjechał pod dom Judenratu. Dwóch morderców wysiadło z auta, weszło do biura i wypędziło stamtąd wszystkich urzędników, wśród nich Paula Reissa, Pinchasa Tricznera, Chaima Troma, Hirsza Edera i Meira Rozenbauma, wiernych synów żydowskiego narodu, którzy w najtrudniejszych warunkach chcieli pomóc swoim braciom.

Cześć ich pamięci!"

To, co się stało w lokalu Judenratu, było dopiero początkiem. Rzeź przeniosła się jednocześnie do wszystkich domów, gdzie mieszkali jeszcze Żydzi. Mordercy gestapowscy wypędzali Żydów na podwórza, gdzie zostały przeprowadzone natychmiastowe egzekucje. M.in. wpadli do mieszkania Josefa Silbersteina, właściciela fabryki kapeluszy i zastrzelili całą rodzinę. W ich domu wykryto bunkier, w którym ukrywało się 50 osób. Ich wszystkich wyciągnięto z ukrycia na podwórze. Karabin maszynowy zakończył ich życie. Żydowska krew znów płynęła jak rzeka. W jednym tylko domu, należącym do miejskich bloków, obok remizy tramwajowej, zastrze-

lono 100 Żydów. W szkole im. Czackiego spędzono większą liczbę żydowskich dzieci, pod pretekstem przeprowadzenia dezynfekcji. Gdy sale szkolne zapełnione już były dziećmi, szczelnie je zamknięto i wpuszczono gorącą parę centralnego ogrzewania. Duszone dzieci rozpaczliwie krzyczały. Jednego dnia w ten sposób zginęło kilkaset dzieci. Dopiero zapadająca noc przerwała tę straszliwą rzeź. Hitlerowskie wyrzutki społeczeństwa odpoczywały po przeprowadzonym pogromie. Krwawi mordercy urządzili tej nocy zabawę w sali „Sokoła", którego dom został przekształcony w niemiecki Dom Ludowy. Jeszcze na tydzień przed zabawą Judenrat musiał dostarczyć 100 butelek wódki i większą ilość czekolady. Judenrat musiał także zakupić dla morderców kwiaty, a dla ich żon perfumy i wodę kolońską.

W żydowskich mieszkaniach panowała cisza, koszmar, ponieważ większość mieszkańców znajdowała się bądź w masowych grobach na cmentarzu, bądź w drodze do Bełżca. Cisza panowała również w tych mieszkaniach, w których jeszcze przebywali żywi Żydzi. Dusił ich ból, w oczach pełno łez, ciężko było nawet krzykiem lub słowem wypowiedzieć to wielkie nieszczęście.

W poniedziałek 15 czerwca akcję kontynuowano. Tym razem wyciągała Żydów z mieszkań na czarno umundurowana milicja ukraińska oraz gestapowcy. Widocznie nie chcieli więcej polegać na „Służbie Porządkowej". Sami mordercy biegali po żydowskich mieszkaniach i poszukiwali tych, którzy nie posiadali karty z pieczątką.

Teraz poszli na zagładę nie tylko ci, którzy się znaleźli na przygotowanych spisach, ale również ci, ale również ci, którym nie udało się uzyskać pieczątki. Znów spędzono tysiące Żydów na Rynek, znów rozstrzelani i zabici. Tym razem zastosowano nowy sposób wprowadzania w błąd żydowskiej ludności. Na rynku przeprowadzono selekcję. Zdolnych do pracy pozostawiono na miejscu, a niezdolnych do pracy, wszystkich starych ludzi i dzieci, wywieziono samochodami poza miasto do skrzyszowskich lasów i Zbylitowskiej Góry, gdzie wszystkich zastrzelono. Nie pomogły płacze

i prośby, nie pomogły przysięgi, że jest się zdrowym i zdolnym do pracy. O życiu lub śmierci decydował przypadek, ruch palca. Były przypadki, że matki odpychały swoje małe dzieci, aby się nie zdradzić, iż są matkami. Dzieciaki te nie wiedziały, dlaczego ich matki odpychały je od siebie i dlatego jeszcze bardziej tuliły się do nich, jeszcze silniej czepiały się ich sukien. Były także matki, które w żaden sposób nie chciały rozstawać się ze swoimi dziećmi i razem z nimi szły na śmierć. Byli mężowie i żony, którzy nie chcieli się rozdzielić jedno od drugiego, razem szli na wysiedlenie, aby dzielić wspólny los, zginąć razem.

Drugiego dnia akcji znów zginęło parę tysięcy Żydów. We wtorek i w środę było cicho. Część Żydów pozostała przy życiu, bądź dzięki przypadkowi, bądź też dzięki karcie pracy z pieczątką. Było jednak wielu Żydów, których tym razem ominęła śmierć dzięki dobrze wybudowanym i zamaskowanym bunkrom. Tym razem znaleźli się bardziej ostrożni i zdeterminowani Żydzi. Zaczęto budować różne kryjówki w piwnicach, na strychach i w mieszkaniach, które pośpiesznie zamurowano maskującymi ścianami.

Były bunkry, w których w ogromnej ciasnocie i zaduchu ukrywało się jednocześnie 200 Żydów. W ciągu kilku dni nikt nie wypowiedział słowa w takim ukryciu, aby nie zdradzić się wobec niemieckich morderców lub polskich sąsiadów. Również żydowscy donosiciele informowali Niemców o odkrytych przez nich kryjówkach.

Widocznie hitlerowcy – mordercy jeszcze nie dokonali zabójstwa całego kontyngentu ofiar, wyznaczonego na pierwszą akcję. We czwartek, osiemnastego czerwca znów rozpoczęła się rzeź. Okrucieństwo niemieckich morderców nie znało granic. W szczególnie dziki sposób pastwiono się nad dziećmi i ludźmi starymi. Nie oszczędzano nawet ludzi posiadających karty pracy z pieczątkami. Młodzi i starzy, zdolni i niezdolni do pracy zostali wyciągnięci ze swoich mieszkań. Okrutny Rommelman w dniu tym wpadł w szał. Tylko z jego ręki zginęło kilkuset Żydów. Platformy Bractwa Pogrzebowego były przez cały dzień w ruchu. Z uwagi na to, że masowe groby na żydowskim cmentarzu były już wypełnione po brzegi,

pędzono starców i dzieci do Zbylitowskiej Góry pod Tarnowem, gdzie oddziały polskiego „Baudienstu" (Służby Budowlanej) musiały, pod nadzorem esesmanów, kopać groby dla żydowskich trupów. Długo się nie namyślano. Jeden strzał musiał wystarczyć. Kata hitlerowskiego nie obchodziło, czy ofiara została uśmiercona pierwszym strzałem. Dla każdego kula i natychmiast do masowego grobu. Hitlerowskie bestie w większości przypadków oszczędzały kule dla dzieci i i wrzucały żywcem do dołu. Okoliczni chłopi później opowiadali, że spod ziemi słyszano ludzkie jęki. Tegoż dni znów odjechały pociągi do obozu zagłady w Bełżcu i do innych fabryk śmierci.

W ciągu następnych dni podliczono na żydowskim cmentarzu zwłoki zamordowanych Żydów. Około 10.000 trupów zakopano w pierwszych dniach akcji w masowych grobach na żydowskim cmentarzu, w Zbylitowskiej Górze i w lasach skrzyszowskich. Dalsze 10.000 Żydów wywieziono do Bełżca i innych obozów zagłady, 20.000 tarnowskich Żydów zostało uśmierconych 11, 15 i 18 czerwca 1942 roku w najbardziej okrutny sposób. Liczba ta została potwierdzona w wyroku Najwyższego Trybunału Narodowego w Krakowie dnia 5 września 1946 roku wydanym na ludobójcę Amona Leopolda Goetha. Na podstawie dochodzeń śledczych oraz zeznań świadków Trybunał stwierdził, że:

„Z chwilą wprowadzenia w Tarnowie getta, 1942 roku, znajdowało się tam około 40.000 osób. W dniach 11–18 czerwca 1942 r. w samym Tarnowie zabito 3.000 osób, które pochowano na żydowskim cmentarzu. Około 7.000 osób zastrzelono w Zbylitowskiej Górze lub w lesie skrzyszowskim. Dalsze 10.000 wysłano głównie do Bełżca, skąd nikt już nie powrócił. Tak więc z 40.000 Żydów pozostało po akcji około 20.000".

* * *

W taki sposób zakończył się krwawy czwartek. Masowe groby na żydowskim cmentarzu, w Zbylitowskiej Górze i w skrzyszowskim lesie zostały zapełnione męczennikami, a w bydlęcych wagonach tarnowscy Żydzi konali podczas swojej ostatniej drogi do Bełżca. W osieroconych żydowskich domach niemieccy mordercy zabrali bardziej wartościowe rzeczy, pozostawiając dla polskiego zbiegowiska pozostałe żydowskie rzeczy. W zasadzie cały pozostawiony przez wymordowanych i wywiezionych Żydów majątek został skonfiskowany na rzecz niemieckiego skarbu państwa i w hitlerowskiej nomenklaturze został określony jako „Judengut" („majętność pożydowska"). Żydowskie mienie gestapowcy wysyłali do swoich rodzin w Niemczech. Bardziej wartościowe rzeczy po zamordowanych i wywiezionych Żydach gromadzono najpierw w Judenracie, a stamtąd wywożono do niemieckiego magazynu, który znajdował się na kapłanówce. Tam wywożono różne żydowskie meble.

Po akcji wysiedleńczej pozostałych Żydów opanowało dziwne uczucie podejrzliwości. Ci, którzy się uratowali, patrzyli na siebie z nieufnością. Mimo że nikt nie wypowiedział nawet jednego słowa, to w oczach każdego odbijało się nieme pytanie: „Ty żyjesz?" Jak to się stało? Oni sami się dziwili, że pozostali przy życiu. Jak osaczone zwierzęta, biegnące z miejsca na miejsce, już po odejściu prześladowców, nie będąc pewni, czy nie grozi im niebezpieczeństwo – tak tarnowscy Żydzi, którzy pozostali żywi po okrutnej rzezi, ostrożnie i nieufnie opuścili swoje nory, kryjówki i mieszkania, z drżeniem i strachem oglądali się na wszystkie strony, czy nie czyha na nich niemiecki morderca. Dziwna rzecz – w żydowskiej dzielnicy w Tarnowie pozostało wtedy około 20.000 Żydów, ale tylko nieliczni z nich myśleli o ucieczce, o wyrwaniu się z pułapki. Było jasne, że Niemcy wydali wyrok śmierci na Żydów w Polsce. Po pierwszej akcji czerwcowej, która została przeprowadzona we wszystkich większych miastach w Polsce, trudno było zachować jeszcze jakąkolwiek iluzję co do prawdziwych planów hitlerowców wobec żydowskiej ludności. Zresztą Niemcy dbali już

o to, aby Żydzi nie mieli czasu na zastanawianie się. Nie wyschły jeszcze łzy, nie odszukały się jeszcze rozdzielone i zaginione rodziny, a już nazajutrz po wysiedleniu, w piątek 19 czerwca 1942 roku ukazało się na miejskich murach zarządzenie komisarza miasta, Gustawa Hackbartha o utworzeniu w Tarnowie zamkniętego getta dla Żydów. Od tego dnia nie tylko gestapo zajmowało się mordowaniem Żydów. Wszystkie wysiedlenia, konfiskaty żydowskiego majątku, łapanki i masowe egzekucje, zostały usankcjonowane przez administracyjne zarządzenia władzy okupacyjnej.

Aby całkowicie osaczyć ludność żydowską, odizolować ją od jakiegokolwiek kontaktu z zewnętrznym światem, kaci niemieccy wprowadzili getto, dawno znany środek sprzed setek lat, który Germanie stosowali wobec Żydów w Niemczech. Dawniej, w XVI wieku, istniały w Pradze, Frankfurcie czy Wormacji ciasne, przepełnione getta, które nie były w stanie pomieścić wszystkich Żydów danej miejscowości. W ciasnocie i w brudzie żydowskie rodziny mieszkały w wąskich uliczkach, do których prowadziły kręcone schody lub drabiny. W pokoikach podobnych do stajni mieszkały całe rodziny wraz z dziećmi i wnukami. Niemieckie getta otoczone były murami i jedna lub kilka bram łączyły getto z miastem. Bramy żydowskiej dzielnicy były strzeżone przez miejską straż, która zamykała je na noc, w święta żydowskie i chrześcijańskie oraz w soboty i niedziele. Ale w tych odosobnionych żydowskich gettach rozwijało się osobliwe żydowskie życie, a to przecież miało miejsce w czasach odległego już średniowiecza.

Hitlerowskie getta dwudziestego wieku zamieniły się w więzienia, do których wtłoczono dziesiątki i setki tysięcy Żydów w jednym jedynym celu: aby zniszczyć ich fizycznie. Jeżeli z dawnych gett przejęto pewne urządzenia, które miały nieco złagodzić Żydom ich koszmarny los, działo się to po to, aby uśpić ich czujność i wprowadzić ich w błąd. Oszustwem były te wszystkie urządzenia i zarządzenia o rzekomym przekształceniu getta w jakieś „żydowskie republiki", z własnym rządem – „Judenratem" i własną policją – „Służbą Porządkową", własną pocztą, własnym „terytorium" i – jak np. w Łodzi – z własną walutą.

Hitlerowskie getta były zamkniętymi więzieniami, do których wypędzono Żydów zamęczonych i wycieńczonych na śmierć. Tylko w tym celu zostały utworzone getta.

Tylko nieliczne domy zostały przydzielone do getta w Tarnowie. Na podstawie zarządzenia starosty Heckbartha, 20.000 Żydów, w tym również neofici, musiało się przeprowadzić w ciągu 48 godzin do getta, które obejmowało zaledwie kilka uliczek: plac „Pod Dębem", lewą stronę Bramy Pilzneńskiej oraz lewą stronę ulicy Lwowskiej. Bramy domów zostały zamknięte. Wyjścia poprowadzono w taki sposób w getcie, że w tylnych murach domów przy ulicy Lwowskiej 2 i 4 przebito przejście na podwórze domu nr 6, z wyjściem z tego domu, stąd znów można się było dostać do domów przy ulicy Lwowskiej nr 10, 12, 14 i 16, dzięki przebitym przejściom do tylnych murów tych domów, które łączyły się jeden z drugim.

Z domu przy ulicy Lwowskiej 16 granica getta przebiegała przez uliczki: Zamkniętą, Szpitalną (dom Wietuma), do Jasnej przez ulicę Polną, prawą stroną ulicy Goldhammera, Drukarską, Nową do Folwarcznej. Ten mały teren został ogrodzony drutem kolczastym.

Jeszcze dziś można poznać cały teren getta. Po opuszczenia Tarnowa przez Niemców, wszystkie domy byłego getta zostały gruntownie spenetrowane przez Polaków, którzy szukali ukrytych tam żydowskich skarbów. Jedynie ruiny i szkielety domów pozostały z budynków, w których mieszkali Żydzi w czasie okupacji.

Do getta prowadziły 4 bramy: 2 na placu Wolności, 1 na Folwarcznej ulicy przy Judenracie, a czwarta brama na placu „Pod Dębem", obok restauracji Apla. Przy bramach zewnętrznych stały posterunki wartownicze osadzone przez funkcjonariuszy „granatowej policji", zaś od strony wewnętrznej straż przy bramach pełnili żydowscy policjanci. Władzę w samym getcie sprawował SS–Oberscharführer Blache, pan życia i śmierci mieszkańców getta. Mieszk-

kał przy ulicy Lwowskiej nr 24. Getto bardzo szybko przekształciło się w miejsce męczarni nie tylko dla tarnowskich Żydów, ale także dla Żydów z okolicznych miasteczek, wpędzonych do tego ograniczonego terenu mieszkalnego. W akcie oskarżenia przeciwko ludobójcy Amonowi Goethowi, mówi się m.in.: „na terenie dystryktu (okręgu) krakowskiego najpierw utworzono getta w wielu większych i mniejszych miastach, spośród których najbardziej znane były getta w Krakowie i Tarnowie, oba zostały krwawo zlikwidowane przez oskarżonego Goetha".

Około 20.000 Żydów nocowało w tym więzieniu po kilkadziesiąt osób w jednym pokoju w najstraszliwszych niehigienicznych i antysanitarnych warunkach.

Niemcy zezwolili na utworzenie dla Żydów nie tylko własnego Judenratu i własnej żydowskiej policji. W getcie tarnowskim została przez Judenrat zorganizowana specjalna poczta, oczywiście za zgodą władz niemieckich. Pocztą kierowała pani Bronisława Perlberg. Na listach naklejano niemieckie znaczki z nadrukiem „Jüdische Post" („żydowska poczta"). Po trzecim wysiedleniu pocztę zlikwidowano. Notabene służyła ona dla korespondencji jedynie między Żydami. Jakikolwiek pisemny kontakt z ludnością nieżydowską był surowo zabroniony. Za otrzymanie listu od Polaków spoza getta groziło rozstrzelanie. Z tego powodu zginęła Mania Korn, żona adw. Dawida Lenkowicza, członka rady gminy i przywódcy Poalej Syjon – lewicy (Żydowska Partia Robotnicza) w Tarnowie, za korespondencję z Polakami.

Z tego samego powodu zginął także młody doktor Lustig i panna Organd.

Część Żydów musiała być zatrudniona przy pracy przymusowej. Poza gettem istniały różne placówki robocze, dokąd każdego poranka, pod strażą żydowskich bądź polskich policjantów, udawali się mieszkańcy getta do pracy. Byli również tacy, którzy posiadali indywidualne przepustki uprawniające do wychodzenia poza getto bez straży. Ci, którzy nie mieli pracy bądź nie mogli już pracować, żyli ze sprzedaży swoich rzeczy. Oddawali te rzeczy Żydom, którzy

udawali się do pracy poza gettem i w zamian za to otrzymywali żywność. Ci zaś, którzy nie mieli niczego na sprzedaż, żyli w ciągłej nędzy. Także Polacy przemycali żywność do getta, co związane było z dużym niebezpieczeństwem.

Dobrze się powodziło w getcie członkom Judenratu i ich sługusom. Indywidua te pławiły się w dobrobycie i przy każdej okazji nakładały nowe podatki na mieszkańców getta. Część pieniędzy wpływała do kasy niemieckich katów, a część wydawano na bankiety i zabawy, które niektórzy członkowie Judenratu urządzali noc po nocy dla siebie i swoich „dam". Oni nie przejmowali się zbytnio tym, co zaszło w getcie. Hitlerowskie wyrzutki społeczeństwa, Rommelman i Grunow, nie siedzieli tymczasem bezczynnie, oni strzelali, mordowali, rabowali. Biada temu, który nie stawił się do pracy. Zamiast upomnienia – kula w łeb od tylu. Dzieci komendanta getta, Blache, ćwiczyły się w „sztuce" strzelania do pojedynczych Żydów.

W getcie znajdowały się również szlachetne osoby, pełne poświęcenia, które w tej tragicznej, ciężkiej sytuacji zaczęły organizować pomoc dla biednych i głodnych. Ludzi cierpiących głód było wielu. Ci, dawniej najbardziej poważani obywatele, bogaci kupcy i przedsiębiorcy, adwokaci i lekarze, po prostu żebrali, błagając o kawałek chleba.

Oprócz Domu Sierot, który po pierwszym wysiedleniu został przeniesiony do getta, zorganizowano jeszcze cztery kuchnie ludowe, które wydawały kilka tysięcy obiadów dziennie. Przy Judenracie czynny był wydział opieki socjalnej, którym kierowali dawni działacze społeczni. Oni wykazywali dużo inicjatywy i zaangażowania, aby wydobyć z Judenratu jak najwięcej funduszy na udzielanie pomocy ludności cierpiącej biedę.

W getcie było również czynne Chewra Kadisza (Bractwo Pogrzebowe). Pracowało ono ofiarnie. Nie bacząc na masy zabitych, Chewa Kadisza pragnęła przestrzegać żydowskich przepisów religijnych podczas chowania zabitych. Chewra Kadisza była wydziałem przy Judenracie, a praca w niej zaliczana była do ciężkiej.

Gdy tarnowscy Żydzi zaczęli wierzyć, że poprzez pracę można uratować życie, setki Żydów pukało do drzwi urzędu pracy, prosząc o pracę kierownika, Jehoszua Stuba. Przed pierwszą akcją wysiedleńczą, gestapo zwiększyło liczbę robotników w Bractwie Pogrzebowym do pięćdziesięciu osób. Pracy tej poświęcili się: Wolf Weksler, który pochodził ze starej, ortodoksyjnej rodziny; Hochhauser, synowie Abe Wiecznera, Chaim Kupferman (obecnie rabin w jednym z miast Ameryki Północnej). Byli oni zawsze w pogotowiu, pracowali dzień i noc. Nie było dnia bez żydowskich ofiar.

O nadludzkiej pracy jednego z członków Bractwa Pogrzebowego opowiada we wspomnianej już książce „Zchor" Eliezer Unger (syn Rabi Jisraela Josefa Ungera b.p.), obecnie kierownik Urzędu Emigracyjnego w Paryżu, w oparciu o własne przeżycia w tarnowskim getcie:

„W Beit Hamidraszu (Dom Nauki i Modlitwy) mojego ojca Judenrat umieścił kilku uciekinierów i wysiedlonych, głównie ludzi starych i niezamożnych. Wśród nich znalazł się niejaki Jechiel Meierał, skromny, pobożny starzec, który zajmował się uprzątaniem zwłok.

Z uwagi na to, że ich liczba podczas ostatniej wiosny, znacznie się zwiększyła z powodu epidemii tyfusu oraz złego wyżywienia, nie łatwo było staruszkowi spełnić swój obowiązek. Po pierwsze, poruszanie się starego Żyda na ulicy pociągało za sobą niebezpieczeństwo dla życia. Po drugie, jako członek Bractwa Pogrzebowego był wielokrotnie wzywany do budynku gestapo, na którego podwórzu często rozstrzeliwano Żydów, których zwłoki musiał potem uprzątać. Pozostali członkowie Bractwa Pogrzebowego bali się pójść na podwórze siedziby gestapo. Starzec, Jechiel Meierł, jak tylko się dowiedział, że na podwórzu gestapo znajdują się zwłoki męczennika, biegł tam natychmiast, aby go godnie pochować, zgodnie z żydowskim rytuałem. W dniach, w których groziło największe niebezpieczeństwo, gdy bestie gestapowskie Rommelman, von Moltke i Grunow przychodzili do getta po nowe ofiary, tenże starzec, nie czując lęku, biegał do kuchni dla biednych, aby zanieść swemu

choremu sąsiadowi łyżkę strawy, bądź trudnił się spełnianiem swojego obowiązku wobec zastrzelonych Żydów. Nieraz wracał z pogrzebów okaleczony i zalany krwią. Często podły morderca przystawiał mu rewolwer do piersi, ale on się nie bał i nie uchylał się od czynienia dobra. W nocy studiował, przy świetle lampki naftowej, „Zohar" i kabałę, a za dnia uprzątał zwłoki. Pewnego poranka dowiedział się, że na jednym z podwórzy przy ulicy Goldhammera leżał zastrzelony Żyd. Tego człowieka oskarżyła jego służąca twierdząc, że jest bolszewikiem oraz iż niedawno powrócił z terenów okupowanych przez władze radzieckie. Wszyscy sąsiedzi ostrzegali starca, aby nie szedł tam, gdzie leży ofiara, gdyż nie wiadomo, czy Niemcy już stamtąd odeszli. Ale on trzymał się swojej zasady „uprzątanie zwłok – to jedno z najświętszych przykazań". Udał się na miejsce zbrodni i zaczął zajmować się zmarłym. Morderca Rommelman poznał go z daleka. Starzec upadł zastrzelony na martwe ciało poprzedniej ofiary."

* * *

Nie wszyscy jednak mieszkańcy tarnowskiego getta biernie poddawali się swemu tragicznemu losowi. U części młodzieży, wychowanej w przedwojennych młodzieżowych organizacjach, narastało pragnienie stawienia oporu tyranom. Niezwłocznie po pierwszej akcji wysiedleńczej kilku młodych członków organizacji Haszomer Hazair (młody harcerz) wystąpiło z taką myślą. Najbardziej aktywnymi w tej sprawie byli: Josek Bruder z Haszomer Hazair, żydowski policjant Szmulik Springer oraz komunista Melech Bienenstock. Grupa zaopatrzyła się w broń i nawiązała kontakt z polskim podziemiem. Zaplanowano utworzenie Żydowskiej Organizacji Bojowej na wzór Warszawy. O planach kilkudziesięciu żydowskich młodzieńców z Tarnowa, którzy przygotowywali się do walki z wrogiem i podnieśli sztandar powstania przeciwko niemieckim katom, piszemy bardziej wyczerpująco w innym miejscu. Ci wszyscy młodzi ludzie byli przejęci duchem bojowym, który znalazł swój

wyraz podczas dalszych wysiedleń z tarnowskiego getta. Były to jednak słabe, spontaniczne akcje. 20.000 Żydów, stłoczonych w getcie, cierpliwie pracowało dla Niemców, głodując i cierpiąc.

Tymczasem Rommelman. Asch i Grunow przygotowywali się do nowej rzezi tarnowskich Żydów. Robili to chytrze, w tajemnicy, mimo że nie przestali zamęczać i zabijać pojedynczych Żydów. Gdy po pierwszym wysiedleniu 8 Żydów powróciło z obozu w Pustkowie jako niezdolni do pracy, Rommelman osobiście ich zastrzelił na podwórzu Judenratu.

Minęły trzy miesiące od momentu pierwszego, czerwcowego wysiedlenia w 1942 roku. Krwawe rany pierwszej fali morderstw ledwo zaczęły się goić, nie wygasły jeszcze łzy z powodu śmierci najbliższych, gdy nagle zarządzona została nowa rejestracja pierwszego dnia święta Rosz Ha – Szana (Nowy Rok) w dniu 11 września 1942 r. Żydowscy policjanci odbierali karty pracy, tłumacząc, że w Judenracie zostaną na nie nałożone nowe pieczęcie. Nikt już wtedy nie wątpił, że jest to zapowiedź nowej akcji wysiedleńczej, nowej krwawej łaźni. W getcie wrzało jak w mrowisku. W pieczątce ponownie widziano ratunek. Pieczątka miała uchronić od kuli, od mąk, masowych grobów, od Bełżca, o którym już wszyscy wiedzieli, że stamtąd nie ma powrotu. Walczono o kartę pracy z nową pieczęcią, o zdobycie przeklętego amuletu umożliwiającego życie, chociażby w nędzy, w getcie – ale jednak życie. To również oznaczało przetrwanie wojny i doczekanie lepszego jutra.

Gdy pojawiły się trudności uzyskania pieczęci w Judenracie, znalazły się inne wyjścia. Zaopatrywano się w pieczęć podrobioną przez uczciwego żydowskiego rzemieślnika, Raba. Nie zważając na grożące niebezpieczeństwo, stemplował za minimalną opłatą karty pracy pieczęcią własnej produkcji. Byli tacy, którzy mieli spore środki pieniężne, bądź wartościowe rzeczy. Ci płacili wielkie sumy gestapowcom za pieczątki.

Ci, którzy nie potrafili uzyskać pieczątek lub w ogóle nie posiadali kart pracy, ukrywali się w piwnicach, na strychach i w bunkrach. Istniały w getcie bunkry, które mogły pomieścić sto, a nawet

dwieście ludzi (np. w domu Mundelbauma), zaopatrzone w światło, wodę i żywność na kilka dni. Wieczorem tegoż dnia część mieszkańców getta, pozbawiona pieczątek i kart pracy, zamknęła się w kryjówkach i bunkrach, aby z zapartym tchem przeczekać drugie wysiedlenie. Ci, którzy posiadali karty pracy i pieczątki dla całej rodziny, czekali z drżeniem serca na to, co przyniesie dzień jutrzejszy.

Był to krwawy czwartek – 12 września 1942 roku. Wczesnym rankiem getto zostało otoczone przez gestapowców i policjantów (z policji granatowej). Z mieszkań zaczęto wypędzać wszystkich Żydów z żonami i dziećmi, zarówno tych, którzy posiadali karty pracy z pieczątkami, jak i tych, którzy ich nie posiadali. Wszystkich zapędzono na plac Magdeburski („Plac Wolności"), gdzie znajdował się dworzec autobusowy. Kazano im klękać z głowami pochylonymi ku ziemi. Ten duży plac nie zapełnił się zbyt szybko. Kiedy kaci niemieccy zauważyli, że jest za mało Żydów, zaapelowali do najniższych instynktów nieszczęśników: zażądali od nich, aby wskazali im bunkry i kryjówki. Za ten podły czyn obiecali mężom zwrot ich żon i dzieci, które klęczały w innej części placu. Niestety byli tacy, którzy dali się namówić i za cenę uratowania się ujawnili Niemcom bunkry, gdzie ukrywało się po sto i więcej osób. Pokazano miejsce wielkiej kryjówki przy ulicy Szpitalnej i w domu Mandelbauma, gdzie ukryło się dwustu Żydów.

Wśród nieszczęśników wypędzonych z bunkra znalazł się także Rabi Mendel Łajb Grunstein, szanowany tarnowski obywatel, niezwykle religijny, który jednak miał zrozumienie dla zadań owych czasów i nie utrudniał swoim dzieciom aktywnego udziału w ruchu syjonistycznym. Rabi Mendel Łajb Grunstein miał trzech synów: znany syjonistyczny działacz, dr Jicchak Grunstein (Szamir), od II wojny światowej przewodniczący organizacji syjonistycznej w Bielsku – Białej (Śląsk), a w pierwszym okresie istnienia państwa Izraela kierowałmisją handlową w Polsce, Chaim oraz Mosze Grunsteinowie oraz dwie córki: Gołda i Małka, wszyscy oni żyją obecnie w Izraelu. Rabi Mendel Łajb Grunstein został wyciągnięty z bunkra i wysłany do Bełżca, gdzie zginął za świętą wiarę. Cześć jego pamięci!

Na Placu Wolności nastąpiła selekcja. Ci, którzy posiadali karty pracy z pieczątką, zostali ustawieni w innym miejscu. Ci, którzy nie posiadali takich kart, musieli klękać w osobnym miejscu. Do tej grupy odesłano również tych, którzy posiadali karty pracy z pieczątkami, ale były przy nich dzieci. Gdy zebrało się około 3.000 Żydów bez kart pracy, względnie osoby nie mogące się rozstać z dziećmi, niezwłocznie odesłano ich transportem kolejowym do Bełżca.

Niemieckim katom za duża wydawała się grupa Żydów posiadających karty pracy. Postanowili zmniejszyć ich liczbę i szybko to wykonali. Rozkazali posiadaczom kart pracy przemaszerować. Każdego dziesiątego wyciągali z szeregu, przy czym musieli oni zawędrować na inne miejsce, gdzie znajdowali się ludzie już skazani na śmierć. Dziewiętnastoletni Mosze Alban, wychowanek organizacji Hanoar Hacyjoni (hebr. Młodzież Syjonistyczna) nie potrafili się zmusić do klękania przed niemieckimi mordercami. Gdy niemiecki żołnierz uderzył go kolbą karabinu w głowę, Alban zareagował na to jak dumny Żyd, który potrafi umrzeć z godnością. Spoliczkował Niemca, napluł mu w twarz i zakrzyknął: „teraz zastrzel mnie bandyto, teraz masz za co!". Młody Mosze Alban zginął na miejscu od niemieckiej kuli.

Ludzi starych odprowadzano od razu z „Placu Wolności" na cmentarz. Tam rozebrano do naga, zastrzelono pod murem i rzucono do przygotowanych dołów. Polacy z „Baudiensztu" przetrząsnęli odzież zamordowanych, pod czujnym okiem gestapowców, poszukujących „Judengut".

W tym czasie, gdy posiadacze kart pracy z pieczątką pozostali na placu, wysłano drugą grupę Żydów, klęczącą w innym miejscu, do szkoły im. Czackiego, w której znajdowały się magazyny ze zrabowanymi Żydom rzeczami. W szkole tej przygotowano drugi transport Żydów do wysiedlenia. W piątek 13 września około 3.500 Żydów szło ulicą Krakowską do dworca kolejowego. Znowu wysłano tarnowskich Żydów do obozu zagłady w Bełżcu. Po raz ostatni szli ulicami miasta, gdzie się urodzili, wychowali i pracowali. Zmęczone, znużone postacie były popędzane przez hitlerowskich katów. Szli na męczeńską śmierć. Wśród tych nieszczęśliwych Żydów znajdowała się Rywka Silberpfenig (z Rappaportów). Jak opowiadają Żydzi tarnowscy, którzy ocaleli, szła ona w tym śmiertelnym marszu z podniesioną głową, nie lamentowała i nie płakała. Także Gołda Mozł, której postać wyróżniała się wśród tego pędzonego tłumu, trzymała się godnie i z odwagą. Gestapo, policja niemiecka, policja granatowa i Judenrat – oni wszyscy należycie wykonywali swoje zadania podczas drugiej akcji. Gdy kontyngent skazanych na śmierć Żydów nie był pełny, kaci niemieccy zaczęli szukać kryjówek, które w wielu przypadkach ujawniali Żydzi. Ci słabeusze załamali się w ostatniej chwili, uwierzywszy niemieckim obiecankom, że za wydanie dwudziestu Żydów powrócą do nich żony i dzieci. Ci pozbawieni skrupułów i godności Żydzi zginęli później z tych samych morderczych rąk.

Przez całą noc specjalnie wytresowane psy, prowadzone przez gestapowców, uganiały się w poszukiwaniu kryjówek, w których znajdowały się kobiety i dzieci, młodzież i starzy ludzie. Biedne żydowskie dzieci! Oderwane od rodziców, nie płakały i o nic nie pytały.

Dzieciaki natychmiast zrozumiały, co oznaczają strach i rozpacz na twarzach ich ojców i matek. Jedno słowo „uciekaj" wystarczało im, by zorientowały się w sytuacji. Ukryły się w piwnicach, na strychach, w dołach i skrzyniach, gdzie się tylko dało. Ciche, skulone, czekały z biciem serca na moment, kiedy niemiecka bestia się uspokoi. Czekały na próżno. Trudno się było ukryć przed niemieckimi mordercami i ich zdziczałymi psami. Kto zresztą jest w stanie opisać piekło żydowskich dzieci i ich rodziców, którzy nie byli w stanie im pomóc i szli razem z nimi na śmierć?! Okrutny był moment, gdy rodzice, ojciec lub matka, musieli w jednej chwili rozstrzygać: pozostać przy życiu, ale bez dziecka skazanego na śmierć lub dzielić los dziecka. To nie była duchowa rozterka ani wewnętrzna walka. To była decyzja, która mieści się poza ludzką świadomością i tkwi w głębi duszy człowieka.

Trudno jest określić, co decydowało w tym momencie – wszyscy rodzice kochali przecież swoje dzieci.

Zaistniał przypadek, gdy niemieccy bandyci zabrali kuśnierzowi, Tulkowi Facgerowi, jego jedyne dziecko, a jego samego odprowadzili do grupy przydatnych do pracy. On jednak długo się nie namyślał i powiedział gestapowskiemu mordercy: „tylko z dzieckiem mnie zastrzelisz!" Niemiec natychmiast zastrzelił kuśnierza wraz z żoną i dzieckiem.

Leon Leser poszukiwał owej nocy swojego siedmioletniego bratanka, którego ojciec został za dnia wyciągnięty z bunkra. Leser opowiedział przedstawicielom Żydowskiej Komisji Historycznej swoje przeżycia z owej nocy:

„Obszedłem niemal całe getto i nie znalazłem dziecka. Wreszcie wszedłem do domu, w którym znajdował się magiel i zacząłem wołać. Po kilkakrotnym powtarzaniu dziecko wypełzło spod magla, gdyż poznało mój głos i powiedziało: „wujek"; dziecko to wraz z trojgiem innych dzieci leżało tam od 11 rano do 2 w nocy. Zebrałem te dzieci i odprowadziłem do ich matek zgromadzonych na Placu Wolności. Tam się dowiedziałem o świetnie zakonspirowanym bunkrze, który znajdował się na otwartym placu pod ziemią i dotychczas nie został zdekonspirowany. Odprowadziłem tam dzieci i powróciłem na Plac Wolności z myślą, że one pozostały w pewnym miejscu. Nazajutrz rano pozwolono pozostałym pójść do domu, tamtych zaś (ze szkoły im. Czackiego) wywieziono...

Nasze okno wychodziło na plac, gdzie znajdował się bunkier, w którym schowane były dzieci. Chciałem pójść po nie i zabrać do domu, ale ich ojciec poradził im czekać jeszcze pół godziny. Nie upłynęło nawet 5 minut, gdy zobaczyliśmy trzech gestapowców z żydowskim policjantem i psem, jak szli w kierunku bunkra. Widocznie ktoś go wskazał. Ojciec dzieci był pewien, że go nie znajdą, ponieważ był dobrze zamaskowany, ale Niemcy szli bardzo pewnie. Stałem wraz z moją szwagierką i ojcem tych dzieci Symchą Temerem i czekałem w ogromnym napięciu. Za chwilę gestapowcy opuścili bunkier, za nimi stary Żyd wraz z dzieckiem mojego brata,

potem pozostali Żydzi – około dwudziestu osób. Niemcy kazali dziecku klękać z głową pochyloną do ziemi. Matki dzieci same zgłosiły się i oddały w ręce gestapo. Kazano im odejść, widząc u nich karty pracy, ale matki nie chciały opuścić swoich dzieci.

Moja szwagierka, zauważywszy dziecko, wyszła i oddała się w ręce gestapo. Kazali jej klęknąć. Jeden z gestapowców otworzył walizkę i kazał oddać wszystkie wartościowe przedmioty i pieniądze, grożąc śmiercią. W obliczu śmiertelnego strachu tych matek Niemcy nie zapomnieli o złocie, pragnąc skazanym na zagładę zrabować, co się tylko dało. Niemiec Schroder, po oddaniu przez ludzi wszystkiego, zaczął ich rewidować, czy czegoś nie schowali. Pani Terner, matka dzieci, musiała się rozebrać do naga i w jej koszuli znalazł coś, co było zaszyte. Gestapowiec kazał jej przejść na stronę, chcąc ją zastrzelić. Ona chwytając go za rękę błagała, aby jej nie zabijał mówiąc, że o tym zapomniała, ale Niemiec krzyczał, żeby się odwróciła. Gdy to nie pomogło, strzelił jej w twarz, a gdy upadła, wpakował jej jeszcze kilka kul. Jej dziesięcioletnia córeczka widząc, co się stało, zakrzyknęła, podniosła główkę, wtedy morderca podbiegł do dziecka, uderzył je kijem w głowę, zabijając dziewczynkę na miejscu. Ja to wszystko widziałem z mojego okna, 3 – 4 metry od owego miejsca. Nasze dziecko klęczało skulone, tuląc główkę do ziemi i nie wydając nawet westchnienia. Potem kazano ludziom wstać, zabrano im wartościowe rzeczy i odprowadzono na Plac Wolności, do pozostałych skazańców".

Dwa dni trwało drugie wysiedlenie. Około 7.000 tarnowskich Żydów wypełniło potem komory gazowe obozu zagłady w Bełżcu. Setki Żydów i żydowskich dzieci pochowano w masowych grobach na żydowskim cmentarzu. Oczywiście gestapo, polska policja i Judenrat należycie wypełnili swoje zadanie...

* * *

Po drugim wysiedleniu, gdy w tarnowskim getcie pozostało tylko 12.000 Żydów, Niemcy dalej czynili swoje diabelskie przygoto-

wania zmierzające do zagłady pozostałych przy życiu. Przygotowywali się systematycznie, planowo i w wielkiej tajemnicy.

To było widoczne z każdego niemieckiego zarządzenia, wydanego dla getta. Stopniowo zaciągano sznur dookoła szyi wycieńczonej żydowskiej ludności, osłabionej fizycznie i duchowo.

Z wyjątkiem nielicznych osób wstrzymano wydawanie przepustek poza getto. Od tej chwili mieszkańcy getta musieli maszerować do pracy grupami, pod strażą. W ten sposób znacznie utrudniono wychodzenie z getta. Posterunki wartownicze polskiej policji „granatowej" zostały wokół getta wzmocnione. Zaczęto zwracać większą uwagę na żydowską policję, która pilnowała getta od wewnątrz. Okazało się, że nawet Niemcy przestali im ufać. Obecnie nie było już konieczne noszenie oznak na ramieniu, które każdy Żyd musiał nosić, zostały zastąpione innymi oznakami. Dla Niemców istniała obecnie tylko jedna miara do oceny: czy niewolnik getta jest pożyteczny dla niemieckiej machiny wojennej. Oznaczało to, że ten niewolnik ma prawo do życia. Prawo to posiadali tylko ci Żydzi, którzy byli zatrudnieni w przedsiębiorstwach pracujacych na rzecz niemieckiego przemysłu wojennego. Selekcja była obecnie wyraźna. Już nikt nie miał złudzeń; bez karty pracy było się zgubionym. W getcie ludzie ulegali iluzji, że karta pracy oznacza los na loterii, wygraną do życia. W to niemal każdy wierzył.

Zresztą Niemcy robili wszystko, aby wywołać wrażenie, że ci, którzy pracują, będą uratowani. Wydano wtedy nowe opaski z napisem R.W.Z. (Rüstung – uzbrojenie, Wehrmacht – armia hitlerowska, Zivilbetrieb – przedsiębiorstwo cywilne). Ten kto nosił taką oznakę był pewny, że pracuje na rzecz ważnego celu, że jest zabezpieczony przed dalszymi antyżydowskimi akcjami.

Żydzi ci wierzyli, żyli iluzjami i cierpliwie pracowali w niemieckich przedsiębiorstwach.

A inni? Liczba miejsc pracy była przecież ograniczona. W tarnowskim getcie znajdowało się obecnie 15.000 Żydów, ponieważ kilka tysięcy Żydów przybyło z okolicznych miasteczek, w których zlikwidowane zostały tamtejsze getta, a ci, co przeżyli, zostali wpę-

dzeni do tarnowskiego getta. Żydzi, którzy nie pracowali, wiedzieli co im grozi. Nieżydowskie środowisko zachowywało postawę obojętną, czasami nawet wrogą wobec cierpiących Żydów. Ale również tu były małe wyjątki: kilku Polaków umożliwiło Żydom ukrywanie się w bunkrach.

Były wypadki ucieczek z getta. Na taki krok mogli sobie pozwolić tylko ci, którzy posiadali środki niezbędne do zorganizowania ucieczek, zresztą bardzo ryzykownych i niebezpiecznych, które w większości przypadków kończyły się zagładą całej rodziny uciekiniera. Uciekano do Bochni, skąd była droga na Węgry. Kilku żydowskim rodzinom udało się uciec tą drogą i uratować swoje życie.

Większym powodzeniem cieszyły się ucieczki na aryjskich papierach, które nie były związane z większą sumą pieniężną. Kupowano metryki chrztu i kenkarty – dowody osobiste w okresie okupacji niemieckiej w Polsce. Z uwagi na to, że uzyskanie takich kenkart było związane z dużymi trudnościami i niebezpieczeństwem, zaczęto je podrabiać.

W owym czasie znajdowała się w tarnowskim getcie wspomniana już grupa członków organizacji Haszomer Hazair (Młody Harcerz), która niezwłocznie po pierwszej akcji wysiedleńczej przystąpiła do zorganizowania ruchu oporu i nawiązała kontakt z polskim podziemiem. Na początku działalność tych chłopców ograniczała się do udzielania pomocy tym, którzy zdecydowali się na opuszczenie getta i na ucieczkę do Polski lub na Węgry. Jeden z organizatorów tej grupy (obecnie w Izraelu) Josef Birken opisuje udział członków wspomnianej organizacji młodzieżowej w podziemnym ruchu tarnowskiego getta („Mosty", kwiecień 1947 r., Łódź). W jego mieszkaniu, w którym zbierali się zaufani towarzysze, jego siostra Franka (obecnie w Polsce) do późnych godzin nocnych „fabrykowała" w języku łacińskim metryki (świadectwa) chrztu. Nie bacząc na tragiczną sytuację, pisze on: „śmieliśmy się niejednokrotnie podczas wyszukiwania imion i nazwisk rodziców, akuszerek, księży itp. Łacińskie pieczęcie parafii Czchów i Lipnica Murowana dostarczał Josek Bruder".

Z ucieczek na aryjskich papierach mogli korzystać tylko ci, którzy posiadali „dobry wygląd" i dobrą polską mowę. Żydowski wygląd twarzy i złe opanowanie języka polskiego mogło zdradzić ukrywającego się. A kto w ogóle chciał w owych czasach ukrywać Żyda lub udzielać mu pomocy? Bywały jednak sporadyczne wypadki, w których Polacy okazywali wiele serca i zrozumienia dla tragicznego losu Żydów i przychodzili im z pomocą. Dzięki temu uratowało się kilku członków rodziny Postrongów i Landsmanów. Ukrywali się oni u Polaka Banka na strychu jego domu. Kolejarz z Mościc uratował żydowską rodzinę Betriebnisów. Podobnie dzięki pomocy polskiej rodziny przechowała się w bunkrze rodzina Mullera. Zaistniały również wypadki ukrywania przez chłopów żydowskich rodzin, które uciekły z getta.

Jak już wspomniałem, były to wypadki sporadyczne. Ogół Żydów czuł się osaczony. Chcąc uratować życie, zaczęto budować bunkry i kryjówki. Powstały różne kryjówki, często w głębokich piwnicach i na otwartych placach. W niektórych z nich było nawet światło elektryczne. Przygotowywano żywność na dłuższy okres. Ci, którym nie przydzielono żadnej pracy i nie posiadali kart roboczych, gotowi byli skryć się pod ziemią w czasie akcji wysiedleńczej, oczekiwanej przez wszystkich ze strachem.

W getcie rosła nędza. Sprzymierzeńcami Niemców stały się teraz głód i choroby. Żydowski szpital był przepełniony. Dr Eugeniusz Schipper nie mógł sobie poradzić z nadmiarem chorych. Zamożniejsi Żydzi już wszystko wysprzedali, pozostając całkowicie bez środków do życia. Ci, którzy mieli gdzieś ukryte swoje oszczędności bądź wartościowe rzeczy, nie mieli do nich dostępu. Zostali bez środków do życia i błagali o kawałek chleba. Również z zapasami żywności w getcie było coraz gorzej. Getto musiało samo w nielegalny sposób zaopatrywać się w żywność, kto miał bowiem zadbać o wyżywienie mieszkańców, jeśli nie oni sami? Członkowie Judenratu mieli swoją świetnie zaopatrzoną restaurację przy ulicy Lwowskiej 4, z której mieli prawo korzystać gestapowcy i ich sługusi.

W kuchniach ludowych przy Judenracie wydawano wodniste zupy, ponieważ przydziały żywnościowe dla nich były znikome, a większość obywateli getta musiała sama zadbać o swoje wyżywienie. Jak długo w getcie mogły mieszkać zarówno osoby pracujące, jak i nie pracujące, było to jeszcze możliwe, ponieważ ci, którzy wychodzili do pracy poza getto mogli przynieść, wprawdzie z dużymi trudnościami i ryzykiem, niektóre artykuły żywnościowe kupione za ciężkie pieniądze. Obecnie cały ten problem był utrudniony i skomplikował się, gdyż kaci Grunow i Rommelman, gdy dowiedzieli się o przemycie żywności, wzmocnili straż u bram getta i zarządzili przeprowadzanie ostrych rewizji osobistych u tych, którzy wracali z pracy. Znalezioną podczas rewizji żywność konfiskowano, a w czasie jednej takiej rewizji morderca Grunow zastrzelił żonę fryzjera Biegeleisena (mieszkał przy ulicy Goldhammera) za przyniesienie żywności do getta.

* * *

W takiej sytuacji ludność getta, wygłodzona i udręczona, oczekiwała dalszej akcji. Szukano różnych sposobów ukrycia się i ucieczki z tego osobliwego więzienia. Możliwości takie były jednak bardzo ograniczone. Tylko mała grupka młodych Szomrów (harcerzy), która od dłuższego czasu przygotowywała się do zbrojnego oporu, postanowiła drogo sprzedać swoje życie. Wspomniany Josef Birken opowiada o próbach zorganizowania oporu w getcie tarnowskim:

„Po pierwszym wysiedleniu w Tarnowie Josek Bruder udał się do Lwowa, gdzie urządził na aryjskich papierach rodzinę swojej żony. W obawie przed zmobilizowaniem (wcieleniem) go do armii na terenie byłego dystryktu (Okręgu) „Galizien" powrócił do tarnowskiego getta wraz ze swoją żoną Gizą Gross, również członkinią organizacji młodzieżowej „Haszomer Hazair" („młody harcerz"). W tym czasie kilku członków tej organizacji zaczęło organizować centrum oporu, do którego należeli, oprócz Joska Brudera z żoną:

Schussler ze swoją siostrą, Jechalskiel Krieger, Kubeza Kuperwasser i szereg innych osób. Wśród nich wyróżniał się członek Służby Porządkowej (policjant) Szmulik Springer, pseudonim „Siedemnastka" oraz komunista Melech Bienenstok. Kierownictwo tej grupy spoczywało w rękach Joska Brudera. Jako były przewodniczący organizacji, do której należeli J. Bruder i R. Schussler oraz jako były członek Rady Głównej we Lwowie, korzystałem z zaufania całej grupy, chociaż organizacyjnie byłem z nią luźno związany w początkowym okresie, będąc w kontakcie z grupami polskimi. Po drugim wysiedleniu (wrzesień 1942) nasza współpraca stała się ściślejsza. Odniosłem wrażenie, że ci chłopcy tracą kontakty, mając określone trudności w nawiązaniu łączności z grupą krakowską, zdani na własne siły – szukali bliższego oparcia. Ma się rozumieć, że najważniejszym zadaniem było zdobycie broni. Udało nam się uzyskać cztery pistolety. Policjant Szmulik Springer (zastrzelony przez gestapowca za przepuszczanie przez bramę getta osoby nieuprawnionej) wyprowadzał zazwyczaj jednego z nas pod konwojem z getta, a po uzyskaniu broni wprowadzał z powrotem do getta. Pragnąc mieć ułatwiony kontakt ze stroną aryjską, postarałem się o przydzielenie mnie do pracy przymusowej na rampie w Mościcach. Tam otrzymałem od polskich przyjaciół biuletyny radiowe oraz informację o planach Niemców dotyczących terminów wysiedleń itp. Po powrocie z pracy, chłopcy schodzili się w swoim mieszkaniu".

Wspomnieliśmy już poprzednio, że w tym mieszkaniu produkowano świadectwa chrztu w celu uzyskania aryjskich papierów. Inni z tej grupy zajmowali się bezpośrednimi akcjami poza Tarnowem.

„W owym czasie – pisze dalej Josef Birken w swoich wspomnieniach – odszedł z naszej grupy Jechaskiel Krieger, który za wszelką ceną pragnął przejść do akcji bezpośredniej. Jechalskiel wyjechał na wschód i na szlaku Przemyśl–Lwów–Stryj likwidował Niemców. M.in. zastrzelił dwóch żandarmów w Przemyślu, w pobliżu dworca kolejowego. Podczas strzelaniny w Samborze zginął, po zlikwidowaniu w szeregu akcji kilkudziesięciu Niemców".

* * *

Tymczasem mordercy hitlerowscy przygotowywali się do planowanej akcji. Kilka dni przed 15 listopada 1942 roku ukazało się ogłoszenie, że Żydzi ukrywający się we wsiach i miasteczkach mogą, bez obaw o ukaranie, powrócić do określonych miast pod warunkiem, że będą mogli mieszkać tylko w zamkniętych dzielnicach, tzn. w gettach. Do tych miast zaliczono również Tarnów. Była to zwyczajna, podła pułapka, zastawiona na nieszczęśliwych Żydów, którzy również tym razem uwierzyli obietnicom i w dużych ilościach opuścili swe kryjówki we wsiach i miasteczkach, by dobrowolnie dać się zamknąć w żydowskim więzieniu, którego nazwa brzmiała: getto.

W dniu 15 listopada 1942 roku, gdy wszyscy pracujący udali się na swoje miejsce pracy, całe getto zostało otoczone przez „granatową" (polską) policję, a grupa gestapowców wtargnęła do getta. Rozpoczęła się straszliwa łapanka ludzi. Ci, którzy nie zdążyli się ukryć, natychmiast wpadali w ręce morderców. Schwytanych Żydów odesłano na dworzec kolejowy, gdzie przygotowywano nowy transport do Bełżca. Z uwagi na to, że duża ilość nie pracujących mieszkańców getta skryła się w bunkrach i piwnicach, zabrakło Niemcom Żydów do kontyngentu przeznaczonego na rzeź. Z tej przyczyny kaci gestapowscy udali się na niektóre placówki robocze, zabrali stamtąd robotników i niezwłocznie wypędzili ich na dworzec. Zlikwidowano wtedy część stanowisk roboczych, na pozostałych przeprowadzono selekcję. Owego dnia wywieziono do Bełżca 2.500 Żydów. Tarnowskie getto znów zmniejszyło się o tę liczbę ludzi, którzy zginęli śmiercią męczeńską w fabryce śmierci w Bełżcu.

Trzecia akcja wysiedleńcza była skierowana głównie przeciwko osobom nie pracującym, ludziom w starszym wieku i dzieciom. Również i tym razem nie udało się niemieckim katom całkowicie zlikwidować dzieci, starców i nie pracujących. Małej ich grupie udało się chwilowo uratować dzięki nie wykrytym bunkrom. Część

Żydów urządziła się na aryjskich papierach, a byli również tacy, którym udało się uciec z transportu kolejowego do Bełżca. Niektórzy z nich powrócili do tarnowskiego getta, do pozostawionych tam krewnych, którzy ścigani i prześladowani, nigdzie nie mogli znaleźć miejsca schronienia. To prawda, w getcie mieli dach nad głową – ale na jak długo?

Komendant getta Blache, satrapa w stopniu oberscharfuhrera, dbał stale o to, aby te 10.00 Żydów, którzy pozostali w tarnowskim getcie, nie miało ani jednej spokojnej chwili. Jego córka, zwierze w ludzkiej postaci, chwaliło się, że „sam Fuhrer podarował jej tatusiowi 800 Żydów". Nazajutrz po trzeciej akcji Blache wydał rozkaz podzielenia getta na dwie części: getto „A" i getto „B". W pierwszej części zamknięto wszystkich starców, chorych, dzieci oraz tych, którzy nie mieli stałego miejsca pracy. W getcie „B" musieli zamieszkać wszyscy pracujący. Kto tylko mógł rwał się do pracy. Znów pojawiły się iluzje, że praca może uratować od śmierci. W samym getcie utworzono nowe miejsca pracy, aby się dostać do betta „B".

Obie części getta zostały oddzielone ogrodzeniem. Przejście z jednego getta do drugiego było surowo wzbronione. Cel tego zarządzenia był zrozumiały. Nikt już nie wątpił w to, że ci z getta „A" są już skazani na zagładę i jeśli nie zginął z głodu, to prędzej czy później zostaną wywiezieni do Bełżca lub innego obozu zagłady. I rzeczywiście – w getcie „A" zapanował straszliwy głód. Tylko dzięki po kryjomu świadczonej pomocy z getta „B" mogło być prowadzone dożywianie. W getcie „B" istniała kuchnia utrzymywana przez samych pracujących. Oddawali oni tam jedną trzecią przydziałów żywnościowych, otrzymywanych jako osoby pracujące. Ponieważ kuchnia ta znajdowała się na pograniczu obu gett, istniała możliwość wydania pewnej liczby obiadów nieszczęśnikom z getta „A". Ponadto w getcie „B" znajdowali się niezwykle szlachetni i ofiarni Żydzi, jak np. Henryk Hollander, Wolf Weksler, Israel Glotzner i inni, którzy udzielali pomocy głodującym dzięki zebranym środkom pieniężnym u lepiej sytuowanych Żydów, pracujących na rzecz swych braci z sąsiedniego getta.

Liczba Żydów getcie tarnowskim wzrosła na skutek przywiezienia z getta nowosądeckiego Żydów pozostałych po jego likwidacji w końcu 1942 roku. Wszystkie getta w okolicy Tarnowa zostały również zlikwidowane, a resztki Żydów sprowadzono do Tarnowa.

W ciągu kilku następnych miesięcy nie było masowych akcji. Pierwsza połowa 1943 roku minęła bez większych akcji wysiedleńczych. Nie było w prawdzie masowych mordów, ale także nie było dnia bez jakiejś natychmiastowej egzekucji pojedynczych osób. Wystarczył jakikolwiek pretekst, rzekome drobne przewinienie, aby dostać kulę w tył głowy. Pewnego razu Rommelman sprawdzał, czy do getta dla pracujących nie dostały się dzieci bądź starcy z getta „A". Spotkał tam cztery kobiety nie pracujące: Landmanową, Mullerową, Jakubowiczową i Żeliborską (ta ostatnia pochodziła z Włocławka). Ten krwawy kat zastrzelił wszystkie cztery kobiety. Biada temu, który nie stawił się na placówkę roboczą. Jedyną możliwą karą w tym momencie było natychmiastowe zastrzelenie.

Do takich pojedynczych egzekucji, rabunków i grabieży Żydzi w Tarnowie już się przyzwyczaili. Gdyby jedynie na tym się skończyło. Wszyscy drżeli tylko na myśl o nowym wysiedleniu. Ze strachem i z ciężkim złamanym sercem szli Żydzi do pracy, modląc się cicho i tłumiąc łzy, gdyż płakać i modlić się również nie było wolno.

Tylko grupa młodych członków organizacji „Haszomer Hazair" („Młody Harcerz") nie poddawała się i przygotowywała się do zemsty, do stawienia oporu. Gromadzili oni broń zakupioną za pieniądze, które w getcie dawali zaufani ludzie. Do tej grupy należeli: Szmulik Springer, Rywek Schussler i Moniek Eksterman. Dojrzała nawet myśl, aby w getcie zorganizować żydowskie podziemie z własną organizacją bojową. Do grupy młodzieńców, którzy chcieli się zmierzyć z krwiożerczym wrogiem, należeli także bracia Strausowie, którzy podczas kolejnego wysiedlenia w październiku 1943 roku uciekli z getta, ale w drodze zginęli oraz Szamek Szmidt, który po trzecim wysiedleniu legitymował się omyłkowo aryjską kenkartą, jaką miał przy sobie i został na miejscu zastrzelony przez Niemca.

O wyczynach grupy Szomrowej w tarnowskim getcie pisze poprzednio wspomniany Josef Birken w „Mostach" (nr 4 z grudnia 1947, Łódź):

„Na razie grupa Szomrowa w getcie konsolidowała się. Jako oficer rezerwy szkoliłem tych młodzieńców w posługiwaniu się bronią i jej konserwacją. W grudniu 1942 roku zdekonspirowany w miejscu pracy i poszukiwany przez gestapo, opuściłem getto. Po stronie aryjskiej, dzięki łączniczce Katarzynie H. i Joskowi Kochowi, utrzymywałem stały kontakt z grupą. W tymże czasie otrzymałem list od Joska Grubera, w którym poinformował mnie, że otrzymał 3 kilogramy „makaronu", co oznaczało pistolety, zakupione u włoskich żołnierzy. We wrześniu 1943 roku dowiedziawszy się, że „granatowa" policja otrzymała rozkaz koncentracji na terenie miasta, zaalarmowałem grupę. W liście do młodzieńców prosiłem ich, aby nie tracili równowagi umysłowej w momencie decydującym, i nie dali się rozproszyć. Według planu miałem w ciągu pięciu wieczorów czekać na nich w umówionym miejscu, aby razem podjąć próbę przedostania się na Węgry. Nadszedł dzień likwidacji tarnowskiego getta. Na umówione miejsce nikt nie przyszedł. W trzecim dniu akcji otrzymałem, dzięki pomocy łączniczki, liścik od Melecha B. o takiej – w przybliżeniu – treści: „jesteśmy rozdzieleni, Giza z dzieckiem żyją, ja się znajduję u znajomego w mieście. Ratuj". Natychmiast połączyłem się z Motkiem Kurzem, współpracownikiem R.P.Ż. (Rada Pomocy Żydom) w Krakowie, który nazajutrz przybył z „papierami" po Melecha, ale nie znalazł go w kryjówce. Od gospodarza (właściciela) kryjówki dowiedział się, że Melech udał się na wieś, aby się ukryć (gdzie zresztą zginął). O grupie dowiedziałem się dopiero później, po kilku tygodniach, że przeczekała akcję i po tygodniu udała się do lasu i tam chłopcy zginęli.".

Już po wyzwoleniu – opowiada J. Birken – spotkałem K. Kupferwassera, jedynego członka grupy, który przeżył. On mi opowiadał o tarnowskiej grupie Szmurowej. Pod dowództwem Joska Brudera chłopcy opuścili getto i udali się w kierunku granicy węgierskiej. W trzecim dniu grupa oddaliła się od Tarnowa zaledwie o 20

kilometrów na południe od miasta i znalazła się w lesie pod Tuchowem. Wieczorem ustawiono w lesie namiot i z braku czujności zapalono ognisko, jak w dawnych, dobrych czasach, śpiewano pieśni do późna w nocy. Potem wszyscy poszli spać, pozostawiając na straży młodego chłopca. Ponieważ zaczęło padać, pełniący straż schował się w namiocie i prawdopodobnie zasnął. Z rana grupa została znienacka otoczona przez odział SS, który bez wahania otworzył ogień na namiot. Wszyscy chłopcy zginęli, z wyjątkiem trzech, którzy z użyciem broni wyrwali się z otoczenia SS–owców. Dwaj z nich, ranni, dotarli aż pod Tarnów, gdzie ostrzeliwując się i raniąc kilku Niemców, zginęli. Jedynie Kupferwasserowi udało się powrócić do tarnowskiego getta. Grupa została zdradzona przez strażnika leśnego, który powiadomił Niemców, że w lesie przebywają żydowscy partyzanci".

W takich okolicznościach zginęli młodzi Szomrowie (skauci, harcerze) z Tarnowa. Dumni i odważni młodzieńcy, uzbrojeni tylko w rewolwery, chcieli porwać za sobą tarnowskie getto do nierównej walki z uzbrojonym i znienawidzonym wrogiem. Ich hasłem było: nie dać się prowadzić jak stado owiec na rzeź i przed śmiercią zabić jak najwięcej Niemców. Za wcześnie spotkała ich ostatnia akcja wysiedleńcza. Nie byli jeszcze na tyle uzbrojeni, aby podjąć jakąkolwiek otwartą walkę. Ale nawet wówczas, gdy wyrwali się z otoczonego getta i ustawili namiot w lesie, nie myśleli o grożącym im niebezpieczeństwie. Pijani odzyskaną wolnością śpiewali w nocy szomrowe pieśni. Nie zginęli uduszeni w bydlęcych wagonach, nie zostali zastrzeleni przez gestapo na ulicy i nie zostali spaleni w krematoriach. Przed zaśnięciem śpiewali szomrowe pieśni nie przeczuwając, że jest to ich ostatni śpiew. A ci trzej młodzieńcy, którzy się wyrwali z otoczenia SS–owców, nie błagali o darowanie życia, lecz do ostatniego tchu strzelali do Niemców, raniąc ich i zginęli jak prawdziwi bohaterowie. Cześć i chwała poległym tarnowskim bojownikom żydowskim!

* * *

W getcie nędza stawała się coraz większa, za chleb oddawano walutę i kosztowności, mimo że tych, co je posiadali było coraz mniej. Ludzie pracujący pomagali, w miarę możliwości głodującym w getcie „A". Henryk Hollander, Wolf Waksler i Jisrael Glotzner i jeszcze kilku Żydów nadal zajmowali się udzielaniem pomocy najbiedniejszym. Na święto Pesach (Wielkanoc) 1943 roku osoby pracujące otrzymały przydziały kartofli i buraków, oddając je w całości owym trzem Żydom, którzy trudzili się w pomaganiu innym. Niestety, możliwości udzielania pomocy były bardzo ograniczone. Ci nieliczni, którzy jeszcze nie zrezygnowali z działania i nie pogrążyli się w rozpaczy, próbując ratować w getcie co się tylko dało, również popadali w zwątpienie i bezsilność, z powodu beznadziejnego położenia, utrudniającego zdobycie chociażby minimalnych środków na udzielanie pomocy. To była ciężka praca, bowiem każdego dnia zwiększała się liczba cierpiących głód. Żydzi stłoczeni w getcie zdawali sobie sprawę z tego, że są skazani na najgorsze, że czekają w kolejce na wrzucenie do masowych grobów. Nic dziwnego, że pod wpływem tak silnej depresji psychicznej było wiele wypadków aktów samobójczych. Zdarzały się one wcześniej, podczas drugiej akcji wysiedleńczej. M.in. odebrała sobie wtedy życie pani Antonina Edelstein, cicha i szlachetna działaczka społeczna, która na przestrzeni wielu lat była aktywna w filantropijnym stowarzyszeniu „Bejs Lechem" (Dom Chleba) – stowarzyszenie to zaopatrywało w sposób dyskretny zubożałych Żydów w artykuły żywnościowe. Również jej córka, dr Berta Edelstein popełniła samobójstwo.

Podczas trzeciej akcji wysiedleńczej odebrały sobie życie: pani Grun, aktywna działaczka WIZO (Women International Zionist Organisation – Międzynarodowa Syjonistyczna Organizacja Kobiet) – pani Schiff, która nie mogła się pogodzić z zamordowaniem jej męża jeszcze podczas pierwszego wysiedlenia. Ci, którzy już nie mieli siły, ani możliwości przeżycia, popełnili samobójstwo. A takich było wielu...

* * *

W połowie sierpnia 1943 roku przybył do Tarnowa krwawy oprawca Amon Goeth, Hauptsturmfuhrer SS. Poruczono mu przeprowadzenie likwidacji getta w Tarnowie, Bochni, Przemyślu i Rzeszowie. Pojawienie się tego kara w getcie było zapowiedzią nowej rzezi, nowego wysiedlenia, chociaż na początku nie można się było zorientować, jaką właściwie rolę ma odegrać Amon Goeth, ten wysoki, tęgi morderca, zwykle spacerował po getcie. Prawdopodobnie opracowywał sobie dokładny plan, w jaki sposób zlikwidować getto przy pomocy na czarno umundurowanych Ukraińców, łotewskich faszystów, SS–owców i innych łotrów, których nie brakowało w samym Tarnowie.

W getcie powstała wrzawa, zamieszanie. Rozpoczęto pospiesznie budować bunkry, przy czym każde ukryte miejsce wykorzystywano na kryjówkę – na strychach, w piwnicach i kominach. Z drżeniem oczekiwano nadchodzącej burzy. Ale krwiożerczy Goeth nie zdradzał swoich planów. Tym razem zniszczenie getta miało być całkowite i ostateczne. Dlaczego usiłował wprowadzić ludzi w błąd, uspokajając rozpowszechnianiem wieści, że Żydzi zostaną tylko przewiezieni do obozu pracy. W taki to sposób pragnął zdobyć zaufanie Żydów dla swoich zamiarów, aby mógł łatwiej przeprowadzić krwawą akcję. Kat ten przygotowywał się do rzezi planowo, systematycznie i dbał o to, by nikt z getta nie mógł się uratować.

W czwartek, 2 września 1943 roku wczesnym rankiem, niemieckie wojsko i łotewscy faszyści otoczyli getto i ustawili dookoła broń maszynową. Usunięto ogrodzenie, które podzieliło getto na dwie części „A" i „B". Żydowscy policjanci wchodzili do żydowskich mieszkań zawiadamiając, że wszyscy Żydzi zostaną przewiezieni do obozu w Płaszowie, dlatego należy zapakować najważniejsze rzeczy i przygotować się do wyjazdu. Odważniejsi mieszkańcy getta udali się na Plac Magdeburski, gdzie znajdowała się komenda żydowskiej policji, aby uzyskać więcej szczegółów. Około siódmej rano na plac przyjechał sam Amon Goeth. Tym razem oka-

zał się przystępny i uprzejmy, pozwalając Żydom, którzy zebrali się wokół niego zadawać pytania dotyczące miejscowości, dokąd mają być przewiezieni. Wszystkim odpowiadał w tonie uspokajającym, że pojadą do płaszowskiego obozu i że powinni zabrać z sobą wszystkie wartościowe rzeczy, zwłaszcza odzież i kosztowności, albowiem to się przyda w obozie. Goerh był nie tylko katem i mordercą, ale jednocześnie zwyczajnym oszustem i złodziejem, który w gettach przywłaszczał sobie wartościowe przedmioty. Z tego powodu został we wrześniu 1944 roku aresztowany przez gestapo, gdyż ze zrabowanym żydowskim mieniem nie dzielił się należycie z innymi niemieckimi mordercami. Teraz stał na terenie tarnowskiego getta i namawiał swoje ofiary do zabrania kosztowności i wartościowych rzeczy, gdyż chciał nie tylko mordować, ale również po nich dziedziczyć.

Nie pracujący Żydzi z getta „A" postanowili tym razem w zdecydowanej większości nie dać się oszukać. Ukryli się pod ziemią, gdzie się tylko dało. Była to ich jedyna nadzieja, chwilowe chociaż uratowanie życia. Ci nie pracujący ludzie nie ufali zapewnieniom Goetha. Masowo ukryli się we wcześniej przygotowanych bunkrach. Kto nie posiadał przygotowanej kryjówki, znikał w miejskich kanałach.

Okazało się, że mimo wszystko Niemcy obawiali się oporu. Tegoż dnia zebrano na Placu Magdeburskim ponad 10.000 Żydów, niemal wszystkich mieszkańców tarnowskiego getta. Wedle relacji niejakiego Berk Figa, który występował w charakterze świadka w procesie przeciwko Amonowi Goethowi, Plac Wolności był wtedy umocniony i obstawiony artylerią i bronią maszynową. Niemcy i Łotysze byli uzbrojeni po zęby.

Jako pierwsza pomaszerowała na Plac Wolności grupa robotników fizycznych, zatrudnionych w Mościcach, a potem inne grupy z firm: Ostbahn, Madritsch i inne. Morderca Amon Goeth osobiście pilnował, aby ludzie ustawiali się wg warsztatów pracy z godłem każdej firmy oddzielnie, w szeregach po trzech, czterech i pięciu. Tak, to prawda, Niemiec lubi porządek. Nawet wysyłanie na śmierć musi się odbywać w określonym porządku, planowo, według,

według ustalonego systemu. Przed Goethem przemaszerowały w wojskowym porządku grupy osób pracujących prężąc piersi, by pokazać katowi przydatność do pracy i dobrą kondycję fizyczną. Następnie odbyła się selekcja. Wystarczyło skinienie palcem, a czasem sekunda decydowała o tym czy dana osoba ma zostać przy życiu, czy tez udać się transportem kolejowym, który wówczas miał ich zawieźć do Oświęcimia. W tym momencie stało się już zrozumiałe dlaczego osobom pracującym pozwolono zabrać ze sobą swoje dzieci, ponieważ wszystkich pracujących którzy mieli ze sobą dzieci, przerzucono do drugiej grupy – ludzi nie pracujących. Gdy osoby pracujące zorientowały się, co to oznacza, część z nich usiłowała ukryć swoje dzieci w plecakach, walizkach i pakach. Różnymi sposobami chciano je przemycić.

Selekcja trwała przez cały dzień. Spośród osób pracujących Goeth wybrał 300 zdrowych, dobrze zbudowanych młodych ludzi: 200 mężczyzn i 100 kobiet do tzw. „Sauberungs – Kolonne" („Grupa Oczyszczenia"), czyli do pracy przy likwidacji getta. Około 3.000 Żydów wybrano do transportu, który miał być wysłany do obozu pracy i śmierci w Płaszowie. Pozostałych w liczbie około 8.000 ludzi, przeznaczono do krematoriów w Oświęcimiu.

Znów pędzono tysiące Żydów na tarnowski dworzec kolejowy. Przez cały dzień transportowano ludzi samochodami ciężarowymi, przy czym pejcze i kolby karabinów nieprzerwanie spadały na głowy nieszczęśników. Krwiożerczy Goeth poczuł się w tym momencie w swojej właściwej roli, w swoim żywiole. Pomagali mu pijani SS–owcy, na czarno umundurowani Ukraińcy i łotewscy faszyści. O zdziczeniu Goetha świadczy następujący fakt: na Placu Wolności podeszła do niego narzeczona kuśnierza o nazwisku Batist, jednego ze „szczęśliwców", którego wybrano do „Sauberungs –Kolonne" i prosiła go o zezwolenie na pozostanie z narzeczonym. Goetr odmówił. Gdy powtórzyła swoją prośbę ponownie, zamiast odpowiedzi otrzymała kulę w tył głowy.

Świadek Mendel Balsem, krawiec, który stał w grupie krawców podczas przeprowadzania selekcji przez Goetha w tarnowskim get-

cie, zeznał w sądzie na procesie tego ludobójcy we wrześniu 1946 roku: „stałem u krawców w pierwszym szeregu. Podszedł do mnie Goeth i zapytał, czy jestem przedwojennym krawcem. Odpowiedziałem: tak! Na to Goeth: gut! (dobrze). Obok mnie stał mój kolega Schpiller (v. Spieller v. Spiller). Goeth zadał mu to samo pytanie, ale on był znacznie młodszy. Wziął go więc za rękę, zaprowadził do parkanu i strzelił do niego. Schpiller przestraszył się, upadł, ale nic mu się nie stało. Goeth śmiał się do swoich kolegów i odszedł. Potem widziałem, jak Goeth kazał kobiecie iść naprzód. Ona nie wiedziała dokąd ma pójść, wtedy wyciągnął rewolwer i zastrzelił ją". Tymczasem Niemcy i Łotysze zakończyli dzieło zniszczenia tarnowskiego getta. Lecz jeszcze z węszącymi psami biegali po ulicach getta, poszukując bunkrów i kryjówek. W ręce morderców wpadły setki Żydów z kryjówek, których jeśli nie zastrzelono na miejscu, popędzono na dworzec kolejowy... Ci, którzy ukryli się w kanałach, sami się zdradzili. Nie mogąc znieść fetoru i zatrutego powietrza, pytali się przechodniów, czy jest już po wysiedleniu. Nie wiedzieli, że na nich czyhają Niemcy. Większość z nich wyciągnięto z kanałów, wielu zastrzelono na miejscu, a pozostałych wepchano do wagonów bydlęcych na ostatnią drogę do Oświęcimia. Setki trupów leżały wówczas w tarnowskim getcie. Znów płynęły rzeki krwi.

Około 8.000 ludzi przeznaczonych na spalenie w krematoriach oświęcimskich, zapędzono na dworzec kolejowy. Tam były już przygotowane wagony towarowe, do których wpychano po 170 osób, podczas gdy miejsca w każdym było tylko dla 40 osób. Jeszcze na samym dworcu ginęli ludzie, ściśnięci, bici, dusząc się w tych ciasnych, oblepionych wapnem, wagonach. W wyżej wspomnianym procesie przeciwko Goethowi – zeznał dr Henryk Feber – że ten pociąg, który wiózł około 8.000 Żydów, przy czym liczba ich po drodze powiększyła się o dalsze 2.000 z getta w Bochni, dotarł do Oświęcimia z większą liczbą zmarłych, niż żywych. Świadek, lekarz w Oświęcimiu, miał przyjmować transport. Zobaczywszy wielką liczbę trupów, które wypadły z wagonów, machnął ręką i odszedł. Wedle wyjaśnień doktora Febera, z tego transportu uratował

się jeden człowiek, niejaki Wilhelm Stern, który po drodze wyskoczył z wagonu przez okno.

Do oddzielnych wagonów załadowano tych, którzy mieli być wysłani do obozu w Płaszowie. Postępowano z nimi o tyle „ładniej", że do każdego wagonu wepchnięto 95 osób. Pozostali, których wagony nie pomieściły, przebywali przez całą noc na Placu Magdeburskim. Dopiero w piątek rano odprowadzono ich na dworzec. Nie pozwolono im zabrać ze sobą dzieci. Jeszcze podczas selekcji Goeth wyciągał z szeregu tych wszystkich ludzi pracujących, którzy mieli przy sobie dzieci. Nieszczęśliwi ojcowie i zrozpaczone matki usiłowały ukryć swoje maleństwa w pakach, plecakach i walizkach, któż bowiem chciał się rozstać z najdroższymi? Maleństwa instynktownie przeczuły grożące im niebezpieczeństwo. Ściśnięte w plecaku czy walizce, dziecko takie leżało cichutko, nie płakało i nie wzdychało, aby się nie zdradzić przed niemieckim mordercą. Ojcowie i matki, którzy z ukrytymi dziećmi znaleźli się w wagonie odetchnęli z ulgą nareszcie niebezpieczeństwo minęło. Nie wiedzieli oni, że w myśl rozkazu Goetha, tegoż dnia miały zginąć wszystkie żydowskie dzieci z tarnowskiego getta. Na dworcu rozegrały się wstrząsające sceny. Mała liczba świadków owych tragicznych wydarzeń – ci, którzy przeżyli, odbywając tę drogę do Płaszowa równą piekłu, opisali przed Najwyższym Trybunałem te wydarzenia na procesie przeciwko ludobójcy, Amonowi Goethowi.

Świadek Mendel Balsam, przeznaczony do transportu w kierunku Płaszowa, czekał przez całą noc z czwartku na piątek na Placu Wolności. Dopiero w piątek rano znalazł się wraz ze swoją grupą na dworcu kolejowym. Świadek ten oświadczył m.in.: „kiedy wszyscy byli już załadowani, Goeth podchodził do każdego wagonu i oświadczył, że jeśli znajdzie się dziecko w jakimkolwiek wagonie, to wszyscy z tego wagonu zostaną rozstrzelani. Powstaa panika, po czym zaczęto wydawać dzieci. Funkcjonariusz Służby Porządkowej, Zimmerman, wchodził do wagonów i wydobywał stamtąd ok. 40 dzieci ze swoimi rodzicami. Wszystkie te dzieci zostały wywiezione samochodami przez gestapo".

Nie wszystkie matki chciały się rozstać ze swoimi dziećmi. Dobrowolnie opuściły wraz ze swoimi dziećmi wagony i zostały załadowane do aut. Co się stało z tymi matkami i dziećmi? Dokąd udały się auta?

O tym dowiadujemy się z zeznań świadków na wspomnianym już procesie, od Leona Lesera (obecnie w Izraelu). Jego „szczęściem" było to, że został wyznaczony do „Sauberungskolonne" (Grupa Oczyszczenia) i dlatego został ze swoją grupą na Placu Magdeburskim. W swoich zeznaniach świadek opisywał wstrząsający obraz krwawej egzekucji, którą morderca Goeth osobiście przeprowadził na rodzicach i dzieciach, wyciągniętych z transportu kolejowego. Cała grupa przeznaczona do sprzątania getta po ostatnim wysiedleniu, została zamknięta w baraku stolarni, która znajdowała się na Placu Magdeburskim, po przeciwnej stronie wąskiej uliczki w getcie, która łączyła Plac Autobusowy (Plac Magdeburski) z ulicą Szpitalną, obok domu Katznera. Z uwagi na to, że okna baraku wychodziły na tą uliczkę, świadek miał możliwość obserwacji wszystkiego, co się wydarzyło nazajutrz po likwidacji getta w Tarnowie:

„Wszyscy opuścili getto – zeznał Zenon Leser – inni, wybrani przez Goetha, pozostali na Placu Magdeburskim. Goeth pojechał dopilnować załadowania Żydów do wagonów. Na podstawie jego polecenia zamknięto nas w baraku stolarni. Gdy Goeth powrócił do getta zauważyłem, że podszedł do niego chłopiec i coś mu powiedział. Goeth natychmiast wsiadł do auta i odjechał. Pół godziny później przyjechał kryty samochód ciężarowy, a za nim auto osobowe Goetha. Zauważyłem, że z drugiego samochodu (ciężarowego) wysiadł najpierw mężczyzna, potem kobieta i dwoje dzieci. Naprzeciwko okna, przy którym stałem w baraku, znajdowała się mała, zamknięta uliczka. Goeth kazał im wejść na tą uliczkę i serią wystrzałów zabił wszystkich czworo. Potem kazał znów czterem ludziom zejść z samochodu, była to kobieta z dziećmi, polecił im wejść na poprzednie ofiary i strzelał do nich. I tak kolejno schodziły z auta po 4 ofiary, czterdzieści kilka, lub pięćdziesiąt kilka osób,

a Goeth je wszystkie zastrzelił. Część ofiar jeszcze żyła, podnosząc ręce i nogi. On tak się zmęczył, że zdjął czapkę i wytarł pot z czoła. Potem kazał przynieść miednicę z wodą i umył sobie ręce. Znajdował się tam w towarzystwie innego gestapowca. Ofiary, które jeszcze żyły, gestapowcy dobijali. To było w piątek. Trzeba było rozebrać wszystkie warsztaty. Goeth wybrał z naszej grupy wszystkich ślusarzy. Wywołał również mnie i polecił w ciągu dwóch godzin zdemontować całą ślusarnię. Sam Goeth czekał do chwili załadowania wszystkich samochodów, mających odjechać do tego samego pociągu, którym Żydzi mieli się udać do Płaszowa. Bardzo się śpieszył, ponieważ chciał jechać do Krakowa. Wraz z pozostałymi ludźmi załadowaliśmy wszystko na samochody i gdy wszystko już było gotowe do odjazdu na dworzec kolejowy, dopiero wtedy Goeth opuścił Tarnów.".

Tenże sam Leon Leser, składając relację przed Komisją Historyczną w Krakowie opowiedział dodatkowo, że wśród ofiar poznał swojego znajomego Dawida Messingera, złotnika z Tarnowa, lat 33 wraz z żoną i dzieckiem. Wszyscy z „Grupy Oczyszczenia" musieli później zbierać trupy, załadować je na wozy, przy czym gestapowcy pilnowali, aby przetrząsnąć wszystkie kieszenie. Znalezione rzeczy zabierali. Lepsze sztuki odzieży polecili ściągnąć z martwych ciał.

Temu krwawemu spektaklowi przyglądała się także pani Erna Landau, która pierwszego dnia wysiedlenia, w czwartek, znajdowała się na Placu Magdeburskim, wśród grupy przeznaczonej na wysłanie do Oświęcimia. Udało jej się, będąc nie zauważoną, wysunąć się z tej grupy ludzi i ukryć się w bunkrze, który znajdował się we wspomnianej już małej uliczce. „To był niski dom – oświadczyła p. Landau w czasie zeznawania na procesie przeciwko Amonowi Goethowi – nad nim stryszek, gdzie udało mi się ukryć. Wyjęłam dachówkę, aby mieć okno. Nie wiedziałam, że coś na tej uliczce się zdarzy. Przeleżałam na tym stryszku cały czwartek, w dzień i w nocy. Nazajutrz, w piątek Plac Magdeburski został całkowicie opróżniony. Panowała tam zupełna cisza. Nagle

usłyszałam hałas nadjeżdżających aut. Przestraszyłam się, gdyż auta podjechały przed dom, w którym byłam ukryta. Spojrzałam i zauważyłam, że w aucie siedzą dobrze mi znani Niemcy – Blache, Grunow i Goeth. Byli tam także Ilke i Kastorius. Nagle słyszę: los! Heraus! z samochodu ciężarowego wysiadło kilka osób. Goeth ich odprowadził, jednego zastrzelił, potem kazał drugiemu stanąć na zwłokach i znów strzelił. Strzelał sam, stojąc obok ofiary. Wśród innych znajdował się tam również 6–letni chłopiec, który się przestraszył i uciekł. Goeth go zawołał: komme, komme, habe kein Angst! Dziecko wyjęło z kieszeni lusterko i inne drobiazgi. Goeth z uśmiechem wziął do jednej ręki przedmioty od dziecka, a drugą zastrzelił chłopca. Była tam także pani Weiss z córeczkami – sześcioletnią i ośmioletnią. Wszystkie je zastrzelił. Gdy wyszedł z tej uliczki, przyniesiono mu miednicę z wodą. Umył sobie ręce, a resztę załatwili już koledzy".

Na tej uliczce Amon Goeth osobiście zastrzelił 54 osoby, głównie kobiety i dzieci – stwierdziła pani Landau, która ze swojej kryjówki widziała także, jak Goeth zastrzelił na ulicy żonę Jechaskiela Klapholza.

W takich okolicznościach krwawy kat, Amon Goeth, pożegnał się z tarnowskim gettem. To zwierzę w ludzkiej postaci, skazane na śmierć przez Najwyższy Trybunał Narodowy dnia 5 września 1946 roku błagało jeszcze o łaskę Prezydenta Polski. O łaskę prosił zbrodniarz, którego prokurator Najwyższego Trybunału Narodowego, Mieczysław Siewierski, w swoim końcowym przemówieniu na procesie, określił jako „człowieka, którego postać już za życia urosła do rozmiarów legendy, jako uosobienie zła i przewrotności, bestialstwa i wyrafinowania, jako nowoczesne wcielenie biblijnego szatana", indywiduum pozbawione jakichkolwiek moralnych hamulców, które nie odróżnia dobra od zła, nie zna uczucia litości, ponieważ nie posiada żadnego uczucia łaski.

Prezydent Krajowej Rady Narodowej – wówczas najwyższa instancja – nie skorzystała z prawa łaski i 13 września 1946 roku ludobójca Amon Goeth został powieszony.

Czy kara śmierci stanowi wystarczającą satysfakcję za zbrodnie popełnione przez Amona Goetha? Pozwolimy sobie w tym miejscu powtórzyć słowa prokuratora Najwyższego Trybunału, dra Tadeusza Cypriana, wypowiedziane pod koniec procesu przeciwko Amonowi Goethowi. Prokurator oświadczył m.in.: „Oskarżony może zapłacić za te zbrodnie tylko życiem, to jest wszystkim, co ma". Powtórzmy również słowa tegoż prokuratora, które charakteryzują zbrodnie Goetha przeciwko ludzkości, które ciągnęły się od momentu zdjęcia białej rękawiczki, przez trupy ludzi, których oskarżony mordował przez targnięcie się na dziecko, które jest u wszystkich narodów świata nietykalną świętością, aż do masowej eksterminacji, do ludobójstwa (...). „Ta zbrodnia przeciwko ludzkości – podkreślił prokurator dr Cyprian – jest wyrazem nie tylko indywidualnego popędu oskarżonego, jest ona wykwitem ducha panującego w narodzie, który za tę zbrodnię dzisiaj będzie musiał pokutować, jeżeli Nemezis dziejowa będzie sprawiedliwa. Proces norymberski ujawnił całą głębię zgnilizny moralnej w narodzie niemieckim, ujawnił brak skrupułów, dążenie do użycia, do władzy poprzez trupy ludzi i narodów. Proces niniejszy jest procesem pochodnym, jest jednym z wielu procesów, jakie poczęły się z ducha Norymbergi. Kiedyś historia zestawi wszystkie te procesy i stworzy ich syntezę, dając nam obraz upadku wielkiego niegdyś narodu, narodu, który upadł głęboko, że nie łatwo będzie się mógł dźwignąć, o ile w ogóle z tego upadku dźwignąć się zechce".

Na dzień przed wydaniem wyroku na Amona Goetha, Janina Wierzbowska pisała w warszawskim dzienniku „Głos Ludu" (4 IX 1946 r. nr 243), że Amon Goeth jest dziś sądzony „...za lęk śmiertelny konających w męce, za każdy skurcz palców drapiących ziemię w ostatnim spaźmie, za zastygłe z trwogi serca matek, za przerażenie ojców, za hańbę córek, za każdą kroplę potu, która ściekała z ciała utrudzonego pracą ponad ludzkie siły, za nieprzeżyte życie każdego dziecka, które padło z jego ręki", że „razem z nim odpowiada każda zbrodnicza myśl, która ślepe ręce uzbraja w broń lub kamień i w ciemnych nieuświadomionych mózgach sieje jakąkolwiek nienawiść".

* * *

Likwidacja getta nie była jeszcze skończona. Byli jeszcze chorzy w żydowskim szpitalu. Lecz i z nimi gestapo krwawo się rozprawiło. Wszystkich ciężko chorych gestapowcy na miejscu zastrzelili. Lżej chorych w szpitalu nie było. Pod koniec tego krwawego widowiska niemieckie bestie spędziły na ulicę Widok ok. 450 Żydów schwytanych w różnych kryjówkach. Wszystkich rozstrzelali, a ich ciała zostały spalone.

Przy życiu pozostało jeszcze 300 Żydów wyznaczonych do „Sauberungskolonne" (Grupy Oczyszczającej), którzy mieli oczyścić getto i zatrzeć ślady zbrodniczej działalności Niemców oraz zebrać wszystkie rzeczy po zamordowanych -- „Judengut" (dobro żydowskie).

Ludzie ci zakwaterowani byli w dwóch domach na Placu Wolności przy ulicy Szpitalnej pod nr 13 i 14. Te dwa domy stanowiły obecnie zamknięty teren, ostatnią „żydowską dzielnicę" w Tarnowie. Gdy robotnicy „grupy oczyszczenia" wracali o godzinie 5 po południu z pracy, ukraińscy strażnicy zamykali ich w domach pilnując, aby nikt z żydowskich więźniów nie uciekł. Stopniowo zwiększała się liczba Żydów pozostałych w tarnowskim getcie.

Kilka dni po ostatniej akcji wyszło bowiem z bunkrów ok. 500 Żydów.

Znaleźli się oni w tragicznej sytuacji, gdyż Niemcy mieli już dokładną ewidencję grupy więźniów, którzy znajdowali się w dwóch domach przy ulicy Szpitalnej. Ci, którzy wyszli z bunkrów, nie znajdowali się na listach osób, należących do „Sauberungskolonne". To byli nielegalni mieszkańcy getta, którzy w drugiej połowie września 1943 roku zostali wysłani do Szebni. Jednakże nie dotarli tam, ponieważ po drodze zostali rozstrzelani.

Poprzednio wspomniany Leon Leser opowiada o ostatnich okrutnych czynach niemieckich morderców w opróżnionym getcie:

„Obecnie, po ostatniej likwidacji, w getcie pozostała tylko nasza grupa likwidacyjna oraz kilku ludzi z Judenratu (Folkman, Le-

hrhaupt, kilku urzędników i funkcjonariuszy Służby Porządkowej). Dopiero teraz Niemcy zabrali się do wyszukiwania bunkrów i niemal każdego dnia znajdowali taką kryjówkę. Ludzie byli stamtąd wyciągani i na miejscu rozstrzeliwani. Niemcy kazali im ułożyć się w rzędzie, strzelali, potem na martwych ciałach kazali się położyć innym, podczas gdy pozostali, którzy czekali na swoją kolejkę, musieli stać i przyglądać się temu wszystkiemu. Były tam kobiety i dzieci, ludzie młodzi i starzy, bezbronni wobec uzbrojonych po zęby gestapowców z wytresowanymi psami. Takie akcje były często przekształcane w lekcje przykładowe dla dorastającej młodzieży niemieckiej. Wedle takich wzorów Blache uczył swoich synów – jeden 10–letni, a drugi 13–letni – jak strzelać do celu, którymi byli ludzie – gdy natknął się na grupę Żydów, wykrytych w bunkrze. Tata stał obok i z uśmiechem patrzał, jak jego syn strzela, przy czym gestapowcy kiwali głowami z uznaniem i zadowoleniem".

W taki sposób Tarnów pozostał w połowie września 1943 roku z garstką Żydów zamkniętych w dwóch domach, którzy oczyszczali i doprowadzali do porządku teren getta. Wymarłe puste ulice potęgowały strach swoją pustką.

W końcu listopada 1943 roku wysłano 150 ludzi z „Grupy Oczyszczenia" do Szebni. Nie byli już potrzebni, bowiem praca w getcie została zakończona. Uprzątnięto już zwłoki i odwieziono do niemieckich magazynów żydowskie mienie.

* * *

Pozostała, ostatnia grupa Żydów w liczbie 150 osób, zamknięta w tych dwóch domach, ze strachem czekała na swój los. Zaczęto planować ucieczkę. Pilnował ich dobrze Blache i Kesler, a nadto sami Żydzi pilnowali jeden drugiego, ponieważ wiedzieli, że w przypadku ucieczki choćby jednego z nich, wszystkim groziło rozstrzelanie. Żadnemu z tej grupy nie zezwolono na przechowywanie przedmiotów wartościowych i nawet ślubne pierścionki musieli oddać Niemcom.

W tymże czasie mordercy gestapowscy w sposób niezwykle okrutny rozprawili się z Judenratem, z członkami Rady Żydowskiej, która im tak wiernie służyła przez cały czas. Josef Fast z żoną zostali najpierw pobici, a potem ich zastrzelono. Lehrhaupt, wiceprezes Judenratu, który najbardziej dał się Żydom we znaki, został zastrzelony w Oświęcimiu, niemal przed samym zakończeniem wojny.

Gdy getto zostało uprzątnięte, gdy w niemieckich magazynach zgromadzono zagrabione żydowskie mienie – dorobek całego życia, również ostatnia grupa Żydów została zlikwidowana przez katów: Ascha i Blache. Na samym końcu pozostała jeszcze bardzo mała garstka Żydów w tarnowskim getcie. Dnia 9 lutego 1944 roku wywieziono ich do obozu w Płaszowie. W lutym 1944 roku Tarnów był już „Judenrein".

Żydowski Tarnów przestał istnieć.40.000 Żydów, którzy mieszkali w Tarnowie na początku wojny, zginęło w „Kiddusz Haszem" (za „poświęcenie się dla świętego Boga").

Nasze ulice, nasz wstyd

Dariusz Januś
TeMI, 12.IX.1997 r., nr 46

Od wielu lat na murach Tarnowa pojawiają się napisy i rysunki o charakterze antyżydowskim – gwiazda Dawidowa zawieszona na dorysowanej szubienicy na cmentarzu żydowskim, napis w Parku Strzeleckim „Żydzi do gazu", czy ostatnio plakat reklamowy obok stadionu w Mościcach z wizerunkiem pałki bejsbolowej i napisem „Służy do grania, nie do zabijania" zmienionym na "Służy do grania i zabijania Żydów". Tych napisów jest więcej. Tarnowianie przechodzą obok nich obojętnie, nie zwracają na nie większej uwagi: Przywykli do napisów, które znają przecież z wszystkich miast w kraju. Inni zastanawiają się, skąd się one biorą? Co kieruje ludźmi, którzy takie hasła piszą lub oficjalnie w różnych publicznych wystąpieniach sieją nienawiść do Żydów? Dlaczego w Tarnowie, zamieszkałym niegdyś w 43% przez Żydów, których zasługi dla rozwoju tego miasta uwidocznione są choćby w nazwie jednej z ulic, dochodzi na przykład do profanowania grobów żydowskich? Dlaczego w kraju słynącym niegdyś z tolerancji ani partie polityczne, ani państwo nie przeciwstawiają się zdecydowanie tego typu reakcjom?

Komu wyrządzamy krzywdę?

Przez wiele lat Żyd z Hajfy opowiadał z sentymentem rodzinie o swoim rodzinnym mieście Tarnowie. Długo namawiał córkę, żeby tu przyjechała. Jej natomiast było to zupełnie obojętne gdzie ojciec się wychował, jakie są jego korzenie. Nie chciała przyjechać do nie znanego jej kraju lecz w końcu ustąpiła. Przyjechali, wchodzą do Parku Strzeleckiego, a tam na bramie napis: „Żydzi do gazu"... – Tej dziewczynie to chyba wcale nie zaszkodziło – mówi dyrektor Muzeum Okręgowego w Tarnowie Adam Bartosz – bo w izraelskich szkołach dzieci uczy się, że Polska jest krajem antysemickim. Prawdopodobnie dziewczyna już więcej do Polski nie przyjedzie... Inny Żyd powiedział mi: „Takimi napisami nie wyrządzacie nam krzywdy. To wy, Polacy, powinniście się wstydzić, że one pojawiają się na murach waszego miasta. Tylko sobie wyrządzacie krzywdę". W takich sytuacjach zawsze czuję się bardziej zażenowany od nich.

Jak to było w Tarnowie

– Pierwsi Żydzi pojawili się w Tarnowie w XV wieku – mówi historyk Antoni Sypek. – Później przez cały czas osiedlali się w naszym mieście i praktycznie zawsze zgodnie współżyli z Polakami, zresztą podobnie jak z nielicznymi Niemcami czy Szkotami. Oczywiście historycy wiedzą o tym, że dochodziło czasami do scysji z Polakami, o czym pisze Stanisław Wróbel w II tomie „Przewodnika po Tarnowie ", dając liczne przykłady procesów sądowych, w których padały nawet oskarżenia o obrażenia cielesne. Jedno jest

pewne, że władze Tarnowa opiekowały się Żydami. Widziały w nich tych, którzy wnoszą inicjatywę w życie miasta.

O przejawach antysemityzmu w Tarnowie można powiedzieć dopiero w XIX wieku, z chwilą narodzin syjonizmu, wzrostu świadomości narodowej zarówno społeczności żydowskiej jak i polskiej, z narodzinami ruchów socjalnych i liberalnych. W drugiej połowie XIX wieku Żydzi stanowili ponad 40% ludności miasta. W radzie miasta jedną trzecią zajmowali Żydzi, którzy regulaminowo mogli · wybierać do niej swoich przedstawicieli. Wśród wybitnych przedstawicieli tej nacji w radzie miasta od 1867 roku wymienić można znanego lekarza Dawida Rosnera, Adolfa i Henryka Szancerów – właścicieli młyna, Adolfa Ringelheima czy członków znanej rodziny kupieckiej Maschlerów. Z tamtego okresu znane jest nazwisko „trzęsącego" radą miejską Herman a Merza, a później wieloletniego wiceburmistrza Hermana Mutza, czy wreszcie znanego mówcy i filozofa, lekarza Leona Schitzera lub wiceburmistrza Eligiasza Goldhammera. Oczywiście nie można powiedzieć, że Żydzi w tym okresie zdominowali władze miasta, bo byłaby to nieprawda niemniej mieli w radzie znaczący głos... Zresztą, jeżeli popatrzymy na dzielnicę Grabówkę, zamieszkałą przez Żydow to społeczność ta bardzo zróżnicowana. Napotykamy w niej na ortodoksów, syjonistów byli również asymilanci, którzy uważali się za Żydów i Polaków Jeszcze przed II wojną światową powszechnie znane było zafałszowane, stwierdzenie żydowskie: „Ulice wasze, kamienice nasze". Prawda o tarnowskich Żydach była inna. Ci bogaci, wpływowi Żydzi stanowili niewielki procent społeczności Grabówki. Sercem tej dzielnicy była biedota żydowska żyjąca w niewielkich mieszkaniach i bardzo skromnych warunkach. Domy ich stały przy brudnych, zaniedbanych ulicach. To właśnie w tej biednej społeczności żydowskiej wyrośli pierwsi polscy socjaliści. Właśnie z takiej rodziny pochodził Karol Radek Sobelson (urodzony w kamienicy obok Bramy Pilznieńskiej) – socjalista, redaktor moskiewskiej „Prawdy", zgładzony w latach trzydziestych w wyniku czystki przeprowadzonej przez Stalina.

Antysemityzm po tarnowsku

– Dopiero w końcu dziewiętnastego wieku można, jak wspomniałem, powiedzieć o pewnych przejawach antysemityzmu w Tarnowie – mówi A. Sypek. – Czołowa tarnowska gazeta „Pogoń", opanowana przez narodowców była antysemicka. Prawie w każdym numerze wyśmiewano się z Żydów. Redaktorzy nawoływali, aby na przykład władze miejskie nie wpuszczały Żydów do Parku Strzeleckiego. Główczyk w swoim pamiętniku opisuje, jak uczniowie gimnazjum tarnowskiego w 1891 roku zorganizowali manifestację przeciwko kandydaturze Goldhammera do Rady Państwa w Wiedniu. Przeszli pod dom Goldhammera przy Placu Sobieskiego i krzycząc oraz grożąc mu linczem wzywali, aby wycofał się z kandydowania. Goldhammer podobno wyszedł na balkon i powiedział, że rezygnuje. W latach dziewięćdziesiątych w Tarnowie były również wystąpienia antysemickie. Jan Bielatowicz wspomina o tym, że młodzież sympatyzująca z endekami nachodziła właścicieli sklepów którzy umieszczali w witrynach tabla gimnazjalistów (gdzie były zdjęcia ich żydowskich kolegów) i kazali je usuwać. Pod koniec lat 30. XX wieku robiono już sobie tabla „bez kolegów Żydów ". Ci młodzi Polacy przez lata przyjaźnili się z Żydami z ławy szkolnej, a później tak łatwo ulegali szerzonej w prasie nienawiści do Żydów.

Po wojnie, kiedy w Tarnowie pozostało już niewielu Żydów, propaganda antysemicka, chociaż w dużo łagodniejszej formie, nie ustała. W księdze protokołów rady pedagogicznej III liceum w Tarnowie z 1956 roku przeczytać można notatkę, że jedna z matek skarżyła się, że jej dziecko jest szykanowane ze względu na pochodzenie żydowskie. Pojawiały się również złośliwe hasła. Podobno w czasie wizyty w Tarnowie premiera Józefa Cyrankiewicza (tarnowianina żydowskiego pochodzenia) na drodze jego przejazdu przez miasto pojawił się transparent: „Witamy premiera z ulicy Goldhammera". Później był rok 1968, kulminacja propagandy antysemickiej w Polsce i wyjazdy Żydów z kraju. Z Tarnowa także.

Skąd się to bierze?

Próba odpowiedzi na to pytanie jest niezmienie trudna i w kilku zdaniach udzielić jej niepodobna. – Niektórzy widzą źródle antysemityzmu w kościele katolickim, który lansował tezę, że Żydzi ukrzyżowali Chrystusa i dla katolików Żyd jest największym wrogiem – mówi Adam Bartosz. –Jeszcze inni twierdzą, że wynikać to może częściowo z polskiej tradycji romantycznej, która mówiła, że Polacy są narodem wybranym, są zbawcami chrześcijaństwa, przedmurzem Europy, a tutaj pojawia się drugi naród wybrany a przecież nie mogą istnieć obok siebie dwa narody wybrane... Niepokojące jest to, że kościół na antysemickie hasła wciąż nie reaguje, a wśród wielu starszych ludzi, zwłaszcza na wsi, wciąż panuje przekonanie, że Żydzi używają krwi chrześcijańskiej do produkowania macy! Skąd takie nastawienie do Żydów wzięło się na przykład u księdza Jankowskiego? Przecież to człowiek wykształcony, a postępuje wbrew przykazaniom swojego zwierzchnika – papieża. Kościół oficjalnie mówi, że wrogość do Żydów jest grzechem, on codziennie rano modli się do największej Żydówki Matki Boskiej, a później różne bzdury opowiada na ambonie. To chyba większy grzech, niż gdyby dokonał rozboju na ulicy Zdziwiony jestem również tym, że do tej pory na antysemickie hasła nie reaguje również atakowana ze wszystkich stron Unia Wolności...

Trudno powiedzieć, skąd się biorą takie antysemickie rysunki, plugawe napisy To chyba jakaś psychiczna przypadłość, stereotyp, który funkcjonuje poza prawdziwą wiedzą... Wielokrotnie zamalowywałem te napisy, robiłem zdjęcia, w końcu pisałem doniesienia do prokuratury o popełnieniu przestępstwa. Później mi się odechciało, bo ciągano mnie na przesłuchania i zabierało mi to bardzo dużo czasu.

– Nagłaśnianie tego typu spraw niczemu dobremu nie służy To „woda na młyn" tych wszystkich, którzy propagują takie hasła – mówi kanclerz Kurii Diecezjalnej ksiądz Karol Dziubaczka. – Czy jesteśmy antysemiccy? Moim zdaniem najgorszą rzeczą jest uogólnianie, bo jesteśmy w przeważającej większości społeczeństwem

tolerancyjnym, a osoby, które wypisują takie hasła na ulicach, to margines... Pochodzę ze wsi koło Bobowej. Przed wojną sąsiadowało z nami kilka rodzin żydowskich, które przetrwały wojnę dzięki Polakom. Trzy Żydówki z wdzięczności za to po wojnie ochrzciły się. Zna pan zapewne twórczość Brandstaettera, wspomina on, jak ksiądz Wątorek chodził pod rękę z rabinem, a ludzie mówili, że od tej pory Stary i Nowy Testament chodzą również ręka w rękę... Trudno niechęć jednego czy drugiego człowieka do ludzi wyznania mojżeszowego przenosić na społeczeństwo, tak samo jak nie można powiedzieć, że każdy Żyd jest antypolski.

Margines?

Wielu tarnowian jednoznacznie twierdzi, że twórcy rysunków, sloganów, czy też wystąpień antysemickich to margines. Tarnowianie nie są antyżydowscy. Tak uważa miedzy innymi wicekurator Jerzy Pantera. – Być może wśród nauczycieli są tacy którzy o Żydach mówią źle, ale w mojej praktyce nie spotkałem takich, którzy na lekcjach wpajaliby młodzieży antysemityzm... Od dawna twierdzimy, że w szkole nie powinno być polityki, że szkoła powinna uczyć tolerancji.

Podobnego zdania jest dyrektor wydziału spraw obywatelskich Urzędu Wojewódzkiego w Tarnowie Edward Goryczko. Uważa on jednak, że nie można tego typu zachowań lekceważyć. – To powinno być represjonowane, bo po pierwsze wiąże się to z brakiem poszanowania konstytucji i prawa, a z drugiej strony, w przypadku grafitii na murach domów brakiem poszanowania dla mienia..: Przypuszczam, że takie hasła pojawiły się ostatnio w czasie kampanii wyborczej... Obsmarowane plakaty lub ulice w tej chwili nie są groźne, lecz nie można przechodzić koło nich obojętnie. Nie można tego lekceważyć, bo jakim: będziemy narodem, jeżeli nie będziemy szanowali konstytucji? Przypuszczam, że świadomość takiej osoby piszącej sprayem po murach jest niewielka.

Myślę, że poglądy i hasła głoszą tacy ludzie, którzy ulegli przed wojną fałszywej antysemickiej propagandzie, mówi A. Sypek

– a później przekazali taki obraz młodszemu pokoleniu. Mogą to być również młodzi działający sa np. pod wpływem Tejkowskiego. Natomiast inni młodzi robią to po prostu z głupoty. Jest to stereotyp, fałszywy obraz Żyda, który jeszcze gdzieś w nielicznych rodzinach pokutuje... Tutaj chodzi o tolerancję religijną rasową o której w szkołach się nie mówi, a jeżeli się już mówi, to bardzo, bardzo szczątkowo. Przerażające są jednak relacje o księdzu Jankowskim lub pytania niektórych, wydawałoby się wykształconych, dziennikarzy. W rozmowie z premierem Buzkiem redaktor Gugała kompromituje się i pyta go, czy wyznanie ewangelickie nie przysparza mu teraz kłopotów. Premier odpowiada, że nie powinno w ogóle paść takie pytanie.

– Haseł pojawiających się tu i ówdzie na ulicach Tarnowa nie postrzegam jako jakiegoś poważnego problemu. Policja traktuje wszystkich na równi, czy są to Cyganie, czy Żydzi, Ukraińcy czy Niemcy – mówi komendant Policji Rejonowej w Tarnowie Adam Kotyza. –Napisy, hasła tego typu pojawiają się incydentalnie i nie ma uzewnętrznienia tego zjawiska w postaci bójek czy rozruchów. Oczywiście takie napisy wywołują dyskusje i podnoszą nastroje, ale jak na razie są one niegroźne. Przed przyjazdem każdej większej wycieczki Żydów do Tarnowa, mamy wcześniej sygnał z Komendy Głównej z Warszawy. Nie stosujemy wtedy jakiegoś specjalnego zabezpieczenia prewencyjnego, chociaż w pobliżu tych wycieczek kręci się zawsze więcej policjantów.

Magiczne słowo „tolerancja"

W Tarnowie od wielu lat nie ma związku wyznaniowego Żydów, nie ma ani jednej sali modlitewnej. Żydów praktykujących lub tych, którzy przyznają się do swoich korzeni, jest bardzo mało. Być może autorami antysemickich haseł są pojedyncze osoby, o których mówimy, że to margines, ale przecież jeżeli pisze coś jedna osoba, to później czytają to tysiące. Zastanawiające jest również, co podkreślali moi rozmówcy, że państwo w takich sytuacjach nie reaguje, że aparat ścigania jest bezradny, a regulacje prawne są jedynie martwym zapisem. – Kiedy w jednym z miasteczek francuskich dochodzi do dewastacji cmentarza, czy to żydowskiego czy islamskiego – mówi Antoni Sypek to we Francji sprawa ta nabiera ogólnonarodowego wymiaru. Reakcja inteligencji i państwa, potępiająca ten czyn; jest jednoznaczna i głośna, a u nas jakby się omijało takie problemy. W USA nikt nikogo w towarzystwie nie pyta, jakiego jest wyznania. Byłby to nietakt, więcej, osoba taka zostałaby automatycznie zdyskredytowana.

Ciągle uczymy się tolerancji. Kurator J. Pantera mówił niedawno o pakiecie edukacyjnym „Europa na co dzień", dyrektor A. Bartosz o bardzo dobrych rezultatach kontaktów młodzieży francuskiej z młodzieżą z Izraela; z tego wzoru i my możemy skorzystać. To dobre informacje.

Ale ogromny plakat z hasłem „przeredagowanym" tak, że wbrew intencjom autorów nawołuje do zabijania Żydów, wisiał obok stadionu Unii od wielu tygodni. I jakoś nikt nie poczuł się zobligowany do natychmiastowego zareagowania.

Pocztówka z Argentyny

Adam Bartosz
TeMI, 1999, nr 21

W czasie ubiegłorocznych obchodów Dni Pamięci Żydów Tarnowskich, pamiątkową tablicę ufundowaną przez Radę Miasta Tarnowa odsłaniał przybyły z Argentyny Francisco Federico Jachimowicz. Przed 50 laty był to młody Franek Jachimowicz, którego rodzice mieli duże gospodarstwo przy dzisiejszej ul. Pracy na Grabówce.

– Mieszkaliśmy wcześniej w Dulczy koło Radomyśla, ale matka chciała, bym się kształcił, przeprowadziliśmy się więc do Tarnowa. Tam gdzie jest ulica Spadzista, tam było nasze pole, do dziś został nasz las w Dulczy. Kiedy zamknięto getto, płot getta był po drugiej

stronie ul. Lwowskiej – bo ojciec dostarczał sklepom i restauracjom lód, który mieliśmy składowany w Rzędzinie. Przed likwidacją getta rodzice uciekli na wschód, do Czortkowa, a mnie udało się uciec w dniu drugiej akcji. Wyprowadził mnie syn gajowego z Dulczy, miałem dokumenty męża naszej służącej, której zostawiliśmy gospodarstwo. W Czortkowie wyzwolili nas Rosjanie.

W 1948 r. wraz z matką i siostrą wyjechali do Buenos Aires. – Szukaliśmy kraju, gdzie nie ma wojen, gdzie bylibyśmy bezpieczni.

Na nowej ziemi zajął się gospodarowaniem.

– *To rodzinna tradycja. Dziadek pracował na ziemi, ojciec też. I ja byłem rolnikiem.*

Wzbogacił się, zakupił sporo ziemi, fabryki. Dziś jest człowiekiem w zaawansowanym wieku, jednak bardzo żywotnym, prowadzi rozległe interesy.

– *Mam kawał pola na północy kraju* – powiada. Ten „kawał pola" – to 28000 hektarów, na których pasie się 11000 krów. W samej stolicy ma hurtownie tekstyliów i firmę agrotechniczną.

Natomiast na południu, w Patagonii, w pięknej okolicy pod Andami, ma fabrykę tekstylną. Zatrudnia tu 200 osób, co dla miasteczka liczącego kilkanaście tysięcy ludzi jest ogromną firmą. Wykonuje się tu gotowe tkaniny, z których szyje odzież. Obok stoi przetwórnia mięsa i hodowla lisów. Senior Federico, to największy przemysłowiec w tym regionie, dający zatrudnienie kilku setkom ludzi, znany powszechnie i szanowany.

Tutaj też, w Patagonii, zbudował przed kilkunastu laty swoją piękną rezydencję. Leży ona tuż przy granicy z Chile, w miejscu zwanym Los Cipreses, na które składa się maleńkie pueblo z kilkunastu domków złożone i samotne domostwa (las chacras) rozrzucone po dolinach i zboczach andyjskich.

Do najbliższego miasta – Esquel, gdzie położone są fabryki don Federico – jest około 60 km pylistej drogi. Esqel to piąte co do wielkości miasto prowincji Chubut (nieco mniejszej od terytorium Polski) – i liczy 23 000 mieszkańców. Jest też największym miastem prowincji poza wybrzeżem.

Los Cipreses to osada jakby na końcu świata, a w każdym razie na końcu Argentyny. Dalej na zachód jest już Chile. Chacra don Federica zbudowana jest na wyniosłości ponad okolica, u stóp kilkusetmetrowej góry, niemal pionowo nad chacrą wyniosłej. Część doliny, jak i owa góra należą do pana Jachimowicza. Góra, porosła lasem cyprysowym, dostarcza szlachetnego drewna, które przeciera się na deski w małym tartaczku. Z lasu cyprysowego don Federica pochodzi drewno, z którego niedawno ufundował osadzie maleńki kościółek. Raz w miesiącu przyjeżdża tu ksiądz (pochodzi z Meksyku), by odprawić mszę. Kiedy w sobotnie popołudnie podjechałem konno do kościółka, na zapowiedzianej wcześniejszym ogłoszeniem mszy zastałem 8 osób.

Większość okolicznych mieszkańców chodzi do kościoła raz lub kilka razy w roku, głównie w dniu odpustów.

Z pagórka, na którym stoi rezydencja Chacra de Los Cereses (Czereśniowa Posiadłość), widać całą okolicę, aż po najbliższe większe pueblo Trevelin (40 km). Horyzont zasłaniają łagodne góry przedpola skalistych kaskadami potok zasilający w wodę domostwo i system przewodów nawadniających rozległy ogród. Otoczenie rezydencji – to bajkowy w barwach ogród i takież bajecznie egzotyczne drzewa i roślinność w pobliskim lesie. Zdająca się pionową góra, pocięta jest wąskimi ścieżkami, z dołu niewidocznymi. Kiedy jednak zanurzyć się konno w las cyprysowy, koń sam wynajduje wydeptane przez krowy ścieżki, prowadzi ostrożnie przez rozpadliny i stromizny, i wyprowadza na maleńkie polanki, z których widać świat coraz rozleglejszy. Pierwsza wyprawa tymi ścieżkami wydała mi się straceńczą, więc choć nie śmiałem przed moim chilijskim przewodnikiem skompromitować się, powiedziałem jednak, że się bardzo boję.

– *Koń jest mądry. On zna niebezpieczeństwo: Kiedy jest bardzo niebezpiecznie, zaufaj koniowi; on wie, gdzie nogę położyć* – pocieszył mnie Juan. Zawierzyłem mojej Rubii, która woziła mnie bezpiecznie przez dwa tygodnie ścieżkami andyjskich dolin i zboczy. Tak poznawałem najbliższą okolicę pueblo Los Cipreses, położone-

go w pięknej dolince nad rzeką Rio Grande, którą Indianie nazywają Futaleufu.

Zadra

Ryszard Lis
TeMI, 1999 r., nr 8

– Takich przeżyć nie da się wyrzucić z pamięci – mówi Stanisława Gałek. – Tkwią w niej jak zadra. Są moimi wspomnieniami od 7 roku życia. Stałam się wówczas przypadkowym świadkiem wielkiej tragedii tarnowskich Żydów. I tego, co widziałam, nie da się zapomnieć.

Był czerwiec 1942 roku. Dzień był przepiękny. Świeciło słońce, było ciepło. 7-letnia Stanisława leżała w szpitalu zakaźnym przy ul. Dwernickiego. Chorowała na szkarlatynę. Od kilku dni po szpitalu kręcili się Niemcy. Lekarz wezwał ojca dziewczynki. Była już prawie wyleczona. – Coś niedobrego się szykuje – powiedział do niego. – Proszę zabrać dziecko do domu. Ojciec wziął dziewczynkę na plecy i ruszyli w stronę rynku. Szli ulicą Dwernickiego, Goldhammera, Rybna. Wszędzie widać było Niemców. Kilka razy Niemcy ich legitymowali. W końcu dotarli do domu nr 15 przy rynku.

– Czuło się napięcie – wspomina Stanisława Gałek. – Widać było, że się coś w mieście dzieje. Na rynku zobaczyliśmy ustawione samochody ciężarowe i żołnierzy z bronią. Kazali nam zamknąć bramę domu i nie wyglądać przez okna. Ale jak można było nie patrzeć. Stanęliśmy za potężnym filodendronem stojącym pod oknem i przez jego liście podglądaliśmy, co się dzieje na rynku. Słońce już zaczęło zachodzić na tle katedralnej wieży. I wtedy się zaczęło. Tłum Żydów V z tobołkami na plecach zaczął się wyłaniać z ulic Żydowskiej i Rybnej. Pod ratuszem dochodzili do nich inni idący zapewne od ulicy Wekslarskiej. W podcieniach koło dzisiejszego

muzeum Niemcy zaczęli ich dzielić na grupy. Jednych wyprowadzano w kierunku Placu Katedralnego, innych ładowano na podstawiane samochody i wywożono. Po pewnym czasie na rynek wjechały samochody pełne uzbrojonych żołnierzy. Siedzieli na nich w trzech rzędach, w hełmach i z karabinami między nogami. Z samochodu wyciągnięto karabin maszynowy i przetoczono pod nasz dom, w pewnym momencie rozległy się strzały. Huk był okrutny. Wystraszył mnie. Karabin strzelał do tłumu stojącego na rynku od ulic Żydowskiej i Rybnej. Patrzyłam z przerażeniem jak ludzie giną, a ich krew spływa rynsztokiem w dół, w kierunku naszego domu. To było straszne.

Potem podjechały konne wozy, tak zwane „platoki". Stanęły na wprost naszego okna. Zabitych noszono przez rynek i wrzucano na wozy. Byli w samej bieliźnie. Widziałam, że niektórzy z nich jeszcze żyli. Ruszali się. Potem wozy odjechały.

Stanisława Gałek pamięta te tragiczne wydarzenia tak dokładnie, ponieważ spisała je w specjalnym pamiętniku, będąc jeszcze uczennicą szkoły średniej. Własne przeżycia uzupełniła wspomnieniami rodziców. Dlatego są one tak prawdziwe i wstrząsające. Zachowała także sporo pamiątek po swoich koleżankach i kolegach Żydach, z którymi mieszkała w jednej kamienicy przy Rynku 15. Były wśród nich m.in. fotografie, listy i dokumenty okupacyjne. Te pamiątki przekazała niedawno warszawskiej Fundacji „Szalom", która przygotowała w „Rotundzie" wystawę. Podczas uroczystego wernisażu pani Stanisława została uhonorowana statuetką „Skrzypka na dachu", na której widnieje wiele mówiący napis: „Tym, którzy ocalili pamięć". Jej nazwisko znalazło się w specjalnie wydanej z tej okazji księdze zatytułowanej „Zachować od zapomnienia". Bo Stanisława Gałek jest chyba dzisiaj jedynym naocznym świadkiem pogromu Żydów dokonanego przez hitlerowców na tarnowskim rynku w pamiętnych dniach czerwca 1942 roku. A co ważniejsze, zachowała pamięć o tym tragicznym wydarzeniu w swoim pamiętniku.

– Pamiętam jeszcze wyrywkowe zdarzenie tamtego czerwcowego dnia – wspomina. – Pod ratuszem stał samochód. Nagle pod-

biegła do niego kobieta w sukience w kwiaty, trzymając w ręce torebkę. Otworzyła torebkę i pokazała kierowcy Ten odpędził ją ruchem ręki i zapewne okrzykiem. Odwróciła się i zaczęła iść. Szofer wyciągnął pistolet i strzelił. Kobieta upadła. Mężczyzna wysiadł z auta, podszedł do niej, zabrał torebkę, wsiadł do auta i odjechał. Widziałam też biegnącego do samochodu starego Żyda, który nagle padł na ziemię. Jakiś SS–man zapewne do niego strzelił. Jeden z uzbrojonych żołnierzy niemieckich podszedł do niego i założył mu na głowę nocnik. Inni zaczęli się śmiać. Stary Żyd leżał bardzo długo na rynku, zanim nie wrzucono jego ciała na wóz. Pamiętam także, iż po masakrze wjechała na rynek strażacka sikawka, którą zmywano krew z kamieni. Potem cały rynek posypano wapnem. Na koniec zapadła przerażająca cisza. Ta cisza krzyczy w moich wspomnieniach.

Stanisława Gałek niechętnie wraca do tamtych wspomnień. Długo musiałem ją przekonywać, aby zechciała się nimi podzielić z Państwem. Ocalić od zapomnienia to, czego oprócz niej już nikt nie pamięta.

Tarnów - gmina

Pies–Antychryst

Agnieszka Pietraszewska z domu Maślanka ur. 1.I.1910 r. w Wałkach, gdzie ojciec miał ośmiomorgowe gospodarstwo. Wieś leży na wschód od Tarnowa, blisko lasu (500 metrów). Ten wielki las należał do państwa, ale i do miejscowych chłopów. Miał on duże znaczenie dla wsi, bo wszyscy zeń korzystali. Mąż mój pracował w państwowym lesie, poślubiłam go w roku 1936. Na imię mu było Bolesław, a pochodził z sąsiedniej wsi Zdżary. Zaciągnęliśmy kredyt u gospodarza, by na swej liczącej około jednego hektara parceli zbudować maleńki, jak z bajki, jednoizbowy domek z sionką, w zwartej zabudowie, pośród innych, pod strzechą przy drodze gromadzkiej, z dala od drogi głównej. Ta ostatnia prowadziła z Tarnowa do Jastrząbki, Podgórskiej Woli i hen. Za chałupinką, w szopie mieliśmy jedną krowę żywicielkę. I to było wszystko, choć niezupełnie, bo mieliśmy pracowite dłonie. Tym dłoniom, harówce od rana do nocy, zawdzięczaliśmy egzystencję: Z reguły bywali tu ludzie biedni, wyrobnicy, chałupnicy...

Gospodarzy, jak na lekarstwo. Biedota gnieździła się w mokrych, drewnianych chałupinach pod strzechą, nierzadko pod jednym dachem z żywym inwentarzem. Żyła z pracy najemnej w lesie i u zamożniejszych lub w mieście, do którego szło się daleko, kilkanaście kilometrów. Wynagrodzenie najczęściej pobieraliśmy w naturze: ziemniaki, zboże, bób, groch. Poza krową nic nie hodowaliśmy. Nawet na wybudowanie studni nie było nas stać. Wodę czerpaliśmy z wykopanego dołka. Całymi dniami pracowaliśmy, mąż ścinał drzewa w lesie, a ja wędrowałam do Tarnowa i tu w domach mieszczan sprzątałam, zmywałam okna, usługiwałam. Opał nie był dostępny dla takich jak my, dlatego chodziłam do lasu po patyki i tzw. sęki. Jedynie zamożniejsi kupowali w lesie drewno na opał i budulec. Nabywaliśmy materiał utkany z papieru, zszywany pa-

pierowymi nićmi. Taką to odzież szyła nam znajoma kobieta na maszynie. W czasie deszczu taka garderoba rozlatywała się i odpadała płatami. Mąż często wracał z pracy na wpół goły.

O pracę było trudno, wyrobnicy garnęli się do pracy w gospodarstwie leśniczego Michonia, który miał kawał ornej ziemi, a i do lasu brał paru ludzi. Czasy były trudne, na przednówku całe rodziny głodowały.

Leśniczy dał wsi zdechłą świnię i biedacy z wdzięcznością skonsumowali ją. Padłe zwierzęta były ratunkiem dla wielu. Wcale nie były zakopywane jako padlina. Nie były to przypadki odosobnione.

Z nastaniem okupacji hitlerowskiej, dobrze to pamiętam, blady strach padł na Żydów. W Wałkach były trzy Żydówki, panny. Przyjaźniłam się w dzieciństwie z Adelą i Różą. Ta ostatnia żyje w Izraelu. Tołpkę Niemcy złapali w Tarnowie i na miejscu zastrzelili. Te panny mieszkały bliziutko, z trzysta metrów stąd. Żyły z drobnego handlu, klepały biedę. Niemcy zabrali je do getta w Dąbrowie Tarnowskiej, a tam działy się dantejskie, sceny. Uciekły z tego getta i przyszły do nas w pantoflach, z gołymi rękami, w nocy 1943 roku w lecie. Wyglądały jak zjawy z innego świata i błagały, aby je ukryć przez parę dni. Zostały jednak na dwa i pół roku. Okres ten to było nieprzerwane pasmo lęku, głodu, bezprecedensowego terroru. W naszej maleńkiej izbie nie było podłogi, mebli, ubiliśmy więc klepisko. Stał tam jedynie stolik, szafa, byle jakie łóżko i wyrko.

Cóż było robić, znałyśmy się i lubiły. Nie mogłam ich wyrzucić, choć ze strachu nie mogłam sypiać. Początkowo ukryły się w małej piwniczce za piecem, ale nie mogły tam wcale siedzieć, bo było za ciasno i niebezpiecznie. W pewnej chwili zrozpaczone wyszły i powiedziały, że nie mogą tego znieść, muszą dokądś pójść. Ale dokąd? Ludzie na ogół byli życzliwi, znali je, ale bali się gróźb Niemców. Widać było, że przebywanie w tej ciasnej dziurze zmąci im umysły. Spokojnie dziewczęta – rzekłam. Nie możecie być ani w piwniczce, ani w izbie, bo jak same widzicie, chodzą ludzie wynajmujący nas do pracy. Trzeba pomyśleć. Myślałam o schronieniu

w ziemi, bo domek stoi na pustym placu, nie ma żadnej osłony w postaci drzew, a sąsiad sąsiadowi zagląda do garnuszka. Zapewniły, że zniosą najgorsze warunki, mogą jeść raz dziennie, ale chcą tu pozostać. Okropnie się bały.

Mąż wybił dziurę w ścianie piwniczki i wydrążył tunel pod izbą, gdzie stało moje łóżko. Nie dało się wejść głębiej w ziemię, bo podchodziła woda podskórna. Ściany wymościł kawałkami desek i patyków, bo o porządnych deskach nie było co marzyć. Strop też nie był z desek, ale z różnych odpadów, patyków. Miały tam garść słomy i to było całe wyposażenie. Za dnia tam się kryły, w mroku. Wieczorem paliła się lampa naftowa w izbie na stoliku.

Więcej swobody miały, gdy oboje z mężem poszliśmy do pracy. Wówczas to zamykałam drzwi na klucz i w jednym maleńkim okienku opuszczałam firankę. Wtedy wychodziły z tej nory, myły się i kąpały, chodziły po izdebce. Zachowywały się nieostrożnie, bo niebawem sąsiedzi zaczęli podejrzewać, że kogoś tu ukrywamy, zapewne Żydów. Zaczęły się nieproszone i niebezpieczne wizyty urzędników, policjantów, bardzo czujnych i podejrzliwych. Zaglądali na stryszek, ale tam było pusto, pozamiatane. Mądrzy, a tacy głupcy, mawialiśmy po ich odejściu. Nie było już wątpliwości, że ktoś składa na nas doniesienia. Przecież nie wszyscy ludzie są odważni, a strach o życie potrafi odebrać rozum nawet najlepszym. Każdy chce żyć. Niemcy zabierali płody rolne i zwierzęta na rzeź. Nawet tej jedynej naszej żywicielce krowinie nie darowali. Zostaliśmy bez mleka. To była rozpacz.

Ale niesamowitym, zapamiętanym na całe życie koszmarem była wizyta niemieckiego żandarma z szeroką blachą (ryngraf) na piersi i ogromnym psem tropiącym „ancykrystem". Pies miał doskonały węch i poszedł prosto ku piwnicy, a Niemiec kazał, odsunąć zasłonę. A tam był cebrzyk drewniany, a w nim głowa krowy, flaki, wątroba, nogi. Kupiłam to u złodzieja, który tę krowę ukradł we dworze w Żukowicach Starych. Towar przywiozłam na małym wózeczku z Wałek. Złodziej był Ukraińcem, nie pracował, miał na wyżywieniu żonę i dzieci. Kradł, jak wielu wysiedlonych. Ten an-

cykryst pies był bardzo mądry i kierował pysk nie ku cebrzykowi, ale ku dziurze w ścianie piwniczki, za którą kryły się moje podopieczne. Serce zaczęło mi tak walić, wręcz łomotać, że traciłam oddech, odchodziłam od zmysłów. Tego nie da się opisać.

Na szczęście tępy żandarm nie zorientował się w sytuacji, nie docenił zalet psa, zniecierpliwiony i zły pociągnął za smycz.

Wiedziałam, że pies poczuł obecność Żydówek. Brak spostrzegawczości żandarma, jego swoista tępota i brak doświadczenia ocaliły nas. Takiś mądry sk...u, a takiś głupi, jak byk – pomyślałam w duchu z trudem odzyskując równowagę, choć strach mącił mi w głowie, paraliżował psychicznie i nie mogłam wydobyć z siebie słowa. Mąż, który zawsze miał i nadal ma „lekką głowę" zbladł, był biały, jak ściana. Ale i tego Niemiec nie zauważył. Tej chwili tragedii nie zapomnę nigdy, to krowie mięso nas uratowało. Prosiłam Żydówki, by rozejrzały się za bezpieczniejszym miejscem, może za lasem, bo były takie oddalone chatki, ale one tylko płakały.

W Tarnowie mieszkała wróżka Wężowa i do niej chodziłam, by mi powróżyła z kart. Na tych kartach, pamiętam, widniały domy, fragmenty krajobrazów, las itp. Mówiła mi: nie bój się pani, przyjdą z psem, ale pani będzie mądrzejsza od nich. Ona sama wiedziała, że ukrywam Żydówki i w tej sytuacji przyznałam się, że faktycznie tak jest.

Dlatego na drugi dzień poszłam do niej i opowiedziałam, co się zdarzyło. A ona na to: Mówiłam pani, że nie trzeba się bać, oni są głupsi od pani. Sama mówiła wiele o mnie, a mnie wypadało tylko przytakiwać, bo wszystko było prawdą. Radziła stanowczo wystrzegać się rozmów z ludźmi. Urzędnicy będą do was chodzić, ale nie wykryją nic. Dodam jeszcze, że moje nieszczęsne panny wszystko to słyszały i były sparaliżowane ze strachu.

Ale na porządku dziennym była sprawa wyżywienia. To było najgorsze, poza zorganizowaniem bezpieczeństwa. To było gorsze od niedojadania, bo myśmy dosłownie głodowali. Bywały dni, że nie było co do garnka włożyć. Raz na dzień jadaliśmy, co było, to było. One dobrze wiedziały, że nic nie ma. Przynosiłam od dobrych

ludzi ziemniaki, to zupę gotowałam, placki robiłam. Chleba było, jak na lekarstwo. Z głodu i strachu chudłam, ważyłam czterdzieści kilogramów, a mąż wcale się tym nie interesował i do dziś jest taki beztroski, choć jest o wiele ode mnie starszy. Często leży, pojękuje, ale na starość tak jest. Za pracę przy myciu i sprzątaniu nie chciałam pieniędzy, prosiłam o chleb, bo przecież mieliśmy jeszcze małą córeczkę. Chleb ten dzieliłam po równo. Głód i nieznośny strach, to była nękająca nas na co dzień zmora. Mało kto wie, że z głodu nie można zasnąć.

Na dodatek zbliżał się front i Niemcy upychali po domach żołnierzy frontowych. Wreszcie wysiedlili nas, ale ja się uparłam, że pozostanę w podwórzu. W dzień chodziliśmy a noc spędzaliśmy we wnęce, w stogu słomy.

I tak, aż pół roku tj. do 27 stycznia 1945 roku sypialiśmy we wnęce tego stogu za chałupiną. Niemcy w izdebce urządzili sobie szpital wojskowy, czterech rannych żołnierzy leżało na słomie. Ich jęki tłumiły dobywające się spod klepiska odgłosy. Czarna rozpacz ogarnęła mnie na myśl o pozostawionych w lochu dziewczynach. Nie mogłam im podać nawet wody, czy zabrać kubła z odchodami. Cały dzień chodziłam i myślałam jak je ratować. Lękałam się, że Niemcy wyrzucą nas lub uznają za szpiegów. Strawę gotowałam u ludzi, a później w polu na kamieniu. Niemcy może i słyszeli odgłosy spod klepiska, ale mogła ich mylić nasza bliska obecność tuż za ścianą, nasza codzienna krzątanina, a faktycznie świadome, z premedytacją hałaśliwe zachowanie. Śmialiśmy się i rozmawiali. Ranni umierali i byli chowani na cmentarzu wojskowym z pierwszej wojny światowej.

Wreszcie od podwórza, czyli z tyłu chatki wykonałam podkop do tunelu. Stąd dochodziło świeże powietrze, na nowo zaświtała nadzieja. Znów zabierałam kubeł, a podawałam pożywienie. Bliskie szału dziewczęta mówiły, że szmatami zatykają sobie usta, by nie kichnąć, nie zdradzić swej obecności. Były jak martwe z trwogi, śmierć ocierała się o nie i o nas bez przerwy i zaglądała w ślepnące od mroku oczy.

Wreszcie szpital przenieśli gdzie indziej, zaczęliśmy się trochę psychicznie prostować, a tu przychodzą żandarmi i wysiedlają nas. Rozsypałam popiół, kurz wypełnił izdebkę. Zdjęli obrazy ze ścian i położyli obok łóżka, na tunelu. Dali nam mieszkanie w domu bezdzietnego małżeństwa, ale z powodu tych „lokatorek" nie mogłam tam iść.

Straszne to były chwile, nie jadłam, płakałam. Wiedzieliśmy, że wizyty Niemców i policji zawdzięczaliśmy nie tylko sytuacji na froncie, ale i doniesieniom ludzi strachliwych.

W końcu przedłużyliśmy ten tunel aż po sień. Strach było tam wchodzić. Przyszedł taki urzędnik lub tajniak, rozglądał się, szedł na strych, a tam posprzątane, pusto. Obok domu w schronie siedziało trzech żołnierzy, a front zbliżył się na odległość jednego kilometra. Sowieci byli w Jaźwinie, Borowej. Wrzało tam i kotłowało się jak w piekle. Niemcy wciąż odsyłali na tyły zabitych i okaleczonych. Kule padały, paliły się domy. Ludzie padali zabici i ranni, bo Niemcy zmuszali Polaków do prac przy kopaniu umocnień.

Niemcy uciekli, pozostawili nawet gorącą strawę, a wnet wkroczyli Sowieci. Ludność chowała co cenniejsze rzeczy, bo szły słuchy, że Ruski rabują wszystko, nawet zegarki zrywają z rąk. W siedem dni po wkroczeniu Rusków, ujawniłam fakt przetrzymywania Żydówek i one wyszły na światło dzienne, nie mogły się poruszać, były wychudzone, słabe, mogły jedynie siedzieć. Pod domek podjechał konny wóz i wtedy jeden Żyd zabrał je do szpitala w Tarnowie. Same nie potrafiły iść, musieliśmy zanieść je na wóz. Tak dalece były wycieńczone i zszokowane. Zimno było, więc dałam poduszeczkę Adeli, aby się okryła tą poduszką z kurzych piór. Żyd oddał mi ją później.

Po wojnie nie pisały do mnie, ale chodziłam do Żydów na ulicę Goldhammera w Tarnowie i ci mówili mi, że obie zamieszkały w Bielawie za Dzierżoniowem. Róża wyszła za Sznapsa, Adela za Ainesbrucha. Pamiętam, że nawet się nie pożegnały. Adela zmarła przy porodzie, mówili znajomi Żydzi z Tarnowa.

Dziś po latach mam do nich żal, bo nie miały grosza, a ja będąc ubogą wyrobnicą harowałam, sprzątałam u ludzi w mieście, pracowałam na nie, wynosiłam fekalia, umierałam ze strachu i nie wiem jakim prawem narażałam na najgorsze całą swoją rodzinę.

Po wojnie nadal wegetowałam w nędzy i z konieczności chodziłam do Żydów do Tarnowa, prosiłam o wsparcie, ale zapewniali mnie stale i niezmiennie, że oni też są w biedzie. Nie dali nic. Wielką goryczą napawa taka niewdzięczność. Nawet kartki nie przysłały, choć doskonałe znają moją sytuację materialną. Te Żydówki widzieli u nas Sławomir Bykowski i jego brat spod kościoła. To byli dobrzy ludzie, gospodarze, nie bałam się ich.

Dwadzieścia lat temu posłałam do Warszawy, ale już nie wiem na jaki adres i żadnej odpowiedzi nie otrzymałam. Gwoli sprawiedliwości wyznać muszę, że niektórzy ludzie, choć było ich niewielu, nazywali mnie żydowską ciotką. Wołali: idzie żydowska ciotka, czasem to i kopali. Młody oprych cegłą uderzył mnie w głowę, zalałam się krwią. Mam do dziś bliznę! chlebem zatkałam ranę, bo krew uciekała.

Przypominam sobie jeszcze, że moje podopieczne zabrał na wóz Żyd Mosiek. One były prawie gołe, strzępy odzieży z nich zwisały. Żyd Polonacki z Goldhammera nie dał żadnego wsparcia, płakałam z rozpaczy i żalu. Wierzę, że ci Żydzi też u kogoś przeżyli wojnę i byli biedni, ale z czasem na pewno lepiej im się powodzi niż nam.

Stara, schorowana wyrobnica ze zniekształconymi od reumatyzmu dłońmi, z trudem się porusza, szlocha. Mąż leży na łóżku, co chwila pojękuje, nie słyszy nic. Bieda, stęchlizna starego drewnianego domu i ta beznadzieja, (...) uderzają każdego, kto tu przyjdzie choćby na chwilę. Ze wzruszeniem wspomina wizyty ks. proboszcza Tadeusza Wolaka, jego dobre słowo i życzliwą pamięć. I oni zajęci są swoimi troskami. W ostatnich słowach zaznaczyła, że liczy jeszcze tylko na łaskę Boga po śmierci. Gdy zbierałem się do wyjścia znów płakała, wznosiła prawie bezwładne ręce, których ruchy skojarzyły mi się ze znakiem krzyża. Wyszedłem wstrząśnięty tą

ponurą opowieścią, przesyconą skargą, żalem i zawodem. Byłem psychicznie porażony, przybity. Nie mogłem powstrzymać wzruszenia. Doradziłem pisać na podany adres w Warszawie.

Na odchodnym rozmawiałem z sąsiadami. Ci zapewnili mnie, że ta kobieta doznała więcej cierpień i trosk, przeżyła więcej biedy, niedostatku i upokorzeń niż cała wieś razem wzięta. Bywało, choć nikomu tego nie powie, że żywiła rodzinę (i Żydówki) korzonkami i trawą. Ile w tym prawdy?

Mąż ma rentę, bardzo niską, na leki brak pieniędzy. Brak ruchu, czasami jakiś krewny z Tarnowa tu zajrzy, zrobi porządki. O przyznawanym przez Izrael medalu i tzw. stypendium nic nie słyszała. Zresztą ona już nie potrafi pisać. Swoje zrobiła, a one o niej nie pamiętają. Ale czy tak powinno być?!

I rzeczywiście. Sowieci rabowali bogate domy i dokonywali rabunków, a winowajców nikt nie szukał, bo i jak. W nocy wdarli się do zakładu krawieckiego Józefa Kochana przy ulicy Lwowskiej 128, ale właściciel wybiegł na strych i donośnym krzykiem zaalarmował sąsiadów płosząc Sowietów.

Kosztem wybawicieli

Ludwika Zięcina ur. 17.VIII.1917 r. w Zawadzie, gmina Tarnów. Mieszkałam w domu rodzinnym, pracowałam w gospodarstwie rodziców. Przed wojną nie było tu Żydów. W 1954 r. wyszłam za mąż za Jana Zięcinę w Zawadzie. Mąż miał mało ziemi. Skrawek zwany Stajaniem, obok domku. Już przed wojną pracował u Żydów o nazwisku Holender przy ulicy Żydowskiej w Centrofarbie w pobliskim Tarnowie. Za Niemców też.

W jego domku schronili się dwaj Żydzi w podeszłym wieku, ale to byli eleganccy panowie, dobrze ubrani, obyci w świecie. Miejsce do ukrycia było doskonałe, na północnym stoku pagórka i na skraju lasu, a wieś mała usadowiła się od południa u podnóża tego pagórka i przy szosie, w dolinie. Prowadząca koło pagórka dróżka polna,

wznosząca się w górę po deszczu była niedostępna. Zięcina miał tu duży sad i ogród ogrodzony żywopłotem i drutem kolczastym. Domek drewniany maleńki i kryty strzechą słomianą, a w nim kuchenka i sionka. Do domku przylegała szopa także słomą poszyta, a z tyłu w chlewiku trzymał kozę, bo nic więcej nie miał. Pod szopą w głębokiej piwnicy przechowywał owoce. Aby tam się dostać należało podnieść klapę i zejść po schodach.

Gdy ukrył tu Żydów, klapę zakrywał słomą i rupieciami. Na półkach miał owoce, które wiosną sprzedawał w Tarnowie. Nosił je na plecach przez las i pola, na skróty 2 km. Także kwitnący bez sprzedawał. Jego żona Rozalia Bełzowska z Zawady chorowała na nogi. Prawie nie chodziła, dzieci nie mieli.

Tych Żydów widziałam, gdy pasłam krowy obok ich sadu. Nie bali się, bo żona Zięciny była moją ciotką. Raz podeszli do mnie i rozmawialiśmy. Nikt tu nie bywał, bo do wsi dość daleko, dokoła las. Wrogów nie mieli, nikt nie donosił i był za biedny, by się nimi interesować.

Do kościółka chodził w Zawadzie, dokąd przywożono księdza z katedry w Tarnowie. Przychodził mokry od rosy, bo polami podążał.

Urząd pocztowy był w Tarnowcu. Byłam panną, chodziłam do pracy we dworze Sanguszków w Tarnowcu i tu w wolnych chwilach pracował Zięcina czego dotąd nie czynił. Pracowaliśmy w oborach, pieliliśmy w burakach. Zięcina pomagał przy młócce za zboże. Wiedziałam, że szuka dodatkowego zarobku, bo ma Żydów na utrzymaniu.

Zarobek nie wystarczał, musieliśmy wyzbywać się części garderoby a chodzić w gorszej. Zięcina sprzedawał w mieście co mógł, bo nie miał gospodarstwa. Moi rodzice mieli gospodarstwo a i tak sprzedawaliśmy odzież za żywność.

Ta ścieżka do Tarnowa nie była prosta ani łatwa do pokonania, bo trzeba było przebrnąć głęboki parów, omijać gęstwiny, wzniesienia.

Niebezpieczne były polowania z nagonką, ale Niemcy jakoś nie wstępowali, ubóstwo raczej odpychało. Dla większego bezpieczeń-

stwa, zwłaszcza latem Żydzi przebywali w bunkrach, jeden był w rogu sadu, drugi na skraju lasu, stanowiącego własność prywatną rolników. Niemcy wpadali do wsi po bydło i konie. Bratowa prosiła, aby nie brali ostatniej krowy, ale zabrali i wraz z innymi musieliśmy je pędzić do rzeźni w Tarnowie. Później brali ludzi do kopania rowów strzeleckich i bunkrów za wsią.

Żydzi przetrwali tu zawieruchę wojenną i dopiero po 1970 roku jeden z nich napisał list bodaj z Belgii, ale mąż był już tak zrażony do nich, że nie odpisał i o żadne wsparcie nie prosił. Bolała go ta nieuczciwość ocalonych takim kosztem w tak trudnych czasach. A potrzeby mieliśmy, bo stary domek walił się i budowaliśmy nowy we wsi nad szosą, w dolinie. Rozebraliśmy piwnicę z cegły. Na starym placu pozostała studnia, dziura po piwnicy i drzewa wzmacniające schemat starej zabudowy. Pozostał tylko piękny krajobraz widziany z góry i panorama Tarnowa. Mąż zmarł przed 1980 r.

Diabelski wir

W Łękawicy, gm. Tarnów, mówi Cecylia Dykacz autorka monografii tej wsi, że z szacunkiem wspominaną postacią był Żyd, któremu nadano przydomek Chela, a nazywał się Eliasz Rot. Imię jego skracano początkowo do Ela, które przeszło w Chela i w takiej formie pozostało. I czasem nikt już nie pamiętał imienia, Eliasz, zwłaszcza że sam właściciel zaakceptował przydomek i traktował go jak imię. Do czasu powstania w Łękawicy zlewni był mleczarzem, który skupował mleko od rolników (był przy udoju, pilnował by mleko było koszerne) i codziennie woził je do Tarnowa. Można też było umówić się z nim na drogę powrotną i wówczas o określonej godzinie czekał na pasażerów. Pięcioro dzieci tu wychował. Dorastający synowie pomagali ojcu w handlu, jeździli po okolicznych miejscowościach skupując cielęta na mięso koszerne.

Większość jego rodziny pochłonął wir wojny. Między Łękawicą a Skrzyszowem jest wąwóz o nazwie Kruk. Tu na, miejscu

straceń więźniów polskich, a więc i Żydów postawiono pomnik projektowany przez tarnowskiego rzeźbiarza Anatola Drwala.

Napis na płycie głosi: Przechodniu powiedz światu. Mimo straszliwego terroru Maria i Władysław Włodek ukrywali rodzinę żydowską, prawdopodobnie o nazwisku żydowskim Reich. Gdy ustała wojenna zawierucha Żydzi wyjechali za granicę, ale pamiętali o swych opiekunach śląc listy i paczki. W tej chwili nikt z tej rodziny nie mieszka w Łękawicy, natomiast bardzo rzadko zjawia się tu córka osiadła na stałe w Tarnowie. Pamiętam, że szalenie odważni ukryli kilka osób z rodziny Postrongów i Landsmanów. Rodzinę Betronisów ocalił kolejarz z Mościc. Rodzina Millerów przetrwała dzięki ofiarności rolników, którzy ukryli ich w bunkrze.

Tuchów

Ludożercy

W zaprzyjaźnionym domu siedzieliśmy wokół stołu. Przed nami pełne talerze smakowitego żuru. I w tym momencie przyszło jeszcze jedno przerażające przeżycie.

Do pokoju wszedł człowiek. Człowiek widmo. Zdawało się szkielet obciągnięty skórą. Ni śladu mięśni na nim. Był Żydem,

Gospodyni przyniosła jeszcze jeden talerz żuru, prosiła do stołu. Siadł lecz z boku, przy biurku. Pokornie przepraszał, że zjeść go nie może, o połowę żółtka prosił, mówił o skurczonym żołądku. Jadł długo. Przybici, wpatrzeni w niego milczeliśmy.

Mówić zaczął przybyły. Prosił, żeby go wysłuchać, musi bowiem wyrzucić z siebie to co go gnębi, co przeżył. W przeciwnym razie wypowie to w domu, a wówczas rodzina wyrzeknie się, wyrzuci go. Jego dłonie zakryły oczy. Słuchaliśmy.

Był ludożercą, jak może wszyscy więźniowie tego obozu zagłady z okresu, o którym mówił. Bocznicą kolejową wjeżdżały wagony pełne złomu. Do więźniów należał wyładunek i segregacja. Praca ciężka szczególnie dla więźniów, którym skąpo wydzielano jako zupę, wodę z dodatkiem rozgotowanej brukwi czy chwastów. Poprzedni więźniowie dokładnie, z korzeniami, wyjedli trawę, ogołocili z liści drzewa; oszukiwali głód żując korę.

Przyszli też z pomocą kolejarze. Wśród złomu bywała żywność. Któregoś dnia odkryto worek kukurydzianki. Zgłodniali zbiegli zewsząd. Wywiązała się bójka, worek pękł. Zorientowali się Niemcy i odtąd na oczach zrozpaczonych więźniów żywność wpadała w ręce administracji obozowej. Żydzi ginęli masowo. Zabijała ich mordercza praca, głód, choroby. Na ich miejsce napływali nowi. Wraz z nimi wiadomości o niepowodzeniach na froncie wschodnim, o niemieckich kłopotach na zachodzie. Nadzieja. Lecz czy doczekają? Głód, początek obozowego zła, nadzieje te przekreśla.

I stało się najgorsze.

Jeden z więźniów doprowadzony głodem do szału, rzucił się na zmarłego przed chwilą towarzysza, żelazem rozerwał brzuch, przylgnął ustami do ciepłych jeszcze wnętrzności. Głód zaspokoił. Towarzysze niedoli patrzyli wstrząśnięci, lecz bez słowa sprzeciwu. I to był początek. Zaczęło się ludożerstwo. Przy wspólnej zgodzie, przy aprobacie skazanego na śmierć, przy jego chęci pomocy swym ciałem dla umożliwienia pozostałym jeszcze jakiegoś skrawka życia, a może doczekania wolności umożliwienia powiedzenia prawdy o obozie. Ojciec wraz z innymi zjadł syna, syn ojca. Zmarli byli żywnością. Wyłącznie czymś do jedzenia. Znikły opory, bariery zdawało się nie do przekroczenia.

Słowa Żyda o zachętach umierających, aby na śmierć nie czekając rozrywali ich, by ciepłą krwią, sercem, wątrobą, podtrzymali siły były trudne do wysłuchania i trudne dziś po tylu latach do powtórzenia czy opisania. Niemcy, których coraz było mniej w tym obozie straceńców usiłowali nie dopuszczać do kanibalizmu, ale głód był chytrzejszy w tych zabiegach.

Tragiczna spowiedź Żyda dobiegła końca. Oderwał dłonie zakrywające oczy, spojrzał na nas. Płakaliśmy. Zaskoczony wyszeptał: „Płaczecie, nie plujecie, nie wyrzucacie?" Na nic nasze próby zatrzymania go dla odpoczynku, dla nabrania sił. Nie śmieliśmy powiedzieć udręczonemu człowiekowi, że rodziny w Gorlicach nie znajdzie. Raz jeszcze przekroczył próg domu. Przekroczył by jak najspieszniej dojść do swoich.

Pelagia Dyrdoń Norwida 14, 33–101 Tarnów

P.S. Żyje jeszcze p. Janina Sajdakowa w Tuchowie, Rynek 2. W jej domu wysłuchaliśmy tragicznej spowiedzi Żyda z Gorlic.

Wadowice Górne

W stałym zagrożeniu

Stanisław Walczak ur. 16. X.1928 r. w Wadowicach Górnych. Ojciec miał gospodarstwo rolne (5 ha). Dom z dala od sąsiadów w polu. Z Żydami chodziłem do szkoły powszechnej w Wadowicach Górnych, ale zatargów nie było. Z lekcji religii wychodzili. Do nich należała koleżanka Baila. Było ich tu więcej. Gdy zaczęli ich prześladować, współczuliśmy im, ale Niemcy za wszystko grozili karą śmierci, dlatego ludzie się bali. Jeśli ktoś odwracał się od nich, to nie z wrogości, lecz ze strachu o siebie i o rodzinę. Była rodzina o nazwisku Lind. Niemcy zdołali zabrać do getta w Radomyślu Wielkim tylko rodziców, bo synowie wiedzieli co ich czeka w getcie wiec się poukrywali. Warunki życia były tam coraz gorsze, głodzono ich i poniżano, coraz częściej zabijano. Na początku Polacy próbowali dowozić i przemycać żywność, ale z czasem Niemcy zaostrzyli rygory i nawet za zbliżenie się do getta groziła kara śmierci. Nie wszyscy Żydzi mieli czym płacić, bo byli biedni, a im też nie odmawiano pomocy.

Pamiętam jak ich wywozili, popychali do stojących wozów. Wracając ze szkoły i wraz z innymi dziećmi oglądałem te sceny. Najgorsi byli Niemcy z Mielca, którzy nadzorowali przebieg wysiedleń. Bali się ich wszyscy, także granatowa policja. Pozwolili im zabrać toboły i podręczny bagaż. Najmłodsza Baila pojechała zapłakana z rodzicami, a dwaj bracia ukryli się. Koczowali w zagajnikach, sprzyjał im tutejszy krajobraz, wykorzystywali nierówności terenowe i zarośla, które dobrze znali. W lecie można było wegetować, bo rozrzucone pośród krzaków pola dostarczały pożywienia. Mówiono żartobliwie, że Żydów można było spotkać częściej, niż zająca czy sarenkę. Jednak nikt nie miał pretensji i nie szedł na posterunek, gdy stwierdził, że ktoś ukopał ziemniaków w jego polu i wyciął pare główek kapusty, a w rowie urządził sobie legowisko.

Mieszkańcy nie tylko tolerowali te drobne w gruncie rzeczy straty w polu, ale wynosili im co mogli, a przychodzącym w nocy do domu nie odmawiali pomocy i wsparcia. Mark Lind znalazł się u nas w Boże Narodzenie. Było nas trzech braci i zaczęliśmy się bawić w słomie. Wpadłem do dołka na kogoś a ten ktoś poruszył się. Zadzwoniły puszki z cukierków. Okazało się, że tu spał Lind. Mama przyszła i wygnała nas. Poznaliśmy go, bo ich pole znajdowało się blisko naszego. Mama nakarmiła go. Nie wiedzieliśmy, że on tu był. Ojciec zabrał go do obory, gdzie było najcieplej. Cały czas narzekał na swoje położenie. Zapewniał, że był tu tylko trzy dni. Podejrzewam, że on nas chciał tylko uspokoić, a faktycznie nocował tu częściej i dłużej. Wiadomo mi, że Żydzi wyjmowali ruchomą deskę i wchodzili do stodół, nie naruszając skobli i drzwi. Dla bezpieczeństwa zmieniali stodoły bez wiedzy właścicieli. Mama była przerażona i radziła mu iść. Poszedł, a za dwa dni powrócił do tej obory. Jego widok budził grozę.

Przemarznięty, brudny, głodny, u kresu sił. Pilnowaliśmy obejścia i obserwowaliśmy okolicę, by go tu ktoś nie zaskoczył. Mieliśmy razem z bratem Józefem kryjówkę w oborze za dobudowaną ścianą, bo brata usiłowali zabrać jako junaka na roboty. Ojciec był bardzo zmartwiony i zastanawiał się co ma robić. Czy wolno mu było narażać nas na śmierć w płomieniach. Czy gdyby się role odwróciły, Żydzi uczynili by podobnie. Matka po namyśle wpuściła go do naszego schowka i wówczas w podzięce padł przed nią na kolana. Zastał do końca wojny. Szerokość schowka wynosiła 1 m, zaś wysoko nad głową na deskach sufitu znajdowała się słoma. Pościel tu już była, bo myśmy obaj z bratem tu sypiali. Wchodziło się ze strychu nad oborą po podniesieniu ruchomej deski. Na strychu rozrzucono plewy i ściółkę.

Drugie wejście prowadziło z obory przez podkop. Pożywienie nosiłem mu w naczyniach ukrytych w wiadrze. Mieliśmy kozę, dzięki czemu wymyśliliśmy hasło: koza wstań. Dla niego to był sygnał, że ma wyjść. Stare naczynia oddawał a nowe zabierał i chował się.

Kubeł wynosiłem na obornik. Interesował się tym, co słychać w okolicy, co się dzieje w mieście i w gettach. Informacje te zbieraliśmy bardzo ostrożnie w drodze do kościoła, w sklepie, na jarmarku. Radia nie wolno było mieć. Ojciec był u krawca w Radgoszczy i przyniósł okropne wiadomości. Szalał tam osławiony żandarm Guzdek, tropiący Żydów i partyzantów. Na szubienicy chciał powiesić kobietę ukrywającą Żydów, ta jednak zdołała się ukryć. Ludzie zanieśli radia do jakiegoś pomieszczenia w kościele, myśląc, że nikt ich nie odkryje. Guzdek je znalazł, ale skończyło się pobiciem księdza proboszcza Józefa Leśniaka u którego mieszkał. Gazety mało kto czytał. Postrachem byli nie tylko żandarmi. W lasach Jam i Dulczy ukrywali się bandyci, gnębiący tutaj ludność tutejszą, rabujący i gwałcący kobiety. W zimie też kryli się u kogoś, zmieniali kryjówki, bo urządzano na nich obławy i zasadzki. Taki pościg niósł z reguły groźbę rewizji w domach. Ale znalazł się jeden odważny chłopak Stanisław Pietras z Woli Wadowskiej, który we śnie zarąbał ich siekierą. Herszt bandy pochodził z Siedliszowic nad dolnym Dunajcem, zamordował co najmniej kilkadziesiąt osób w tym także Niemców, a także paru Żydów. Nasz Żyd miał jednak kontakt ze swym krewnym ukrywającym się u gospodarza Michury o czym mówił niechętnie i z obawą. Powodów do obaw było wiele. W jaki sposób Niemcy dowiedzieli się, że w Podborzu ukrywają się Żydzi. Niemcy i policjanci podjechali znienacka i przeprowadzili rewizję, która jednak nic nie dała. Wiadomości mieli pewne, bo nie rezygnowali z akcji, zastanawiali się co zrobić, aby ich wytropić. Zagrozili podpaleniem zagród, ale i to nic nie dało. W końcu podpalili zagrodę i wtedy Żyd rzucił się do ucieczki. Strzały nie dosięgły go, podobno policji granatowej niezbyt zależało na trafieniu go. Wpadł w las. W domu tym pozostały same dzieci, gdyż właścicielka pojechała do miasta. Pół wsi spalili. Właścicielka wracając z Mielca widziała z daleka łunę pożaru, którego przyczyny nie znała. Uprzedzona wróciła dopiero po odejściu obławy. Okazało się, że pożary groziły nadal, ale zapobiegł im ksiądz Franciszek Machaj. Wykorzystał fakt, że na jego plebanii mieszkał Niemiec (z odznaczeniami na pier-

rsi) bardzo zawzięty i groźny. Niemiec ten groził, że spalą Wadowice Górne, a szczególnie przysiółek Wydartuch, gdzie, jak mu wiadomo ukrywa sie Żyd. Ksiądz rozpraszał podejrzenia i zdołał zapobiec wydaniu takiego rozkazu. Ogarnął nas wielki strach. Inicjatywę w tej sprawie przejęła mama i kazała Żyda wysłać w pole, bo spodziewaliśmy się rewizji. Uciekinier to zrozumiał i na dwa tygodnie schował się w życie, dokąd zanosiłem mu posiłki. Najsprytniejszy i dyskretny byłem. Brata też lubił, w wolnych chwilach przesiadywali razem i zabawiali się opowiadaniami. Później wrócił do zagrody. W nocy szedł do izby, gdzie robił karbidówki, miał kolbę do lutowania, lubił majsterkować i naprawiać wiele rzeczy. Miał, coś w rodzaju różańca i modlił się. Przed wojną z ciekawości bywał w kościele, znał nawet pacierz. Nie miał wyraźnych cech semickich jak jego brat. Nie raz w nocy znudzony szedł w pole i stawiał kopki. Znaczne oddalenia od sąsiadów stwarzało taką możliwość. Groźne były wizyty komisji, które chodziły po domach za bydłem i trzodą chlewną sprawdzając „kolczyki" na uszach zwierząt domowych. Znaczki te zdejmowano z uszu większych zwierząt i przenoszono na uszy małych nie nadających się na rzeź. Niemcy dziwili się, że cielęta i świnie „nie rosną". Za ubój karano śmiercią. Mimo tego kwitł pokątny handel. Opasywaliśmy się wyrobami np. słoniną i szliśmy do Mielca. Najbardziej baliśmy się wykrycia Żydów. Nie wiedzieli o nich nawet najbliżsi kuzyni ani koledzy. Na ołówku pod gumką miał 20 USD. Obiecał nam trzy morgi gruntu, ale tylko gdy on sam przeżyje. Brat. jego był w Dębicy w lagrze w policji żydowskiej i widział jak Niemcy znęcali się nad Żydami. Przeżył ofensywę styczniową 1945 r. Zginął wraz z innymi uciekającymi z lagru. Przed tą likwidacją lagru Niemcy zatruli pożywienie i wielu Żydów zmarło w mękach. Tak mówili ci co nie jedli i przeżyli. Będąc u nas wędrował 30 km do Dębicy w odwiedziny przebywającej w lagrze siostry. Znał tutejszą topografię, umiał obejść drogi i posterunki, korzystać z osłony jakie dawały krzaki, rowy, zaułki, bo lasów nie było. Chciał ją tu przyprowadzić i ojciec w końcu się zgodził na to. Poszedł po nią. Usiłowała uciec, ale odzieżą dotknęła drutu i wtedy

rozległy się dzwonki alarmowe i tak Etka zginęła na jego oczach. Będący w policji brat poznał jej odzież i dowiedział się o próbie ucieczki i śmierci. Obaj z bratem sypialiśmy z nim, bo ukrywaliśmy się, by nas nie zabrano. I tak był u nas od czerwca 42 r. do ucieczki Niemców i wkroczenia sowietów 22.VIII.1944 r.

Urodzony był 18.II.1918 r. w Wadowicach Górnych. Z początku okupacji był gońcem w urzędzie gminy i policji. Rodzice mieli gospodarstwo. Podczas wysiedleń gdy front się zbliżył, całe rodziny uciekały w pole z dobytkiem. Dotyczyło to na początku Wydartucha. Schroniliśmy się z bydłem w głębokim rowie wśród krzaków. W dzień bydło paśliśmy na cudzych polach. Żyd pozostał w oborze, dlatego ojciec zanosił mu pożywienie. Wreszcie w nocy przyszedł do nas i ukrywał się w kopkach dwa tygodnie. I tu były chwile grozy, gdy Ruski strzelali dwie godziny z katiusz w kierunku Wadowic, wyrządzając wiele szkód, np. uszkodzili bryłę kościoła, wieże i pół sklepienia. Odłamki pocisków padały na słomę nad schronem. Stojąca przed schronem butelka z mlekiem została rozbita. Fruwały grudki ziemi kurzyło się, katiusze cięły i ryły ziemię. Ruski przyszli pijani. Idący żołnierz przywołał mnie, dzban mi podał i sam też pił. Kazał nam wyjść, dziadkowi także. Rusek pokazał balon i radził iść do tyłu. Nie było to łatwe, bo mieliśmy pierzyny, garnki, bydło. Rusek był kulawy i szedł z nami długo. Naszego Żyda zobaczyłem w drugiej wsi i on także poznał nasza kozę. Jeszcze przypominam sobie, że przed nadejściem Rusków, trzy czołgi stały obok naszego rowu i nie wypędzały nas. Nie będziemy strzelać, nie bójcie się, zapewnili nas. Gdy zagrały katiusze, czołgi strzeliły po razie i wycofały się. Po przetoczeniu się frontu wróciliśmy do pogorzelisk.

Żyd udał się do Mielca i tam spotkał innych ocalonych. Chorował na nerki. Do Berlina wyjechał i jako palacz dostał się na okręt i po dopłynięciu do USA uciekł na ląd. Osiadł w Kalifornii i pracował jako zegarmistrz. W 1974 r. pojechałem tam na jego zaproszenie. Zaczynał pracę w zakładzie wytwarzającym części do przeszczepu serca. w czasie pięciotygodniowego pobytu woził mnie samochodem i pokazywał różne osobliwości np. Las Vegas. O przeżyciach niewiele mówiliśmy, ciekaw był natomiast co u nas słychać. Stale mówił i pisał, że zaciągniętego u nas długu wdzięczności nie jest w stanie spłacić. Jego problemy były jednak niczym w porównaniu z tym, co mogło by się zdarzyć, gdyby nie uratowała go nasza rodzina. W rozmowie padały z jego ust słowa: krew jego spłynie na was i na wasze syny... Rozpamiętywał treść próbując dopasowywać treść do jego czasów. Medalu nie mam i nie starałem się. Spełniliśmy ludzki i chrześcijański obowiązek i jestem zadowolony, że się udało.

Mord w Kosówce

Relacja ta jest kolejnym zapisem wstrząsającej prawdy o czasach panowania zbrodni i w szczególny sposób skłania do przemyślenia oraz odpowiedzi na pytanie, czy rzeczywiście koszmar okupacji winien ulec zapomnieniu, czy też, odwrotnie, ma być utrwalony w słowie pisanym, żeby stanowić ostrzeżenie dla przyszłych pokoleń.

Z upływem lat coraz trudniej jest dochodzić prawdy o tym, co działo się u nas w czasie wojny, zaczyna swą opowieść Rudolf Pietras urodzony 21 lutego 1933 r. w Woli Wadowskiej, gdzie rodzice posiadali niemałe (9,20 ha) gospodarstwo rolne. Drewniane zabudowania pod strzechą, podobnie jak u sąsiadów przycupnęły przy szosie, za którą kłębiły się bujne, prześwitujące tu i ówdzie odkrytymi poletkami krzaki. Zasiedziali tu z dawien dawnaŻydzi parali się rolnictwem, rzemiosłem i rzadziej handlem. Ci ostatni kupowali cielęta, kury, jaja i wozili do miast, skąd z kolei przywozili na sprzedaż płótno i mydło. Gdy Niemcy zaczęli ich ostrzej prześladować, z Pilzna uciekł z rodziną znajomy Żyd i zamieszkał u Adama Bigdy w Woli Wadowskiej. Był dobrym krawcem szyjącym męską garderobę. Za świadczone usługi pobierał częściej i chętniej produkty spożywcze niż pieniądze. Zimą 1942 lub 1943 r. Żydzi wywiezieni

zostali do getta, jednak wnet okazało się, że nie wszyscy zastosowali się do zarządzeń okupanta. Wielu ukryło się w leśnych zaułkach, w gospodarstwach położonych na uboczu, z dala od dróg i sąsiadów. Pod osłoną nocy odwiedzali zaufanych gospodarzy, zaopatrywali się w żywność. Do nas przychodził wieczór Sulima Eli, który opowiadał, że ukrywający się Żydzi zamierzają przeprawić się za Wisłę do Nowego Korczyna. Zazwyczaj dostawał chleb i nabiał.

Latem widywaliśmy jak uciekinierzy z gett koczowali w rowach pośród krzaków i traw, zazwyczaj w pobliżu zbiorników wody. Gdy kosiliśmy siano poznali ojca i przyszli poprosić o chleb. Pięcioro było ich, dzieci także. W pobliskich krzakach Józefa Kowaka zbudowali sobie zamaskowany gałęziami, kryty darnią szałas. Dym był widoczny, ale raczej tylko z bliska. Jakkolwiek szosa i domostwa usytuowane były w odległości zaledwie 800 metrów, to jednak występujące tu obficie roślinność i nierówności terenowe utrudniające dostęp do ich kryjówki, zapewniały względne bezpieczeństwo. Jesienią tu byli i dokądś powędrowali. Sulima z rodziną ukrywał się w odległej o 1 km wsi o nazwie Kosówka, gdzie urządzili sobie bunkier w wale potoku. Dół był obszerny w suchym miejscu i nieźle zamaskowany, osłaniały go zwisające gałęzie. Niemcy zjawili się niespodziewanie wieczorem, otoczyli i kazali wychodzić. Jeden spośród mężczyzn rzucił się do ucieczki, oddalił się znacznie, ale też padł zabity. Huk wystrzałów i krzyk ofiar budził grozę we wsi. Tak zginęło 14 osób. Kaci przed odjazdem przyprowadzili zamieszkałego nieopodal Józefa Łabuza i polecili pilnować tego miejsca. Jednak jeden mieszkaniec był tylko ranny i prosił o ratunek. Przerażony chłop przywołał Niemca, który dobił rannego. Znany z nazwiska chłop zdjął z nóg zabitego obuwie. Rano w lesie rozległy się strzały obwieszczające powrót oprawców. Ciała pomordowanych polecili zawieść na zwierzęce cmentarzysko i zakopać. Po wojnie Żydzi próbowali dokonać ekshumacji i przewiezienia kości na kirkut. Eli Sulim zachował się w dobrym stanie. Zaczęte wiosną odkrywanie grobów przerwano, bo mokro było i podchodziła woda podskórna.

Po wielu latach z uwagi na te wykryte szczątki władze odstąpiły od zamiaru usytuowania tu wysypiska śmieci. Po tym mordzie już rzadziej spotykało się koczujących Żydów. Po tylu latach trudno jest odtworzyć te potworne sceny, makabryczne szczegóły, dlatego relacjonujący je wytężył umysł, by jeszcze coś przypomnieć sobie. Na koniec dorzuca ważną informację. Oto w zimie 1942 lub 1943 r., gdy drzewa z mrozu pękały, żydowscy zbiegowie szukali kryjówek w oborach i stajniach, często bez wiedzy właścicieli. Właśnie ojciec Rudolfa odkrył śpiącego w żłobie Żyda. Czuliśmy się wtedy jak rzuceni w piekło.

Obława i masakra w lesie

Jan Kaczor urodzony 5 grudnia 1922r. w Rydzowie, po ożenku zamieszkał w Grzybowie, był świadkiem złapania i zastrzelenia grupy Żydów.

W czasie wojny – kontynuuje swą opowieść – pracowałem w gospodarstwie (5 ha) rodziców, niemałym jak na, ówczesne stosunki na wsi. Początkowo Niemcy wywozili na roboty ludzi z wielodzietnych, najbiedniejszych rodzin, ale taka reguła obowiązywała do pewnego czasu, bo w walczącej Rzeszy wciąż brak było rąk do pracy.

Na wezwanie do urzędu zareagowałem ucieczką do lasu, skąd wracałem zmarznięty, głodny i pełen najgorszych obaw. W lesie spotkałem grupę Żydów, którzy przenosili się w coraz bardziej niedostępne gęstwiny.

Byli to miejscowi Żydzi, właściciele siedmiu gospodarstw, znający doskonale teren i korzystający z pomocy zaufanych przyjaciół. Należałem do grona tych, którzy przynosili im żywność, a w moim przypadku, to obiady, chleb, mleko. Po pewnym czasie Niemcy dowiedzieli się o ich pobycie w okolicy i dlatego wyznaczyli zakładników obarczonych obowiązkiem pojmania uciekinierów. Ci jednak tłumaczyli, że czasem zastają jedynie pogorzeliska

w polu, a nawet ślady legowiska w rowie. Mogło tak być, bo zdesperowani, wciąż tropieni Żydzi urządzili sobie bunkry w młodniku będącym zresztą ich własnością. Odetchnąłem z ulgą, gdy leśniczy Matus Stolarski przyjął mnie do pracy w lesie. Słyszałem, że Stolarski indagowany przez policję lawirował jak mógł, by nie szkodzić nikomu. Gdy córki Izaaka Monsdorfa nie mogąc znieść surowych warunków w leśnych dołach przyszły doń zapłakane, przyjął je i umieścił w szopie z sianem. Codziennie zanosił im posiłki i jednocześnie rozglądał się za bezpieczniejszym schowkiem, bo do leśniczówki przyjeżdżał oficer niemiecki mający prawo polowania na jelenie, sarny itp. Wpadał na noc, łaził po lesie. Mimo tego Żydówki nie chciały odejść, płakały, błagały o pomoc i ratunek. W czasie jednego z obchodów Niemiec znalazł słabo zamaskowane igliwiem bunkry i leśniczego zapytał dlaczego nie melduje o pobycie zbiegów, w końcu postawił mu zarzut ukrywania wrogów Rzeszy.

Zrozpaczony leśniczy w nocy odprawił Żydówki. Za tydzień Niemcy urządzili obławę uwieńczoną zastrzeleniem w lesie 12 Żydów, w tym także tych dwu z leśniczówki. Leśnicy i robotnicy pozbierali ciała i pogrzebali. Leśniczy tymczasem bronił się przed zarzutami, dochodzenia, wyjaśnienia trwały miesiąc, po czym wywieźli go do Oświęcimia. Po wojnie wrócił schorowany i wkrótce zmarł.

Ocalony

Józef Kagan ur. 29.VII.1929 r. w Zabrniu w gminie Wadowice Górne z dala od dróg publicznych i władz gminnych, w tym posterunku granatowej policji. Wsie są rozrzucone wśród plątaniny polnych dróg, krzaków i głębokich rowów. Po deszczu trudno się poruszać, błoto jest dokuczliwe, ale pola w naszej wsi najszybciej obsychają. Żydów znaliśmy sprzed wojny i to z dobrej strony. Nasza przyjaźń datowała się od 1914 roku z rodziną Lejby, właściciela dworu, od którego dziadek kupił 20 morgów ziemi. Zostało mu jeszcze 50 morgów, ale dworek ubożał, kurczył się, choć wciąż trwał. Lejb był uczciwym, życzliwym sąsiadem. Zmarł przed 1939 rokiem. Została wdowa z córką Alką i synem Aronem. Przeżywali wielkie rozterki, gdy zbliżało się wysiedlanie do gett. Niemcy wyrzucili ich na wieś, a dwór przejął Pełczyński z poznańskiego. Nie poszli do getta i ukryli się w polu w łanie zboża Marii Fedor. Potem zbudowali sobie bunkier. Po żywność chodzili do znajomych pod osłoną ciemności. Aron jadł u nas wszystko, trefne także. Ukrywał się u nas w domu i w stodole. Nasze zabudowania były oddalone od innych i ta okoliczność dawała względnie bezpieczne schronienie. Wreszcie poszedł do bunkra, ale podobno ktoś doniósł i Niemcy otoczyli ich w dzień. Aron ledwie uszedł z życiem, ale siostrę z matką wywieźli i zabili. Aron po wojnie wyjechał do USA i po latach przyjechał z córką do Polski, szukać rodziny oraz grobów na kirkucie, zdaje się w Mielcu. Córka Lejby jest fotoreporterką, nakręciła film w tym domu. A ja opowiadałem do kamery o wielkiej tragedii. Film emitowano parę lat temu w telewizji. Był drugi Żyd Józef Hercyk z Tarnowa, który ukrywał się w Zarzeczu k. Wadowic Dolnych. Wcześniej poznał dziewczynę Marię Stolarz z Wadowic Dolnych, która w Krakowie uczyła się krawiectwa. Przechrzcił się, wzięli ślub kościelny, chyba już za okupacji. Tu się odbyło wesele i tu zamieszkał. Ona szyła, a on nie pracował. Z czasem, gdy granatowa policja szukała go, zaczął uciekać i zmieniać miejsca pobytu. U nas bywał bardzo dyskretnie i brał żywność za usługi krawieckie. Chodził okrężnymi ścieżkami, polami, by się na kogoś nie natknąć. Jego dom był blisko, w linii prostej czterysta metrów od naszego. Odludzie, trudny dojazd, dość pierwotny krajobraz nie ułatwiały wizyt nieproszonych gości. Dlatego bywał w domu i nikt go nie widział. W domu pozostała córka i jego żona Ela. W lecie nie było tak trudno tu przeżyć, jeśli było się trochę samodzielnym i zaradnym. Krzaki dawały schronienie, pola dawały pożywienie, życzliwi sąsiedzi pomagali, nie donosili. Jeden z sąsiadów to brat mego ojca Piotra, Józef Kagan. Głęboki rów melioracyjny osłonięty drzewami umożliwiał ucieczkę, gdy ktoś widziany z daleka zbliżał się. Temu odlu-

dziu i pustkowiu Hercyk zawdzięczał to, że mógł bywać w domu częściej. Do głównej drogi daleko, a po deszczu drogi polne są nieprzejezdne. Mieszkańcy tutejsi mówią z sarkazmem, że drogi te nadają się do żeglugi. Jakieś tam wiadomości czasem widocznie docierały do władz, bo urządzali za nim obławy, lecz on widząc ich z daleka, uciekał przez rzekę Breń. Po wojnie osiadł w Bielsku–Białej, po czym wyjechał do Australii.

W Polsce nie był, zbrzydł mu ten żywot stale tropionego i ściganego, ale przysyła paczki z różnymi używkami, jak: kawa, kakao. Tak daleko mieszka, żyje wygodnie, ale żywo interesuje się wszystkim, co się tu dzieje, jak dom wygląda, co w polu rośnie i jak. A ja mam o czym pisać, jestem sołtysem trzydzieści lat i radnym różnych szczebli, a po przełomie w 1989 roku posłem na Sejm III RP. Mówię o tym dlatego, że Aron udzielał mi rad i moralnego wsparcia w walce z trucicielem Niedomickimi Zakładami Celulozowymi, które sprawiły, że woda wokół rzeki–ścieku Żabnica do niczego się nie nadaje. Rurociąg dostarcza czystą wodę. Na koniec wspomnę jeszcze o tragedii Żydów we wsi Kosówka. Ukryło się tu dwanaście osób, które korzystały z opieki i pomocy tutejszych gospodarzy, takich jak: Józef Buła, Franciszek Guła, Jan Balon, Piotr Szot. Jedna z tych rodzin miała nazwisko Jachnym, druga Slamom. Niemcy, jednak wpadli na ich trop i wszystkich zastrzelili.

Straciła wzrok

Zofia Wnęk ze Zgromadzenia Sióstr Zakonnych w Wadowicach Dolnych.

Relacja jest pobieżna, gdyż siostra Franciszka, która najlepiej znała sprawę, już nieżyje.

Obok zabudowań naszego Zgromadzenia Sióstr Zakonnych mieszkała, Franciszka Kalita, która przyjęła pod swój dach ściganych Żydów. Umieściła ich w stodole, na strychu. Panował wielki strach, terror, dlatego była ostrożna i pożywienie zanosiła im wieczorem. Ale ktoś wywąchał i wziął na spytki chłopca, małego, synka, obiecywał mu za to zegarek. Nic wiadomo co chłopiec powiedział. Zwierzył się matce, gdy w stodole rżnęli sieczkę. Ukryci tu Żydzi usłyszeli rozmowę i nocą uciekli, po kilku tygodniach przebywania tu. Gospodyni usłyszała w nocy szczekanie pieska, który zauważył tę nagłą ewakuację chwilowych pensjonariuszy.

Rano wpadli Niemcy. Wyprowadzili ją na podwórze i żądali pokazania miejsca, ukrycia Żydów. Zapewniła, że nie ma nikogo obcego, niech szukają. Bili, kopali, nie rezygnowali z żądania.

Gdy upadła i zemdlała, zanieśli ją do studni i polewali wodą. Bicie nic nie dało.

Od tej chwili zaczęła tracić wzrok, aż całkiem oślepła. Zmarła w 1973 roku. Ponieważ mieszkała obok naszych zabudowań i współpracowała z zakonem, siostry opiekowały się nią aż do śmierci. Siostra Bronisława jeździła z nią do specjalistów w Lublinie, ale orzekli, że wzroku nie odzyska, bo uderzenia w głowę spowodowały trwałe uszkodzenie nerwów. Ci Żydzi to małżeństwo z córką, które jednak nie przeżyło?? wojny. Ich nazwisko to Sima. Po wojnie wyjechali?? i (...) w liście przesłał upoważnienie dla gospodyni, której przekazał swój grunt. Gospodyni przekazała to pole zakonnicom, ale Zarząd Gminy Wadowice Górne zabrał im ten grunt i sprzedał na działki budowlane. Tu w Wadowicach były wypadki ukrywania Żydów. Znajomy Simy, Bernard Hendler ukrył się skutecznie na obrzeżach Dąbrowy Tarnowskiej u Starzyka. Zmarł w Kanadzie.

Wietrzychowice

Wspomnienia z dzieciństwa

Oczyma małego chłopca patrzył na dramatyczne wydarzenia okupacji Jan Gorla, urodzony w roku 1934 w Wietrzychowicach. Oto niektóre z jego wspomnień.

Z dawna mieszkało w mojej wsi wielu Żydów. Jeden z nich imieniem Jankiel zajmował lokal w naszym obecnym domu. Był właścicielem składu desek i węgla, nie licząc posiadanego przezeń gospodarstwa. Z wieloma innymi Żydami stykaliśmy się codziennie. Należeli do nich szewc Chmielnicki, Markus Mołdek, właściciel sklepu wielobranżowego, dalej Judka, który sprzedawał (jak mówiono) wszystko, od narzędzi do ubrań i wielu z nich przetrwało wojnę i okupację niemiecką w Wietrzychowicach dzięki pomocy mieszkańców.

Pamiętam, szliśmy kiedyś wieczorem doić krowy. Patrzymy, a tu przed oborą stoi dwóch zarośniętych mężczyzn w płaszczach. Przestraszyłem się, ale moja babcia uspokoiła mnie, dała im chleba i sera. Pokrzepieni poszli w dalszą drogę. Takie wizyty nie należały do rzadkości. A przecież w pobliżu panował ożywiony ruch, miała swój posterunek granatowa policja. Tutaj też dochodziło się do przejazdu gromem przez Dunajec.

Losy Żydów uratowanych układały się rozmaicie. Jeden z nich imieniem Szmul, nie mogąc się pogodzić z utratą mienia, w przystępie rozpaczy skoczył do studni, ale został uratowany.

Mafton Flauer, zwany krótko Józefem przeżył w ukryciu na terenie Związku Radzieckiego. Żywił się w lesie jagodami, potem ożenił się z Rosjanką. Po wojnie wrócił do nas i pracował jako klasyfikator.

Nikt, nie wydał Żydów, przechowywanych w naszym gospodarstwie. Mieli schowek w szopie między sufitem, a drugą powałą. Wiele mogli by powiedzieć o tym ci, którzy uratowali się na pewno. Niestety znaczna część z nich już nie żyje.

Pozostała tylko pamięć

Z tej samej wsi Wietrzychowice zachował wojenne wspomnienia Władysław Bratko gospodarujący na niewielkim obszarze 1,8 hektara. W sąsiedztwie tego gospodarstwa mieszkali Żydzi.

– Pamiętam – mówił Władysław Bratko – kupca Józefa Randa, który miał sklep z mąką, cukierkami i innymi artykułami spożywczymi. Razem z drugą żoną wyjechał do córki w Tarnowie. Nie, znałem dalszych losów. Wiem natomiast, że przetrwali znani mi handlarz bydła Aultek szewc Chmielewski, ten ostatni ożenił się po wojnie z wdową po komendancie granatowej policji i oboje wyjechali na Zachód. Zanim to wszystko nastąpiło, Chmielewski przeżył ciężkie chwile. Ukrywał się cały czas u rolnika z Pieczonki, na strychu jego domu. Inny sąsiad Bejryś Kejmer z rodziną zginął w getcie. Józef Hlamenhaft wrócił z ZSRR. Lifa Süss miał swoje gospodarstwo w Niechowicach, był zamożny i cieszył się poważaniem. Syn Süssa studiował w Paryżu, był bardzo dobrym lekarzem, co zgodnie stwierdzają mieszkańcy. Drugi syn pomagał ojcu w gospodarstwie. Lifa Süss został złapany w Pasiece Otfinowskiej i zatrzymany na posterunku policji w Wietrzychowicach. Policjant Olecki obawiał się, że Lifa może wydać Polaków, udzielających mu dotąd schronienia. Dlatego zastrzelił go. Przedtem, jak to zwykle bywało kazał mu uciekać. Furmanką zawieziono ciało za wał Dunajca i tam zakopano blisko rampy.

Ludzie często tu ginęli w podobny sposób. A bywało i inaczej. W domu parafialnym były dwie izby, znane z posiedzeń. W jednej mieszkał naczelnik urzędu pocztowego wysiedlony z Wielkopolski. Bywali tu Niemcy, jak to w urzędzie. Ktoś podejrzewał go o donosicielstwa. W nocy usłyszeliśmy huk i łomot, zdawało się, że bomba spadła na kościół. Wybiegliśmy z domu, a tu naczelnik woła: „Achtung!" Oniemieliśmy z wrażenia – gmach leżał w gruzach, a naczelnik z żoną, córką Ireną i synem ocaleli. Byli w nieistniejącej już izdebce na skraju, od strony południowej. Ludzie uznali, że ocaleli, bo nie byli winni zdrady. Trzeba jeszcze dodać, że obok na wika-

rówce stacjonowali Niemcy. Po wojnie były echa zabójstwa Lify Süssa. Tomasz Bratko opowiada, że jakiś czas po wyzwoleniu przyjechał syn Lify Emil. Przywiózł dwóch robotników i dużą skrzynię z otworami. Odnaleziono nocnych stróżów z lat okupacji: Kamysza i Torchawę (obaj już nie żyją). Długo kopano ziemię i szukano zwłok Lify Süssa. Ale poszukiwania okazały się daremne. Podobno po wojnie z miejsca, gdzie był pochowany zastrzelony Süss, wybierano piasek do budowy domów i dróg. Mówiono, że ktoś odnalazł jego zwłoki, ale pozostawił je nie próbując ekshumacji. W 1970 roku była powódź. Woda wystąpiła z koryta, przelała się przez wały. Później spychacz zrównał grunty nadrzeczne. Wreszcie powstało tam pastwisko. Po grobie Lify Süssa wszelki ślad zaginął. W innych wypadkach, gdy poszukiwania dały efekt, odnalezione zwłoki przenoszono na żydowski cmentarz. Nie udało się również odnaleźć zwłok Żydówki, którą w lesie w Jadownikach zastrzelił niejaki Franciszek Wilczewski. Kobieta nazywała się Goldberg, a bardziej była znana pod przezwiskiem PINCHERKI.

Jak już wspomniano, syn Süssów był wyjątkowo cenionym lekarzem. Schronienia udzielał mu ksiądz Siemiatycki rodem z Miechowic Małych. Obaj wybrali się kiedyś za okupacji do Krakowa, ale tam ktoś – jak mi mówiono – po oczach poznał w lekarzu Żyda. Ledwie udało mu się wybronić. Nie na długo jednak. Tak to śmierć krążyła nieustannie nad głowami prześladowanych. Taka wersja śmierci krąży w okolicy. Jednak młodszy brat, lekarza, Emil zamieszkały we Francji, w liście z 6 września 1985 roku prostuje powyższe informacje, i pisze, że brat lekarz opuścił Kraków i mając aryjskie dokumenty, pełnił funkcję lekarza w pobliżu Nowego Sącza. Jego pacjentami byli także partyzanci. Gdy wracał od rannego partyzanta został złapany przez SS–manów i zamknięty w więzieniu gdzie zażył truciznę. Tak mówią ludzie, którzy byli razem z nim, pisze brat Emil.

Ucieczka przed śmiercią

Do dramatycznych chwil obławy nawiązuje w swoich wspomnieniach Józef Walocha, urodzony w 1921 roku w Jadownikach Mokrych.

– W czasie obławy – opowiada po latach – szukali partyzantów i Żydów, ale co do tych ostatnich nie mieli dokładniejszych informacji. Mieszkaliśmy przy lesie jadownickim, gdzie Niemcy mordowali nieraz swoich więźniów. Mnie skuli w kajdanki, ojcu zostawili wolne ręce. Szukali broni, przede wszystkim u jednego z nas, mojego brata Franciszka, który był pierwszy na liście.

Ten zdążył ukryć broń w piwnicy pod piecem. Schował ją pod bukowym drzewem. Pech chciał, że w przeddzień obławy drewno zabrano, ale wystarczyło tych resztek, które przykrywały broń, była niewidoczna, chociaż rewidujący Niemcy zaglądali pilnie i świecili latarkami elektrycznymi.

Żandarm przeprowadzający rewizję mówił po polsku. Towarzyszyli mu gestapowcy, z których jeden pytał uparcie, gdzie są Żydzi, a potem – gdzie się podziewa starszy brat, Franciszek. Szukali na strychu i bałem się, że znajdą spadochron, który tam skryliśmy poprzedniego dnia w worku. Radziecki skoczek porzucił ten w spadochron w lesie, na polanie.

Wyszliśmy na podwórze. Tu stałem skuty, a oni szukali w stodole. Jeden przewracał tam wszystko do góry nogami, a dwóch pilnowało mnie. Wreszcie jeden z latarką elektryczną odszedł, by świecić w stodole, bo tam było jeszcze ciemno, gdy na podwórzu już jaśniało.

Po zejściu ze strychu Niemiec chciał mi dodatkowo umocnić kajdanki, ale zapewniłem, że nie jestem bandytą i zostawił mnie w spokoju. Obok nas szła Teresa Anioł, którą zmusili, by ich tu przyprowadziła. Siłą ściągnąłem jedną część kajdan. Tarłem drugą o pas. Kiedy Niemiec odwrócił się w inną stronę, zacząłem uciekać. Byłem już na szosie, gdy Niemiec, według relacji Teresy Anioł, zagroził, że będzie strzelać. Ze stodoły też wypadł Niemiec i wołał,

żebym się zatrzymał. Podniosłem ręce i upadłem na obornik. Niemcy nie wiedzieli, że się podniosłem i dalej uciekałem, bo zasłoniła mnie stodoła.

Biegli za mną, ale już byłem przy lesie. Ale tutaj był ckm i pruł seriami. Zmieniłem kierunek biegu, bo ten karabin maszynowy był na szosie, w odległości zaledwie 50 metrów. Ci, którzy wypadli z domu, biegli brzegiem lasu. W tej gorączce ucieczki nic się nie bałem, choć dotąd na wojnie nie byłem. Wdarłem się w las, o jakieś 150 metrów. Ale postrzelili mnie w lewą rękę, która zaraz spuchła i łańcuszek od kajdan coraz bardziej uwierał. Miałem wrażenie, że mi przestrzelili nogi, ale to tylko uderzały mnie gałązki w tym szaleńczym biegu.

Zdołałem uciec na drugą wieś Pojawie i tam zrobili mi opatrunek. Miesiąc leczyłem się w kieleckim sanatorium za Opatowcem. Kurację zorganizowała AK, której jednostką na naszym terenie kierowali Jan Madej i Franciszek Nowak. Obu ich Niemcy nie zastali w domu.

Żydzi wprawdzie u nas otrzymali żywność, ale nie kwaterowali, bo las dawał dobre schronienie. Co jakiś czas przychodzili po pożywienie, zawsze w nocy.

Na szczęście Niemcy nie mieli psów w czasie rewizji

Jan Jurczak, urodzony w 1910 roku w Jadownikach Mokrych, pracował z rodzicami, Pawłem i Marią, w ich gospodarstwie położonym w pobliżu dworu i dwóch dróg. Jedna prowadziła w pole i była mniej uczęszczana. Druga to główna szosa z Wietrzychowic – gdzie był prom na Dunajcu – przez całą wieś wkierunku Szczurowej i Brzeska. Wieś ta graniczy z powiatem Brzesko. Linię graniczną stanowił las jadownicki, własność barona Jana Konopki z Brnia za Dunajcem, pod Dąbrową Tarnowską.

Konopka miał w Wietrzychowicach folwark i zwykły dom. Do tego folwarku należało 700 hektarów lasów w Jadownikach i nie

mniej niż lasu – mokrych łąk i ornego gruntu. Rządca Rusinowski rezydował w domu przy folwarku. Leśniczym był Salamon, Czech pochodzenia.

Karbowy nazwiskiem Szewczyk pochodził z Olesna. W samych Wietrzychowicach folwark miał ponad 200 morgów ornego gruntu i klasy. Był tu też piękny park.

Mój ojciec był oborowym i mieszkaliśmy w drewnianym domu, stojącym w tym parku obok zabudowań folwarcznych. W sąsiedztwie było 10–morgowe gospodarstwo oraz karczma z wyszynkiem wódki i piwa. Było to wiec ruchliwe miejsce, często odwiedzane przez obcych, również przez Niemców, przetrząsających okolicę. Z pewnością było to miejsce nie nadające się na schronienie dla Żydów.

A mimo to był u nas Żyd, Zechak Celnik, z synem Samuelem. Przed zabraniem ich do getta spotkaliśmy się w Wietrzychowicach. Myślałem wtedy, że wykopię dziurę nad jeziorem w zaroślach i tam donosić im będę żywność. Jednak za trzy dni zabrali ich do getta w Szczucinie. Celnik napisał wtedy list, ale przez pomyłkę zamiast mego imienia Jan, podał imię mojego starszego brata – Władysława. Tymczasem pomyłkowo podany adresat, czyli mój brat, nic nie wiedział o naszych wcześniejszych rozmowach. Brat jednak przyszedł do mnie z tym listem i pytał, co ma z nim zrobić. Odparłem bez dłuższego namysłu: Siadaj na rower i przywieź go!

Pojechał i widział się z Celnikiem. Przywiózł list do granatowego policjanta Karola Oleckiego z posterunku w Wietrzychowicach. który znajdował się w odległości 50 metrów od naszego domu. Olecki sam pojechał w nocy na rowerze i przyprowadził go do mojego ojca. Ale ojciec był przerażony, a matka, nie mniej przestraszona wpadła w rozpacz. Wezwali na pomoc mnie. Byłem żonaty z Zofia z domu Surowiec i mieszkałem w odległości 300 metrów.

Kazałem mojemu nieoczekiwanemu gościowi pójść na strych, dałem pierzynę i poduszkę. Wszystko to działo się w lecie, a mój uciekinier pozostał w domu aż do tzw. wyzwolenia w styczniu 1945 roku.

Chodziło o to, by mógł wchodzić do stajni i wychodzić z niej z pominięciem izby. W tym celu zrobiłem otwór w suficie. Obok domu stała mała szopa pod tym samym dachem, co dom. W strzesze była też zamaskowana dziura i w razie zagrożenia nasz gość mógł tędy skakać do dziury w dachu ze słomy, która pokrywała szopę. Sufitu w tej szopie nie było. Gdy nadeszła zima, Zechak Celnik krył się na strychu, bo pod strzechą było ciepło Również ze stajni dochodziła do naszego zbiega wyższa temperatura. W ogóle słoma jako materiał do budowy strzechy stanowiła świetną warstwę izolacyjną. W lecie była tu umiarkowana temperatura, podczas gdy pod dachówkami grzało niemiłosiernie. Kontakt z Celnikiem był stały. Dawaliśmy mu do czytania polskie gazety. Przyjechał do nas mój brat z Warszawy, gdzie był stróżem w fabryce na Pradze. Opowiadał co się dzieje w stolicy i w kraju. Mówił o represjach w stosunku do Żydów i do tych, którzy okazują im pomoc Rodzice wezwali mnie, skarżyli się, że nie mogą sypiać, boją się, a przecież to ja byłem inicjatorem całej tej sprawy z ukryciem Żyda.

Już rok minął od momentu jego przybycia. Nie można się go było pozbyć. Znaliśmy się od dawna, bawiliśmy się jako dzieci w sąsiedztwie. Orzekli na koniec moi rodzice, że jeżeli Bóg ma ukarać to i tak ukarze, a jeśli pozwoli, to i on, nasz biedny uciekinier, przeżyje. Został u nas, a siostra żony 15–letnia Czesława Surowiec, była gońcem i wywiadowcą. Posyłaliśmy ją do rodziców z wiadomościami o poczynaniach i ruchach Niemców.

W zimie 1945 roku Niemcy uciekli, wysadzając dwa drewniane mosty na rzece Kisielinie, wpadającej do Wisły pod Opatowcem. Nasz żydowski gość zaszedł do stajni nie wiedząc, że w izbie przebywa jeszcze żołnierz niemiecki. Czesława ledwie zdążyła go uprzedzić i ledwie umknął po drabinie na strych, gdy Niemiec wchodził do stajni. Ostatecznie nasz uciekinier przeżył ponure lata hitlerowskiego terroru.

Po wyzwoleniu Celnik poszedł do swojego domu, gdzie mieszkał z początku jakiś wysiedlony, a potem Władysław Stokłosa z Wietrzychowic, dzierżawiący tam karczmę. Matce mej dał ze trzy

morgi gruntu, a na brata mego Władysława zapisał półtora. Nie poprzestał na tym. Zapisał też memu bratu Władysławowi, którego wyznaczył pełnomocnikiem w sprawie podziału domu. Brat mieszkał u żony w odległości 300 metrów od ojca.

Drogie przedmioty Żydzi mieli zakopane w stodole. Policjantowi za owo przyprowadzenie do domu moich rodziców dostał się zegarek i pierścionek. Wysiedlony przybysz wiedział o ukryciu cennych rzeczy w stodole. Wykopał paki i zrabował wszystko. Obrabowany Żyd z rozpaczy skoczył do studni, ale go zdołano uratować, po czym wyjechał do Włoch, do Mediolanu. Planował dalszy wyjazd do starszego brata w Stanach Zjednoczonych. W 1942 roku dowiedział się, że brat zginął w Chicago w katastrofie samochodowej. Załamany nerwowo, zmarł w domu w Mediolanie.

Niebezpieczeństwo groziło nam stale nie tylko z racji ukrywania Żydów. Pamiętam, jak raz o świcie Niemcy otoczyli wieś. Szli od strony lasu. Uprzedził nas o tym sąsiad Jan Burzawa, syn Franciszka. Pobiegłem do domu, ale tu już Niemiec zabrał ojca i prowadził w kierunku kościoła. Było tu wielu ludzi, a na drodze leżał zabity Władysław Burzawa, akowiec. Przy nim zastrzelili też Jana Burzawę, a ojca z innymi poprowadzili do lasu. W odległości 300 metrów leżał inny zabity – Jan Spyrka. Podeszli do lasów, do samochodów.

– Czemu płaczesz? – pytali jednego z przypędzonych.

– A boście zabili mego syna!

Na to Niemiec odkrzyknął:

– Wy wszyscy jesteście partyzantami!

W końcu ojca jednak puścili. Ale losy innych mieszkańców były bardziej tragiczne. Zabrali z domu Jana Kozłowskiego i zaraz zastrzelili pod lasem. Zginął inny sąsiad, Filip Papież. Pochowani są na cmentarzu w Wietrzychowicach. Obławy organizowano też po domach. Niemcy szukali ukrytych na strychach, w stodołach. Na szczęście nie mieli psów.

W czasie obławy Zechak Celnik leżał na strychu pod słomą. Łatwo sobie wyobrazić, co by się działo, gdyby go odnaleźli. Weszli na strych, ale nie dostrzegli zbiega. Po prostu ominęli kąt, w któ-

rym leżał pod snopkami i uznali strych za pusty. Wszystko to działo się 1 maja 1944 roku.

To było prawdziwe bohatrestwo

Wśród mieszkańców okolic Dąbrowy Tarnowskiej, którzy okazywali pomoc prześladowanym Żydom, był również Józef Gibes, urodzony w 1919 roku w Jadownikach Mokrych, gmina Wietrzychowice. Oto w jaki sposób relacjonuje on swoje przeżycia.

Miałem w swojej wsi rodzinnej gospodarstwo rolne o powierzchni 2,5 morgi. Zabudowania stały blisko ruchliwej szosy. Teren odkryty zwiększał zagrożenie ze strony Niemców i granatowej policji.

Pewnego dnia, a raczej nocy, przyszli do nas Żydzi, którzy uciekli z getta w Brzesku. Znałem ich, bo byli właścicielami gospodarstwa w naszej wsi, koło kościółka. Dodajmy, że było to małe gospodarstwo. Czwórkę uciekinierów stanowili: Jakub Kincling, jego żona, Dora, zwana też Dobką, syn Adolf, oraz Szymon Goldberg, też z Jadownik.

Prosili, by ich przyjąć, choćby na krótko. Nie było to łatwe, choćby z uwagi na małą pojemność zabudowań. W sieni naszego domu, pokrytego strzechą, pod ścianą wykopaliśmy dół, ale był on zbyt płytki. Nie można było w nim stać. Nakryliśmy go deskami, zasypaliśmy ziemią, a na to położyliśmy drzewo opałowe. Z bunkra szło się tunelem pod przyciesie do przepuśnicy. Umieszczono tam deski i drewno opałowe, by zamaskować wieko.

Nocą nasi lokatorzy wychodzili w pola, by odetchnąć i rozprostować nogi. Nasi uciekinierzy mieli słomę i kołdrę, bo pierzyny zostawili w getcie. W tym dołku mieli też wiadro, zastępujące im toaletę. Z wyjściem były kłopoty, bo ludzie mieli tu swoje pola uprawne. Dokuczliwy był brak żywności, pieniędzy i możliwości zarobkowania. Tym trudniej było nam okazywać pomoc jeszcze biedniejszym, bo ściganym przez okupanta Żydom. Z konieczności cho-

dziłem na zarobek do młócki cepami. Płacili 85 groszy za dzień. Aby zapewnić utrzymanie sobie i Żydom, latem chodziłem do tej roboty.

Nasi zbiegowie lepszą odzież sprzedali już na życia i siedzieli w łachmanach. A przebywali w tej kryjówce również w zimie i nawet urodziło im się dziecko. To dziecko, jeszcze mokre, rano podrzucili pod okno domu. Nie mieli innego wyjścia w tej wstrząsającej sytuacji. W domu tym mieszkała Maria Szadkowska, której siostra była starą panną. Podrzucając dziecko, zapukali do okna i nic nie mówiąc (bo cóż można było w tych warunkach powiedzieć!), podali płaczącego noworodka.

Zajęto się dzieckiem, ogłoszono, że ktoś je podrzucił. Zostało ochrzczone i otrzymało imię Weronika.

Chowała się mała dziewczynka wśród nas do końca wojny. Uratowało jej w ten sposób życie.

Co do bunkra, to zima w nim była oczywiście dokuczliwa, ale jeszcze znośna. Gorzej, że zdarzali się zdrajcy, którzy bacznie obserwowali wszystko i donosili Niemcom. Pewnego dnia wpadli do nas prześladowcy, a gdy rewizja nic nie dała, żelazną piką kłuli ziemię. Przebijali wszędzie gdzie się dało, zaciekle drążyli... Widać, że byli dobrze poinformowani, bo szukali tylko u mnie. Ostrze piki przeszło koło twarzy ukrywającego się Żyda, nawet ją zadrasnęło. Wytrzymał to dzielnie, ratując życie.

Z powodu tych ukrywanych Żydów dogryzali mi, a nieraz prześladowali mnie znajomi, nawet ci należący do AK. W nocy przyszli Ludwik Majcher, Karol Boksza, Józef Urban z Jadownik, Mokrych i jakiś towarzyszący im mężczyzna z Borzęcina. Pod groźbą zamordowania żądali ode mnie 50 tysięcy złotych za zachowanie tajemnicy o tych Żydach. Sprzedałem pół morgi ziemi i dałem im ten okup w żądanej kwocie 50 tysięcy. Później przychodzili jeszcze z wódką i musiałem kryć się przed tymi wizytami.

W tym czasie szantażyści przebywali w lesie, chodzili uzbrojeni w pepesze. Innym kazali kłaść pieniądze na progu domu. W dniu obławy 4 maja 1944 roku, poszedłem do matki i w drodze pojmali

mnie Niemcy. Zaprowadzili mnie pod dawny sklepik. Tu przyprowadzili także Stanisława Burzawę, z rękami podniesionymi w górę. Zrabowali mu z kieszeni zwitek pieniędzy. Pytali dokąd szedłem. Kazali zatrzymanym uciekać, ale zaraz do nich strzelali. Zapalili stodołę Burzawy, którą zresztą ludzie zdołali ugasić. Władysława Burzawę zastrzelili. Kiedy indziej w podobny sposób zabili pięciu ludzi. Udało mi się uciec do Miechowic Wielkich, ale tu z kolei natknąłem się na Niemców, którzy zaprowadzili mnie pod kościół. Było tu już wielu ludzi, doprowadzonych w podobny sposób. Na drodze leżał trup zabitego wcześniej Władysława Burzawy. To samo spotkało jego brata, Jana, a ojca z innymi zaprowadzili do lasu. W odległości 300 metrów leżał zastrzelony Jan Spyrka. Zginęło w tej morderczej pacyfikacji wiele osób.

Gdyby mnie to spotkało, żydowscy zbiegowie musieliby opuścić mój dom. Czasem w nocy pukali do mnie i prosili o pożywienie jeszcze inni Żydzi. Wędrowali polami, widzieli dobrze, że na drogach pełnią przymusową służbę straże nocne. Zdarzyło się raz, że dwaj chłopcy Ludwik Urban i Jan Stanuch poszli do dziewczyny pod wał Dunajca. Obaj byli z Jadownik Mokrych. Od strony Miechowic nadeszło dwóch Niemców i zabrali obu na posterunek do Wietrzychowic, a mnie – do więzienia w Tarnowie. Co dzień przesłuchiwali mnie i bili.

Torturowali mnie w tak zwanej czarnej sali, w siedzibie gestapo przy ul. Urszulańskiej. Trwało to cztery tygodnie. Pytali mnie ciągle o partyzantów, o Żydów. Zaprzeczałem, tłumacząc, że stale pracuję i nie znam nikogo z podejrzanych. Kładli mnie na podłodze i bili gumą albo tłukli w twarz, aż krew tryskała. Ostatecznie puścili nas siedmiu z Jadownik i po jednym z Woli Pogorzelskiej oraz Putów. Puścili Jana Podsocha, Józefa Burzawę, wysiedlonych braci Żeleznych i Józefa Wilka.

Zdarzyły się niestety wypadki pospolitego bandytyzmu, pod płaszczem podziemnej działalności. Jacyś złoczyńcy, mieniący się partyzantami, ojcu mojemu zabrali pieniądze i tytoń, a nawet zbili 70-letniego starca, każąc mu leżeć krzyżem na podłodze. To byli ci

sami, którzy szantażowali mnie, nawet się nie maskując. Wszystko za to – mówili mojemu ojcu – że jego syn ukrywa Żydów.

Jeden z tych napastników, Józef Urban, zwany Sobkiem, uprawiał dwie morgi gruntu pożydowskiego. Zginął w Borzęcinie, w czasie obławy, będąc otoczonym ze wszystkich stron. Nie widząc innego wyjścia, sam się zastrzelił. Po śmierci chłopi go kopali i znieważali cieleśnie za te rabunki. Niemcy mieli oko na te niesforne okolice, a to miało zawsze swoje tragiczne skutki.

Raz w zimie partyzanci z oddziału leśnego zabrali mi świnię i od razu siekierą ja zabili, bo nie mieli co jeść. Zaraz władowali ją na wóz. Potem okazało się, że ukrywali się oni u Marii Kozioł w Jadownikach Mokrych. Innym razem w lecie znajomy Krzciuk i z Sikorzyc jego koledzy zabrali sołtysowi dużego byka, ale z powodu upału połowę wyrzucili do lasu, nie zdążyli zjeść całego. Podobno byli w AK, ale wtedy nikt nie był pewny tej przynależności.

Andrzej Kluska, miejscowy rolnik, przynosił przesyłki pocztowe i ogłaszał zarządzenia, sygnalizując swoje Zbliżanie się grą na trąbce. Mieszkańcy musieli wtedy wychodzić z domów i słuchać. Ciągle przestrzegano przed przechowywaniem Żydów.

Mimo tych ostrzeżeń i zagrożeń, a nawet prześladowań ze strony nikczemnych ludzi nie usunąłem Żydów. Byli u mnie bez przerwy i tylko w nocy wychodzili do mieszkania. Po wojnie Szymon Goldberg zamieszkał w Paryżu, zajmował się prasowaniem odzieży. Obecnie jest na emeryturze. Przysyła paczki. Adam Merc, który nas odwiedzał, jest wykładowcą ekonomii na uczelni w Danii.

Wielu Polaków z naszej okolicy zginęło, spiesząc z pomocą prześladowanym Żydom. W czasie jednej z obław Aleksander Grajdura ukrył się w kukurydzy i tam go Niemcy zastrzelili. Bał się, bo wiadomo było, że pomaga Żydom. Franciszka Kosteckiego aresztowali Niemcy w lesie. Męczyli go w Tarnowie. Na koniec otworzyli furtkę, niby wypuszczając, a w rzeczywistości strzelając do wychodzącego. Wiadomo, że podobnie jak inni, pomagał Żydom i ratował ich. Największym postrachem tych prawdziwych dobroczyńców był żandarm Engelbert Guzdek. Jeździł on często, wszystkich

zaczepiał, wpadał do domów... a ja przecież mieszkałem z Żydami przy ruchliwej szosie. Mój ojciec konnym wozem podwoził go nieraz z Otfinowa do Gorzyc.

Akowcy łapali zdrajców i likwidowali. Na Pojawiu, koło Zaborowa, członkowie AK wyprowadzili z domu żonatego rolnika i zastrzelili go. Czy słusznie, kto to wie? Różnie wówczas bywało, mogło też nie wszystko być jasne z zastrzelonym wtedy Kołodziejskim.... Co do Guzdka, to jeździł on wozem, a sołtys wyznaczał furmanów, zwykle spośród starych ludzi. Mój ojciec miał chory pęcherz i z tego powodu zatrzymywał się w drodze, ale Guzdek jakoś to tolerował. Był natomiast nieprzejednanym wrogiem Żydów i tych, którzy im okazywali pomoc. Żydów, uwięzionych w getcie, przywożono do Pałuszyc i Nowopola. Tutaj, zmuszeni do niewolniczej pracy, sypali wał, podnosili go dla zabezpieczenia przed wylewem Dunajca w pobliżu jego ujścia do Wisły. Ziemię trzeba było wozić taczkami po desce na coraz to większa wysokość. Deski się uginały, często spadali.

Pracy towarzyszyło nieustanne bicie. Głodni, a głodowali właściwie wszyscy Żydzi, wymykali się na wieś w nadziei zdobycia chleba. Na noc wywożono ich z powrotem. Słabsi nie wytrzymywali tej morderczej pracy i nieludzkiego traktowania. Ginęli jak muchy.

Wojnicz

Uratowani przed zagładą

Zeszyty Wojnickie, nr 2 (22) luty 1994 r.

Icek Rosenbaum i dwie siostry Lirt, Bronka i Dorka uniknęli getta. Ich rodziny przeszły gehennę zakliczyńskiego getta i najprawdopodobniej zginęły w Oświęcimiu. Rosenbaumowie prowadzili sklep z artykułami żelaznymi w Rynku (tu gdzie dziś mieści się restauracja „Kasztelańska"), a Lirtowie mieli sklep spożywczy przy ul. Krakowskiej. Były to bogatsze rodziny żydowskie.

Icek i Lirtówny ukrywały się w różnych miejscach. Jednym z nich była kaplica grobowa Stadnickich na wojnickim cmentarzu. Mieli z niej możność obserwowania terenu przez mały otwór w blaszanej kopule, a trzeba wiedzieć, że Niemcy w pobliżu tej kaplicy urządzili specjalny posterunek – budkę, w której wartował niemiecki żołnierz. Jego zadaniem było obserwowanie m.in. cmentarza. Tam właśnie Władysław Przeklasa i Franciszek Karaś potajemnie donosili jedzenie siostrom Lirt i Ickowi. Organizatorem przedsięwzięcia był Karaś. Dziś już nie sposób ustalić jak długo tam przebywali, bowiem zmieniali często miejsca. Dłuższy czas, może nawet półtora roku Lirtówny ukrywały się u Laskównej w Ratnawach, która była dobrą znajomą Lirtów sprzed wojny. Większość osób, które im pomagały nie żyje i nie da się już odtworzyć szczegółów.

Ukrywali się też przez pewien czas na strychu drewnianego domu, krytego eternitem, znajdującego się na końcu ul. Długiej (obecnie pod nr 1). Tak opowiada o tym 86–letni Władysław Przeklasa: Był to dom Leibów, którzy prowadzili sklep spożywczy. Gdy dom opustoszał po ich wywiezieniu do getta, w jednej jego części prowadziłem warsztat stolarski, a w drugiej znajdował się magazyn cukru, którego pilnowali żołnierze niemieccy dozorujący prace przy kopanym w pobliżu „pancergrabie". Pewnego dnia przyszedł

do mnie Ignac, przywitaliśmy się, bo znaliśmy się od dawna i byliśmy na ty. Zapytał mnie, czy znam Lirtówny oczywiście znałem je dobrze. Powiedział, że przyprowadzi je z cmentarza. Byłem już wtajemniczony przez Karasia, więc nie sprzeciwiłem się, choć przecież się bałem. W wypadku ujawnienia przechowywania Żydów, Niemcy rozstrzelaliby wszystkich – ich, mnie i moją rodzinę. Bronka miała 20 lat, a Dorka 22 lata i była w ciąży. Spały na strychu z jednej strony komina, a z drugiej było wejście po drabinie zastawione tykami z grochem była to już jesień. Sąsiedzi nie wiedzieli o tych Żydówkach, może tylko najstarsi. Nie wiedziała o nich nawet moja żona. Któregoś dnia Niemcy, którzy pilnowali tego składu cukru, a mieszkali u Grylowej, upili się bimbrem i przyszli do „lejbówki". Byłem tam z którymś ze swoich wojnickich kolegów. Rozochoceni Niemcy strzelali w sufit, a były wtedy na strychu Bronka i Dorka. Gdyby wówczas krzyknęły lub w jakikolwiek sposób zdradziły swą obecność, doszłoby do tragedii.

Po tym wypadku ze strzelaniną Przeklasa namówił swego szwagra Piotra Gurgula z Łysej Góry (ich żony były siostrami), aby przyjął całą ukrywającą się trójkę do siebie. Piotr Gurgul był odważnym, podobnie jak Przeklasa prowadził nasłuch radiowy przez cały okres okupacji G. Dorka, która już była w wysokiej ciąży został przewieziona furmanką, załadowano na furmankę szafę i w niej ukryto Dorkę. Ignac i Bronka poszli pieszo. Tam Dorka urodziła córkę, nadano jej imię Helena. Niedługo potem skończyła się wojna.

Po wojnie Ignac i Dorka (już jako małżeństwo) kilkakrotnie przyjeżdżali do Wojnicza z Paryża. Odwiedzali wtedy Przeklasę, Karasia i Gurguli w Łysej Górze. Okazywali im swoją wdzięczność. Odnaleźli ukrytą skrzyneczkę z kosztownościami i chcieli wynagrodzić trud Karasiowi, chcieli mu coś dać z odzyskanego skarbu, proponowali mu też pole „lirtówkę" – ale on nic nie wziął. Mówiłem mu – wspomina Przeklasa – choćże ze mną, jak ci coś dadzą, to sprzedasz, jak się ożenisz to ci się przyda ... ale on nie chciał, taką miał naturę. Zrobił ostrą minę, odwrócił się na pięcie

i odszedł. Franciszek Karaś był barwną postacią, znało go wielu. Był piłkarzem, grał w orkiestrze. Często popadał w zadumę i wówczas powtarzał charakterystyczne zdanie: „Życie ludzkie nie ma ceny". Niektórzy sądzą, że właśnie w czasie tragicznej okupacji zakochał się w Bronce i tego uczucia nie mógł zatrzeć czas. Franciszek Karaś zmarł 2.IV.1978 roku w wieku 66 lat i pochowany został na wojnickim cmentarzu. Na ufundowanym przez Ignaca i Dorkę nagrobku z fotografią umieszczona została mała kajnerowa tabliczka z wygrawerowanymi literami: D. R. i I. R. Dla znających opisywane tu zdarzenia napis jest zrozumiały, litery oznaczają: Dorka Rosenbaum i Ignac Rosenbaum.

Władysław Przeklasa przechowuje listy, jakie otrzymywał z Paryża. Przytaczamy treść jednego z nich, który otrzymał przed około 20–laty.

Paryż 29/IV

Moi Drodzy Kochani Wszyscy!

Dostałam od Was list z Życzeniami Świątecznymi, bardzo się ucieszyłam, bo długi czas do nas nie pisaliście, Proszę mi wybaczyć, że nie odpisałam zaraz, bo mamy dużo trosk. Najpierw ja byłam trochę chora w szpitalu, teraz Ignatz znów dość długo choruje na serce. Życie w tak dużym mieście jest bardzo męczące i szybko traci się zdrowie. Chcielibyśmy się wybrać do Polski żeby się z Wami zobaczyć, ale podróż dla Ignatza przy jego zdrowiu jest bardzo męcząca. Może, Bóg da, kiedyś nam się to uda. Jestem bardzo ciekawa co u Was słychać i Gurguli, czy zdrowi. Helusia nasza wyszła za mąż do Ameryki do Kalifornii. Broni dobrze się powodzi, ale ona nie bardzo się kimś interesuje, ale ja o niczym nie zapomniałam (...). Bardzo będziemy się cieszyć jak nam znów parę słów napiszecie. Pamięta Mischelle Wasze ładne dziewczynki. Zasyłam

moc serdecznych pozdrowień dla Was i bardzo proszę pozdrowić od nas Gurgulów i Franka. Napiszcie nam.

Rosenbaum

Wymieniona w liście Helusia, to właśnie ta córka Dorki, która urodziła się w Łysej Górze, a Gurgulowie, to ci, którzy przyjęli ciężarną Dorkę do swojego domu. Pozdrowienia przeznaczone były do Franciszka Karasia. Gdy list ten nadszedł nie żyli już Gurgulowie. Bronka – jak powiedział Przeklasa – listu nigdy nie napisała.

Dziś już nie żyje ani Karaś, ani Dorka i Ignac. Pamięć o nich powinna jednak trwać. Karaś, Gurgulowie i Przeklasa nie otrzymali szczególnych wyróżnień, nie przyznano im tytułu „Sprawiedliwi wśród Narodów" – może z powodu ich skromności, nie chwalili się, nie zabiegali i nie podkreślali swych zasług.

J. Ch.

Tekst został opracowany w oparciu o magnetofonowy zapis rozmowy z p. Władysławem Przeklasą i p. Kazimierzem Kurkiem odbytej w lipcu 1993 r.

Rosenbaum miał na imię Icek lub Ignac – w tekście występują przemiennie oba te imiona. Wzmiankę o prowadzonym przez W. Przeklasę nasłuchu radiowym w czasie okupacji znaleźć można w: Aleksandra Pietrzykowa, Region tarnowski w okresie okupacji hitlerowskiej – polityka okupanta i ruch oporu, Kraków 1984, s. 307, 310. Konspiracyjne nasłuchy radiowe w Wojniczu i okolicy wymagają osobnego szerszego opracowania.

Zakliczyn

Wpław przez Dunajec

Stanisława Witek z domu Kaczmarczyk ur. 25.V.1922 roku w Stróżach. Rodzice mieli gospodarstwo czteromorgowe, mieszkali w środku wsi. Stodoła i obora pod strzechą. Brak było jednak konia. Brat mój Jan o dwa lata starszy wybrał w słomie norę dla Żyda, który przybył do nas jesienią 1942 roku i tam przebywał w dzień. W nocy chodził do obory przez boisko. Nad chlewikiem była zamaskowana klapa i tędy też dostawał się do obory. W oborze tej mełł zboże w żarnach, a sąsiedzi słyszeli i myśleli, że to ktoś z nas miele.

Berek Flaumenchaft urodził się w Stróżach w jednym dniu z mym bratem, uczęszczali do jednej szkoły. Rodzice Berka mieli sklep z towarami mieszanymi, który w roku 1937 sprzedali Polakowi, Kubickiemu i wyjechali do Brzeska. Wkrótce Niemcy umieścili ich w barakach getta w Czchowie i zatrudnili przy budowie zapory. Przed zimą kończyła się praca. Berek przyjaźnił się z jednym z dozorców i ten uprzedził go i jego starszego brata Monka: jeśli macie dokąd, to uciekajcie.

Przeszli wpław Dunajec do wsi Dróżków i lasami podeszli do swej rodzinnej wsi. Brat mój Jan dowiedział się, że obaj są w lesie, więc poszedł do nich. Berka przyprowadził do nas, a drugiego do Bocheńskiego we wsi Górki Stróże, pod sam las. Brat opowiadał, że trzeba było tam piąć się w górę, a to możliwe jest tylko w czasie słonecznej pogody. Z góry widać całą okolicę, a nie tylko 4 hektary nieba, jak z doliny. Tu koczowali na mchu, pod rozłożystym świerkiem, sto metrów od brzegu lasu. Mieli stare koce, kurtki, brat dorzucił starą odzież, nawet łachmany zabrali, bo chroniły ich przed zimnem. Z gałęzi zrobili zadaszenia. Na wszelki wypadek w gęstwinie, blisko strumyka urządzili sobie bunkier w ziemi. W przypadku zagrożenia szli strumieniem, by zgubić pościg i zmylić psa tropiącego. W nocy schodzili z góry, podchodzili do domów znajo-

mych, np. do rodziny Spiesznych w Filipowicach. Byli to ludzie zaufani i pewni. Las stanowił własność Stefana Dunikowskiego, który był majorem w wojsku i razem z zięciem Dąbrowskim z Łososiny zginął w Katyniu. Niemcy odkryli jego mogiłę i żonie przysłali znalezione tam po nim pamiątki. Dunikowscy byli zamożni, posiadali 200 ha gruntu ornego, trzy folwarki w Sądeckiem: w Łososinie, w Białej i jeszcze gdzieś trzeci. Dobra te obejmowały góry i lasy. Po 1900 roku kupili je od Żyda. Dwór murowany, dziś Państwowy Dom Pomocy Społecznej (dla upośledzonych kobiet).

Z przyjemnością opowiadam o nich, bo byli przykładnymi patriotami. Major w 1939 roku miał 70 lat, ale zgłosił się dobrowolnie na front. Porwał rezerwistów w okolicy, konie z dworu i ze wsi i pojechali na wschód.

Pozostała żona i rządca Ukrainiec Czernyk, który umiał grać komedię przed Niemcami, zdołał ułożyć swoje stosunki z nimi na płaszczyźnie niby przyjacielskiej, a faktycznie chronił wieś. To od nich przeciekały informacje np. o mającej się odbyć w lesie obławie. Do miejsca, gdzie Żydzi się ukrywali szło się jeden kilometr przez górkę i las. Tą trasą brat do nich chodził. Od lata 1943 roku kryli się w lesie, ale oprócz zimy. Od czasu do czasu chodził po lesie leśniczy, ale najgorsze były patrole z Niemcami i psami. Wysoka góra i gęsty las zniechęcały przybyszów do solidniejszej penetracji. Raz omal nie odkryli naszych uciekinierów, którzy nagle spostrzegli, że w odległości może pięćdziesięciu metrów przechodzi leśniczy z dwoma żandarmami, czy też policjantami, jednak dało się poznać, że ich nie widzą. Starszy brat chciał uciekać, ale Berek skoczył mu na plecy i zatkał usta. Pozostali pod świerkiem i nie zostali zauważeni. Niebezpieczeństwo minęło. Brat zanosił im worki, aby mogli udawać się w pola i gromadzić zapasy nawet na zimę. Robili to bardzo ostrożnie, aby nie zostawiać śladów, nie zdradzać swej obecności w tym niedostępnym górzystym zakątku. Odwiedzali dworską plantację bobiku, ładowali bobik do worków i nosili pod górę. Nie raz zostawali w plantacji na jeden, dwa dni i dopiero w nocy wynosili zdobycz.

Gromadzili też owoce z myślą o suszeniu. W zimie razem z kaszą stanowiły doskonałą potrawę. Brat zaniósł im piecyk dymarkę, pod którym palili. Gotowali ten bób, owoce i to co znaleźli.

Najgorzej było na przedwiośniu. Brat dał im naczynia i odzież. Ja najczęściej robiłam pranie. Łatałam i cerowałam. Brat był łącznikiem, nosił tam i z powrotem. Na zimę Berek przyszedł do nas i chował się w dziurze wydrążonej w słomie, gdzie przebywał w dzień. W nocy zachodził do obory, bo tam było ciepło. W sobotę w oborze stawiałam duży cebrzyk ciepłej wody, aby mógł się wykąpać. Zmieniałam też bieliznę. Stale miał wodę w wiadrze. Fekalia wyrzucał do rowka odprowadzającego gnojówkę. Był bardzo ostrożny, nie pokazywał się w domu, jedynie, gdy był w lesie, to po chleb, mleko, jaja przychodził do domu. W zimie nie wychodzili. Ta ostrożność była niezbędna, bo przychodzili różni ludzie, a nie zawsze wiadomo było, kto zacz. Sołtys Jan Bagiński wyznaczał ludzi na przymusowe roboty do Niemiec. Agent niemiecki zabierał ich stąd. Bliskość szosy (30 metrów) od domu sprawiała, że zawsze musieliśmy być gotowi na przyjęcie kogoś nieproszonego. Niemcy wciąż jeździli tą szosą. Dom nasz stał się obiektem szczególnego zainteresowania ośrodków władzy okupanta, gdy wyszło na jaw, że moi dwaj bracia księża narazili się Niemcom. Jeden Stanisław jako zakładnik w Nowym Sączu został rozstrzelany wraz z innymi w Biegomicach za cegielnią. Wtedy to za jednego Ukraińca zastrzelili 450 osób spośród inteligencji: sędziów, adwokatów, nauczycieli, farmaceutów itp. Drugi brat ks. Tadeusz był kapelanem ZWZ–AK w Zagórsku k. Radomyśla Wlk. Zdradzony został przez młodego chłopaka przyjętego do podziemia. Obaj bracia ukończyli Wyższe Seminarium Duchowne w Tarnowie. Było nas jedenaścioro. Mam list Tadeusza napisany na znalezionym gdzieś skrawku papieru w przeddzień egzekucji. Napisał tam, że ginie za wiarę i ojczyznę. Pożegnał się z rodziną. Śledztwo w tej sprawie toczyło się prawie pół roku i przez ten czas brat przebywał w więzieniach.

Po śmierci dwóch synów, którzy byli w ruchu oporu, matka popadła w apatię. Rodzice nie wiedzieli, że pod naszym dachem jest

Żyd. Żyd biedny, nie mający czym płacić za pomoc. Po wojnie Berek zmienił nazwisko na Śliwiński i pracował jako wysoki funkcjonariusz Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie. Kiedyś odwiedził nas, nawet kartkę wysłał, ale bez adresu zwrotnego. Kontaktu więc nie ma. Brat Berka Monek zimy spędzał w zagrodzie Michała Bocheńskiego, mówi o tym ich adoptowana córka – dziś Irena Grecka.

Nazywam się Irena Grecka, a byłam wychowanką ś.p. Michała Bocheńskiego i jego żony Justyny Bocheńskiej. W czasie okupacji niemieckiej mieszkaliśmy w starym domu drewnianym, pod strzechą, w bardzo bliskiej odległości od dużego obszaru lasów, będących własnością dziedzica ze wsi Stróże (odległość około sześć kilometrów). Do chwili obecnej mieszkamy w tym samym miejscu, tylko że dom jest adaptowany na murowany. Przysiółek Górki leży nad wsią Stróże, z której to wsi właśnie wywodzili się Żydzi noszący ówcześnie nazwisko Flaumenchaft Monek i Berek. Po wyzwoleniu zmienili nazwisko na Śliwiński, a po przyjęciu chrztu także imiona na Michał i Bolesław. Obecnie żyje tylko Bolesław Śliwiński, gdyż Michał zmarł kilka lat temu.

Rodzice tych Żydów przed rokiem 1939 mieli we wsi Stróże sklep i dom, w którym mieszkali. Z nastaniem okupacji niemieckiej i prześladowania Żydów przez Niemców, rodzinę tę wywieziono do getta w Zakliczynie, a dwóch ich synów, których wymieniłam, Niemcy wywieźli do obozu na zaporze Czchów–Rożnów, gdzie obaj pracowali. Na przełomie roku 1942/43 zaczęto również z tego obozu pracy wywozić Żydów do gett i wtedy to właśnie tych dwóch Żydów zbiegło z tego obozu, udając się w swoje strony, tj. do Stróż. Wieś Stróże położona jest obok drogi łączącej miejscowości Zakliczyn – Czchów, dlatego oni wybrali sobie teren położony nad Stróżami, tj. przysiółek Górki, do którego przylegają duże obszary lasów. W okresie lata Żydzi ci robili sobie ziemianki i szałasy, natomiast przez okres dwóch zim, tj. 1943/44 i 1944/45 mieszkali w naszym domu. Moi przybrani rodzice byli biednymi ludźmi, ale dzielili się posiadaną żywnością z ukrywającymi się Żydami, którzy również byli biednymi ludźmi, nie posiadali bowiem ani pieniędzy, ani nic innego. Narażaliśmy się bezinteresownie, aby ratować im życie. Żydzi wiedzieli, że żyliśmy skromnie, dlatego nocami udawali się do Stróż, do swoich znajomych i przyjaciół, od których otrzymywali chleb, mleko, inną żywność, odzież, buty itp.

Były też chwile bardzo dramatyczne, gdyż w pewnym okresie w tych samych lasach stacjonowała jednostka partyzantów Armii Krajowej i tych dwóch Żydów otrzymało rozkaz opuszczenia tych terenów ze względów politycznych, a w razie niezastosowania się, grożono im wyrokiem śmierci. Jednak i w oddziale AK Żydzi ci mieli kolegów z ławy szkolnej i w jakiś sposób sprawa ta uspokoiła się. Przetrwali oni do chwili wkroczenie wojsk sowieckich 18.01.1945. Dosyć długo nie mieliśmy z nimi, dopiero w roku 1969 Michał Śliwiński zaprosił nas do Krakowa, następnie odwiedził nasz dom i miejsce, gdzie się ukrywali. Jeszcze jest jeden kontakt z żyjącym Bolesławem Śliwińskim, który przysyła kartki z życzeniami świątecznymi i noworocznymi. Wiadomo mi, że kartki takie przysyła również do byłych swoich sąsiadów w Stróżach. Bolesław na kartkach tych nie podaje swojego adresu, a nadawane są w Warszawie, gdyż tam mieszka.

Wiadomo mi, że jeszcze w roku 1990 Bolesław odwiedził swoich przyjaciół w Stróżach, jak również, że był kilka lat temu na uroczystościach w lasach Stróżskich (odsłonięcie Pomnika AK).

Nadmieniam jeszcze, iż wiadomo mi, że nieżyjący Michał Śliwiński pracował w Służbie Milicji w Krakowie, a Bolesław Śliwiński był wysokim urzędnikiem w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w Warszawie.

Żywili i leczyli

Tadeusz Osyszko ur. 26.XII.1936 r. w Kończyskach k. Zakliczyna. Zakliczyn to wieś o charakterze miejskim na Pogórzu Cięż-

kowickim w pobliżu Dunajca, przy trasie z Krakowa do Sączów i Grzybowa.

Ojciec Władysław miał gospodarstwo rolne (2 ha) bez konia i jedną krowę, bo resztę krów Niemcy zabrali na kontyngent. Drewniany dom pod strzechą stał na łagodnym zboczu zalesionego pogórka, gdzie przetrwał do dziś. Najbliższy sąsiad mieszkał w odległości stu pięćdziesięciu metrów.

Domostwa rozproszone, krajobraz obfitujący w góry, w pagórki, wąwozy i lasy. Teren trudno dostępny. Z góry widać było ruch na szosach i drogach. Dwaj Żydzi uciekli z Rożnowa, gdzie pracowali przy utwardzaniu jezdni, a także przy budowie zapory. Praca ta dobiegała końca.

Jeden to Norma Fruger z Łukianowic koło Tarnowa w gminie Wojnicz. Opowiadał, że uciekali przez pola. Zdarzyło się nawet, że pasterze wołali: łapać Żyda! Ale to były głosy smarkaczy, niedorostków, ale dorośli zaraz ich poskromili. Dobrnął do Biskupic Melsztyńskich, gdzie w domu Andrzeja Cichego ukrył się.

Jesienią 1944 roku wuj Jan Budzyn przyprowadził go tu do Kończysk. Początkowo siedział w sianie nad oborą, a od strony stodoły zasłonięto to miejsce kitkami. Wchodził tam po drabinie. Potem obaj z ojcem wykopali nowy bunkier w środku kuchni. Wymościli go deskami i przykryli drewnianym stropem, po czym zasypali ziemią. W piwnicy w ziemi tkwiły drzwiczki prowadzące do schronu. Mały niewidoczny uchwyt służył do podnoszenia drzwiczek. W razie zagrożenia drzwiczki zasypywaliśmy ziemniakami, które w dwóch, trzech workach stały przy piecu.

Najczęściej przebywał w mieszkaniu, a gdy ktoś szedł to tam uciekał. Stale obserwowaliśmy dolinę i ruch na drogach. Norma Fuder zjawił się u nas jesienią 1944 roku. Miał wtedy 22 lata. Miesięcznie płacił 100 złotych, rodzice mieli tylko jeden sklep, więc nie był zamożny. Nikt go tu nie odwiedzał, bał się zdrady. Z jednej miski jedliśmy, różnic nie było, kto zjadał szybciej, temu się więcej dostało. Najczęściej ziemniaki i barszcz. Ratowały nas ziemniaki

i mleko, bo chleba brakowało. Z zawodu był stolarzem, ale miał zdolności i pomagał mi w nauce.

Byliśmy wszyscy przerażeni, gdy zachorował na czerwonkę. Rodzice wyleczyli go suszonymi borówkami i ziołami z lasu.

Raz rodzice pojechali na jarmark do Zakliczyna. Żyd siedział na nalepie i kimał. Nagle niezauważona, starsza ode mnie kuzynka wpadła i spostrzegła go, o czym powiedziała ojcu, Karolowi Budzynowi. Odtąd nieszczęście zawisło nad nami, bo nasi rodzice pozostawali w złych stosunkach, nie raz dochodziło do kłótni.

Karol był nerwowy i miał przy tym wadę wymowy, co stwarzało komiczne sytuacje. Wnet z jego ust padła groźba: – Kuwa mać ty chowas Zyda, jo lece na gestapo!

Żona jego była rozważniejsza i ledwie go zawróciła słowami: chces żeby nos spalili i zabili? Kilka dni potem przyszedł do nas granatowy policjant, zagadywał i rozglądał się po kątach. Długo siedział z karabinem w ręku, a żyd w bunkrze.

Policjant zapewne myślał, że Żyd jest w lesie i tylko czasem przychodził, więc czekał i w okno spoglądał. Spod kuchni, na zewnątrz za domem prowadziła zakryta darnią nisza do gnojowiska. Była to awaryjna droga ucieczki na wypadek pojawienia się gestapo z psem. Żyd miał rewolwer, ojciec także. Ucichło. Żyd sypiał w domu w szlufanku lub w stani na wyrku. Myśmy też tam spali. Jedynie w nocy wychodził w olszynowe krzaki. Opowiadał, że zanim do nas dotarł, ukrywał się ze swym ojcem w obrębie gospodarstwa, którego właścicielka nie wiedziała o tym. Obaj sypiali osobno w innych stodołach, u różnych gospodarzy i bez ich wiedzy. Wreszcie przerażona gospodyni zauważyła ich i narobiła krzyku. Niemcy zastrzelili Żydowi ojca, a on sam ledwo uszedł pogoni. Nie było to miejsce spokojne, bo w lesie kryli się partyzanci i nocą odwiedzali gospodarzy. Ktoś ich jednak zdradził. Do Jamnej i Jastrzębia wpadły trzy samochody wypełnione Niemcami, którzy spalili pół wsi jednej i drugiej. Pamiętam jeszcze, że nasza matka i inna miejscowa kobieta zanosiły do getta mleko, nie zawsze otrzymując zapłatę, bo nie wszyscy Żydzi byli zamożni. Za dostarczanie żywności groziła kara śmierci.

Przed wkroczeniem Sowietów w 1945 roku Niemcy zestrzelili samolot radziecki. Wuj przyprowadził dwóch rzekomo zestrzelonych lotników. Matka zrobiła zacierkę w nieckach, ale tego było za mało. Jako partyzanci poszli do gospodarza z bronią i dostali chleb, masło, słoninę. To byli Żydzi. W 1945 roku Sowieci podeszli do Ciężkowic przez Jastrzębie. Zanim tu przyszli, sądziliśmy, że to partyzanci starli się z Niemcami. Sowieci szli tyralierą przez pagórki, doliny i zbocza. Od Rożnowa uciekała niemiecka kompania i została otoczona we wsi Donia na górce. Dwóch Niemców zginęło. W nocy przyszło pięciu Rusków i wołali: puskajcie! Byli przemoczeni, suszyli onuce, a broń ustawili pod ścianą.

Pod domem stały czujki, bo bali się zaskoczenia. Nie wiecie co to jest komunizm zagadywali, ale zobaczycie. Trzeba przyznać, że zabrzmiało to złowieszczo. W menażkach gotowali kaszę, pili mleko. Rano czujka zawołała i szybko poszli.

Po przejściu frontu, zresztą tu w górach dość dziwnego, Żyd poszedł sobie. Okazało się, że Niemcy zdążyli wysadzić most na rzece Pokośniance, a po nim drugi w Słonej pod Suchą Górą. Natarcia jednak nie zatrzymali. Czerwonoarmiści zasypali ziemią koryto rzeki i przejechali. Koło mostu mieli ciężki sprzęt: czołgi, katiusze, amfibie. W Melsztynie, na górze, w ruinach zamczyska Niemcy mieli moździerz, bo tyle zdołali wydźwignąć. Z tego moździeża z odległości około pięciu kilometrów strzelali, ale pociski nie dosięgały pozycji sowieckich i pięćset metrów wcześniej rozrywały się w powietrzu.

Był jeszcze jeden ciekawy przypadek. Ukraińcy w służbie niemieckiej kwaterowali w klasztorze żeńskim w Kończyskach i męskim w Zakliczynie, by w górzystym terenie odbyć ćwiczenia. Pod koniec wojny partyzanci w Słonej pobili Niemców, ale byli nieostrożni i odpoczywając w stodole nie wystawili czujek. Trzeciakowski doniósł Niemcom, a ci z Ukraińcami otoczyli stodołę i śpiących spalili żywcem. Tylko trzem udało się uciec.

W roku 1949 Żyd przyjechał z Tarnowa na rowerze i na pożegnanie dał mi i bratu 500 złotych, ao jcu sukno na płed. Pojechał do

Niemiec, poznał Żydówkę z Litwy, pobrali się, po czym pojechali do USA. Nie pisali, bo jak później wyjaśnił ścigałyby nas oskarżenia o szpiegostwo.

W roku 1986 przyjechał do nas z kierowcą. Ojca zapytał czy poznaje? Ojciec jednak zaprzeczył. Mówił, że na Zachodzie jest ciężka praca, a przeżycia z okresu wojny zrobiły swoje. Obiecał dowiedzieć się o sposobie załatwienia medalu, ale wkrótce 8.I.1994 roku ojciec zmarł. Jeszcze coś dorzucę, z czego się zwierzył dopiero po latach. Otóż będąc u nas, prosił ojca o przeprowadzenie bocznymi ścieżkami przez Dunajec do jego domu w Łukianowicach, gdzie obok jego domu mieszkała pani Karaś. Miał z nią dwoje dzieci. Wiadomo mi, że córce wybudował willę w Łukianowicach.

Żabno

Droga cierpienia i nadziei

Należę do tych, którym udało się przeżyć piekło sowieckiego łagru, a potem uczestniczyć w marszu od Lenino do Berlina.

Nazywam się Anna Pociaszek z domu Salpeter, urodziłam się w roku 1910 w Żabnie. Jestem córką właścicieli restauracji. Przed napaścią Niemiec na Polskę pracowałam w charakterze maszynistki u brata Michała Salpetera, który był adwokatem przy Sądzie Grodzkim w Żabnie. Światlejsi Żydzi z trwogą śledzili rozwój wydarzeń w Niemczech; narastającą brutalność, barbarzyństwo nazistowskich pogromów. W latach 30., im bliżej tragicznego Września, tym wyraziściej widzieliśmy zbliżanie się apokalipsy, kresu naszej tu bytności.

Skutkiem rosnącej psychozy było dojrzewanie myśli o konieczności ucieczki, opuszczenia rodzinnego miasta. Pójście w nieznane, na tułaczkę, równało się nagłemu wyrzuceniu z gniazda. Przecież w tę ziemię nad Dunajcem wrastaliśmyjuż w XVII wieku, odkąd właściciel dóbr sprowadził naszych przodków dla ożywienia handlu i gospodarki w Żabnie. Wraz z rozwojem miasta Żydzi dostawali przywileje, mieli swój cmentarz (kirkut), dwie bóżnice. Wzorem innych ośrodków zajmowali się handlem i lichwą, z czasem w odróżnieniu od innych dóbr nie doświadczali przeszkód w nabywaniu ziemi i domów w mieście, później na południe od rynku. Prężnie się rozwijali, skoro przed rokiem 1900 stanowili ponad połowę ludności miasta. Niedługo jednak na miasto padł cień zbrodniczego hitleryzmu.

W roku 1939, kiedy jeszcze Niemców nie było, uciekaliśmy na wschód, tak samo czynili Żydzi dąbrowscy, nasi znajomi, mimo że nie wiedzieli co ich tam czeka. Władze radzieckie aresztowały nas Polaków w Przemyślu, pozbawiając wszelkich praw. W Mołdawii stłoczyli nas za drutami strzeżonych łagrów. I tak dostaliśmy się

w tryby sowieckiej machiny terroru i śmierci. Funkcjonariusze władz obozowych uważali nas za niewolniczą siłę roboczą, wyzuli z elementarnych praw. Wzorem tych zza Odry, poddali nas drakońskiemu reżimowi obozowemu ze wszystkimi tego faktu konsekwencjami. Strach, głód, codzienne poniżanie ludzkiej godności wpisywało się w nasze życiorysy. Znosiliśmy obrzydliwe inwektywy, byliśmy na dnie upodlenia. Rano budziłam się z pełnym lęku pytaniem: Czy podołam roli katorżnika, czy sprostam zarządzeniom nabają pisanym na spalonym od słońca grzbiecie? To był początek mej drogi krzyżowej. Modliłam się o to, by ten przez Boga zesłany krzyż był na miarę moich możliwości. W nocy rozmyślałam nad tym, czy i kiedy skończy się naznaczony pasmem cierpień mój żywot. Ustawicznie cenzurowałam się wewnętrznie, wiedziałam, że nieopatrznie wypowiedziane słowo może być wyrokiem. Ta świadomość była, poza fizycznie ciężką, wyniszczającą pracą, dodatkowym balastem, obciążeniem trudnym do zniesienia. Wieczorem nawiedzały mnie stany depresyjne, wątpić zaczynałam czy wytrzymam w tym morderczym kieracie. Przerażał sadyzm funkcjonariuszy najpośledniejszej kategorii, zdegenerowanych obwiesi o obrzękłych z przepicia twarzach. Ten siny obrzęk twarzy widzę we snach, słyszę opętańczy wrzask pełnomocnych przedstawicieli władzy radzieckiej; naszych panów życia i śmierci o aparycji półludzi i takiej inteligencji. Strach przed nimi , ich osobliwymi kaprysami, bywał gorszy od porażającego żaru słońca. Znać obóz od strony kuchni i pryczy to tyle, co wiedzieć jak pozyskiwać przychylność tych demonów nocy, które pierzchły, gdy robiło się widno. Tu wszystko było na opak, im lepiej, tym gorzej. Przekonały się o tym fizycznie dorodne panienki z tzw. dobrych domów. Strilci uosabiali cechy wszelkiego zwyrodnialstwa.

To oni pilnowali nas za dnia i w nocy, do pracy pędzili. Od świtu do zmroku szyliśmy materace, sienniki, nawet robiliśmy koraliki. To znów dla odmiany pędzili to ludzkie stado do lasu, do ścinania drzew. Na noc zamykano nas w łagrze otoczonym siatką. Diabelsko czarny pies strzelał szczęknięciami w poczuciu misji, którą zesłała

mu najbardziej postępowa ideologia. Widziałam jak rozszarpywał ludzkie truchło. Stale baliśmy się oskarżenia o szkodnictwo, sabotaż. Wszyscy byliśmy Polakami pojmanymi na granicy. Nie wiem czym nas karmili, bo wbrew temu co mówili, nie była to ani zupa, ani grzyby.

Wreszcie pękło ogniwo w tym łańcuchu udręczeń. Wieść się rozeszła o tworzeniu wojska polskiego. Nie wierzyłam, że te w skórę odziane szkielety, mogą przywdziać mundury, po trzech latach obozowej gehenny. Przejęta byłam pamięcią o tych, którzy odeszli, nie udźwignęli bólu poniewierki, zimna i głodu. Dla różnych artystów, niezaradnych wrażliwców, nie było tu miejsca. Po rozmowach Sikorskiego ze Stalinem wypuścili nas. Gen. Anders skierował wszystkich do Uzbekistanu i Samarkandy, do Wojska Polskiego. Ale co to było za wojsko. Broni, mundurów, ani żadnych stopni nie mieliśmy, nie odbywaliśmy żadnych ćwiczeń wojskowych. Części udało się pójść z gen. Andersem na zachód, a ja zbierałam bawełnę. Za pracę nam płacili.

Gdy już powstało to „właściwe", ludowe wojsko, które skierowano do Lublina, zaczęto tworzyć oddziały na ogólnie przyjętych zasadach. Sowieci dali broń. Pracowałam w cenzurze, przeglądałam listy od żołnierzy. Otrzymałam stopień plutonowego. Żadne pytania nie sprowokują mnie do uchylenia rąbka tajemnicy z owego okresu. Z innych źródeł wiadomo mi natomiast, że znajomy Urbanowski z Tarnopolskiego stracił krewnego, który odważył się współczuć żołnierzom *(oj chłopcy, taki mróz, a wy musicie wbijać pale przy zamarzającym brzegu Wisły).* Wyrok był najsurowszy: Rozstrzelano go na oczach wojska. Czy to nie jest kliniczny przejaw paranoicznej czujności?

Potem odesłano mnie w charakterze maszynistki do Prokuratury Garnizonowej w Warszawie. Tu zostałam zdemobilizowana. Za mąż wyszłam za Polaka. Obecnie jestem schorowana, katarakta utrudnia mi widzenie, miałam wylewy i inne schorzenia. W Żabnie mieszkam na południe od rynku, gdzie przed wiekami zaczęło się osadnictwo żydowskie. Symboliczny aspekt tego aktu aż prosi się

o zauważenie. Dodać warto jeszcze, że po zamknięciu getta we wrześniu 1941 roku pozostało jeszcze 600 Żydów, których ominęły deportacje. W końcu września wywieźli ich do obozu zagłady w Bełżcu. Pozostała 40–osobowa grupa porządkowa, zbiegła do lasu. Tu w Żabnie przechowani byli Żydzi przez odważnych polskich przyjaciół m.in. p. Knapika. Czy są Żydzi przechowani w bunkrze, a uchodzący za ocalonych z oświęcimskiego piekła; nie potwierdzam i nie dementuję. Tak czy owak pamięć o zagładzie Żydów nie może ulec zatarciu.

PS. Bohaterka wspomnień zmarła 31 stycznia 1986 r. w Tarnowie, napisano mi z USC z Żabna.

Biedni, ale ofiarni

Teraz mieszka tu córka gospodarzy Maria Bomba z domu Kostka. W czasie wojny gospodarzyli jej rodzice Józef i Józefa Kostkowie. Była wówczas kilkunastoletnią dziewczynką, ale pamięta wszystko. Najpierw to Franciszek Borsa zaczął kierować do tego domu szukających schronienia Żydów. U siebie miał już kilkoro. Może jesienią 1940 roku paroby Borsy: Kot i Niklas przyprowadzili małżeństwo żydowskie o nazwisku Werker. Byli to znani właściciele sklepu bławatnego z Dąbrowy Tarnowskiej. W Dąbrowie przy ulicy Daszyńskiego mieścił się Arbeitsamt, który także kierował Żydów do pracy u rolnikrów. Borsa był zamożnym gospodarzem i agronomem, też ich zatrudniał. Niemieckim kierownikiem tego biura był Juliusz Eimes, a polskim Mieczysław Banach, dziś zamieszkały na ulicy Bieruta (obecnie Marszałka Józefa Piłsudskiego).

Pierwszych Żydów ukryli Kostkowie w spiżarni, zwanej „komorą". Na dzień. A wieczorem szli spać razem z gospodarzami. Trzeba było dokładnie zamykać drzwi. Borsa dał Kostkom pieniądze na żywność, bo ciężko im było; mieli małe cztero i pół morgowe gospodarstwo. Ci Żydzi byli tam cztery miesiące. Drugi raz

też przyszli znów na wiosną i zostali do żniw, było to jednak bardzo niebezpieczne, bo w ogrodzie w namiotach kwaterowali niemieccy żołnierze.

Kuchnię mieli u sąsiada Pawła Paruli. Niemcy byli w całej wsi, a w lesie na Morzychnie posiadali magazyn broni. Werkerowie musieli wrócić do Borsy. Pozostała u Kostków Maria Pilkoltz ze wschodu, może ze Złoczowa, jasnowłosa Żydówka o aryjskich rysach, znająca religię katolicką znakomicie, tylko nie mogła nauczyć się klękania. Uchodziła za kuzynkę, obie Marie chodziły

do kościoła na nieszpory. Potem Mieczysław Banach wysłał ją pod fałszywym nazwiskiem na roboty do Niemiec, w ten sposób ocalając jej życie. Było to w 43–cim roku. Pisała do Kostków listy pełne wdzięczności jako Stanisława Peter. Przeżyła na wsi Morzychna tylko zimę, ale to pomogło jej przetrwać. Odwiedziła te strony w kwietniu 45–go roku, potem wyszła za mąż, teraz żyje w Izraelu. Z przerwami przebywała też u rodziny Marii Bomby – Ewa Gruszów. Chroniła się tutaj, gdy u Borsów nasiliło się zagrożenie. Mieszka obecnie w Kanadzie – w Toronto. Maria Bomba pamięta też, że szef żandarmerii w Dąbrowie był dobrym człowiekiem, sprzyjał Polakom, niszczył wszystkim donosy. Tacy też byli.

A teren był wprost naszpikowany Niemcami. Wieś leży przy szosie prowadzącej z Dąbrowy do Żabna i Tarnowa. Trudno było kogokolwiek ukryć, panował duży ruch. W miarę zbliżania się frontu, Niemców było coraz więcej. Prawdę jednak mówią – wojskowi nie byli tak bardzo wrażliwi i wrogo nastawieni. Niemniej gdyby spotkali Żydów, musieliby donieść. Najdłużej byli u Kostków Werkerowie, ale sami wiedzieli czym to grozi. Najbezpieczniej było z Marią Pikolz, jest tu jej zdjęcie, przecież nie ma żadnych cech semickich, prawda?

Było czasem tak, że Niemcy stacjonujący w ogrodzie, wchodzili do stodoły, gdzie w sianie spali Żydzi. Nie wiedzieli naprawdę, czy nie chcieli wiedzieć, że żołnierze – kto to wie.

Dobrze dziś pomyśleć, że można było innym pomóc w miarę swoich sił. Nie wszyscy mieli jednakowe możliwości, nie wszyscy

chcieli ale coś jednak można było tym najbardziej prześladowanym. Może któreś życie zostało uratowane.

Litościwy policjant

Józef Knapik ur. 23.04.1907 r. w Niecieczy, obok miasteczka Żabna nad dolnym Dunajcem. Smak wojny poznaliśmy we wrześniu 1939 roku, kiedy to w tym rejonie na przeprawach przez rzekę doszło do walk i wieś ogarnął pożar.

Do Żabna chodziłem uczyć się zawodu krawieckiego, gdzie mistrzem był założyciel zakładu krawieckiego Żyd Jakub Wajsberg, przy ul. Otfinowskiej. I siedem lat byłem czeladnikiem. Uczyli się i inni Żydzi np. Jakub Eliasz, Jakub Naftali i brat Jakuba Icek. Icek został w końcu cholewkarzem.

Jeden z mieszkańców Żabna, restaurator Tadeusz Krzciuk, spisał 34 Żydów i rano gestapo wpadło z Tarnowa i zabrało ich. Przyszli i po mego mistrza krawieckiego, a ja u niego nocowałem wtedy. Zabrali wszystkich i wyprowadzili na błonie, które ciągnęło się wzdłuż wału Dunajca., gdzie był wąwóz i drzewa. Tu zastrzelili sporo, a resztę na rynku. Furmanki zawoziły ciała na kirkut.

Padli: Jakub Wajsberg, Wolf, Majerchof – właściciel sklepu żelaznego, Najguł – piekarz, Goldman – cholewkarz, Wajsman – właściciel sklepu, Pernes – właściciel sklepu tekstylnego. Na Żydów padł strach. Zabijali ich na ulicach pojedynczo, tu i ówdzie, niektórzy uciekali dokąd mogli. Dziewczynę odwiozłem wynajętym wozem i na pieszo do Opatowca, gdzie było spokojnie, i miała rodzinę. To była Szwarcman Mola. Gdy tam mordowali to uciekła do Żabna. Przechowała się gdzieś koło Morzychny.

Jankiel Wilk, syn właściciela sklepu przy ul. Otfinowskiej poszedł po pomoc do Otfinowa do ludzi, którym rozdał towary. Złapali go i zastrzelili na wale koło kościoła.

Po śmierci mistrza prowadziłem jego warsztat. Icek i Naftali ukryli się na strychu stajenki, żywiłem ich. W zimie mieli tu kożu-

chy, pierzyny w sianie. Stajenka pod dachówka. Teść mistrza był fiakrem i w tej stajence miał dużo siana. Gorące pożywienie nosiłem, bo w zimie było to konieczne. Ci z rejonu Morzychny bywali tu nocą po żywność, która im kupowałem. Jednego z nich bardzo zabolał ząb, jednak odważył się podejść pod dom dentysty Stanisława Króla i pukał delikatnie, długo. Dentysta, żyjący do dziś, wyszedł i uległ panice, w popłochu wrócił do środka. Zajście widział synek Ludwik. Dentysta zabrał torbę z narzędziami i poszli do tej stajenki usunąć zęba. Domy stały przy ul. Otfinowskiej, a zabudowania gospodarskie z tyłu od pól.

Raz wpadła policja, komendant policji Kowalik z „Fajka"–Lesińskim. Palii fajkę stad to przezwisko. Było to w nocy. U nas czatowali i gdy furmanki jechały zza Wisły z żywnością to ich łapali. I tak na przykład Tofel Żyd z Borusowej dowoził żywność do Tarnowa i tu mu konfiskowali, ale wtedy jeszcze nie mordowali Żydów tak masowo. Wieczór, może za rok, Żydzi zeszli ze strychu ok. godziny 23, by się posilić. Komendant Kowalik poszedł przez sień na zaplecze ku stajence. Żydzi schowali się w korytarzu za kominem starego drewnianego domu, ale ich zauważył. Zdrętwiałem i na pół żywy odszedłem. Wrócił do mnie i spytał czy czasem nie ukrywam Żydów. Nie wydał nas. A więc jemu zawdzięczam życie. Pochodził z Sieradzy.

Gdy w Żabnie działo się źle Żydzi poszli do Niecieczy, do mej stodoły i w sianie się kryli. Inne stodoły spłonęły w 1939 roku i dopiero budowano nowe. W gospodarstwie były dwie siostry moje i bratanica Zofia dziś Gaclon, która zanosiła żywność, siedzieli w dziurze. Niemieccy żołnierze wprowadzili na boisko konie. Za pomocą sznura wciągali Żydzi żywność, naczynia z pożywieniem w koszu, dzbanie. Nie mogli wyjść za potrzeba. Gdy Niemcy wychodzili na noc, żydzi schodzili po drabinie na zewnątrz i oddychali swobodniej. Gdy minęło niebezpieczeństwo wrócili do Żabna. Nic nie obiecywali i ja nic nie żądałem. Po wkroczeniu Rusków wyszli i zamieszkali przy ulicy Goldhammera w Tarnowie. Przed wyjazdem do Izraela sprzedawali majątki, place, kamienice. Moi byli

biedni, nic nie mieli. Wołowa załatwiała im sprawy w hipotece. Volksdeutscha Emila Krzciuka akowcy usiłowali zastrzelić po czym uciekł z Żabna. Po wojnie syn spotkał go w Stargardzie Szczecińskim. Emil zapytał, czy jest on synem krawca z Żabna. Już więcej syn go tu nie spotkał

Pod wspólnym dachem ze zbiegami

Dramatyczne lata okupacji i hitlerowskich represji pozostały głęboko w pamięci Feliksa Świerczka urodzonego w Gorzycach w 1913 r.

Miałem – wspomina – gospodarstwo o powierzchni 1 hektara w Gorzycach, w centrum dużej wsi przy drodze z Dąbrowy Tarnowskiej do Otfinowa nad Dunajcem. Tę drogę przecinała inna wiodąca z Żabna przez Kłyż. Owo skrzyżowanie dróg w pobliżu mego domostwa oznaczała wzmożony ruch kołowy i ciągła obecność Niemców.

Wstępowali do nas pod różnymi pozorami. Bywali też w pobliskim dworze, Jana Augustyńskiego. W moim domu mieszkała nauczycielka Janina Tarnowska, która pochodziła ze Zbylitowskiej Góry za Tarnowem i prowadziła lekcje w naszej szkole powszechnej.

Ta oto pani w 1943 roku przyprowadziła do mnie Franciszkę Kryształ i przedstawiła jako koleżankę. Udawałem, że ją znam, jeździłem koło jej domu w Tarnowie. Były przerażone, bo nie spodziewały się takiego obrotu sprawy. W rzeczywistości dostrzegłem jedynie podobieństwo do narzeczonego Tarnowskiej, który przyjeżdżał do niej z Tarnowa.

Bez dłuższych w wahań oświadczyła, że jest jego siostrą i że oboje są Żydami. Mimo grożącej za to kary śmierci, przyjąłem ją do domu. Mój 60–letni ojciec zaczął coś podejrzewać, pytał czy nasz gość ma „kenkartę" i czy jest stale zameldowany. Uzgodniliśmy, że ojca trzeba uspokoić.

Do zameldowania konieczna była „kenkarta" i jej zdobycie stało się dla nas zadaniem najpilniejszym. Janina znała Żyda, który miał pracować w Arbeitsamcie i zwał się Mieczysław Kampf. Mówili, że chodzi w mundurze gestapowca, a pochodzi z Tarnowa. Był rudy, nie zdradzał cech semickich i to decydowało powodzeniu jego konspiracji, a jednocześnie naszego planu.

Rowerem pojechałem do domu Tarnowskich w Zbylitowskiej Górze. Listopad, deszcz i śnieg, dokuczliwa chlapanina. Czekałem spokojnie, bo uprzedzono mnie, żebym się nie bał munduru gestapowca. Wieczorem przyjechał Mieczysław Kampf autem od strony stacji kolejowej. Zabrał zdjęcia Franciszki Kryształ i polecił mi czekać na „kenkartę". Przyniósł ją po północy, po powrocie z Krakowa. Zwinąłem „kartkę rozpoznawczą" w rurkę i włożyłem ją pod siodełko roweru, a rano byłem już w Gorzycach. Poszedłem potem do sołtysa Stanisława Starościaka. Ten od razu zapytał, co to za pani u mnie mieszka. Szło bowiem o to, że Janina Tarnowska zameldowała ją w gminie Otfinowie. Pomagała w pracach gospodarskich, prócz tego Franciszka Kryształ pasła bydło, wiązała snopki. Również w szkole pomagała pani Janinie poprawiać zeszyty. W rzeczywistości ta wszechstronna kobieta nazywała się Feiga Birken była urodzona w 1910 roku w Tarnowie. Ukończyła filologię klasyczną na Uniwersytecie Jagiellońskim, otrzymując dyplom magistra filozofii. Uciekła z getta.

Mieszkańcy Gorzyc, pytali mnie co to za jedna.

– Idźcie do nauczycielki – odpowiadałem – bo ją zna. To jest jej koleżanka, a „kenkartę" ma w porządku.

Dowiedziałem się, że jej brat ukrywał się w gospodarstwie Tarnowskich w Zbylitowskiej Górze. Matka Janiny bała się jednak, miała synów i to wykształconych. Jeden pracował u nas jako nauczyciel, ale w 1939, roku powołano go do wojska. Janina zawiadomiła mnie, że będzie na mnie czekał w polu brat Feigi Birken, który przeszedł do mnie jesienią, bywał już u Janiny wcześniej i znali go tam. Wyszedłem doń z obrzynkiem, czyli z karabinem z uciętą lufą. Okazało się, że mój rozmówca miał pistolet „szóstkę", Zabrałem

ukrywającego się do domu i zamieszkał z obiema paniami – siostrą i jej koleżanką – z tym, że nie miał się nigdzie pokazywać. Jego łóżko zasłonili parawanem.

Do pokoju nauczycielki nikt nie śmiał wchodzić. Na drzwiach przybita była jej wizytówka. W mieszkaniu nauczycielki bywał Józef Hareśniak, kolporter prasy konspiracyjnej. W czasie jego wizyt ukrywający się brat Feigi Birken leżał nieruchomo. Nieraz w nocy chodziliśmy na spacery w pole, zawsze uzbrojeni. Starał się mój współtowarzysz używać ruchu, biegał po łące. W dzień leżał w pokoju nauczycielki i nigdzie się nie pokazywał.

Po zameldowaniu się jego siostry Franciszki (takiego imienia używała) mój ojciec przestał się obawiać. Nie wtrącał się do całej tej sprawy. Zająłem się sprawam i gospodarskimi. w jesieni młóciłem maszyną sztychówką, be z oczyszczeni a ziarna z plew. Wtedy to właśnie Niemcy szukali robotników na wywóz do Rzeszy, rewidując zabudowania. Zaszedł do mnie dwuosobowy patrol. Wyłączyli mi maszynę i kazali iść razem z nimi do mieszkania. Ukrywającą się Żydówkę, uciekinierkę wcześniej wysłałem w pole, jej bratu kazałem się ukryć w piwnicy, gdzie wcześniej zrobiłem mu schowek. Były w tej piwnicy zapasy ziemniaków i buraków. Między ścianą a burakami znalazło się dla niego miejsce. Myślałem, że ukrył się w tym schowku. Tymczasem czekało mnie nie lada przeżycie.

Niemcy podeszli do drzwi z wizytówką nauczycielki i zażądali ich otwarcia. W pokoju przeprowadzili rewizję i na koniec kazali mi otworzyć szafę. Nie miałem od niej klucza i Niemcy znudzeni bezowocnymi poszukiwaniami wyszli z pokoju. Po ich odejściu brat Feigi, czy Franciszki wyskoczył z szafy z pistoletem w ręku. Mówił, że gdyby drzwi zostały otwarte, broniłby się strzałami.

Zdrętwiałem i nie od razu wróciłem do równowagi. Zbeształiśmy i zagrozili wypędzeniem, jeśli będzie postępował tak ryzykownie. Naprzeciwko nas mieszkały samotne kobiety Florkówny. W ich stodole ukrywały się dwie siostry Zisówny, Przedtem były we dworze, potem we wsi w jakiś piwnicach, aż w końcu, nie mając,

już grosza ani nawet odzieży sprzedanej wcześniej za żywność przycupnęły w naszym sąsiedztwie.

W styczniu 1944 r przed tę stodołę zajechali wozem konnym policjanci granatowi z Otfinowa: Niechciał, Mądry, Lewandowicz i jeszcze jeden, którego nazwiska nie pamiętam. Wyprowadzili dwie uciekinierki do sąsiada Stanisława Florka i zamknęli w piwnicy. Potem pojechali dalej na wieś w poszukiwaniu dalszych zbiegów.

Mój uciekinier pojechał na rowerze do Żabna, a stamtąd dalej rowerem pod Tarnów. Jego siostrę wysłałem w pole. Za ogrodem, w olszynce był stóg słomy i w nim przygotowałem wcześniej bunkier. Wejścia do niego zatykałem słomą. Zawiadomiłem Janinę, przebywającą wśród swoich uczniów w szkole. Jej kierownik miał opinię konfidenta i baliśmy się go. W końcu, w obawie przed partyzantami przeniósł się w inne strony. Na jego miejsce przybył uczciwy i życzliwy Polak z Rzeszowa nazwiskiem Ciombor.

Nie wiedziałem wówczas co ze sobą zrobić. Obawiałem się nie, tylko rewizji, ale i śledztwa połączonego z dokładnym badaniem tożsamości mieszkających tu osób. Janina była przerażona, rozpuściła dzieci i natychmiast przybiegła do domu. Tymczasem policjanci wrócili od Boryczków w Zagrodach, przysiółku Gorzyc i raczyli się alkoholem w domu Florka.

Franciszek Stachura, rolnik z Gorzyc, już kopał dół za wsią w krzakach od strony Otfinowa nad potokiem Żymanka. Wieczorem wyprowadzili policjanci obie Żydówki nad ten potok. Na widok dołu zaczęły prosić o odwiezienie do getta. Zaczęli im to obiecywać, ale można było w tym wyczuć fałszywą nutę. Zrozpaczone kobiety miały dość tej udręki.

– Jeśli macie nas zastrzelić, to już! – wołały.

Kazali im zejść z drogi w zarośla wiklinowe, ale jeszcze nie, strzelali. Wahali się przed popełnieniem zbrodni. Zdecydował się na nią najprawdopodobniej Niechciał, rosły policjant, ubierający się po cywilnemu, między innymi w sportowe spodnie tak zwane pumpy. To on strzelał do obu kobiet, których ciała pogrzebał później Mieczysław Dudka, wywodzący się z Cyganów.

Był to człowiek wykolejony osobistymi przejściami. Po śmierci żony z domu Kołaszczyńskiej, pracował dorywczo, żywił się schwytanymi przez siebie psami i kotami. Za usługi grabarskie wynagrodzono go odzieżą zamordowanych. Ofiary pochodziły z Dąbrowy Tarnowskiej. Po wojnie bracia odnaleźli kości obu kobiet i pochowali na cmentarzu – kirkucie. Wróćmy jednak do tych, którzy mieli więcej szczęścia i przeżyli gehennę hitlerowskiej okupacji. Michał Sipiora pod Dąbrową Tarnowską ukrył kuzynkę Franciszki Kryształ. Później przyjęła ona katolicyzm i wyszła za swego wybawcę. Po wojnie już jako Hanna Sipiora sprzedawała wyroby masarskie w sklepie przy ulicy Krakowskiej w Tarnowie. Taka postawa nie była regułą, przykład mieszkająca przy nauczycielce Tarnowskiej Franciszka Kryształ do końca życia nie pokazała się w kościele.

Wracając do spraw osobistych, to wówczas należałem do AK i spełniałem różne zadania. Na przykład pilnowałem broni i amunicji schowanej w stodole w Niecieczy u Mędrycha. Miałem przy sobie mój karabin, ukryty w worku. W razie pojawienia się Niemców miałem powiadomić Feliksa Zycha w Gorzycach. Łazików ostrzegałem, by się tu nie kręcili, bo grozi im niebezpieczeństwo.

Granatowy policjant w Otfinowie, należał do BCh dostarczał broń i amunicję. Jakoś mu wybaczono to, że w Otfinowie z Niemcami aresztował wcześniej chłopca za posiadanie karabinu, a chłopiec ten zginął.

Byłem kawalerem i sołtys wyznaczył mnie do innych zleceń, wyprawiał z podwodą do Otfinowa. Tam stałem z wozem i końmi pod, posterunkiem. Osławiony postrach miejscowej ludności żandarm Engelbert Guzdek już nie żył, ale hitlerowcy szaleli, podobnie jak do niedawna robił to on. Nie wiadomo było kiedy gdzie przyjdzie jechać.

W czerwcu 1944 r zdarzyło się, że znów stałem z podwodą pod posterunkiem w Otfinowie. Właśnie ktoś doniósł policji, że w łanie wyki między Przybysławicami i Pasieką ukrywają się Żydzi. Zdaje się, że donosicielem był mieszkaniec Przybysławic nazwiskiem

Król. Przybyli tu dwaj policjanci z Wietrzychowic, a ja musiałem zawieźć kilku da Ofinowa. Byli to Mądry, E. Niechciał, Lawandowicz i Krasnodębski. Przed południem byliśmy na miejscu.

Żydówka w ciąży ukryta była we wnęce, zaś mężczyzna o pół kilometra dalej w ziemniakach. Synowie ukryli się gdzieś dalej. Zwyrodniały okrutnik, policjant Niechciał zaczął kobietę katować. Kopał ją w brzuch żądając podania miejsca ukrycia męża. Wzburzyło to nawet zastępcę komendanta Steina, który nie pozwolił Niechciałowi kopać ciężarnej kobiety. Prowadzono ją, szukając jednocześnie mężczyzny. Był niewidoczny, ale nagle podniósł się i zaczął uciekać.

Niechciał kazał mi gonić go wozem, ale odparłem, że drogę przegradza głęboki dół i konie nie przejdą. Chwycił sam lejce i ruszył pędem, ale konie przed rowem skręciły i skoczyły w bok, a my wysypaliśmy się do wody. Uparty Niechciał przepłynął, wygramolił się z błota i biegł przez pola.

Opodal chłop oborywał swoje pole. Rozwścieczony policjant odprzągł jego konia i pognał za uciekającym Żydem. Dognał go pod Marcinkowicami, w pobliżu restauracji. Przyprowadził uciekiniera nieludzko zmęczonego i roztrzęsionego nerwowo, Kobietę rzekomo prowadzono do getta. Po drodze jednak zabito dwoma strzałami. Sołtysowi kazali zakopać zwłoki.

Ruszyliśmy do Marcinkowic. Tam, w restauracji raczono się wódką i piwem. Sołtys karmił konie koniczyną. Niechciał zaprosił mnie do picia. Przyniósł litr wódki, duży kielich i kazał mi wychylić. Na dworze panował upał. W pewnej chwili policjant odszedł, bo zobaczył dziewczynkę, idącą po wodę do studni. Dziewczynka ta imieniem Marysia, zdołała uciec choć; zawzięcie ścigał. Wszedł z kolei do domu i pytał o dziewczynkę napotkanego, modlącego się właśnie kleryka. Pieklił się i groził rewolwerem, bo kleryk nie chciał nic mówić. Przybiegł do nas chłopczyk, prosząc mnie o pomoc i wołając, że policjant chce zastrzelić jego wujka kleryka.

Co miałem zrobić? Pobiegłem i powiedziałem Niechciałowi, że wzywa go komendant Stein. Rzeczywiście Stein czekał i później

mówił po niemiecku, że policjant chciał zgwałcić nieletnią idącą po wodę. Potem zasiedli do stołu i zaczęli pić. Niechciał bełkotał, że zastrzeli tego Żyda. Tymczasem schwytany żydowski uciekinier siedział w rogu sali.

Dałem mu też pić. Zapowiedzieli mu, że zostanie odstawiony do getta. Mnie wydali inne polecenie. Miałem ich wieźć i po pewnym momencie zatrzymać się i wtedy zbiega zastrzelą. Ruszyliśmy w drogę i stanąłem dopiero na rozkaz koło krzaków. Niechciał kazał nieszczęśnikowi rozebrać się do kalesonów, bo szkoda, jak powiedział zakopywać odzieży, której brak.

Żyd był całkowicie zrezygnowany, prosił tylko o papierosa. Błagał, by jego synów od razu zabić, a nie męczyć. Wspomniał żonie, która nie żyje. Położył się na ziemi i wówczas zastrzelili go. Krasnodębski zdążył mi szepnąć, że o Żydach doniósł policjantom Król, mieszkający w bliskim sąsiedztwie.

Oprawcy wrócili do Marcinkowic i znowu rozgościli się w restauracji. Znów pili alkohol. Sołtysowi dali odpowiednie polecenie. Przysłał dwu mężczyzn. Poszli ze mną i wykopali dół głębokości dwóch metrów przy żywopłocie. Tutaj zakopali zwłoki zamordowanego.

Wracaliśmy w nocy. Przewodnik wprowadził konie na prom. W drodze z Marcinkowic do Otfinowa, na trasie przejazdu na Dunajcu, mieszkańcy patrzyli na nas złowrogo, z widocznym niemym wyrzutem. Zauważył to Niechciał i począł do nich strzelać. Gdy przeprawiliśmy się przez rzekę i stanęliśmy pod posterunkiem w Otfinowie, Niechciał znów przyniósł wódki.

Trzeba było pić. Do domu konie same doprowadziły. Potem spiętrzyły się wokół mnie osobiste kłopoty. W maju 1944 r. zmarł mój ojciec. Na pogrzeb zeszli się mieszkańcy wsi. Mój żydowski zbieg przebywał w swoim pokoju i nie pokazywał się. Odtąd bałem się bardziej nie kiedykolwiek. Wiedziałem, co nas czeka w wypadku wykrycia Żydów. Myślałem o wykopaniu tunelu, aby mogli ujść w razie otoczenia domu. Mimo poruszającej wiadomości oz bliżającym się froncie, trwoga nie odstępowała mnie ani na chwilę.

Wciąż było słychać, że to tu, to tam wykryto Żydów i żywych ludzi wrzucano do ognia.

Każde szczekanie psa budziło mnie i nie pozwoliło już zasnąć. Dwaj bracia Goldbergowie kryli się w polu i nocą chodzili do dworu po chleb. Głośno było o tym we wsi, dlatego posłałem chłopca, aby ich ostrzec, ale już ich nie odnalazł. Wędrowali polami, spali w rowach pośród krzaków. Czasem ktoś przyjął ich do stodoły, na strych, ale w obawie przed Niemcami kazał iść dalej.

Około stycznia 1945 roku polami szli Rosjanie w białych płaszczach. Posuwali się tyralierą od strony Pilczy i Kłyża. Nad Gorzycami walczyły samoloty i Niemcy zestrzelili jeden z nich. Spadł za wsią przy drodze do Ofinowa. W maszynie było dwóch lotników i obaj zginęli, bo lecieli zbyt nisko. Silnik oderwał się im od kadłuba i spadł 200 metrów dalej. Palił się, a pociski eksplodowały raz za razem. Nad Dunajcem były silne umocnienia, ale Niemcy po krótkiej walce uciekli, bojąc się okrążenia. Na drugi dzień już jawnie pojechaliśmy na rowerach, ja z moim żydowskim lokatorem – do jego koleżanki. Rosjanie byli w Żabnie, a Niemcy za Dunajcem. Strzelali zza wody i z Konar, spod Żabna. Rosjanie atakowali i cofali się, potem znów uderzali, artyleria z tyłu wspierała ich ogniem.

Wróciwszy do domu widzieliśmy jak polegli radzieccy żołnierze zostali pochowani w Otfinowie między sklepem Saletnika a kościołem. Mój lokator, tak szczęśliwie ocalały ożenił się z Janiną Tarnowską i wyjechali oboje do Francji, a później do Izraela. Franciszka Kryształ została u mnie. Byliśmy sobie bardzo bliscy. Po wojnie, niestety zmarła z powodu choroby nowotworowej. Mam jej dyplomy i wszystkie inne dokumenty – jako drogie pamiątki.

Udawałem gorliwego sługusa

Podobnie jak inni autorzy wspomnień, Jan Tomal (ur. w 1926 r. w Niecieczy) rozpoczyna swoją relację z lat wojny od określeń własnej sytuacji materialnej.

– Miałem gospodarstwo o powierzchni 3 hektarów dobrej ziemi nad Dunajcem, obok Otfinowa, na uboczu dużej wsi. Za wałem wycięto chrust i złożono faszynę w kopy. Tutaj, w dość sprzyjających warunkach, kryli się ludzie ścigani przez Niemców, a przede wszystkim Żydzi. Wieczorem często wychodzili do znajomych po żywność.

Wcześniej ukrywali się z drugiej lewej strony Dunajca w rejonie Marcinkowic, a nawet w domach, których właściciele tego nie zauważyli. Gdy ich odkryto, musieli najczęściej uciekać. Była to między innymi Małka i jej syn Eliasz Kahane, liczący 18 lat.

Po żniwach zaczęły padać deszcze, zwłaszcza w górach. Wezbrały wody górskiej rzeki, zagrażając tym, którzy szukali schronienia na jej zarośniętych zielenią bagnach. Wreszcie woda wystąpiła z koryta i zabrała faszynę. Nie wyrządziła większych szkód na polach, bo snopki zaczęto zwozić jeszcze przed tym deszczem.. Przestraszeni i zmoczeni Żydzi przyszli wieczorem do mojej stajni pod koniec 1942 roku. Zaniepokoiłem się, bo mieszkali u mnie, wysiedleni ze wschodu z rejonu Stanisławowa. Było to małżeństwo Głogowskich z trojgiem dzieci. Cóż miałem robić? Siostra moja nakarmiła biedaków wypędzonych przez powódź z kryjówki i umieściliśmy ich w piwnicy pod domem. Wchodziło się do niej ze stajni. Dodam, że stajnia i dom mieściły się pod jednym dachem. Żydowscy uciekinierzy spali na słomie i cieszyli się, że wreszcie są pod dachem i nie głodują.

W kryjówce było ciemno. Światło docierało przez małe okienko od południowej strony, tuż nad ziemią. Tutaj nosiliśmy im pożywienie. W nocy wychodzili do stajni. Z początku nie myli się, ocierali się tylko mokrą szmatą, męczeni upałem. Stajni nie mogliśmy zamykać z powodu obecności uciekinierów, nad którymi zawsze ktoś czuwał, by ostrzec ich w razie niebezpieczeństwa.

Mieszkający u nas Głogowski, wysiedlony, jak wspomniano, ze Stanisławowskiego, był z zawodu rzeźnikiem, wędrował po wsi i dokonywał ubojów w Niecieczy oraz okolicach. Były to oczywiście uboje potajemne, a rzeźnikowi zapewniały środki do życia. Być

może miał on swój udział w tym, że zaczęto nas podejrzewać o udzielanie Żydom schronienia.

Musieli przynajmniej na jakiś czas opuścić nasze zabudowania. Kryli się w kukurydzy, pod wałem Dunajca. Byli tam z miesiąc, a okrywali się kocami, w które zaopatrzyła ich moja matka, Wiktoria. Ojciec już wtedy nie żył. Siostra, Stanisława, nosiła im żywność. Starała się to robić skrycie, ale mimo to mieszkająca u nas, wysiedlona ze wschodu Głogowska podglądała ciekawie, co też siostra niesie w wiadrze.

Wreszcie niespodziewanie zamieszkali Niemcy u nas i w Niecieczy. Blisko przy wale urządzili sobie strzelnicę. Tam właśnie odbywały się ćwiczenia, w zmiennym składzie uczestnictwa, bo jedni odchodzili, drudzy zjawiali się na ich miejsce. Siostra moja nie chciała dopuścić do uruchomienia strzelnicy. Nie usłuchała Niemca, który kazał jej odejść, szamotała się z nim. Wydawało się, że nic nie wskóra, bo już ustawili tarcze na wale i mieli strzelać nad kukurydzą. Ostatecznie jednak ustąpił siostrze. Pogadali między sobą i poszli dalej, przeprowadzając ćwiczenia do celu w innym miejscu.

Tymczasem nadszedł okres, kiedy kukurydza dojrzała i trzeba było ją żąć. Wtedy w polu, za stodołą i za linią drzew wykopałem, dół jak na ziemniaki. Robiłem to zwyczajnie, w dzień.

Dach był z desek, przykryty ziemią. W środku ukryłem uciekinierów. Nasze mieszkanie zajęło pięciu Niemców. W stodole na klepisku mieli cztery sanie. Wysiedleni mieszkali w izbie, a my gnieździliśmy się w wąskiej komórce bez okna. Nie można było Żydów przygarnąć pod dachem, bo kłopotliwi wysiedleni wszędzie się kręcili, a i Niemcy ciągle czegoś potrzebowali, szukając też siebie stale nawzajem. Szliśmy więc w pole, a wysiedleni zostawali na miejscu.

W nocy wychodziliśmy i ostrożnie roznosiliśmy ukrywającym się pożywienie. Byli to znajomi Żydzi, z drugiego końca Niecieczy, od strony Czyżowa, gdzie mieli małe gospodarstwo. Handlowali masłem, nabiałem, wywożąc swoje produkty do Tarnowa.

Poprzednio nie mieliśmy z nimi bliskich kontaktów. Sytuacja zmieniła się, gdy uciekli z getta. Dwie ich córki zginęły.

Tymczasem pola opustoszały, było coraz zimniej. Musiałem moich uciekinierów zabrać z dołka do stodoły. Tutaj w warstwie wymłóconej słomy wydrążyłem dziurę i zamaskowałem ją. Na szczęście żołnierze niemieccy z całej Niecieczy wyjechali na front. Żydzi mogli się ukrywać w stodole, było tam im ciepło. Moja siostra nosiła im regularnie pożywienie.

Raz w nocy, bez mojej wiedzy żydowska uciekinierka poszła do dawnych sąsiadów w Czyżowie po żywność. Sąsiadce tej bowiem, Józefie Żołądź dała stół i inne meble. Zięć Józefy Żołądź śledził odchodzącą Żydówkę, ale ona zachowywała się ostrożnie, zmieniając trasę odejścia. Poszła koło domu starej panny, Wiktorii Luszowskiej i tutaj zgubił jej ślad. Wróciła do nas, a śledzący ją myślał, że poszła do tej samej kobiety, mieszkającej w samotnym domu wśród pola. Widział, że jest u nas 5–osobowa rodzina wysiedlonych i to chyba decyduje o niemożności ukrywania Żydów. Nazajutrz rano przybył do nas posłaniec od sołtysa Jędraszka i przekazał polecenie zgłoszenia się w gminie na udział w rewizji. Jędraszek miał u nas słomę w stodole, bo we wrześniu 1939 roku w czasie walki spłonęło jego gospodarstwo. Wiedział, że u nas są Żydzi, ale był moim kuzynem, jako brat przyrodni naszej matki, bronił nas i tail nasze sprawy przed Niemcami. Przychodząc do nas po swoją słomę, mówił nieraz, jak to zapewniał Niemców, że nie przetrzymujemy uciekinierów z getta.

Można się było spodziewać, że unikniemy niebezpieczeństwa. Dlatego dość spokojnie wybrałem się z posłańcem, sołtysem oraz dołączonym do nas Niemcem i dwoma granatowymi policjantami na rewizję do samotnej kobiety, Wiktorii Luszowskiej. Szukaliśmy w izbie, pod piecem, potem w stodole. Policjanci szli jak na obławę z bronią w ręku. W pewnym momencie rozerwał się snopek słomy i wpadłem na Niemca, który mimo woli strzelił. Wreszcie zaniechał rewizji. Poszliśmy z kolei pod wał rzeczny, gdzie stały trzy domy. Pilnowani przez Niemca, musieliśmy szukać solidnie, wchodzić

w każdą dziurę. Kazano nam przeglądać nawet zapasy żywności. Znalazłem jakieś jajka, o których sama gospodyni nie wiedziała. Manifestowałem rzekomą rzetelność w tej ohydnej robocie, bo wiedziałem, że nie ma tu żydowskich uciekinierów. Znaleźliśmy za to bimber i zabitą świnię. Po rewizji właścicielka zaprosiła nas do stołu, była wódka i wędlina. Policjanci mówili gospodyni Marii Lechowej, iż byli w stu procentach pewni, że znajdą u niej Żydów. Chwalili też moja pracowitość, dokładność działania i nawet proponowali mi wstąpienie do granatowej policji, a we mnie wrzało, kipiało i życzyłem im w duchu nagłej śmierci.

Wreszcie zbliżył się front. Doszedł od Jastrząbki, Radgoszczy za Dąbrową Tarnowską. Moja matka radziła żydowskim uciekinierom, by szli bliżej frontu i zmieszali się z tamtejszą miejscową ludnością i resztą wysiedlonych. Poszli tam rzeczywiście jesienią w 1944 roku, podczas wykopków ziemniaków i nawet mieszkali u sołtysa. Zmienili sobie żydowskie imiona na swojskie na przykład nie mówili Elek, tylko Olek. Starali się również unikać swojego charakterystycznego akcentu. Chodzili do prac w polu. Tamtejsi ludzie dziwili się czasem, że jakoś nie zawsze dają sobie radę z robotą, na przykład nie potrafią dźwignąć wyładowanego kosza. Byli tam dwa miesiące i udało im się uniknąć wykrycia, choć nie mieli kenkarty. Stale musieli być czujni i maskować się na każdym kroku. Po wojnie jawnie wrócili do nas.

Na razie ciągle jednak groziło nam niebezpieczeństwo. Ów zięć Józefy Żołądź, który śledził odchodzącą Żydówkę, groził, że wrzuci granat do mieszkania, w którym ukrywali się Żydzi. Pamiętając o takich nastrojach uratowani uciekinierzy sprzedali swoje domostwo, pojechali do Tarnowa, tu kupili dom przy ulicy Wielkie Schody. Jeden z uratowanych ożenił się z Żydówką, która wróciła z obozu, a pochodziła z Czyżowa. Była to Dora Abram.

Przebywają obecnie w Stanach Zjednoczonych. Jego matka wyszła za bogatego Żyda z Bolesławia, który miał synów we Francji. Gdy wsiadła do pociągu, to obiecywała nas ściągnąć do Francji. Później nie wspomniała o tym, ale czasem przysyłała nam

starą odzież. Jej syn do nas nie pisał. Jej zamożny mąż, pochodzący z Bolesławia odwdzięczył się komuś za ukrywanie go hojnym darem w postaci swego dużego gospodarstwa. Mówiono, że w tej samej wsi jeden z chłopów bał się represji i postanowił zgładzić Żydów, podobno któregoś uderzył siekierą. Po paru dniach przyszedł, aby dokończyć morderstwa, ale zastał obu żyjących: ojca i syna. Dodam, że w jednym z domów w naszej wsi ukrywany był sztandar Stronnictwa Ludowego z Niecieczy, z którym niegdyś maszerowano, w pochodach i na wiece. Mój wuj go zwinął i schował na strychu. Dziś sztandar ten jako pamiątka jest w miejscowym kościele.

Na koniec dodam jeszcze, że nasza znajoma ydówka, która wyszła za uratowanego krajana z Bolesławia, zwała się Rachela Silber. Jak się dowiedzieliśmy, będąc we Francji, zachorowała na serce i zmarła. Inni dorzucili i to, że w zimie dwaj mieszkańcy Niecieczy pojmali Rachelę Goldberg i przywiązali ją do sań, którymi Myszak z Goruszowa odwoził mleko do Otfinowa. Została zastrzelona na placu pod oknem zakonnic.

Omal nie doszło do tragedii w Wielopolu za sprawą osiadłej tam Anieli Kaczmarskiej, neofitki z Marcinkowic za Dunajcem. Nieświadomy jej pochodzenia sołtys Szeląg obronił ją skutecznie.

Zdechłe kury przysmakiem

Andrzej Szostek, urodzony w 1908 roku, nie pochodził z tych stron. Urodził się w Okolicach, w powiecie bocheńskim. Przybył do Gorzyc w roku 1929, gdy bank parcelował dwór i grunty księcia Sanguszki. Od roku 1930 zamieszkał obok dworu w Gorzycach. Zabudowanie dworskie na wzgórzu oraz 80 morgów resztówki kupił Jan Augustyński. Był ta murowany dwór, stary sad i ogród. Całość otaczał żywopłot.

Augustyński miał dwóch, a czasem trzech fornali, którzy sypiali w stajni. Byli nimi bracia Jan i Stanisław Bednarze. Gospodarstwo

to prowadził Jan Magiera, wuj żony właściciela. Żona nazywała się z domu Ciepielówna, a wujowi zawdzięczała wychowanie, ponieważ jej rodzice wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych. Od początku okupacji do tego pięknego zakątka często zaglądali Niemcy. Specjalnie upodobał sobie to miejsce słynny z okrucieństwa i wielekroć wymieniany we wszystkich tych wspomnieniach z tych okolic żandarm Engelbert Guzdek.

Nie wiedział on, podobnie zresztą jak sam właściciel tego folwarku, że od czasu do czasu znajdowali tu schronienie Żydzi. Przychdzili do dworu, ukrywali się w piwnicy. Potem niby odchodzili, a w rzeczywistości nocą przygarniali ich fornale i ukrywali w stajni. Żydowscy uciekinierzy wędrowali po wsiach, bo ludność bała się ich dłużej przetrzymywać. Pochodzili z Otfinowa lub okolic. To im ułatwiało znalezienie kontaktu i pomocy ze strony dawnych znajomych i kolegów z ławy szkolnej, z pracy lub z okresu służby wojskowej. Niektórzy Żydzi trudnili się handlem, a z tej racji znali wielu mieszkańców. Stare znajomości przydały się teraz w najtrudniejszym okresie życia.

W pustym domu, koło figury, w centrum na wsi, było skupisko Żydów. które nazwano potocznie gettem Augustynskiego, w Gorzycach. Bywała tu rodzina Szindlerów z Dąbrowy Tarnowskiej. Znano ojca tej rodziny, bo handlował zbożem. W sumie bywało tu od 8 do 11 osób. Pracowali tu przy żniwach oraz sprzęcie siana, z trudnością, bo nie mieli doświadczenia w tego rodzaju robocie. Pewnego razu zabrali ich Niemcy na wozy i wywieźli do getta w Dąbrowie Tarnowskiej.

Bywał w Gorzycach Engelbert Guzdek i popijał z Augustyńskim. Syna jego wysłał po papierosy do trafiki Powroźnika, ale gospodarza tam nie zastał ani za pierwszym, ani za drugim razem. Żandarm miał w stosunku do Powroźnika i jego klientów jak najgorsze zamiary.

– Znałem brata Guzdka – wspomina Andrzej Szostek. – Był gajowym w lesie Orzeczucice, koło Szczurowej w Bocheńskiem. Bywałem tam u rodziny i ów gajowy pytał mnie o swego brata żandarma Opowiadałem mu, że w Radgoszczy wybudował wielką szubienicę jak brama z wieloma powrozami na belkach.

Gajowy mówił mi, że Engelbert uciekł z domu i zaciągnął się do szturmówek hitlerowskich, a tam awansował. Gajowy miał tu żonę i córkę, może 15–letnią. Jeździł na koniu, tępił złodziei.

Strzelał, ale nie słyszałem, by kiedyś kogoś zamordował. Miał tu kolegę, parobka z Zaborowa, z którym niegdyś Engelbert pracował u tego samego bauera. Obaj byli wysokiego wzrostu.

Engelbert na szczęście nie wiedział, że we dworze w Gorzycach ukrywał się Żyd z Otfinowa, Fisiek, który po wojnie był prokuratorem, specjalnie do spraw żydowskich. Z zawodu był krawcem, a jego ojciec przed wojną handlował mlekiem, które kupował we dworze w Diamencie i woził do Tarnowa. Ten zawód, dziś już wymarły, nazywany był zawodem pachciarza. Jakiś czas Fisiek chodził ze szwagrem do Olesna. Mieli jeszcze innych towarzyszy i tworzyli czwórkę. Później ta mała grupka wykruszyła się i został tylko sam Fisiek, który szukał schronienia we dworze. Żona jednego z członków tej czteroosobowej grupki pochodziła z Olesna, mieszkała przy torze kolejowym, w sąsiedztwie domu Franciszk a Reczka. Zginęła w Bobrku, przysiółku Wielopola, w domu rodziny Salaterskich, gdzie przypadkow o odkryto ich bunkier w stodole. Żyd z i otfinowscy nieraz w nocy przychodzili do swoich byłych sąsiadów i prosili o żywność. Ojciec Marii Sowy podał im worek zboża, ale żydowski uciekinier odparł ze smutkiem, że nie ma młyna. Znaczyło to, że prosi o chleb. Głód zmuszał zbiegów żydowskich do odwagi i ryzyka. Przechodzili przecież obok posterunku policji granatowej, gdzie szalał najgorszy ze wszystkich prześladowców Engelbert Guzdek. Doprowadzeni do rozpaczy wędrowali po wsiach i kryli się czasami bez wiedzy gospodarzy w ich zabudowaniach, na strychach, w stodołach, na przygórkach stajen, gdzie bywało ciepło nawet w zimie.

Jan Wilczyński, zamieszkały na skraju Otfinowa, nieco z dala od szosy, nie zawsze wiedział, że Żydzi przebywają w jego stodole. Bywało ich kilku. Nie narzekał, gdy wybierali miód z uli jego pasie-

ki, wczuwał się w położenie prześladowanych ludzi. Gdy raz zdechło sto kur, Żydzi prosili, by ich nie zakopywano, ale oddano im. Jednym z tych wygłodniałych był Żyd z Otfinowa Kaim Drelich.

Jan Sowa, pochodzący z Otfinowa, a mieszkający w Krakowie wspomina, że w 1939 roku w jego rodzinnej miejscowości mieszkało sześć żydowskich rodzin. Najlepiej znał osiadłą w sąsiedztwie rodzinę Drelichów. Byli bardzo pracowici, cieszyli się zaufaniem i sympatią miejscowego społeczeństwa.

Ojciec jednej z rodzin utrzymywał swoich bliskich ze sprzedaży mleka. Kupował je w odległym 2 kilometry od Otfinowa majątku Diamencie i codziennie furmanką dowoził do położonego o 24 km Tarnowa. Kiedyś jego ojciec w tym samym celu kupował też mleko we dworze Michała Musiała w Pasiece Otfinowskiej. Oprócz rozwożenia mleka trudnił się również drobnym handlem, a pomagał mu starszy syn Kaim. Jeden z synów pracował w Tarnowie jako piekarz, dwaj inni byli krawcami. Przewidywali oni, co niesie ze sobą okupacja hitlerowska i nie ukrywali oni przed nami swoich obaw, która niestety potwierdziły się w całej rozciągłości.

Później, będąc świadkami codziennych morderstw, dokonywanych na Żydach i Polakach, nie wiedzieliśmy co począć. Powtarzano wtedy takie wiejskie porzekadło, że jak długo będą kuropatwy, tak długo utrzymają się Żydzi. A kuropatw było coraz mniej. Mówiono też, że po Żydach przyjdzie kolej na Polaków. Codzienność potwierdzała najgorsze horoskopy.

Pierwszym odruchem ratunku ze strony Żydów w początkowym okresie wojny była decyzja dwóch synów Drelicha: Romana i Kałwy, którzy uciekli na wschód do ZSRR. Reszta rodziny pozostała w Otfinowie i miała nadzieję przetrwać burzę. Trudno odtworzyć rozpacz tej rodziny, gdy śledziła ona falę narastającego terroru. Kolejne ciosy losu przyjmowali oni w pokorze. Wreszcie zawisła nad nimi groźba wywiezienia do getta w Tarnowie. Odżyły znowu poprzednie przepowiednie o kuropatwach, których obecność miała zapewnić Żydom przetrwanie.

Zatroskany ojciec, Drelich, zupełnie poważnie i kilkakrotnie pytał mnie, czy widuję kuropatwy w polu.

Nadeszła potem tragiczna wieść o przesiedleniu do getta, do Żabna lub do Tarnowa. Lękali się nędznej wegetacji lub po prostu śmierci od kuli. W tej sytuacji jeden z synów, bardzo dobry krawiec, Fisiek, zdecydował się wraz z najmłodszą siostrą i szwagrem przetrwać w ukryciu. Jak najsłuszniej, nie wierzyli oni w zwycięstwo Hitlera. Postanowili również, jak to opowiadali po wyzwoleniu, wysłać dwie siostry bliźniaczki na przymusowe roboty do Niemiec. Było to tym łatwiejsze, że nie zdradzały one cech semickich. Oczywiście, zmieniły swoje nazwisko.

Fisiek i jego szwagier, którego nazwiska nikt nie znał i nikt nie pamięta, opuścili Otfinów ze względu na bliskość posterunku policji granatowej, nadzorowanej przez Niemców w rodzaju Wilhelma Steina, a później Engelberta Guzdka.

Przez Otfinów, zamożną wieś nad Dunajcem, przebiegała ruchliwa szosa do Ujścia Jezuickiego, gdzie Dunajec wpadał do Wisły Prawdopodobnie ukrywali się w Kłyżu i Niwkach. w czasie teg o ukrywania spotkałem ich dwa razy i udzieliłem im pomocy zaopatrując w żywność.

Przeżył wojnę Fisiek i jego szwagier. Zginęła ukrywająca się z nimi najmłodsza siostra Fiśka. Nie znam okoliczności jej śmierci. Po wojnie wrócili ze Związku Radzieckiego dwaj bracia, Roman i Kałwa jako zdemobilizowani żołnierze. Przetrwała także w obozie narzeczona Fiśka Drelicha, z którą się ożenił. Zamieszkali w Tarnowie, mieli bliźniaczki. Z pozostałych członków rodziny Drelichów nikt nie przeżył. Mimo usilnych starań Fiśka Drelicha nie udało się ustalić losów dwóch sióstr wywiezionych na roboty do Niemiec, bo nie powróciły.

Obaj bracia, którzy wrócili z ZSRR, wyjechali wkrótce do Francji, podobno do Paryża. Później pojechał z nimi Fisiek ze swą rodziną i szwagrem.

Są to wszystko skąpe informacje, ale trudno je odtworzyć po tylu latach, w roku 1984.

Prześladowani Żydzi znajdowali pomoc w domu Władysława Augustyńskiego w przysiółku Gorzyc, zwanym Hektarami. Tutaj, na uboczu w polu, wśród wąwozów, dołów i kęp krzaków było bezpieczniej niż przy szosie. Polna droga, dość zniszczona latem, wzniecająca kłęby pyłu, w czasie deszczu pełna wyboi i kałuż – nie zachęcała Niemców do przejazdu.

Żydzi wędrowali właśnie przez te zarośla, w dzień kryli się w zagajnikach. Augustyński był zamożnym rolnikiem. Przed wojną sprzedawał Żydom ziemopłody, mleko, nabiał. Toteż tu chętnie szukali wsparcia. Należał do gminnej trójki Batalionów Chłopskich i udzielał schronienia ściganym.

Był tu J. Madej, ciężko raniony w okolice kręgosłupa przez żandarma Boruschaka. Przez te melinę – jak ją gwarowo zwano przeszły takie osobistości, jak Wiatr Zawojna, delegat rządu „Żelazny".

Dopóki był w domu syn gospodarza, Kazimierz pseud. Cichy, to wynosił Żydom pożywienie. Ale chwilowo przebywał na robotach i za ucieczkę osadzony był w obozie karnym w Krakowie Płaszowie, skąd znowu zbiegł.

Do domu przyjechał żandarm Wilhelm Stein i nie aresztował go, lecz doradził wyrobienie odpowiedniego zaświadczenia, bez którego musiałby znowu ścigać zbiega. Odtąd Niemcy tu nie bywali, toteż i zgłodniali Żydzi podchodzili nocami po żywność. Mówił nawet, że Stein po cichu sprzyja ruchowi oporu. Powoływano się na to, że jest Austriakiem.

Do tych informacji warto dodać jeszcze jedną, w Otfinowie na cmentarzu w grobowcu ukrywały się jakiś czas Żydówki. Jakiś nie pozbawiony sumienia rolnik nosił im żywność. Potem opuściły tę kryjówkę i powędrowały w nieznanym kierunku.

Przeżył wojnę Siachna Lichtyk z Otfinowa. Po wojnie był znany jako wysoki funkcjonariusz UBP, pułkownik Światło. O Lichtyku opowiadał Mice, swemu szwagrowi, dr Stanisław Gucwa z Przybysławic, b. marszałek sejmu.

Ta wersja życiorysu nie znajduje potwierdzenia w książce Zbigniewa Błażyńskiego pt. „Mówi Józef Światło. Za kulisami bezpieki i partii 1940–1955", wydanej w 1990 r., w Warszawie.

Niełatwo było przeżyć

Szeroką gamę spostrzeżeń z lat okupacji zebrał Karol Kotniewicz, urodzony w 1915 roku w Żabnie.

– w roku 1942, wspomina – nasiliło się prześladowanie bogatych Żydów w naszym miasteczku. W zimie, około godziny 17 Niemcy i granatowi policjanci wdzierali się do mieszkań i uciekających Żydów zabijali. Zginęli wtedy Kalp i krawiec Goldman oraz Seler. Tego ostatniego wywołali na podwórko i tam zamęczyli. Zastrzelili też pewnego Żyda wysiedlonego z Niemiec.

Byli to Żydzi bogaci, właściciele różnych dostatków i biżuterii. Należały do nich sklepy, między innymi z odzieżą. Keimer miał jatkę przy ulicy Dąbrowskiej, blisko rynku. Wraz z żoną stanowili młode małżeństwo. Zostawili dziecko i ukryli się w lesie, w Grobli na terenie Wielopola, oraz w Przyworach. Kryjówkę znaleźli w krzakach nad rzeką Żabnicą. Stamtąd przychodzili do nas po żywność. Ukrywali się ze dwa lata, ale ostatecznie schwytali ich prześladowcy w Żabnie.

Co do mnie, to aby nie jechać do Niemiec, pracowałem za bezcen w Niedomicach. Harowałem łopatą, aby wystarczyło na odzież. W tym czasie narastało hitlerowskie ludobójstwo. Żydów wywozili do cegielni i tam zabijali. Stale na ulicach można było widzieć zabitych Żydów. W jednym domu za ojca zgłosił się syn, poprowadzili go na cmentarz. Tam przed śmiercią pytał posłusznie, gdzie ma stanąć.

Żydówka Liba była oskarżona o to, że zakryła chustką gwiazdę Dawida. Poprowadzili ją na cmentarz, odrywając od dzieci, które wołały: „Mamusiu! Mamusiu!". Oglądała się za nimi, póki nie padła pod kulami. W końcu wywieźli wszystkich. Właściciele skle-

pów tekstylnych. Małka i Reich, znali posiadaczy resztówki w Wielopolu i tam chcieli się ukryć. Nie zachowali jednak koniecznych środków ostrożności. Obie rodziny wyprawiły się w dzień do Wielopola. Uciekinierów widzieli okoliczni chłopi, pracujący w polu. W dodatku w majątku było pełno obcych ludzi, nie licząc służby i różnych dzierżawców. Obok najemników stale tu mieszkających było też kilka rodzin z Poznańskiego.

Musieli wiec zbiegowie powrócić do miasteczka. W majątku tym ukrywało się dwóch lotników francuskich oraz Ukrainiec spod Kijowa. To byli jednak twardzi mężczyźni, zdolni do znoszenia trudnych warunków konspiracji. Potrafili się kryć z powodzeniem.

Jak Antek z Kłyża uratował skazańca

Nowe Powiśle Dąbrowskie, nr 2, 1999 r.

Antek i Julka byli bliźniakami, często opuszczali ubogą chałupinkę na skraju wsi, od strony pobliskiego, dolnego Dunajca. To był prawdziwy skansen doskwierającej biedy i rozpaczy, który Bóg chyba stworzył po godzinach pracy. Boso wędrowali o każdej porze roku, w starej, byle jakiej odzieży, która z daleka rzucała się w oczy, znamionując ich inność. Drzwi domku zamykali na skobel i szli przed siebie bez celu, choć po prawdzie rzeczywistość na zewnątrz była lepsza niż w domu. Ludzie jeść dali, zimą przyodziewku nie skąpili, a i przespać się w słomie pozwalali. Antek lubił wędrować w pogodne dni, zwykł był wtedy mawiać, że gdy słońce świeci, to nawet na cmentarzu jest wesoło. Na pewno wiedział skąd się bierze deszcz: z ludzkich łez, które dusze zmarłych wylewają w przestworzach. Antek wędrując rozmyślał, Julce było to obojętne. Od dawna tak było, rzec można, wrośli w krajobraz wsi.

Julka zniecierpliwionym gestem odsunęła z twarzy kosmyk, a potem pasma opadających, chyba nigdy nie przystrzyżonych włosów, odrzucała kawałki źdźbła, resztki skruszonej słomy. An-

tek, jak zawsze, wywijał kawałkiem patyka, coś tam mamrotał. Nawet ona nie wiedziała, jakie myśli kłębią się pod jego kapeluszem, noszonym od dawna, może dla fasonu i dodania sobie powagi.

W Otfinowie wyszedł do nich żandarm niemiecki Engelbert Guzdek trzymając na smyczy wielkiego jak cielę wilczura. Szybko podszedł do Antka ze słowami: – Żydzi czy Cyganie? Judische Schweine! Ktoś idący chodnikiem, nie zbliżając się do dialogujących, rzekł tyleż wyraźnie, co protekcjonalnie: – On głupi, cudak. Antek odpalił, bardzo przytomnie: – Jo wiem. Turkot przejeżdżającego wozu zakłócił tę niecodzienną rozmowę, przytłumił słowa Antka (i ich dwuznaczność, wyraźną aluzyjność), który teraz oglądał żandarma uważnie od stóp do głów. Groza zawisła w tej ciszy. Krzyżowały się spojrzenia tych, którzy po raz pierwszy tak blisko, twarzą w twarz stanęli naprzeciw siebie, mając może coś wspólnego, a w każdym razie wiedząc o sobie niemało.

W twarzy Guzdka, w jej nienaturalnym grymasie, Antek widział jak w lustrze najgorsze cienie świata pulsujące cierpieniem umierających, kumulujące się i krzyżujące się w kłąb motywów lucyferycznych szaleństw, które wyznaczały bestialstwo i sadyzm, niewytłumaczalność i nieopisywalność ogromu zbrodni. Postać Guzdka, zabójcy 1200–1300 Polaków w wyobraźni Antka kojarzyła się ze złowieszczym widmem, które wypluła otchłań wojny, w jej wirach pogubiło strzępy swej poharatanej duszy.

Bojaźliwa Julka widziała zetknięcie się dwóch chochołów. Jeden był nasycony obłędem mordowania, owiany splendorem władzy i munduru, drugi to odziana w łachmany groteska, wiejsko–uliczna, błotem zbryzgana pospolitość, ale i prawość, choć przetykana czasem skrzywionym, zwichrowanym widzeniem świata. Oba te chochoły muskał ten sam wiatr i Julka tylko taką widziała zbieżność, reszta była tyleż tajemnicza, co nierealna, zdawała się zatracać w tumanach gościńcowego pyłu lub, jak w przypadku Niemca, rozmywać w tajemnicy porannej mgły na otfinowskim cmentarzu. Guzdek zabijał ludzi i chłeptał świeżą krew zwierzęcą, a Antek nie zabił by żadnego stworzenia, ba, wierzył, że psy i koty także

mają duszę. Antek miał przewagę, wiedział, gdzie jest granica, której nie wolno przekroczyć. Nikomu.

Guzdek przerwał konfrontację pytaniem: – Czy w Kłyżu są Żydzi bądź złodzieje? Żydzi byli, sklep mieli, a złodziei jest tyle, że żandarm łatwiej poradziłby sobie z workiem pcheł niż z nimi, zapewnił Antek, a na pytanie, co mówią ludzie o Guzdku, Antek odpowiedział: – Żeby cie ślag trafił! No i: – Żebyś zdechł – dorzuciła Julka. Przed pomnikiem żołnierza polskiego z I wojny światowej Antek zasalutował, jak zwykle, gdy tędy przechodził. Tego dnia Guzdek nikogo nie zabił.

Antek i Julka szli ku Gorzycom, słońce było już wysoko, złociło coraz mniej odległą panoramę wzgórza w Odporyszowie. Obojgu wydawało się, że świeciło jaśniej niż zwykle. Julka została w Gorzycach, ktoś poprosił ją o przypilnowanie krów na wygonie.

Potem było Wielopole. Do wsi nie lubił chodzić, pamiętał jak w czasie świąt nie dali mu placka, wtedy z gniewem wyrzucał: hań buchty pieko, hań buchty pieko, a mnie nic nie dali. Zaraz skręcił na duży dziedziniec przy drodze prowadzącej do wsi. Drzwi domu były zamknięte, bo zajęta czymś niańka nie mogła upilnować dziecięcego drobiazgu. Toteż Antek rzekł do siebie ze zdziwieniem: – Śpio, czy wyjechali, eee, zawdy by spali'? Za chwilę Antek machał szpadlem w ogrodzie, ale niechętnie, aż w końcu, oparty o stylisko, żalił się chmurom: –Eee, bede ji ył, nie dała mi zryć! Nie wiedział, że idąca z posiłkiem kucharka przystanęła na chwilę i słyszała te słowa.

Antek opowiadał, że w Otfinowie zaległ potwór, z fal Dunajca się wyłonił, kąsa okoliczne wsie, ludzi zabija, morduje, także w nocy, kiedy zamienia się w upiora, a pochodzi ze wsi położonej na krańcach świata. Antek, mówiąc to, tupał bosymi nogami ze złości, intensywnie gestykulował, to znów polemizował ze swymi myślami, których do końca nie ujawniał. Przez irracjonalne wirowanie myśli przebijała się świadomość nieludzkich cierpień, groza konania, rozpacz śmierci. Tupanie i gestykulację przeplatał wymienianiem na-

zwiska bestii–oprawcy jak złowrogiego hasła: diabłu z worka uciekł, katu spod gilotyny, ścierwo, umknął. Słowa te wwiercały się w mózg, tym skuteczniej, że Antek miał kawałek Dunajca w żyłach, wigor i temperament był tutejszy.

Domowników zdumiewała fotograficzna wręcz pamięć, encyklopedyzm wiedzy. W mig rozpoznawał postacie z portretów, trafnie oceniał walory cielesne niewiast, przywoływał szczegóły wojennych życiorysów. Wiadomościami zza Dunajca lubił się dzielić: kiedyś ostrzegł, że Niemcy przyjadą po bydło i rzeczywiście byli. Po kolacji obiecał, że nazajutrz popędzi bydło na wypas z rana.

W stodole zaskrzypiały wrota: – Wstawać, wałkonie, piękny dzionek nastał, krowy czekają na wypas! Ktoś poruszył się w milczeniu, jakiś fornal zapewne. – Ludwina, dziej dugi jak moze. nie spies się – bronił się Antek, wynurzył się jednak z siana, po czym jął biegać i tupać wokół legowiska, złe moce zdeptywał, w kapeluszu na głowie, goły. Wielce osobliwe było to jego pasienie, wypasanie, jak on cały. Zdziwione krowy spędzał w gromadę i pilnował by się nie rozeszły. O swobodnym skubaniu trawy mogły tylko pomarzyć.

Nazajutrz był odpust w Odporyszowie, dokąd z daleka, nawet z Gręboszowa nad Wisłą podążali pątnicy, niektórzy ze stołeczkami, na których siadywali dla wytchnienia. Antek omijał ścieżki wydeptane w trawie; idąc środkiem gościńca, kijem wymachiwał, za Borkiem przemykał między brunatnymi pniami sosen. Dopiero za sosnowym lasem Janika na wzniesieniu jaśniała bryła kościoła i klasztoru w Odporyszowie. W cieniu pod koroną drzew pełno wozów i koni, no i ludzi. Istne cygańskie obozowisko. Podczas kazania zatroskany Antek stał pod drzewem na dziedzińcu kościelnym, na wprost widocznego w kaplicy kaznodziei. Cały czas pozostawał pod baczną obserwacją dzieci, te nie spuszczały oczu z niego. Antek z zachwytu płonął, urzekało go to wirujące kłębowisko rozmaitości. Wesoło było po mszy, jednak ten fajerwerk dźwięków, kształtów i kolorów znużył go. I znów noc zaskoczyła go w drodze, wobec tego przespał się w czyjejś stodole. Nazajutrz był już w Kłyżu. Nie przyniósł nic. Satysfakcję czerpał z poezji przyrody i bogactwa wra-

żeń, taki byt ten Antek cudak. Julka wróciła wcześniej z kawałkami placków, nawet cukierków ktoś jej dał.

Czas był pełen niespodzianek; – prawdziwe trzęsienie ziemi w historii. Ognista linia frontu rozjaśniała niebo nad Radgoszczą. Nad Dunajcem rano dowożeni ludzie kopali rowy, doły, budowali umocnienia ziemne wzdłuż rzeki. Mężczyzna z Niecieczy odważył się szydzić z Niemców, powątpiewać w celowość rozpaczliwych starań wokół fortyfikacji. Uzbrojony Niemiec okładał i kopał, wreszcie kazał mu wykopać sobie grób, blisko pod krzakiem.

Zza wału wypełzła dziwna, jakby pokraczna postać niskiego mężczyzny w zielonym kapeluszu na głowie, w wojskowej, poszarpanej marynarce, z nogawkami spodni podwiniętymi do kolan, o zamazanych rysach twarzy – o odstraszającym wyglądzie. Ciekawość, jaką wywołał widok przybysza, wystarczyła, by kopiący ;rób skazaniec gdzieś się zawieruszył i przepadł. Wszyscy wpatrywali się w niezwykłą twarz żywej zjawy, która to twarz miała w sobie coś z błazeńskiej maski i oczy błyszczące szelmowskim szyderstwem, przekazujące niewyraźny obraz. Tak wyglądał człowiek tutejszy, który sypiał w kopkach, w nocy rozmawiał z gwiazdami. To był Antek z Kłyża, co w Otfinowie salutował samego Hitlera. Kamienną postać żołnierza polskiego, umieszczona na cokole, pomylić miał z wizerunkiem wodza III Rzeszy. Gwoli ścisłości dodać trzeba, że inną osobliwością tego czasu i miejsca był wąsaty furman z batem w ręku o wyglądzie 6–7 letniego, szczuplutkiego chłopca. Wkrótce Niemcy porzucili fortyfikacje ziemne i uciekli z obawy przed okrążeniem.

Po wojnie Antek nadal chodził po wsiach, a szczególnie po weselach, wywołując żywe zainteresowanie gawiedzi, z której podpuszczenia wyśpiewywał sprośne piosenki (dała bym ci, dała kudłatego ciała...). Do domu nie przynosił ani kawałka placka.

Dopisek Antoni i Julia przyszli na świat w 1907 roku w Kłyżu, gmina Otfinów, jako bliźnięta w rodzinie najemnego robotnika rolnego o nazwisku Rajca, który miał półtorej morgi ziemi na skraju

wsi, od strony Dunajca, przy skrzyżowaniu dróg z Otfinowa, także Gorzyc, do Żelichowa i Niwek.

W drewnianym, słomianą strzechą krytym domku była izba i szopa (komórka zarazem), w której przebywała krowa, a po zabraniu jej przez Niemców – koza. Na ten kawałek zdeptanej i wypalonej przez słońce ziemi Antek wypędzał krowę na wypas. Krowa była wciąż głodna, ale mimo to Antek chodził do sołtysa ze skargą na jej niską mleczność. Ojciec co roku siał żyto i sadził ziemniaki zawsze w tym samym miejscu; płodozmianu nie stosował. Słoma posłużyła do wyrabiania kitek oraz palenia w piecu. Opału dostarczały pieńki, porąbane na drobne kawałki. Pieńki te ojciec mozolnie wykopywał z ziemi po ścięciu drzew i była to zapłata za pomoc w karczowaniu. Rodzice chodzili do pracy we dworze Tretera w Niwkach, majątku na terenie Pilczy. Antek miał ogromny żal do ojca o to, że wychodząc na cały dzień do pracy umieszczał bliźnięta w jakimś pojemniku zawieszonym u sufitu, wprawiał w ruch niby huśtawkę i zamykał chałupinkę na skobel. Później wysyłał Antka do wójta w Otfinowie, skąd małolat przynosił paczkę zamkniętą na kłódkę i wręczał wójtowi w Kłyżu. Starsza (o 15 minut – to słowa Antka) siostra Julia, wynajmowała się do różnych prac w polu lub zagrodzie, w domu dokarmiała kury, które siedziały na łóżkach i stole jak na grzędzie, ale żadne z nich nie chodziło do szkoły, ani do kościoła. Wystani z ziarnem do młyna, podążali okrężnymi drogami, koło zataczali, by na koniec wejść do wsi z innej niż należało strony. Worek niosła Julka, a Antek popędzał j:: słowami: nieś, nieś, boś ty ślepa. Sam zaś przyglądał się drzewom, jakby miał wątpliwość czy nie jest jednym z nich. Młynarz nie brał opłaty, zadowalał się rozrywką, której dostarczał Antek, zazwyczaj wesoły, z pomysłami. Wiadomości również przynosił, zwłaszcza gdy w okolicy coś się wydarzyło. No i zwykle towarzyszyła im rozbawiona, zaciekawiona dziatwa. Starszy brat, Józef, pracował w Niemczech, potem służył w wojsku, walczył nawet w pamiętnym Wrześniu'39 pod Pszczyną. Też pracował zarobkowo u gospodarzy. Podstawowym pożywieniem były ziemniaki, żur, czasem bób. Właśnie w tym niedożywie-

niu, unieruchamianiu na cały dzień w czymś, na kształt hamaka Antek upatrywał przyczyn stanu swego zdrowia, swej inności. Ojciec nie kupował mu leków (proszków, dlotego jezdem wątły – to słowa Antka). Antek był bardzo wyczulony na krzywdę, cierpienie, w takich kategoriach odbierał swoją niedolę, na którą rozmyślał i pomstował. W czasie burzy panicznie uciekał z krową do domu, lękał się gromów. Na pytanie o przyczynę tego strachu wyjaśniał: a bo zemsce Boga... zebyś oślip! Władze miejscowe uznały, że sąsiedztwo ich chatki ze szkołą jest niepożądane, dlatego przeniosły rodzinę Rajców do wybudowanego dla niej domku. W miejscu ich dotychczasowej siedziby wzniosły dom kultury.

Antek zmarł jako ostatni z rodziny w domu opieki społecznej pod Krakowem w 1993 r. Odszedł z niebywałym poczuciem krzywdy, ze strony ojca i samego Boga – kończy swą smętną opowieść p. Władysław Mosio, b. sąsiad Rajców w Kłyżu.

Adam K. Musiał
Gliwice
Godło: „Antek z Kłyża"
praca nadesłana na X Ogólnopolski Konkurs Literacki „NPD"

Żyraków

Czarna niewdzięczność

Mieczysław Dygdoń ur. 21.X.1933 roku w Cieszęcinie przysiółku Nagoszyna, gmina Żyraków. Ojciec Michał miał małe gospodarstwo (około sześć morgów) położone w polu, z dala od drogi publicznej. Zabudowania pod strzechą, dom osobno, obora i stodoła razem, pod jednym dachem. Zabudowania sąsiadów dość oddalone, najbliżsi sąsiedzi Antoni Załucha piętnaście metrów, podobnie Jan Dąbrowski i Anna Ferenc. Do krzaków pięćset metrów. Te krzaki były własnością gospodarza z Nagoszyna, a pobliski las stanowił własność państwa i tamtejszych chłopów. W roku 1943 obcy żydzi z Nagoszyna przyszli do nas i zostali do końca. Były to trzy siostry zamężne z mężami, jedna bezdzietna z mężem. W Nagoszynie mieli gospodarstwo ojcowie tych córek. Ojca ich zwano Szaja. Miał piętnaście morgów i duże zabudowania. Tak zamożnych było tu mało. Mieli też syna zwanego Tejwek Szaja. To był brat dziewczyn.

Zmieniali kryjówki, byli kilka dni i szli dalej, ale u nas byli najdłużej, bo tu było bezpiecznie. Z początku siedzieli na strychu. Potem, pod komorą wykopaliśmy dół nakryty podłogą. Razem rzadko, siedzieli. Latem kryli się w polu, w snopkach. Bali się. Zawsze jeden z nich czuwał na posterunku wartowniczo–obserwacyjnym. Śledził ruchy na drogach, w nocy światła i ostrzegał innych. Żywiliśmy ich, ale bywało, że kupowali żywność u znajomych, nocą oczywiście. Ziemniaki, kaszę, żur, słoninę i jaja. Ruski skoczek też tu był, skierowali go akowcy. Krył się na strychu, w nocy szedł do akowców, do lasu.

Raz wracając w nocy, zostawili karabiny w polu, a mnie kazali je zabrać. Przywiozłem je na wózku, pod trawą. Czyścili, konserwowali. Z reguły byli to miejscowi. Wśród nich był Paweł Skrzypek z Bobrowej, bo Niemcy chodzil i za nim. w Bobrowej była pacyfikacja, w lipcu otoczyli wieś nad ranem.

Akowców nie było, strzelali do uciekających i palili domy. Zamordowali rodzinę Mondów, rodziców i chłopczyka w kołysce. Niemiec umożliwił dwuletniej dziewczynce ucieczkę w ten sposób, że zasłonił ją płaszczem i przepuścił. Około trzydzieści osób zamordowali. Na cmentarzu jest grób zbiorowy, a tablica pamiątkowa na domu ludowym. Szukali partyzantów i Żydów. Po tej akcji jeszcze wpadali i szukali. Wszyscy uciekali, choć nie byli w AK. Bolesław Skrzypek też uciekł, choć nie należał do AK, ale Paweł działał w AK i w domu nie przebywał.

W czasie pacyfikacji w Bobrowej padł na nas wielki strach. Zarówno my, jak i Żydzi uszliśmy w krzaki. Liczyliśmy się z możliwością pożaru. Tak było nieraz. Pacyfikacje były w Mokrym i Wiewiórce. Zwykle przyjeżdżali nad ranem i otaczali wsie. Chłopiec szedł rano z mlekiem do mleczarni, to go zastrzelili. Palili i zabijali. Dlatego i my uciekliśmy z domu. Zawsze w nocy, szczególnie jeden Żyd, obserwował okolicę, zwłaszcza, gdy coś groziło.

Nie płacili nam, obiecali dać całą gospodarkę, ale po wojnie sprzedali ją obcym. Za to ukrywanie ojciec dostał trzydzieści bonów, w zastępstwie dolarów, ani na jedną krowę nie starczyło. Nie wiem kto to dawał. Jedna z Żydówek, Elżbieta, przysyłała ojcu po 2 USD co 1–2 miesiące i paczkę z odzieżą z Montrealu. Dwie, Franciszka i Anna (Hajka) mają w Izraelu gospodarstwo rolne i po wojnie pisały listy, ale najdłużej pisała Elżbieta. 10–12 letnia córka jednej z nich zachorowała na reumatyzm, poruszała się z trudem.

Ludzie w okolicy wiedzieli o nich. Wiosną przyszła z Nagoszyna Stefania Dygdoń pożyczyć ziemniaków, bo tu obok nas mieli pole i brakło do jedzenia. Weszła znienacka i zobaczyła Żyda. Żydówka bardzo to przeżyła i po wojnie pisała o niej z wielkim wzruszeniem, bo kobieta nie wydała ich.

Ojciec dostał z Izraela medal, ale nie zdążył go odebrać. Zmarł.

W Zielonym Sztandarze pisano, że ojciec dostał ten medal. Milicjant Jan Ciecieręga wyczytał i doniósł nam o tym. Wnuk Michała, Andrzej Dygdoń pojechał do Warszawy, by tę wiadomość sprawdzić. Pytali go wtedy o różne wypadki w okolicy. Ten medal

podobno odebrał ktoś z rodziny. Sąsiadka Maria Dąbrowska przychodziła do nas i też zastała Żyda w izbie, który uczył dzieci czytać z elementarza.

Front był pół roku w Bobrowej, aż w styczniu poszli na Berlin. Działka ustawili Niemcy w odległości jednego kilometra za okopami. Wojsko ruskie i niemieckie brało ludzi do budowy okopów, bunkrów. W strefie przyfrontowej Niemcy byli bardzo czujni. Żandarmeria grasowała, nie wiadomo było, kiedy i skąd się zjawi. W Nagoszynie zostało trzech Żydów i ci schowali się w lesie. Gdy front się zbliżył Niemcy wysiedlili we wrześniu 1944 roku mieszkańców Nagoszyna, ale część uszła z dobytkiem do lasu. Kryli się tam w gęstwinie i dołach. Dziewczyna zauważyła, że pod świerkiem gałęzie są powyginane do ziemi. Usłyszała rozmowę pod ziemią. Zeszli się gospodarze i oglądali, ale Żydzi zagrozili, że będą strzelać. Ktoś ich tu zaopatrywał, bo zapewnili, gdy już poznali swoich, że wszystko mają i nalegali aby odejść.

Gdy Niemcy odeszli w popłochu, zarówno nasi, jak i Żydzi z lasu przychodzili. Ci spod świerka też przyszli i jeden z nich powiedział: Dygdoń daj mleka, teraz możesz! Przypominam sobie różne zagrożenia, np. dziecko poszło do wsi i z przechwałką w głosie oznajmiło: a my mamy Żyda. Solidarność była w narodzie i nikt nie doniósł.

ECHA PRASOWE

Pamiętajmy refleksje nad Soah

Obszerne fragmenty dokumentu
watykańskiej Komisji
ds. Kontaktów Religijnych z Judaizmem,
ogłoszonego 16 marca 1998 r.

Kard. Edward Idris Cassidy (Przewodniczący)
Bp Pierre Duprey (wiceprzewodniczący Komisji)
Remi Hoeckman, OP (Sekretarz)
(za KAI) opr. Halina Nehring
Gazeta Polska, nr 12, 25 marca1998 r.

I. Tragedia Shoah i zobowiązanie do pamięci

Wiek XX szybko zbliża się do końca i wschodzi nowe tysiąclecie ery chrześcijańskiej. Dwutysięczna rocznica narodzin Jezusa Chrystusa wzywa wszystkich chrześcijan i zaprasza wszystkich. ludzi na świecie, by próbowali dostrzegać w dziejach historii zarówno znaki działania Bożej Opatrzności, jak i te chwile; kiedy obraz Stwórcy w człowieku bywał zniekształcony i poniżany.

Niniejsze rozważania dotyczą najistotniejszych spraw, w których katolicy mogą poważnie wziąć do serca wezwania Jana Pawła II zawarte w liście apostolskim „Tertio Millennio Adveniente": „Gdy zatem zbliża się ku końcowi drugie tysiąclecie chrześcijaństwa, jest rzeczą słuszną aby Kościół w sposób bardziej świadomy wziął na siebie ciężar grzechu swoich synów, pamiętając o wszystkich tych sytuacjach z przeszłości, w których oddalili się oni od ducha Chrystusa i od Jego Ewangelii i zamiast dać świadectwo życia inspirowanego wartościami wiary, ukazali światu przykłady myślenia i działania, będące w istocie źródłem antyświadectwa i zgorszenia".

Nasze stulecie było świadkiem niewypowiedzianej tragedii która nie może być zapomniana: podjętej przez reżim nazistów próby eksterminacji narodu żydowskiego, czego konsekwencją było wymordowanie milionów Żydów. (...) To byt Shoah. Najważniejsze wydarzenie historii naszego wieku, wydarzenie, które do dziś przykuwa naszą uwagę. (...)

Zwracając się z naszą refleksją do wszystkich braci i sióstr z Kościoła katolickiego na całym świecie zapraszamy wszystkich chrześcijan do wspólnego rozważania tragedii, która dotknęła naród żydowski, po to, by być pewnym, że już nigdy więcej egoizm i nienawiść nie rozszerzą się do tego stopnia, by powodować takie cierpienia i śmierć. W sposób szczególny prosimy naszych przyjaciół żydów, „których przerażający los stał się symbolem zdziczenia, do jakiego zdolny jest człowiek gdy zwróci się przeciwko Bogu", by wysłuchali naszych stów z otwartym sercem. (...)

III. Relacje między Żydami i chrześcijanami

Historia relacji między żydami i chrześcijanami jest pełna cierpień. Jego Świątobliwość Papież Jan Paweł II świadomy tego faktu nieustannie powtarza swój apel do katolików, by zastanowili się, w którym miejscu znajdujemy się obecnie w naszych relacjach z narodem żydowskim. Wniosek z tych rozważań jest taki, że na przestrzeni dwóch tysięcy lat rezultat naszych relacji jest raczej negatywny.

U początków chrześcijaństwa, po ukrzyżowaniu Chrystusa, narastały dyskusje między wczesnym Kościołem a przywódcami żydowskimi i ludźmi, którzy powodowani wiernością Prawu czasem przemocą przeciwstawiali się głosicielom Dobrej Nowiny i pierwszym chrześcijanom (...)

Mimo głoszonej przez chrześcijan miłości do wszystkich ludzi, nawet do nieprzyjaciół, poprzez wieki przeważała mentalność prześladowania mniejszości i grup społecznych, w jakiś sposób „odmiennych". Przekonania antyżydowskie niektórych grup chrześcijan i przepaść, jaka dzieliła Kościół i naród żydowski prowadziły do

coraz powszechniejszej dyskryminacji, co w rezultacie doprowadziło do usuwania lub nawracania żydów siłą. W dużej części „chrześcijańskiego" świata, aż do końca XVIII wieku, niechrześcijanie nie zawsze mogli liczyć na gwarancje legalnego statusu prawnego. (...)

Pod koniec XVI i na początku XIX wieku w większości państw Żydzi osiągnęli generalnie ten sam status społeczny co inni obywatele, a niektórzy z nich zajmowali wpływowe pozycje w społeczeństwie. Jednocześnie w tym samym kontekście historycznym XIX wieku zaczął szerzyć się fałszywy i jątrzący nacjonalizm. (...)

W tym samym czasie zaczęty pojawiać się teorie, zaprzeczające jedności rodzaju ludzkiego i uznające odmienne pochodzenie różnych ras ludzkich. W wieku XX narodowy socjalizm w Niemczech użył tych idei jako pseudonaukowej podstawy rozróżnienia pomiędzy tzw. rasą aryjsko–nordycką i pozostałymi, z założenia niższymi rasami. (...)

Kościół w Niemczech odpowiedział na te tendencje poprzez potępienie rasizmu. Potępienie to pojawiało się najpierw w kazaniach wielu księży, w publicznych wypowiedziach biskupów katolickich i w pismach świeckich dziennikarzy katolickich. (...)

Papież Pius XI także potępił nazistowski rasizm, ogłaszając encyklikę „Mit brennender Sorge". Encyklika ta została odczytana w kościołach niemieckich w niedzielę Palmową 1937 r. Następstwem ogłoszenia encykliki były ataki i sankcje wobec księży. (...)

IV. Nazistowski antysemityzm i Shoah

(...) W konsekwencji, grupa ludzi, identyfikująca się z państwem, Przypisała sobie status absolutny i była zdeterminowana, by zlikwidować naród żydowski. naród powołany. , by być świadkiem Jedynego Boga Prawa Przymierza. Na poziomie refleksji teologicznej nie można ignorować faktu, że niemało członków partii nazistowskiej nic tylko wykazywało niechęć do idei Bożej Opatrzności czuwającej nad ludzkimi sprawami, ale wielu z nich dało dowody wyraźnej nienawiści skierowanej ku samemu Bogu. W konsekwencji taka postawa prowadziła także do odrzucenia chrześcijaństwa i pragnienia zniszczenia Kościoła lub przynajmniej podporządkowania go interesom państwa nazistowskiego.

To właśnie ta skrajna ideologia stała się podstawą i miarą, by najpierw wyrzucać Żydów z ich domów, a potem dokonać ich zagłady.

Shoah był dziełem nowoczesnego neopogańskiego reżimu

Antysemityzm tego reżimu miał swoje korzenie poza chrześcijaństwem, a w osiąganiu swoich celów nie wahał się przeciwstawiać chrześcijaństwu, a także prześladować członków Kościoła. (...)

Trzeba leż sobie uświadomić, że wielu ludzi było nieświadomych wprowadzenia „ostatecznego rozwiązania", skierowanego przeciw całej ludzkości. Inni za bardzo bali się o siebie i swoich bliskich, a jeszcze inni potrafili nawet wykorzystywać sytuację dla własnych celów, byli i tacy, którymi powodowała zwykle zawiść. Dlatego odpowiedź na postawione wcześniej pytanie powinno się stawiać w każdym przypadku z osobna. Aby to uczynić, należałoby jednak wiedzieć, .czym dokładnie kierowali się ludzie w poszczególnych sytuacjach.

Z początku przywódcy Trzeciej Rzeszy chcieli wypędzić Żydów z ich kraju. Niestety, rządy niektórych zachodnich państw o chrześcijańskiej tradycji, w tym także niektóre państwa Ameryki Północnej i Południowej, stanowczo odmawiały otwarcia granic dla prześladowanych Żydów. Chociaż z pewnością państwa te nie mogły przewidzieć, jak daleko mogą się posunąć przywódcy nazistowscy w swych przestępczych zamiarach, przywódcy owych chrześcijańskich krajów byli świadomi trudów i niebezpieczeństw, na jakie byli narażeni Żydzi żyjący na terytorium Trzeciej Rzeszy. W tej sytuacji zamknięcie granic dla żydowskich emigrantów, bez względu na to, czy dokonano go z powodu antyżydowskich uprzedzeń, politycznego tchórzostwa czy braku umiejętności przewidywania, albo narodowego egoizmu, kładzie olbrzymi ciężar na sumieniach przywódców politycznych.

W krajach, gdzie naziści podjęli masowe deportacje, brutalność tych poczynań wobec bezbronnych ludzi powinna była prowadzić

przynajmniej do pewnej podejrzliwości wobec nazistowskich zamiarów. Czy chrześcijanie udzielili wszelkiej możliwej pomocy prześladowanym, zwłaszcza Żydom?

Wielu pomagało, ale inni niestety nie.

Nie wolno zapomnieć wielu ludzi, którzy pomogli ocalić życie Żydom, często robiąc wszystko, co było w ich mocy, aż do ryzykowania swoim życiem

W czasie wojny i po wojnie wspólnoty żydowskie i ich przywódcy wyrażali swoje podziękowanie za to wszystko, co zostało zrobione dla ratowania setek tysięcy Żydów, włącznie z działaniami podjętymi osobiście przez papieża Piusa XII oraz jego przedstawicieli. Wielu biskupów katolickich, kapłanów, zakonników i świeckich zostało z tego powodu uhonorowanych przez państwo Izrael. Niemniej, jak stwierdził Papież Jan Paweł II, obok działań tych wszystkich odważnych ludzi, obecny byt także duchowy opór i działania innych chrześcijan, które nie zawsze byty działaniami, jakich można było oczekiwać od naśladowców Chrystusa. Nie wiemy, jak wielu chrześcijan w krajach okupowanych lub rządzonych przez nazistów i ich sprzymierzeńców, było przerażonych zniknięciem ich żydowskich sąsiadów, a jednak nie byli oni w stanie podnieść głosu w proteście. Dla chrześcijan ten ciężki wyrzut sumienia braci i sióstr z czasów II wojny światowej, musi pozostać wezwaniem do pokuty.

Głęboko żałujemy błędów i upadków tych synów i córek Kościoła. Przyjmujemy słowa Soboru Watykańskiego II, który w deklaracji „Nostra Aetate" jednoznacznie stwierdza: „Kościół (...) świadomy wspólnego dziedzictwa z Żydami i kierowany duchową miłością ewangelii, a nie jakimkolwiek politycznymi względami, boleje głęboko nad nienawiścią, prześladowaniem i przejawami antysemityzmu, skierowanymi przeciw Żydom, które kiedykolwiek i gdziekolwiek miały miejsce".

Przypominamy i podtrzymujemy to co papież Jan Paweł II powiedział do wspólnoty żydowskiej w Strasburgu w 1988 r.: „Powtarzam jeszcze raz, razem z wami, jak najbardziej stanowcze potępienie antysemityzmu i rasizmu, które sprzeciwiają się nauce chrześcijańskiej. Kościół katolicki potępia więc każde prześladowania skierowane przeciwko wszystkim ludziom lub jakiejś grupie osób, gdziekolwiek i kiedykolwiek miałyby one miejsce. Kościół absolutnie potępia wszelkie formy ludobójstwa, jak również ideologie rasistowskie które do nich prowadzą. Spoglądając wstecz na mijające stulecie, jesteśmy głęboko zasmuceni przemocą, którą ogarnięte są całe grupy, ludzi i narodów. Pamiętamy zwłaszcza masakrę mieszkańców Armenii niezliczone ofiary, które zginęły na Ukrainie w latach trzydziestych, ludobójstwa dokonywane na narodzie cygańskim, które to prześladowania były również rezultatem szerzenia idei rasistowskich, a także podobne tragedie, które dokonały się w Ameryce, Afryce i na Bałkanach. Nie wolno nam także zapomnieć milionów ofiar totalitarnej ideologii w Związku Radzieckim, w Chinach, Kambodży i w wielu innych miejscach. Nie możemy też zapomnieć dramatu, Jaki jest udziałem Bliskiego Wschodu, dramatu, którego okoliczności są dobrze znane. Nawet w czasie, gdy piszemy te słowa, "wiele istot ludzkich pada ofiarą współbraci".

V. Spoglądając ku wspólnej przyszłości

(...) U końca tysiąclecia Kościół katolicki pragnie wyrazić swój głęboki ból z powodu upadków swoich synów i córek na przestrzeni wszystkich wieków. Jest to akt pokuty (teshuva) ponieważ jako członkowie Kościoła jesteśmy powiązani przez grzechy i czyny wszystkich jego dzieci. Kościół odnosi się z głębokim respektem i wielkim współczuciem dla eksterminacji, Shoah, której doświadczył naród żydowski podczas II wojny światowej. Nie są to tylko słowa, ale wiążąca obietnica. (...)

Modlimy się, aby ból z powodu tragedii związanej z cierpieniami narodu żydowskiego w naszym stuleciu, odnowił nasze relacje z narodem żydowskim. Chcemy przemienić świadomość grzechów przeszłości w mocne postanowienie budowania nowej przyszłości, w które nie byłoby już więcej antyjudaizmu wśród chrześcijan i antychrześcijańskich uprzedzeń wśród Żydów lecz raczej wzajem-

ny szacunek, który przynosi wspólną korzyść wierzącym w tego samego Stworzyciela i Pana i mającym tego same go ojca w wierze – Abrahama.

Wreszcie zapraszamy wszystkich ludzi dobrej woli, by głęboko zastanawiali się nad znaczeniem Shoah. Ofiary z wnętrza ich grobów oraz ci, którzy przeżyli poprzez żywe świadectwo ich cierpienia wołają wielkim głosem, wzywając całą ludzkość. Pamiętać to straszliwe do świadczenie to znaczy być świadomym zbawczej przestrogi, którą on zawiera: nie wolno pozwolić, by zepsute ziarna antyjudaizmu i antysemityzmu zakorzeniły się w jakimkolwiek ludzkim sercu.

Cmentarze żydowskie na terenie byłego województwa Tarnowskiego

Brzesko

Cmentarz leży na północ od miasta przy ulicy Czarnowiejskiej ok. 0,5 km od rynku. Teren cmentarza o pow. ok. 1,45 ha, ogrodzony jest murem betonowym, od strony północnej – ceglanym. Mur pochodzi jeszcze z okresu przedwojennego. Od południa zamykana, żelazna brama z dwiema gwiazdami Dawida. Od tej też strony cmentarz żydowski na większej długości muru graniczy z cmentarzem wojskowym z i wojny. Brzeski kirkut pochodzi z połowy XVIII w. Teren cmentarza porastają duże drzewa, głównie brzozy i dęby, ponadto gęsto rosną krzewy. Szczególnie mocno porośnięta jest północna strona cmentarza, niemal nie do przebycia. Z tej strony znajduje się też dość rozległy pusty plac, niezadrzewiony i bez macew.

Macewy i sarkofagi (mniej liczne i wszystkie zdewastowane) stoją zwrócone w kierunku na wschód, część –na zachód, głównie te, które stoją przy ścieżkach (wówczas napisami zwrócone są do ścieżek, które tu biegły południkowo). Macewy rzeźbione stosunkowo ubogo, elementem znacznie dominującym liczebnie jest lew.

Ciekawsze, bogate macewy stoją wzdłuż głównej alei idącej od bramy równolegle do muru zachodniego. Ich ornamentyka jest bogata, częściowo jeszcze dobrze zachowana; napisy ze śladami barw: czarnej, pomarańczowej, brązowej. Napisy tylko hebrajskie, a najnowsze również polskie. Głębiej macewy bardziej zniszczone, a w jednym miejscu kilkanaście zwalonych na stos. Ślady rozkopywania grobów, resztki ognisk, butelki po alkoholu. Przy głównej alei od strony bramy stoi kilka powojennych nagrobków upamiętniających po mordowanych Żydów. Niektóre z nich zdewastowane, część pozbawiona już tablic z inskrypcjami. Przykłady zachowanych tablic: „W tym grobie spoczywa około 200 żydowskich męczenników, którzy zostali zamordowani przez barbarzyńców niemieckich dnia 18 czerwca 1942 r. cześć ich pamięci. Pomnik powstał w 1947 r. A. Grunsberger i S. Brandsdorfer". Ci sami Żydzi są fundatorami dalej położonego pomnika upamiętniającego 15 Żydów z Żezawy zamordowanych we wrześniu 1942 r. i ekshumowanych w 1945 r. Brandsdorfer jest też fundatorem innych nagrobków powojennych. Jest też pomnik poświęcony Żydom z Dębna.

W połowie alei po jej prawej stronie stoi ohel zbudowany przed kilkunastu laty z pianobetonowych elementów, nakrytym dwuspadowym dachem, zwrócony ścianą tylną na wschód. Od strony alei są żelazne drzwi, a po bokach, pod dachem okratowane okienka. Wewnątrz widać pozostałości świec.

Cmentarzem opiekuje się zamieszkały niedaleko starszy mężczyzna, na zlecenie ostatniego, pozostałego w Brzesku Żyda – Szymona Platnera. Kosi on tutaj trawę, a także zbiera grzyby.

Do 1939 r. było w Brzesku 2.100 Żydów.

Wracając na dąbrowski kirchoł

Interesujący artykuł J. Rzeszuty o dąbrowskim centrum żydowskim („TeMI" nr 33) zawiera fragmenty polemizujące z moim tekstem zamieszczonym w „Informatorze WOK–u". Ponieważ

z uwagami autora nie mogę się zgodzić, pragnę zgłosić następujące wyjaśnienia.

1. Pisałem, że cmentarze żydowskie lokowano za miastem, a nawet w sporej od miasta odległości, co dziś nie zawsze wyraźnie widać, ze względu na rozbudowę miasta. Podałem w tym miejscu przykład Dąbrowy i Tarnowa. Rzeszutko wskazuje, że przykład Dąbrowy nie jest słuszny, bo cmentarz tutejszy zlokalizowany został tuż przy wschodniej pierzei miasta. Istotnie – przykład to wyjątkowy co w innym moim opracowaniu przygotowywanym do druku – podkreślałem. Mimo swej wyjątkowości nie odbiega jednak od generalnej zasady. Zgodnie z religią żydowską cmentarz powinien być sytuowany poza obszarem zabudowy, na uboczu. Jest to ziemia święta, ale też nieczysta. Bliskiej lokalizacji cmentarza nie dozwalały też ówczesne przepisy oraz zwyczaj (niechęć chrześcijan do sąsiedztwa żydowskiego cmentarza).

Sprawa usytuowania cmentarza stanie się jaśniejsza, gdy wspomnimy proces tworzenia się zabudowy miasta. Otóż fundator Dąbrowy urządził swoje miasto od nowa, wytyczając działki budowlane wokół rynku, szkicując zarys miasta, wskazując lokalizacje zasadniczych budowli – a więc kościoła i po przeciwnej stronie – synagogi. Cmentarz wydzielono na przeciw niej ale – za miastem. Poza ówczesną zabudową. Mógł Lubomirski dowolnie wyznaczyć teren, nie miał kto protestować; miasto, mieszczanie – to dopiero się tworzyło. Zachowana została jednak zasada, by ziemia cmentarza była jednak poza strefą zamieszkałą, podczas gdy katolickie cmentarze wówczas lokowano przy kościołach.

Przykład Dąbrowy czytelny jest właśnie przy uwzględnieniu procesu rozwoju miasta. Świadczy też o znaczeniu jakie nadawał obecności tutaj Żydów, sam właściciel i założyciel miasta.

2. Podaję w swoim tekście, iż żydowskie cmentarze nazywano (i nazywa się) kierkut lub kierchał. I nie błąd maszynowy spowodował taką pisownię tej nazwy – jak sugeruje Rzeszutko. Pisze się bowiem i mówi różnie. Często kirkut, kirchał, kirchoł, ale też w formie wcześniej wspomnianej – co łatwo sprawdzić w publikowanych dokumentach (również przeze mnie).

Pisać o tych niezależnie od użytej formy, iż są nietrafne – nie można. One po prostu są używane zarówno przez Polaków (tych co jeszcze tę nazwę znają), ale też i przez Żydów, bo z ich języka pochodzą. Język jidysz (jydysz, jidisz), którym posługiwali się zamieszkujący Polskę Żydzi, uformowany ostał na bazie niemieckich dialektów. Niemiecki kirchhof = cmentarz w jidisz przekształcił się w kirchoł, kirkut, ale przez Polaków wymawiany jeszcze w nieco odmiennych formach (w dokumentach o wiśnickim kierkucie pisze się kierkow).

Inna sprawa, to hebrajska nazwa cmentarza. W tym języku – niegdyś tylko używanym jako język liturgii, a od około stu lat propagowanym jako codzienny przez twórców syjonizmu, i jako codzienny używany dziś w Izraelu – w tym języku określa się cmentarz bet hailm (dom życia). Częściej używa się określenia bet olam (dom wieczności), lub bet kewarot (dom grobów). Nasi Żydzi w swym języku żydowskim (jidisz) nazywali to miejsce także gute ort (dobre miejsce).

3. Kolejna uwaga tyczy się wymienionej, przeze mnie liczby nagrobków ocalałych na cmentarzu. Napisałem, że jest ich prawdopodobnie około 50, zaznaczając, że trudno tę liczbę potwierdzić, bo znaczna część leży w trawie lub przykryta jest ziemią. Tymczasem Rzeszuto powołuje się na zdanie p. Weissbarda, mieszkańca Dąbrowy pisze, że jest ich przeszło tysiąc. Istotnie, różnica znaczna! Ja nagrobki stojące i zwalone rachowałem przed laty. Podana przeze mnie liczba wydawała się bliska prawdy – nie mogłem zgłębić co tam pod ziemią. Kamienne płyty zarastają trawą i pogrążają się w ziemi, nie na tyle jednak, by ich setki zapadły się całkowicie.

Mój szacunek wynika z praktyki nabytej z penetracji innych cmentarzy. Nie wykluczam jednak kategorycznie, że nagrobków jest więcej. Może dużo więcej? W tej chwili jednak wartość

źródłowa mojego stwierdzenia (na „oko" i wyczucie) oraz zapewnienie słowne („powinno ich być przeszło tysiąc") – są mniej więcej takie same! Przypomnę – przed ogrodzeniem cmentarza nagrobki były masowo wykradane. Niejeden pomnik na katolickim cmentarzu wykonano z żydowskiej macewy. Najlepiej więc porachujmy kiedyś dokładnie!

Są w tekście Rzeszuty i inne fragmenty, które odczytuje się jako polemiczne w stosunku do mojego tekstu. Ponieważ jednak nie przeczą temu com napisał, pominę je.

PS.

1. Od wielu lat oficjalną walutą Izraela są szekle (a drobne – agorot). Nawiązano w tym do tradycji starożytnej.

2. Prosemcha, jeśli była, to tylko izraelicka, nie izraelska. Ale to pewnie błąd techniczny.

Adam Bartosz

Ostatnia bóżnica zamknięta

Przed II wojną światową istniało na terenie obecnego województwa tarnowskiego kilkadziesiąt żydowskich domów modlitwy. toczyło się w nich intensywne życie religijne. W okresie okupacji Niemcy zburzyli je lub całkowicie zdewastowali. Trudno jest dzisiaj zlokalizować wszystkie miejsca, gdzie się one znajdowały. W Tarnowie ostatni dom modlitwy mieścił się przy ulicy Goldhammera 1, a opiekę nad nim sprawował do swojej śmierci Abraham Lander. Modlitwom na jego pogrzebie (ostatniego Żyda w Tarnowie) przewodniczył Samuel Roth z Dąbrowy Tarnowskiej. Po śmierci Abrahama Landera o Samuelu: „ostatni strażnik tory".

Tak też było. Mieszkał wraz z żoną zmarłego brata, Ethlą Roth, w Dąbrowie Tarnowskiej przy ulicy Daszyńskiego, gdzie znajdowała się ostatnia czynna bóżnica na terenie naszego województwa. Ilekroć go odwiedzałem, zawsze opowiadał o losach Żydów

z Dąbrowy Tarnowskiej, o swoim życiu. Z nostalgią wspominał, że po II wojnie światowej w Dąbrowie Tarnowskiej mieszkało około 100 Żydów. Modlili się w synagodze. Tak było do 1976 r. Wtedy właśnie ówczesne władze odebrały synagogę Żydom. Miała ona być przekształcona na zabytek, a Żydzi mieli otrzymać w niej jedno pomieszczenie na miejsce na miejsce modlitwy. Samuel Roth nie mógł patrzeć na postępujące niszczenie synagogi. W czasie II wojny światowej był więźniem obozów w Pustkowie, Oświęcimiu, Gliwicach i Blecharni Śląskiej. Z ostatniego wrócił do Radgoszczy, a następnie przeniósł się do Dąbrowy Tarnowskiej. Ethlę Roth uratowała przed Niemcami rodzina Kaczówków z Kannej, u których ukrywała się przez 28 miesięcy.

Szczególną troską otaczał Roth cmentarz żydowski, na którym leżą między innymi trzej przedwojenni rabini.

W święta żydowskie, a obowiązkowo w każdy piątek wieczorem przed zachodem słońca, Samuel Roth zapalał siedem świec w mieszkaniu i trzynaście w bóżnicy. W sobotę po zachodzie słońca świecił dwie świece. Nie zapłoną już więcej świece w bóżnicy przy ulicy Daszyńskiego w Dąbrowie Tarnowskiej zapalone ręką Samuela Rotha.

Ostatni strażnik tory został pochowany na cmentarzu żydowskim w Dąbrowie Tarnowskiej, na tym cmentarzu, którego renowacji, a właściwie odbudowie, poświęcił tyle czasu. Został pochowany w trumnie wykonanej bez użycia gwoździ, jak przystało pochówkowi pobożnego Żyda. Na pogrzeb przyjechali ci, którzy wcześniej wspierali go przy odbudowie cmentarza, a więc Żydzi z USA i Kongregacji Wyznania Mojżeszowego z Krakowa. Żegnali go mieszkańcy Dąbrowy Tarnowskiej. Pozostawił po sobie odbudowany cmentarz, a na nim piękny pomnik poświęcony ofiarom Holocaustu. Wraz ze śmiercią, kilka miesięcy wcześniej, Ethli Roth, a teraz Samuela Rotha – zamknął się w naszym województwie kolejny rozdział historii, głęboko przecież związanej z życiem naszych miast i wsi.

Tadeusz Mędzelowski

Najcenniejszy dąbrowski zabytek

Zmarł jeden Żyd – Samuel Roth. Wraz z nim jednak zginęło pewne zjawisko, skończyło się coś, co można było nazwać instytucją religijną, obyczajową, czy szczególnym zjawiskiem kulturowym. Dla wielu ludzi ze świata Dąbrowa Tarnowska kojarzyła się, kojarzy i na pewno jeszcze długo kojarzyć się będzie wyłącznie z jego nazwiskiem i z jego mieszkaniem. Odkąd zainteresowanie kulturą żydowską rozwinęło się w Polsce, a trwa ta tendencja od końca lat 70–tych, coraz więcej osób zainteresowanych przeszłością Żydów polskich odwiedzało byłą Galicję. Na szlaku, zwłaszcza specjalistycznych wycieczek znajduje się od wielu lat Dąbrowa Tarnowska. Przez ubogie mieszkanie Szmula Rotha w ciągu ostatnich kilkunastu lat przewinęły się setki ludzi z przeróżnych krajów świata. Byli to głównie studenci i naukowcy, którzy zabłądzili do Dąbrowy, aby odwiedzić tego samotnego, steranego życiem świadka zagłady. Spotkać go było można na żałosnych, ostatnich pogrzebach żydowskich odbywanych w Tarnowie. Wreszcie i sam trafił na dąbrowski kirkut w rok po śmierci swojej bratowej, z którą spędził ostatnie lata życia.

Po zlikwidowaniu przed dwoma laty domu modlitewnego w Tarnowie, dąbrowski sztibł (tak chasydzi nazywają małe izby modlitewne urządzone zgodnie z wszelkimi regułami przewidzianymi dla synagogi), którym opiekował się Roth stał się ostatnim domem modlitwy, ostatnią synagogą w byłej Galicji Zachodniej, na wschód od Krakowa. jest to jednocześnie jedyny tego typu przykład ubogiej chasydzkiej modlitewni na południu Polski. A niewiele takich obiektów w ogóle zachowało się w naszym kraju. Będąc ostatnim przedstawicielem życia religijnego w Dąbrowie Szmul Roth opiekował się zarówno swoim domowym sztibłem, jak też zrujnowanym cmentarzem. Pod jego nadzorem i z jego inicjatywy wybudowano przed kilku laty ohel, rodzaj kaplicy, zbudowanej nad grobami rabinów. Przed trzema laty postarał się o zbudowanie ze strzępów macew niegdyś wywiezionych z cmentarza pomnika. który nazwał „Pomnik Holocaustu". Te z macew, które zachowały się w lepszym stanie zostały wbudowane jako nagrobki na cmentarzu. Dziś są szczególnymi świadkami barbarzyństwa niemieckiego, stojąc w formie połamanych fragmentów, pośród innych ocalałych nagrobków.

Dom Roetha urządzony był zgodnie z wszelkimi zasadami judaizmu, toteż na wszystkich drzwiach, na prawej futrynie umocowane były zwitki ręcznie pisanej modlitwy (mezuza), zaczynającej się słowami „szma Izrael" (słuchaj Izraelu). Wchodzący do domu Żyd dotyka palcami mezuzy i całuje końce palców, w ten sposób oddając szacunek świętemu tekstowi.

Odszedł ostatni strażnik sztibłu, ale sztbł, modlitewnia, synagoga – bo ten maleńki pokój modlitewny pełni przecież funkcje takie same jak wielkie, reprezentacyjne synagogi, ten wielce zabytkowy dziś obiekt – pozostał. Niedawno temu w związku ze Szmulem Rothem pisałem:

„Kiedy umrze Szmul Roth, kiedy zawali się wielka, piękna, ale będąca w ruinie synagoga, nawet pies z kulawą nogą nie zaglądnie do Dąbrowy, bo nie będzie miał po co". Jest jeszcze sztibł pozostały po Rothcie, jest szansa na zachowanie tego małego modlitewnego pokoiku jako pamiątki muzealnej. Jeśli to się uda, jeśli władze miasta wykażą odpowiednie zainteresowanie, Dąbrowa w dalszym ciągu dla wielu, wielu ludzi ze świata kojarzyć się będzie z kulturą żydowską i w dalszym ciągu będzie warto tu przyjechać, aby zobaczyć zabytek, jakiego nie ma nigdzie w Galicji i jakich bardzo niewiele zostało już w Europie Środkowej.

Adam Bartosz

Mieszkańcy Żydowa o Żydach

– Hitler dobrze robił, że Żydów mordował, bo Żydzi by wykończyli Polskę i cały świat zaatakowali – mówi Jan z Żydowa.

Gawędzimy nie w oparciu o fakty, lecz o rozpadający się płot. – Żyd zawsze chciał handlować i rządzić, a nie pracować – przekonuje mnie 54–letni Jan. – Żydzi, gorzej jak Hitler byli. W Polsce nadal jest masa Żydów. Wśród polityków są Żydzi. Ten, no, co ma brwi szerokie – Olszewski! – to Żyd. Wałęsa z rodziny żydowskiej, bo Zachód go popierał. Jak był elektrykiem, nie nosił w klapie Matki Boskiej.

Żydowo wybrane

Żydowo to wieś 3 km od Barlinka. Maleńka, chyba przerzuciłbym kamieniem. Więcej budynków rozpada się niż powstaje. Nie ma sklepu ani klubu, świetlica zamknięta, telefon tylko u sołtysa, z cywilizacją łączy pekaes. Ale Żydowo wybrałem nie dla tego, że to koniec świata, lecz z powodu nazwy. Żeby w Żydowie pogadać o Żydach.

Mierzyli mu czaszkę

Chodziłem po wsi i rozmawiałem z miejscowymi, na których się natknąłem. Nie wiedzą, dlaczego Żydowo nazywa się Żydowem. – Może tu Żydzi byli przed nami? – zastanawiają się. Niemal wszyscy przyznają, że Żyda „z prawdziwego zdarzenia" w życiu nie spotkali. Jednak wiedzą jak wygląda.

– Te czapkę ma na głowie – mówi 38–letni Henryk. Jego siostrzeniec 19–letni Artur wie, że Żyd brodę ma wielką i długą.

– Żyd ma śniadą cerę, a młoda Żydówka cętki na twarzy. Czystą Żydówkę poznasz, nie ma cudów – mówi 62–letni mężczyzna, który z 38–letnim przebiera ziemniaki z kopca. Obaj nie chcą w gazecie nawet swoich imion. Podobnie dwie kobiety, wygrzewające się w słońcu na ławeczce.

– Żydzi całkiem inne twarze mają. Włosy czarne, ciało ciemne. Można ich jeszcze po czymś poznać, ale tamto to tajemnica – śmieją się, zasłaniając rękami usta.

Krystyna widziała w telewizji, że Żydzi są starsi. Jej mąż 66–letni Adam twierdzi, że Żyda poznać po gwarze: – On tak zawodzi „neee, neee".

28–letni mężczyzna buduje werandę. Na chwilę przerywa robotę. – Wie Pan – mówi – gdy ten chłopiec w filmie „Europa, Europa" poszedł do niemieckiej szkoły, to mierzyli mu czaszkę i tłumaczyli, że Żyd ma inne wymiary. Broda i jakaś czapeczka to poglądy wzięte z telewizji. Bzdura!

Jan uśmiechnięty: – Hitler umiał poznać. Rozebrał i widział.

Żydzi górą, Polacy dołem

Starszy mężczyzna od kopca ziemniaków pochodził z Łodzi. Twierdzi, że pamięta getto i tamtejszych Żydów. – Nawet w niewoli nas nienawidzili. Chodzili do pracy pomostem nad ulicą, gdzie mieszkali Polacy i śpiewali tak: „My chodzimy górą, a wy doliną, my jemy chleb z masłem, a wy z margaryną". Przed wojną fabrykant był Żyd, sklepikarz był Żyd, a Polak musiał trzymać interes rękami i nogami, bo zaraz chcieli go wykończyć. Ojciec mi opowiadał, że krzyczeli do Polaków: „Wasze ulice, nasze kamienice", a wtedy ulicami ścieki płynęły. Po wojnie jak wojska ruskie i polskie weszły do Łodzi, to Żydzi jak wszy szli za nimi, zakładali piekarnie, sklepy. Pieniądze mieli, Hitler nie zdążył ich obrabować. Żyd w jednym roku jeździł wózkiem i szmaty skupował, na drugi kupił konia i platformę, a na trzeci fabrykę. I co pan myślisz, że on sam na to zarobił? Żyd jeden drugiego popierał, jak teraz świadkowie Jehowy.

Niechby i żył

66–letni Adam: – Wałęsa dobrze zrobił, że popędził ruskich, ale powinien jeszcze Żydów. W Polsce Jewrejów pełno.

– Kto to Jewrej?

– No jak to, nie wiesz pan? Jewrej to Jude. Jude to pan chyba wiesz kto? Mikke to Jude zabity! Jak chciał dojść do władzy, to brodę zgolił, a co pan myślisz, że Geremek to, co innego? (– Julian Tu-

wim był Żydem, publicznie o tym mówią – wtrąca żona). Suchocka jest Żydówką. Mazowiecki to Jewrej, zaprzedał Polskę za alkohol.

Stanisław, 28 lat: – Słyszałem, że Wałęsa. Jakby bródkę zapuścił i schudł jak przed „Solidarnością", to może by nawet był podobny. Jan: – Każdy może być Żydem. I pan może być Żydem, i ja. Nazwisko to sobie można przepisać.

Trzeba wiedzieć, że Żyd jest przebiegły. 62–latek od ziemniaków: – Żyd może udawać Polaka. Żyda poznasz po działaniu. Żyd to oszust numer jeden, sama nazwa mówi.

19–letni Artur paznokciami skrobiąc płot, jakby zakłopotany, opowiada o Oświęcimiu: – Tam ich mordowali. Kulka w głowę albo gaz. Obozy koncentracyjne krytykuje też starszy od kopca: – Praktycznie człowiek jest człowiekiem, niechby i żył.

Zbigniew Borek

Z chrześcijańskiego punktu widzenia, ukształtowanego w drugiej połowie XX wieku, ocena wypowiedzi mocno antyjudaistycznych jest jednoznaczna: takich wrogich słów nie wypowiada uczeń Chrystusa.

To jest punkt wyjścia chrześcijańskiego spojrzenia na świat i na pojedyncze problemy życiowe: jako uczeń Chrystusa (tzn. chrześcijanin) winienem naśladować Go w relacjach z drugim człowiekiem. Chyba że nim nie jestem, a tylko przywłaszczyłem sobie miano chrześcijanina, zatrzymując się na pierwszym stopniu w długim procesie rozwoju życiowego, stopniu, którym jest mój własny chrzest święty. Chrzest nie czyni nas chrześcijanami; chrzest jest bramą do chrześcijaństwa, a chrześcijaństwo drogą, procesem, dojrzewania. Ochrzczony niechrześcijanin może wykrzykiwać „bij Żyda", bo nie potrafi „kochać swojego bliźniego, jak siebie samego". Chrześcijaństwo nie zabrania oceny drugiego człowieka, szczególnie jeśli chodzi o sprawiedliwość, wiarygodność, kompetencje (także polityczne), honor. W drobiazgowej ocenie postępowania pamięta zawsze o zasadzie, że trzeba być mocno ostrożnym przy „wyrzucania drzazgi z oka swojego brata", bo samemu można mieć „belkę we własnym oku". Nie stosuje natomiast zasady uprzedzeń i do każdego podchodzi z należnym szacunkiem. Dialog i życzliwość – to oręż chrześcijanina w podejściu do judaizmu, a nie drwiny, obelgi i jednostronne przekonanie o nieomylności.

Ks. Andrzej Orzechowski
wykładowca Pisma Świętego
w Wyższym Seminarium Duchownym w Gościkowie–Paradyżu

Takie Żydowa są wszędzie. Na lubuskiej wsi i w małych miasteczkach. W wielkomiejskich blokowiskach i na prowincji. Mieszkają tam zwykli, przeciętni nasi współobywatele.

Są przekonani, że Żydów w Polsce jest milion, tylko się dobrze pochowali (10 proc. mieszkańców Polski tak uważa, według sondaży). Nie chcą Żyda za sąsiada, współpracownika, przełożonego (od 20 do 35 proc.). połowa badanych odmówiłaby Żydom prawa zasiadania w Sejmie.

Mieszkańcy Żydowa popierają księdza Jankowskiego i boją się Geremka w rządzie. Nie chcą tam też Suchockiej czy Wałęsy, i kogokolwiek, kto się od nich różni. Żydzi dla nich to nie nacja, lecz nominacja. Mianują Żydem każdego odmieńca: inteligenta, polityka, aktora, który nie pasuje do schematu.

Mieszkańcy Żydowa Żydami gardzą i boją się ich. Żydzi to oszuści, wszy, ale sprytni i mądrzy. To Żydzi – mieszkańcy Żydowa są o tym głęboko przekonani – rządzą Polską i światem. Bo przecież tylko to, że rządzą Żydzi może wyjaśnić oburzający fakt, że Żydowo nie rządzi. Abośmy to gorsi?

Mieszkańcom Żydowa można współczuć ich ignorancji, ale należy się ich obawiać. To oni dostarczają głosów wszelkiej swołoczy, która na retoryce nienawiści robi polityczną karierę. Sami zapewne nie skrzywdziliby nikogo: „niechby i żył". Ale odrzucą i pogonią Żyda, Cygana, „hifa", „pedała", „jehowę". Każdego

odmieńca. To początek drogi, która w końcu prowadzi – co do tego nikt w drugiej połowie XX wieku nie śmie mieć wątpliwości – do dyskryminacji, segregacji, apartheidu. A potem do getta, obozu, etnicznego oczyszczenia, ostatecznego rozwiązania.

Nie trzeba być Żydem, żeby się tego bać.

Konstanty Gebert
redaktor naczelny miesięcznika „Midrasz"

ZAKOŃCZENIE

Z chwilą wybuchu drugiej wolny światowej mieszkało w Polsce 3,5 miliona osób wyznania mojżeszowego, co stanowiło 10% całej ludności. Na początku okupacji cały teren byłego województwa tarnowskiego znalazł się w utworzonym przez Niemców dystrykcie krakowskim. Z wchodzących w skład tego dystryktu powiatów, w granicach byłego województwa tarnowskiego znajdują się: tarnowski (w całości) oraz zachodnia część powiatu dębickiego i wschodnia część krakowskiego. Na tym terytorium skupiało się w 1939 r. ponad 43000 Żydów. Na dodatek od początku okupacji przywożono do Tarnowszczyzny Żydów, których Niemcy wysiedlili z ziem włączonych do Rzeszy. Część tej społeczności zdołała jednak ujść na wschód, nim ustaliła się granica niemiecko–sowiecka na Sanie.

Wnet wstępne szykany przerodziły się w srogie represje i wreszcie w masową zagładę. Na przełomie 1940/41 r. nasiliło się zamykanie Żydów w gettach i wtedy to najodważniejsi, najbardziej przedsiębiorczy uciekali do lasów, gdzie w zaroślach budowali zamaskowane bunkry i kryjówki. Cały czas zdani byli na życzliwość, pomoc i wsparcie ze strony okolicznych wsi. Oczywiście korzystali niejednokrotnie z dawnych przyjaźni i zażyłości.

Wielu spośród nich przygarnęli mieszkańcy wsi i miasteczek. I tu otwiera się nowa, mało znana karta dramatu. Mimo groźby kary śmierci, powodowani względami natury humanitarnej, zdecydowali się ukryć ściganych w przemyślnie skonstruowanych schowkach w obrębie swych posesji i zagród. O tym dramatycznym wątku dziejowym mówią właśnie zaprezentowane relacje najczęściej Polaków i ze zrozumiałych względów rzadziej Żydów. Polacy uratowali przed śmiercią, powtórzmy, około 150 tys. Żydów. Za ukrywanie tychże zginęło 30–40 tys. Polaków. Polacy mogą być dumni ze świadczonej Żydom ogromnej, wielorakiej i sięgającej granic ludz-

kich możliwości pomocy. Niech ten zbiór porażających grozą, tchnących autentyzmem relacji i wspomnień ludzi uwikłanych we wspólny dramat, zaświadcza o prawdzie, którą tak uparcie fałszują tendencyjni manipulatorzy, jałowi animatorzy haniebnej tezy o tzw. polskim antysemityzmie.

FOTOGRAFIE



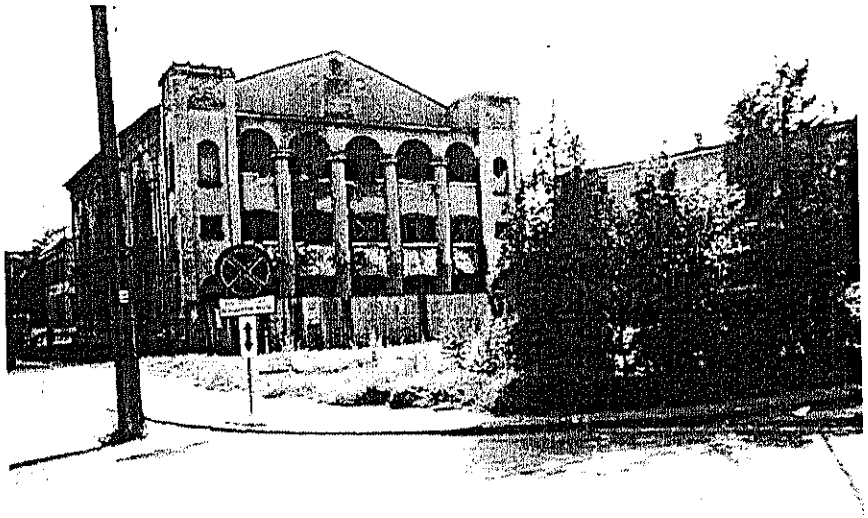
1. Ethla z Süssów Roth i Samuel Roth w Dąbrowie Tarnowskiej w 1994 r.



2. Żydzi i nosiciele wody przy studni na rynku w Dąbrowie Tarnowskiej, 1939 r.



3. Kirkut w Dąbrowie Tarnowskiej, 1994 r.



4. Bóżnica w Dąbrowie Tarnowskiej, stan z 1994 r.



5. Dom rodziny Chwalibińskich w Dąbrowie Tarnowskiej, w nim Polka Eugenia Chwalibińska, ukrywała Żydówkę Franciszkę Gruszów z mężem (zdjęcie z 1984 r.)



6.Władysław Pilas, akowiec z Dąbrowy Tarnowskiej w 1990 r.



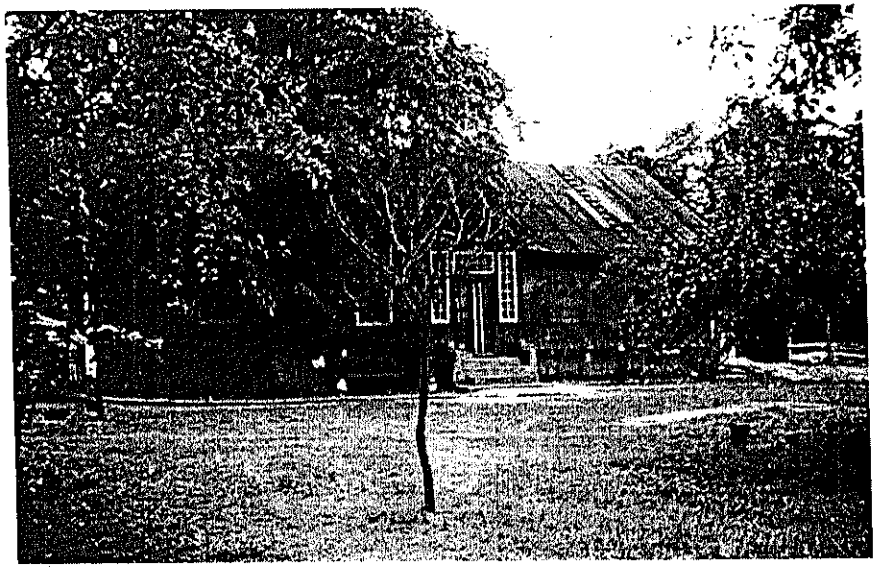
7. Wojciech Idzik z Jam, zbiegły więzień ukrywający się w lesie razem z Żydami.



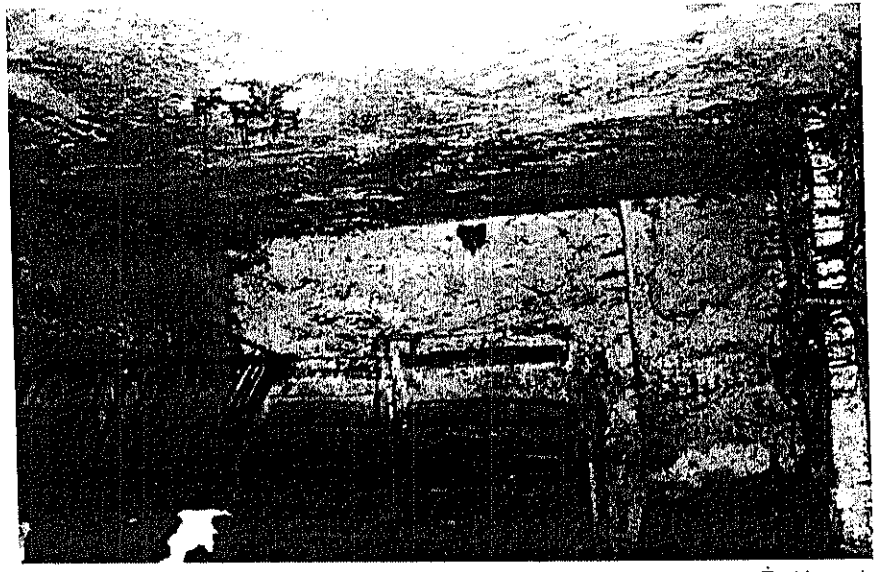
8. Fałszywy dokument Wilhelma Heinricha Rommelmanna likwidatora getta w Tarnowie.



9. Edward Kogut z Dąbrowy Tarnowskiej, w czasie wojny ukrywał Żydów



10. Dom Franciszka Borsy w Podzamczu (1994 r.), w prawej części budynku mieściła się obora



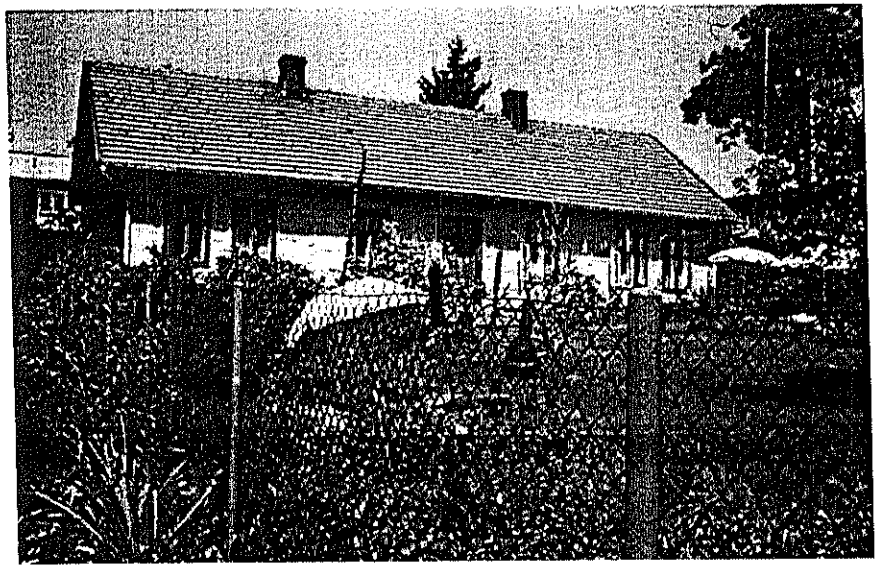
11. Fragment wnętrza obory w budynku F. Borsy, miejsce ukrywania się Żydów, widoczne ślady po bunkrze (Podzamcze, 1994 r.)



12. Franciszek Borsa (z lewej), jego żona, Genowefa, z prawej (zdjęcie wykonane w Podzamczu, 1970 r.)



13. Na zdjęciu od lewej: Pisarczyk , Franciszek Borsa, Sekura, Jan Zachara, Władysław Waś i Jan Zachara (Podzamcze 1960 r.)



14. Dom w gospodarstwie Weroniki Kozioł (Podzamcze, 1994 r.)



15. Część szczytowa domu Weroniki Kozioł, w miejscu dawnego bunkra skrywającego Żydów (Podzamcze, 1994 r.)



16. Michał Sztyglic z żoną Julią i synem Franciszkiem (zdj. powojenne).



17. Hanna Sztyglic–Sipiorowa (od lewej), siostra Regina i brat Michał (zdj. powojenne)



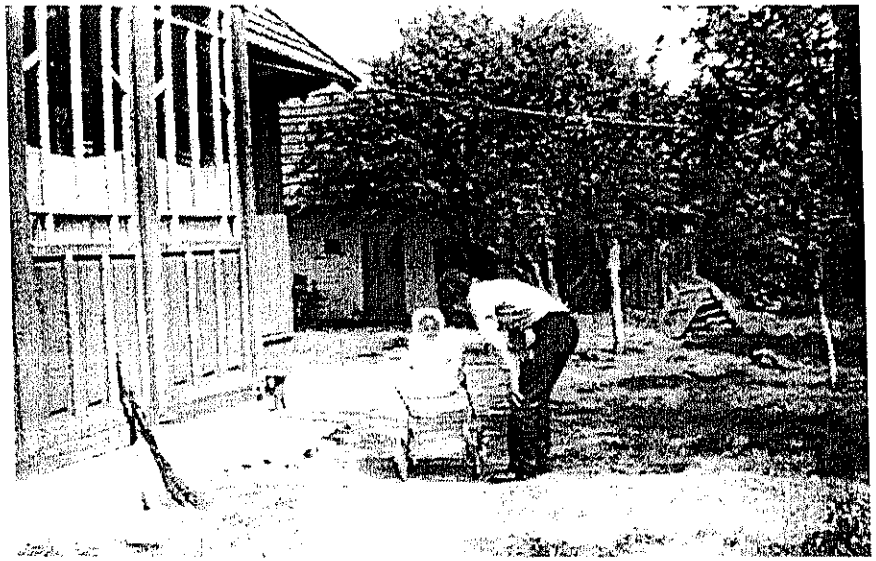
18. Córka Michała Sztyglica, Elżbieta Sobkiewicz (z lewej) i Maria Sztyglic z dziećmi



19. Józef Kozaczka, autor wypowiedzi prasowych (Dąbrowa Tarnowska, 1980 r.)



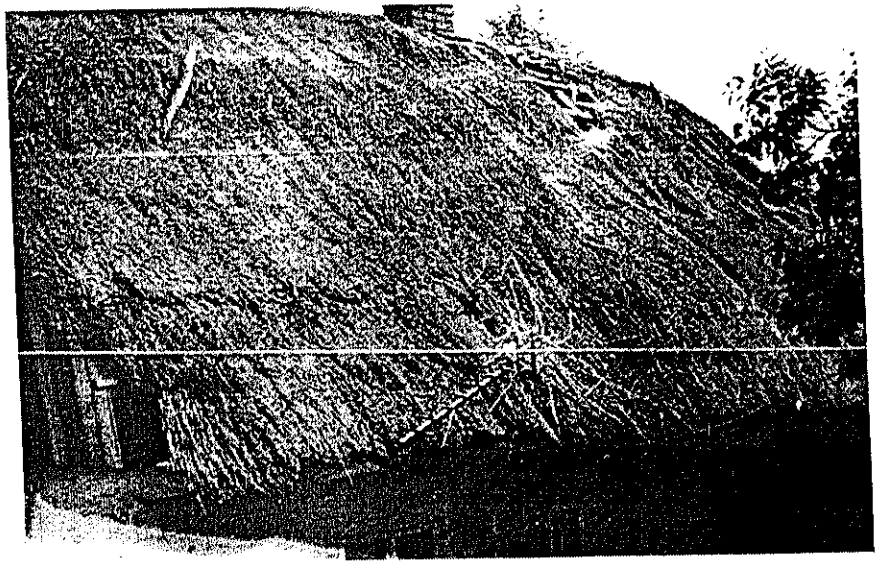
20. Córka Michała Sztyglica, Urszula Węcowska (z lewj), jej mąż Andrzej Węcowski i żona Michała, Michalina (1993 r.)



21. Fragment gospodarstwa Józefa i Emilii Bodziochów (dom i obora) w Biadolinach Szlacheckich (1980 r.)



22. Emilia Bodzioch z wnuczką w Biadolinach Szlacheckich w 1960 r., zasłużona w ukrywaniu Żydów



23. Dom Jana i Genowefy Pachów w Biadolinach Szlacheckich (1969 r.)



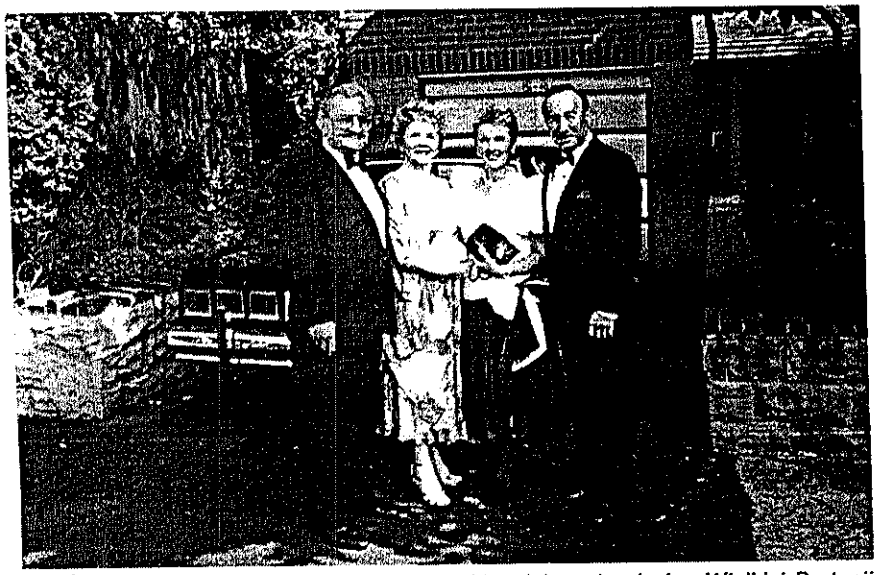
24. Frommer (imię nieznane) z żoną (zdjęcie powojenne)



25. Eśka i Marek nad grobem Dawida w Izraelu (zdjęcie powojenne)



26. Zjęcie ślubne Marka (nazwisko nieznane), syna Dawida (Izrael, 21 września 1976 r.)



27. Żydzi przechowywani w Ujściu Jezuickim, jako mieszkańcy Wielkiej Brytanii (zdjęcie z 1960 r.)



28. Stanisława Kozyrowa z wizytą u byłych podopiecznych w Wielkiej Brytanii (1960 r.)



29. Powrót Stanisławy Kozyrowej z Wielkiej Brytanii statkiem pasażerskim w 1960 r.



30. Pomnik na masowym grobie Żydów z Jodłowej, rozstrzelanych w przeczyckim lesie, 1965 r.



31. Nad grobem Leona Świerczka w Jodłowej; stoją od lewej: Jan Pariser, Maria Świerczek, Róża Pariser, Stanisław Świerczek i Kazimierz Świerczek (1963 r.)



32. Hirsch Abusch z córką Chancią i Piotr Świątek (zdjęcie z lat 60.)



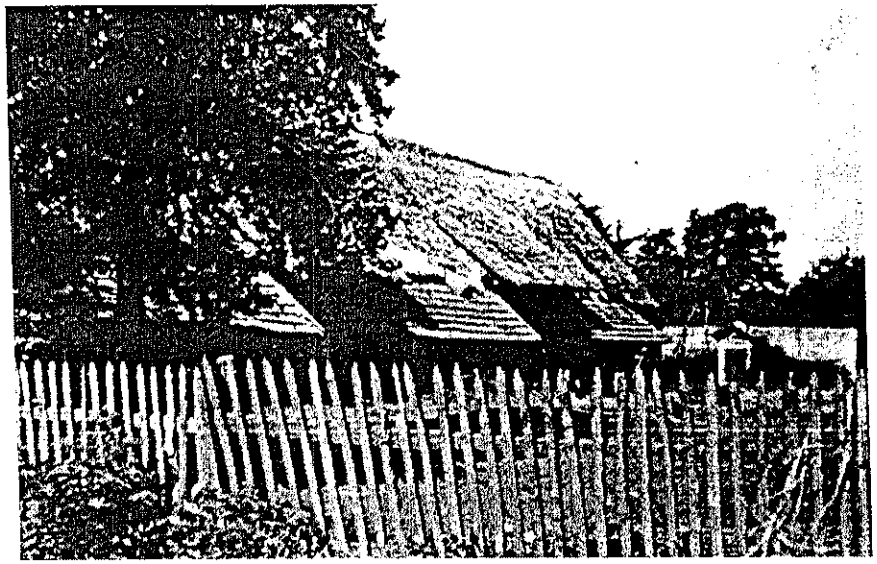
33. Henry Sally z dziećmi (Izrael, lata 60.)



34. Genowefa i Józef Kiwior oraz Cecylia Morley (w środku) z domu Holzer (Paryż, 1965 r.)



35. Józef i Maria Musiałowie, właściciele majątku ziemskiego Wielopole, rodzice autora książki Adama (zdjecie z lat 30.)



36. Jedna ze stodół majatku w Wielopolu, miejsce ukrywania Żydów (zdjęcie z 1965 r.)



37. Dom majątku Zofii z Musiałów Masłoniowej (Wielopole, 1963 r.)



38. Celina Holzer z synem Stefanem (Wielka Brytania, 1975 r.)



39. Hesiek z żoną i dziećmi (Izrael, 1960 r.)



40. Dom Czesława Wojewody, Lubsza, 1960 r.



41. Sabina Ziser, Wielka Brytania (zdjęcie powojenne)



42. Syn Sabiny Ziser, Wielka Brytania (zdjęcie powojenne)



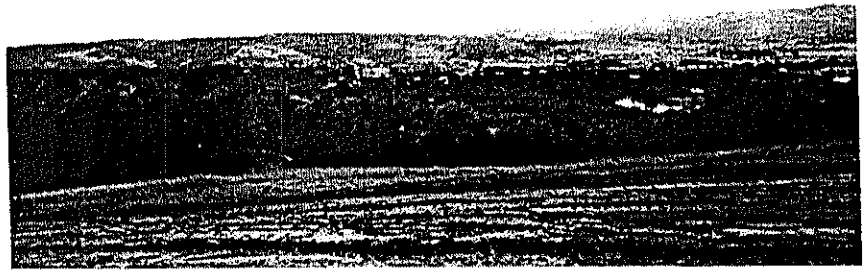
43. Józefa Szutkowska, w czasie wojny ukrywała Żydów (Czermna, 1960 r.)



44. Mendel Einhorn z żoną, Kraków 1938 r.



45. Zawada, ślady po pożydowskim bunkrze, 1985 r.



46. Panorama okolicy Zawady, 1965 r.



47. Marek Lind z Przebendowa (Izrael, 1963 r.)



48. Mola Szwarcman, Żabno 1941 r.



49. Ryszard Kotra „Juhas" z Żabna, wykonawca wyroków śmierci z ramienia ZWZ–AK (zdjecie powojenne)



50. Władysław Magiera, świadek śmierci żandarma Guzdka (Otfinów)



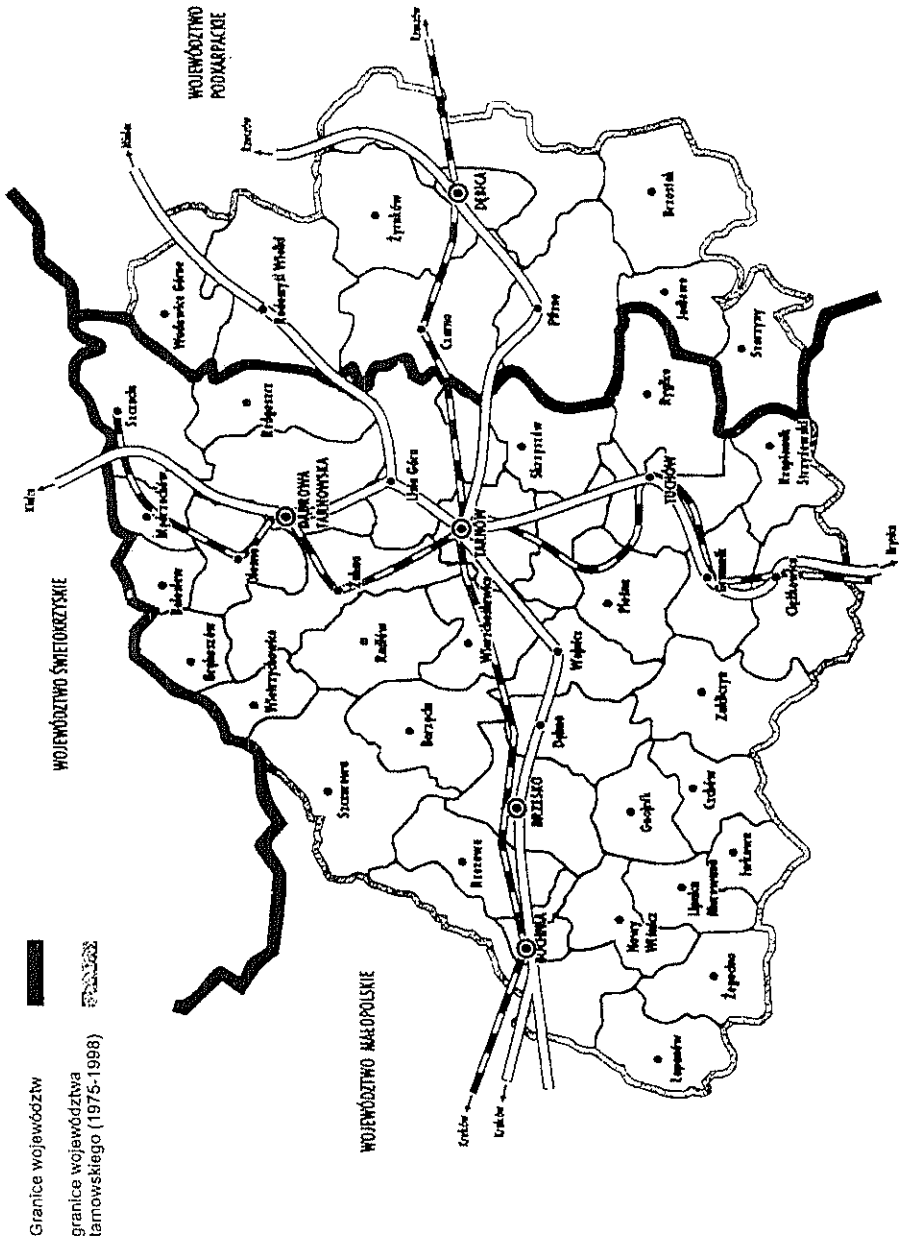
51. Witowice Dolne pod Rożnowem, miejsce doraźnego azylu ściganych; zdjęcie wykonane w czasie kwerendy źródłowej autora w 1962 r.



52. Żandarm i morderca, wysługujący się okupantowi hitlerowskiemu Engelbert Guzdek, na weselu Jana Sanka w Niecieczy, w 1943 r., siedzi obok panny młodej w butach z cholewkami



53. Wilhelm Stein i Stefan Mądry na weselu Jana Wenca w Podlesiu Dębowym w 1943 r.



Spis treści

Ryglice **329**
Mieszkanie w pożydowskim domu 329
Żydzi odmówili przysłania zaproszenia 330

Rzezawa **333**
Rozstrzelał 40 Żydów 333
Zabiła go wojna i strach 335
W komorze spędzali noce 336

Szczucin **339**
Droga przez most do ocalenia 339
Najgorsze były rewizje 344
Uratowałam zbiega, straciłam brata 347
Pomagałam szkolnemu koledze 348
Dramatyczny egzamin 350
Tułaczka żydowskiego rolnika 351
Kopali rowy, budowali fortyfikacje 352
Zmienili ojcu miejsce pochówku 353

Szerzyny **357**
Nieszczęście przyszło świtem 357
W kolejce po śmierć 359

Tarnów – miasto **372**
Nasze ulice, nasz wstyd 438
Pocztówka z Argentyny 445
Zadra 448

Tarnów – gmina **451**
Pies–Antychryst 451
Kosztem wybawicieli 458
Diabelski wir 460

Tuchów **462**
Ludożercy 462

Wadowice Górne **464**
W stałym zagrożeniu 464
Mord w Kosówce 469
Obława i masakra w lesie 471
Ocalony 472
Straciła wzrok 474

Wietrzychowice **476**
Wspomnienia z dzieciństwa 476
Pozostała tylko pamięć 477
Ucieczka przed śmiercią 479
Na szczęście Niemcy nie mieli psów w czasie rewizji 480
To było prawdziwe bohatrestwo 484

Wojnicz **489**
Uratowani przed zagładą 489

Zakliczyn **493**
Wpław przez Dunajec 493
Żywili i leczyli 497

Żabno **502**
Droga cierpienia i nadziei 502
Biedni, ale ofiarni 505
Litościwy policjant 507
Pod wspólnym dachem ze zbiegami 509
Udawałem gorliwego sługusa 516
Zdechłe kury przysmakiem 521
Niełatwo było przeżyć 527
Jak Antek z Kłyża uratował skazańca 528

Żyraków **535**
Czarna niewdzięczność 535

ECHA PRASOWE **538**
Pamiętajmy refleksje nad Soah 538
Cmentarze żydowskie na terenie byłego województwa Tarnowskiego 544
Brzesko 544
Wracając na dąbrowski kirchoł 545
Ostatnia bóżnica zamknięta 548
Najcenniejszy dąbrowski zabytek 550
Mieszkańcy Żydowa o Żydach 551

ZAKOŃCZENIE **557**

Fotografie **559**

BIBLIOTEKA NARODOWA BN